

Slaughter Karin

Tryptyk

CZĘŚĆ 1

DECATUR CITY OBSERVER
17 czerwca 1985 roku

MORD NA NASTOLATCE Z DECATUR

Wczoraj rano państwo Finney zamieszkali przy Adams Street znaleźli w domu zwłoki swojej córki, piętnastoletniej Mary Alice Finney. Policja nie ujawniła żadnych szczegółów dotyczących okoliczności śmierci, poinformowała jedynie, że traktuje ją jak zabójstwo i przesłuchuje osoby, które widziano po raz ostatni w towarzystwie dziewczyny. Paul Finney, ojciec Mary i zastępca prokuratora hrabstwa DeKalb, w wydanym wczoraj wieczorem

oświadczeniu oznajmił, iż wierzy, że policja schwyta i odda w ręce sprawiedliwości zabójcę córki. Mary Alice, wzorowa uczennica liceum w Decatur, udzielała się w zespole cheerleaderek, niedawno została także wybrana na przewodniczącą klas drugich. Nieoficjalne źródła związane z ekipą śledczą podają, że ciało nastolatki zostało okaleczone.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

5 LUTEGO 2006 ROKU

Detektyw Michael Ormewood słuchał transmisji meczu przez radio, jadąc DeKalb Avenue do Grady Homes. Z każdym kilometrem narastało w nim napięcie, a kiedy skręcał w prawo w okolice, którą większość gliniarzy uważała za strefę działań wojennych, niemal trząśniętym się ze zdenerwowania. W miarę jak Agencja ds. Budownictwa Komunalnego Miasta Atlanta upadała, finansowane przez nią osiedla socjalne w rodzaju Grady Homes powoli odchodziły w przeszłość. Nieruchomości w centrum były zbyt cenne, pole do korupcji zbyt duże. Wystarczyło ujechać kawałek dalej, żeby znaleźć się w Decatur pełnym modnych restauracji i rezydencji za miliony dolarów. Niecałe dwa kilometry w przeciwnym kierunku znajdowała się pokryta złotem kopuła siedziby władz stanu Georgia. Grady tkwiło między nimi jak uosobienie katastrofy, naoczny dowód, że miasto zbyt zajęte, żeby nienawidzić, jest także zbyt zajęte, żeby samo o siebie zadbać.

Z powodu trwającego meczu okolica była opustoszała. Dilerzy i alfonsi zrobili sobie wolne, żeby oglądać cud nad cudami: Atlanta Falcons grających w Super Bowl. Był jednak niedzielny wieczór i prostytutki wyszły na ulice, żeby zarobić na chleb i dać wierzącym

powód do spowiedzi w przyszłym tygodniu. Niektóre z nich machały do Michaela, kiedy przejeżdżał obok. Odpowiadał na pozdrowienia, zastanawiając się jednocześnie, jak wiele nieoznakowanych radiowozów zatrzymuje się tu w środku nocy, jak wielu gliniarzy melduje dyspozytorowi, że robią sobie dziesięciminutową przerwę, żeby zaraz potem przywołać jedną z dziewczyn i na chwilę się odprężyć.

Numer dziewięć znajdował się na tyłach osiedla: zdewastowany blok z czerwonej cegły oznaczony symbolami Ratzów, jednego z nowych gangów, które rozlokowały się w Grady Homes. Przed budynkiem stał nieoznakowany samochód i pięć radiowozów z obracającymi się kogutami i skrzeczącymi radiami. Parking dla mieszkańców zajmowało czarne bmw oraz podrasowany lincoln navigator, którego warte dziesięć tysięcy felgi połyskiwały złotem w świetle latarni. Michael stłumił chęć, żeby odbić w bok kierownicą i zedrzeć trochę lakieru z luksusowej terenówki za siedemdziesiąt patyków. Wkurzał go widok drogich bryk, którymi woziły się karki. W zeszłym miesiącu jego dzieciak wystrzelił w górę o jakieś dziesięć centymetrów, wyrastając ze wszystkich dzinsów, ale zanosił się na to, że będzie musiał poczekać na nowe do następnej wypłaty Michaela. Tim miał jeszcze dobrych kilkadziesiąt centymetrów w zanadru, tymczasem podatki tatusia szły na czynsz dla oprychów.

Zamiast wysiąść, Michael jeszcze przez kilka sekund słuchał transmisji, chcąc przedłużyć ostatnią chwilę spokoju, zanim wszystko stanie na głowie. Służył w firmie od prawie piętnastu lat: prosto z wojska wstąpił do policji i już po fakcie uświadomił sobie, że poza większą swobodą w uczesaniu, obie formacje niewiele się od siebie różnią. Wiedział, że gdy

tylko wysiadzie z samochodu, cały ten kołowrót zacznie się kręcić jak zbyt mocno nakręcony zegar. Bezsenne noce, niekończące się tropy, które nigdy nie wypalają, przełożeni patrzący mu na ręce. Prasa prawdopodobnie też dołoży swoje. Za każdym razem gdy wyjdzie z jednostki, reporterzy będą mu wciskali kamery i aparaty fotograficzne w twarz, pytali, dlaczego nie widać końca śledztwa, dlaczego sprawa ciągnie się tak długo, a potem jego syn będzie oglądał to w wiadomościach i pytał, czemu ludzie tak nienawidzą tatusia.

Collier, młody dzielnicowy o bicepsach tak obrośniętych mięśniami, że nie był w stanie przyłożyć rąk płasko do boków, zastukał w szybę, pokazując Michaelowi, żeby otworzył okno. Napakowaną ręką wykonał w powietrzu gest kręcenia korbką, choć prawdopodobnie nigdy w życiu nie siedział w aucie z opuszczanymi mechanicznie szybami.

Michael wdusił przycisk na desce rozdzielczej, a kiedy szyba opadła, spytał:

- Tak?

- Kto wygrywa?

- Nie Atlanta - odpowiedział i Collier pokiwał głową, jakby spodziewał się takich wieści.

Poprzednie podejście The Falcons do Super Bowl miało miejsce kilka lat temu. Dostali wtedy łomot od Denver 34:19.

- Jak się ma Ken?

- Jak to Ken - rzucił Michael, nie chcąc rozwodzić się nad zdrowiem partnera.

- Przydałby się tutaj. - Policjant skinął głową w stronę budynku. - Paskudnie to wygląda.

Michael zachował swoje zdanie dla siebie. Chłopak miał góra dwadzieścia parę lat, przypuszczalnie siedział jeszcze na garnuszku u mamusi, ale święcie wierzył, że jest mężczyzną, bo codziennie przypina kaburę z gnatem. Sam poznał kilku takich Collierów na pustyni w Iraku, kiedy pierwszy Bush postanowił tam wkroczyć. Zgraja przejętych szczeniaków z błyskiem w oku, który mówił, że zaciągnęli się z powodu czegoś więcej niż trzy posiłki dziennie i bezpłatne wykształcenie. Mieli obsesję na punkcie obowiązku i honoru, tego całego gówna i innych głodnych kawałków, które wciskała im telewizja i werbunkowi zgarniający ich ze szkół średnich niczym dojrzałe czereśnie z drzew. Obiecywano im szkolenia zawodowe, skierowanie do baz w pobliżu rejonu zamieszkania, wszystko, byleby tylko podpisali się na formularzu. Większość wysyłano pierwszym samolotem na pustynię, gdzie ginęli od kul, zanim zdążyli założyć hełmy. Z budynku wyszedł Ted Greer, poluźniając krawat, jakby brakowało mu powietrza. Jak na Murzyna miał bladą i ziemistą cerę: większość czasu spędzał za biurkiem, wygrzewając się w świetle jarzeniówek i czekając na emeryturę. Zobaczył siedzącego w samochodzie Michaela i posłał mu wściekłe spojrzenie.

- Pracujesz dzisiaj czy tylko wybrałeś się na przejażdżkę?

Michael wyciągnął kluczyk ze stacyjki dokładnie w chwili kiedy zaczynała się transmisja drugiej połowy meczu, i niespiesznie wygramolił się z wozu. Jak na lutowy wieczór było ciepło, klimatyzatory zainstalowane w oknach brzęczały jak pszczoły dokoła ula. Greer warknął na Colliera:

- Nie masz nic do roboty?

Dzielnicowy rozsądnie się zmył, przyciskając podbródek do piersi, jakby ktoś go walnął w nos.

- Kurwa, co za rzeźnia - powiedział Greer do Michaela. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

- Jakiś chory zbok ją dorwał.

Tyle Michael już się dowiedział, kiedy telefon ściągnął go z kanapy w salonie.

- Gdzie ona jest?

- Na szóstym piętrze. - Porucznik* złożył chusteczkę w kwadracik i wsadził do kieszeni. -

Ustaliliśmy, że to z tego aparatu dzwoniono pod 911. - Pokazał ręką na drugą stronę ulicy.

Michael popatrzył na budkę telefoniczną, relikwiarz przeszłości. Wszyscy używali już teraz komórek, a już na pewno dilerzy i ludzie miasta.

- Głos kobiety - poinformował go Greer. - Jutro będziemy mieli taśmę.

- Ile czasu minęło, zanim ktoś od nas się pojawił?

- Trzydzieści dwie minuty - odpowiedział i Michael zdziwił się, że nie więcej.

Według lokalnej telewizji czas reakcji na telefony alarmowe z Grady wynosił przeciętnie trzy kwadransy. W wypadku pogotowia ratunkowego jeszcze dłużej.

Greer odwrócił się plecami do budynku, jakby ten gest miał go oczyścić z winy.

- Będziemy musieli wezwać kogoś do pomocy w śledztwie.

Michael się obruszył. Według statystyk Atlanta należała do najniebezpieczniejszych miast w Stanach. Martwa dziwka nie była tu żadnym zapierającym dech ewenementem, zwłaszcza w tej okolicy.

- Tylko tego mi trzeba: kolejnego dupka pouczającego mnie, jak mam wykonywać swoją robotę.

- Pierwszy dupek uważa, że właśnie tego ci trzeba - odparował porucznik. Michael miał dość rozumu, żeby nie dyskutować - nie dlatego, że Greer nie tolerował niesubordynacji - ale dlatego, że wiedział, iż szef ustąpi mu tylko dla świętego spokoju, a potem się odwróci i zrobi, co mu się będzie żywnie podobało.

- Ta sprawa źle wygląda.

- Wszystkie tak wyglądają - przypomniał mu Michael. Otworzył tylne drzwi auta i wyciągnął marynarkę.

- Dziewczyna nie miała szans - ciągnął Greer. - Pobita, pocięta i zerżnięta w cztery dupy. Mamy tu naprawdę niezłego pojeba.

Michael włożył marynarkę, myśląc jednocześnie, że porucznik mówi tak, jakby ubiegał się o rolę w serialu HBO.

- Ken już wyszedł ze szpitala. Prosił, żebyś wpadał do niego, kiedy ci będzie na rękę.

Greer bąknął coś o nawale roboty, zanim potruchtał w stronę swego auta, oglądając się jeszcze przez ramię jakby w obawie, że podwładny będzie go gonił. Michael czekał, dopóki szef nie znalazł się w samochodzie i nie odjechał, dopiero wtedy skierował się do budynku.

W drzwiach stał Collier z ręką opartą na kolbie pistoletu. Prawdopodobnie był zdania, że pilnuje wejścia, ale Michael wiedział, że sprawca nie wróci po więcej. Skończył z tą kobietą. Już niczego nie mogła mu dać.

- Szef szybko pojechał - zauważył Collier.

- Dzięki za informację.

Zebrał siły i otworzył drzwi, pozwalając, by wilgotny, ciemny budynek go pochłonał. Ktokolwiek projektował te domy, nie robił tego z myślą o szczęśliwych dzieciakach wracających ze szkoły na ciepłe mleko i herbatniki. Skupiono się na bezpieczeństwie, do minimum ograniczając otwartą przestrzeń. Wszystkie żarówki zaopatrzone w ochronną metalową siatkę. W narożnikach ścian z gołego betonu tkwiły wąziutkie okna, szyby z osadzonym w środku drutem wyglądały jak zasnute pajęczynami. Ściany, w zamierzchłych czasach białe, teraz pstrzyły wykonane sprayem napisy: nazwy gangów, groźby i wszelkiego rodzaju obwieszczenia. Na prawo od drzwi wejściowych ktoś nagryzmołił: „Kim to kurwa, Kim to kurwa, Kim to kurwa!”

Michael patrzył w górę na krętą klatkę schodową, szacując liczbę stopni na szóste piętro, kiedy uchyliły się drzwi obok. Odwrócił się i zobaczył, że gapi się na niego stara czarna kobieta: ciemne jak węgiel oczy wyglądały zza krawędzi stalowych drzwi.

- Policja - powiedział, wyciągnąwszy odznakę. - Proszę się nie bać.

Otworzyła szerzej drzwi. Miała na sobie dżinsy i kwiecisty fartuch zarzucony na biały poplamiony podkoszulek.

- Nie boję się ciebie, cwelu.

Za nią skupiły się cztery inne staruszki, wszystkie, poza jedną, były Afroamerykankami. Michael wiedział, że nie pokazały się, by pomóc. Grady, jak każda mała społeczność, żywiło się plotką i te usta zasilają linię nowych dostaw. Mimo to musiał spytać:

- Czy któraś z pań coś widziała?

Zaprzeczyły jak jeden mąż niczym maskotki z kiwającymi głowami na desce rozdzielczej samochodu.

- Świetnie. - Michael schował odznakę do kieszeni i ruszył w stronę schodów. - Dzięki za pomoc w utrzymaniu bezpieczeństwa na waszym osiedlu.

- To twoje zadanie, lachociągu.

Przystanął z nogą na pierwszym schodku, odwrócił się w stronę staruszki i spiorunował ją wzrokiem. Patrzyła wyzywająco, świdrując go kaprawymi oczyma, jakby czytała w nim jak księdze. Była młodsza niż pozostałe kobiety, niewiele po siedemdziesiątce, ale mniejsza i bardziej siwa niż jej towarzyszki. Skórę dokoła ust pokrywała siateczka zmarszczek wyłobionych przez lata palenia. Włosy na szczycie głowy były białe, podobnie jak te zwisające w spiralkach niczym dredy. Wargi miała umazane szminką w najbardziej przerażającym odcieniu pomarańczy, jaki kiedykolwiek widział.

- Jak pani na imię?

Uniosła podbródek wyzywająco, ale odpowiedziała:

- Nora.

- Ktoś zadzwonił pod 911 z tej budki na zewnątrz.

- Mam nadzieję, że umył se potem ręce.

Michael pozwolił sobie na uśmiech.

- Znała ją pani?

- Wszystkie żeśmy ją znały. - Ton jej głosu sugerował, że wie o wiele więcej, ale nie zamierza się tym dzielić z jakimś debilowatym białym policjantem. Ewidentnie jej ściany nie ozdobił dyplom ukończenia studiów, ale Michael nie przywiązywał wagi do takich rzeczy. Widział po oczach, że jest nie w ciemną bita. W miejscu takim jak Grady głupcy nie dożywają podobnego wieku.

Zdjął stopę ze schodka i podszedł z powrotem do grupki kobiet.

- Pracowała?

Nora nie spuszczała z niego oczu, nadal nieufna.

- Przez większość nocy.

Biała kobieta z tyłu rzuciła:

- Uczciwa była dziewczyna.

Nora cmoknęła z niezadowoleniem.

- Taka młoda ptaszyna. - W jej głosie pobrzmiwała wyzywająca nuta, kiedy dodała: - To nie było życie dla niej, ale co innego niby miała robić?

Michael skinął głową, że rozumie.

- Miała jakichś stałych klientów?

Znowu wszystkie pokręciły przecząco głowami, Nora dodała:

- Nigdy nie robiła w domu.

Michael czekał, zastanawiając się, czy jeszcze coś powiedzą. Odliczał w myślach sekundy, postanowiwszy, że przeciągnie to do dwudziestu. Nad budynkiem przeleciał helikopter, rozległ się pisk opon samochodu kilka przecznic dalej, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. W tej okolicy ludzie robili się nerwowi, jeśli nie słyszeli odgłosów strzałów przynajmniej kilka razy na tydzień. Tak wyglądało ich normalne życie i przemoc - albo jej groźba - była jego częścią w takim samym stopniu co tani alkohol i jedzenie z fast foodów.

- Dobra - powiedział Michael, odczekawszy o pięć sekund więcej, niż planował. Wyciągnął wizytówkę i podał Norze. - Coś do podtarcia tyłka.

Stęknęła z odrazą, trzymając kartonik między kciukiem i palcem wskazującym.

- Mój tyłek jest ciut większy.

Puścił do niej oko i wymruczał gardłowym głosem:

- Niech ci się nie wydaje, że nie zauważyłem, złotko.

Zaśmiała się i zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. Ale wizytówkę zatrzymała. Musiał to uznać za dobry znak.

Wrócił do schodów i pokonał pierwsze piętro, sadząc po dwa stopnie naraz. Wszystkie domy w Grady miały windy, ale nawet te nieliczne, które działały, były niebezpieczne.

Kiedys jako świeżo upieczony krawężnik został tu wezwany do jakiejś awantury domowej i z zepsutym radiem zaciął się w jednym z tych trzeszczących ustrojstw. Spędził w środku

blisko dwie godziny, starając się nie zwiększać wszechogarniającego odoru szczyń i wymiocin. Tyle trwało, zanim jego sierżant się zorientował, że któryś z chłopców się nie odmeldował, i wysłał kogoś jego śladem. Koledzy, starzy wyjadacze, śmiali się z jego głupoty jeszcze przez pół godziny, zanim w końcu pomogli mu się wydostać.

Witamy w klubie.

Wchodząc na drugie piętro, poczuł zmianę atmosfery. Najpierw zarejestrował zapach: zwykła woń smażonego jedzenia, zmieszana z odorem piwa i potu, zmacona raptem przez wyraźny fetor gwałtownej śmierci.

Budynek zareagował na tragedię w zwykły sposób. Zamiast nieustającego łupania rapu dudniącego z głośników Michael słyszał tylko szmer dochodzących zza zamkniętych drzwi głosów. Ściszone telewizory, druga połowa meczu służyła jedynie za tło rozmów, podczas których lokatorzy gadali o dziewczynie z szóstego piętra i dziękowali Bogu, że tym razem padło na nią, a nie na ich synów, córki czy na nich samych.

W tej względnej ciszy pojawiły się znajome dźwięki: dobrze znane odgłosy zbierania dowodów i dokumentowania miejsca zbrodni. Michael zatrzymał się na podeście czwartej kondygnacji, żeby złapać oddech. Rzucił palenie dwa miesiące wcześniej, ale jego płuca jakoś mu nie uwierzyły. Idąc na następne piętro, czuł się jak astmatyk. Wyżej ktoś się roześmiał i Michael słyszał, jak inni gliniarze wtórują, uczestnicząc w zwyczajowym pokazie lipnego chojractwa, który umożliwiał im wykonanie roboty.

Na dole otworzyły się drzwi. Michael przechylił się przez poręcz i patrzył, jak dwie kobiety wciągają nosze na klatkę. Miały na sobie granatowe kurtki z jaskrawożółtym napisem „Kostnica” na plecach.

- Tu, na piętrze! - zawołał.

- Na którym? - spytała jedna.

- Na szóstym.

- Ożeż w dupę - zaklęła.

Chwył poręcz i z wysiłkiem pokonał jeszcze kilka stopni. Słyszał kolejne bluzgnięcia, gdy kobiety zaczęły marsz, taszcząc nosze walące głucho o poręcz niczym pęknięty dzwon. Od celu dzieliło go już tylko jedno piętro i poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Mokra od potu koszula lepiła się do pleców, ale na skutek jakiegoś szóstego zmysłu przeszedł go dreszcz.

Błysnął flesz, zawarkotała kamera. Michael ostrożnie obszedł czerwony pantofel na szpilce, który leżał na schodach, tak jakby ktoś tu usiadł i go zsunął. Stopień wyżej widać było wyraźny ślad zakrwawionej dłoni czepiającej się schodka. Na następnym tkwił jeszcze jeden, a potem kolejny - najwyraźniej zostawione przez kogoś, kto pełzył na górę.

Na podeście piątego piętra stał Bill Burgess, doświadczony dzielnicowy, który widział już chyba każdy rodzaj zbrodni z bogatego arsenału Atlanty. Obok widniało ciemne bajorko krzepnącej krwi, od jego brzegów rozchodziły się strumyczki, które spadały z jednego

stopnia na drugi niczym kostki domina. Michael bez trudu zinterpretował ślady. Potknęła się tutaj i usiłując się podnieść, porozmazywała krew.

Bill patrzył w dół schodów, omijając wzrokiem krwawe plamy. Miał pobladłą twarz i wąską kreskę w miejscu ust. Michael stanął jak wryty, chyba jeszcze nigdy nie widział go wytrąconego z równowagi. To był facet, który poszedł na panierowane skrzydełka godzinę po tym, jak znalazł sześć odciętych palców w kontenerze na śmieci za chińską restauracją. Teraz milczał i Michael, także nic nie mówiąc, ostrożnie przekroczył kałużę krwi. Trzymał dłoń na poręczy, skręcając na następny ciąg schodów zadowolony, że ma się czego przytrzymać, kiedy ujrzał zwłoki.

Kobieta była częściowo rozebrana, obcisła czerwona sukienka, rozcięta jak szlafrok, ukazywała ciemną skórę i paseczek czarnych włosów łonowych przystrzyżonych w wąską linię biegnącą w dół krocza. Piersi znajdowały się nienaturalnie wysoko, podtrzymywane na baczność przez implanty. Jedno ramię miała przywiedzione do boku, drugie spoczywało nad głową, z palcami wyciągniętymi w stronę poręczy, jakby w ostatniej chwili próbowała jeszcze się podnieść. Prawa noga była zgięta w kolanie i odrzucona w bok, lewa wysunięta pod takim kątem, że patrzył prosto w jej szparę.

Wszedł na kolejny stopień. Postarał się odciąć od gwaru dokoła i zobaczyć ofiarę oczyma zabójcy. Ciemną twarz pokrywał makijaż: warstwa szminki i różu, nałożona grubo, aby podkreślić rysy. Czarne kręcone włosy z pomarańczowymi pasemkami sterczały na wszystkie strony. Miała ładne ciało, czy raczej ładniejsze, niż można by się spodziewać,

sądząc po śladach nakłuć na ramionach, które mówiły, kim była: kobietą z nałogiem, który zaspokajała, kupcząc kroczem. Siniaki na udach mógł zostawić zabójca albo jakiś klient, który lubi na ostro. W wypadku tej drugiej ewentualności prawdopodobnie nie miała nic przeciwko, wiedząc, że ból oznacza więcej kasy, a więcej kasy oznacza większą przyjemność później, kiedy już poczuje ukłucie igły i ciepło rozchodzące się żyłami. Szeroko otwarte oczy patrzyły beznamiętnie w ścianę. Od jednej z powiek odkleiły się sztuczne rzęsy i leżały pod lewym okiem, tworząc trzecią parę. Nos był złamany, policzek przemieszczony w miejscu, gdzie zgruchotano jej kość pod okiem. W otwartych ustach coś połyskiwało i kiedy Michael zbliżył się o kolejny stopień, zobaczył, że są po brzegi wypełnione płynem i że ten płyn to krew. Górne światło odbijało się w czerwonej kałuży jak księżyc w pełni.

Na szczycie schodów stał dyżurny lekarz sądowy Pete Hanson i rozmawiał z Leo Donnellym. Leo był dupkiem, który zgrywał się na twardego glinę, żartował ze wszystkiego, śmiał się zbyt głośno i zbyt długo, ale Michael zbyt często widywał go w knajpie przy barze, jak odstawiał jedną szklaneczkę szkockiej po drugiej w nadziei na pozbycie się smaku śmierci z ust.

Dostrzegł Michaela i na jego widok twarz mu się rozjarzyła, jakby byli starymi kumplami, którzy umówili się na miłe popołudnie. W dłoni trzymał zaklejoną plastikową torebkę na dowody. Podrzucał ją kilkanaście centymetrów w górę, łapał i znowu podrzucał, jakby szykował się do gry w piłkę.

- Fatalna noc na wezwanie - oświadczył.

Michael zgodził się w duchu, ale nie powiedział tego głośno.

- Co zaszło?

Leo dalej bawił się torbą, ważył ją w dłoni.

- Lekarz mówi, że się wykrwawiła na śmierć.

- Niewykluczone - skorygował Pete. Michael wiedział, że patolog lubi Leo mniej więcej w takim samym stopniu jak wszyscy inni w firmie, co oznaczało, że nie mógł znieść drania. - Będę wiedział więcej, kiedy położę ją na stole.

- Łap. - Leo rzucił koledze torebkę na dowody.

Leciała jakby w zwolnionym tempie i obracała się w powietrzu jak koślawa piłka. Michael złapał ją, zanim upadła na posadzkę. Palce zacisnęły mu się na czymś grubym i ewidentnie mokrym.

- Coś dla twojego kota - wyjaśnił Leo.

- Co, u dia... - urwał Michael. Wiedział, co to jest.

- Ale masz minę! - Donośny rechot niósł się po całym budynku.

Michael patrzył na torebkę oniemiały. Gdzieś w gardle poczuł smak krwi, metaliczne ukłucie nagłego przerażenia. Głos, który wydostał się mu z ust, brzmiał obco, jakby był pod wodą.

- Co zaszło?

Leo jeszcze się śmiał, więc Pete pospieszył z odpowiedzią:

- Odgryzł jej język.

ROZDZIAŁ DRUGI

6 LUTEGO 2006 ROKU

Po powrocie z wojny w Zatoce dręczyły go koszmary. Gdy tylko zamykał oczy, widział nadlatujące pociski, bomby urywające ręce i nogi, dzieci biegnące drogą i wołające matki. Michael wiedział, gdzie te matki były. Stał bezradnie i patrzył, jak wałą w zamknięte okna budynku szkoły, próbując się wydostać, kiedy pożar, który wybuchł po eksplozji granatu, trawił je żywcem.

Teraz dręczyła go Aleesha Monroe. Wspomnienie leżącej na schodach kobiety z odgryzionym językiem towarzyszyło mu w drodze do domu i podczas snu, w którym to on gonił ją po schodach, to on przewracał na podest i rozpruwał jej ciało. Czuł, jak jej długie, czerwone paznokcie zatapiają mu się w skórze, gdy go dusiła, usiłując odepchnąć. Nie mógł oddychać. Zaczął drapać się po szyi, po jej rękach, żeby je strząsnąć. Obudził się z krzykiem tak głośnym, że śpiąca obok Gina usiadła na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi, jakby spodziewała się zobaczyć w sypialni jakiegoś szaleńca.

- Jezu, Michael - syknęła z dłonią na sercu. - Na śmierć mnie wystraszyłeś.

Sięgnął po stojącą przy łóżku szklankę. Ochlapał sobie pierś, kiedy przeliwał wodę wielkimi haustami, żeby ugasić ogień w gardle.

- Kotku - musnęła opuszkami palców jego szyję. - Co się stało?

Poczuł pieczenie i przyłożył dłoń do miejsca, którego dotknęła. Skóra była rozerwana i kiedy wstał, żeby obejrzeć to w lustrze nad toaletką, zobaczył cieniutką strużkę krwi sączącą się ze świeżej ranki.

Stała obok niego.

- Podrapałeś się przez sen?

- Nie wiem. - Ale wiedział. Oddech jeszcze mu się nie uspokoił po tym koszmarze.

Gina przyciągnęła jego dłoń do swoich ust i zmarszczyła nos. Przez chwilę myślał, że go pocałuje, ale tylko spytała:

- Czemu pachniesz środkiem dezynfekcyjnym?

Musiał to z siebie zszorować - ten smród, tę lepkość, które brały się z przebywania w bliskości trupa. Nie chciał się tłumaczyć, zaczynać tej rozmowy, więc tylko zerknął zmrużonymi oczyma na budzik.

- Która godzina? - zapytał.

- Cholera - jęknęła, puszczając jego dłoń. - Mogę się już zacząć ubierać. Moja zmiana zaczyna się za dwie godziny.

Uniósł zegarek, żeby sprawdzić. Szósta trzydzieści. Po zbadaniu miejsca zdarzenia, przerzuceniu mieszkania ofiary i odwaleniu papierkowej roboty spał wszystkiego może ze cztery godziny.

Usłyszał odgłos odkręcanego prysznica, w rurach zabulgotało, kiedy włączył się ogrzewacz wody. Michael wszedł do łazienki i patrzył, jak Gina ściąga koszulkę, w której spała.

- Tim już wstał - powiedziała, zdejmując majtki. - Sprawdź, czy nie narozrabiał.

Michael oparł się o ścianę i podziwiał jej płaski brzuch, mięśnie ramion rozciągnęły się, kiedy zsuwała opaskę z włosów.

- Nic mu nie jest.

Gina zerknęła na niego i zobaczyła, że na nią patrzy.

- Zajrzyj do niego.

Uśmiechnął się. Mimo urodzenia dziecka jej piersi zachowały jędrność i Michael prawie się ślinił na ich widok.

- Weź sobie wolne.

- Jasne.

- Obejrzymy jakiś film, po przytulamy się na kanapie - urwał, potem spróbował: - Kiedyś całowaliśmy się całymi godzinami, pamiętasz? - Jezu, od miesiący dostawał tylko cmoknięcie w policzek. - Całujmy się tak, Gina. Nic więcej. Tylko całujmy.

- Michael - powiedziała, schylając się, żeby sprawdzić temperaturę wody, i weszła pod natrysk. - Przestań na mnie łypać jak na dziwkę i idź sprawdzić, co robi twój syn.

Zamknęła drzwiczki kabiny. Stał tam jeszcze pełną minutę, obserwując zarys jej ciała za szybą i zachodząc w głowę, kiedy wszystko między nimi zaczęło się sypać.

Poznał Ginę, zanim jego oddział skierowano do Zatoki. Nikt się nie spodziewał, że może tam być gorąco, ale Michael z kumplami wyolbrzymiali ryzyko, dymając wszystko, co popadnie, zanim wylądują na pustyni. Ellen McCallum była drobną, tlenioną blondynką, nie za bystrą - dokładnie taką, o której chciało się pamiętać, gdy człowiek tkwił w brudnym, zapiaszczonym namiocie i opowiadał chłopakom o lasce, która czeka w domu i potrafi zessać skórę z kanapy.

Spędził prawie cały tydzień, próbując dobrać jej się do majtek, ale wtedy na horyzoncie pojawiła się Gina, jej kuzynka. Złajała go jak burą sukę za przystawianie się do ukochanej kuzyneczki, jednak kiedy wyjeżdżał kilka dni później, to o Ginie myślał. O jej kręconych, brązowych włosach, delikatnych rysach, krągłej linii jej tyłka. Zaczął do niej pisywać, a ona, ku jego zaskoczeniu, odpisała - początkowo nieprzyjemnie, jeszcze wściekła, ale gdy ochłonęła, niemal się w nim zabujała. Był w Kuwejcie, ponoć utrzymując pokój, kiedy jakiś bezmózgi nastolatek bawiący się pistoletem niechcący postrzelił go w nogę. Dupa była z dzieciaka nie strzelec, ale rana się nie goiła. Kiedy Michaela wysłano w końcu do bazy w Niemczech na operację, Gina była pierwszą osobą, do której zadzwonił.

Pobrali się w tydzień po jego przeniesieniu do rezerwy, a dwa tygodnie później wstąpił do policji w Atlancie. Gina uzyskała dyplom pielęgniarki w Georgia Baptist College i pracę w klinice imienia Crawforda Longa. Dwa lata później przeniosła się do szpitala Piedmont,

gdzie więcej płacili. Michael dostał złotą odznakę, a wraz z nią podwyżkę i awans z dzielnicowego w Grady do obyczajówki. Bardzo szybko życie ułożyło im się lepiej, niż mógł sobie wymarzyć. Kupili dom na północnych peryferiach Atlanty, zaczęli odkładać na czarną godzinę, myśleć o dziecku albo dwojgu i stworzeniu prawdziwej rodziny. Wtedy przyszedł na świat Tim.

Był cichym bobasem, ale Michael widział iskrę w jego wielkich błękitnych oczach. Gdy po raz pierwszy wziął go na ręce, czuł się tak, jakby trzymał w nich własne serce.

To Barbara, mama Giny, pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak. Nigdy nie płacze. Niczym się nie interesuje. Godzinami gapi się na ścianę. Michael zażarcie oponował, jednak lekarz potwierdził te podejrzenia. Gdzieś w okresie płodowym doszło do niedotlenienia. Mózg Tima nigdy się nie rozwinie ponad poziom sześciolatka. Nie wiedzieli, jak to się stało ani dlaczego, ale tak właśnie przedstawiała się sytuacja.

Michael nigdy nie przepadał za Barbarą, ale diagnoza sprawiła, że ją znienawidził. To było takie banalne: drzeć koty z teściową, tyle że ona od początku uważała, że Gina zrobiła kiepską partię, a teraz jeszcze winą za stan Tima obarczała Michaela. Była na dodatek nawiedzoną dewotką, nader skorą do szukania wad u innych, zupełnie zaś nieskorą do znajdowania ich u siebie. Proste czarnowidztwo jej nie wystarczało, zaprawiała je jeszcze kapką bigoterii: nie tylko uważała, że szklanka jest do połowy pusta, ale także, że oni wszyscy pójdą za to do piekła.

- Tim? - zawołał Michael, idąc przez dom i naciągając po drodze T-shirt. - Gdzie jesteś, kolego?

Usłyszał chichotanie dochodzące z za kanapy, ale szedł dalej w stronę kuchni.

- Gdzie się podział Tim? - zapytał. Zauważył, że syn rozsypał po całym blacie płatki Cheerios. Niebieska miseczka Tima była pełna mleka i przez sekundę Michaelowi stanął przed oczyma widok czerwonych ust Aleeshy Monroe, wypełnionych krwią.

- Mam cię - wrzasnął Tim, chwytając Michaela w pasie.

Michael się wzdrygnął, choć chłopiec robił to na dobrą sprawę każdego ranka. Serce waliło mu w piersi, kiedy brał syna na ręce. Pędrak miał już osiem lat, był na to o wiele za duży, ale Michael nie mógł się powstrzymać. Pogłaskał go po sterczących włosach.

- Dobrze spałeś, bączku?

Tim potaknął, cofnął głowę i odepchnął ramię Michaela, żeby zejść.

- Posprzątajmy bałagan, zanim przyjdzie Ba-ba - zaproponował. Nabrał trochę płatków w dłoń i wrzucił je do miseczki.

W tygodniu Timem zajmowała się Barbara. Zawoziła go do szkoły, potem odbierała, pilnowała, żeby coś zjadł i odrobił lekcje. Spędzała z nim więcej czasu niż Michael czy Gina, ale nie mieli innego wyjścia.

- Ba-bie nie spodoba się ten bałagan - powiedział Michael.

- Nie - zgodził się Tim. Siedział przy stole z nogami podwiniętymi pod siebie. Rozporek piżamy ze Spidermanem ział niezamknięty.

- Schowaj sprzęt, kolego - upomniął go Michael, usiłując jednocześnie odpędzić smutek, jaki go ogarnął, kiedy syn męczył się z guzikami.

Michael był jedynakiem, chyba więcej niż rozpieszczonym. Nie miał pojęcia o opiece nad dzieckiem. Zmianianie pieluch go krępowało, robił to jak najszybciej i przy minimalnym kontakcie. Teraz zaś myślał tylko o tym, że za kilka lat mały wejdzie w wiek dojrzewania. Jego ciało zacznie się rozwijać i zmieni się w dorosłego mężczyznę, lecz mózg nigdy nie osiągnie tego stanu. Tim nigdy się nie dowie, jak to jest kochać się z kobietą, używać tego, czym Bóg go obdarzył, do dawania rozkoszy innej osobie. Nigdy nie będzie miał własnych dzieci. Nigdy nie zazna radości i smutków ojcostwa.

- Kto tu tak nabrudził? - spytała Gina. Miała na sobie niebieski szlafrok, który Michael dał jej na Boże Narodzenie kilka lat temu, i turban z ręcznika na głowie. - Czy to ty tak nabrudziłeś? - droczyła się z Timem, chwytając go dłonią pod brodę i całując w usta. - Ba-bie się to nie spodoba.

Michael zacierał ręce w duchu, że dzieciak nie potrafi wołać na babcię, tak jak sobie życzyła.

Tim zaczął pomagać sprzątać, robiąc przy tym jeszcze więcej bałaganu.

- O-oo - powiedział. Opadł na kolana i zaczął zbierać płatki po jednym, licząc je na głos, kiedy podawał matce.

- Wrócisz dziś o jakiejś ludzkiej godzinie? - Gina zwróciła się do Michaela.

- Mówiłem ci, że prowadzę nowe dochodzenie.

- W knajpie? - rzuciła, kiedy odwrócił się do niej plecami, wydając dwa kubki z szafki. Był zbyt roztrzęsiony wczoraj wieczorem, żeby wrócić prosto do domu. Leo zaproponował, żeby wstąpili na jednego, pogadali o sprawie, i Michael skorzystał z zaproszenia. przy okazji przechylili kilka szklaneczek burbona i stępnili wspomnienia tego, co widzieli.

- Jedenasty... - liczył Tim. - Dwunasty...

- Śmierdzisz jak popielniczka - wycodziła Gina.

- Nie paliłem.

- Nie powiedziałam, że paliłeś. - Wrzuciła garść płatków do pudełka i wyciągnęła dłoń po następne.

- Czternasty - ciągnął Tim.

- Musiałem ochłonać. - Michael nalał kawę do kubków. - Leo chciał pogadać o sprawie.

- Leo chciał pretekstu, żeby się uchlać.

- A fe - zapał Tim.

- Przepraszam, kochanie - Gina zwróciła się do syna łagodnym głosem. - Pomiędzy jeden numer. Gdzie się podziało trzynaście?

Tim wzruszył ramionami. Jak na razie umiał liczyć tylko do dwudziestu ośmiu, ale Gina pilnowała, żeby się nie mylił.

- Idź się ubierz dla Ba-by. Zaraz tu będzie - poleciała.

Tim wstał i wypadł z pokoju, przeskakując z nogi na nogę.

Gina wrzuciła resztę płatków do pudełka i usiadła z jękiem. W tym tygodniu wzięła podwójną zmianę, żeby trochę dorobić. Dzień jeszcze się nie zaczął, a już wyglądała na skonaną.

- Męcząca noc? - spytał.

Wzięła łyk kawy i popatrzyła na niego znad parującego kubka.

- Potrzebujemy pieniędzy na logopedę.

Michael westchnął i oparł się o blat. Poprzednia terapeutka zrobiła dla Tima już wszystko, co mogła. Dzieciak potrzebował specjalisty, a ubezpieczenie nie pokrywało kosztów opieki specjalistycznej.

- Pięćset dolarów - powiedziała Gina. - Tyle będzie kosztować terapia do końca miesiąca.

- Chryste. - Michael potarł palcami oczy, czując nadchodzącą migrenę. Pomyślał o lincolnie i beemce, które widział poprzedniego wieczoru w Grady Homes. Za kasę, jaką były warte, Tim mógłby chodzić do pięćdziesięciu terapeutów.

- Weź z oszczędności - poradził.

Parsknęła śmiechem.

- Jakich oszczędności?

Boże Narodzenie. Przepuścili wszystko na święta.

- Poproszę w szpitalu o dodatkową zmianę. - Uniosła dłoń, gdy chciał zaprotestować. - Musi mieć wszystko, co najlepsze.

- Musi mieć matkę.

- A co z twoją matką? - odpaliła.

Michael zacisnął zęby.

- Nie poproszę jej o kolejny psi grosz.

Odstawiając kubek, uderzyła nim o blat tak mocno, że kawa rozlała jej się na wierzch dłoni. Nie było szans na wygranie tej kłótni. Michael powinien to wiedzieć, przez ostatnie pięć lat przerabiali ją praktycznie co tydzień. On brał nadgodziny, siedział w robocie niemal na okrągło, żeby tylko Tim miał wszystko, czego mu trzeba. Gina dwa razy w miesiącu brała dyżury w weekendy, ale Michael nie zgadzał się, żeby pracowała w święta. I tak już prawie się nie widywali. Czasami myślał nawet, że jej to odpowiada. Nie byli już małżeństwem, ale spółką, stowarzyszeniem non profit pracującym na rzecz Tima. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kochali.

- Wczoraj wieczorem dzwoniła Cynthia - oznajmiła Gina. Ich rozpieszczona sąsiadka. -

Obluzowała jej się listwa czy coś.

- Obluzowała się listwa? - powtórzył. - A gdzie jest Phil?

Przycisnęła dłonie do blatu i wstała.

- W Botswanie. Cholera, nie wiem, Michael. Spytała po prostu, czy mógłbyś to naprawić, a ja się zgodziłam.

- A nie przeszło ci przez głowę, żeby najpierw skonsultować to ze mną?

- Chcesz, zrób, nie chcesz, nie rób - warknęła, wylewając resztę kawy do zlewu. - Muszę się ubrać do pracy.

Patrzył za nią, kiedy szła przez przedpokój. Każdy ranek tak wyglądał: Tim brudził, oni sprzątaali, potem kłócili się o jakąś głupotę. Na domiar złego lada moment będzie tu Barbara i natychmiast, w to Michael nie wątpił, wynajdzie jakiś powód do narzekań, a to bolące plecy, a to śmiesznie niską emeryturę albo fakt, że zięć obdarzył ją upośledzonym wnukiem. Ostatnio zaczęła przyklejać do drzwi lodówki artykuły na temat syndromu Zatoki Perskiej, jawnie sugerując, że Michael musiał dopuścić się w Iraku jakichś potworności, które sprowadziły ten bicz boży na jej rodzinę.

Poszedł do sypialni i szybko się ubrał, odpuszczając sobie prysznic, żeby nie musieć wchodzić do łazienki i znowu rozmawiać z Giną. Zobaczył, że toyota Barbary wjeżdża na podjazd, chwycił młotek z pudełka z narzędziami i wymknął się przez tylne drzwi dokładnie w chwili, kiedy ona wchodziła przez frontowe.

Część ogrodzenia z siatki w ogródku została zniszczona przez drzewo podczas ostatniej śnieżycy i ciągle brakowało pieniędzy na naprawę. Przeskoczył przez zniszczony fragment, uważając, żeby nie zaczepić mankietem spodni o powyginany metal i nie upaść jak długi. Znowu.

Zapukał do tylnych drzwi i zajrzał przez okno, czekając, aż Cynthia otworzy. Nie śpieszyła się, sunąc przez korytarz w skąym niezawiazanym szlafrocisku, pod którym miała halkę i figi. Bielizna była biała, na dobrą sprawę przeźroczysta. Michael się zastanawiał, gdzie jest Phil. Gdyby Gina kiedykolwiek otworzyła tak ubrana drzwi sąsiadowi, chybaby ją, kurwa, zabił.

Cynthia otworzyła powoli zamki, pochylając się i świecąc biustem. Halka była tak mocno wycięta, że widział czubki jej różowych sutków.

Michael podrzucił młotek w dłoni, czując dzwonienie w głowie. Powinien odwrócić się na pięcie, zabrać stąd w cholere i niech sama sobie naprawia swoją deskę. Cholera, przecież Phil musi kiedyś wrócić, niech on się tym martwi.

Otworzyła drzwi i posłała mu uśmiech.

- Siemasz, sąsiedzie.

- Gdzie jest Phil?

- W Indianapolis - powiedziała, przykrywając usta dłonią, by ukryć ziewnięcie. - Sprzedaje pończochy przeciwżylakowe ludowi, żeby utrzymać mnie na poziomie, do którego przywykłam.

- No tak. - Zerknął nad jej ramieniem. Kuchnia wyglądała jak chlew. Ze zlewu wystawała sterta naczyń pokrytych skorupą resztek jedzenia, wszędzie wałały się kartony po pizzach, z popielniczek wysypywały się pety. Na szklance czegoś, co mogło być sokiem pomarańczowym, rosła pleśń.

- Gina powiedziała, że oblużowała ci się jakaś listwa.

- Trzeba ją dokręcić. - Posłała mu koci uśmiech.

Michael odłożył młotek.

- Dlaczego do niej zadzwoniłaś?

- Sąsiedzi sobie pomagają - powiedziała, jakby to było oczywiste. - Obiecałeś Philowi, że się mną zajmiesz, kiedy go nie będzie.

Nie o takie zajmowanie się chodziło Philowi.

Chwyła go za kołnierzyk koszuli i zawlokła do środka.

- Nie możemy tego ciągnąć.

- O jakim ciągnięciu mówisz? - spytała, przysuwając się bliżej.

Pomyślał o Ginie, o tym, że w ogóle nie zwraca na niego uwagi, jak boli, gdy go odpycha.

- Po prostu nie mogę.

Przycisnęła mocno dłoń do jego rozporka.

- Wygląda na to, że możesz.

Michael wstrzymał oddech, przebiegł wzrokiem po jej małych piersiach, po stwardniałych sutkach. Język wysunął mu się z ust, niemal czuł, jak przykłada wargi do jej warg.

Rozpięła mu spodnie i wsadziła rękę do środka.

- Przyjemnie? - spytała, wodząc kciukiem.

- Jezu - syknął przez zaciśnięte zęby. - Tak.

DECATUR CITY OBSERYER

19 lipca 1985 roku

MORD NA MARY ALICE FINNEY: POSZUKIWANI ŚWIADKOWIE

Policja prosi o kontakt wszystkie osoby, które wiedzą coś w sprawie Mary Alice Finney. Dziewczynę znaleziono martwą w rodzinnym domu w Decatur w ubiegłą niedzielę. Szef policji Harold Waller poinformował na konferencji prasowej, że feralnego wieczoru Mary Alice udała się z przyjaciółmi do centrum handlowego na Lenox Square, a potem bawiła się na prywatce w jednym z pobliskich domów. Piętnastolatka była widziana po raz ostatni, gdy opuszczała przyjęcie w towarzystwie mężczyzny, którego tożsamości jeszcze nie ustalono. Wszystkie osoby, które widziały dziewczynę albo mają informację o towarzyszącym jej nieznanym, prosi się o kontakt z komendą policji hrabstwa DeKalb. Rodzina nie udziela wywiadów, ale w oficjalnym oświadczeniu ojciec zabitej nastolatki Paul Finney, zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa DeKalb, prosił o uszanowanie jej prywatności. Ze źródeł bliskich toczącego się śledztwa wiemy, że Sally Finney, matka dziewczyny, znalazła córkę, kiedy poszła zbudzić ją na mszę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Michael czuł się jak ostatni gnój. Cholera, był gnojem.

Pierwszy raz z Cynthią to był wypadek. Wiedział oczywiście, że to kiepska wymówka, że człowiek nie potyka się i nie łąduje, zanim się obejrzy, w czyjejś pochwie, ale naprawdę myślał o tym, co się wydarzyło, w tych kategoriach. Pewnego wieczoru Phil zadzwonił z Kalifornii, oszalały ze zdenerwowania, bo Cynthia nie odbierała. Sam non stop był w rozjazdach, sprzedając wyroby pończosnicze dużym domom towarowym i zapewne dając ostro w rurę. Michael nie miał dowodów, ale pracował w obyczajówce przez trzy lata i dobrze znał ten typ handlowców, którzy korzystali z miejscowych panienek, gdy byli w podróży. Te nieustanne telefony kontrolujące Cynthię za bardzo pachniały poczuciem winy, próbą trzymania jej w ryzach, w których nie potrafił utrzymać samego siebie.

Gina pracowała wtedy na nocnej zmianie, już nie pozwalała Michaelowi zbliżyć się do siebie. Niepełnosprawność Tima stawała się coraz bardziej oczywista, na co zareagowała ucieczką w pracę, biorąc podwójne dyżury, ponieważ nie mogła znieść myśli o powrocie do domu i zajmowaniu się chorym synem. Michael był oszalały z rozpacz, wyczerpany płaczem, który noc w noc kołysał go snu, i po prostu cholernie samotny.

Cynthia była pod ręką i aż nadto gotowa przegonić jego smutki. Po pierwszym razie obiecał sobie, że to się już nie powtórzy, i nie powtórzyło się, przynajmniej przez rok. Miał na głowie pracę i Tima i te dwie rzeczy pochłaniały go zupełnie, aż do pewnego dnia zeszłej wiosny, kiedy Cynthia napomknęła Ginie, że zlew jej przecieka.

- Napraw go - powiedziała Gina Michaelowi. - Phila ciągle nie ma, bidulka jest zdana tylko na siebie.

Nie kochał Cynthii i nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że ona go kocha. Z czterdziestką na karku wiedział już, że dziewczyna gotowa robić facetowi laskę za każdym razem, gdy go widzi, nie jest w nim zakochana - po prostu czegoś szuka. Może ekscytował ją fakt, że bzyka się z Michaeliem w łóżku Phila. A może widok Giny z kuchennego okna i świadomość, że bierze coś, co należy do innej. Michael wolał nie analizować jej motywów. Własne rozumiał aż za dobrze. Przez te piętnaście czy dwadzieścia minut, które spędzał u sąsiadki, zapominał o wszystkim, nie myślał o tym, z czego zapłaci za lekarza, o hipotece ani o telefonie z banku z pytaniem, kiedy spłacać debet. Myślał tylko o doskonałych usteczkach Cynthii i własnej przyjemności.

Pewnego dnia jednak ona czegoś zażąda. Nie był na tyle głupi, żeby tego nie wiedzieć.

- Halo, Mike - zawołał Leo, stukając palcami w biurko. - Ocknij się, człowieku.

- Co się dzieje? - spytał Michael, prostując się na krześle. Oprócz ich dwóch i Greera zaszytego za opuszczonymi żaluzjami gabinetu, na posterunku nie było nikogo. Michael wskazał na zamknięte drzwi. - Znowu wali tam gruchę?

- Siedzi z jakimś podobnym do Lurcha lamusem z GBI.
- Dlaczego? - spytał Michael, ale znał odpowiedź. Wczoraj wieczorem Greer powiedział, że wystąpi o pomoc przy tym śledztwie, a zaraz wyżej było właśnie stanowe biuro śledcze.
- Nie zwierzał mi się - rzucił Leo i przysiadł na skraju biurka, rozrzucając przy tym leżące tam dokumenty. Robił to stale, bez względu na ostrzeżenia Michaela. - Żona miała wczoraj pretensje?
- Nie - skłamał Michael i przebiegł wzrokiem po pomieszczeniu.
Było ciemne i sprawiało przygnębiające wrażenie, okna wychodzące na market budowlany po drugiej stronie ulicy pokrywała warstwa brudu: niemal nie przepuszczały światła. City Hall East, niegdyś dom towarowy Searsa, liczył dwanaście pięter i zajmował cały kwartał przy zakręcie na Ponce de Leon Road. Od starej fabryki Forda, którą zamieniono na drogie lofty, oddzielały go tory kolejowe. Miasto nabyło opuszczony budynek lata temu i zamieniło na siedzibę różnych swoich biur i agencji. Mieściło się tu przynajmniej ze trzydzieści różnych wydziałów i ponad pięciuset urzędników. Michael pracował tu od dziesięciu lat, ale poza wiecznie zatłoczonym parkingiem, bywał tylko na trzech piętrach, które zajmowała policja, i w prosektorium.
- Halo - powtórzył Leo, ponownie bębniąc palcami w blat.
Michael odsunął krzesło od biurka, byle dalej od niego.
Facet palił jak komin, do tego ustawicznie pociągał z butelki, którą trzymał w szafce, i jechało mu z gęby jak psu z dupy.

- Chodzi ci po głowie jakaś cipka?

- Stul dziób - warknął Michael wściekły, że kolega trafił w sedno. Leo zawsze trafiał - nie dlatego, że był dobrym detektywem, ale dlatego że dużo mówił.

- Myślałem, żeby później wpaść do Kena. - Wyjął z kieszeni marynarki mandarynkę i zaczął obierać. - Jak on się trzyma?

- Dobrze - powiedział Michael, choć w rzeczywistości nie rozmawiał z Kenem od tygodnia. Przez jakiś czas byli partnerami, bliscy sobie jak bracia, aż pewnego dnia Ken chwycił go za ramię i zwał się na ziemię. Chwilę wcześniej opowiadał o jakiejś cizi, którą poznał poprzedniego wieczoru, i przez ułamek sekundy Michael myślał, że ten upadek to jakiś żart. Wtedy Ken zaczął się trząść. Rozdziawił usta i zlał się na podłogę na samym środku pomieszczenia. Miał dopiero pięćdziesiąt trzy lata, a sparaliżowało go jak starca. Stracił władzę w prawej stronie ciała, noga i ręka były do niczego, jak mokra gazeta, usta wykrzywione, po brodzie ciekła strużka śliny jak u dziecka.

Nikt z jednostki nie palił się, żeby go odwiedzać, słuchać, jak bełkocze, usiłując coś powiedzieć. Ken był przypomnieniem, co czeka większość z nich. Za dużo papierosów, za dużo alkoholu, dwa lub trzy nieudane małżeństwa, życie kończące się samotnie w katatonicznym odrętwieniu przed telewizorem jakiegoś zawszonego państwowego domu opieki.

Otworzyły się drzwi i z gabinetu Greera wychynał tyczkowaty mężczyzna w trzyczęściowym garniturze. Niósł skórzaną aktówkę, która w jego wielkim łapsku wyglądała jak znaczek

pocztowy. Michael zrozumiał, dlaczego Leo przyrównał gościa do Lurcha. Był wysoki, metr dziewięćdziesiąt dwa, może pięć, i chudy jak chart. Miał krótko przycięte ciemnoblonde włosy z przedziałkiem na boku. Górna warga też wyglądała dziwnie, jakby ktoś ją rozciął na pół i złożył krzywo z powrotem. Jak zwykle, Leo pokręcił seriale. Wystarczyło dodać pokrętła po obu stronach szyi i facet mógłby grać w *Rodzinie Potwornickich*.

- Ormewood - przywołał Michaela Greer. - To jest Will Trent, agent specjalny z UPA.

Leo jak zwykle błysnął manierami.

- A co to, kurwa, jest, UPA?

- Kryminalno-Uderzeniowy Podzespół Antyterrorystyczny - wyjaśnił Greer.

Michael niemal sam czuł wysiłek, jaki Leo wkłada, żeby się powstrzymać i nie zauważyć, że skrót powinien brzmieć KUPA. Niewiele rzeczy na tym świecie potrafiło zamknąć mu usta, ale Trent stał blisko i górował nad nim o prawie trzydzieści centymetrów. Miał poza tym ogromne łapska, z pewnością dość wielkie, by owinać nimi głowę policjanta i zgnieść ją jak orzech kokosowy.

Leo był idiotą, ale nie głupkiem.

- Reprezentuję specjalną jednostkę Biura Śledczego Georgii, której zadaniem jest pomoc lokalnym organom bezpieczeństwa w ściganiu niebezpiecznych przestępców. Moja rola tutaj ma charakter czysto konsultacyjny.

Mówił, jakby czytał z podręcznika, starannie wymawiając każde słowo. Wziąwszy pod uwagę to plus trzyczęściowy garnitur, równie dobrze mógłby uchodzić za profesora wyższej uczelni.

- Michael Ormewood - dał za wygraną Michael, wyciągając rękę. Trent ją uściśnął, nie za mocno, ale i nie słabo, jakby trzymał rybę. - To jest Leo Donnelly - pospieszył z prezentacją kolegi, jako że Leo zajęty był pakowaniem sobie do ust połowy mandarynki, której sok skapywał mu po wierzchu dłoni.

- Detektywie. - Trent skinął protekcjonalnie głową. Zerknął na zegarek i zwrócił się do Michaela: - Wyniki sekcji dostaniemy najwcześniej za godzinę. Chciałbym tymczasem pogadać o sprawie, jeśli masz chwilę.

Michael popatrzył na Greera, zastanawiając się, jaka zmiana zaszła w łańcuchu pokarmowym w ciągu ostatnich dwóch minut. Miał wrażenie, że został przesunięty na jego koniec, i nie podobało mu się to.

Greer odwrócił się do nich plecami i odmaszerował do gabinetu. Kiedy zamykał drzwi, rzucił przez ramię:

- Informujcie mnie.

Michael przez chwilę patrzył badawczo na Trenta. Agent nie wyglądał na glinę. Pomimo swego wzrostu nie przytłaczał otoczenia. Stał z dłonią w kieszeni i lewą nogą ugiętą w kolanie, niemal niedbale. Gdyby się wyprostował, miałby imponujące bary, ale najwyraźniej nie chciał wykorzystywać gabarytów. Nie sprawiał wrażenia kogoś z branży, brak mu było

arogancji człowieka, którego praca polega na odławianiu wszelkiej maści szumowin i mętów.

Michael gapił się na niego, zastanawiając się, co by się stało, gdyby po prostu kazał się dupkowi odpieprzyć. Ale przypomniał sobie poranną kłótnię z Giną, przepychankę z Cynthią i uznał, że powinien dzisiaj komuś odpuścić. Wskazał ręką drzwi.

- Tam jest sala konferencyjna.

Trent ruszył korytarzem. Michael szedł za nim, ze wzrokiem wbitym w szeroki tułów agenta, zastanawiając się, jak wylądował w GBI. Chłopaki ze stanowego to była zgraja mięśniaków patologicznie uzależnionych od adrenaliny, z ciałami tak napompowanymi testosteronem, że czoła ustawicznie błyszcząły im potem.

- Jak długo w tym siedzisz? - spytał Michael.

- Dwanaście lat.

Domyślał się, że Trent musi być od niego przynajmniej dziesięć lat młodszy, ale to nie wyjaśniało nurtującej go kwestii.

- Ekswojskowy?

- Nie - odpowiedział Trent, otwierając drzwi sali konferencyjnej.

Tutaj okna były czyste i w padającym przez nie świetle Michael dostrzegł na twarzy agenta długą bliznę. Różowa, przechodząca prawie w biel, biegła od ucha w dół, wzdłuż żyły szyjnej i niknęła pod kołnierzykiem koszuli. Ktoś naprawdę mocno przejechał go kosą.

- Wojna w Zatoce - powiedział Michael, przykładając rękę do piersi w nadziei, że to otworzy przybyszowi usta. - Na pewno nie służyłeś?

- Na pewno - rzucił Trent i usiadł przy stole.

Otworzył aktówkę i wyciągnął stos kolorowych teczek z aktami. Z profilu było widać, że jego nos został przynajmniej kilka razy złamany, i Michael zastanawiał się, czy facet nie jest może bokserem. Był jednak zbyt chudy, miał szczupłe ciało, kanciastą twarz. Tak czy siak, niezależnie od jego przeszłości, było w nim coś, co irytowało Michaela.

Trent przerzucał akta, układając teczki w jakimś porządku, kiedy zauważył, że Michael stoi.

- Detektywie Ormewood, gramy razem.

- Naprawdę?

- Nie szukam poklasku - zapewnił, choć doświadczenie kazało Michaelowi mocno w to powątpiewać. Chłopaki ze stanowego słynęli z tego, że pojawiają się, ledwo kiwną palcem, albo i to nie, a potem zbierają wszystkie nagrody.

- Nie zamierzam pchać się przed kamery czy przypisywać sobie nie swoich zasług, gdy już go złapiemy. Chcę tylko pomóc ci w śledztwie, a potem zapomnieć o sprawie.

- A skąd myślisz, że potrzebuję pomocy?

Trent podniósł wzrok znad akt i przez kilka sekund przyglądał się Michaelowi badawczo.

Potem otworzył jaskrawo-różową teczkę z aktami i przesunął ją w kierunku Michaela.

- Julie Cooper z Tucker - wymienił nazwę miasteczka leżącego jakieś trzydzieści kilometrów od Atlanty. - Piętnaście lat. Zgwałcona i pobita niemal na śmierć cztery miesiące temu.

Michael skinął głową, przerzucając akta, bez zagłębiania się w treść. Zatrzymał się na fotografii ofiary. Długie blond włosy, gruba kreska na oczach, za dużo szminki jak na dziewczynę w tym wieku.

Trent otworzył kolejną teczkę, tym razem neonowozieloną.

- Anna Linder, lat czternaście, ze Snellville.

Niedaleko Tucker.

- Trzeciego grudnia ubiegłego roku została uprowadzona, kiedy szła z domu rodziców do mieszkającej kawałek dalej ciotki. - Trent podał akta Michaelowi. - Zgwałcona, pobita.

Modus operandi taki sam.

Michael wertował akta w poszukiwaniu zdjęcia. Linder miała ciemne włosy, siniaki dokoła oczu jeszcze ciemniejsze. Wyjął fotografię i przyjrzał się dokładniej twarzy nastolatki.

Przecięta warga, krew spływająca po brodzie. Miała na twarzy resztki brokatu, które połyskiwały w świetle lampy błyskowej.

- Znaleziona w rowie w parku Stone Mountain dzień później.

- Okay. - Michael czekał, aż Trent wyjaśni mu, co łączy te sprawy.

- Obie dziewczyny podają, że zostały zaatakowane przez mężczyznę w czarnej kominiarce.

- Trent rozłożył pomarańczową teczkę ze zdjęciem przypiętym spinaczem do pierwszej strony. - Dawn Simmons z Buford.

Michael popatrzył z niedowierzaniem na fotografię. Dziewczynka miała nie więcej niż dziesięć lat.

- Jest młodsza niż poprzednie - powiedział, nie posiadając się z odrazy na myśl, że jakiś chory pojeb dobrał się do dziecka. Była niewiele starsza od Tima.

- Została napadnięta pół roku temu - poinformował Trent. - Twierdzi, że napastnik miał na sobie czarną kominiarkę.

Michael pokręcił głową. Buford znajdowało się godzinę drogi od Atlanty, a dziewczynka była za mała.

- Przypadkowa zbieżność.

- Też tak uważam - zgodził się Trent. - Tego rodzaju sprawcy nie wychodzą poza swoją strefę bezpieczeństwa.

Niewiele myśląc, Michael zajął miejsce przy stole. Odłożył zdjęcie dziesięciolatki i przesunął je w stronę Trenta, w obawie, że dostanie mdłości, jeśli będzie patrzył na nie choć chwilę dłużej. Jezu, biedni rodzice. Jak, u diabła, ludzie potrafią sobie radzić z czymś takim?

- Co to znaczy strefa bezpieczeństwa?

Trent wrócił do profesorskiego tonu.

- Sprawcy przestępstw na tle seksualnym na dzieciach interesują się zawsze konkretną grupą wiekową. Mężczyźni, którzy czują pociąg do dziesięciolatek, często uważają piętnasto- czy szesnastolatki za zbyt rozwinięte. Podobnie rzecz ma się z tymi, których interesują nastolatki. Myśl o molestowaniu małej dziewczynki budziłaby w nich prawdopodobnie taką samą odrazę jak w tobie.

Michael czuł ściskanie w dołku. Trent mówił o tym wszystkim beznamiętnie i rzeczowo, jakby omawiał pogodę. Musiał zapytać:

- Masz dzieci?

- Nie - przyznał agent, nie spytawszy o to samo Michaela. Pewnie znał już odpowiedź, przypuszczalnie od Greera. Michael zastanawiał się, co ten bydlak powiedział mu o Timie.

- Skontaktowałem się z rodzicami ofiar - ciągnął Trent - żeby ustalić, czy możemy porozmawiać z dziewczynkami. Być może uda nam się uzyskać jakieś nowe informacje teraz, gdy minęło już trochę czasu. Z doświadczenia wiem, że ofiary tego typu przestępstw przypominają sobie więcej, gdy nabierają trochę dystansu do zdarzenia. Niewykluczone, że to będzie strata czasu, ale z drugiej strony zawsze jest szansa, że usłyszymy coś, czego nie pamiętały podczas pierwszych zeznań.

- Tak - zgodził się Michael, starając się ukryć irytację. Gwałty nie były dla niego pierwszozną, nie potrzebował pouczeń.

- Sądzę, że sprawca jest wykształcony - powiedział Trent. - Przypuszczalnie trzydziestoparoletni. Niezadowolony z pracy, niezadowolony z sytuacji w domu. Michael milczał. Całą tę zabawę w charakterystyki psychologiczne sprawców uważał za stek bzdur. Poza punktem o wykształceniu, przedstawiony przez Trenta profil wypisz wymaluj pasował do większości chłopców z jednostki. Wystarczyłoby dorzucić pieprzenie najbliższej sąsiadki i byłby Michael jak żywy.

- Akta sprawy pokazują wyraźną eskalację działań sprawcy - ciągnął Trent. - Cooper, pierwsza dziewczynka, została zaatakowana przed kinem: szybko, sprawnie. Całe zdarzenie trwało nie dłużej niż dziesięć minut i w całości rozegrało się poza zasięgiem kamer monitoringu. Drugą, Annę Linder, porwano prosto z ulicy. Sprawca wywiózł ją gdzieś - nie jest pewna gdzie dokładnie - samochodem. Zostawił potem tuż przed bramą parku Stone Mountain. Patrol znalazł ją nazajutrz rano.

- Jakież ślady opon?

- Około dwustu - odpowiedział Trent. - W parku zainaugurowano właśnie doroczny pokaz świątecznych iluminacji.

Michael zabrał na niego Ginę i Tima. Chodzili tam co roku.

- DNA? - indagował.

- Użył prezerwatywy.

- Okay - powiedział Michael. Zatem nie był kretynem. - A co to ma wspólnego z moją wczorajszą ofiarą?

Trent zmrużył oczy, jakby się zastanawiał, czy do Michaela dotarło choćby słowo z tego, co mówił. - Języki, detektywie. - Podsunął mu z powrotem akta. - Wszystkim odgryziono języki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Język zasadniczo przypomina kawałek żylastego befsztyka - oświadczył Pete Hanson, wkładając gumowe rękawice. Urwał i przyjrzał się Trentowi. - Wygląda mi pan na biegacza. Mam rację?

Trent nie sprawiał wrażenia zaskoczonego pytaniem. Michael doszedł do wniosku, że przez dwanaście lat służby musiał mieć do czynienia z całą masą ekscentrycznych koronerów.

- Tak.

- Długie dystanse?

- Mhm.

- Maratony?

- Owszem.

- Tak myślałem. - Pete pokiwał głową, jakby zdobył punkt, choć Michael zauważył, że Will Trent sam z siebie nie wyjawiał żadnej informacji na swój temat.

Lekarz wrócił do zwłok leżących na stole sekcyjnym na środku pomieszczenia. Całe ciało Aleeshy Monroe przykrywało białe prześcieradło. Odsłonięta była jedynie głowa. Trzecie rzęsy zniknęły, makijaż usunięto. Grube szwy biegły przez czoło, w miejscu gdzie odpreparowano skórę twarzy i głowy, by zbadać kości czaszki i wyjąć mózg.

- Przygryźliście sobie kiedyś język? - spytał Pete.

Trent nie odpowiedział, więc Michael rzucił:

- Jasne.

- To zadziwiający narząd, szybko się goi. Pod warunkiem że nie jest odcięty, naturalnie. Tak czy siak - ciągnął lekarz - nie jest trudno go przegryźć. - Odwinął prześcieradło, ukazując cięcie kołnierzone, ale nie obnażając piersi.

- Spójrzcie - powiedział. Michael zobaczył czarne zasilenia na lewym ramieniu kobiety. - Rozmieszczenie plam opadowych wskazuje, że umarła w miejscu, w którym ją znaleźliście. Na schodach, leżąc na plecach. Uważam - dodał - że została najpierw pobita, potem zgwałcona. Język odgryzł jej w trakcie stosunku.

Michael wyobraził ją sobie leżącą na schodach, z ciałem najpierw rozluźnionym, gdy starała się przetrzymać gwałt, potem napiętym, skręcającym się z przerażenia, kiedy zrozumiała, co się stanie.

- Uda się zdjąć ślady DNA z języka? - odezwał się wreszcie Trent.

- Zapewne całą masę, zważywszy na jej profesję. - Pete wzruszył ramionami. -

Niewątpliwie wymazy z pochwy też dadzą bogate żniwo podejrzanych, ale idę o zakład, że sprawca użył prezerwatywy.

- Skąd ta pewność? - spytał Michael.

- Talk - rzucił Pete. - Na prawym udzie miała odrobinę mączki kukurydzianej.

Michael wiedział, że prezerwatywy przesypuje się talkiem, żeby ułatwić ich nakładanie.

Wszyscy producenci używają tych samych składników, zatem nie ma możliwości ustalenia

marki prezerwatywy. Choć akurat wiedza, czy korzystał z ramzesów czy trojanów, nie zawęziłaby drastycznie kręgu podejrzanych.

- Podejrzewam, że używał typu z lubrykantem - dodał Pete. - Znalazłem także ślady związku mogącego odpowiadać nonoxynolowi-9.

Trent uznał to chyba za interesujące.

- Czy na schodach też zlokalizowano takie ślady?

- Ja nie znalazłem.

- Zatem - skonkludował Trent - musiał uprawiać z nią seks gdzie indziej, przypuszczalnie w mieszkaniu, przed walką na klatce schodowej.

Michael się wyłączył. Kurwa taka jak ta Monroe nie trwoniłaby ciężko zarobionych pieniędzy na ekstrawagancje w rodzaju środków nawilżających czy plemnikobójczych. Lepiej zagryźć zęby i zachować więcej kasy, a ewentualnymi konsekwencjami zająć się później. - Kondom musiał należeć do sprawcy.

Trent wyglądał na zaskoczonego, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że Michael jest w prosektorium.

- Niewykluczone.

Michael wyłożył mu to jaśniej.

- Nie zamierzał jej zabić. Inaczej po co by się szarpał na taką drogą gumkę, nie?

Trent skinął głową, ale nic nie powiedział.

- A zatem. - Pete otworzył usta kobiety i pokazał kikut języka. - Nie ma tu dużych arterii z wyjątkiem tętnicy językowej, która rozchodzi się jak korzenie drzewa, zwążając się na końcach. Żeby się do niej dostać, trzeba sięgnąć kilka, kilkanaście centymetrów w głąb jamy ustnej, co praktycznie wyklucza użycie zębów. - Zmarszczył brwi, zastanawiając się przez chwilę. - To jakby jamnik usiłował wsadzić pysk do borsuczej nory.

Mimo że Michael nie chciał, obraz mimowolnie pojawił mu się w głowie, w uszach rozbrzmiało ostre ujadanie.

- W tym przypadku - ciągnął Pete - oddzielono wędzidełko od reszty języka, naruszając przewód ślinianki podżuchwowej. - Otworzył usta i uniół język, pokazując palcem cienki fałd pod spodem. - Amputacja języka sama w sobie nie jest obrażeniem zagrażającym życiu. Szkopuł w tym, że upadła na plecy. Może na skutek szoku albo związków chemicznych krążących w jej organizmie. Później zemdląca. W ciągu kilku minut krew z rany wypełniła jamę ustną. Jako przyczynę śmierci podam gwałtowne uduszenie na skutek zachłyśnięcia się krwią w następstwie urazowej amputacji języka i towarzyszącego jej krwotoku.

- Ale on nie chciał, żeby umarła - powiedział Michael.

- Wyobrażanie sobie, co chodzi po głowie człowiekowi, gdy odgryza kobiecie język, nie należy wprawdzie do moich kompetencji, ale gdybym lubił hazard, a moje ekszony powiedzą wam, że uwielbiam, to owszem, tak, powiedziałbym, że sprawca nie chciał, żeby zginęła.

- Tak jak te inne - rzucił Trent.

- A jest ich więcej? - spytał Pete z zainteresowaniem. - Nie obito mi się o uszy nic na temat podobnych przypadków.

- Wiemy jeszcze o dwóch dziewczynkach - poinformował go Trent. - Jedna miała odgryziony język, ale nie całkowicie. Udało się go przyszyć, więc wyszła z tego stosunkowo bez szwanku. Druga straciła język. Minęło zbyt wiele czasu, by operacja wchodziła w grę. Pete pokręcił głową.

- Biedactwo. Świeża rzecz? Nie czytałem o podobnym zdarzeniu.

- Do pierwszej napaści doszło na terenie należącym do stanu, więc udało nam się zachować dyskrecję. Rodzice drugiej dziewczynki nie dopuścili prasy, a lokalna policja nie ujawniła żadnych szczegółów. Jeśli wszyscy milczą, temat umiera.

- A co z tą trzecią? - musiał spytać Michael. - Tą małą.

Trent wprowadził Pete'a w szczegóły.

- Moim zdaniem sama go sobie odgryzła - podsumował. - Ma tylko dziesięć lat. Musiała być śmiertelnie przerażona. Chłopcy z tamtejszej policji są dobrzy, ale brak im doświadczenia z tego typu brutalnymi przypadkami. Uważam, że mieli problem z uzyskaniem od niej zeznań.

- Zapewne - zgodził się Pete.

Michael zastanawiał się, dlaczego Trent wcześniej o tym wszystkim nie wspomniał. Może próbował wybadać go, ustalić, czy się nada. Do dupy z tym, pomyślał. Miał już dość stawania na rżęsach, żeby pokazać, że jest coś wart.

- Jak myślisz, ile lat ma ta? - spytał lekarza wskazując głową na Aleeshę Monroe.
- Trudno powiedzieć. - Pete patrzył taksująco na twarz kobiety. - Uzębienie w fatalnym stanie, ale to od narkotyków. Uwzględnivszy trudne warunki życiowe i wieloletnie uzależnienie, dałbym jej trzydzieści parę, może mniej, może więcej.

Michael popatrzył na Trenta.

- Ale nie naście.

- Zdecydowanie nie - zgodził się Pete.

- Zatem mamy dwie nastolatki załatwione pięćdziesiąt kilometrów stąd i starą ćpunkę z Atlanty, a jedynym łączącym je elementem jest odgryziony język. - Usiłował wzrokiem zasygnalizować Trentowi, co ma na myśli. - Zgadza się?

Zadzwoiła komórka agenta. Popatrzył na wyświetlacz, Przeprosił ich i wyszedł z sali.

Pete ciężko westchnął i przykrył zwłoki, naciągając prześcieradło na głowę.

- Ciężka sprawa.

- Taa - zgodził się Michael. Patrzył przez szklane drzwi zastanawiając się, co, do cholery, jest z Trentem nie tak.

- Wygląda na łebskiego faceta - powiedział Pete. - No i muszę przyznać, że to miła odmiana widzieć któregoś z twoich kolegów ubranego tak elegancko.

- Że co? - spytał Michael. Obserwował Trenta, usiłując podsłuchać rozmowę.

- Garnitur - wyjaśnił lekarz. - Robi wrażenie.

- Jak u jakiegoś pieprzonego przedsiębiorcy pogrzebowego - odrzekł Michael myśląc, że Pete raczej nie trafi na rozkładówkę czasopisma „GQ”.

Jego białe fartuchy laboratoryjne były wprawdzie zawsze czyste i wykrochmalone, ale tylko dlatego, że koszty pralni opłacało państwo. Pod spodem koroner nosił zwykle dżinsy i pomiętą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, zawsze rozchełstaną. Ukazywała kępkę siwych włosów na piersi oraz złoty medalion, którego nie odważyłby się założyć żaden z Bee Geesów.

- Raczej trudno się tu dopatrzeć wyraźnego związku między tymi trzema przypadkami - powiedział Pete.

- Mi to mówisz.

- Ale fakt, że wszystkie straciły języki, daje do myślenia. To nie jest często spotykane. - Pokazał torbę na dowody, tak jakby Michael nie napatrzył się na nią wczoraj. - Muszę powiedzieć, że przez wszystkie lata, od kiedy w tym siedzę, jeszcze się z czymś podobnym nie spotkałem. Ugryzienia, rany kłusane, owszem, w bród. Zawsze powiadam, że jeśli ktoś szuka naukowego dowodu na pochodzenie ludzi od zwierząt, wystarczy, że spojrzy na ofiarę pierwszego z brzegu gwałtu. - Pete położył język obok ręki Monroe. - Piersi i ramiona ma usiane śladami ugryzień, naliczyłem przynajmniej dwadzieścia dwa. To chyba rodzaj atawizmu: gryźć podczas brutalnego ataku. Dzikie psy i duże koty robią to w warunkach naturalnych. - Zachichotał. - Nie potrafiłbym zliczyć, ile odgryzionych brodawek sutkowych

już widziałem. Pięć lub sześć łechtaczek. Jeden palec. - Uśmiechnął się do Michaela. -

Gdyby tylko takim potworom rosły rogi, byłoby o wiele łatwiej ich złapać.

Michaelowi nie podobał się sposób, w jaki lekarz na niego patrzył, a już na pewno nie miał ochoty wysłuchiwać jego opinii o seksualnych dewiantach.

- Powiedz Trentowi, kiedy skończy pytlować przez telefon, że jestem na dole - rzucił.

Wyszedł przez drzwi ewakuacyjne i zbiegł po schodach. W pierwszym odruchu chciał wsiąść do wozu i wypiąć się na Trenta, ale nie zamierzał go wkurzać. Nawet gdyby Greer nie zmył mu za to głowy, Michael miał dość rozsądku, żeby nie robić sobie wroga z dobrze ubranego dupka z GBI.

- Pali się? - spytał Leo. Stał na dole schodów i kurzył papierosa.

- Kopsnij jednego - poprosił Michael.

- Myślałem, że rzuciłeś.

- Jesteś moją matką? - Sięgnął mu do kieszeni koszuli i wyjął paczkę.

Leo pstryknął zapalniczką i Michael zaciągnął się głęboko. Znajdowali się na poziomie garaży. Wszędzie rozchodził się smród spalin i gumy, ale papierosowy dym w nozdrzach natychmiast go stłumił.

- No to jak? - zaczął Leo. - Gdzie ten chujek?

Michael wypuścił strużkę dymu, czując, jak nikotyna go uspokaja.

- Na górze z Pete'em.

Leo się nachmurzył. Lekarz zabronił mu wstępu do prosektorium po jakimś niesmacznym żarcie rzuconym nie w porę.

- Byłem w personalnym.

- Tak? - Michael popatrzył na niego przez obłok dymu spod przymrużonych powiek.

- Akta Willa Trenta są utajnione.

- Utajnione?

Leo skinął głową.

- Z jakiego powodu mogą utajnić akta?

- Pojęcia nie mam.

Przez minutę obaj palili w milczeniu, pochłonięci własnymi myślami. Michael popatrzył na zasłaną petami posadzkę. W budynku obowiązywał bezwzględny zakaz palenia, ale mówienie zgrai gliniarzy, że nie może czegoś robić, miało ten sam skutek co proszenie małpy, by nie rozrzucała swego gówna.

- Dlaczego Greer go wezwał? - zastanawiał się głośno Michael. - To znaczy, dlaczego właśnie jego. Tę całą KUPĘ, czymkolwiek, kurwa, jest to tałatajstwo.

- Greer go nie wezwał. - Leo uniósł brwi, jakby bawił się setnie tą zagadką. - Kiedy pojawił się w biurze, Trent już tam siedział.

Serce zabiło Michaelowi mocniej. Poczul zawrót głowy, nikotyna zaczynała działać.

- To tak nie funkcjonuje. Goście ze stanowego nie mogą się ot tak pokazać i przejąć śledztwa. Trzeba ich wezwać.

- Wczoraj wieczorem wydawało mi się, że Greer i tak zamierzał to zrobić. Co za różnica, jak do tego doszło?

- Nieważne. - Pomimo fatalnego stylu bycia Leo znał masę ludzi w firmie. Do perfekcji opanował sztukę nawiązywania kontaktów i zwykle potrafił znaleźć haka na każdego. - Możesz się czegoś o nim dowiedzieć? - spytał Michael.

Donnelly wzruszył ramionami i mrugnął do Michaela przez dym.

- Sharon z dyspozytorni zna gościa, który chodził z jedną dziewczyną, która pracowała z Trentem.

- Chryste - syknął Michael. - Zaraz mi powiesz, że masz kumpla, który ma kumpla, który...

- Interesuje cię to czy nie?

Michael ugryzł się w język.

- Wal.

Leo się nie spieszył. Obracał papierosa między kciukiem a palcem wskazującym, potem zaciągnął się i wolno wypuścił dym. Michael był bliski rzucenia mu się do gardła, kiedy wreszcie usłyszał:

- Wieść jest taka, że to dobry glina. Niezbyt kontaktowy...

- Zalewasz.

- Tak. - Leo zachichotał, kaszlnął, a potem cmoknął ustami, jakby przełykał to, co odkrztusił.

Michael popatrzył na papierosa w ręku, czując, jak żołądek podjeżdża mu do gardła.

- Ma wskaźnik wykrywalności na poziomie osiemdziesiąt dziewięć.

Michaelowi zrobiło się niedobrze, ale nie od papierosa. W swej nieskończonej mądrości rząd federalny nakazał każdej jednostce mierzenie indywidualnych wskaźników wykrywalności - odsetka rozwiązanych spraw - żeby jakiś gryziپیórek w Waszyngtonie mógł sobie rysować wykresy i śledzić postępy. Rzekomo w imię przejrzystości, ale dla większości policjantów oznaczało to po prostu od metra więcej pisaniny. Byle idiota mógł przewidzieć, że zaowocuje to także szczeniacką rywalizacją między detektywami, a Greer jeszcze ją podsycił, co miesiąc wywieszając wyniki swoich śledczych.

Trent bił ich wszystkich na głowę. O jakieś dwadzieścia punktów.

- Cóż. - Michael zaśmiał się z wysiłkiem. - Łatwo rozwiązać sprawę, kiedy się ją przejmuje od innego gliny, który odwalił już całą robotę.

- W tej całej KOPIE jest od niedawna.

- W KUPIE - poprawił Michael, wiedząc, że Leo nie chce go sprowokować, tylko nie potrafi przestać się wygłupiać.

- Nieistotne - wymamrotał Leo. - Mówię, że zanim został tam przeniesiony, zajmował się poważnymi sprawami.

- Pogratulować.

- Kilka lat temu prowadził z jakąś panną duże śledztwo w sprawie gangu pedofilów.

- Panna się jakoś nazywa?

Leo ponownie wzruszył ramionami.

- Kilku gości porywało dzieciaki na Florydzie, wymieniali je potem z kolesiami z Montany. Wszystko szło przez Hartsfield, przemieszczali je tam jak bydło. Zespół twojego kumpla rozwiązał rzecz w miesiąc. Panna powędrowała do góry jak rakieta, Trent został na miejscu.

- Był szefem zespołu?

- Mhm.

- Dlaczego nie dostał awansu?

- Musisz jego spytać.

- Gdybym mógł, nie gadałbym teraz z tobą.

Zobaczył błysk urazy w oczach Donnelly'ego.

- To wszystko, co wiem, człowieku. Trent to porządny gość, zna się na robocie. Jeśli to ci nie wystarcza, musisz skontaktować się z kimś w centrali i sam powęszyc.

Michael stał ze wzrokiem wbitym w papierosa, obserwując, jak się spala. Gina by go zabiła, gdyby go przyłapała na paleniu. I tak pozna po zapachu rąk, gdy tylko wróci do domu.

Rzucił niedopałek na ziemię i zdusił obcasem.

- Angie nadal pracuje w obyczajówce?

- Polaski? - spytał Leo, jakby nie wierzył własnym uszom. - Nie chcesz chyba mieć na karku tej dupy z polaczkowa?!

- Odpowiedz, kurwa, na pytanie.

Leo wyjął kolejnego papierosa i odpalił go od pierwszego.

- Tak. Nie słyszałem, żeby się coś zmieniło.

- Jeśli Trent będzie mnie szukał, powiedz, że za kilka minut będę na dole.

Nie czekał na odpowiedź Donnelly'ego. Wbiegł po schodach na trzecie piętro, kiedy dotarł na miejsce, świszczało mu w piersiach. Siłą rzeczy wydział pracował głównie w nocy, więc w pomieszczeniu siedziało z pół zespołu, odwalając papierkową robotę po nalocie z zeszłego wieczoru. Angie najwyraźniej robiła za przynętę. Miała na sobie odsłaniającą ramiona bluzkę bez pleców, która kończyła się jakieś osiem centymetrów przed pępkiem. Blond peruka leżała rozczapierzona na biurku niczym zdechły szpic.

Czekał, aż uniesie głowę i zauważy go, a gdy to zrobiła, na jej twarzy malowało się coś bardzo dalekiego od radości. Kiedy podszedł, odchyliła się na krześle i skrzyżowała nogi pod spódniczką tak krótką, że ze zwykłej przyzwoitości odwrócił wzrok.

- Co tutaj robisz? - spytała. - Jezu, wyglądasz potwornie.

Michael przeciągnął ręką po włosach. Był spocony po sprincie na schodach. W płucach nadal miał dym, a kiedy zakaszłał, z piersi dobyło się coś jakby agonalne rżenie. Chryste, jeśli czegoś nie zmieni, wkrótce posadzą go na wózku obok Kena.

- Możemy chwilę pogadać? - poprosił.

Popatrzyła na niego nieufnie.

- O czym?

Michael nachylił się nad biurkiem, żeby nikt ich nie słyszał.

- Ee, ee. - Wstała i odepchnęła go. - Wyjdźmy na korytarz.

Poszedł za nią, świadomy, że reszta zespołu patrzy.

Prawda wyglądała tak, że Michael lubił pracę w obyczajówce. Człowiek ogląda sobie dziewczynki, zgarnia klientów, rzadko do niego strzelają, rzadko musi mówić jakimś rodzicom, że zwłoki ich córki czy syna pływają w Chattahoochee. Odszedł z wydziału nie dlatego, że chciał, ale ponieważ nie dogadywał się z Angie. Nie przepadali za sobą i fakt, że teraz się zgodziła z nim porozmawiać, niemal zwałił go z nóg.

Stała we wnęce naprzeciwko wind i obciągnęła spódniczkę. Obok niej buczał i połyskiwał światelkami przedpotopowy automat z papierosami i napojami.

- Chcesz pogadać o Aleeshy Monroe? - zagała.

- Tej dziwce? - Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby wyciągnąć jej kartotekę.

- Nie kojarzysz jej? - spytała Angie. - Zapuszkowaliśmy ją kilka razy, zanim spiknęła się z Baby G.

Michael wymamrotał „Taaa”, choć Angie chyba nie myślała serio, że będzie pamiętał jedną dziwkę z tych tysięcy, które zatrzymywali w czasie weekendowych łapanek. W niektóre sobotnie wieczory musieli wzywać więźniarkę, żeby przewieźć wszystkie panienki na posterunek. Kilka godzin później na zewnątrz budynku ustawiał się sznur taksówek, które zabierały je z powrotem na ulicę.

- Chciałem... - zaczął Michael. Z tyłu zadźwięczały drzwi windy. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Willa Trenta. - Cholera - mruknął.

- KitKat - powiedział Trent i minęło trochę czasu, zanim mózg Michaela pojął o czym, kurwa, facet mówi. Stał przed automatem i grzebał w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. Michael postanowił być miły.

- To jest Angie Polaski - powiedział. I dodał, jakby jej ubranie nie mówiło samo za siebie: - Z obyczajówki.

Trent pakował monety do automatu. Skinął jej głową, ale nie popatrzył w oczy.

- Witam, detektyw Polaski.

- Trent pracuje w GBI. Greer go wezwał, żeby pomógł nam przy sprawie Monroe - wyjaśnił Michael.

Obserwował Trenta, czekając, żeby sprostował, że to nie Greer go wezwał, że sam zgłosił się do porucznika. Trent tymczasem wodził palcem po szklanym froncie urządzenia, usiłując odczytać kod pod batonikami KitKat, żeby wystukać go na panelu. Mrużył oczy. Michael doszedł do wniosku, że facetowi przydałyby się okulary.

- Ożeż w dupę - wymruczała Angie. - E-sześć. - Sama wbiła kod, uderzając w plastikowe klawisze wściekle długimi sztucznymi paznokciami. - Przyniosę akta Monroe - zwróciła się do Michaela.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już szła z powrotem do pomieszczenia wydziału. Widział, że Trent odprowadza ją wzrokiem, patrząc, jak rusza tyłkiem.

- Pracowałem z nią jakiś czas temu - poinformował go Michael. - Jest w porządku.

Trent zerwał papierek z batonika i ugryzł.

Michael uznał za stosowne wyjaśnić:

- Miewa muchy w nosie.

- Gdybym dzień w dzień musiał się tak ubierać do pracy, nie sądzę, żebym był specjalnie pogodny.

Michael patrzył, jak rusza szczęką, żując batonik. Szrama na policzku wydawała się wyraźniejsza.

- Skąd masz tę bliznę?

Trent popatrzył na dłoń.

- Od gwoździarki - odpowiedział i Michael dostrzegł różową linię biegnącą między kciukiem i palcem wskazującym. Wprawdzie nie tę bliznę miał na myśli, ale nie oponował.

- Naprawiałeś coś w domu czy jak?

- W Habitat for Humanity. - Wsunął resztkę wafelka do ust i wyrzucił papieraek do kosza. - Jedna z wolontariuszek postrzeliła mnie galwanizowanym gwoździem.

Michael poczuł, jak kolejny element układanki trafił na miejsce. Habitat for Humanity: dobroczynna organizacja siłami ochotników budująca domy dla biednych rodzin. W większości policjantów wcześniej czy później budził się społecznikowski duch. Pracując na ulicach, człowiek zapomina, że na świecie są i dobrzy ludzie. Potem próbuje wyleczyć tę ranę na duszy, pomagając tym, którzy chcą pomocy. Zanim Tim się urodził, Michael pracował w schronisku dla dzieci. Nawet Leo Donnelly działał ochotniczo w Little League, dopóki mu nie zabroniono palić na boisku.

- Chciałbym zobaczyć miejsce zdarzenia - oświadczył Trent.
- Przeszukaliśmy jej mieszkanie wczoraj wieczorem. Myślisz, że coś przeoczyliśmy?
- Uchowaj Boże - zaprzeczył. Michael usiłował się doszukać fałszu w jego głosie, ale nie znalazł. - Chciałbym po prostu poczuć atmosferę.
- Robisz tak przy innych śledztwach?
- Owszem. Robiłem.

Wróciła Angie, stukając szpilem po wyłożonej kafkami podłodze. Wyciągnęła żółtą teczkę z aktami.

- Tyle mam o Monroe.

Trent nie sięgnął po teczkę, więc wziął ją Michael. Otworzył i spojrzął na zdjęcie z kartoteki. Jak na ćpunkę i dziwkę była całkiem atrakcyjna. Oczy patrzyły twardo i wyzywająco prosto w obiektyw. Wyglądała na zirytowaną, przypuszczalnie dodawała w myślach słupki, obliczając, ile pieniędzy straci, zanim wyjdzie za kaucją.

- Jej alfonsem jest Baby G - powiedziała Angie. - Kawał skurwysyna. Siedział za napaść, gwałt, usiłowanie zabójstwa, prawdopodobnie kazał też zlikwidować jeszcze dwóch innych gości, ale nie można mu nic udowodnić. - Wskazała palcem na usta. - Ma złoty grill na zębach z wyrżniętymi krzyżami w środku, jakby był samym Chrystusem.
- Gdzie ma metę?
- W Grady Homes - powiedziała. - Jego babka mieszka w tym samym budynku co Aleesha.

Trent wsadził z powrotem ręce do kieszeni i gapił się na Polaski jak na kosmitkę. Jego milczenie było irytujące, a na twarzy malowała się pełna wyższości mina, jakby wiedział więcej, niż mówi, i w duchu zrywał boki, że oni jeszcze na to samo nie wpadli.

- Chcesz coś dodać? - spytał go Michael.

- To twoje śledztwo, detektywie - odpowiedział Trent. - Dziękujemy za pomoc - rzucił pod adresem Angie i posłał jej coś, co w wypadku kogoś mniej protekcyjnego mogłoby uchodzić za uśmiech.

Angie przeniosła wzrok z Michaela na Trenta i z powrotem na detektywa. Uniosła brew pytająco, ale Michael nie potrafił udzielić jej odpowiedzi.

- Nieważne - wymruczała i machnęła ręką. Odwróciła się do obu plecami, jednak tym razem Michael był zbyt wkurzony, żeby podziwiać widok.

- Masz, kurwa, jakiś problem?

Trent zdawał się zaskoczony jego tonem.

- Przepraszam?

- Będziesz sterczał tu tak przez cały dzień czy może jednak zakaszysz rękawy i ubrudzisz sobie trochę rączki?

- Mówiłem już, jestem tu tylko, żeby doradzać.

- Dobra, panie Dobra Rada, ja też ci coś doradzę. - Michael zacisnął pięści tak mocno, że czuł, jak paznokcie wrzynają mu się we wnętrze dłoni. - Nie leć ze mną w chujki.

Trent nie wyglądał na przestraszonego groźbą, ale zważywszy na fakt, że Michael musiał wyciągnąć szyję i zadrzeć głowę, żeby ją wycedzić, nie było to wielkim zaskoczeniem. - W porządku - powiedział. Potem, jakby to wszystko załatwiało, spytał: - Nie masz nic przeciwko ponownej rundce do Grady? Naprawdę chciałbym obejrzeć miejsce zdarzenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wszystko, co robił i mówił Will Trent, działało Ormewoodowi na nerwy, począwszy od jego „naturalnie”, kiedy Michael oświadczył, że będzie prowadził, po sposób, w jaki gapił się znudzonym wzrokiem przez okno, gdy jechali North Avenue w stronę Grady Homes.

Przywodził mu na myśl mądrale z liceum, tych, co to nosili w kieszeni na piersiach suwaki logarytmiczne i przerzucali się tekstami z Monty Pythona. Michael mógł oglądać te filmy do usranej śmierci, a i tak ni w ząb nie rozumiał, tak jak za cholerę nie rozumiał dziwaków w typie Trenta. Nie bez kozery tacy goście dostawali w szkole łomot. Nie bez kozery spuszczali go goście tacy jak Michael.

Wziął głęboki oddech i zakaszłał, płuca ciągle jeszcze się wkurzały za tego szluga. Pomyślał o Timie: o tym, jak inne dzieciaki się nad nim znęcają z powodu jego upośledzenia. W szkole była grupka takich dręczycieli, którzy już dali mu popalić: a to kradnąc czapkę, a to miażdżąc kanapkę w stołówce. Nauczyciele starali się jakoś to powstrzymać, ale nie mogli

być we wszystkich miejscach naraz, a niektórzy w ogóle od początku nie byli specjalnie zadowoleni z tego, że zgodnie z zasadą klas integracyjnych skierowano Tima do nich na zajęcia. Może przez osobę Willa Trenta przemawiała karma Michaela. Może to był rodzaj próby. Bądź miły dla tego cudaka, a Tim będzie mógł liczyć na takie samo traktowanie.

- Aaa - powiedział Trent, wyciągając mały magnetofon z kieszeni marynarki. - Mam to połączenie z 911.

Zanim Michael zdążył coś odpowiedzieć, wcisnął klawisz. Z głośniczka rozległ się cienki, piskliwy głos:

„Musicie przyjechać do budynku dziewięć w Grady Homes. Ktoś gwałci kobietę”.

Michael zabębnił palcami o kierownicę, czekając na zmianę świateł.

- Puść jeszcze raz.

Trent spełnił jego życzenie i Michael wyteńczył słuch, starając się wyłapać odgłosy w tle, ustalić ton i akcent głosu. Coś tu nie grało, ale nie potrafił wyjaśnić co.

- Gwałci - powtórzył Michael. - Nie „zabija”.

- Dzwoniąca nie sprawia wrażenia przerażonej - dodał Trent.

- Nie - zgodził się Michael, wciskając gaz, kiedy zapaliło się zielone światło.

- Skłonny jestem założyć, że gdybym był kobietą, to bym się przeraził, widząc napaść na inną kobietę lub choćby słysząc odgłosy.

- Niekoniecznie - zaproponował Michael. - Może gdybyś mieszkał w Grady, zdążyłbyś się już napatrzeć na takie sceny.

- Jeśli tak, to dlaczego w ogóle wzywałbym policję? - Spróbował sam odpowiedzieć na własne pytanie. - Może znałem tę kobietę?
- Gdybyś ją znał, byłbyś ciut bardziej zdenerwowany. - Michael wskazał na magnetofon. Dzwoniąca mówiła spokojnie, jakby podawała prognozę pogody albo wynik jakiegoś szczególnie nudnego meczu.
- Minęło trzydzieści minut, zanim pojawiła się grupa interwencyjna. - W jego głosie nie było słyhać przygany. -Grady ma najdłuższy czas reakcji na wezwanie w całym mieście.
- Wie o tym każdy, kto ogląda wiadomości.
- Albo mieszka na tym osiedlu.
- Sprawdziliśmy wszystkich w budynku, chodziliśmy od drzwi do drzwi. Jakoś nikt nie wychynął z wielkim napisem na czole.
- Nie mieszka tam nikt skazany za czyny lubieżne?
- Jeden, ale akurat zapuszkowany, przez cały dzień przesłuchiowano go w innej sprawie. Trent przewinął taśmę i odtworzył raz jeszcze aż do chwili, kiedy pojawił się głos operatora: „Psze pani? Psze pani? Jest pani tam?” Wsadził magnetofon z powrotem do kieszeni.
- Ofiara jest poza tym trochę za stara - stwierdził.
- Monroe? - spytał Michael, zmieniając bieg. Trent wreszcie rozmawiał z nim jak z gliną. - Taa, jeśli Pete ma rację, jest prawdopodobnie mniej więcej w moim wieku. Twoje dziewczynki to, czekaj, czternastolatki? Piętnastolatki?

- I białe.
- Monroe była czarna, mieszkała na osiedlu socjalnym, pracowała na ulicy.
- Poprzednie były białe, pochodziły z klasy średniej i wyższej, z porządných rodzin, dobrze się uczyły.
- Może nie zdążył upolować nowej - zasugerował Michael, czując, że stąpa po bardzo kruchym lodzie. W uszach znowu usłyszał dzwonek, coś w głowie mu mówiło, żeby się zamknął, nie ufał temu nowemu, nie dał się wyprowadzić w pole.
- Niewykluczone - zgodził się Trent, ale ton jego głosu mówił, że nie uważa tego za prawdopodobne.

Michael milczał, skręcając w prawo w Grady Homes. Osiedle wyglądało o niebo lepiej nocą, kiedy ciemność skrywała najgorsze skazy. Był poniedziałek, niemal dziesiąta rano, ale dokoła roiło się od dzieciaków jeżdżących na rowerach, jakby trwały wakacje. Kiedy Michael był mały, robił dokładnie to samo: wsiadał na swojego schwinna i popisывał się z kumplami z ulicy. Tyle że oni nie podawali sobie torebeczek z maryską, jak te to właśnie robiły, a już na pewno nie mieliby odwagi, żeby machać do gliniarzy krążących po osiedlu. Przed budynkiem numer dziewięć nadal stało bmw, na masce siedziało dwóch nastolatków z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądali na jakieś piętnaście, góra szesnaście lat i Michaela oblał zimny pot na widok bezdusznego spojrzenia ich oczu, kiedy patrzyli, jak wjeżdża na parking. To był wiek, który najbardziej przerażał go jako gliniarza. Takie

wyrostki musiały coś udowodnić, dokonać czegoś, co pozwoli im stać się mężczyznami. Przelanie krwi było najszybszym sposobem na przejście tego progu.

Trent także obserwował nastolatków.

- No, pięknie - powiedział tylko pełnym rezygnacji tonem i Michael poczuł ulgę, że facet nadal myśli jak policjant.

Nagle frontowe drzwi budynku otworzyły się z hukiem i obaj jednocześnie sięgnęli po broń. Żaden jednak jej nie wyciągnął, patrzyli tylko w napięciu, jak niski, bysiowaty mężczyzna ruszył popękany chodnikiem i przeszedł tuż obok ich wozu od strony Trenta, nawet na nich nie spojrzawszy.

Był bez koszuli; na szerokiej klatce pod trzęsącym się tłuszczem rysowały się ślady muskulatury, przy każdym kroku mięśnie piersiowe podskakiwały jak cycki. W dłoni trzymał aluminiowy kij do baseballu i kiedy zbliżył się nieco do chłopców na masce, owinał drugą dłoń dokoła uchwytu.

Michael popatrzył na Trenta, który powiedział „ty decydujesz”, ale już wysiadał z samochodu.

- Cholera - wysyczał Michael. Otworzył drzwiczki i wysiadał właśnie w chwili, kiedy bysio znalazł się przy wyrostkach.

- Złazić z mojego wozu - wrzasnął, wymachując kijem w powietrzu. Obaj chłopcy stanęli z rękoma dyndającymi po bokach i otwartymi ustami. - No już, zanim stłukę wam tyłki, wy leniwe skurwysyny.

Dzieciaki rozsądnie rzuciły się do ucieczki.

- No. - Trent odetchnął głośno.

- Głupie piździelce - powtórzył mężczyzna. Patrzył na Ormewooda i Trenta i Michael był pewien, że nie mówi już o nastolatkach. - Czego tu, kurwa, mendy jedne wężycie?

- Baby G? - spytał Trent.

Mężczyzna uniósł kij, gotów do uderzenia.

- A kto, do kurwy nędzy, pyta?

Trent podszedł o krok bliżej, jakby się nie bał, że jego głowa zaraz poleci na aut.

Michael przypomniał sobie, co Angie mówiła o Baby G: „Napaść, gwałt, usiłowanie zabójstwa”.

- Jestem Will Trent, agent specjalny, a to jest detektyw Ormewood. - Michael skinął ręką, ciesząc się, że od rozjuszonego alfonsa dzieli go samochód. Trent był kretynem, jeśli myślał, że wyciągnie coś z tego zbira. - Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Aleeshy Monroe.

- A niby, kurwa, z jakiej racji miałbym z wami gadać? - Baby G trzymał kij w powietrzu, mięśnie na ramionach naprężyły mu się.

Trent odwrócił się do Michaela.

- Przychodzi ci do głowy jakiś powód?

Michael wzruszył ramionami, zastanawiając się, co napisze w raporcie, kiedy już odstawi Willa Trenta do szpitala Funkcjonariusz rozwścieczył podejrzanego", przyszło mu na myśl.

Trent odwrócił się do alfonsa, rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Naprawdę, jestem wstrząśnięty, że mój urok i prezencja nie wystarczą.

Michaelowi opadła szczęka. Zaraz jednak szybko zamknął usta i ponownie opuścił rękę do kabury, żeby móc zareagować, kiedy sutener uzna, że nie okazuje mu się szacunku.

Minęły dwie lub trzy sekundy, potem następne. Wreszcie Baby G skinął głową.

- W porządku. - Uśmiechnął się, ukazując złote nakładki na zębach, każda miała wyrżnięty w środku krzyż, odsłaniający białą kość pod spodem, tak jak opisała Angie. - Macie dziesięć minut, póki nie zacznie się Montel.

Trent wyciągnął rękę, jakby zawarli umowę.

- Dziękuję.

Alfons ucisnął podaną dłoń, mierząc Trenta badawczym spojrzeniem.

- Na pewno jesteś gliną?

Agent sięgnął do kieszeni i wyciągnął odznakę. Baby G zerknął na nią, potem ponownie przesunął wzrokiem po Trencie.

- Dziwny skurwysyn z ciebie.

Agent schował odznakę do kieszeni, przechodząc do porządku nad tym spostrzeżeniem.

- Chcesz rozmawiać tutaj?

Baby G opuścił kij i oparł się na nim jak na lasce.

- To moi kuzyni. - Wskazał na samochód, najwyraźniej mówiąc o chłopcach, których przegonił. - Nic dobrego. Powinni trzymać tyłki w szkole.

- To ładnie, że interesujesz się ich życiem. - Trent znowu wsadził ręce do kieszeni i oparł się niedbale o tył samochodu, jakby prowadził przyjacielską pogawędkę. - Kiedy ostatni raz widziałeś Aleeshę?

Baby G długo się namyślał.

- Około szóstej wczoraj wieczorem - odpowiedział wreszcie. - Wychodziła do pracy. Chciała wcześniej małe co nieco. - Uniósł podbródek, czekając, żeby Trent zapytał, o jakie co nieco chodzi.

Agent najwyraźniej nie czuł takiej potrzeby. Widział ślady na ramionach dziwki tak samo dobrze jak Michael.

- Zaniósłeś jej?

Baby G wzruszył ramionami, co Trent wziął za potwierdzenie.

- Czy miała jakichś innych dostawców?

Alfons rozejrzał się, jakby sprawdzał, kto słucha. Splunął na ziemię, wypiął wyzywająco klatkę piersiową, ale odpowiedział.

- Gdzie tam. Nie miała hajsu. Nikt by jej nie pożyczył na towar.

- Ja bym się przeszedł ulicą i obciągnął pierwszemu z brzegu za działkę - zasugerował Trent. - Bez hajsu.

Baby G zaśmiał się na tę myśl.

- Jo, suko, nie na moim terenie.

- Aleesha na pewno zgłaszała cały utarg - rzucił Trent, bardziej w formie pytania.

- Takiego - burknął Baby G, jakby było głupotą choćby sugerować coś podobnego.
 - Dobrze zarabiała?
 - Lubiła dawać w kanał. Zrobiłaby wszystko, byleby przyćpać.
 - Miała stałych klientów? Mężczyzn, których powinniśmy szukać?
 - Żadnych chorych kutafonów, jak ten, który to zrobił. - Wskazał kijem na górne piętro bloku, gdzie znaleziono Monroe. - Dbam o swoje dziewczyny. - Trzymał kij uniesiony, by zilustrować, co ma na myśli. - Gdybym dorwał wcześniej tego luja, możecie być pewni, że to on szedłby teraz do ziemi, nie moja Leesha.
- Trent skinął głową w stronę budynku.
- Mieszkasz tutaj?
 - Z moją babcią. Starzeje się. Muszę się nią opiekować. - Głos mu złagodniał.
 - Byłeś z nią wczoraj wieczorem?
 - Siedzieliśmy z chłopakami w knajpie w Cheetah i oglądaliśmy mecz.
 - Pozwolisz, że porozmawiamy z twoją babcią?
 - Cholera, nie, nie pozwolę. Nie mieszajcie babci w to gównno. Nic nie widziała, słyszycie?
- To tylko starsza pani.
- W porządku - ustąpił Trent. Obejrzał się na Michaela, jakby pytał, czy chce coś dodać.
- Michael potrząsnął głową i Trent zwrócił się znowu do alfonsa: - Wiem, że spieszysz się na swój program. Dziękuję, że poświęciłeś nam czas.

Baby G stał tam, zbity z pantałyku. W końcu zbył ich wzruszeniem ramion i powtórzył: „Dziwny skurwysyn z ciebie”, po czym odszedł w stronę budynku.

Kiedy drzwi klatki schodowej zamknęły się z trzaskiem, Trent odwrócił się do Michaela.

- I co myślisz?

- Myślę, że ma rację. - Michael oderwał się od samochodu. - Jesteś pojebany jak cholera.

Zadzwoiła komórka i poczuł, jak znowu zalewa go irytacja, kiedy Trent odszedł kilka metrów dalej, żeby odebrać.

- Tak jest - mówił. - Tak.

Michael popatrzył na niebo, na zbierające się ciemne chmury. Zważywszy na to, jak się sprawy dziś miały, burza zapewne zerwie się dokładnie w chwili, kiedy będą stąd wychodzili, i jeszcze na koniec będzie musiał brnąć przez parking w strugach deszczu, niszcząc nowe buty.

Trent zamknął telefon i schował go do kieszeni.

- Musisz jechać do domu, Michael.

Ormewood poczuł, że zamarło mu serce.

- Co?

- Musisz jechać do domu - powtórzył Trent. - Zdarzył się wypadek.

DECATUR CITY OBSERYER

22 czerwca 1985 roku

PRZEŁOM W SPRAWIE FINNEY

Dziś rano policja poinformowała o aresztowaniu podejrzanego w sprawie zabójstwa piętnastoletniej Mary Alice Finney. Ponieważ zatrzymany jest nieletni, nie ujawniono jego personaliów, ale szef policji Harold Waller zdradził nam, że jest nim piętnastolatek, dobrze znany organom ścigania w Decatur. Został aresztowany po tym, jak kilku sąsiadów zidentyfikowało go jako nieznanego, który odprowadzał Mary Alice z przyjęcia, gdzie widziano ją po raz ostatni. Waller twierdzi, że należy oczekiwać pełnego przyznania się do winy w tej, jak się wyraził, „najbardziej ohydnej zbrodni”, z jaką miał do czynienia w całej swojej karierze.

Ojcem dziewczyny jest Paul Finney, znany i ceniony członek palestry oraz zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa DeKalb. Matka, Sally Finney, gospodyni domowa, jest aktywną członkinią Ligi Kobiet, zajmuje się także pozyskiwaniem sponsorów i zbiórką funduszy na rzecz lokalnej uczelni, Agnes Scott College. Mary Alice była ich jedynym dzieckiem. Marsz pamięci odbędzie się na placu dzisiaj o godzinie 20.30, uroczystości pogrzebowe zaś w domu Cable Funeral jutro po południu. Zamiast kwiatów rodzina prosi o datki na rzecz biblioteki miejskiej Decatur, jednego z ulubionych miejsc Alice.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pędził na złamanie karku z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy. Trent siedział obok, zachowując kamienny spokój, kiedy Michael przemykał przez czerwone światła i znaki stopu. Mieszkał niecałe dwadzieścia minut drogi od Grady Homes, ale miał wrażenie, jakby jechali całe godziny. Serce stało mu w gardle, tłukąc się tam jak pociąg towarowy. Myślał o krzywdach, które wyrządził swojej rodzinie, że na nich wszystkich nie zasługuje, że się poprawi, zmieni zupełnie, byleby tylko Timowi nic się nie stało.

- Kurwa! - Ostro odbił kierownicą w lewo, o włos unikając zderzenia z chevroletem blazerem, który miał pierwszeństwo.

Trent chwycił się drzwiczek, ale miał dość rozumu, by nie wspominać o zmniejszeniu prędkości.

Michael naprostował samochód i zaraz ponownie ostro skręcił w lewo, wjeżdżając w boczną uliczkę, gdzie był mniejszy ruch i szanse na szybsze dotarcie na miejsce. Sprzęgło się przez chwilę ślizgało, ale szybko załapało z powrotem, kiedy przyspieszył. Na desce rozdzielczej połyskiwało światelko, wskaźnik temperatury silnika przesunął się mocno w czerwone pole. Byleby tylko ten cholerny rzęch zawiózł go do domu. Tylko tego chciał.

Ponownie wcisnął redial na klawiaturze komórki i słuchał przeciągłego sygnału, gdy telefon dzwonił u niego w domu po raz piętnasty. Komórka Barbary nie odpowiadała, nie udało mu się też złapać Giny w szpitalu.

- Cholera jasna! - wrzasnął i walnął aparatem w deskę rozdzielczą. Rozleciał się na kawałki. Greer zadzwonił do Willa Trenta, żeby to jego poinformować, że coś się stało, jakby Michael był jakimś pedziowatym leszczem, a nie doświadczonym gliną. Powiedział tylko tyle, że dzieciak Michaela miał wypadek w domu. Standardowa procedura: nie informować przez telefon, nie denerwować bliskich, żeby zdołali dojechać bezpiecznie do domu. Kiedy Michael skontaktował się z porucznikiem chcąc uzyskać więcej szczegółów, kutas rozmawiał z nim jak z dwunastolatkiem. „Jedź do domu, Michael - powtarzał. - Wszystko będzie dobrze”.

- Rower - rzucił Trent i Michael w ostatniej chwili zobaczył rowerzystę. Prawie się o niego otarł, kiedy zjeżdżał na sąsiedni pas. Z naprzeciwka pędziła ciężarówka, więc błyskawicznie odbił z powrotem, tylko cudem unikając czołowego zderzenia.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział, jakby Trent się pytał. - Cholera - wycedził przez zęby, waląc dłonią w kierownicę.

Tim zawsze pakował się w coś, w co nie powinien. Nie rozumiał, że czegoś nie wolno. Barbara też nie robiła się coraz młodsza. Przez większość czasu czuła się zmęczona, nie miała sił, by za małym nadażyć.

Skręcił ostro, wjeżdżając w swoją ulicę. Przed domem stały dwa radiowozy, jeden na podjeździe za samochodem Barbary. Policjanci w mundurach kręcili się po chodniku przed domem Cynthii i Phila. Michaelowi zamarło serce, kiedy zobaczył Barbarę siedzącą na ganku z głową w dłoniach.

Zdołał jakoś wysiąść z wozu. Rzucił się do niej, czując w gardle żółć i usiłując powstrzymać mdłości.

- Gdzie jest Tim? - spytał. Nie odpowiedziała dość szybko, więc powtórzył, wrzeszcząc: - Gdzie jest mój syn?!

- W szkole - rozdarła się w odpowiedzi, jakby był szalony.

Chwycił ją za nadgarstki i siłą podniósł. Miała łzy w oczach.

- Ej - powiedział Trent cicho, ale w jego tonie słychać było ostrzeżenie.

Michael popatrzył na swoje dłonie, nie wiedział, jak to się stało, że zacisnęły się na przegubach rąk Barbary. W miejscu, gdzie ją trzymał, wykwitły czerwone pręgi. Puścił ją. Z tyłu, za jego plecami pojawiło się kombi koronera, zazgrzytały hamulce, kiedy wóz stanął przy skrzynce na listy.

Położył dłonie na ramionach Barbary, tym razem po to, żeby nie upaść. Powiedzieli, że chodzi o dziecko. Może się pomylili. Może Greer kłamał.

- Gina? - spytał Michael. - Czy coś się stało Ginie?

Jeden z policjantów stał przy samochodzie do przewozu zwłok. Wskazał ręką na sąsiedni dom, zwracając się do kierowcy:

- Na podwórku za domem.

Michael machinalnie ruszył przed siebie. Otworzył frontowe drzwi domu i popędził korytarzem. Słyszał tupot stóp za sobą i był pewien, że to ten sukinsyn Trent. Miał to gdzieś. Otworzył tylne drzwi i wybiegł na podwórko, ale zaraz stanął jak wryty, a Trent wpadł na niego z tyłu.

Najpierw zobaczył biel, kusy szlafroczek, prześwitującą halkę. Leżała na brzuchu z nogami zaplątanymi w uszkodzoną siatkę ogrodzenia. Sześciu czy siedmiu mężczyzn stało dokoła. Michael zdołał jakoś do niej podejść, ale kolana się pod nim ugięły, kiedy zobaczył ciało. Pieprzyk na ramieniu, znamię na ręce. Wcisnął palce w jej małą dłoń.

- Proszę pana, proszę jej nie dotykać - ktoś ostrzegł.

Michael nie zareagował. Gładził miękką rękę, szepcząc wśród łez zalewających mu twarz:

- Jezu, o Jezu.

Trent mówił coś do grupki policjantów, Michael nie rozumiał słów. Mógł tylko patrzeć na tył głowy Cynthii, na długie pasma jedwabistych blond włosów opadające na ramiona jak szal. Obciągnął szlafrok, przykrywając obnażone pośladki, starając się zapewnić jej choć trochę godności.

- Detektywie - powiedział Trent. Wsadził rękę pod ramię Michaela i bez wysiłku uniósł go do pozycji stojącej. - Nie wolno jej dotykać.

- To nie ona - upierał się Michael, próbując znowu opaść na kolana, zobaczyć jej twarz. To jakiś żart. To nie mogła być Cynthia. Cynthia jest w centrum handlowym, wydając

pieniądze Phila, włączając się z przyjaciółkami. - Chcę ją zobaczyć - powiedział. Trząsał się całym, jakby było mu zimno. Kolana znowu się pod nim ugięły, ale Trent go podtrzymał i nie pozwalał upaść. - Chcę zobaczyć jej twarz.

Jeden z mężczyzn, najwyraźniej patolog sądowy, powiedział:

- I tak miałem ją odwrócić. - Z pomocą innego policjanta chwycił ją za ramiona i położył twarzą do góry.

Z szeroko otwartych ust wylewała się krew i spływała po szyi jak strużka wody z niedokręconego kranu. Piękną twarz szpeciła głęboka rana na skroni. Puste zielone oczy patrzyły beznamiętnie w niebo. Kosmyki włosów oblepiały policzki i Michael chciał się pochylić, żeby je odgarnąć, ale Trent mu nie pozwolił.

Oczy go szczypały od gorących łez. Ktoś powinien ją okryć. Nie powinna tak leżeć, wystawiona na widok publiczny.

Lekarz nachylił się, otworzył szerzej jej usta i zajrzał do środka.

- Nie ma języka.

- Chryste - wyszeptał jeden z gliniarzy. - Przecież to jeszcze dziecko.

Michael przełknął ślinę, mając wrażenie, że udławi się z rozpaczy.

- Piętnaście - powiedział. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu obchodziła urodziny. Kupił jej pluszową żyrafę. - Ma piętnaście lat.

CZĘŚĆ 2

ROZDZIAŁ SIÓDMY

2 PAŹDZIERNIKA 2005 ROKU

John Shelley chciał mieć telewizor. Od dwóch miesięcy harował jak wół, dzień w dzień przychodząc punktualnie, a wychodząc jako ostatni, wykonując każde, nawet najbardziej upierdliwe, z sufitu wzięte polecenie szefa, i w jego mniemaniu telewizor nie był zachcianką, ale czymś, na co po prostu zasłużył. Nie chodziło mu o nic wyrafinowanego, chciał tylko coś w kolorze, coś z pilotem i coś, co by odbierało rozgrywki uczelniane. Marzył, żeby oglądać mecze swoich zespołów. Chciał trzymać w dłoni pilota i jeśliby Georgia grała fatalnie, co było wysoce prawdopodobne, móc zmienić kanał i patrzeć, jak Floryda dostaje łomot. Chciał oglądać kiczowate występy podczas przerw, słuchać głupich komentatorów, śledzić rozgrywki Tulane kontra Southern Mississippi, Texas A&M kontra LSU, patrzeć, jak armia robi w gacie przed marynarką. Zbliżało się Święto Dziękczynienia, więc uczestniczyłby w orgii rozgrywek uczelnianych, potem by się przerzucił na grube ryby: the Patriots, the Raiders, a wszystko to zwieńczyłaby owa magiczna chwila w lutym, kiedy John Shelley siedziałby w gównianym

pokoju głównianego pensjonatu i oglądał zajebisty Super Bowl sam jak palec po raz pierwszy w życiu.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przez sześć dni w tygodniu wyglądał z okna autobusu i patrzył tęsknym wzrokiem na Atlanta City Rent-All. Szyld na wystawie obiecywał, że „praca równa się kredyt”, ale odsyłacz, tak mały, że wyglądał na rozgnieczonego owada, mówił co innego. Dzięki

Bogu był zbyt zdenerwowany, by z miejsca wejść do sklepu i zrobić z siebie głupka. Stał przed frontowymi drzwiami z sercem trzęsącym się jak pies srający pestkami brzoskwini, kiedy zauważył na tabliczce ten dopisek drobnym druczkiem. Dwa miesiące, zastrzegął druczek. Trzeba było mieć stałą pracę od co najmniej dwóch miesięcy i dopiero wtedy człowiek mógł liczyć na interes życia: pięćdziesiąt dwie raty po dwadzieścia dolarów na tydzień za telewizor, który w zwykłym sklepie chodził po jakieś trzy paczki.

Ale John nie był zwykłą osobą. Mimo nowej fryzury, gładko wygolonych policzków i wyprasowanych spodni ludzie nadal wyczuwali w nim tę inność. Nawet w pracy, w zwykłej myjni samochodowej, gdzie zatrzymywali się w większości przejezdni, żeby przetrzeć auta czy odkurzyć z płatków śniadaniowych tyły swoich terenówek, wszyscy trzymali się od niego na dystans.

A teraz, dwa miesiące później, John przycupnął w napięciu na brzeжку krzesła, starając się nie postukiwać nogą, i czekał na swój telewizor. Pyszczaty wyrostek, który go obsługiwał, nie śpieszył się. Wziął wniosek Johna i poszedł na zaplecze jakieś dwadzieścia minut temu.

Wniosek. To kolejna rzecz, o której nie wspominał szyld. Adres zamieszkania, data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego, miejsce zatrudnienia, wszystko z wyjątkiem cholernego rozmiaru gaci.

Jak na niedzielne popołudnie w sklepie panował spory gwar. Wszystkie telewizory były włączone, połyskując jaskrawymi obrazami, w uszach dźwięczały Johnowi ściszone odgłosy z filmów przyrodniczych, wiadomości i programów dla majsterkowiczów. Ten rejwach zaczął go drażnić. Przez sięgające od sufitu do podłogi okna wlewało się za dużo światła. Obrazy były zbyt jaskrawe.

Poruszył się na krześle, czując, jak po plecach spływa mu strużka potu. Nie nosił zegarka, ale na ścianie wisiał duży czasomierz. Stanowiło to poważny błąd ze strony projektanta. Zegar jedynie przypominał klientom, że siedzą tu i kwitną, czekając, aż jakiś dzieciak prosto z liceum powiadomi farciarzy, że spełniają warunki i dostąpili rzadkiego zaszczytu wybulenia pięciuset dolców za odtwarzacz DVD Simzitu.

- Tylko telewizor - wyszeptał do siebie John. - Tylko mały telewizorek. - Noga zaczęła mu znowu postukiwać, ale nie próbował jej przytrzymać. Dłonie mu się zaciskały i rozwierały i to było niedobre. Musi przestać tak robić. Ludzie gapili się na niego. Rodzice przyciągnęli do siebie dzieci. - Proszę pana? - Stał przed nim Randall, jego osobisty asystent klienta. Do twarzy przyklejony miał uśmiech, który skonfundowałby nawet labradora. - Przepraszam, że kazaliśmy panu czekać. - Wyciągnął rękę, jakby John nie potrafił podnieść się samodzielnie.

- Nic nie szkodzi - powiedział John możliwie jak najwyraźniej. Rozejrzał się po sklepie, zastanawiając, o co chodzi. Ten dzieciak był dla niego zbyt miły. Czy coś się wydarzyło? Ktoś wezwał policję?

- Możemy panu zaoferować któryś z tych - zaproponował Randall, prowadząc go na tyły sklepu, gdzie wystawiono duże odbiorniki.

John stanął przed telewizorem, który rozmiarami przypominał ekran w kinie. Wzwyż mierzył tyle samo co John i dwa razy tyle szerz.

Randall wziął do ręki pilota wielkości książki.

- Panasonic ma zaawansowaną technologię kontrastu, która gwarantuje...

- Chwilka. - John chodził dokoła odbiornika. Miał tylko kilka centymetrów grubości.

Zobaczył cenę i się roześmiał. - Człowieku, mówiłem ci, ile zarabiam.

Randall posłał mu uśmiech i zrobił krok do przodu, co sprawiło, że John automatycznie chciał zrobić krok do tyłu. Nie ruszył się jednak z miejsca, dzieciak zaś zniżył głos do szeptu i oświadczył:

- Rozumiemy, kiedy niektórzy z naszych klientów mają dodatkowe źródła dochodów, których woleliby nie wymieniać we wniosku.

- Naprawdę? - spytał John, orientując się, że dzieje się coś pokątnego, ale nie wiedząc dokładnie co.

- Pański raport kredytowy... - Randall sprawiał wrażenie niemal zażenowanego. - Analizowaliśmy pańskie karty kredytowe.

- Jakie karty kredytowe? - spytał John. Nie miał nawet zwykłego konta.
 - Proszę się tym nie niepokoić. - Randall poklepał Johna po ramieniu, jakby byli starymi kumplami.
 - Jakie karty kredytowe? - powtórzył John. Świerzbilo go, żeby strząsnąć dłoń dzieciaka. Nie cierpiał przyznawać, że czegoś nie wie. Brak orientacji wystawiał człowieka na niebezpieczeństwo.
- Randall wreszcie zabrał rękę.
- Szefie - zaczął. - Nie ma o czym mówić, tak? Wystarczy spłacać w terminie, a my nie będziemy się wtrącać. Nikomu niczego nie zgłaszamy, chyba że pojawiają się zaległości w ratach.
- John skrzyżował ramiona na piersi, choć miał świadomość, że przez to wygląda na jeszcze większego, jeszcze groźniejszego.
- Posłuchaj - powiedział. - Chcę ten gówniany telewizor z przodu, dwadzieścia dwa cale z pilotem. To wszystko.
 - Spoko - rzucił Randall, unosząc dłonie. - Jasne. Żaden problemu. Pomyślałem tylko, że przy takiej zdolności kredytowej...
- John musiał znowu zadać pytanie.
- Jakiej zdolności?

- Pańskiej zdolności kredytowej - powtórzył dzieciak tonem głosu przechodzącym z niedowierzania w czyste osłupienie. - Jak żyję nie wiedziałem tu lepszej. Mamy w bazie ładnych paru ludzi, nie przekraczają trzystu punktów.

- A moja ile wyniosła?

Ekspedient wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Nie wolno nam udzielać takich informacji.

John przybrał stanowczy, lekko chrapliwy ton.

- Ile wyniosła moja?

Twarz Randalla zrobiła się purpurowa, zdobiące ją pryszczki zbieleły. Wyszeptał:

- Siedemset dziesięć - i zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy szef na niego patrzy. -

Może pan pójść do prawdziwego sklepu, panie Shelley. Może się pan przejść do Circuit City albo Best Buy...

- Pokaż mi to.

- Raport kredytowy?

John zbliżył się jeszcze bardziej.

- Powiedziałeś, że są tam jakieś karty kredytowe. Chcę wiedzieć jakie.

Randall znowu obejrzał się przez ramię, a powinien skupiać się na tym, co się dzieje z przodu.

- Przestań się oglądać za siebie, chłopcze. Spójrz na mnie. Odpowiedz na moje pytanie.

Ekspedient przełknął ślinę, poruszając grdyką.

- Może pomyliłem się w pańskim numerze ubezpieczenia. Aktualny adres zamieszkania był inny...

- A nazwisko?

- To samo.

- Miejsce poprzedniego zameldowania w Garden City się zgadzało?

- Tak, proszę pana.

Podsumował fakty.

- Myślisz, że jest jakiś inny Jonathan Winston Shelley, o tej samej dacie urodzenia, mieszkający w Atlancie, zameldowany pod moim wcześniejszym adresem, który ma numer ubezpieczenia społecznego tak zbliżony do mojego?

- Nie... znaczy się... tak. - Na górnej wardze chłopaka pojawił się pot, głos zaczął mu drżeć.

- Przykro mi, proszę pana. Mogę stracić pracę, jeśli to panu pokażę. Może pan sam zdobyć odpis za darmo. Podam panu numer...

- Mniejsza z tym - powiedział John, czując się jak potwór, że tak wsiadł na dzieciaka. Strach w jego oczach ranił jak kawałek szkła. John przeszedł z powrotem przez sklep, minął telewizor, który chciał kupić, i wyszedł, zanim zdążyłby powiedzieć coś, czego by żałował. Zamiast pójść do domu, przeciął ulicę i usiadł na ławce przy przystanku autobusowym. Wyjął ze stojaka jedną z bezpłatnych gazet lokalnych i przerzucił kilka stron. Ulica była czteropasmowa, ale bardzo ruchliwa. Zasłoniwszy się dziennikiem, obserwował sklep,

patrzył, jak Randall i pozostali ekspedienci rozmawiają z ludźmi, którzy powinni mieć dość rozumu, żeby nie podpisywać cyrografu.

Raporty kredytowe, karty kredytowe, zdolność kredytowa. Cholera, nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia.

Nadjechał autobus, kierowca popatrzył na niego przez drzwi.

- Jedzie pan?

- Następnym - powiedział John. I dodał: - Dzięki. - Lubił kierowców z autobusów miejskich w Atlancie. Nie osądzali ludzi pośpiesznie. Dopóki klient płacił za bilet i nie wywoływał awantur, uważali go za dobrego człowieka.

Zasyczało gorące powietrze z rury wydechowej, autobus odjechał. John przewrócił kolejną stronę w gazecie, ale zaraz wrócił do początku, uświadomiwszy sobie, że nic przecież nie przeczytał. Siedział na przystanku przez dwie, trzy godziny; wstał tylko raz, żeby się wysikać za jakimś opuszczonym budynkiem.

O dwudziestej Randall opuścił sklep. Wsiadł do zardzewiałej toyoty, przekręcił kluczyk w stacyjce i zakłócił spokój wieczoru najohydniejszą muzyką, jaką John w życiu słyszał. Od co najmniej godziny panował zmrok, ale Randall nie zauważyłby Johna, nawet gdyby było jasno jak w południe. Dzieciak miał przypuszczalnie jakieś siedemnaście lub osiemnaście lat. Miał też własny samochód, niezłe płatną posadę i żadnych zmartwień oprócz dupka z doskonałą zdolnością kredytową, który usiłował go sterroryzować tego popołudnia.

Pojawił się kierownik. A przynajmniej John wziął go za kierownika: starszy jegomość, zaczeska na łysinie, żółtawa skóra i grube dupsko od beczynnego siedzenia całymi dniami i mówienia ludziom „nie”.

Jego jęk, kiedy unosił ręce i opuszczał kratę na frontowe okna sklepu, słychać było po drugiej stronie ulicy. Jęknął znowu, zamykając kłódkę, i jeszcze raz, kiedy wstawał. Rozprostowawszy plecy, podszedł do szarobrazowego forda taurusa i wgramolił się za kierownicę.

Zapiął pas, poprawił lusterko i wrzucił wsteczny. Wóz ruszył do tyłu, połyskując białymi światłami nad czerwonymi, potem ruszył prosto i opuścił parking, powarkując jak meleks. Dziesięć minut, piętnaście. Pół godziny. John podniósł się, sam jęknąwszy z wysiłku. W kolanach mu trzasnęło, tyłek miał obolały od zimnego betonu.

Spojrzał w lewo i w prawo zanim przeszedł przez ulicę i minął sklep. Łańcuchy na frontowych drzwiach i oknach były grube, ale John nie zamierzał się włamywać. Skierował się na tyły budynku do kontenera na śmieci.

Kamera monitoringu była skierowana na tylne drzwi i nie obejmowała zasięgiem kontenera. Z metalicznym piskiem odsunął stalową pokrywę. Zapach dochodzący ze środka ranił nozdrza, ale Johnowi zdarzało się wachać gorsze. Zaczął wyciągać małe czarne worki na odpadki, którymi jak widział, były wyłożone kosze na śmieci w sklepie. Pracował z uwagą - rozwiązywał każdy worek, zamiast go rozrywać, i starannie zawiązywał po przeszukaniu, zanim przeszedł do następnego. Po półgodzinie grzebania się w śmieciach brał go pusty

śmiech. Zgromadzone tam dane - numery ubezpieczenia społecznego, adresy, historie zatrudnienia - wystarczyłyby do odstawienia grubego przekrętu. Jednak Johna to nie interesowało. Nie był kanciarzem ani złodziejem. Chciał zdobyć dane, ale tylko swoje, i oczywiście znalazł je w ostatnim worku, który otworzył.

Przechylił raport, żeby łatwiej go odczytać w świetle zewnętrznych halogenów.

Ten sam numer ubezpieczenia społecznego. Ta sama data urodzenia. Ten sam poprzedni adres.

Jonathan Winston Shelley, lat trzydzieści pięć, posiadacz dwóch kart Master Card, trzech kart Visa i jednej karty stacji Shell. Jako adres figurował numer skrytki pocztowej z kodem 30316, co znaczyło, że mieszka gdzieś w południowo-wschodniej części Atlanty - kilka kilometrów od aktualnie wynajmowanego przez Johna pokoju w Chez Flop House na Ashby Street, na południe od kapitolu stanowego Georgii.

Jego zdolność kredytowa była imponująca, rachunek bieżący miał doskonałą historię.

Wyglądało na to, że jest bardzo wiarygodnym klientem, i to od sześciu lat. Z wyjątkiem jednej adnotacji „płatność minimalna” na karcie Shella, wszyscy jego kredytodawcy byli zadowoleni z szybkich spłat, co było nieco dziwne, jak się nad tym zastanowić, ponieważ przez ostatnie dwadzieścia lat Jonathan Winston Shelley nie miał wielu okazji do zakupów. Strażnicy w więzieniu rzadko kiedy spuszczają z oka gościa, który odsiaduje dożywocie za zgwałcenie i zabójstwo piętnastoletniej dziewczynki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

John znał Mary Alice Finney, odkąd pamiętał. Grzeczna dziewczynka, ładna cheerleaderka, piątkowa uczennica, ktoś, kogo wszyscy w szkole znali i lubili, bo była tak cholernie sympatyczna. Jasne, niektóre koleżanki jej nienawidziły, ale to właśnie robią dziewczyny, gdy czują się zagrożone: nienawidzą. Rozgłaszają wstrętne plotki. Niby są miłe, ale gdy tylko człowiek się odwróci, wbijają mu nóż w plecy i jeszcze go przekręcają. Nawet w świecie dorosłych, gdy tylko pojawia się jakaś kobieta, która sobie radzi i odnosi sukcesy, dokoła zawsze wykwita grupka innych kobiet, twierdzących, że jest suką i robi karierę przez łóżko. Tak właśnie ten świat jest urządony i w liceum Decatur nie było inaczej.

Tak naprawdę John dopiero później się zorientował, jak bardzo przypominało więzienie. Shelleyowie mieszkali kilka przecznic od Finneyów w jednym z najładniejszych osiedli miasta, sąsiadującym z Agnes Scott College. Ich matki się znały i często spotykały w tym zamkniętym świecie zamożnej warstwy klasy średniej. Poznały się tak, jak zwykle poznają się żony prawników i lekarzy: na jakiejś imprezie dobroczynnej czy wieczorku połączonym ze zbiórką pieniędzy na rzecz lokalnego liceum, szpitala, uczelni - dowolnej instytucji, która akurat służyła za pretekst do wydania wystawnego przyjęcia i pochwalenia się przed znajomymi pięknie urządzonej domem.

Richard Shelley był onkologiem, szefem oddziału onkologicznego w szpitalu Decatur. Jego żona Emily swego czasu zajmowała się sprzedażą nieruchomości, ale rzuciła pracę, kiedy na świat przyszło ich pierwsze dziecko, Joyce. John urodził się trzy lata później i Shelleyowie uznali, że już niczego im do szczęścia nie brakuje.

Emily była jedną z tych matek, które całkowicie poświęcają się wychowywaniu dzieci.

Działała w komitecie rodzicielskim, sprzedawała ciasteczka na rzecz miejscowej organizacji skautowskiej, a tygodnie przed zakończeniem roku szkolnego spędzała, szyjąc kostiumy na uroczystość rozdania świadectw. W końcu jednak dzieci podrosły i przestały jej potrzebować i okazało się, że nagle nie ma co ze sobą zrobić. Kiedy John był w gimnazjum, a Joyce kończyła liceum, Emily wróciła na pół etatu do agencji, żeby nie siedzieć beczynnie w domu.

Nic nie mąciło doskonałej harmonii ich życia. Oprócz Johna.

Kłamstwa pojawiły się nagle i pozornie bez powodu. John był w domu, choć zapowiadał wcześniej, że będzie na treningu. Szedł na trening, gdy mówił, że zostanie w domu. Opuścił się w nauce. Zapuścił włosy. Potem pojawił się smród. Wyglądało na to, że przestał się kąpać, i jego ubrania, kiedy Emily zbierała je z podłogi jego zawilgoconej sypialni, żeby wrzucić do pralki, sprawiały wrażenie plastikowych, jakby ktoś pokrył je teflonem.

Richard wracał ze szpitala późno. Jego praca była emocjonalnie i fizycznie wyczerpująca.

Nie miał czasu ani ochoty martwić się Johnem. Kiedy był w jego wieku, też chodził

posepny. Jako nastolatek miewał swoje sekrety. Narozrabiał, ale załatwił sprawę, prawda? Czas odstawić go od cycka. Dać chłopakowi trochę wolności.

Emily bała się marihuany, więc nie zaniepokoiły jej ślady jakiegoś proszku w przedniej kieszeni dzinsów syna.

- Aspiryna - powiedział jej.

- Po co wkładałaś aspirynę do kieszeni?

- Miewam migreny.

Kiedy był mały, pakował do kieszeni dziwniejsze rzeczy: kamienie, spinacze do papieru, żabę. To jego zdrowie ją zaniepokoiło.

- Może powinieneś pójść do lekarza?

- Mamo.

Zostawił ją stojącą w pralni ze spodniami w rękach.

Shelleyowie, jak większość zamożnych małżeństw, zakładali, że ich pieniądze i przywileje uchronią dzieci przed narkotykami. Nie zdawali sobie sprawy, że te dwa czynniki jedynie pomagały dzieciom zdobyć lepsze narkotyki. Poza tym Emily Shelley chciała wierzyć, że jej syn jest dobrym chłopcem, więc wierzyła. Nie zwracała uwagi na szklisty wzrok, jaki miewał rano, krople do oczu, których używał na okrągło, słodki, mdlący zapach, jaki dochodził ze składziku na tyłach domu. Doktor Richard natomiast nie wystawiał nosa zza gazety przy śniadaniu i nie wiedział, że syn ma źrenice wielkości półdolarówek czy że nos krwawi mu częściej niż niektórym ze zżeranych przez raka pacjentów na jego oddziale.

Doskonale życie sypało się kawałek po kawałku.

Przypadkowa kontrola w szkole ujawniła torebkę z haszem wepchniętą w parę tenisówek w szafce Johna.

- To nie moje buty - powiedział John i Emily potwierdziła, że obuwie nie przypomina adidasów, które widziała wcześniej u syna.

Potem zadzwonił ochroniarz pracujący w lokalnym centrum handlowym z informacją, że ich syna przyłapano na kradzieży kasy magnetofonowej.

- Zapomniałem za nią zapłacić. - Wzruszył ramionami John.

Matka stwierdziła, że przecież naprawdę miał przy sobie dwadzieścia dolarów. Dlaczego, na Boga, miałby kraść coś, za co mógł zapłacić?

Ostatni kawałek odpadł pewnej piątkowej nocy. Zadzwonił stażysta ze szpitala, budząc Richarda Shelleya, żeby mu powiedzieć, że jego syn leży na oddziale pomocy doraźnej z powodu przedawkowania kokainy.

Trudno o skuteczniejsze zerwanie kłapek z oczu. Wyniki badań medycznych - coś, czym ojciec mógł wymachiwać przed nosem matce - były materialnym dowodem bezwartościowości ich syna.

Nocami John siedział w sypialni i słuchał, jak rodzice się o niego kłóca, aż ojciec wrzeszczał coś w rodzaju „koniec i kropka”, a matka biegła do swojej sypialni i trzaskała drzwiami.

Potem zaczynały się stłumione łkania i John włączał magnetofon na cały regulator. Def

Leppard ryczał z głośników, dopóki Joyce (ucząca się, oczywiście) nie zaczęła walić w dzielącą ich pokoje ścianę, drąc się: „Scisz to, frajerze!”

John w odpowiedzi nazywał ją dziwką, walił w ścianę i robił rejwach, że do pokoju wpadał ojciec, szarpał go za ramię i pytał, co się, u licha, z nim dzieje. - Przeciwno czemu się buntujesz? - chciał wiedzieć. - Masz wszystko, o czym tylko zamarzysz!

- Dlaczego? - pytała matka syna, zalewając się łzami. - Gdzie popełniłam błąd?

John wzruszał ramionami. Zawsze tak reagował, kiedy próbowali do niego przemówić: wzruszał ramionami. Wzruszał nimi tak często, aż ojciec zaczął podejrzewać, że musi chyba mieć jakieś zaburzenia neurologiczne. Może trzeba podawać mu lit. Może trzeba umieścić go w szpitalu psychiatrycznym.

„Jak to się zaczęło?” - zachodziła w głowę matka. Przecież musi być jakiś sposób, żeby to cofnąć, naprawić, gdyby tylko udało jej się ustalić, jak się zaczęło.

- Kto cię od tego uzależnił? Powiedz, kto ci to zrobił!

Wzruszenie ramion Johna. Sarkastyczny komentarz ojca:

- A może jesteś upośledzony? Autystyczny? To ci dolega?

Zaczęło się od trawki. W końcu Nancy Reagan nie bez powodu mówiła dzieciakom, żeby po prostu odmawiały. Pierwszy raz John był na haju, jakże odpowiednio, zaraz po pogrzebie.

Barry, brat Emily, zginął w wypadku samochodowym na autostradzie. Tak nagle. Fatalnie.

Jego śmierć położyła się cieniem na życiu innych. Był potężnym, zażywnym mężczyzną.

Jadł, co chciał, palił cygara niczym Fidel Castro. Brał tabletki na nadciśnienie, przyjmował

zastrzyki na cukrzycę i ogólnie rzecz biorąc, powoli kopał sobie grób. To, że zginął zabity przez kierowcę ciężarówki, który zasnął za kółkiem, trąciło farsą.

Pogrzeb odbył się w ciepły wiosenny ranek. W kościele John siedł za trumną obok kuzyna Woody'ego. Nigdy wcześniej nie widział płaczącego chłopaka i czuł się dziwnie, patrząc, jak twardy Woody, o cztery lata starszy i z luzem, o jakim John mógł tylko pomarzyć, załamuje się na jego oczach. Barry nie był nawet jego prawdziwym ojcem. Matka Woody'ego rozwiodła się - fakt jak na owe czasy skandaliczny. Z Barrym byli małżeństwem jedynie przez dwa lata. John nawet nie miał pewności, czy Woody nadal należy do jego rodziny.

- Chodź - powiedział Woody.

Wrócili do domu ciotki, tak teraz pustego bez wujka Barry'ego. Był duszą towarzystwa, zawsze potrafił rzucić stosowny żart czy zaśmiać się we właściwym momencie, żeby rozładować napięcie. Ojciec Johna za nim nie przepadał i John podejrzewał, że przez czysty snobizm. Barry sprzedawał ciągniki siodłowe. Dobrze zarabiał, ale zdaniem Richarda taka praca nie różniła się niczym od sprzedawania używanych samochodów.

- No chodź - ponaglił Woody, idąc na górę do sypialni.

John rozejrzył się w poszukiwaniu rodziców, jakiś ton w głosie kuzyna ostrzegł go, że zaraz wydarzy się coś złego. Poszedł jednak do pokoju i na jego polecenie zamknął drzwi, a potem przekręcił klucz w zamku.

- Cholera - westchnął Woody, opadając na fotel.

Zza książek na półce z tyłu wyciągnął plastikową puszkę na klisze, potem wy dostał spod materaca bibułkę do papierosów. John patrzył, jak wprawnie skręca jointa. Woody zauważył, że kuzyn się na niego gapi.

- Mam ochotę strzelić sobie sztacha, młody. A ty?

John nigdy wcześniej nie palił nawet papierosa, nie zażywał niczego silniejszego od syropu na kaszel - który zresztą matka trzymała pod kluczem w łazience, jakby był radioaktywny - ale kiedy Woody zaproponował mu skręta, powiedział:

- Fajowo.

Licząc na jakieś wskazówki, patrzył, jak kuzyn wciąga dym do płuc i trzyma. Kiedy wziął do ręki jointa, nad wargą pojawił mu się pot. Bardziej przerażała go myśl, że zbłąźni się przed Woodym, niż że robi coś zakazanego.

Spodobało mu się odprężenie, jakie czuł po wypaleniu blanta, to, jak wszystko obojętniało. Już się nie przejmował tym, że ojciec ma go za skończonego patałacha, że matka jest nim ustawicznie zawiedziona. Po kilku sztachach genialność Joyce idącej w ślady ojca nie działała tak na nerwy. Prawda wyglądała tak, że bardziej lubił być z rodziną, gdy był na haju.

Kiedy rodzice wreszcie się zorientowali, co się dzieje, obarczyli winą sprawcę starego jak świat: złe towarzystwo. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że złym towarzystwem był John Shelley. W ciągu kilku tygodni awansował z niezdarnego głupka na ćpuna i uwielbiał uwagę, jaką wzbudziła transformacja. Dzięki Woody'emu stał się chłopakiem z towarem.

Wiedział, gdzie odbywają się fajne imprezy, na których nieletni licealiści są mile widziani, jeśli przyprowadzają ze sobą ładne dziewczyny. Jako piętnastolatek sprzedawał już działki swoim nowym znajomym. Na jednym ze spotkań rodzinnych dostał od Woody'ego pierwszą kreskę koki i klamka zapadła.

Gdy skończył siedemnaście lat, odsiadywał już karę za zabójstwo.

O ile John sobie przypominał, Mary Alice Finney była jego pierwszą znajomą dziewczynką spoza najbliższej rodziny. Ich matki na zmianę woziły dzieci do szkoły. Siedzieli na tylnym siedzeniu, zaśmiewali się z głupot, grali w bzdurne gry, w które gra się dla zabicia czasu. Przez całą podstawówkę podążali mniej więcej tą samą drogą. Byli bystrymi dzieciakami, którym na niczym nie zbywało. W gimnazjum wszystko się zmieniło. Wujek Barry nie żył. John stał już na czele złego towarzystwa.

- Zmieniłeś się - powiedziała mu Mary Alice w dniu, w którym zaczepił ją przed szatnią dla dziewcząt. Przyciskała podręczniki do piersi, jakby chciała się osłonić. - Chyba nie podoba mi się osoba, którą postanowiłeś się stać.

Postanowiłeś się stać. Jakby miał jakiś wybór. Jakby jego chcenie miało tu coś do rzeczy. Nie wybierał sobie oschłej korby na ojca, a słodkiej idiotki na matkę, która nie zdejmowała z nosa różowych okularów. Nie wybierał sobie na siostrę Joyce, tego wcielenia ideału, tej suki, która tak wysoko ustawiła poprzeczkę, że John mógł jedynie podskakiwać na palcach i liczyć, że zdoła dotknąć krawędzi, ale o przeskoczeniu jej nawet nie marzył. Czy to był jego wybór? Od początku nie miał żadnej szansy.

- Pieprzę cię - powiedział Mary Alice.

- Chciałbyś - warknęła i przerzuciła włosy na bok. Odwróciła się na pięcie i odeszła, a on został tam sam jak idiota.

Wieczorem stanął przed lustrem, przyjrzał się swoim tłustym, długim włosom, ciemnym podkówkom pod oczyma, wypryskom na policzkach i czole. Reszta ciała nie dogoniła jeszcze wielkich stóp i rąk i nawet wystrojony do kościoła wyglądał jak fasolka szparagowa stojąca na kilku kartonowych pudełkach. Był wyrzutkiem w szkole, nie miał już żadnych prawdziwych przyjaciół i w dojrzałym wieku lat piętnastu jego doświadczenia seksualne sprowadzały się do należącego do siostry balsamu do rąk i bogatej wyobraźni. Patrząc w lustro, John ogarnął to wszystko, potem wymknął się do składziku na podwórku i wciągnął tyle koki, że go zemdliło.

Od tego dnia znienawidził Mary Alice. Całe zło w jego życiu było jej winą. Rozpuszczał o niej plotki. Robił sobie żarty jej kosztem, i to tak, żeby słyszała i wiedziała, jak bardzo nią pogardza. Na widowiskach przed meczami przeszkadzał jej, kiedy dyrygowała cheerleaderkami. Myślał o niej nawet nocami, o tym, jak bardzo jej nie cierpi, i nagle jego ręka, nie wiedzieć jak i kiedy, przenosiła się z brzucha pod szorty, i wystarczyło, że przypomniał sobie, jak wyglądała tego dnia w szkole, jak uśmiechała się do innych ludzi, idąc korytarzem, jaki obcisły sweterek miała na sobie, i było po nim.

- John? - Matka miała jakiś szósty zmysł i zawsze pukała do jego sypialni, właśnie kiedy się brandzłował. - Musimy porozmawiać.

Emily chciała rozmawiać o pogarszających się stopniach, o ostatnim zatrzymaniu, o czymś, co akurat znalazła w kieszeniach jego spodni. Chciała porozmawiać z obcym, który wprowadził jej syna, błagać go, by oddał jej Johnny'ego z powrotem. Wiedziała, że jej dziecko jest gdzieś tam w środku, i nie dawała za wygraną. Nawet podczas procesu John czuł jej milczące wsparcie, kiedy siedział za stołem, słuchając prawników, którzy nazywali go mętem, i spoglądając na przysięgłych, którzy nawet nie patrzyli mu w oczy. Jedyną osobą na sali sądowej, która ciągle wierzyła w Johna Shelleya, była jego matka. Nie postawiła krzyżyka na swoim chłopcu, na tym zuchu, małym modelarzu, ukochanym dziecku. Chciała go wziąć w ramiona i wszystko naprawić, przycisnąć twarz do jego szyi i poczuć ten dziwny zapach surowego ciasta i mokrej gliny, jaki miał, kiedy bawił się na podwórku z kolegami. Chciała słuchać, jak opowiada jej o tym, co robił, o rozegranym meczu baseballu, nowym przyjacielu, którego właśnie poznał. Chciała swojego syna. Umierała z bólu za synem. Ale jego już nie było.

DECATUR CITY OBSERVER

15 lipca 1985 roku

SPRAWA FINNEY: SHELLEY BĘDZIE ODPOWIADAŁ JAK DOROSŁY

Sędzia okręgowy Billie Bennet orzekła wczoraj, że piętnastoletni Jonathan Winston Shelley zamieszkały w Decatur będzie sądzony jak pełnoletni w procesie o zabójstwo Mary Alice Finney, także z Decatur. obrońcy oskarżonego powoływali się na okoliczności łagodzące, ale sędzia Bennet uznała, że z uwagi na wcześniejsze zatrzymania podsądnego, a także inne czynniki obciążające, nie widzi powodu, dla którego młodociany nie miałby odpowiadać jak dorosły. Prokurator Lyle Anders oświadczył, że oskarżenie będzie wnosić o karę śmierci. Paul Finney, ojciec zamordowanej dziewczyny, powiedział reporterom przed gmachem sądu, że jest „zadowolony” z decyzji sędzi. Shelley, oskarżony o zabójstwo kwalifikowane, będzie pierwszym nastolatkiem z hrabstwa DeKalb sądzonym jak osoba pełnoletnia. W osobnym postanowieniu Bennet odrzuciła zgłaszany przez obronę wniosek o zmianę miejsca procesu.

Od chwili kiedy Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych potwierdził zgodność z konstytucją wyroku wydanego w sprawie Gregg v. Georgia (1976), w stanie przeprowadzono sześć egzekucji. Najmłodszym straconym był szesnastoletni Eddie Marsh. Za zabójstwo farmera z

hrabstwa Dougherty został skazany na śmierć, wyrok wykonano 9 lutego 1932 roku. W marcu bieżącego roku dwudziestoosmioletni John Young, który dziesięć lat temu podczas napadu na dom w hrabstwie Bibb zamordował troje jego mieszkańców, został stracony na krześle elektrycznym w stanowym więzieniu diagnostyczno-kwalifikacyjnym w Jackson.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

2 PAŹDZIERNIKA 2005 ROKU

John spał źle, co nie było dla niego niczym nowym. W więzieniu najgorsze były noce. Słyszało się krzyki, przed wszystkim. Płacz. Inne odgłosy, o których wolał nie myśleć. Miał piętnaście lat, kiedy trafił do aresztu, szesnaście, kiedy został osadzony w zakładzie karnym. Teraz miał trzydzieści pięć i za kratkami spędził więcej lat, niż przespał w domu rodziców.

Choć w więzieniu panował hałas, człowiek się do niego przyzwyczajał. Ciężko robiło się dopiero na wolności. Klaksony samochodów, syreny wozów strażackich, ryczące zewsząd radia. Słońce było jaśniejsze, zapachy bardziej intensywne. Na widok kwiatów łzawiły mu oczy, jedzenie było niemal niezjadliwe. Zbyt silny smak, zbyt duży wybór, by czuł się komfortowo, idąc do restauracji i zamawiając posiłek.

Zanim John został zamknięty, na ulicach nie widywało się ludzi uprawiających jogging, ze słuchawkami w uszach i w obcisłych, przylegających do ciała szortach z lycry. Telefony komórkowe nosiło się w dużych torebkach na ramię i tylko naprawdę zamożni ludzie mogli sobie na nie pozwolić. Rap funkcjonował w nurcie niszowym, człowiek był cool, jeśli słuchał

Mötley Crüe i Poison. Odtwarzacze CD były czymś wziętym ze Star Treka, a zresztą już samo oglądanie serialu dawało etykietkę dziwaka.

Nie wiedział, co ma począć z tym nowym światem. Nie rozumiał go. Nie było w nim niczego, co znał. Pierwszego dnia na wolności wszedł do szafy w domu matki, zamknął drzwi i płakał jak dziecko.

- Shelley! - wrzasnął Art. - Pracujesz czy nie?!

John pomachał ręką szefowi, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Przepraszam, szefie.

Podszedł do zielonego suburbana i zaczął ścierać wodę z boku auta. To była kolejna rzecz, która go zszokowała. Samochody zrobiły się takie wielkie. W więzieniu był jeden odbiornik telewizyjny, który miał dwa kanały, i starsi stażem osadzeni decydowali, jaki program ma lecieć. Antena została oderwana i wykorzystana do wyłupienia komuś oczu, na długo zanim John się pojawił, i obraz był fatalny. Nawet kiedy akurat nie śnieżyło i udawało się coś dostrzec na ekranie, samochód na przykład, telewizja zaburzała wyczucie skali. Poza tym człowiek się zastanawiał, czy to, co widzi, jest prawdziwe, czy tylko wykonane na potrzeby danego programu. Może te seriale przedstawiały tak naprawdę jakiś alternatywny świat, w którym kobiety nosiły spódniczki ledwo zakrywające krocze, a mężczyźni paradowali w obcisłych skórzanych portkach i rzucali teksty w rodzaju: „Mój ojciec nigdy mnie nie rozumiał”.

Chłopacy zawsze wybuchali śmiechem na taki widok, darli się „cipa” i „pedał”, zagłuszając kolejną kwestię aktora.

John nie oglądał często telewizji.

- Ej-ej - powiedział Ray-Ray, pochylając się, żeby nałożyć silikon na opony suburbana. John podniósł głowę i zobaczył wjeżdżający do myjni radiowóz. Ray-Ray zawsze powtarzał wszystko dwukrotnie, stąd jego przezwisko, i zawsze ostrzegał Johna, kiedy w pobliżu pojawiał się jakiś glina. John rewanżował się w ten sam sposób. Nigdy ze sobą nie rozmawiali tak naprawdę, tym bardziej nie zwierzali się sobie ze swojej przeszłości, ale obojgu wystarczył rzut oka, by wiedzieć, kim jest drugi: kryminalistą.

John zaczął myć boczną szybę od strony kierowcy, nie spiesząc się, tak by widzieć policjanta w odbiciu. Najpierw usłyszał radio, ten ciągły szum komunikatów dyspozytorów porozumiewających się własnym szyfrem. Funkcjonariusz się rozejrzał, przejrzał ich obu w równo dwie sekundy, po czym podciągnął pas i wszedł do środka zapłacić za mycie. Nie żeby ktoś żądał od niego zapłaty, ale zawsze dobrze jest poudawać.

Właścicielka suburbana stała niedaleko i rozmawiała przez komórkę. John mył dalej okno, ale zamknął oczy wsłuchując się w jej głos, rozkoszując jego brzmieniem jak najwspanialszą muzyką. Pod celą zapomniał, jakie to piękne: ten delikatny ton, te narzekania, które mogły wyjść jedynie z ust kobiety. Brzydkie fryzury. Niegrzeczni ekspedienci. Połamane paznokcie. Mężczyźni rozmawiali o rzeczach samochodach, broni,

cipach. Nie omawiali swoich uczuć z wyjątkiem może wściekłości, a nawet wtedy rzecz nie trwała długo, bo zwykle szybko zaczynali coś z tym robić.

Co dwa tygodnie matka Johna jechała z Decatur do Garden City na widzenie, ale choć bardzo się cieszył na jej widok, nie tego rodzaju kobiecego głosu chciał słuchać. Emily zawsze była pogodna, szczęśliwa, że widzi syna, nawet jeśli poznawał po jej oczach, że jest zmęczona długą podróżą albo smutna, że zrobił sobie kolejny tatuaż, że nosi kucyk.

Przyjeżdżała też ciotka Lydia, ale tylko dlatego, że była jego adwokatem. Joyce pojawiała się dwa razy w roku z matką, raz na Boże Narodzenie, drugi raz w jego urodziny. Nie cierpiała tych wizyt. To się czuło. Chciała się stamtąd wydostać niemal bardziej niż John, a kiedy z nim rozmawiała, przypominały mu się wymiany zdań między członkami czarnych gangów i bractwa Aryjczyków. „Ty pierdolony czarny brudasie. Ty w dupę jebany biały cwelu. Zabiję cię przy pierwszej okazji”.

Przez cały okres odsiadki ojciec przyjechał zobaczyć się z nim tylko dwa razy, ale John nie lubił o tym myśleć.

- Przepraszam? - Kobieta z komórką stała obok. Czuł zapach jej perfum. Górna warga miała kształt małej muchy przy koszuli, błyszczczyk sprawiał, że usta wyglądały na wilgotne. -

Halo? - powiedziała z lekkim śmiechem.

- Przepraszam - zdołał wydusić John, zszokowany, że podeszła tak blisko, a on nawet nie zauważył. Pod celą już byłby trupem.

- Powiedziałam „dziękuję” - rzuciła. Trzymała w dłoni banknot jednodolarowy i wziął go, czując się jednocześnie brudny i godny pogardy.

Ostentacyjnie schował banknot do wspólnej puszeki na napiwki, świadom, że jest pod ostrzałem wszystkich pracowników. Sam zachowywał się tak samo, gdy klient wręczał napiwek komuś innemu. Nikt tu nie ufał nikomu, i słusznie. Nie trzeba było mieć skończonych studiów, żeby się domyślić, dlaczego zgraja facetów w średnim wieku pracuje za głodową stawkę plus napiwki w myjni Gorilla. Z biura wyszedł Art, wołając: „Pierwsza zmiana, lunch”. Podszedł do gliniarza stojącego przy automacie z napojami. Cholera, tego John też nie zauważył. Policjant wyszedł na zewnątrz, obserwował go, a on nic nie widział. Ze zwieszoną głową poszedł na zaplecze, odbił kartę zegarową i zdjął z półki swój lunch. W lodówce miał wodę gazowaną, ale nie wchodziło w grę, żeby wyszedł na zewnątrz, dopóki gliniarz nie zniknie, a Art nie wróci za biurko liczyć kasę.

Chico, jeden z pracowników, siedział na cementowym murku w cieniu wielkiej magnolii, która rosła na skrawku trawnika na tyłach. John lubił siadywać tam pod drzewem, rozkoszować się cieniem i samotnością, ale dzisiaj ubiegł go Chico. Coś takiego nie wydarzyłoby się nigdy pod całą. Zajęcie komuś miejsca było jak zerżnięcie jego siostry w dupę. Tam wszystko miało jakieś konsekwencje.

- Jak leci? - John pozdrowił Chica kiwnięciem, gdy go mijał w drodze do wiaty na samochody, która służyła za sklepik motoryzacyjny.

Właściciele poszli na lunch. Zarabiali dość pieniędzy, by pozwolić sobie na ten luksus.

John usiadł na ziemi pod daszkiem. Zdjął baseballówkę i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Kiedyś listopad oznaczał zimę, teraz człowiek miał szczęście, jeśli w kurtce, którą włożył rano, nie zlewał się potem w południe.

Chryste, nawet pogoda się zmieniła pod jego nieobecność.

Rozejrzył się dokoła, zanim z tylnej kieszeni wyciągnął kartkę papieru. Raport kredytowy. Wczoraj wieczorem chciał nawet przez chwilę wepchnąć go z powrotem do torby na śmieci, machnąć na to ręką. Jakiś chujek się pod niego podszywał. Jakie to miało znaczenie dla Johna Shelleya? Facet najwyraźniej nie robił żadnego przekrętu. Bo po co niby od sześciu lat spłacałby regularnie co miesiąc karty kredytowe? W więzieniu John słyszał o najróżniejszych oszustach i choć nie miał tam dostępu do komputera, wiedział, że Internet jest najprostszym sposobem na kradzież cudzej tożsamości i robienie kantów na czyjeś konto.

Jednak w takim wypadku wyglądało to inaczej. Brało się pieniądze i zmywało. Nie czekało się i nie płaciło punktualnie comiesięcznych rachunków. To jakby ktoś zamówił dla jaja pięćdziesiąt pizz do czyjegoś domu, tyle że nie wiedzieć czemu płacił za nie własną kartą kredytową.

Złożył raport i wsadził z powrotem do kieszeni. Powinien trzymać się od tej afery z daleka. Napyta sobie tylko biedy, jeśli będzie w tym grzebał. Powinien robić dokładnie to, co mówiła kuratorka: skoncentrować się na odbudowaniu swojego życia. Znaleźć stałą pracę. Pokazać ludziom, że się zmienił.

A jednak doskwierała mu ta sprawa. Jak drzazga, która nie chce wyjść. Przez całą noc się nad tym zastanawiał, usiłując znaleźć korzyść. Musiała być korzyść. Inaczej po co ktoś w ogóle zawracałby sobie głowę? Może jakiś gość z przeszłością wykorzystywał dane Johna w charakterze przykrywki. Niewykluczone, że jakiś nożownik dał dyla albo jakiś robot ukrywa się przed policją i John Shelley wydał im się dobrą zastoną.

Roześmiał się na tę myśl i nadgryzł kanapkę z masłem orzechowym i bananem. Trzeba być nieźle zdesperowanym, żeby podszywać się pod skazanego mordercę i zarejestrowanego przestępcę seksualnego. Masło orzechowe stanęło mu w gardle, zakaszłał parę razy, potem wstał i podszedł do węża zwiniętego na ziemi. Odkręcił kurek i napił się, patrząc, jak Ray-Ray rozmawia z jakąś kobietą przy odkurzaczach, odstawiając swoją zwykłą gadkę, którą czarował babki. Sądząc po jej stroju, mógł zaoszczędzić sobie wysiłku i po prostu dać jej pieniądze. Większość chłopaków z myjni korzystała z usług miejscowych panienek. Kierując się Cheshire Bridge Road, dojeżdżało się do Colonial Restaurant, prostego lokalu serwującego steki z frytkami, gdzie roiło się od dziewczek czekających na klientów w pokojach na tyłach. John często słyszał kumpli spierających się w poniedziałkowe ranki o to, jak jest lepiej: iść do nich wcześniej, kiedy są świeże, i zapłacić więcej, czy pofatygować się później, kiedy są zmęczone, i zapłacić mniej.

Ekonomia ulicy.

- Spierdalaj, dupku! - wrzasnęła dziewczka, waląc dłońmi w tułów Ray-Raya.

Ten warknął coś w odpowiedzi i popchnął ją tak, że upadła na tyłek.

Pierwszym odruchem Johna było nie ruszać się z miejsca. Nie należy się mieszać w czyjeś gówna. Można to przypłacić życiem. Wprawdzie to kobieta, ale pracuje na ulicy. Potrafi o siebie zadbać. Przynajmniej tak się wydawało, dopóki Ray-Ray nie zamachnął się i nie walnął jej pięścią prosto w twarz.

- Jasny gwint - wymruczał Chico, siedzący tuż przy ringu. - Nawet nie czekał, aż wstanie. John popatrzył na swoje buty, przemoczone do suchej nitki. Z węża nadal się lało. Może narobić sobie przez to kłopotów. Podszedł do kurka, żeby go zakręcić. Przez chwilę zapomniał, że zamyka się w prawo, i przekręcił w lewo. Zwinął wąż i odłożył na miejsce. Kiedy podniósł wzrok, noga Ray-Raya była w powietrzu i pikowała w dół prosto w twarz dziwki.

- Ej! - krzyknął wtedy John. - Ej - powtórzył, kiedy stopa Ray-Raya nawiązała kontakt. John musiał podbiec, a także chyba powiedzieć po drodze coś jeszcze, co ściągnęło więcej uwagi na całą sytuację. Kiedy do jego mózgu dotarło wreszcie, co czyni ciało, pięść go bolała, jakby użądlił ją szerszeń, a Ray-Ray leżał na ziemi jak długi.

- Co jest, kurwa? - wrzasnął Art. Miał metr pięćdziesiąt dwa w kapeluszu, ale stanął tuż przy piersi Johna, nwrzeszcząc z zadartą głową: - Ty pierdolona małpo!

Obaj popatrzyli w dół. Jeden z zębów Ray-Raya leżał na chodniku w kałuży krwi. On sam wyglądał na martwego, ale jakoś nikt się nie rzucał, żeby sprawdzić, czy oddycha.

W drzwiach budynku stał gliniarz. John wolno przesunął wzrokiem po czarnych półbutach, ostrym kancie spodni, pasie z kaburą, gdzie na kolbie pistoletu spoczywała wielka dłoń, i

zmusił się, by spojrzeć policjantowi w twarz. Ten patrzył prosto na Johna, przykręcił radio, ścisząc wezwania z dyspozytorni do szeptu.

- Co się tu dzieje?

John musiał użyć całej siły woli, żeby z miejsca nie położyć rąk na karku.

- Uderzyłem go.

- Co ty nie powiesz, dupku - warknął Art. – Zwalniam cię w pizdu. - Szturchnął Ray-Raya stopą. - Jezu Chryste, Shelley. Czym go walnąłeś, pierdolonym młotkiem?

John spuścił głowę i wbił oczy w ziemię. O Boże. Nie może że wrócić do więzienia. Nie po tym wszystkim. Nie po tym, co przeszedł.

- Przepraszam - powiedział. - To się już nie powtórzy.

- Masz to jak w banku, cholera - warknął Art. - Chryste. - Zerknął na gliniarza. - Tak mi się odwdzięczają za to, że daję im drugą szansę.

- Przykro mi - powtórzył John.

- Halo! - wrzasnęła dziwka. - Może któryś by mi pomógł.

Wszyscy mężczyźni popatrzyli w dół, zszokowani, jakby zupełnie zapomnieli o jej istnieniu.

Miała ostrą twarz, która milionami zmarszczek opowiadała historię jej życia. Z nosa i ust ciekła krew. Opierała się na łokciach, wychudłą szyję spowijało potwornie brudne boa z białych piór, fioletowa, wyglądająca na plastikową minispódniczka i czarny bezrękawnik, częściowo odsłaniający jej obwisłe piersi, ledwo zakrywały zniszczone ciało.

Nikt nie chciał jej dotknąć.

- Halo, mój waleczny rycerzu - powiedziała, wyciągnąwszy rękę w kierunku Johna. - Chodź, ogierze. Pomóż mi, do cholery.

John się zawahał, ale po chwili podał jej rękę i pomógł, wstać. Śmierdziała papierosami i burbonem, z trudem utrzymywała się na wysokich obcasach. Wpiła mu dłoń w ramię, usiłując złapać równowagę. Starał się nie wzdrygnąć z obrzydzenia na myśl o tym, co wcześniej robiła ta ręka. Cera w promieniach słońca była ziemista i John zgadywał, że wątroba dziwki jest tak zdesperowana, że z chęcią dałaby dyla przez pępek, gdyby tylko pojawiła się taka sposobność. Mogła mieć trzydzieści lat, mogła mieć i osiemdziesiąt. Policjant postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

- Może mi powiesz, o co poszło?

- Nie chciał zapłacić - rzuciła podbródkiem, pokazując na Ray-Raya rozciągniętego na ziemi twarzą do dołu. Jej głos brzmiał jak odgłos kamienia podzwaniającego w filiżance flegmy. To, co wymamrotała jeszcze mniej wyraźnie, prawdopodobnie nie było warte słuchania.

- Dałaś mu na kredyt? - spytał gliniarz, nie starając się ukryć niedowierzania. Trudno było odmówić mu racji. John nie skredytowałby Ray-Rayowi nawet krowiego placka. - Był tam w środku - powiedziała, mając na myśli przenośną toaletę na tyłach budynku. - Próbował mnie naciągnąć, wszarz jeden. Powiedział, że jutro ma wypłatę.

Brew gliniarza podjechała do góry.

- Zalewasz.

- Poszedł za mną aż tutaj, namawiając, żebym mu dała. Jakby to był dzień promocji w jakimś pieprzonym dyskoncie Głupi ciul. - Uniosła nogę i stopą w lakierowanej szpilce kopnęła Ray-Raya w ramię.

- Ej, już, już - powiedział Ray-Ray, przewracając się na plecy z jękiem.

John domyślił się, że dupek udawał nieprzytomnego, i ręka go świerzbiła, żeby mu jeszcze raz przywalić za wywołanie afery.

Gliniarz trącił Ray-Raya butem.

- Lubisz sępić za frajer, głupi nygusie?

Ray-Ray przyłożył dłoń do oczu, żeby nie oślepiło go słońce, i popatrzył na policjanta.

- Nie, nie, człowieku. To nie tak. Zupełnie nie tak.

- Wstawaj, pieprzony idioto, cholera - rozkazał policjant. - Ty. - Wskazał na kurwę. - Gdzie jest twój rejon?

Ścierała pył z łokci.

- Przy monopolu.

W radiu gliniarza rozległy się trzaski, potem: „Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt dwa?”

Wcisnął przycisk i powiedział:

- Zgłaszam się. - Potem wskazał na Johna i nie przestając słuchać dyspozytora, ciągnął: -

Ty, królewiczu z bajki. Dopilnuj, żeby dotarła na miejsce cała i zdrowa. Ty - wymierzył palec w Ray-Raya - nie każ mi, do kurwy nędzy, powtarzać, tylko podnieś dupę, bo inaczej zapuszczuję ją tak szybko, że twój kurator nie zdąży ci wezwać taryfy z powrotem do

pierdla. - Ray-Ray skoczył na równe nogi, a gliniarz kliknął w radio i powiedział: - Roger, jestem za dziesięć minut. - Po namyśle spytał Arta: - Pasi ci?

Art zmarszczył brwi, bruzdy na czole ułożyły się w V.

- Dobra, co tam - zgodził się w końcu. - Shelley, zrób sobie dzisiaj wolne. Przyjdź jutro, jak oprzytomniejesz.

- Dziękuję - powiedział John z taką ulgą, że był bliski łez. - Dziękuję panu. Nie zawiodę pana.

Ten respekt z miejsca się opłacił.

- Chcesz, żebym pozbył się tego jąkały? - spytał go Art, dźgając kciukiem Ray-Raya.

John rozważał to przez dobrą sekundę, ale nie mógł spędzić reszty życia, sprawdzając, czy ten dupek nie stoi mu za plecami.

- Już wszystko dobrze - powiedział. - Prawda, Ray-Ray?

- Jasne, jasne - potwierdził Ray-Ray. - W porzo. W porzo.

- Zamknij się - rzucił Art. - Żebym cię tu nie oglądał do środy rano, rozumiesz?

Ray-Ray kiwnął głową. Dwa razy.

Art popatrzył pogardliwie na prostytutkę, potem rzucił Johnowi:

- Zabierz ją stąd, zanim zaczniemy tracić klientów.

John nie miał wyjścia. Kurwa znowu się na nim uwiesiła, wbijając mu kościste palce w ramię tuż nad łokciem. Zaczął ją prowadzić, bo coś mu mówiło, że inaczej kobieta zaryje twarzą w ziemię.

Szli Piedmont Avenue obok śmigających samochodów. John każdego dnia widywał tu całą masę terenówek i sportowych aut. Na jednym końcu alei mieściło się podmiejskie osiedle Buckhead, na drugim Ansley Park. Jedyne rzęchy, jakie z rzadka się tu pojawiały, należały do pokojówek, ogrodników, chłopców od basenów i wszystkich innych biedaków, którzy próbowali związać koniec z końcem, odwalając czarną robotę dla bogaczy.

- Pierdolony kutas - wymruczała dziwka, gdy czekali na światło. Wbiła głębiej szponiaste palce w ramię Johna, starając się utrzymać równowagę na absurdalnie wysokich obcasach.

- Poczekaj chwilę. - Poddała się w końcu. Trzymając się go, zdjęła najpierw jeden, potem drugi but. - Pierdolone szpilki.

- Taa - rzucił John, ponieważ najwyraźniej oczekiwała jakiejś odpowiedzi.

- Czerwone - powiedziała, ciągnąc go na ulicę, gdy samochody zatrzymały się przed sygnalizatorem. - Jezu, ale mnie giry bołą. - Spojrzała na niego, kiedy pokonali skrzyżowanie. - Ząb mi się rusza, wiesz? Od jego kopnięcia.

- Ojej - bąknął John, myśląc, że dziwka musi mieć nie po kolei w głowie, jeśli sądzi, że on ma pieniądze i zamiar posłać ją do dentysty. - Taa. Przykro mi.

- Nie, ty głupi kutasie. Chcę powiedzieć, że mogę ci zrobić rękoma, ale o wsadzaniu do buzi zapomnij.

John poczuł ból w szczęce i zorientował się, że zacisnął zęby.

- Nie - odpowiedział. - Naprawdę. Nie trzeba.

- Słuchaj. - Zatrzymała się, puściła go i natychmiast zaczęła się kołysać jak tratwa podczas tsunami. - Możesz wracać, Romeo. Dalej już dam radę sama.

- Nie - powtórzył i tym razem to on chwycił ją za ramię. Przy jego szczęściu jeszcze wpadnie pod koła i ten gliniarz oskarży go o nieumyślne spowodowanie śmierci. - Idziemy.

- Ups - wymamrotała, kiedy poślizgnęła się na nierównym odcinku chodnika i kolana się pod nią ugięły.

- Spokojnie. - Była taka chuda, że czuł przez skórę kości jej ramienia.

Ni stąd, ni zowąd poinformowała go:

- W kakao nie daję.

Nie mógł się zdecydować, co jest gorsze: myśl o jej ustach czy myśl o jej odbycie. Krótki rzut oka na wrzody na jej ramionach i nogach sprawił, że kanapka z masłem orzechowym i bananem znowu podjechała mu do gardła.

- W porządku - rzucił, nie bardzo wiedząc, czemu zawdzięcza to wyznanie.

- Nie mogę srać potem. - Spojrzała na niego z ukosa. - Pomyślałam se, że lepiej ci powiem, jeśli to właśnie planowałeś.

- Tylko cię odprowadzę - zapewnił. - O te inne rzeczy się nie martw.

- Nie ma nic za frajer - oświadczyła i się roześmiała. - No, może nie licząc teraz. Chociaż jeśli uważasz ten spacer za zapłatę, to też nie jest całkiem za darmo.

- I tak było mi po drodze - skłamał. - Mieszkam tutaj.

- W Morningside? - wymieniła nazwę jednego z bogatszych osiedli, którego tyły wychodziły na Cheshire Bridge Road.

- Jasne - powiedział. - W trzypiętrowym domu z garażem. - Znowu się potknęła i gdyby jej nie podtrzymał, upadłaby na twarz. - No, chodź.

- Nie musisz być brutalny, wiesz.

Popatrzył na swoją dłoń zaciśniętą na jej ramieniu i dotarło do niego, jak mocno ją trzyma. Kiedy zabrał rękę, w miejscu jego palców wykwitły czerwone pręgi.

- Przepraszam - bąknął i rzeczywiście było mu przykro. Jezu, przez cały ten czas myślał o kobietach, a nawet nie potrafił dotknąć jednej, żeby nie zranić. - Tylko cię odprowadzę, zgoda?

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała i potem na szczęście zamilkła, kiedy starał się przeprowadzić ją przez wyboistą ścieżkę, gdy skończył się chodnik.

W końcu puścił ją przodem, trzymając się dwa kroki z tyłu, na wypadek gdyby zatoczyła się na ulicę. Dopiero teraz powoli docierało do niego, jak głupio zachował się w myjni. Gdzie miał głowę? Zupełnie bez powodu wmieszał się w kłopoty Ray-Raya, a teraz w nagrodę straci dniówkę, żeby zaprowadzić na rejon dziwkę, która przypuszczalnie zarobi więcej pieniędzy w godzinę, niż on zarabia w trzy. Jezu. Mógł przecież stracić pracę. Mógł z powrotem wylądować w więzieniu.

Art dostawał ładną dietę od państwa za zatrudnianie kryminalistów na zwolnieniu warunkowym i dodatkowo jeszcze ulgi podatkowe od władz stanowych. Mimo to - mimo

tych wszystkich tak zwanych bodźców motywacyjnych - kiedy John wyszedł, musiał stawać niemal na rękach, żeby znaleźć robotę. Z powodu swego statusu nie mógł pracować z dziećmi ani mieszkać w promieniu stu metrów od szkoły czy żłobka. Zgodnie z prawem pracodawcom nie wolno było dyskryminować kryminalisty, ale zawsze znajdowali jakiś sposób, żeby obejść przepisy. John odbył dziewiętnaście rozmów kwalifikacyjnych, zanim w końcu trafił na tę myjnię. Zawsze słyszał to samo. Najpierw: „Co słysząc/z radością powitamy pana w naszych szeregach/proszę tylko to wypełnić/skontaktujemy się z panem”. Potem, gdy się nie odzywali i dzwonił w następnym tygodniu, słyszał: „Obsadziliśmy już to stanowisko/znaleźliśmy kandydata z lepszymi kwalifikacjami/przykro nam, tniemy koszty”. - Z lepszymi kwalifikacjami do pakowania pudeł? - spytał kiedyś kierownika działu spedycji w jednej z firm ciastkarskich.

- Słuchaj, koleś - odpowiedział tamten. - Mam kilkunastoletnią córkę, rozumiesz? Wiesz, dlaczego nie dostaniesz tej roboty.

Przynajmniej był szczery.

Na każdym formularzu podania o pracę figurowało pytanie: „Czy poza wykroczeniami drogowymi, był pan skazany prawomocnym wyrokiem sądu za przestępstwo?” John musiał odhaczyć „Tak”. I tak zawsze sprawdzali te dane i ustalali prawdę. „Proszę podać szczegóły skazania”.

Musiał wyjaśnić. Mogli spytać jego kuratora sądowego. Poprosić policjanta, żeby prześwietlił jego kartotekę. Mogli odszukać go w Internecie na stronach GBI w wykazie

„Skazanych przestępców seksualnych z terenu Atlanty”. Tam, pod nazwiskiem Shelley, John Winston, przeczytałiby, że zgwałcił i zabił małąletnią. Ponieważ stan nie czynił rozróźnienia między przestępcami nieletnimi i pełnoletnimi, nie było tam wyjaśnione, że popełnił tę zbrodnię, kiedy sam był dzieckiem. Figurował tam jako dorosły pedofil.

- Halo? - zagadnęła dziwka. - Jesteś tam, przystojniaczku?

John potaknął. Zatopił się we własnych myślach, idąc za nią jak szczenię. Teraz stali przed sklepem z alkoholami. Niektóre z panienek już pracowały w nadziei na złapanie klienta wśród idących na lunch.

- Ej, Robin - wrzasnęła dziwka. - Chono tu!

Jedna z kobiet, ewidentnie w lepszej komitywie z wysokimi obcasami niż towarzyszka Johna, ruszyła w ich kierunku i zatrzymała się jakieś trzy metry przed nimi.

- Co, u licha, ci się stało? - Popatrzyła na Johna. - Zrobiłeś jej krzywdę, skurwysynu?

- Nie - powiedział, a ponieważ szukała w torebce czegoś, co prawdopodobnie miało zadać mu ból, dodał: - Proszę. Palcem jej nie tknąłem.

- Spoko, on jest w porzo, kochanieńka. Obronił mnie przed tym głupkiem z myjni.

- Którym? - spytała Robin, buzując jeszcze wściekłością. Patrzyła na Johna nieufnie, a rękę nadal trzymała w torebce, Przypuszczalnie zaciśniętą na miotaczu gazu albo młotku.

- Którym? Którym? - Dziwka udatnie papugowała Ray-Raya. - Tym chudym czarnuchu, który wszystko mówi dwa razy. - Popatrzyła na Johna, zatrzepotawszy rzęsami. - Kręcą cię młodsze, co, słonko?

John zeszywniał.

- Nie, nie to żem miała na myśli - dodała pośpiesznie, głaszcząc go po plecach, jakby uspokajała dziecko. Teraz, gdy znalazła się wśród swoich, pojawił się w niej niemal matczyzny rys. - Słuchaj, Robin, zrób mi przysługę i walnij mu full service. Naprawdę uratował mi tyłek.

Robin już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale John ją powstrzymał. Uniósł ręce i zaoponował.

- Nie, słowo. Nie ma sprawy.

- Zawsze spłacam swoje długi - upierała się stara dziwka. - Przysługi od obcych czy inne takie tam. - Spojrzała na wjeżdżający na parking samochód. - Cholera. Jeden z moich stałych - powiedziała, wycierając wierzchem dłoni krew spod nosa. Potem wskoczyła do auta i pomachała Johnowi na odchodne, krzycząc coś, czego nie zrozumiał.

Patrzył, jak samochód się oddala, i przez cały ten czas czuł na sobie wzrok Robin. Miała spojrzenie stalowe jak policjant: „Co tam, kurwa, knujesz i gdzie mam cię walnąć, żebyś upadł na kolana?”

- Nie jestem jej pieprzoną dublerką - rzuciła.

- Nie ma o czym mówić - zapewnił, jeszcze raz unosząc ręce. - Naprawdę.

- Bo co? - naciskała. - Jesteś za dobry, żeby za to płacić?

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprzeczył, czując, jak pąsowieje. Pięć czy sześć innych dziwek przysłuchiwało się otwarciu ich konwersacji z rozbawieniem na twarzach i John miał

wrażenie, że fiut kurczy mu się coraz bardziej z każdą kolejną sekundą. - A ona nic nie wspominała o płaceni - dodał. Kiedy Robin milczała, wyjaśnił: - Ja tylko zrobiłem jej grzeczność.

- Mnie nie robiłeś żadnych grzeczności.

- Więc ty też mi nie rób - rzucił, obracając się na pięcie.

- Ej! - wrzasnęła. - Nie skończyłam.

Odruchowo się odwrócił. Ewidentnie grała pod publiczność. Poczuł, jak zmałał o kolejne kilka centymetrów.

Starając się mówić spokojnie, spytał:

- Co?

- Powiedziała, że nie skończyłam z tobą, głupi fiucie.

John potrząsnął głową, myśląc, że ten dzień nie może się już gorzej potoczyć.

- Chcesz tego? - powiedział, sięgając do kieszeni. Przez blisko miesiąc odkładał co tydzień po dwadzieścia dolców, żeby się upewnić, że stać go będzie na spłatę rat za telewizor miał pięćdziesiąt dolarów w kieszeni, a kolejne siedemdziesiąt upchnięte w podeszwie buta.

Wątpił, żeby dziewczyna zarabiała w porze lunchu choćby połowę tego. Cholera sam z trudem wyciągał tyle w cały dzień.

Uniosła podbródek wyzywająco. Musiały chyba uczyć się tego gestu w jakiejś szkole dla kurew.

- Ile tam masz? - spytała.

- Wystarczy - powiedział. Co, u licha, wyrabia? Język jakby spuchł mu w ustach, nie wiedział, co zrobić z wezbraną nagle śliną. Pomachanie pieniędzmi jednak zadziałało. Loża szyderców zamilkła.

Robin taksowała go wzrokiem przez kolejną sekundę, potem skinęła głową.

- Dobra - powiedziała. - Obiad z drinkiem?

John gryzł wargę, usiłując oszacować, ile go to będzie kosztowało.

- Dopiero co jadłem lunch - poinformował. - Jeśli chcesz się czegoś napić...

- Boże - jęknęła, przewracając oczyma. - Jesteś gliną?

- Nie - zapewnił, nadal nie rozumiejąc.

- Full service. Laska i dymancko - wyjaśniła. - Obiad z drinkiem.

John zerknął na pozostałe panienki. Znowu się z niego śmiały.

- Morda w kubek - warknęła Robin i przez chwilę John myślał, że mówi do niego. - Chodź - powiedziała, chwyciwszy go za ramię.

Po raz drugi tego dnia był ciągnięty ulicą przez dziwkę. Ta jednak była o niebo lepsza od poprzedniej. Przede wszystkim sprawiała wrażenie czystszej. Jej skóra wyglądała na delikatną w dotyku. Nawet włosy dobrze się prezentowały - grube i zdrowe, nie wisały jak brudne strąki od częstego szprycowania się, nie były przykryte tanią peruką. Nie śmierdziała też jak palaczka. Kumpel z celi Johna odpalał jednego papierosa od drugiego. Nie potrafił przespać spokojnie półgodziny, żeby nie strzelić sobie w płuco, i bywały dni, kiedy waliło od niego gorzej niż z mokrej popielniczki.

Robin zaprowadziła go do lasu za Restauracją Kolonialną.

- Masz dość na pokój? - rzuciła przez ramię.

Nie odpowiedział, nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Trzymała go za rękę i prowadziła przez zarośla, jakby byli na randce. Chciał jeszcze raz usłyszeć jej głos. Było w nim coś kojącego, mimo że ewidentnie zależało jej, by mieć to jak najszybciej za sobą.

Zatrzymała się, ale nie puściła jego ręki.

- Ej, zapytałam, czy wystarczy ci na pokój? - Wskazała na las. - Nie robię tego na dworze jak pieprzony zwierzak.

Musiał odchrząknąć, zanim był w stanie się odezwać. Serce waliło mu tak mocno, że czuł, jak koszula podryguje mu na piersiach.

- Tak.

Nie ruszyła się.

- Pocisz się.

- Przepraszam. - Zabrał rękę i wytarł dłoń o spodnie. Na ustach błąkał mu się głupi, zażenowany uśmiešek. - Bardzo przepraszam.

Znowu rzuciła mu to twarde spojrzenie, usiłując dociec, co mu chodzi po głowie. Rękę wsunęła do torebki.

- Dobrze się czujesz?

John rozejrzał się dokoła, myśląc, że bez względu na to, co tam chowała, popełniała błąd, idąc do lasu z obcym mężczyzną.

- Tu nie jest bezpiecznie - powiedział. - Nie wiesz, kim jestem.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłeś. - Nie pytała, stwierdziła fakt.

Pomyślał o Randallu, chłopaku z wypożyczalni, o tym, jak jabłko Adama zaczęło mu chodzić, kiedy John na niego naskoczył. Teraz sam czuł, że coś go ścisnęło w gardle, niemal uniemożliwiając mówienie.

- Ej! - Poklepała go po ramieniu. - No już, wielkoludzie. Nic nie szkodzi.

Zauważył, że głos jej się zmienił. Nie wiedział dlaczego, ale nagle zwracała się do niego, jakby był człowiekiem, a nie czymś, co musi zdrapać z podeszwy buta.

- Nie chciałem tego robić - powiedział, świadom, że sam też mówi innym tonem. Cichym i delikatnym. Naprawdę delikatnym, jakby jej ufał i zwierzał się z czegoś. Mimowolnie wymknęło mu się z ust: - Och, Boże, jesteś taka ładna - niczym jakiemuś żalosnemu dziwadłu. Spróbował wybrnąć z sytuacji, dodając: - Wiem, że to głupio brzmi, ale jesteś. - Lustrował jej twarz, myśląc o tym, co jeszcze mógłby powiedzieć, żeby ją przekonać, że nie jest żadnym maniakiem, którego powinna potraktować gazem pieprzowym.

Jej wargi sprawiały wrażenie miękkich, takich, które można by całować bez końca.

Nie, nie mógł mówić o ustach. To miało zbyt seksualny podtekst.

O nosie?

Ni przypiął, ni przyłatał. Nikt nie komplementuje nosów. Służą do oddychania, czasami z nich cieknie i się je wydmuchuje. Po prostu są częścią twarzy.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Twoje oczy - rzucił, czując się jeszcze bardziej idiotycznie niż przed chwilą. Powiedział to tak głośno, że się wzdrygnęła. - Znaczy się... - ściszył głos. - Przepraszam. Przyszło mi tylko właśnie do głowy, że twoje oczy... - Jezu, miała tak mocny makijaż, że ledwo było je widać. - Uważam, że masz ładne oczy.

Gapiała się na niego, pewnie szacując, jak szybko uda jej się wyciągnąć z torebki gaz i go poczęstować, może kombinując jeszcze, czy zdąży wyrwać mu pieniądze, kiedy będzie padał.

- Wiesz - powiedziała wreszcie - nie musisz się do mnie zalecać. Po prostu mi zapłać.

Wsadził rękę do kieszeni.

- Nie teraz, kotku - rzuciła nagle zdenerwowana. Wszystko robił nie tak. Obowiązywał tu jakiś sposób postępowania, a John go nie znał.

- Przepraszam - bąknął.

- Zapłacisz mi w pokoju - wyjaśniła, sygnalizując dłonią, by za nią poszedł. - To zaraz tutaj. Nie ruszył się, stopy odmówiły mu posłuszeństwa. Chryste, miał wrażenie, jakby na powrót stał się pryszczatym wyrostkiem usiłującym dobiec do drugiej bazy.

Odezwała się, teraz już zirytowana.

- No chodź, wielkoludzie. Czas to pieniędzy.

- Zostańmy tutaj - powiedział, a kiedy zaczęła protestować, przerwał jej. - Nie, nie po to.

Po prostu postójmy tu i porozmawiajmy.

- Chcesz porozmawiać? Idź do psychiatry.

- Zapłacę.

- To cię kręci? - spytała. - Ja zacznę mówić, a ty będziesz się brandzlował? Mowy nie ma. Odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku drogi. Sięgnął szybko do kieszeni, żeby wyciągnąć pieniądze. Kilka banknotów wyfrunęło mu z dłoni i rzucił się na ziemię, żeby je pozbierać. Kiedy uniósł głowę, nadal szła.

- Pięćdziesiąt dolarów - powiedział i przystanęła.

Odwróciła się powoli i nie potrafił powiedzieć, czy ta propozycja zirytowała ją jeszcze bardziej, czy po prostu wprawiła we wściekłość.

- Proszę - powiedział. Wstał, podszedł do niej i włożył jej banknoty do ręki. Było tam mnóstwo jednodolarówek i kilka piąтакów - jego dola z puszek na napiwki w myjni.

- Spodnie zostaną tam, gdzie są, w porządku? Żadnych numerów.

Chciała zwrócić mu pieniądze.

- W chuja ze mną tniesz?

- Skąd - zapewnił, słysząc cień desperacji w swoim głosie. Zaraz znowu ją wystraszy, a wtedy żadne pieniądze nie skłonią jej do powrotu. - Po prostu porozmawiajmy. - Wcisnął jej z powrotem banknoty w dłoń. - Powiedz mi coś.

Przewróciła oczyma, ale zatrzymała pieniądze.

- Niby co?

- Cokolwiek - powiedział. - Powiedz mi... - Jezu, miał zupełną pustkę w głowie. - Powiedz...

- Wpatrywał się w jej twarz, szukając jakiejś podpowiedzi - czegokolwiek, co zatrzymałoby

ją na chwilę dłużej. Popatrzył na jej piękne usta, skrzywione teraz w irytacji i może odrobinie zaciekawienia. - Pierwszy pocałunek - postanowił. - Opowiedz mi o swoim pierwszym pocałunku.

- Kpisz?

- Nie - zapewnił. - Wcale nie. - Cofnął się o kilka kroków i zwiesił ręce po bokach, żeby widziała, że nie ma zamiaru się onanizować. - Po prostu opowiedz mi o swoim pierwszym pocałunku.

- Co, chcesz, żebym powiedziała, że całowałam się ze swoją siostrą? Z ojcem?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Proszę, nie kłam.

Skrzyżowała ręce na piersi, jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem.

- Dajesz mi pięćdziesiąt dolców, żebym opowiedziała ci o swoim pierwszym pocałunku?

Skinął głową.

Obejrzała się za siebie, potem przeniosła spojrzenie z powrotem na niego. Przeliczyła pieniądze, przekładając szeleszczące banknoty z jednej ręki do drugiej i ruszając bezgłośnie wargami.

- Zgoda - powiedziała wreszcie, wsadzając zielony zwitek za dekolot bluzki. - Stewie Campano.

Nazwisko go rozśmieszyło.

- Tak - powiedziała i uśmiechnęła się po raz pierwszy. Miała piękne, proste zęby. -

Prawdziwy romeo był ze Stewiego.

- Chodziłaś z nim?
- Skąd - zachnęła się oburzona. - Był o dwa lata młodszy, jeden z kumpli mojego małego braciszka. - Kiedyś się razem bawiliśmy.
- Jak? - Zmarszczyła czoło, więc szybko dodał: - Nie, nie to mam na myśli. Chcę tylko wiedzieć, co robiliście.
- Pływaliśmy u niego w basenie - odpowiedziała z wahaniem, ewidentnie nadal doszukując się w zainteresowaniu Johna ukrytych motywów. - Właśnie dlatego chodziliśmy tam z bratem, bo Stewie miał basen.
Na usta Johna wrócił uśmiech.
- Więc, jak mówiłam - postanowiła ciągnąć opowieść - było późno wieczorem, pełnia i takie tam, i bawiliśmy się w basenie, zwyczajnie się wygłupiając, i w pewnej chwili na mnie popatrzył, ja popatrzyłam na niego i wtedy po prostu się pochylił i mnie pocałował.
- Prawdziwym pocałunkiem czy takim dzieciennym?
- Dziecinnym - odpowiedziała, a uśmiech zdziałał cuda z jej twarzą. Była naprawdę piękna, ciemnowłosa o oliwkowej cerze, kobieta, o jakich piszą poeci. Zrobiła filuterną minkę. -
Potem takim prawdziwym.
- Brawo, Stewie - rzucił - John wyobrażając sobie całą sytuację: podwórko, księżyc, różne zabawki i rupiecie pływające w rodzinnym basenie. - Ile miałaś lat?
- Trzynaście.
- Więc Stewie miał...

- Dziesięć. Wiem - Uniosła ręce. - Deprawacja nieletnich. Przyznaję się.

John był wstrząśnięty śmiałością dzieciaka.

- Boże, gdy ja miałem dziesięć chyba jeszcze nawet nie wiedziałem, co to jest pocałunek języczkiem.

- Tak, ja miałam trzynaście i też nie wiedziałam - powiedziała. Potem się roześmiała, może z tego wspomnienia, a może z absurdalności całej sytuacji. John też wybuchnął śmiechem i była to taka ulga, że raz pierwszy od ćwierć wieku mógł z ręką na sercu powiedzieć, że dobrze się czuje.

- Jezu - rzuciła Robin. - Od wieków nie myślałam o tym smarkaczu.

- Jak sądzisz, czym się teraz zajmuje?

- Pewnie jest jakimś lekarzem. - Zachichotała znowu krótko, wyraźnie odprężona. - Ginekologiem.

John ciągle się uśmiechał.

- Dziękuję - powiedział.

- Tak. - Zaciśnęła usta. - Ej, jak się nazywasz?

- John.

Parsknęła śmiechem, jakby powiedział dowcip.

- Nie, naprawdę. John Shelley. - Wyciągnął rękę, ale się cofnęła. - Przepraszam - rzekł, opuszczając dłoń. Co takiego zrobił? Jak to zniszczył?

- Nie ma sprawy. Muszę wracać - Obejrzała się przez ramię. - Mój ochroniarz będzie mnie zaraz szukał i...

- W porządku. - Wsadził ręce do kieszeni, bo nie wiedział, co z nimi począć. - Przykro mi, jeśli...

- Nic się nie stało - przerwała mu.

- Mogę cię odprowadzić.

- Znam drogę - oświadczyła i prawie rzuciła się z powrotem w kierunku drogi.

Stał i patrzył, jak znika, zastanawiając się, co takiego powiedział, że uciekła. Pięćdziesiąt dolarów. Dużo mógł za nie kupić. Jedzenie. Czynsz. Ubranie. Śmiech. Ale ten błysk w jej oczach, kiedy się szczerze śmiała... Tego nie można było kupić. Tak, wzięła pieniądze, ale ten śmiech - to była

autentyczna chwila bliskości między nimi. Rozmawiała z nim, naprawdę z nim rozmawiała, dlatego że chciała, a nie z powodu tych pięćdziesięciu dolarów.

Stał między drzewami, jakby mu nogi wrosły w ziemię, i z zamkniętymi oczyma przywoływał wspomnienie jej głosu, śmiechu. Miała gdzieś brata. Dorastała w dzielnicy z basenem. Jej rodzice wydali sporo pieniędzy na ortodontę, może wozili ją też na lekcje baletu, żeby miała tę szczupłą figurę, a może należała do tych dziewcząt co Joyce - z przemianą materii tak szybką, że wystarczyło, żeby przeszła się parę razy ulicą, by nie przytyć.

Od strony ulicy rozległ się dźwięk klaksonu i John otworzył oczy.

Dlaczego nie poszedł z nią do tego pokoju hotelowego? Pięćdziesiąt dolców. Jego cała dniówka. Cały dzień mycia samochodów, sprzątania cudzych górien, czekania, aż pojawi się Art i dokona inspekcji, wskazując na jakąś nieistniejącą smugę na przedniej szybie, tak żeby klient myślał, że nie wyrzucił pieniędzy w błoto.

Pięćdziesiąt dolarów i za co? Wspomnienie cudzego pocałunku?

Urwał zwisającą gałązkę i ruszył w kierunku szosy, umyślnie zbaczając z drogi, żeby nie wyjść na sklep monopolowy. Mógł ją teraz trzymać w ramionach, mógł się z nią kochać.

Przystanął, oparł się dłonią o drzewo z pozbawionymi nagle powietrza płucami.

Nie, pomyślał. Robiłby w tym pokoju dokładnie to samo co teraz: głupka z siebie. Prawda wyglądała tak, że jeszcze nigdy nie kochał się z kobietą. Nigdy nie doświadczył tej bliskości, o jakiej piszą w książkach, nigdy nie miał kochanki, która trzymałaby go za rękę, gładziła po szyi, wtulała się w jego ciało. Ostatnia laska, którą całował, była w rzeczywistości jedyną, której smak ust poznał, a nawet i ona była tyle kobietą, ile dziewczynką. Pamiętał tę datę, jakby ktoś wypalił mu ją w mózgu: 15 czerwca 1985 roku.

Całował się z Mary Alice Finney, a nazajutrz rano ona nie żyła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

10 CZERWCA 1985 ROKU

Kiedy John był mały, uwielbiał się bawić w piasku, wznosić różne budowle, a potem rozwalać je kawałek po kawałku. Matka patrzyła, jak idzie ulicą z upačkanymi ziemią spodniami i gałazkami wystającymi z włosów, i wybuchała śmiechem. Chwytała za wąż i kazała mu ściągnąć ubranie przed domem, żeby mogła go opłukać, zanim wejdzie do środka.

Nocami po męczącym dniu spał jak zabity. Niczego nie robił połowicznie. Był dość mizerny jak na swój wiek, klatkę piersiową miał niemal wklęsłą, ale rekompensował to siłą charakteru. Jeśli w okolicy odbywał się jakiś mecz, pierwszy biegł na boisko, koledzy go cenili. Stickball, baseball, zbijany - uwielbiał ruch. Skromna postura raczej nie predysponowała go do futbolu, ale gdy tylko wystarczająco podrósł, by się zakwalifikować, przeszedł przez wszystkie szkolne ligi. Gdy był w gimnazjum, urósł, jednak nadal bardziej przypominał gumkę recepturkę niż atletę. Mimo to trener był pod wrażeniem jego zapału i już w pierwszym tygodniu gimnazjum znalazł się na boisku, pocąc się i krzycząc z radości na myśl o tym, że zmierzy się z najlepszymi.

W liceum dowiedział się, że nie wolno grać, jeśli się ma słabe stopnie. Nie sądził, że aż tak się zdenerwuje, kiedy wylali go z drużyny. Z bezsilnego gniewu walnął hełmem o ścianę, wybijając w płycie gipsowej dużą dziurę. Po zajęciach włóczył się po okolicy, bo wiedział, że jeśli wróci od razu do domu, matka będzie pytać, dlaczego nie jest na treningu. Wyrzucił

do kosza zawiadomienie od trenera i zapłacił za zniszczoną ścianę z pieniędzy ze sprzedaży narkotyków.

Wiedział, że rodzice i tak się dowiedzą, co się stało, kiedy dostaną jego świadectwo, i chciał jak najdłużej cieszyć się swobodą, zanim Richard się rozsroży i da mu szkołę.

Nawet kiedy jego życie zaczęło się już sypać, nadal lubił spacerować. Gdy po raz pierwszy został zawieszony za tę trawkę w szafce, większość dnia spędził, włócząc się po okolicy. Po kradzieży kasety magnetofonowej ojciec dał mu sześciomiesięczny szlaban i gdyby nie miękkie serce matki („Wróć za godzinę i nie mów nic tacie”), John pewnie usechłby w swoim pokoju. Czasami myślał, że tego właśnie Richard by sobie życzył. Niech zły syn sam się usunie: co z oczu, to z serca. Doktor Shelley miał przecież jeszcze Joyce. Zostało mu jedno dobre dziecko.

John lubił przebywać na dworze, patrzeć, jak drzewa kołyszą się na wietrze, jak liście spadają na ziemię. Nigdy nie grzał podczas tych wypraw. Nie chciał psuć sobie doznania. Poza tym urok koki szybko przeminął. Oddział ratunkowy, uczucie, że jego głowa stoi w płomieniach, kiedy się obudził, krew tryskająca z nosa, kiedy rzygał węglem, który zaaplikowali mu do żołądka - to wszystko zadziało trochę jak zimny prysznic. Postanowił wtedy, że będzie się trzymał ziela. Nie warto było umierać. Woody by go wyśmiał, ale John nie zamierzał się zabijać tylko dlatego, że nie potrafił postawić się kuzynowi.

Tej nocy, kiedy przedawkował, ojciec przyjechał do szpitala w pośpiesznie narzuconej, źle zapiętej koszuli. Pielęgniarka zostawiła ich samych, nie chcąc zakłócać chwili bliskości między ojcem a synem.

- Co, do kurwy, jest z tobą nie tak? - spytał Richard. Był nieziemsko wściekły. Cedził słowa przez zęby, jakby przesiewał je przez sito, i John, któremu i tak szumiało już w uszach, z trudem rozumiał, co mówi.

Richard lubował się w cytatach i powiedzonkach. Niektóre z nich miał przyklejone taśmą do ścian gabinetu, i czasami, kiedy ściągał tam syna, żeby porozmawiać o jego kolejnym wysoku, wskazywał na któreś. „Głupota jest zachowaniem wyuczonym” należało do jego ulubionych, ale tej nocy w szpitalu John wiedział już, że czasy, kiedy ojciec kłuł go w oczy wyblakłymi kartkami papieru w nadziei na wychowawczy efekt, minęły.

- Nie jesteś moim synem - oświadczył Richard. - Gdyby nie wzgląd na matkę, wyrzuciłbym twój żaloszny tyłek na ulicę tak szybko, że we łbie by ci się zakręciło. - Dla zilustrowania uderzył go w bok głowy. Nie było to mocne pacnięcie, ale po raz pierwszy, odkąd John skończył szósty czy siódmy rok życia, ojciec podniósł na niego rękę. A nigdy przenigdy wcześniej nie uderzył go w nic poza pupą.

- Tato... - spróbował John.

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj - rozkazał Richard. - Ja tu pracuję. Mam tu kolegów, przyjaciół. Wiesz, jaki to wstyd otrzymać w środku nocy telefon z informacją, że twój nic niewart synalek leży na oddziale ratunkowym? - Z twarzą nabiegłą krwią pochylał się nad

łóżkiem, kilka centymetrów od poduszki syna. Jego oddech pachniał miętą i John uświadomił sobie, że ojciec znalazł czas, żeby umyć zęby przed przyjazdem do szpitala.

- Wiesz, kto się narkotyzuje? - spytał ojciec, odsunąwszy się od łóżka. - Bezwartościowe śmiecie, ot co. - Przemierzał pokój, otwierając i zaciskając dłonie. Odwrócił się i skinął raz głową, jakby coś postanowił i klamka zapadła.

John spróbował raz jeszcze:

- Tato...

- Nie jesteś moim synem - powtórzył Richard i zamknął za sobą drzwi.

- Przejdzie mu - powiedziała matka, ale John wiedział, że nie. Nigdy przedtem nie widział takiego wyrazu w oczach ojca. Rozczarowanie, owszem, nieraz. Ale nienawiść... to było coś nowego.

Myślał o spojrzeniu tych oczu, kiedy włączył się po okolicy następnego dnia po konfrontacji w szpitalu.

- Tylko godzinka - poprosiła matka, ale nie dodała: „Nie mów tacie”, ponieważ oboje wiedzieli, że tata ma to gdzieś. Najwyraźniej scena w szpitalu nie wystarczyła Richardowi, bo następnego ranka pojawił się w pokoju Johna i bez ogródek poinformował, że będzie go żywił i ubierał do osiągnięcia przez niego pełnoletności, ale życzy sobie, żeby zaraz potem John wyniósł się z jego domu i życia. Potarł dłonią o dłoń, potem wyciągnął je przed siebie dla zobrazowania. - Umywam od ciebie ręce.

Wiatr przybrał na sile i John opatulił się szczelniej kurtką. Choć niemal umarł poprzedniej nocy, marzył o kresce koki, o czymś, co zmniejszyłoby napięcie. Jednak nie zamierzał sobie pofolgować. Nie przez wzgląd na mamę czy tatę, ale ponieważ był przerażony. Nie chciał umierać, a wiedział, że koka go zabije, i to raczej wcześniej niż później. W końcu wziął ją tylko kilka razy, prawda? Nie powinien mieć trudności z rzuceniem. A jednak, żeby nie wiem ile haszu wypalił, głód dawał mu się we znaki jak połknięta żyletka. Niech cholera weźmie Woody'ego i jego głupie imprezy.

- Cześć.

John uniósł głowę wyrwany gwałtownie z rozmyślań. Na jednej z huśtawek na palcu zabaw siedziała Mary Alice Finney.

Poczuł, jak nienawiść do niej rozbłysła jak płomień i przygasła.

- A ty co tu robisz?

- Nie wiedziałam, że ten plac należy do ciebie.

- Nie powinnaś być w szkole?

- Zerwałam się.

- Ta, uważaj, bo uwierzę. - Parsknął śmiechem i poczuł coś dziwnego na języku. - Cholera.

- Przyłożył dłoń do nosa. Krew mu leciała jak z odkręconego kranu.

Mary Alice podbiegła do niego. Trzymała w dłoni chusteczkę - jak to jest, że dziewczyny zawsze mają takie rzeczy przy sobie - i przycisnęła mu ją do nosa.

- Usiądź - poleciła, prowadząc go do drabinek. Osunął się kościstym tyłkiem na najniższy szczebel, poczuł zimno przez dżinsy. - Pochyl głowę.

Siedział z zamkniętymi oczyma, ale czuł na sobie jej ręce: jedną położyła mu na karku, drugą przytrzymała chusteczkę pod nosem. W przypadku krwotoku z nosa należało odchylić się do tyłu, ale miał to gdzieś, dopóki tylko go dotykała.

- John - westchnęła. - Dlaczego to sobie robisz?

Otworzył oczy i patrzył, jak krew kapie na piasek między jego stopami.

- Naprawdę zerwałaś się ze szkoły?

- Miałam wizytę u lekarza, ale mama zapomniała po mnie przyjechać.

Chciał odwrócić głowę, ale mu nie pozwoliła. Mamy nie zapominają o wizytach u lekarzy. To się po prostu nie zdarza.

- Tak - powiedziała, jakby czytała mu w myślach. - Moi rodzice się rozwodzą.

Wyprostował się błyskawicznie i przez chwilę miał mroczki przed oczyma.

Była zmieszana. Splotła kurczowo dłonie z zakrwawioną chusteczką w środku.

- Tata miał romans z kobietą pracującą w kancelarii. - Widział wymuszony uśmiech na jej twarzy. Rodzice doskonałej Mary Alice się rozstawali. - Ma na imię Mandy - powiedziała. -

Tata chce, żebym ją poznała. Uważa, że się zaprzyjaźnimy.

John bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Paul Finney to mówi. Gość był prawnikiem, obdarzonym taką arogancją jak większość jego kolegów po fachu i święcie przekonany, że wszystko, co wychodzi z jego ust, ma siłę boskiego kazania.

John zakopał czubek buta w piasku.

- Przykro mi, Mary Alice.

Plakała i patrzyła, jak jej łzy skapują na ziemię, tak jak on sam kilka chwil wcześniej obserwował własną krew.

Nienawidził jej przecież. Tylko, że teraz miał ochotę ją objąć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Musiał wymyślić coś, co pomogłoby jej się pozbierać.

- Chcesz iść na imprezę? - palnął.

- Na imprezę? - spytała, marszcząc nos. - Co, z tymi twoimi naćpanymi kumplami?

- Nie - zaprzeczył, choć miała rację. - Mój kuzyn Woody robi w sobotę imprezę. Jego mama wyjeżdża.

- A gdzie jest jego tata?

- Nie wiem - przyznał John. Nigdy się nad tym tak naprawdę nie zastanawiał, ale matka Woody'ego wyjeżdżała tak często, że chłopak praktycznie miał chatę tylko dla siebie. - Mogłabyś wpaść.

- Mam iść do centrum handlowego z Susan i Faye.

- Przyjdź później.

- Nie bardzo pasuję do tego towarzystwa - powiedziała. - Poza tym, wydawało mi się, że masz szlaban po tym, co się stało.

Zatem cała szkoła już wiedziała o jego pobycie na oddziale ratunkowym. Wcześniej miał nadzieję, że minie co najmniej kilka dni, zanim wieść się rozniesie.

- Nie - powiedział, myśląc o ojcu, o tym, jak na niego patrzył tego ranka. Tak samo gapił się na leżącego w trumnę wujka Barry'ego: wygiąwszy cienkie usta w odrazie. Żarłok. Pies na baby. Handlarz używanymi samochodami.

- Gdzie mieszka twój kuzyn? - spytała Mary Alice.

Podał jej adres niecałe trzy przecznice dalej.

- No, nie daj się prosić - rzucił. - Powiedz, że przyjdiesz.

Jeszcze raz zmarszczyła nos, ale tym razem tylko się droczyła.

- Zgoda - powiedziała, a potem, żeby zostawić sobie furtkę, dodała: - Zastanowię się.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

11 PAŹDZIERNIKA 2005

John leżał w łóżku w swojej norze, na wpół śpiąc, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Przekręcił się na drugi bok i popatrzył na zegarek, mrużąc oczy, żeby odczytać maleńkie cyferki.

Szósta trzydzieści. Miał jeszcze godzinę snu, zanim nadejdzie pora wstawania.

- Puk-puk - rozległ się kobiecy głos i John opadł na plecy ze stęknieniem. - Pobudka, wstawaj - zaintonowała Martha Lam.

Pierwsze, czego się dowiedział o swojej kuratorce, to fakt, że lubowała się w niespodziewanych inspekcjach.

- Chwilka - odpowiedział. Usiadł na łóżku i przetarł oczy.

- Żadnej chwili, kowboju - upierała się pani Lam grzecznie, ale stanowczo. - Otwórz drzwi teraz, słyszysz?

Zrobił, co mu poleciła - szybko - bo wiedział, że jeśli się zawezmie, jeszcze przed zachodem słońca może go wrzucić z powrotem do paki.

Stała w drzwiach z jedną ręką na ościeżnicy i pogodnym uśmiechem na ustach, jakby się cieszyła na jego widok. Była ubrana tak jak zwykle: wyprasowana czarna koszula, kamizelka z tkaniny przetykanej złotą nitką, obcisłe spodnie ze skóry. Razem z odjazdowymi butami i przypiętym do boku glockiem mogłaby uchodzić za dziewczę z rozkładówki jakiegoś magazynu dla fetyszystów.

Spojrzała na namiot w jego bokserkach i pokazała ręką łazienkę na korytarzu.

- Idź i zaszutuj generałowi. Ja tymczasem pomyszkuję tu troszkę.

John położył dłonie na kroczu, czując się jak piętnastolatek.

- Muszę iść toalety - wyjaśnił.

Znowu rzuciła mu ten pogodny uśmiech, silny południowy akcent sprawiał, że jej słowa brzmiały uprzejmie.

- Napełnij mi jeden z pojemniczków z lodówki w korytarzu, dobrze?

Ruszył czym prędzej do wspólnej łazienki i jak najszybciej opróżnił pęcherz, część strumienia kierując do pojemniczka na mocz do badań na obecność narkotyków, potem rzucił się pospiesznie z powrotem do pokoju. Pani Lam przeszukiwała jego rzeczy i choć John wiedział, że nic nie znajdzie, czuł się winny i umierał z przerażenia, że zaraz wpakuje go do więzienia. Pod celą nasłuchiwał się dużo o kuratorach, o tym, jak potrafią podrzucić coś osobie, której nie lubią, i że szczególnie cięci są na przestępców seksualnych, szukając tylko pretekstu, by człowieka z powrotem zapuszkować.

Kiedy wrócił, trzymała oprawione w ramkę zdjęcie jego matki.

- Zostało zrobione w zeszłym roku - powiedział ze ściśniętym gardłem.

Fotografia przedstawiała Emily stojącą w więziennej sali widzeń. On obejmował ją ramieniem, za tło służyła brudna ściana z białych pustaków. To był dzień jego urodzin.

Zdjęcie zrobiła Joyce na prośbę matki.

- Ładne - powiedziała pani Lam.

John zawsze nazywał ją panią Lam, nigdy Martha, bo się jej bał i chciał przekonać, że potrafi okazać szacunek.

Zdjęła tył ramki i zajrzała pod spód - w poszukiwaniu czego? Nie wiedział, ale zlewał się potem, dopóki nie odstawiła fotografii na kartonowe pudło, które służyło za stolik nocny.

Potem przejrzała pożyczone z biblioteki książki, kartkując strony i komentując tytuły.

- *Tessa d'Urberville?* - spytała, zatrzymując się przy ostatniej pozycji.

Wzruszył ramionami.

- Nigdy tego wcześniej nie czytałem. - Aresztowano go dzień po tym, jak pani Rebeck, nauczycielka angielskiego ze szkoły, oświadczyła w klasie, że Tessa będzie kolejną lekturą, jaką będą omawiać.

- Hmm - powiedziała, przeglądając książkę po raz drugi, dokładnie.

W końcu odłożyła tom, położyła ręce na biodrach i rozejrzała się po pokoju. John nie miał szafy, więc wszystkie jego ubrania leżały starannie złożone w schludne kupki na czerwonej chłodziarce, w której przechowywał jedzenie. Widział, że zdążyła je już skontrolować, bo koszula na wierzchu była inaczej złożona, zakładał zatem, że widziała też banany, chleb i słoik masła orzechowego w lodówce. Pokój miał jedno okno, ale John zakleił je kartonem w ochronie przed porannym słońcem. Pani Lam odgięła jego brzeg, upewniając się, że nic nie zostało schowane pod spodem. Pokój oświetlała goła żarówka na suficie, zauważył, że kuratorka włączyła też lampę stojącą przy łóżku. Abażur był przekrzywiony. Zatem to też skontrolowała.

- Proszę, podnieś materac - poprosiła, po czym, jakby byli starymi kumplami, dodała: - Właśnie zrobiłam sobie paznokcie.

John przeszedł dwa kroki i znalazł się przy łóżku. Uniósł materac i oparł go o ścianę, żeby mogła obejrzeć spód i brudne sprężyny tapicerskie. Na widok plamy z krwi i szarego kręgu brudu na środku zmarszczyła czoło z odrazą.

- To też. - Wskazała na sprężynę leżącą na podłodze.

Podniósł ją i oboje odskoczyli do tyłu niczym para przerażonych dziewczynek, kiedy po zawilgoconym brązowym dywanie przebiegł karaluch.

- Brr. Nie udało ci się znaleźć innego pokoju?

Potrząsnął głową i opuścił sprężynę i materac na miejsce. I tak miał dużo szczęścia, że znalazł ten. Podobnie jak więzienie, nawet noclegownie kierowały się swoimi zasadami i wiele z nich nie przyjmowało przestępców seksualnych, zwłaszcza pedofilów. John był skazany w tym domu na towarzystwo sześciu innych zarejestrowanych mężczyzn. Jeden molestował ośmiolatkę, drugi lubił gwałcić staruszki.

- Cóż - uśmiechnęła się pani Lam, na powrót pogodna. - Chyba ta pedofilarnia będzie musiała na razie wystarczyć. - Wskazała na kartonowe pudło przy łóżku. - Otwórz je, z łaski swojej.

- Tam nic... - urwał, świadom, że sprzeciw nie ma sensu. Zdjął stos książek, położył je na łóżku, na górze umieścił zdjęcie matki, nie chcąc, by ramka dotykała brudnej pościeli.

Otworzył pudło, pokazując, że jest puste.

Odczytała z listy.

- Nie trzymasz tu żadnej viagry, prawda? - John potrząsnął głową. - Nielegalnych środków? Pornografii? Broni?

- Nie, psze pani - zapewnił ją.

- Ciągłe pracujesz w myjni?

- Tak, psze pani.

- Jeśli coś się zmieni, z miejsca mnie o tym poinformujesz, tak?

- Tak, psze pani.

- Dobrze. - Znowu wzięła się pod boki. - W porządku. Na dzisiaj świadectwo z paskiem.

- Dziękuję pani.

Pomachała mu przed nosem wymanikiurowanym paznokciem.

- Obserwuję cię, John. Nie zapominaj o tym.

- Nie, pani Lam. Będę pamiętał.

Popatrzyła na niego chwilę dłużej, potem potrząsnęła głową, jakby nie mogła go rozgryźć.

- Trzymaj się z dala od kłopotów, a nie będziemy mieli żadnych problemów, okay?

- Okay - zgodził się. Potem głupio dodał: - Dziękuję.

- To do zobaczenia wkrótce - powiedziała, ruszając do drzwi. - Nie wpakuj się w nic głupiego.

- Tak, psze pani - zapewnił. Zamknął za nią drzwi, położył na nich dłoń i oparł o nią głowę, starając się zaczerpnąć powietrza.

- Puk-puk - usłyszał nad głową.

Pani Lam opiekowała się także gwałcicielem staruszek. John nie znał jego imienia, ponieważ za każdym razem gdy mijał go na korytarzu, z całych sił musiał się starać, żeby go nie walnąć.

Wrócił do pokoju, próbując nie zwracać uwagi na głos Pani Lam robiącej radosny obchód na górze. John nie cierpiał, jak ludzie grzebali w jego rzeczach. Najważniejsze, czego

nauczył się pod celą, to żeby nigdy nie dotykać własności współwięźnia, chyba że było się gotowym przypłacić to życiem.

Wziął T-shirt, jeden z sześciu, jakie posiadał, i złożył na nowo. Miał jeszcze parę spodni z drelichu, dwie pary dżinsów, trzy pary skarpetek i osiem par bokserek, ponieważ nie wiedzieć czemu matka zawsze przywoziła mu do więzienia bieliznę.

Stopą wyprostował jeden z adidasów. Je też pani Lam przeszukała. Języki były wyciągnięte, wkładki przekrzywione. Trzydzieści dolarów za parę butów, pomyślał John. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo podrożało ubranie i obuwie podczas jego odsiadki.

Doszedł go z góry krzyk pani Lam: „Proszę, proszę!” Zamarł, świadom, że musiała coś znaleźć. Gwałciciel wymruczał coś niezrozumiałego w odpowiedzi i zaraz potem rozległ się głos kuratorki, głośny i wyraźny: „Powiesz to sędziemu”.

Nie słychać było odgłosów szarpaniny. Miała w końcu glocka, a w tym rozpadającym się budynku, który nazywali domem, nie było gdzie się schować. John nie mógł się powstrzymać i wystawił głowę przez drzwi, kiedy usłyszał, że schodzą na dół. Pani Lam trzymała jedną rękę na ramieniu gwałciciela, drugą na kajdankach, którymi miał skute dłonie z tyłu. Był jeszcze w bieliźnie, bez koszuli, skarpet, bez butów. W areszcie sądowym będą mieli z niego używanie, o czym kuratorka doskonale wiedziała.

Zobaczyła, że wygląda zza drzwi.

- Zawalił sprawę - rzuciła, jakby to nie było oczywiste. - Potraktuj to jako przestrożę.

John nie odpowiedział. Zamknął drzwi i czekał, aż usłyszy trzaśnięcie drzwiczek i warkot silnika odjeżdżającego samochodu.

Mimo to wyjrzał jeszcze przez okno, odciągając karton w samą porę, żeby zobaczyć, jak czerwona furgonetka pani Lam staje na światłach na końcu ulicy.

Upadł na kolana i odciągnął brzeg brudnego brązowego dywanu. Starał się nie myśleć o karaluchu, którego widzieli, czy mysich odchodach między łóżkiem a podłogą. Znalazł raport kredytowy w tym samym miejscu, w którym go położył. Nie było to nic zakazanego, ale co by powiedziała pani Lam na jego widok? „Proszę, proszę!” I już byłoby po nim. Wciągnął dżinsy i wsunął stopy w adidas. Zbiegł po dwa stopnie naraz. W korytarzu wisiał telefon, z którego mogli prowadzić rozmowy miejscowe. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znał na pamięć.

- Keener, Rose i Shelley - rozległ się w słuchawce głos recepcjonistki. - Z kim mam połączyć?

- Z Joyce Shelley, proszę - powiedział cicho.

- Kogo mam zaanonsować?

Już-już miał jej podać fałszywe nazwisko, ale się rozmyślił.

- John Shelley.

Po drugiej stronie zapadło milczenie, chwila wahania, w czasie której wstrzymał oddech.

- Chwileczkę.

Chwileczka zamieniła się w kilka minut. Czekając, John niemal widział, jak siostra się skrzywiła, gdy sekretarka powiedziała jej, kto dzwoni. Joyce wiodła ustabilizowane życie i wyglądało na to, że była szczęśliwa. Zbuntowała się przeciwko ojcu na swój sposób: zamiast iść w jego ślady, rzuciła studia medyczne na drugim roku w Emery College i przeniósła się na prawo.

Teraz całymi dniami zajmowała się umowami notarialnymi sprzedaży nieruchomości, pobierając sowite honorarium za pokazywanie ludziom palcem, gdzie mają złożyć podpis na dokumencie. Nie wyobrażał sobie, jak może robić coś tak nudnego, ale z drugiej strony Joyce na pewno miała niezły ubaw na myśl o tym, że on przez całe dni spłukuje mydliny z samochodów.

- O co chodzi? - wyszeptała teraz, nie bawiąc się w powitalne wstępy.

- Muszę cię o coś spytać.

- Jestem w trakcie spisywania umowy.

- To nie zabierze wiele czasu - zapewnił, po czym ciągnął zaraz dalej, bo wiedział, że w przeciwnym razie się rozłączy. - Co to jest ocena kredytowa?

Odezwała się na swoją normalną nutę.

- Jesteś idiotą?

- Tak, Joyce. Wiesz, że jestem.

Westchnęła ciężko, ciężiej niż zazwyczaj. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest przeziębiona, a może znowu zaczęła palić.

- Wszystkie towarzystwa kredytowe, banki, wszystkie instytucje, które pozwalają ci kupować na kredyt, informują agencje kredytowe o tym, jak spłacasz swoje wierzytelności, czy na czas, czy z opóźnieniem, czy spłaciłeś tylko kwotę minimalną, czy całość każdego miesiąca i tak dalej. Te agencje sporządzają z tych danych twoją osobistą historię kredytową i przedstawiają wynik punktowy, który mówi innym firmom, jak wiarygodnym jesteś kredytobiorcą.

- Czy siedemset dziesięć to dobry wynik?

- John - powiedziała. - Naprawdę nie mam na to czasu. Co kombinujesz? Jaki przekręt?

- Żadnego - wyjaśnił. - Ja nie robię przekrętów, Joyce. Nie za to mnie wsadzili.

Milczała i wiedział już, że posunął się za daleko.

- Nie zapomniałam, dlaczego cię wsadzili - rzuciła i napięcie w jej głosie wskazywało, że z trudem nad sobą panuje.

- Co by było, jeśli ktoś by zdobył moje dane i wykorzystał je, żeby wyrobić sobie karty kredytowe i takie tam.

- Zniszczyłby ci ocenę kredytową.

- Właśnie, że nie. A jeśli by co miesiąc regularnie spłacał zobowiązania na kartach i wszystkie inne?

Zawahała się przez chwilę.

- Po co miałby to robić?

- Nie wiem, Joyce. Dlatego cię pytam.

- Mówisz poważnie? - spytała. - O co ci chodzi, John? Po prostu powiedz, co chcesz wiedzieć. Muszę wracać do pracy.

- Przecież właśnie cię pytam - stwierdził. - Chodzi o to, że ktoś... - Urwał.

Czy przypadkiem nie wplącze Joyce w tę kabałę, jeśli jej powie? Czy miałyby kłopoty przez to, że wie? Nie wiedział, jak działa prawo. Do licha, w zeszłym tygodniu nie wiedział nawet, że istnieje coś takiego jak ocena kredytowa. Nie wiedział także, czy pani Lam nie kazała założyć podsłuchu na telefonie.

- To taki przekręt, który robiło paru gości z więzienia - wyjaśnił wreszcie.

- Jezu - znowu zniżyła głos do szeptu. - Lepiej się w to nie mieszaj.

- Spokojna głowa. Trzymam się z dala od kłopotów - zapewnił.

- Lepiej żeby tak było, John. Bo inaczej ani się obejrzysz, a z powrotem wylądujesz w pierdlu.

- Mówisz jak tata.

- Czy w ten sposób chcesz spytać, co u niego słychać?

Uświadomił sobie, że przestał oddychać.

- Nie.

- To dobrze, bo i tak by nie chciał, żebym ci powiedziała.

- Wiem.

- Chryste, John. - Znowu westchnęła. Tylko ją irytował. Po co w ogóle do niej dzwonił?

Czemu w ogóle zawracał jej tym głowę?

Poczuł napływające łzy i przycisnął palce do kątek oczu, żeby je powstrzymać. Przypomniawszy sobie, jak bawiła się z nim w dzieciństwie, przebierała w ubrania Richarda i udawała, że jest jego matką. Urządzali herbatki i piekli ciasteczka w jej zabawkowej kuchence.

- Pamiętasz, jak roztopiliśmy prezent mamy? - spytał. Miał wtedy sześć lat, Joyce dziewięć. Z pieniędzy odkładanych z kieszonkowego kupili Emily na urodziny bransoletkę. Joyce zaproponowała, żeby dla niespodzianki zapiekli ją w cieście, czytała o czymś takim w książce. Nie wiedzieli, że bransoletka jest zrobiona z plastiku, i kiedy wsadzili ją do kuchenki, żeby upiec ciasto, roztopiła się na amen. Dym uruchomił alarm przeciwpożarowy.

- Pamiętasz? - powtórzył.

Joyce pociągnęła nosem w milczeniu.

- Wszystko u ciebie w porządku? - Chciał wiedzieć, co u niej słychać. Czy się z kimś spotyka? Nie wyszła za mąż, ale przecież była taka cholernie ładna i mądra. Musi być ktoś w jej życiu, ktoś, kto chciałby się nią opiekować.

- Jestem trochę przeziębiona - powiedziała.

- To słychać.

- Muszę kończyć.

Usłyszał ciche kliknięcie, kiedy odłożyła słuchawkę.

Następne trzy dni były burzowe - w jednej chwili z chmur lał deszcz, w następnej przezierano zza nich słońce i John praktycznie nie miał roboty, dopóki się na dobre nie

przejaśniło. Żałował teraz, że przepuścił te pięćdziesiąt dolarów na dziwkę. Ale zaraz pluł sobie w brodę, że nie ma więcej, żeby znowu jej zapłacić. Jakie pytanie zadałby tym razem? Może jak to jest być zakochanym? Tulić w ramionach kogoś, kto cię nie odpycha? Chciał znowu z nią porozmawiać. Chciał dowiedzieć się czegoś o jej życiu.

Niestety, nie było go na to stać.

W dzieciństwie nigdy nie musiał się martwić, że nie będzie miał co włożyć na talerz czy grzbiet. Rodzice się o to troszczyli. Na łóżku zawsze leżała świeża pościel, toaleta zawsze była czysta, a lodówka, gdy tylko ją otwierał, pełna jego ulubionych smakołyków. Nawet w więzieniu też wszystko miał podane. Obowiązywał tam ścisły rozkład dnia i surowe reguły, ale gdy tylko człowiek robił, co mu kazano, nie musiał się o nic martwić.

W dobrym miesiącu w myjni zarabiał około tysiąca dolarów na rękę. Czynsz za metrową, zakaraluszoną klitkę wynosił czterysta pięćdziesiąt - zdzierstwo, bez dwóch zdań, ale ponieważ nikt inny i tak by go nie przyjął, właściciel czuł się uprawniony. Taniej wyniosłoby wynajęcie mieszkania, jednak John nie mógł sobie pozwolić na spory zadatek, nie mówiąc już o różnych opłatach za media i płatnościach z góry, jakich domagały się zakłady użyteczności publicznej. Korzystanie z miejskiego transportu też kosztowało. Można było nabyć bilet na wszystkie trasy autobusowe i linie metra bez ograniczeń, ale trzeba było na ten cel wysupłać jakieś pięćdziesiąt dwa dolary na miesiąc. Czasami Johna nie było stać na zapłacenie z góry i musiał bulić dolara siedemdziesiąt pięć w jedną stronę, żeby dostać się do pracy.

Na jedzenie, składające się głównie z suchych płatków śniadaniowych, kanapek z masłem orzechowym i bananami oraz okazjonalnie z innych owoców, wydawał około stu dwudziestu dolarów miesięcznie. Musiał kupować mleko w małych kartonikach, które mógł od razu opróżnić i trzymać się produktów z długą datą ważności. Rola chłodziarki sprowadzała się głównie do ochrony żywności przed karaluchami, John nie mógł sobie pozwolić na kupowanie torebki lodu każdego dnia, zwłaszcza latem, kiedy upał roztopiłby wszystko, zanim zdążyłby dojechać do domu.

Za możliwość cieszenia się zwolnieniem warunkowym płacił państwu co miesiąc dwieście trzydzieści dolarów. Gwałt i morderstwo nie były tanie, a jeśli choć raz by nie zapłacił, z miejsca wylądowałby w celi. Pierwszy przelew, jaki każdego miesiąca realizował, szedł na konto stanu.

To wszystko sprawiało, że zwykle na własne potrzeby pozostawało mu niecałe siedemdziesiąt pięć dolarów na tydzień. W dobre dni, bo zdarzały się okresy, kiedy musiał zadowolić się znacznie mniejszą kwotą. Zmuszał się do oszczędzania, czasami nie dojadając, bywało, że kręciło mu się w głowie z głodu i wieczorami padał jak nieżywy na łóżko. Kiedyś w desperacji pojechał do jednej z wielu w biedniejszych częściach miasta agencji udzielających krótkoterminowych kredytów gotówkowych, ale nie potrafił zmusić się do płacenia 480 procent odsetek z tygodniowej pożyczki. Zresztą nawet jeśli byłby skłonny przystać na te warunki, trzeba było jeszcze mieć rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy,

tak żeby mogli przesłać pieniądze bezpośrednio na konto. Żaden bank na świecie nie otworzyłby Johnowi Shelleyowi rachunku.

O ubezpieczeniu zdrowotnym mógł tylko pomarzyć. Żył w ciągłym strachu, że zachoruje. Po niefortunnym telefonie do siostry szedł wśród deszczu, kapiąc kałuże, żałując, że nie może kopnąć samego siebie za to, że zadzwonił do Joyce. Miała dość własnych zmartwień, nie musiał jej jeszcze dokładać swoich. Prawda wyglądała tak, że chciał z nią po prostu porozmawiać, sprawdzić, co słyhać. Dzwonił do niej może raz na miesiąc, a ona zawsze witała te telefony z taką samą radością jak dziś rano.

Z piskiem opon zatrzymał się obok autobus miejski i John sprawdził numer, zanim wszedł. Ten miesiąc był niezły, więc pomachał biletem przed czytnikiem i pozdrowił skinieniem głowy kierowcę.

- Robi się zimno - powiedział mężczyzna.

- Bez dwóch zdań - zgodził się John, ciesząc się tą rozmową, dopóki nie dotarło do niego, że będzie musiał kupić zimową kurtkę. Boże, ile to będzie kosztować?

Autobus przyspieszył z szarpnięciem i John chwycił się oparcia siedzenia, żeby nie stracić równowagi, potem ruszył przejściem. W środku panował ścisk i znalazł wolne miejsce obok czarnej staruszki z Biblią na kolanach. Na przekór pogodzie miała na nosie parę dużych czarnych okularów przeciwsłonecznych. Nie uniosła głowy, kiedy John usiadł, ale wiedział, że zlustrowała go kąciakiem oka.

Istniało mnóstwo przekrętów na zdobycie pieniędzy. Zawsze był jakiś sposób, jakiś kant. W więzieniu aż roiło się od mężczyzn, którym się wydawało, że wpadli na doskonały pomysł. John wiedział, że niektórzy koledzy z myjni kradli paragony z mytych samochodów i zamieniali je na gotówkę. Najlepsze były sklepy dużych sieci handlowych. Wystarczyło wejść do środka, odnaleźć towar oznaczony tym samym kodem co figurujący na paragonie, następnie wręczyć go dziewczynie przy kasie i zabrać pieniądze. Łatwa kasa, mówili wszyscy. Ray-Ray powtarzał dwukrotnie.

Na Lindbergh przesiadł się do innego autobusu, mijając po drodze zamkniętą myjnię samochodową. Świadom, że wysiła się na próżno i robi coś głupiego, nadłożył drogi, jadąc Cheschire Bridge Road, tylko po to, żeby przejechać koło sklepu monopolowego, gdzie poznał Robin. Przez cały weekend o niej myślał, zastanawiał się, co porabia.

Wyobrażał sobie, że jej życie przypomina jego losy. Może była nieco rozpieszczona jak Joyce, córeczka tatusia. Myślał o jej młodszym bracie, przyjacielu całusnego Stewiego. Jaki jest? Czy dzwoni do niego, kiedy ma pieski dzień? Czy denerwują go jej telefony, tak jak Joyce irytują rozmowy z Johnem? Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest mieć siostrę, która jest kurwą. On byłby gotów z miejsca zabić każdego cholernego dupka, który choćby na nią popatrzył.

Autobus minął sklep monopolowy i John dostrzegł trzy panienki kryjące się pod markizą. Jedną z nich była ta pyskata, która biła się z Ray-Rayem. Nie widział nigdzie Robin.

Opadł na oparcie, patrząc na ekskluzywne restauracje, które mijali. Autobus zatrzymał się na rogu przed kinem i John wstał, żeby przepuścić wysiadającą staruszkę. Przeczytał reklamę repertuaru, nie kojarząc żadnego z zapowiadanych filmów. Po pierwszej wypłacie poszedł do kina i przeraził się, kiedy przy kasie usłyszał cenę biletu. Dziesięć dolców! W głowie mu się nie mieściło, że seans filmowy może tyle kosztować. Nawet popołudniówki były drogie.

Na skrzyżowaniu autobus skręcił w prawo i sceneria się zmieniła, pojawiło się więcej domów mieszkalnych. John wyglądał przez okno, podziwiając coraz większe rezydencje i coraz ładniejsze podwórka. Morningside, Wirginia Highland, Poncey-Highland. Przejechali przez Little Five Points obok nowej księgarni Barnes & Noble, sklepów Target i Best Buy. Dopiero kiedy ujechali już niezły kawałek Moreland Avenue, okolica zaczęła tracić na reprezentacyjności. Sklepy monopolowe, budki spożywcze i składy z częściami samochodowymi mieściły się przy brudnej ulicy. Szyldy reklamowały tanią realizację przelewów, tanie ubezpieczenia, jeden dumnie obwieszczał: „Jedyne miejsce w mieście sprzedające odzież na kilogramy”.

Na przystanku stali mężczyźni z brudnymi T-shirtami zarzuconymi na ramiona; wkładali koszulki w ostatniej chwili przed wejściem do autobusu. Wnętrze wypełnił nowy zapach, kiedy do środka zaczęli napływać robotnicy budowlani. Meksykanie, Azjaci, czarni. Ani się obejrzał, a był jedyną białą osobą w pojeździe.

Wysiadł z autobusu, kiedy ulica zrobiła się niemal ładna. Ta część Moreland sąsiadowała z Brownwood i Grant Park. Jakiś czas temu zaczęły się tu wprowadzać całe rodziny. Dbały o swoje domy i ogródki, domagając się lepszego traktowania, ładniejszych restauracji, bezpieczniejszych ulic niż wcześniejsi mieszkańcy. John już dawno temu zrozumiał, że klasa średnia ma się tak dobrze, ponieważ oczekuje wszystkiego, co najlepsze. Należący do niej ludzie nie zadowalali się niczym, co byłoby poniżej ich wartości. Po prostu wsiadali do swoich błyszczących samochodów i przynosili się tam, gdzie ich ceniono. Biedacy natomiast z reguły z pocałowaniem ręki brali to, co im dawano, i jeszcze się cieszyli.

Deszcz ustał i na chwilę zza ciemnych chmur wyjrzało słońce. John nie chciał wracać przez Moreland, więc wysiadł z autobusu i wszedł w Brownwood, przecinając park. Kiedyś oglądał tę okolicę na znalezionym w bibliotece planie miasta i teraz z zadowoleniem przekonał się, że zna drogę. Wszędzie dokoła pięły się w górę nowe budowle, trzypiętrowe rezydencje wznoszące się nad parterowymi domkami z lat pięćdziesiątych. Zastanawiał się, ile taka willa może kosztować. Jaką trzeba mieć pracę, żeby móc kupić sobie własny dom, wychować dzieci, może jeździć ładnym używanym samochodem? Nie potrafił ogarnąć takiej kwoty.

Ruszył Taublib Street w East Atlanta Village i z zaskoczeniem stwierdził, że tam, gdzie spodziewał się zobaczyć jedynie pustostany i warsztaty blacharskie, są ładne knajpki i kafejka. Minął też kilka butików, piekarnię i sklep zoologiczny. Popatrzył na wystawę, gdzie na opakowaniu z psią karmą wygrzewał się w słońcu duży rudy kot. Fajnie byłoby mieć

takie kocisko, jakieś zwierzę dla towarzystwa. Karaluch, którego znalazła pani Lam, przecież się nie liczył. Ale na ten luksus musiał jeszcze poczekać. Z trudem dawał radę wyżywić samego siebie.

Na Metropolitan Avenue skręcił w prawo, przeszedł kilka przecznic i znalazł się przed budynkiem poczty. Popatrzył na przysadzisty, bezosobowo wyglądający budynek. Na tabliczce adresowej figurował ten sam kod co na raporcie kredytowym: 30316.

Miejsce było zatłoczone, parking przed budynkiem i z boku był dokumentnie zastawiony samochodami, niektóre auta zaparkowano na ulicy, mimo że stojący obok znak surowo tego zabraniał. Bramę błękitnego wiktoriańskiego domu tuż obok tarasowała duża furgonetka przewozowa.

Na powrót się rozpadało: lekka mżawka, od której spochmurniało niebo. John przeszedł jakieś piętnaście metrów dalej Metropolitan Avenue, potem zawrócił. Patrzył, jak ludzie wchodzi i wychodzą, i zachodził w głowę, po co, u licha, tu przylazł.

Po półgodzinie przemierzania ulicy wte i wewte dotarło do niego, że nie ma żadnego powodu, dla którego sam nie miałby wejść do środka. Urząd pocztowy, z którego zwykle korzystał, był ponury i nie wiedzieć czemu śmierdział topionym tłuszczem z bekonu. John realizował tam przelewy z czynszem i haraczem na rzecz stanu, bo przybytek mieścił się zaledwie dziesięć minut drogi od noclegowni. W okolicy mieszkało mnóstwo emigrantów, którzy taszczyli tam kurczaki i inne małe zwierzęta, żeby je wysłać Bóg jeden wie gdzie. Zdarzało się, że czekając w ogonku, słyszał pianie koguta.

Pocztą tutaj była dobrze oświetlona, czysta i panowała w niej miła atmosfera. Tuż na wprost wejścia znajdowały się rzędy skrytek pocztowych: małe na górze, większe niżej. Na lewo mieściła się sala, w której dwie urzędniczki uwijały się jak w ukropie, obsługując klientów. Kolejka czekających ciągnęła się aż do automatu ze znaczkami przy wejściu. John wyciągnął pustą kopertę z tylnej kieszeni spodni i stanął w ogonku, starając się zachowywać jak normalny klient. Kolejka posuwała się powoli do przodu, ale John odważył się obejrzeć i spojrzeć na skrzynki pocztowe, dopiero kiedy znalazł się tuż przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do sali obsługi.

Skrytka osiempięćdziesiąt znajdowała się w pierwszym rzędzie na wysokości wzroku i sąsiadowała z drugą, która miała przyklejoną pomarańczową nalepkę z jakimś napisem, jednak zbyt wypłowiałym, żeby zdołał go odczytać.

- Miłego dnia - zawołała jedna z urzędniczek za klientką, która otarła się o Johna w drodze do wyjścia.

Cofnął się szybko, robiąc jej przejście i mamrocząc „przepraszam” wśród spadających mu z włosów kropli deszczu. Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że ktoś podchodzi do skrytek.

Wstrzymał oddech, z całych sił ściskając kopertę w dłoni, kiedy chuda Murzynka rozmawiająca przez komórkę, wepchnęła klucz do skrytki z numerem osiempięćdziesiąt. Śmiała się do aparatu, mówiąc coś obraźliwego o jakimś członku rodziny, i nagle wyciągnęła klucz z zamka. „Cholera, kochana, pomyliłam skrytki”. Przytrzymując telefon ramieniem i nie przestając pyłować, włożyła klucz do drzwiczek rząd niżej.

- Proszę pana? - odezwała się kobieta stojąca za Johnem.

Kolejka się przesunęła, ale John nie. Uśmiechnął się, rzucił:

- Przepraszam, zapomniałem portfela - i wyszedł z ogonka.

Co za głupia strata czasu. Nie mógł przecież warować przy tej skrzynce przez cały dzień, a szanse, że podszywająca się pod niego osoba przyjdzie właśnie wtedy, kiedy on tam będzie, były absurdalnie małe. Gdyby kupił los na loterię, mógłby liczyć na większe szczęście.

Otworzył drzwi i wyrzucił pustą kopertę do kosza. Niebo znowu się zachmurzyło i teraz lało już jak z cebra. John zadygotał z zimna. Sto dolarów. Porządny zimowy płaszcz kosztuje co najmniej stówę. Skąd niby ma wziąć tyle? Jak długo będzie musiał oszczędzać, żeby zbierać na pieprzony płaszcz?

Stanął na przystanku autobusowym skulony, przeklinając siebie i deszcz. Powinien się rozejrzeć za nową robotą. Może dla odmiany mogłaby to być praca pod dachem, która nie zależałaby od pogody i odbywałaby się w stałych godzinach. Gdzie by nie zwracano uwagi, że pracownik jest notowany i że według niektórych powinien zostać uśpiony jak wściekły pies, żeby ochronić resztę świata przed złem, które go trawi.

Ale wybór dostępnych źródeł zarobkowania ograniczał się do niebezpiecznych. Połowa ludzi pod celą trafiła tam, bo napadli na sklep całodobowy albo jakiś rodzinny spożywczak.

Większość gości z celi śmierci zaczynała od okradania osiedlowych budek, a kończyła karierę przestępczą, pakując kulkę w łeb jakiemuś kiepsko opłacanemu pracownikowi za

sześćdziesiąt dolców wyciągnięte z kasy. Zanim pani Lam nie wkręciła go do myjni, John z rozpaczy był bliski wypróbowania opcji z sklepikiem. Teraz wiedział już, że nie może wiecznie pracować przy myciu samochodów, nie w zimie. Musiał wytrzasnąć skądś pieniądze, i to szybko.

Autobus przyjechał z opóźnieniem, kierowca był poirytowany. Nastrój Johna nie odbiegał od humorów reszty pasażerów, kiedy chlupocząc, wszedł po schodkach i powlókł się na tył w adidasach za trzydzieści dolarów niemal doszczętnie zniszczonych przez deszcz. Opadł na wolny fotel na wpeł pragnąc, żeby piorun przecinający zygzakiem niebo wpadł do środka i strzelił go prosto w głowę. Skończyłby z uszkodzonym mózgiem jako warzywo śliniace się i zabierające miejsce w jakimś szpitalu. Miał trzydzieści pięć lat. Nigdy nie siedział za kierownicą samochodu, nie był na prawdziwej randce, nigdy naprawdę nie żył. Jaki, u licha, to wszystko ma sens, myślał, gapiąc się posepnie przez okno, patrząc, jak jakiś mężczyzna walczy z parasolem, starając się go zamknąć, żeby wsiąść do auta.

Kiedy autobus ruszył, John podniósł się i dalej wyglądał przez szybę ze wzrokiem wbitym w gościa z parasolem.

Ile to lat minęło? Nie potrafił teraz dokładnie obliczyć, ale wiedział, że to on. Z otwartymi ustami obserwował, jak mężczyzna poddał się, rzucił parasol na parking i zamknął z trzaskiem drzwiczki samochodu.

Tak. To był on. Bez dwóch zdań on. Nikt inny.

Miał jedną szansę na milion, że pojawi się na tej poczcie właściwego dnia o właściwym czasie.

Jedną na milion, a jednak tego dokonał.

Znalazł drugiego Johna Shelleya.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

John nie pamiętał momentu aresztowania - nie z powodu szoku, ale ponieważ był wtedy półprzytomny. Woody wpadł do niego z samego rana, żeby sprawdzić, co z nim, i przyniósł mu trochę valium. John wziął dosyć, żeby uśpić konia.

Pojawili się policjanci z nakazem aresztowania. Richard zaprowadził ich do sypialni, gdzie John leżał w omdleniu na łóżku. Ocknął się z twarzą palącą od bólu w miejscu, gdzie ojciec go spoliczkował. Chwilę potem gliniarze wywlekli go z domu, pamiętał, jak kajdanki na nadgarstkach wrzynały mu się w skórę. Zemdlał ponownie na trawniku.

Obudził się w szpitalu, czując znajomy smak węgla w ustach. Tylko że tym razem, kiedy spróbował się poruszyć, żeby otrzeć twarz, coś zabrzęczało przy poręczy łóżka. Zamglonym wzrokiem popatrzył na nadgarstek i zobaczył, że jest przykuty.

Przy drzwiach siedział policjant i czytał gazetę. Zerknął gniewnie na Johna.

- Obudziłeś się?

- Tak. - John z powrotem zapadł w sen.

Kiedy ponownie oprzytomniał, w sali była matka. Boże, wyglądała potwornie. Zastanawiał się, jak długo spał, bo patrząc na nią, miał wrażenie, że musiało minąć ze dwadzieścia lat od chwili, kiedy wdrapał się po schodach do swojej sypialni, cichutko puścił Hartów i połknął garść białych proszków, które dostał od kuzyna.

- Kochanie - powiedziała, głaszcząc go po ramieniu. - Nic ci nie jest?

Bezwładny język wypełniał mu usta. Pierś bolała tak, jakby ktoś walnął go w mostek dwuręcznym młotem. Jak w ogóle udało mu się przez ten cały czas oddychać?

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - To jakaś pomyłka.

Policja była jednak innego zdania. Mniej więcej godzinę później pojawił się prokurator okręgowy, za nim stał Paul Finney, łypiąc wściekle na Johna, jakby chciał wskoczyć na łóżko i udusić go na miejscu gołymi rękoma. Gliniarz także musiał to zauważyć, bo stanął tuż obok, pilnując, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

Prokurator okręgowy dokonał prezentacji.

- Nazywam się Lyle Anders. To jest szef policji Harold Waller.

Policjant stojący obok Finneya trzymał w ręku kartkę. Odchrząknął i zerknął na nią, jakby odczytywał ze scenariusza.

John popatrzył na matkę.

- Wszystko w porządku, kochanie.

- Jonathanie Winstonie Shelleyu - zaczął Waller. - Aresztuję cię za gwałt i zabójstwo Mary Alice Finney.

John miał wrażenie, jakby nagle znalazł się pod wodą. Widział, że wargi Wallera się poruszają, że policjant coś mówi, ale poszczególne słowa do niego nie docierały.

Wreszcie Lyle Anders wyciągnął rękę i strzelił mu palcami przed twarzą.

- Rozumiesz, co się dzieje, synu?

- Nie - powiedział John. - Ja nie...

- Nic nie mów - uciszyła go matka, przykładając palec do ust. Emily Shelley, członkini komitetu rodzicielskiego, opiekunka zuchów, autorka doskonałych wypieków i projektantka strojów na Halloween, wyprostowała się i zwróciła do trzech mężczyzn stojących w sali.

- Czy to wszystko?

Wszyscy mówili nad jego niską matką, zwłaszcza Paul Finney. W ogóle był roslym mężczyzną, ale wściekłość sprawiała, że wydawał się jeszcze większy.

- Musi złożyć oświadczenie - powiedział Anders.

- Nie - rzuciła kobieta, która była jego matką. - Wcale nie musi.

- To leży w jego interesie.

- Mój syn przeszedł przez prawdziwą gehennę. Musi odpocząć.

Anders spróbował zwrócić się bezpośrednio do Johna, mimo że Emily go zasłoniła.

- Synu, musisz stawić temu czoło i powiedzieć nam, co się wydarzyło. Jestem pewien, że jest jakiś powód....

- On nie ma wam nic do powiedzenia - rzekła twardo Emily.

John tylko raz słyszał, jak mówiła takim nieznośnym sprzeciwu głosem, kiedy Joyce miała dziesięć lat i próbowała przejść po balustradzie górnego tarasu.

Teraz po kolei popatrzyła każdemu z mężczyzn w oczy.

- Wyjdźcie, proszę.

Paul Finney rzucił się w stronę Johna, ale gliniarz go przytrzymał.

- Ty skurwysynu - wycedził. - Będziesz się za to smażył na krześle.

Należał niegdyś do stanowej drużyny zapaśniczej. Anders i Waller musieli się niemało namęczyć, żeby utrzymać go z dala od Johna. W końcu podnieśli go i siłą usunęli z pokoju.

Kiedy drzwi się zamykały, zdążył jeszcze wrzasnąć:

- Zapłacisz za to, skurwielu!

Matce trzęsła się dolna warga, kiedy odwróciła się do Johna. Pomyślał, że, dziwna rzecz, z równowagi wytrącił ją język pana Finneya.

- Gdzie tata? - spytał. To Richard zawsze zajmował się kłopotami, rozwiązywał problemy. -

Mamo? Gdzie on jest?

Przełknęła ślinę i wzięła go za rękę.

- Posłuchaj mnie - powiedziała pospiesznie. - Za chwilę wrócą i zabiorą cię do aresztu.

Mamy tylko kilka sekund.

- Mamo...

- Nie mów. - Ścisnęła jego dłoń. - Słuchaj.

Skinął głową.

- Nic nie mów policji. Nawet jak się nazywasz. Nie mów, gdzie byłeś tamtej nocy ani co jadłeś na obiad.

- Mamo...

- Cicho, Jonathan - rozkazała, przycisnąwszy mu palec do ust. - Nie rozmawiaj z nikim w areszcie. Tam nie ma przyjaciół. Każdy patrzy tylko na swój interes i ty też powinieneś. Nie mów nic przez telefon, bo podsłuchują rozmowy. Roi się tam od kapusiów.

Kapusie, pomyślał John. Gdzie matka usłyszała to słowo? Skąd to wszystko wiedziała? Nie oglądała nawet Kojaka bo uważała, że za dużo w nim przemocy.

- Chcę, żebyś mi to obiecał, John - nalegała. - Obiecuj, że nie będziesz z nikim rozmawiał, dopóki nie pojawi się ciocia Lydia.

Ciocia Lydia. Żona wujka Barry'ego. Była prawnikiem.

- John? - naciskała. - Obiecujesz? Ani słowa? Nie rozmawiaj nawet o pogodzie. Rozumiesz? To najważniejsza rzecz, o jaką kiedykolwiek cię prosiłam, i musisz mnie posłuchać. Ani pary z ust. Słyszysz?

Płakała i on także zaczął.

- Tak, mamo.

Otworzyły się drzwi, wrócił Waller. Popatrzył na tę scenę, na matkę trzymającą syna, i twarz mu złagodniała. Kiedy odezwał się do Emily, mówił niemal delikatnie:

- Pani Shelley, musi pani teraz wyjść.

Zacisnęła dłoń na ręce Johna. Popatrzyła na niego przez łzy płynące jej z oczu. Nie wiedzieć czemu spodziewała się, że powie, że go kocha, ale zamiast tego poruszyła tylko bezgłośnie wargami:

- Z nikim.

Nie rozmawiać z nikim.

Anders poczekał, aż Emily opuści salę, i dopiero wtedy sięgnął do kieszeni i wyciągnął kluczyki do kajdanek. Chwila łagodności minęła tak szybko, jak się pojawiła.

- Posłuchaj mnie, gnojku - powiedział. - Wstaniesz z łóżka, ubierzesz się i położysz ręce na plecach. Jeśli sprawisz mi choć cień problemu, pożałujesz, że się urodziłeś. Rozumiesz, co mówię, pieprzony zwyrodnialcu?

- Tak - powiedział John osłupiały z przerażenia. - Tak, proszę pana.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

15 PAŹDZIERNIKA 2005 ROKU

Więzienie stanowe Coastal mieściło się niedaleko Savannah, w miejscowości Garden City w stanie Georgia. Same nazwy brzmiały bardzo urokliwie, nasuwając na myśl obraz

malowniczego nadmorskiego miasteczka z pocztówki. Ten, kto wybrał to miejsce na siedzibę zakładu penitencjarnego, musiał mieć przy tym ubaw po pachy.

Coastal było więzieniem o najwyższym stopniu zabezpieczeń. Istniało dopiero od kilku lat, w chwili kiedy John tam przybył, po dziesięciu latach jego odsiadki zostało rozbudowane w celu przyjęcia nowego napływu niebezpiecznych przestępców. Obecnie składało się z siedmiu pawilonów liczących po dwanaście cel dwuosobowych i dwadzieścia cztery cele czteroosobowe. Dysponowało także czterdziestoma czterema celami izolacyjnymi, trzydziestoma zabezpieczającymi i piętnastoma ochronnymi. Pawilon L mieścił dwustu ludzi, N kolejne dwie setki, zaś O i Q były otwartymi sypialniami z piętrowymi pryzami rozmieszczonymi jak w koszarach. Razem wzięwszy, przebywało tam blisko tysiąc sześciuset ludzi.

John nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek będzie chciał tam z własnej woli wrócić, ale wziął sobie dzień wolnego i o szóstej rano wsiadł do międzymiastowego autobusu. Wydał na bilet resztę pieniędzy przeznaczonych na zakup telewizora. Próbował zdrzemnąć się w czasie drogi z głową opartą o szybę, ale myślał tylko o tym, jak po raz pierwszy pokonywał tę trasę w kajdankach i łańcuchach. Nie może tam wrócić. Nie może umrzeć w więzieniu. Zabrał ze sobą książkę - *Tessę d'Urberville* - i czytał ją podczas prawie pięciogodzinnej podróży. Musiał wielokrotnie wracać do tych samych fragmentów, z każdym kilometrem coraz trudniej było mu skupić się na tekście i co rusz odpływał myślami gdzie indziej. Jak matce udawało się odbywać tę podróż dwa razy w miesiącu? Nic dziwnego, że wyglądała

jak z krzyża zdjęta, gdy się pojawiała. Nic dziwnego, że sprawiała wrażenie przybitej, kiedy po raz pierwszy pozwolono jej na widzenie. Mimo to robiła to przez bite dwadzieścia lat, podczas których opuściła tylko trzy widzenia.

Tessa zwierzała się właśnie Angelowi ze swego szlacheckiego pochodzenia, kiedy autobus zatrzymał się przed więzieniem. John biletem zaznaczył miejsce, w którym przerwał, i schował książkę do plastikowej reklamówki.

Przy kontroli odwiedzających palił się ze wstydu podczas rewizji i przesłuchania, nie dlatego że miał się za kogoś lepszego, ale dlatego że wreszcie rozumiał, przez co przechodziła matka za każdym razem, gdy przyjeżdżała się z nim zobaczyć. Kiedy przeszukiwali reklamówkę, otwierali karton papierosów i wertowali książkę niemal strona po stronie, zrobił rachunek. Ponad pięćset razy odbyła tę podróż. Jak dała radę to wszystko wytrzymać? Jak mógł zafundować jej takie upokorzenie? Nic dziwnego, że Joyce była taka wściekła. John nigdy jeszcze nie czuł do siebie większej nienawiści niż w tej właśnie chwili. Usiadł wreszcie na jednym z plastikowych krzesełek, czekając, aż wywołają jego nazwisko. Kolana znowu mu podrygiwały, wszyscy inni w poczekalni wyglądali na doskonale spokojnych. W większości były to kobiety z dziećmi, które przyjechały odwiedzić tatusiów. Jeden szkrab niedaleko Johna trzymał wykonany kredkami rysunek samolotu. Jakaś dziewczynka płakała, ponieważ nie pozwolono jej zabrać do środka misia. Na rentgenie wyskoczyło coś dziwnego, a matka nie pozwoliła sprawdzić dokładniej co.

- Shelley! - zawołała funkcjonariuszka w mundurze. Żaden ze strażników go nie rozpoznał, ale uwzględniając liczbę osadzonych i odwiedzających co tydzień, nie było w tym nic dziwnego.

- Shelley?! - zawołała znowu.

John wstał, przyciskając reklamówkę do piersi.

- Stolik numer trzy - powiedziała, skinieniem głowy wskazując mu drogę.

Położył torbę na taśmie rentgena, pozwalając, żeby prześwietlono ją po raz trzeci, i przeszedł przez bramkę z wykrywaczem metali do sali widzeń. Zatrzymał się przy końcu taśmy i spróbował spojrzeć na pomieszczenie oczyma matki. Miało siedem metrów na dziesięć i było zastawione metalowymi, przyśrubowanymi do podłogi stołami piknikowymi. Mężczyźni siedzieli po jednej stronie, ich żony, dziewczyny albo opłacone dziwki po drugiej. Dzieciaki biegały po sali, śmiejąc się i krzycząc, a co trzy metry przy ścianie stał klawisz. Wszędzie znajdowały się kamery, których obiektywy poruszały się wolno na boki w geście dezaprobaty.

Ben Carver siedział w głębi sali przy stoliku z numerem trzy. Był ubrany w swoją zwykłą białą koszulę, białe spodnie i białe skarpety. Na nogach miał białe lakierki, przysłane przez matkę, bardzo rzadko nosił je poza celą, z obawy, że się pobrudzą.

Każdy w więzieniu przybierał jakąś maskę, inną osobowość, która pomagała mu przetrwać. Twardziele stawali się jeszcze bezwzględniejsi, Aryjczycy okrutniejsi, geje bardziej gejowscy, a wariaci kompletnymi szajbusami. Ben podpadał pod tę ostatnią kategorię i

odgrywał swoją rolę po mistrzowsku. Choć John nie uważał, żeby przychodziło mu to z trudem. Do momentu zatrzymania przez GBI zdążył zamordować sześć osób w okolicach Atlanty. Miał zwyczaj odcinać swoim ofiarom na pamiątkę prawy sutek. Podczas aresztowania, do którego doszło na poczcie głównej Atlanty, gdzie Ben od osiemnastu lat pracował jako sortowacz przesyłek, jednego z gliniarzy trochę poniosło i rzucił go na ziemię. Kawałek ciała - później zidentyfikowany jako prawy sutek jego ostatniej ofiary - wypadł z ust Bena, który ssał go jak landrynkę.

Ten drastyczny szczegół w połączeniu z jakże sugestywnym nazwiskiem Carver (*Carver (ang.) - ten, który kroi, również mięso; krajczy (przyp. tłum.)*) wzbudziły medialną sensację. W przeciwieństwie do Johna Ben trafił do serwisów ogólnokrajowych, a nawet dorobił się własnego przezwiska: Krajczy z Atlanty. Niby nigdy nie cieszył się specjalnie z tego przydomku, ale wściekł się, kiedy Wayne Williams, mężczyzna skazany za seryjne zabójstwa dzieci, zepchnął go z pierwszych stron gazet kilka tygodni po aresztowaniu.

- Mój kochany chłopcze - powiedział teraz, mierząc Johna wzrokiem i uśmiechając się słabo.

Miał wilgotne wargi z czarną plamką na środku w miejscu, gdzie zwykle trzymał papierosa. Zęby były podobnie naznaczone nikotyną. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką Ben zdradził Johnowi, było wyznanie, że ma coś na kształt oralnej fiksacji. „Lepsze papierosy niż twój prawy cycek, mój drogi chłopcze”. John już nigdy później nie narzekał na to, że kolega pali.

- A zatem? - odezwał się Ben.

John stał przy stole niepewny, czy chce usiąść.

- Dobrze wyglądasz - powiedział.

- Naturalnie. - Udał, że przygląda włosy, prawie nieistniejące, i mrugnął do kogoś za plecami Johna.

Ben siedział w bloku izolacyjno-ochronnym, jednak nie było odrębnej sali widzeń przeznaczonych dla osadzonych z tego bloku, zatem musiał przebywać razem ze wszystkimi przy tych rzadkich okazjach, gdy ktoś go odwiedzał. Każdy więzień stamtąd znajdował się w największym niebezpieczeństwie podczas odwiedzin. Musiał mieć nadzieję, że koledzy współwięźniowie będą zbyt pochłonięci kurwami albo zbyt pełni szacunku dla żon i dziewczyn, żeby wyciągnąć kosę i rozorać mu brzuch.

- Musiałem się z tobą zobaczyć - powiedział John. Starał się nie myśleć o tym, co kolega, który właśnie mlasnął ustami, by w nich trzymał, gdyby policja go nie złapała.

- Mówiłem ci przecież, żebyś nigdy nie wracał do tego piekła.

- Cieszę się, że cię widzę - odpowiedział John i nie kłamał. Od chwili wyjścia na wolność nie widział ani jednej przyjaznej twarzy.

- Dobrze. - Ben cmoknął raz jeszcze. - Co mi przywiozłeś?

John wyjął z reklamówki karton cameli bez filtra.

- Och, nie powinienesz być. - Ben przycisnął papierosy do piersi. - Ależ, proszę, siadaj, słodziutki. Wiesz, że nie lubię, jak ktoś nade mną stoi, nawet jeśli teraz zapewnia mi to cudowny widok na wyrzucenie między twoimi nogami.

John usiadł zażenowany. Zapomniał już, jak Ben się do niego zwracał, jak potrafił zwykłe pytanie o godzinę zamienić w świntuszenie. Musiał przypomnieć sobie, że to wszystko stanowiło część roli, jaką odgrywał przyjaciel, sposób na przetrwanie dnia bez poderżnięcia sobie gardła.

- Dziś leci odcinek z rekomendacjami Oprah.

Oprah Winfrey Show to był jedyny program, na którego oglądanie zgadzał się cały blok.

- Na pewno będzie ciekawy - stwierdził John. Nie dodał nic więcej, bo obok przechodził strażnik i na kilka minut zatrzymał się przy ich stoliku.

- No - ponaglił go Ben - wiesz przecież, że nie potrafię długo wytrzymać bez papierosa.

Czego ci trzeba?

John pochylił się w jego stronę, trzymając dłonie płasko na stole, tak by strażnik widział, że nie robi nic niezgodnego z przepisami.

- Mam problem.

- Tyle sam się domyśliłem.

Strażnik odszedł. John stłumił chęć obejrzenia się przez ramię. Ben śledził sytuację przed sobą, a John obserwował wszystkich za Benem.

- Skarbie - powiedział Ben - pamiętajmy, że ściany mają uszy.

Raczej stoły. John nie był pewien, czy to prawda, ale wszyscy pod całą świecę wierzyli, że sala widzeń naszpikowana jest pluskwami umieszczonymi pod stolikami i w jarzeniówkach

pod sufitem. Kamery same rzucały się w oczy, przeczesując pomieszczenie na wszystkie strony i robiąc zbliżenia podejrzanym osobnikom. Tu nawet księdzu nie można było ufać. Opowiedział szeptem Benowi o próbie zakupu telewizora, raporcie kredytowym, poczcie. Dorzucił informację o mężczyźnie z parasolem, uważając, żeby nie wymienić jego nazwiska, na wypadek gdyby te pogłoski były jednak prawdziwe.

Kiedy skończył, Ben powiedział:

- Rozumiem.

John trochę się odprężył.

- Co powinienem zrobić?

Ben zacisnął pełne usta i przyłożył palec do miejsca, gdzie w czerwień warg wżarła się czarna plama.

- Odpowiedź, skarbie, nie jest prosta.

- Robi mi z jakiegoś powodu koło pióra - powiedział John. Potem, ponieważ nie był pewien, dodał: - Zgadza się?

- W rzeczy samej - zgodził się Ben. - Nie ma innego wytłumaczenia dla takiego postępowania. Absolutnie żadnego.

- Używa mnie jako przykrywki.

- Wrabia cię, skarbie.

John potrząsnął głową i znowu przysunął się bliżej.

- Przecież to bez sensu. Zaczął sześć lat temu, a sześć lat temu siedziałem jeszcze tutaj. Trudno o lepsze alibi.

- Co racja, to racja - przyznał Ben, znowu przykładając palec do wargi. - Wie, że wyszedłeś?

John wzruszył ramionami.

- Mógł się dowiedzieć.

- Ale czy wie? - spytał ponownie Ben. - Muszę przyznać, mój drogi, że zaskoczyłeś mnie swadą, z jaką przemawiałeś przed komisją do spraw warunkowego. Z taką elokwencją, złotousty.

John pokiwał głową. Sam siebie zaskoczył.

- Zabawmy się w „co jeśli” - zaproponował Ben. - Co jeśli twój przyjaciel założył, że zgnijesz w tej naszej małej gnojówce?

- Okay.

- I co jeśli, ku swojemu niemałemu zdziwieniu, dowiedział się, że nasz kochany chłopczyk wyszedł? - Tak?

- I co jeśli uznał, że twój powrót mu zagraża? - Ben nachylił się bliżej. - Najwyraźniej coś sobie kręci na boku.

- Mhm - zgodził się John.

- I nie chce, żebyś mu w tym przeszkodził, prawda?

- Prawda.

- Więc co robi?

Obaj zamilkli, usiłując przewidzieć następny krok.

- Nie wiem - przyznał John, sfrustrowany. - Muszę go odszukać.

- Próbowałeś wszystkich oczywistych sposobów?

- Tak. - Szukał w książce telefonicznej, ale gość tam nie figurował. Korzystał nawet z komputera w bibliotece, czując się jak idiota, kiedy studiował wydrukowane wskazówki, jak poruszać się po Internecie. Bez rezultatu. - Muszę ustalić, co knuje.

Ben przebiegł palcami po kartonie z papierosami, zaczął skubać krawędź.

- Naturalnie mógłbym wykorzystać swoje kontakty z wolności, żeby ustalić ci aktualny adres jegomościa.

- Masz je jeszcze? - John zdziwił się, że Ben przyznaje się do tego w miejscu, gdzie mógłby zostać podsłuchany. Podczas procesu „źródła zbliżone do śledztwa” informowały, że za pośrednictwem poczty wewnątrz firmowej rozsyłał niektóre ze swoich pamiątek kolegom fetyszystom.

Ben uśmiechnął się szeroko.

- Słońce czy deszcz (*Parafraza motto poczty amerykańskiej (przyp. tłum.)*)... jednak nic nie wskóram bez jednej informacji.

Nazwisko. Potrzebował nazwiska. John rozejrzał się dokoła, otworzył usta, ale...

- Tss, tss - ostrzegł Ben.

Pojawił się kolejny strażnik i stanął tuż naprzeciw ich stolika. Obaj mężczyźni znowu zamilkli, John wbił wzrok w dłonie, zastanawiając się, czy postąpił właściwie, przyjeżdżając tutaj. Ale do kogo innego miał się zwrócić? Nie mógł mieszać w to Joyce. A oprócz niej znał tylko kryminalistów, zbrodniarzy i kurwy.

Klawisz ruszył dalej i Ben się skrzywił. Pod wieloma względami był dla Johna jak ojciec. Jak do tego doszło? Jak ktoś tak zły, pozbawiony jakichkolwiek pozytywnych cech, mógł się stać jego przyjacielem?

Nasuwało się tylko jedno wyjaśnienie: uważał, że są z Johnem z tej samej gliny.

- Wiesz co - powiedział teraz. - Mam samochód.

- Że co?

- Jest w domu mojej matki. Zadzwońię do niej dzisiaj i uprzedzę ją, że przyjaciel go pożyczycy.

Ben lepiej ogarniał tę sytuację. John szedł krok za krokiem, nawet nie zastanawiając się nad wszystkim dokładnie. Bo co jeśli nawet ustali już ten adres? Przecież nie da rady nikogo śledzić, korzystając z komunikacji miejskiej.

- Jest na chodzie? - spytał.

- Matka jeździła nim kiedyś co niedziela do kościoła, ale teraz wozi ją przyjaciel, pan Propson - wyjaśnił Ben. - Nazywa się Beulah Carver. Zapewne druga o tym nazwisku nie figuruje w książce. Da ci kluczyki, ale nie mów jej, skąd mnie znasz.

- Siedzisz od prawie trzydziestu lat. Nie wydaje ci się, że się domyśli?

- Przez trzy lata trzymałem męskie sutki w jej lodówce, twierdząc, że to leki ziołowe na łysienie. Jak ci się wydaje?

John przyznał mu rację.

- Okay. - Przyjaciel pobiegł wzrokiem gdzieś nad ramieniem Johna i zaczął mówić szybko, na chwilę zrzucając swą maskę. - Musisz go śledzić. Obserwuj go i dowiedz się, co robi, gdzie jeździ. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Nic. - Wstał, kiedy zbliżył się do nich kolejny klawisz. - Idź już, skarbie. Dziękuję za uroczy podarunek. - Postukał w karton papierosów. John również się podniósł.

- Ben...

- Idź - powiedział z naciskiem.

Zarzucił Johnowi ramiona na szyję i przyciągnął go blisko do siebie. Natychmiast zbiegli się strażnicy - fizyczny kontakt był surowo wzbroniony - ale Ben uczeplił się mocno przyjaciela, ocierając mokrymi wargami o jego szyję. Śmiał się jak hiena, kiedy go odciągnęli, ale wystarczyło mu przytomności umysłu, by nie wypuścić z rąk kartonu cameli.

- Do widzenia, słodziutki! - krzyknął, kiedy wlekli go do drzwi.

John pomachał mu w odpowiedzi, powstrzymując chęć starcia śliny kolegi, dopóki ten nie zniknął z widoku.

Po jakichś pięciu latach odsiadki spytał Bena, dlaczego nigdy się do niego nie przystawiał, dlaczego niczego nie próbował. Wtedy John był już większy. Dokładnie tak jak matka zawsze przewidywała, dogonił wreszcie swoje ręce i stopy. Ćwiczenia na siłowni wyrzeźbiły

mu ciało, porośnięte teraz z włosami w ilości wystarczającej do ogrzania niedźwiedzia polarnego.

Ben wzruszył ramionami.

- Nie bierz dupy ze swej grupy.

- Nie - upierał się John, nie pozwalając mu się wymigać sarkastycznym unikiem. - Powiedz mi. Chcę wiedzieć.

Ben rozwiązywał krzyżówkę i z początku się zirytował, ale zrozumiał, że John mówi serio, i odłożył gazetę.

- Nie ma w tym zabawy - powiedział wreszcie. - Pociąga mnie urok widowiska, przedstawienie. Jestem aktorem na scenie, a ty... - Posłał mu swój wilgotny uśmiech. - Ty jesteś chamem.

Tym razem jednak cham się spisał. W ciągu kilku sekund, kiedy twarz Bena była przyciśnięta do jego twarzy, zdążył powiedzieć mu wszystko, co trzeba.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy przysięgli ustalili werdykt, Johna zabrano z powrotem do aresztu w więzieniu okręgowym hrabstwa. Zostawili mu kajdanki, ale zabrali pasek i sznurówki, żeby nie zrobił

niczego głupiego. Zbędny trud. Był zbyt zszokowany, żeby się ruszać, a co dopiero wymyślić sposób na pozabawienie się życia w maciupkiej celi.

Od dwudziestu dwóch lat do dożywocia. Dwadzieścia dwa lata. Będzie miał trzydzieści, zanim uzyska prawo ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Będzie starym człowiekiem.

- To dobrze - powiedziała matka ze łzami w oczach. Nie płakała dużo po jego aresztowaniu, ale teraz pozwoliła sobie na szloch. - To dobrze, kochanie.

Dobrze, że uniknął kary śmierci, chciała powiedzieć. Jakiś czternastolatek właśnie trafił na czołówki ogólnokrajowych serwisów informacyjnych za śmiertelne pobicie kijem bejsbolowym swojego rówieśnika. Niedawno w Teksasie wykonano wyrok śmierci na dwudziestośmiolatku za zbrodnię, którą popełnił jedenaście lat wcześniej. Młodociani przestępcy przestali już być ewenementem. John mógł teraz być w drodze do celi śmierci, zamiast mierzyć się z perspektywą spędzenia życia za kratkami.

- Możemy złożyć apelację - powiedziała mu matka. - To nie potrwa długo. Będziemy się odwoływać.

Stojąca za nią ciotka Lydia patrzyła z powątpiewaniem. Później się dowiedział, że z wyjątkiem jednego przysięgłego, ojca trzech chłopców, z których jeden był w wieku Johna, wszyscy pozostali członkowie ławy głosowali za karą śmierci. Wszyscy spojrzeli raz na Johna, potem na powiększone do ogromnych rozmiarów zdjęcia okaleczonego ciała Mary Alice i chcieli, żeby także umarł.

W areszcie John w kółko przetrawiał to, co powiedziano o nim podczas procesu. Stanowy psycholog sprawiał wrażenie miłego, kiedy rozmawiali kilka miesięcy wcześniej, ale podczas rozprawy oświadczył wszystkim zebranym w sali rozpraw, że John ewidentnie jest psychopata, bezwzględnym mordercą bez cienia sumienia. Pojawili się też uczniowie ze szkoły, którzy podczas ostatniej fazy procesu opowiadali, jaką dobrą dziewczynką była Mary Alice i jakim chuliganem był John Shelley. Dyrektor Binder, trener McCollough... przedstawiali go jak jakiegoś Charlesa Mansona.

Kim był ten osobnik, o którym mówili? John go nie poznawał. Połowa z zeznających dzieci w ciągu ostatnich trzech lat zamieniła z nim może dwa słowa, a teraz zachowywali się tak, jakby znali go na wylot. Zmiana dokonała się między podstawówką a gimnazjum: John wypadł wtedy z grupy popularnych uczniów. Gdyby nie sport, byłby kompletnym outsiderem. Kiedy wyrzucono go z drużyny, wszyscy dawni koledzy ignorowali go na korytarzach. A teraz w ustach tych swoich „przyjaciół” wychodził na jakiegoś... potwora. Z wzrokiem wbitym w betonową podłogę celi usiłował niczym chiromanta z pokrywających ją pęknięć odczytać swą przyszłość. Kiedy uniósł głowę, po drugiej stronie krat stał Paul Finney, ojciec Mary Alice.

Uśmiechał się.

- Korzystaj z tej chwili, gnoju - powiedział. - Odtąd będzie już tylko gorzej.

John milczał. Co miał niby odpowiedzieć.

Pan Finney pochylił się bliżej i chwycił za kratę.

- Pomyśl o tym, co jej zrobiłeś - wyszeptał. - Pamiętaj o niej, kiedy będziesz pochylał się pod prysznicem.

John nie zrozumiał. Miał szesnaście lat. Nawet gdyby pan Finney szczegółowo wyjaśnił mu, co ma na myśli, John najpewniej potrząsnąłby głową i uznał, że to niemożliwe.

Ale było możliwe.

Przez cały wieczór trzymali go w areszcie, strażnicy przechadzali się pod jego celą co pół godziny, sprawdzając, czy nie próbuje skrócić pętli z prześcieradeł. Więzienie stanowe Coastal znajdowało się nad oceanem, kilkaset kilometrów dalej, w jakiejś dziurze, o której John nigdy nie słyszał.

Przepisy dotyczące widzeń były bardzo restrykcyjne. Musiał odsiedzieć miesiąc, zanim mógł liczyć na odwiedzinę matki. Ponoć był to okres niezbędny do aklimatyzacji, podczas którego więzień przyzwyczajał się do nowej sytuacji, a władze więzienne upewniały się, że zasługuje na przywilej spotkania z bliskimi. Jak dotąd najdłuższa rozłąka Johna z rodziną trwała tydzień podczas jakichś świąt, które spędził w Gatlinburgu w Tennessee.

Obudzili go o świcie, żeby ominąć największe korki, i John z rękoma w kajdankach i powłócząc skutymi łańcuchem nogami, wgramolił się do więźniarki. Miał tak szczupłe nadgarstki, że trzeba było pożyczyć mniejsze kajdanki z kobiecego aresztu. Zawsze był chudy jak szczapa, a obecny stres jeszcze pogorszył ten stan. Podczas procesu stracił prawie dziesięć kilogramów i pod workowatym pomarańczowym kombinezonem można było wyczuć żebra.

Inni mężczyźni siedzący w więźniarce zareagowali na jego wejście gwizdami i wyciem. Uśmiechnął się, bo myślał, że to jakiś rytuał powitalny.

- Bądź silny - mówiła mu wcześniej matka, znowu sięgając po twarde język z Kojaka. - Nie daj się wyprowadzić z równowagi i nikomu w niczym nie ufaj.

Jeden ze strażników uderzył pałką w pręty oddzielające siedzenie kierowcy od więźniów. Potem wskazał nią miejsce tuż za kierującym i polecił: „Siadaj”.

Furgonetka nie miała klimatyzacji i bardzo trzęsała na wybojach. Przez całą drogę kajdany Johna szczękały jak łańcuchy Jakuba Marleya. Starał się zająć czymś myśli, grał sam ze sobą w gry, w które grali z Joyce, kiedy jeździli z rodzicami na wakacje na Florydę. Ile zdoła naliczyć tablic rejestracyjnych od opuszczenia miasta? Ile krów na jednym poboczu? Ile po drugiej stronie drogi?

Kiedy dojechali do rogatek Savannah, miał już tak pełny pęcherz, że niemal płakał z bólu. Wiedział instynktownie, że nie przewidziano postojów w tej podróży, i gdy przejeżdżali przez pierwszą bramę więzienia, potem drugą i trzecią, z całych sił musiał zaciskać nogi. Kiedy wstał, poczuł ostry ból pęcherza, ale cieszył się, że ma łańcuchy na kostkach, bo to dawało mu wymówkę, żeby trzymać nogi razem. Strażnik poprowadził ich do pierwszego budynku: John szedł na przedzie, reszta więźniów podążała za nim. Jeden z nich skrobał mu marchewkę i John, chcąc nie chcąc, ruszył szybciej, choć pęcherz niemal rozsadzał mu brzuch.

Zaprowadzono ich do otwartej łazienki z rzędem pisuarów. Niespiesznie rozkuto każdego po kolei. Zawstydzony John czekał, aż ktoś załatwi się przed nim. Kiedy sięgał do rozporka w kombinezonie, czuł na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych. Ubranie było na dorosłego mężczyznę, więc krocze miał gdzieś w okolicach kolan. Z początku ze zdenerwowania nie mógł nic zrobić, ale w końcu poleciał słaby strumień moczu.

- Przypomina paróweczkę - powiedział stojący za nim mężczyzna. Patrzył prosto na jego penis. Kiedy John uniósł wzrok, obnażył w uśmiechu rząd krzywych zębów. - Robię się głodny już na sam widok.

- Zamknąć się - rozkazał jeden ze strażników. Na naszywce na mundurze widniało nazwisko „Everett”. Trzymał pałkę w obu dłoniach, jakby blokował szarżę. - Rozbierać się i stanąć na czarnej linii.

John spiekł raka. Z uwagi na wiek podczas procesu trzymany był w areszcie w odosobnieniu, strażnicy wprawdzie przeszukiwali go wielokrotnie, ale nigdy w ten sposób. W całym swoim życiu nie stał jeszcze nago przed grupką obcych. Zdrętwiałymi palcami rozpinął guziki kombinezonu i starał się nie patrzeć na innych więźniów, choć oczywiście, chcąc nie chcąc, coś widział. Byli ogromni - wszyscy co do jednego. Mieli owłosione ciała dorosłych mężczyzn. John zaczął późno dojrzewać. Golił twarz może raz na tydzień, a i wtedy bardziej z pobożnych życzeń niż rzeczywistej potrzeby. W zestawieniu z tymi dryblasami wyglądał jak dziewczynka, małe przestraszone dziewczątko.

Everett zaczął przedstawiać im regulamin, wymieniając to, co wolno, a czego nie. Kiedy mówił, inny strażnik obchodził ich z latarką od tyłu, każąc każdemu kolejno się pochylić w celu dokładnej inspekcji. Trzeci wsadzał im osłonięte rękawiczkami palce w usta, sprawdzając, czy nie usiłują przemyścić broni lub innych zakazanych przedmiotów. Potem czwarty obmył ich wodą z węża, a następnie oprószył jakimś odwszawiającym proszkiem. Wszystkim rozdano białe spodnie i białe T-shirty. Johnowi dostała się koszulka w rozmiarze S, ale spodnie mogłyby pasować na słonia. Kiedy szedł, musiał jedną ręką podtrzymywać je w talii. W drugiej niósł poduszkę, pościel, a na wierzchu skromny zestaw przyborów toaletowych, jaki im wydzielono.

Szedł otumaniony, jakby we mgle, patrząc prosto przed siebie i usiłując opanować mdłości. - Shelley - powiedział Everett. Trzymał pałkę na otwartych drzwiach. - Tutaj.

John wszedł do celi. Śmierdziała moczem i gównem z umieszczonego w rogu ustępu z nierdzewnej stali. Przymocowana do ściany umywalka zapewne kiedyś była biała, ale teraz od rdzy i brudu zrobiła się brudnoszara. Na lewo znajdował się stolik, dwie piętrowe prycze na prawo. Kiedy się stało na środku i wyciągnęło ręce na boki, można było dotknąć obu ścian celi. Na górnej pryczy leżał chłopak, który wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat. Odwrócił się i z uśmiechem spojrzał na Johna.

- Leżysz pode mną - oświadczył.

Rozległa się kolejna porcja sprośnych gwizdów, ale Everett już ruszył dalej, przydzielając kolejną celę innemu skazańcowi.

- Zebra - powiedział chłopak i John domyślił się, że to imię.

- John.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

Zebra odsłonił w uśmiechu zęby. Były biało czarne, pręgowane jak u zebry.

- Też możemy ci zrobić takie. Chcesz?

John potrząsnął głową.

- Mama by mnie zabiła.

Zebra wybuchnął śmiechem, który brzmiał szokująco w tym betonowym budynku.

- Śmiało, zaściel łóżko, Johnny. Lubisz, jak na ciebie tak mówią? - spytał. - Mama cię tak nazywa?

- Raczej nie - odpowiedział John. W każdym razie nie odkąd wyrósł z pieluch.

- Będzie ci tu dobrze, Johnny - zapewnił Zebra. Wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy tak mocno, że John musiał się odchylić. Współlokator zachichotał pod nosem. - Zajmę się tobą, mały - obiecał.

Dotrzymał słowa.

Każdej nocy po zgaszeniu świateł, jak w zegarku, Zebra wskakiwał na dolną pryczę, wciskał Johnowi twarz w poduszkę i gwałcił go tak brutalnie, że następnego dnia krew ściekała do toalety. Płacz go nie powstrzymywał. Krzyki tylko bardziej nakręcały, sprawiały, że wchodził mocniej. Gdy pierwszy tydzień dobiegał końca, John z trudem stał na nogach.

Zebra był drapieżcą. Wszyscy w więzieniu o tym wiedzieli, począwszy od dyrektora, przez strażników, po śmieciarzy. Przez pierwszy tydzień trzymał Johna tylko dla siebie, potem odstępował go innym więźniom za papierosy i szmugiel. Trzy tygodnie później John wylądował w więziennym szpitalu z rozerwanym odbytem i oczyma tak zapuchniętymi od płaczu, że ledwo co przez nie widział.

To wtedy Richard Shelley złożył swojemu synowi pierwszą z dwóch wizyt w więzieniu. Na blok szpitalny przyprowadził go strażnik Everett, którego John nie widział od pierwszego dnia pobytu w pace.

- Tu leży - powiedział i odsunął się do ściany, żeby zrobić miejsce gościowi. - Macie dziesięć minut.

Richard stał w nogach łóżka. Przez długą chwilę patrzył na syna w milczeniu.

John odwzajemniał spojrzenie, czując ulgę i wstyd jednocześnie. Chciał dotknąć taty, powiedzieć mu, że go kocha, że żałuje z powodu tego wszystkiego, co się stało, i przyznać, że Richard miał rację: John jest do niczego. Nie zasługiwał na nic, co ojciec mógł mu dać, ale pragnął tego, potrzebował tak bardzo, że niemal czuł, jak serce go pali.

W końcu Richard odezwał się z trudem.

- Boli cię?

John skinął tylko głową.

- To dobrze - powiedział ojciec, jakby dokonana się jakaś sprawiedliwość. - Teraz wiesz, jak się czuła Mary Alice.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

25 PAŹDZIERNIKA 2005 ROKU

Nie lubił myśleć o swojej pierwszej nocy w więzieniu, ale jej wspomnienie wracało do niego jak koszmar na jawie. Wystarczyło, że ktoś w pracy stanął za jego plecami, a John już się wzdragał. Głośniejszy odgłos z ulicy sprawiał, że serce podchodziło mu do gardła. Gdy schylał się do wiadra po gąbkę, by wyczyścić koła jakiejś ciężarówki czy sedana, natychmiast wszystko wracało na nowo.

Po tym jak Zebra puścił go w obieg, John spędził na bloku szpitalnym bity miesiąc, ucząc się srać na nowo. Kiedy wyszedł, okazało się, że został przeniesiony na blok ochronny razem z resztą przestępców seksualnych. Może uznano, że Ben Carver będzie miał z Johna używanie, dokończy to, co Zebra zaczął, ale starszy mężczyzna rzucił tylko okiem na wychudłego szesnastolatka i skostatował bardzo rozczarowany: „Brunet! Prosiłem o blondyna!”

John nie miał pojęcia, kto stał za jego przeniesieniem na blok ochronny, ale nawet gdyby wiedział, nie znalazłby słów, żeby mu podziękować. Czasami myślał, że to Everett, ale bywały chwile, kiedy leżał nocą na pryczy i puszczał wodze fantazji, wyobrażając sobie, że

to tata go uratował. Richard wpada wściekły do gabinetu dyrektora. Pisze pełen oburzenia list do senatora. Domaga się humanitarnego traktowania syna.

Wsunął kartę do zegara i czekając na klik, żeby zwolnić się na jeden dzień z myjni, roześmiał się z tych głupich chłopięcych marzeń. Od kilku tygodni pogoda była ładna i ludzie ogarnięci zakupowym szaleństwem podjeżdżali umyć samochody, więc w myjni było mnóstwo roboty. John dopiero wczoraj znalazł czas, żeby pójść do domu matki Bena i odebrać samochód. Robił kurs na prawo jazdy, kiedy umarła Mary Alice, ale to było dawno temu i teraz na samą myśl, że ma usiąść za kółkiem, pocił się jak kurwa w kościele. Gdyby go przyłapano w samochodzie, Martha Lam z miejsca wrzuciłaby go z powrotem do więzienia. Oczywiście, gdyby nie skorzystał z auta i tak mógł tam wylądować.

Przez telefon starsza pani była bardzo życzliwa, cieszyła się, że rozmawia „z jednym z przyjaciół Bena”. Zapewniła, że samochód jest ubezpieczony. Wyjaśniła, że wprawdzie pan Propson zabiera ją do kościoła w Warm Springs w niedzielę, ale czy John byłby tak miły i pamiętał, żeby zwrócić samochód zatankowany. Zgodził się na wszystko, jednak trzymała go przy telefonie jeszcze przez kolejny kwadrans, opowiadając o swojej rwie kulszowej. Dziadkowie i babcie Johna umarli, kiedy siedział w więzieniu, ani razu nie pofatygowawszy się wcześniej z odwiedzinami. Słuchał z uwagą jej skarg, w odpowiednich momentach wydając odpowiednie dźwięki, dopóki pedofil stojący po drugiej stronie korytarza nie spiorunował go wzrokiem i nie zażądał, by zwolnił telefon.

John znalazł granatowego forda fairlane'a zaparkowanego pod wiatą, zgodnie z ustaleniami. Kluczyki były wsadzone za osłonę przeciwsłoneczną razem z ubezpieczeniem i dowodem rejestracyjnym. Co najważniejsze, samochód dał się uruchomić przy pierwszej próbie. John wrzucił bieg i potoczył się na ulicę, ze stopą podrygującą nerwowo między pedałem hamulca i gazu, kiedy wprawiał się na jednopasmowej drodze biegnącej przed domem pani Carver. Dzięki Bogu auto nie miało ręcznej skrzyni biegów, bo nie ujechałby ani metra. Większość popołudnia spędził, ucząc się prowadzić fairlane'a, i kiedy wreszcie wyjechał na dwupasmową drogę, od ściskania kierownicy bolały go ręce.

Potrafię to zrobić, powtarzał sobie z zaciśniętymi zębami, kiedy jechał drogą I-20 w stronę Atlanty. Musiał tylko sprawiać wrażenie, jakby znał się na rzeczy. Prowadzić pewnie, nie za wolno i nie za szybko, z łokciem wystawionym przez okno. Policjanci szukali zawsze kogoś, kto wygląda na winnego. Ich specjalny radar rejestrował najmniejszą niepewność niczym puls na szyi.

John wmawiał sobie, że chce jeszcze poćwiczyć, kiedy około północy poprzedniej nocy wsiadł do fairlane'a. Nie mógł jednak długo się oszukiwać: zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy przy sklepie monopolowym na Cheshire Bridge Road. Czekał przez trzydzieści minut, ale Robin najwyraźniej nie pracowała. Kiedy jechał do domu, uznał, że gdyby miał ogon, teraz wracałby z podwiniętym.

Ponieważ paliwo stanowiło kolejny luksus, na który nie mógł sobie pozwolić, z myjni ruszył pieszo Piedmont Avenue do skrzyżowania z Cheshire Bridge Road. Z początku udawał, że

wybrał się na przechadzkę, ale potem uznał, że samooszukiwanie się jest głupie w świetle tego, co zamierzał zrobić wieczorem. Dostał wreszcie w tym tygodniu informację od Bena: pocztą przysły dwie pocztówki, jedyna korespondencja, jaką dotychczas otrzymał po wyjściu z więzienia. Pierwsza kartka miała stempel z Alabamy i zawierała tylko ciąg cyfr: 1854300032. Druga była z Florydy i brzmiała: „Z drogi do Piney Grave. Do zobaczenia po powrocie!!!”

John nie cierpiał zagadek, ale chcąc nie chcąc, poszedł do biblioteki i jeszcze raz usiadł nad planem miasta. Po kilku godzinach bezsensownego gapienia się przez okno zrozumiał. 300032 było kodem miasteczka Avondale Estates. Piney Grave Circle nr 1854 leżało przy Memorial Drive na skraju Decatur.

- Ej, skarbie!

Przed sklepem stały dziwki, między innymi ta starsza, której John przyszedł z pomocą w myjni. Pewnie powinien się dowiedzieć, jak ma na imię, ale orientował się, że to tylko by go przygnębiło. Imię oznaczałoby, że ma gdzieś i rodzinę, że kiedyś była dzieckiem i chodziła do szkoły, miała marzenia i nadzieję. A teraz... nic.

Jedna z kobiet spytała:

- Chcesz się umówić?

Potrząsnął głową, utrzymując dystans.

- Szukam Robin.

- Jest w kinie - odpowiedziała dziwka, wskazując podbródkiem ulicę. - Grają Gwiazdne wojny. Uważa, że smarkacze, którzy to oglądają, ostatni raz widzieli piczkę, gdy się rodzili. Dziewczęta zaśmiały się dobrodusznie z żartu.

- Dzięki - powiedział John, pomachawszy im, zanim zdążyły zaproponować mu coś jeszcze ze swoich usług.

Kino znajdowało się spory kawałek drogi od sklepu, ale Johnowi nigdzie się nie spieszyło. W skupieniu napawał się powietrzem, nawet spalinami. W więzieniu tego nie było. Człowiek musiał znaleźć inny sposób na wyhodowanie raka.

Kiedy wreszcie dotarł przed kino, bolały go ścięgna w nogach. Gwiazdne wojny. Oglądał je jeszcze jako dzieciak, chyba z sześć czy siedem razy. W każdy weekend matka zawoziła go wraz z kolegami do kina i odbierała kilka godzin później. To się działo, jeszcze zanim pojawiły się narkotyki, a John stał się równiachą. Uwielbiał to miejsce, cieszył się inną rzeczywistością, jaką oferowało.

W więzieniu to Ben decydował o tym, co oglądali i czego słuchali, a John, nawet kiedy już dorósł, nie usiłował zmienić tego stanu rzeczy, bo tak było wygodniej. Minus polegał na tym, że teraz miał wiedzę człowieka o trzydzieści lat starszego. Nie znał wielu popularnych filmów czy programów telewizyjnych z ostatnich dwóch dekad. Nikt z ich bloku nie chodził do głównej sali telewizyjnej, bo nikt nie był na tyle głupi, żeby mieszać się z resztą osadzonych. Doris Day, Frank Sinatra, Dean Martin - to ich piosenek słuchali w małym tranzystorowym radyjku, które Emily przywiozła Johnowi na pierwszą gwiazdkę w

więzieniu. W dzieciństwie muzyka odgrywała istotną rolę w jego życiu, stanowiła ścieżkę dźwiękową dla jego buntu. Teraz nie potrafiłby podać tytułu najnowszego hitu, nawet gdyby ktoś mu przystawił pistolet do skroni.

Już prawie przekonał samego siebie, że nie znajdzie Robin w kinie, więc był zaskoczony, kiedy niemal wpadł na nią za rogiem.

- Co ty tu robisz? - spytała, najpierw, jak mu się zdawało, zadowolona, potem zdenerwowana.

- Dziewczyny powiedziały, że tu jesteś - wyjaśnił. Dostrzegł kolejkę wyrostków wijącą się przy budynku. - Ruch w interesie?

- Gdzie tam. - Machnęła ręką. - Głupie patafiany chcą najpierw obejrzeć film. Chyba przyjdę później.

- Jak długo trwa seans?

- Jezu, skąd mam wiedzieć. - Skierowała się w stronę sklepu, więc ruszył za nią. Odwróciła się. - Co robisz?

- Pomyślałem sobie, że cię odprowadzę.

- Słuchaj - powiedziała. - To nie jest żadna Pretty Woman. A ty, pewne jak cholera, nie jesteś żaden Richard Gere - dodała.

John nie miał pojęcia, o czym mówi. Jedynym filmem z Richardem Gere, jaki oglądali w więzieniu, był Sommersby, i to tylko dlatego, że występował w nim dzieciak.

- Nie będzie z tego żadnej miłości, ślubu i dzieci, jasne? - wyjaśniła.

John się nad tym wcześniej nie zastanawiał, ale może coś takiego skrycie chodziło mu po głowie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie będę się już z tobą spotykał.

- Spotkałeś się ze mną tylko raz, głupi gnoju.

- Wiem - powiedział. Kiedy znowu zaczęła iść, ruszył jej śladem. - Zatrzymaj się - poprosił.

- Wysłuchaj mnie.

Skrzyżowała dłonie na piersiach.

- Dobra. Wal.

- Chodzi o to... - Boże, teraz gdy już go słuchała, nie wiedział, co powiedzieć. - Myślałem o tobie - wykrztusił. - Nie w seksualny sposób. - Jego twarz musiała mówić co innego, bo Robin przewróciła oczyma. - Zgoda, może trochę - przyznał.

- Wracam do dziewczyn, chyba że chcesz mi zapłacić za swoje radosne zabawy.

- To nie tak - powiedział. - Proszę. - Ruszyła i John, wiedząc, że już się nie zatrzyma, wyprzedził ją i szedł tyłem z twarzą zwróconą w jej stronę. - Mam kłopoty. Jestem w coś wplątany - powiedział.

- No to mnie ściąłeś z nóg.

- Siedziałem w więzieniu.

- Mam się zdziwić?

- Proszę - powiedział John. Przystanął, ona też. - Nie chciałem być w to zamieszany, ale jestem. Muszę to jakoś wyjaśnić. Nie chcę wrócić do więzienia.

- Ktoś cię szantażuje?

Zastanowił się.

- Może. Nie wiem.

- Idź na policję.

Widział, że nie traktuje go serio.

- Chciałem tylko się z tobą zobaczyć, żeby ci powiedzieć, że nie mogę się z tobą spotykać. To znaczy, nie teraz, gdy to wiem. - Urwał, starając się brzmieć sensownie. - Chodzi mi o to, że nie chcę cię w to wplątać. Ten ktoś... jest zły. Naprawdę zły, a ja nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Teraz boję się nie na żarty - rzuciła znudzonym tonem. - Kto niby chce mi zrobić krzywdę?

- Nikt - powiedział John. - On nawet nie wie o twoim istnieniu. - Potarł twarz dłońmi i wydał coś na kształt jęku. - Dla ciebie to nie ma znaczenia. Przepraszam, że zawracałem ci tym głowę. Chciałem tylko zobaczyć cię po raz ostatni.

- Dlaczego?

- Bo opowiedziałaś mi o swoim pierwszym pocałunku. Ja... - Spróbował się uśmiechnąć. - W szkole byłem zupełną sierotą. Dziewczęta nie chciały mieć ze mną nic wspólnego.

- Wiadomość z ostatniej chwili, młody. Nadal nie chcą. - Słowa były ostre, ale po tonie poznał, że tylko się droczy.

- Byłem niedorostkiem, kiedy trafiłem do więzienia. Siedziałem przez dwadzieścia lat.

- Mam cię żałować?

Potrząsnął głową. Dawno już przestał oczekiwać, że ludzie będą go żałować.

- Chcę ci podziękować za to, że opowiedziałaś mi tę historię o Stewiem. Dużo o niej myślałem i to naprawdę ładna opowieść.

Z zagryzioną wargą patrzyła mu badawczo w oczy.

- Dobrze. No to powiedziałaś.

- I ja... - urwał. Setki razy w pracy powtarzał to sobie w myślach, ale teraz miał pustkę w głowie.

- Co ty? - naciskała. - Chcesz mnie posunąć?

- Tak. - Nie potrafił skłamać. - Bardzo chcę.

- Ożeż, cholera, mogłeś zaoszczędzić mi czasu, gdybyś wykrztusił to od razu. - Ruszyła przed siebie, mówiąc: - Dycha za pokój, trzy za numer. Żadnego bicia czy posuwania w kakao, bo twój kutas wylądował za oknem. - Uszła ze trzy metry, zanim się zorientowała, że za nią nie idzie. - Co jest, kurwa, z tobą?

- Dziękuję - powtórzył. Potem dodał: - Do widzenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Popatrz na mnie - powiedziała matka, pochylając się nad stolikiem w sali widzeń.

To było ich pierwsze widzenie, odkąd trafił do więzienia, żadne z nich nie mówiło nic o Zebrze, szpitalu, o tym, że John musiał siedzieć na nadmuchiwanej poduszce, żeby móc z nią rozmawiać.

- Nie zmarnujesz się tutaj - powiedziała mu. - Zrobisz coś ze swoim życiem.

Siedział, a po policzkach spływały mu wielkie łzy, plecy się trzęsły, kiedy usiłował powstrzymać łkanie.

- Nie jesteś już chłopcem, John. Jesteś silnym mężczyzną. Przetrzymasz to. W końcu kiedyś stąd wyjdiesz.

Emily nadal miała nadzieję na powodzenie apelacji. Wierzyła w sprawiedliwość, nie chciała się pogodzić z myślą, że Ojcowie-założyciele mogli zgotować taki los szesnastoletniemu chłopcu.

- Przywiozłam ci to. - Wskazała na podręczniki, które leżały obok. Matematyka i fizyka, jego ulubione przedmioty w czasach, kiedy jeszcze z przyjemnością chodził do szkoły. - Nadal możesz zrobić maturę.

John patrzył na nią pustym wzrokiem. Nosił pieluchę, żeby lejąca się z tyłka ropa nie zalewała mu gaci, a matka martwiła się o to, czy skończy liceum.

- Będzie ci potrzebna, żeby pójść na studia, kiedy cię wypuszczą.

Nauka. Emily często powtarzała, że to jedyna rzecz, która naprawdę wzbogaca życie.

Odkąd pamiętał, zawsze miała pod ręką jakąś książkę albo artykuł wycięty z gazety, który uznała za interesujący i chciała zapamiętać.

- Słuchasz mnie, Jonathan?

Nie był w stanie nawet skinąć głową.

- Zdasz maturę, a potem pójdziesz do college'u, zgoda? - Chwyliła go za rękę.

Nadgarstki nadal miał posiniaczone w miejscach, gdzie przytrzymywali go gwałcący. Jeden ze strażników zrobił krok do przodu, ale ich nie rozdzielili.

- Nie poddasz się. - Ścisnęła go mocno, jakby w nadziei, że zdoła przekazać mu trochę siły i wziąć na siebie jego ból. Zawsze powtarzała, że wolałaby sama cierpieć, niż widzieć, jak dzieje się krzywda jej dzieciom, i John po raz pierwszy przekonał się, że nie kłamała. Gdyby to było tylko możliwe bez wahania zamieniłaby się z nim miejscami. A on by jej pozwolił. - Rozumiesz mnie, Jonathan? Nie poddasz się.

Od czterech i pół tygodnia do nikogo się nie odezwał. W ustach nadal tkwił mu jak melasa smak własnego gówna i spermy obcych mężczyzn. Bał się je rozchylić, bał się, że matka wyczuje ten zapach i dowie się, co zrobił.

- Obiecuj mi, John - prosiła. - Powiedz, że zrobisz to dla mnie.

Wargi miał sklejone, spierzchnięte, krwawiące. Z zaciśniętymi zębami gapił się na swoje dłonie.

- Tak.

Dwa tygodnie później spytała go, czy się uczył. Skłamał, że tak. Siedział już wtedy w celi z Benem i nie spał po nocach, przerażony, że starszy mężczyzna tylko się czai, czeka na właściwy moment do ataku.

- Słodziutki - powiedział wreszcie Ben - Pochlebiasz sobie, jeśli ci się wydaje, że jesteś w moim typie.

Jednak gdy teraz się nad tym zastanawiał, prawda wyglądała tak, że był w jego typie: młody, ciemnowłosy, szczupły, hetero. Mimo to Ben nigdy tego nie wykorzystał, a John tylko dwa razy widział, jak stracił panowanie nad sobą. Drugi i ostatni raz, kiedy w Pentagon i wieże World Trade Center uderzyły samoloty - przez wiele dni później był zbyt wściekły, żeby mówić. Pierwszy raz wpadł w furję, kiedy przyłapał Johna z narkotykami.

- Nie będziesz tego robił, chłopcze - rozkazał, ściskając mu nadgarstek tak mocno, jakby chciał go złamać. - Słyszysz?

John popatrzył mu w oczy świadom, że ostatni człowiek, który widział Bena równie wkurzonego, skończył nagi i twarzą do dołu w płytkim stawie przy opuszczonym kościele.

- Napuszczę ich na ciebie, synu. Jak stado szakali. Rozumiesz?

Blok ochronny liczył dziesięć cel po dwóch mężczyzn w każdej. Sześciu z nich było pedofilami. Dwóch gustowało w dziewczętach, czterech lubiło młodych chłopców. Nocami John słyszał, jak się brandzują z jego imieniem na ustach.

- Tak jest - odpowiedział. - Obiecuję.

Pozostali osadzeni byli tacy jak Ben. Na zewnątrz polowali na dorosłych, więc John czuł się w miarę bezpiecznie w ich otoczeniu. Ale seks to seks, pod całą każdą świeży tyłek ma wzięcie. Później się dowiedział, że każdy z nich z osobna usiłował od Bena wytargować seans z Johnem. Kodeks więzienny stanowił, że jako towarzysz z celi staruszek ma prawo

pierwszeństwa. Gdy jednak czas mijał, a on sam nie korzystał, niektórzy zaczęli się wkurzać, ale wszyscy, co do jednego, od gwałcicieli po dzieciobójców, robili w gacie przed Benem. Mieli go za kompletnego pojeba.

Przez pierwsze lata w zamknięciu John każdy dzień w kalendarzu zaznaczał wielkim X, odliczając czas do wyjścia. Ciocia Lydia pracowała nad jego sprawą, starając się znaleźć każdy haczyk, który można by wykorzystać, żeby go wyciągnąć. Odrzucano apelację za apelacją, a któregoś dnia pojawiły się obie z Emily i powiedziały mu, że stanowy sąd najwyższy nie zgodził się na ponowne rozpatrzenie sprawy. Lydia była jego orędowniczką, jedyną osobą poza matką, która nalegała, żeby walczył i nie zgadzał się na zaproponowane przez prokuraturę warunki ugody.

Teraz jej mina nie pozostawiała wątpliwości. Koniec pieśni. Wykorzystała wszystkie możliwości. Nic więcej nie da się zrobić.

Ugoda przewidywała piętnaście lat bez możliwości zwolnienia warunkowego. Lydia mówiła mu wcześniej, żeby jej nie przyjmował, że będzie walczyć o jego niewinność do upadłego. Teraz miał przed sobą dwadzieścia dwa lata odsiadki, a może dożywocie.

Ciotka zaniósł się łkaniem. Koniec końców to Johnowi przypadła rola pocieszyciela. Starał się ją uspokoić, uwolnić od poczucia winy za to, że go nie uratowała.

- W porządku - powiedział jej. - Zrobiłaś, co w twojej mocy. Dziękuję, że próbowałaś.

Kiedy wrócił do celi, zaczął czytać najnowszy numer czasopisma popularnonaukowego. Nie płakał. Po co? Żeby jakiś krwiożerczy pedofil z celi obok podniecał się jego bólem? Nie. W

tym czasie zdążył się już zahartować. Ben pokazał mu, o co w tym chodzi, jak przetrwać w więzieniu i nie dać się zakatować czy zadźgać na śmierć. Trzymał się na dystans, nigdy nie patrzył nikomu w oczy i rzadko odzywał się do kogoś poza Benem.

W więzieniu John odkrył, że jest bystry. Ta konstatacja miała jednak mało wspólnego z próżnością. Stanowiła raczej rodzaj epitafium, mowy pogrzebowej ku czci osoby, którą mógł zostać, a nigdy nie zostanie. Rozumiał złożone formuły, w lot pojmował matematyczne wzory. Lubił się uczyć. Czasami niemal czuł, jak mózg rozrasta mu się w głowie, i kiedy rozwiązał jakiś problem, rozgryzł szczególnie trudny wykres, cieszył się, jakby wygrał maraton.

A zaraz potem pojawiała się przygnębienie. Ojciec miał rację. Nauczyciele mieli rację. Pastor miał rację. Powinien był bardziej się przyłożyć. Powinien był - mógł być - ruszyć głową i zrobić coś ze swoim życiem, coś osiągnąć. A teraz, co mu z tego? Kogo obchodzi, że jest najinteligentniejszym mordercą w więzieniu?

W niektóre noce leżał w łóżku i myślał o ojcu, o tym, jakie obrzydzenie czuł do syna, kiedy odwiedził go w więzieniu. Pod celą John zaczął też lepiej rozumieć inne sprawy. Doktor Shelley może nie był najwspanialszym ojcem, ale nigdy nie skrzywdził Johna tak, jak skrzywdzono niektórych z tu osadzonych. Może był bezmyślny, ale nie okrutny. Nigdy nie znęcał się nad synem. Nigdy nie pobił go tak, żeby zapadło mu się płuco. Nigdy nie przystawił mu pistoletu do skroni, każąc wybierać między kulką w łeb a daniem posać jakiemuś skurwielowi, żeby tatko miał na towar.

Mijały lata i John widział, że udało mu się zaadaptować. Potrafił znieść więzienie. Dni były długie i niemiłosiernie się ciągnęły, ale John nauczył się cierpliwości. Pierwsza szansa na zwolnienie warunkowe pojawiła się po dziesięciu latach, kolejne co dwa lata. Dzielił go tydzień od szóstego

przesłuchania przed komisją ds. zwolnień i półtora roku od zakończenia dwudziestu dwóch lat przewidzianych wyrokiem, kiedy Richard odwiedził go w więzieniu po raz drugi i ostatni. John spodziewał się Emily w sali widzeń, i gapił się na bramkę z wykrywaczem metali, czekając, aż się pojawi, kiedy na horyzoncie zamajaczyła męska sylwetka.

- Tata?

Richard skrzywił się z niesmakiem na dźwięk tego słowa.

John z trudem go poznał. Włosy, choć grube i gęste, były białe i ostro odcinały się od mocno opalonej twarzy. Figurę jak zawsze miał nienaganną. Otyłość uważał za przejaw lenistwa i był fanatykiem zdrowego żywienia na długo jeszcze, zanim stało się ono narodową obsesją.

Emily rozwiodła się z mężem rok po skazaniu Johna, ale mieszkać razem przestali jeszcze w dniu jego aresztowania. Richard nie pojawił się na procesie, nie zapłacił ani centa na obronę syna i odmówił zeznawania na jego korzyść.

- Wreszcie dopiąłeś swego - powiedział teraz. Nie usiadł przy stole, ale stał nad Johnem i lał na niego żółć i obrzydzenie jak wiosenny deszcz. - Twoja matka jest w terminalnym stadium raka piersi. Ją też wreszcie zamordowałeś.

Tydzień później John siedział przed komisją ds. zwolnień, śmiało patrzył jej członkom w oczy i opowiadał, jak wreszcie sobie uświadomił, że za swoje uwięzienie może winić tylko i wyłącznie siebie. Nienawidził Mary Alice Finney. Zazdrościł jej popularności, przyjaciół, statusu. Był narkomanem, ale to go nie usprawiedliwia. Kokaina tylko zniosła hamulce, osłabiła zdolność odróżniania dobra od zła. W noc imprezy poszedł za Mary Alice do domu. Włamał się do jej sypialni i brutalnie zgwałcił. Kiedy narkotyk przestał działać, dotarło do niego, co zrobił, i zamordował ją z zimną krwią, okaleczając ciało, żeby wyglądało to na czyn obcego psychopaty.

Miał doskonałą opinię. Był wzorowym więźniem, w jego aktach figurowały tylko dwa incydenty naruszenia dyscypliny, oba sprzed ponad dziesięciu lat. Uczęszczał na wszystkie zajęcia, jakie prowadzono dla osadzonych: przemoc w rodzinie okiem ofiary, resocjalizacja, grupa wsparcia w depresji, zespół stresu pourazowego, problemy życiowe, komunikacja, radzenie sobie z gniewem, grupa dyskusyjna, radzenie sobie ze stresem. Zdał maturę, zdobył licencjat i był w połowie studiów magisterskich, kiedy poprawka do ustawy o przestępczości z 1994 roku zdelegalizowała federalne stypendia naukowe dla więźniów. Zgłosił się na ochotnika do pracy w bloku szpitalnym, gdzie nauczał współosadzonych zasad pierwszej pomocy i podstaw higieny. Chodził na kursy zawodowe z zakresu ogrodnictwa i przetwarzania żywności. Do akt załączono odręczny list, w którym informował, że jego matka jest chora, a do domu, żeby być przy niej i ją wspierać, tak jak ona go wspierała przez te wszystkie lata.

Oficjalne zawiadomienie o przyznaniu mu zwolnienia warunkowego nadeszło 22 lipca 2005 roku.

Emily umarła dwa dni wcześniej.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

6 STYCZNIA 2006 ROKU

Kuzyn Woody. Równiacha, swój chłop, spoko koleś. Miał w garażu atlas do ćwiczeń i spędzał tam większość czasu, pakując i paląc trawkę. Miał umięśniony tors oraz piękny kaloryfer na brzuchu, przedzielony na środku pasemkiem kryjących się w majtkach włosów. Dziewczeta czepiały się go jak dzikie wino drzewa. Jeździł srebrnym mustangiem typu hatchback, nowiuteńkim. Wynajmował dzieciaki, żeby sprzedawały w szkole jego towar, więc zawsze był przy kasie. Jego owdowiała matka robiła karierę w kancelarii prawniczej, pracując do późnych godzin i na całe dni zostawiała syna samopas. Pan „Chodź na górę”. Pan „Chcesz się sztachnąć?” Pan „Po prostu wciągnij to nosem”.

Kławy kuzyn Woody.

John śledził go już prawie od dwóch miesięcy, parkując fordą na dworcu autobusowym w dzielnicy Inman Park, ponieważ benzyna była zbyt droga, żeby jej używać do czegokolwiek,

co nie wiązało się bezpośrednio z głównym przedsięwzięciem. Tak właśnie o tym myślał: przedsięwzięcie. Był prezesem spółki Uchronić Johna przed Więzieniem. Cholerną księgową, zastępcą dyrektora, sekretarką, wszystkim w jednej osobie.

Od początku Woody bardzo ułatwiał Johnowi pracę. Zawsze był człowiekiem stałych przyzwyczajzeń i jak się okazało, w dorosłym życiu się to nie zmieniło. Można było regulować zegarek według jego planu dnia. Co dzień wychodził do pracy, po jej zakończeniu wracał prosto do domu, całował żonę, jeśli akurat była, kładł spać dziecko, potem na resztę wieczoru zasiadał przed telewizorem. Wyglądało to tak przez cały pierwszy tydzień i John zaczynał już podejrzewać, że marnuje czas, kiedy nadeszła niedziela. Dziecka nie było w domu - żona nie przywiozła chłopca z kościoła i John zgadywał, że został u kogoś z rodziny. Kobieta wyjechała ponownie około osiemnastej, ubrana jak do pracy, zostawiając męża samego.

Woody odczekał jakieś pół godziny od jej wyjścia, następnie wsiadł do samochodu i ruszył. Robił tak tydzień w tydzień, potem miesiąc w miesiąc. W każdy niedzielny wieczór jak w zegarku Woody jechał na wycieczkę.

Z czasem John nabrał wprawy w sztuce inwigilacji, nauczył się zachowywać odpowiedni dystans, by mieć pewność, że Woody nie dostrzeże wlokącego się za nim forda. Choć kuzyn i tak patrzył tylko na rzędy kobiet wystające na ulicach centrum Atlanty. Zatrzymywał się, przyzywał którąś ręką, potem jechał z nią do jakiejś ustronnej alejki albo opustoszałego parczku. John widział, jak głowa kobiety znika na kilka minut, potem unosi się znowu, jej

właścicielka opuszcza samochód, a Woody rusza z powrotem do domu i godzinę później już siedzi przed telewizorem.

Pewnego wieczoru zmienił codzienny rytuał. Zamiast w prawo ze swojej ulicy, skręcił w lewo, jadąc na wschód drogą 78. Ponieważ ruch był tu mały, John musiał trzymać się dalej niż zazwyczaj. W ostatniej chwili ostro skręcając kierownicą, zdążył zjechać z drogi, i przez jakieś dwadzieścia minut jechał za Woodym krętą szosą, mijając tablicę obwieszczającą: „Witamy w Snellville... gdzie Każdy jest Kimś”.

Zaparkował samochód na osiedlowej uliczce i tak jak kuzyn ruszył dalej pieszo. Był pierwszy tydzień grudnia i straszny ziąb, ale John niemiłosiernie się pocił, bo znalazł się w samym środku osiedla mieszkaniowego - wszędzie dokoła, w każdym domu, spały dzieci. Tak bardzo zaabsorbował go własny strach, że stracił z oczu kuzyna. Przeczesał puste uliczki, kroczył ślepyimi zaułkami i w końcu zupełnie stracił orientację i nie mógł nawet znaleźć fairlane'a.

Teraz zaczął się bać o własne bezpieczeństwo. Krył się w ciemnościach i wzdragał na każdy odgłos, pewien, że za chwilę pojawi się jakiś policjant, sprawdzi go w rejestrze i będzie chciał wiedzieć, co przyniosło pedofila w tę okolicę.

Nagle z daleka dostrzegł mężczyznę idącego z małą dziewczynką u boku. Para wsiadła do samochodu Woody'ego i odjechała. Pięć minut później John odnalazł forda, plując sobie w brodę przez całą drogę powrotną do Atlanty. Przez następne dwa tygodnie przeczesał

gazety, szukając informacji o jakiejś tragedii w Snellville: porwaniu dziecka, morderstwie. Nic nie znalazł, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Sytuacja nie pozostawiała wątpliwości: Woody posługiwał się jego tożsamością nie bez powodu. Chciał zatrzeć ślady. John spędził dość czasu w otoczeniu przestępców, by potrafić rozpoznać jednego w akcji. Cokolwiek robił kuzyn, było tylko kwestią czasu, kiedy wina za to spadnie prosto na barki Johna.

Postanowił wtedy, że za nic nie wróci do więzienia, prędzej się zabije albo znajdzie kogoś, kto wyświadczy mu tę przysługę. Już i tak stracił dwadzieścia lat życia, gnijąc wśród pedofilów i zwyrodnialców. Nie pozwoli, by to się powtórzyło. Nie narazi Joyce jeszcze raz na taki ból i upokorzenie. Pod celą był silny, miał wolę jak z hartowanej stali, ale wolność to zmieniła, zmiękł i wiedział, że nie zniesie utraty życia, które tu sobie wypracował. Zanim wpakują go z powrotem do paki, on wpakuje sobie kulę w głowę.

Widział się z siostrą. Tuż przed Bożym Narodzeniem, Joyce zadzwoniła do niego do noclegowni. Słyszając jej głos, był tak zaskoczony, że pomyślał: może ktoś mu robi kawał. Tylko kto niby? Na wolności nie znał nikogo, nie miał żadnych przyjaciół.

Spotkali się w eleganckiej kafejce tuż przy Monroe Driver. John miał na sobie nową koszulę i swoje najlepsze spodnie, które Joyce mu przysłała, żeby miał w co się ubrać, opuszczając więzienie. Zwykle wychodzącym wydawano po prostu ubranie, w którym zostali przyjęci, ale John był teraz o kilka rozmiarów większy niż ten mizerny chłopczyzna z więziennego transportu do Savannah.

Dzień wcześniej wyszedł wcześniej z pracy, żeby zahaczyć jeszcze o sklep z podarunkami. Spędził godzinę, wybierając kartkę świąteczną dla Joyce, nie mogąc się zdecydować, czy kupić tańszą czy droższą. Z powodu pogody ruch w myjni znacznie zmalował. Art jak podłeci wysyłał ludzi na bezpłatne urlopy. John starał się zaoszczędzić jak najwięcej podczas lepszego okresu, kiedy nie nadążali z robotą, ale musiał w końcu kupić sobie płaszcz na zimę. I choć przysięgał sobie wcześniej, że już nigdy nie będzie chodził w ciuchach z lumpeksu, chcąc nie chcąc, poszedł do sklepu fundacyjnego. Jedyne płaszcz, który tam na niego w miarę pasował, miał rozdarcie przy kołnierzu i dziwny zapach, którego nie udało się pozbyć w pralni samoobsługowej. Był jednak ciepły, a to się najbardziej liczyło. Joyce spóźniła się jakieś pięć minut i przez ten czas John denerwował się, że przyjdzie mu zapłacić trzy dolary za kawę za możliwość posiedzenia przy jednym ze stolików, kiedy wreszcie się pojawiła. Wyglądała na znękaną, okulary przeciwsłoneczne miała zepchnięte na szczyt głowy, długie brązowe włosy opadały na ramiona.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, odsuwając krzesło naprzeciwko. Usiadła jakieś piętnaście centymetrów od stolika, jeszcze dalej od samego Johna.
- Napijesz się kawy? - Zaczął się podnosić, żeby jej zamówić, ale powstrzymała go krótkim potrząśnięciem głowy.
- Za dziesięć minut mam spotkanie ze znajomymi. - Nawet nie zdjęła płaszcza. - Nie wiem, dlaczego do ciebie zadzwoniłam.
- Cieszę się, że to zrobiłaś.

Wyrzała przez okna. Po drugiej stronie ulicy było kino; patrzyła na stojących w ogonku ludzi.

John wyciągnął z kieszeni kartę bożonarodzeniową, zadowolony, że zdecydował się na droższą. Kosztowała trzy dolary sześćdziesiąt osiem centów, ale miała złocenia na wierzchu, a środek był składany i kiedy się ją otworzyło, ze środka wyskakiwał płatek śniegu. Kiedy byli mali, Joyce uwielbiała książeczki z ruchomymi częściami. Pamiętał, jak zaśmiewała się z jednej, na której stronach pojawiły się zwierzęta hodowlane.

- Przyniosłem ci to. - Podał jej kartę, ale nie wzięła, więc położył ją na stole i przesunął w jej kierunku. Przez resztę poprzedniego wieczoru pisał na próbę różne życzenia, nie chcąc dawać jej kartki z tekstem nabazgranym jak kura pazurem albo, co gorsza, głupim, który zniszczyłby całą kartkę i zmusił go do kupienia nowej. W końcu napisał tylko „Z najlepszymi życzeniami, John”, wiedząc, że na nic innego się nie zdobędzie.

- Co porabiałaś? - spytał.

Wróciła myślami do niego, jakby na chwilę zapomniała, że tu siedzi.

- Pracowałam.

- Tak. - Skinął głową. - Ja też. - Spróbował zażartować. - Nie tak jak ty, ale ktoś musi myć samochody.

Najwyraźniej nie uznała tego za zabawne.

Wbił wzrok w filiżankę, obracając ją w dłoniach. To Joyce do niego zadzwoniła, zapraszając go do miejsca, gdzie nawet kupno zwykłej kanapki przekraczało jego możliwości, a jednak to on czuł się tym złym. Może był zły.

- Pamiętasz Woody'ego? - spytał.

- Kogo?

- Kuzyna Woody'ego, syna Lydii.

Wzruszyła ramionami, ale odpowiedziała:

- Tak.

- Wiesz, czym się zajmuje?

- Słyszałam, że wstąpił do wojska czy coś. - Oczy jej zabłyśły. - Nie masz chyba zamiaru znowu się z nim zadawać. Już wtedy nie było z niego nic dobrego i głowę daję, że się nie zmienił.

- Nie zamierzam - zapewnił.

- Inaczej skończysz z powrotem w więzieniu.

Zastanawiał się, czyby ją to obeszło. A może dla niej byłoby lepiej, gdyby siedział z powrotem w Coastal, a nie żył tuż obok? Joyce była jedyną osobą na świecie, która pamiętała, jaki był kiedyś. Była jak drogocenna szkatułka zawierająca wszystkie wspomnienia z jego dzieciństwa, tyle że wyrzuciła do niej klucz w chwili, gdy policja wyciągała go przez frontowe drzwi.

Oparła się na krześle. Popatrzyła na zegarek.

- Naprawdę muszę się już zbierać.

- Tak - powiedział. - Znajomi czekają.

Po raz pierwszy odkąd tu weszła, popatrzyła mu w oczy. Wiedział, że kłamie, i ona to widziała. Oblizła usta.

- W zeszłym tygodniu byłam u mamy.

John zamrugał gwałtownie, powstrzymując napływ łez. Zobaczył w myślach cmentarz, wyobraził sobie siostrę stojącą nad grobem. Autobusy nie jeździły w tamtą okolicę, a taksówka kosztowałaby sześćdziesiąt dolarów. Nie miał nawet pojęcia, jak wygląda nagrobek matki, na jaką inskrypcję Joyce się zdecydowała.

- Dlatego do ciebie zadzwoniłam - powiedziała. - Ona chciałaby, żebym się z tobą zobaczyła. - Wzruszyła ramionami. - Boże Narodzenie.

Zagryzł wargi, wiedząc, że jeśli otworzy usta, wybuchnie płaczem.

- Zawsze w ciebie wierzyła - ciągnęła Joyce. - Ani razu nie pomyślała, że to zrobięś.

Mięśnie torsu bolały go od wysiłku utrzymania emocji na wodzy.

- Zniszczyłeś wszystko - powiedziała Joyce niemal z niedowierzaniem. - Zniszczyłeś naszą rodzinę, jednak ona cię nie skreśliła.

Ludzie na nich patrzyli, ale John nie zwracał na to uwagi. Przez lata prosił ją o wybaczenie - w listach, osobiście. Żal, przeprosiny - to nic dla Joyce nie znaczyło.

- Nie mam pretensji, że mnie nienawidzisz - powiedział, wierzchem dłoni ocierając łzę. - Masz za co.

- Chciałabym cię nienawidzić - wyszeptała. - Chciałabym, żeby to było takie proste.
- Ja bym cię nienawidził, gdybyś zrobiła...
- Co zrobiła? - Znowu pochylała się nad stolikiem, w jej głosie słychać było nutę desperacji.
- Co, John? Czytałam, co oświadczyłeś przed komisją do spraw zwolnień. Wiem, co im powiedziałeś. Powiedz i mnie. - Uderzyła dłonią o blat stolika. - Powiedz mi, co się wtedy stało.

Wyciągnął serwetkę ze stojącego na stoliku pojemnika i wydmuchał nos.

Nie chciała odpuścić.

- Za każdym razem, kiedy stawałeś przed komisją, za każdym razem, kiedy z nimi rozmawiałeś, twierdziłeś, że jesteś niewinny, że nie przyznasz się do czegoś, czego nie zrobiłeś, tylko po to, żeby cię wypuścili.

Sięgnął po kolejną serwetkę, żeby zająć czymś dłonie.

- Co się zmieniło, John? Chodziło o mamę? Nie chciałeś jej rozczarować? To o to chodziło? Teraz, gdy jej już nie było, mogłeś wreszcie powiedzieć prawdę?

- Kiedy to mówiłem, jeszcze żyła.

- Odchodziła na naszych oczach - syknęła Joyce. - Leżała w szpitalu i umierała, ale myślała tylko o tobie. „Opiekuj się Johnnym”, powtarzała. „Nie zostawiaj go tam samego. Ma tylko nas”.

John usłyszał swoje łkanie, coś jakby zawodzenie foki rozbrzmiewające w całym lokalu.

- Powiedz mi, John. Powiedz mi prawdę - prosiła spokojnie Joyce. Podobnie jak ojciec nie lubiła okazywać emocji. Im bardziej była zdenerwowana, tym ciszej mówiła.

- Joyce...

Położyła mu rękę na dłoni. Nigdy wcześniej go nie dotykała, a teraz czuł, jak desperacja pulsująca w opuszkach jej palców kłuje go w skórę.

- Już mnie to nie obchodzi - prawie błagała. - Nie dbam, jeśli to zrobiłeś, Johnny.

Naprawdę. Muszę po prostu wiedzieć, żeby nie oszaleć. Proszę, powiedz mi prawdę.

Miała piękne dłonie, delikatne z długimi palcami. Zupełnie jak matka.

- John, proszę.

- Kocham cię, Joyce. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę. - Znosi się na coś - powiedział. - Coś złego i nie wiem, czy dam radę temu zapobiec.

Zabrała rękę i cofnęła się na krześle.

- O czym ty mówisz, John? W co się znowu wplątałeś?

- Weź to. - Położył raport kredytowy na karcie świątecznej. - Po prostu to weź i pamiętaj, że bez względu na to, co się stanie, kocham cię.

John nie przyjechał samochodem, ale nie chciał, żeby Joyce widziała go, jak czeka na przystanku przed wejściem do centrum handlowego, więc pobiegł ulicą w stronę Virginia-Highland i tam złapał autobus. Nie miał ochoty wracać do domu, patrzeć na rojącą się od karaluchów norę czy kolegów-gwałcicieli w hallu, więc pojechał na dworzec Inman Park i wsiadł do fairlane'a.

Zwykle śledził Woody'ego tylko w weekendowe wieczory. Przez pierwsze pół miesiąca rekonesansu przekonał się, że w tygodniu kuzyn siedzi w domu, chyba że żona kazała mu wyrzucić śmieci. Zastanawiał się wtedy, czy przypadkiem Woody nie jest sprytniejszy, niż wygląda. Może ma gdzieś inny samochód. Trudno byłoby się temu dziwić, zważywszy na skrytkę pocztową i karty kredytowe. Niewykluczone, że John Shelley w ciągu ostatnich sześciu lat nabył też i auto. Z powodu nadchodzących świąt całe osiedle udekorowano kolorowymi światełkami i ozdobami. Wzdłuż uliczek stały lampiony wykonane ze starych baniek na mleko. Zaledwie tydzień temu John widział, jak jakaś pani spacerująca z psem zapalała je wszystkie po kolei.

To była ładna okolica.

John zaparkował między jakąś terenówką a kombi na kościelnym parkingu, popatrując na tabliczkę na zewnątrz, żeby sprawdzić, kiedy kończą się nabożeństwa. Żona Woody'ego zawsze w niedzielę zabierała dziecko do kościoła, potem spędzała resztę dnia z jakąś kobietą, która najprawdopodobniej była jej matką.

Z kościoła John ruszył boczną uliczką, która biegła równolegle do domu kuzyna. Szedł, pogwizdując, jakby był zwykłym spacerowiczem. W myślach odmierzał odległość, przecinając łąkę, aż dotarł na tyły domu Woody'ego. Nie było tu wiele drzew, za którymi mógł się ukryć i czuł się jak na widelcu. Każdy mógł wyjść przez tylne drzwi i go zobaczyć. Miał właśnie zawrócić, kiedy to się stało. Jakaś dziewczyna stanęła w otwartych drzwiach.

John zamarł, bo stał dokładnie na linii jej wzroku, ale ona nie patrzyła na niego. Zasłaniając oczy przed słońcem ręką przystawioną do skroni, spoglądała na dom Woody'ego. John padł płasko na brzuch. Ogród porastały chwasty, ale każdy, kto spojrzałby we właściwą stronę, dostrzegłby go leżącego na ziemi. Na szczęście dziewczyna miała ciekawszy obiekt zainteresowania. John zobaczył, jak Woody idzie przez podwórze i przeskakuje ogrodzenie z siatki, uszkodzone przez powalone drzewo. Podszedł prosto do dziewczyny, nawet nie rzuciwszy okiem w kierunku Johna, uniósł ją i zaczął całować. John widział, jak objęła go chudymi nogami. Nie odrywając ust, kuzyn zaniósł ją do domu i zatrzęsął drzwiami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

15 CZERWCA 1985 ROKU

John czekał cały wieczór, w nadziei że Mary Alice pojawi się na imprezie. Wypalił tyle marihuany, że bolały go płuca. Woody co rusz na niego popatrywał z podniesionym do góry palcem, jakby go dopingował. John pluł sobie w brodę za to, że powiedział kuzynowi, że zaprosił na imprezę dziewczynę. Już sam fakt, że Mary Alice nie przyszła, był wystarczająco fatalny, zrobienie z siebie idioty przed Woodym stokroć pogarszało sprawę.

Stracił już nadzieję, kiedy około północy weszła przez frontowe drzwi. Od razu rzuciło mu się w oczy, jak bardzo nie na miejscu się tam wydawała w świeżo wyprasowanych dżinsach marki Jordache i białej koszuli ze stójką. Wyglądała pięknie, ale wszyscy inni mieli na sobie najróżniejsze odcienie czerni: brudne dżinsy, poplamione heavymetalowe T-shirty, tłuste włosy.

Już chciała odwrócić się na pięcie i wyjść, kiedy chwycił ją za ramię.

- Cześć! - Sprawiała wrażenie zaskoczonej, podekscytowanej i zdenerwowanej zarazem.
- Ładnie wyglądasz - powiedział, przekrzykując Poison ryczący z głośników.
- Powinnam wracać - rzuciła, ale nie ruszyła się z miejsca.
- Chodź, weź sobie drinka.

Widział, że rozważa propozycję, zastanawia się, co ma na myśli, mówiąc o drinku, zastanawia się, czy może mu ufać.

- Woody ma w kuchni napoje bezalkoholowe. - Pomyślał, że chyba po raz pierwszy w życiu użył tego określenia. - Chodźmy.

Nadal się wahała, ale kiedy zrobił krok w bok, żeby pójść za nią do kuchni i zablokował wyjście, ustąpiła.

Kiedy mijali schody, zobaczył Woody'ego opartego o poręcz. Źrenice miał jak spodki, a na twarzy senny uśmiech. Dziewczyna z jedynej czarnej rodziny w okolicy lepiła się do niego jak przyklepik - obejmowała go za szyję, z nogą owiniętą dokoła jego nogi. John patrzył, jak całowali się długo i namiętnie na jego oczach. Dziewczyna była piękna. Miała

kremowobrązową skórę i włosy splecione w egzotyczne warkoczyki. Woody zawsze na imprezach wyrywał najlepsze laski.

Raz jeszcze pokazał mu kciuk uniesiony do góry, ale tym razem się nie uśmiechał.

Kuchnia była zadymiona i Mary Alice zaniósła się kaszlem, machając dłonią przy twarzy. W rogu obmacywała się jakaś parka i John szybko przeniósł wzrok gdzie indziej, bo chłopak położył rękę dokładnie na przodzie dzinsów dziewczyny.

- Fajna impreza - powiedział inny chłopak, potrącając Johna. Rozlał mu na dłoń drinka, przeprosił i podał mu na wpół opróżniony plastikowy kubek na zgodę. John już i tak tego wieczoru za dużo wypił, ale pociągnął śmiało z kubka, czując, jak płyn piecze go w gardło przy przełykaniu.

Kiedy rozejrzał się w poszukiwaniu Mary Alice, wychodziła już przez tylne drzwi.

- Ej! - Pobiegnij za nią.

Stała przy wysokim dębie i patrzyła w gwiazdy. Miała potargane włosy i sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Może pozwoli mu wziąć się za rękę. Może pozwoli się pocałować.

Zaśmiała się bez powodu.

- Nie mogłam tam oddychać.

- Przykro mi.

Zobaczyła kubek w jego dłoni.

- Daj mi to.

- Nie wiem, co jest w środku - ostrzegł. - Lepiej nie próbuj.

- Nie jesteś moim ojcem - powiedziała, zabierając drinka. Patrzyła mu w oczy, kiedy brała duży łyk ciemnego płynu. - Smakuje jak cola z czymś jeszcze.
Modlił się, żeby to nie było coś jeszcze. Woody miał dziewiętnaście lat, a wszyscy jego kumple byli jeszcze starsi. Niektórzy brali twarde narkotyki, towar, o którym John nawet nie chciał słyszeć. Nie sposób było ustalić, co tu krążyło.

- Przepraszam - powiedział. - Nie przypuszczałem, że będzie tu tak ostro.
Pociągnęła kolejny łyk i posłała mu szeroki, ckliwy uśmiech. Boże, była taka ładna. Nienawidził jej od tak dawna, że niemal zapomniał, jaka jest piękna.
Znowu uniosła kubek. Powstrzymał ją.

- Będzie ci niedobrze. - Choć tak naprawdę myślał właśnie, że gdyby nawet pojechała do rygi, i tak by ją pocałował.

- Jesteś naćpany?

- Nie - skłamał. Tak się denerwował, że pewnie wypaliłby nawet kozie łajno, gdyby myślał, że go to uspokoi.

Wzięła kolejny łyk i tym razem nie oponował.

- Chcę się nawalić.

Gdyby powiedziała, że chce polecieć na Księżyc, byłby mniej zszokowany.

- Mary Alice, ostrożnie. Nie szarżuj. Nie chcę, żeby ci zaszkodziło.

- Tobie nie szkodzi - powiedziała, osuszając kubek. Odwróciła go do góry dnem, żeby pokazać, że jest pusty. - Chcę jeszcze.

- Zostańmy tu przez chwilę.
- Dlaczego? - spytała. Chwiała się trochę i wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. - Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Czuł zapach jej perfum i lakieru na włosach. Ciepło skóry pod ręką. Mógł ją przytulić, po prostu wziąć w ramiona i nie wypuszczać przez całą noc.

- To nieprawda.
- Zawsze mówisz mi takie wstrętne rzeczy.
- Wcale nie - rzucił z takim przekonaniem, że niemal sam w to uwierzył.

Odsunęła się od niego.

- Rodzice myślą, że jestem w domu.
- Moi też.
- Zostałeś zawieszony?
- Nie.
- Powinni cię zawiesić - oświadczyła. - Mój tata mówi, że jesteś kompletnym patałachem.
- Tak. - Zaczynał żałować, że dokończyła tego drinka. - Mój też.
- Wyprowadził się dziś wieczorem z domu.
- Twój tata?
- Po prostu spakował walizki i zabrał się, kiedy byłam w centrum handlowym. Mama powiedziała, że zamieszka z tą kobietą z pracy. - Czknęła cicho. - Nic tylko płacze. Ona też płakała, ale John nie wiedział, jak ją pocieszyć.

- Przykro mi - rzucił wreszcie.
- Dzwoniłam do niego. Pod numer, który zostawił. Odebrała jakaś dziewczyna. John milczał. Co mógł powiedzieć?
- Obiecał, że będziemy się widywać w weekendy. Mówi, że Mindy zabierze mnie na zakupy.
- Strasznie mi przykro - powtórzył.
- Dlaczego zadajesz się z tym palantem? - spytała Mary Alice.
- Niby z kim?

John odwrócił się i podążył wzrokiem za jej spojrzeniem do Woody'ego. Kuzyn niemal zleciał z tylnych schodów, kiedy się do nich zbliżał. Śmiał się z własnej niezdolności, więc John także zachichotał.

- Zalej robaka - powiedział, podając mu kolejnego drinka.

John wziął mały łyżeczek, bo w głowie już mu się kręciło.

- Ej, maleńka - powiedział Woody, opierając się o Johna i mierząc wzrokiem Mary Alice. - Czemu tak długo kazałaś na siebie czekać? Zaczynałem już podejrzewać, że mój kuzyn sobie ciebie wymyślił.

John już-już otwierał usta, żeby ich sobie przedstawić, ale coś go powstrzymało. Nie podobał mu się sposób, w jaki Woody na nią patrzył: z nieskrywanym pożądaniem. W środku czekała Alicia, gotowa na każde jego skinienie, a on postanowił przystawiać się do Mary Alice. To nie fair.

- Właśnie się zbieraliśmy - powiedział John, biorąc Mary Alice za rękę, jakby należała do niego.
 - Tak szybko? - spytał Woody i John uświadomił sobie, że tarasuje im przejście. - Wejź do środka ze starym kuzynem Woodym. Mam coś dla ciebie.
 - Nie tym razem. - John rzucił pusty kubek na ziemię. - Muszę odprowadzić ją do domu. Mama będzie jej szukać.
 - Tylko jeden sztach - nalegał Woody. - Czy raczej kolejny. - Puścił oko do Mary Alice. - Myślisz, że dasz radę wypić drinka, skarbie? Może osuszy te piękne niebieskie oczęta. Mary Alice zachowywała się dziwnie. Uśmiechała się do niego, niemal flirtowała.
 - Nie płakałam.
 - Akurat, laleczko.
 - Woody - zaczął John, ale kuzyn położył mu rękę na ustach i zwrócił się do Mary Alice: - Za dużo gada. Zachichotała i John poczuł, jak zalewa go wściekłość. Śmiała się z Woodym. Z niego się śmiała.
 - Myślisz, że dasz radę obalić małego drinka, maleńka?
- Wygięła wargi w zmysłowym półuśmiechu.
- Dam radę.
 - Mary Alice - powiedział John.

Woody zdjął jego rękę i objął Mary Alice ramieniem. Popatrzył na jej koszulę, oblizał wargi i rzucił w kierunku Johna:

- Przymknij się, kuzynie.

Mary Alice się roześmiała.

- Tak, John, przymknij się.

Woody przyciągnął ją bliżej do siebie i odchyliła głowę. Nie spuszczał wzroku z oczu Johna, gdy przycisnął otwarte usta do ust Mary Alice.

Zaczęli się całować i John miał wrażenie, jakby ktoś wyszarpnął mu serce z piersi. Patrzył bezradnie, jak Woody przesunął dłoń po bluzce Mary Alice i chwycił jej pierś, jakby obmacywał ją każdego dnia. Otworzył szerzej usta i wtedy ona odskoczyła, odzyskawszy rozum sekundę później, niż powinna.

Wrzasnęła: „Przestań” i zatoczyła się w stronę Johna. Złapał ją i podtrzymał. Od koszuli odpadł jej guzik, w miejscu gdzie Woody wsunął rękę pod zapięcie.

- Jesteś wstrętny - powiedziała ze łzami w oczach, zaciskając kurczowo poły bluzki.

Woody się uśmiechał.

- Chodź, maleńka. Nie bądź taka.

- Akurat! - krzyknęła. - Niedobrze mi się robi od twojego języka.

Jego uśmiech stał się złowrogi.

- Zważ se.

Wtuliła się mocniej w Johna, płacząc.

- Proszę, zabierz mnie do domu. John zaczął ją prowadzić, nie spuszczać oczu z Woody'ego. Nie podobał mu się sposób, w jaki kuzyn na nich patrzył.
- Wracaj tutaj - rozkazał Woody, znowu usiłując ją złapać.
- Zostaw ją! - krzyknął John z zaciśniętymi pięściami. Woody ważył chyba z pięćdziesiąt kilogramów więcej, ale John święcie wierzył, że da radę mu skopać tyłek i skopie, jeśli kuzyn choćby palcem tknie Mary Alice.
- Spokojnie. - Woody uniósł ręce i cofnął się o krok. - Nie wiedziałem, że jest twoja, mężusiu. No idź. Zabierz ją do mamusi.
- Trzymaj się od niej z daleka. Nie żartuję - ostrzegł John.
- Bez urazy - rzucił Woody, ale nadal łytał na Mary Alice jak lew na zwierzynę, który musi obejść się smakiem. - Lepszy górą.
- Żebyś wiedział.
- Trzymaj - powiedział Woody, grzebiąc w kieszeni. - Prezent na do widzenia. - Rzucił Johnowi torebkę z narkotykiem. - Bez urazy, co, kuzynie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

6 LUTEGO 2006 ROKU

John natrafił na wiadomość przypadkiem. Sprzątał bagażnik zabłoconego subaru forrestera. Podniósł stertę gazet, żeby wyrzucić je do kosza, i raptem wszystkie wypadły mu z dłoni, rozsypując się jak karty na stole. Schylił się, żeby je pozbiierać, i zobaczył dwa słowa, których nigdy wcześniej nie widział: wydanie lokalne.

Właściciel subaru mieszkał w hrabstwie Clayton, ale John wiedział, że jeśli jest specjalny dodatek dla jednego miasta, musi być też dla innych.

Powiedział Artowi, że boli go brzuch, wyszedł wcześniej z pracy i ruszył prosto do głównej siedziby biblioteki publicznej hrabstwa Fulton. Dostęp do elektronicznego archiwum prasowego wymagał okazania karty kredytowej, więc zamiast tego John zamówił mikrofiszę wydań lokalnych gazet z hrabstwa Gwinnett z ostatnich trzech miesięcy. Dwie godziny później znalazł to, czego szukał. Wiadomość pochodziła z 4 grudnia 2005 roku.

Porwanie dziewczynki w Snellville

Nie było wiele szczegółów. Nie podano nazwiska uprowadzonej, tylko wiek - czternaście lat - i to, że szła z domu w odwiedzinach do ciotki. Najwyraźniej rodzina nie chciała rozmawiać z prasą. Nie pojawiła się też żadna wzmianka o podejrzanych czy tropach, które bada policja. John przejrzał wydania z następnych kilku tygodni i znalazł jeszcze tylko jeden tekst na ten temat. Tym razem pojawiła się informacja, że dziewczynkę znaleziono następnego dnia w rowie.

Od chwili, kiedy znalazł ten artykuł, przeraził się nie na żarty. Powoli złożył w całość elementy układanki. Co rusz wracał myślami do gry Bena w „co jeśli”. Co jeśli Woody posługiwał się tożsamością Johna, żeby zacierać po sobie ślady przez ostatnie sześć lat? Co jeśli zakładał wcześniej, że John nigdy nie wyjdzie z więzienia? Co jeśli dowiedział się, że jednak wyszedł, i postanowił coś z tym zrobić?

Rozległ się klakson jadącego z tyłu samochodu. John przyspieszył, skręcił w najbliższą przecznicę i zatrzymał się za furgonetką z wysięgnikiem. Serce tak mocno mu waliło, że przed oczyma pojawiły się mroczki. Poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła i za chwilę tryśnie gorącym strumieniem paniki i strachu.

Oparł głowę o kierownicę i próbował odtworzyć wydarzenia poprzedniego wieczoru. Niedziela. Dzień Super Bowl. Grali cholerni Falconsi i John nie miał ochoty oglądać ich w telewizji, nie miał ochoty słuchać radiowej transmisji. Chciał sprawdzić, co robi Woody, chciał go obserwować, żeby móc powstrzymać, żeby to, co się wcześniej stało, nie powtórzyło się po raz kolejny. I znowu.

Żona poszła do pracy i Woody odczekał pół godziny, zanim wychynął na zewnątrz. Ruszył swoją zwykłą trasą do centrum Atlanty, ale tym razem skręcił w Grady Homes. John jechał za nim w takim napięciu, że zapomniał zachowywać dystans i kilka razy był niemal pewien, że Woody go zobaczył, że został przyłapany.

Biały mężczyzna w granatowym fordzie fairlane na osiedlu socjalnym późnym niedzielnym popołudniem za bardzo rzucał się w oczy, ale John nie zrezygnował z inwigilacji. Kiedy

Woody zatrzymał się przed rzadkiem pańienek, wyminął go i pojechał dalej, myśląc, że będzie śledzić kuzyna we wstecznym lusterku. Plany jednak rzadko kiedy wypalają i gdy Woody pojechał z dziwką na tyły zabudowań, John wysiadł z samochodu i ruszył na piechotę.

Jeszcze teraz oblewał go zimny pot na wspomnienie tego, co się wydarzyło potem, czego był świadkiem. Jeszcze teraz słyszał te dzikie krzyki, odgłosy walki o życie.

Wysiadł z samochodu i skinął głową mężczyźnie w furgonetce. Swobodnie. Od niechcienia. Był u siebie.

Wsadził ręce do kieszeni i ruszył wysadzaną drzewami uliczką przy domu Woody'ego, starając się wyglądać na spacerującego mieszkańca, mimo że czuł się bardzo nieswojo z rękami w spodniach, w więzieniu kieszenie były zakazane.

Kobieta, zapewne babcia, domyślał się John, odprowadzała chłopca do szkoły w poniedziałkowe ranki. Potem robiła zakupy, czasami wstępowała na kawę ze znajomymi. Tak czy owak, nie było jej w domu przez co najmniej godzinę, a to było dokładnie tyle, ile John potrzebował.

Ruszył tą samą trasą za domami, pogwizdując z zadartą głową, jakby żadna troska nie mąciła mu czoła. Szedł przez podwórka, bacznie przyglądając się domom i myśląc, że w dzielnicach ludzi pracujących, takich jak ta, większość mieszkańców siedzi w pracy albo jest zbyt zajęta, żeby wyglądać przez okna.

Ogrodzenie z siatki było nadal uszkodzone. John je przeskoczył, kierując się prosto do tylnych drzwi domu kuzyna. Na dłonie wsunął lateksowe rękawice, które zwędził ze sklepiku z częściami przy myjni. Woody nie miał psa, ale w dole drzwi wycięto otwór wyjściowy dla zwierzaka. John był zbyt duży, żeby się przez niego przecisnąć, jednak włożył rękę do środka, próbując wymacać zamek. Musnął palcami klamkę i przekreślił zasuwę.

Wyprostował się, rozejrzał, czy ktoś go nie obserwuje, potem otworzył drzwi. Zamarł na chwilę, upewniając się, że nie włączy się alarm. Nie był doświadczonym włamywaczem, ale zakładał, że arogancja nie pozwoli Woody'emu wydawać pieniędzy na takie zabezpieczenia. Był przecież policjantem, na Boga.

John przeszedł przez kuchnię i skierował się prosto do salonu. Podszedł do biurka w rogu, nie zwracając uwagi na wielkoekranowy telewizor, porozstawiany po domu sprzęt cyfrowy, który świadczył, że Woody dobrze zarabia, że może sobie pozwolić na kupno drogiej pary butów czy smaczny posiłek, kiedy tylko mu się zamarzy. Cholera, mógł sobie pozwolić na wiele, prawda? Przede wszystkim na dwie tożsamości. Co jeszcze zamierzał?

Woody był kuty na cztery nogi, nie zostawiłby niczego obciążającego na widoku. Książeczka czekowa przynależąca do wspólnego z żoną konta leżała na wierzchu, rachunki poukładane były starannie na tacce. Byli zadłużeni, ale zdaniem Johna zarabiali fortunę. Tysiące dolarów, miesiąc w miesiąc, nowy samochód dla żony, droga szkoła dla dziecka. Przekraczało to ludzkie pojęcie.

W garażu były wszystkie narzędzia, o jakich można było zamarzyć, choć z tego, co John zaobserwował, kuzyn spędzał większość czasu, pilnując kanapy. Od czasu do czasu przychodził chłopak, który kosił trawnik, zatem trudno było zgadnąć, po co Woody'emu ogromna kosiarka z dziwnym uchwytem na picie. Ale najbardziej wkurzył go stół bilardowy stojący na środku garażu. Na myśl, że kuzyn siaduje tu z synem, może jeszcze kilkoma sąsiadami albo znajomymi z pracy, popijając piwo i grając sobie w poola, niemal dostał białej gorączki.

Przeszukał szuflady stołu warsztatowego, uważając, żeby wszystko zostawić tak, jak było. Pod pojemnikiem w pudełku na narzędzia znalazł stertę świerszczyków, których nagłówki obiecywały „zakazane zabawy” i „mnóstwo fotek”. Przekartkował je strona po stronie w poszukiwaniu jakichś wskazówek, starając się nie patrzeć na młode dziewczęta - niektóre z nich na dobrą sprawę jeszcze dzieci - rozkraczone i wystawione na widok publiczny. Może coś się z nim porobiło w więzieniu, ale teraz, widząc te puste spojrzenia, myślał tylko o Joyce, o niebezpieczeństwie, na jakie była narażona w ich wieku. Odłożył czasopisma z powrotem na miejsce, żałując, że je w ogóle zobaczył.

Zaraz obok mieściła się sypialnia Woody'ego: duży apartament z łóżem królewskich rozmiarów, na którym kutas pewnie co noc kochał się z żoną. Łazienka była ogromna, większa niż nora, w której John mieszkał w noclegowni. Nawet pokój dziecka był duży, z łóżkiem w kształcie wyścigówki i zabawkami wysypującymi się z regału pod oknem. John czuł się nieswojo w dziecięcej sypialni. Wkrótce trzeba będzie zamienić małe łóżeczko na

normalne. Chłopiec zacznie dorastać, będzie domagał się większej swobody. Pójdzie do szkoły, pozna jakąś dziewczynę, zaprosi ją na bal abiturientów. Przebywanie w tym miejscu było po prostu zbyt przygnębiające, więc John wycofał się szybko na korytarz.

Wrócił do głównej sypialni, pewien, że coś przeoczył. Starał się spojrzeć na pomieszczenie okiem swojej kuratorki, pani Lam. Zajrzał pod materac, obmacał poduszki w poszukiwaniu twardych guzów. Sprawdził buty w szafce i koszule w szufladzie.

Koszule. Wszystkie markowe. Z miękkiej bawełny, niektóre jedwabne. Woody nosił bieliznę od Calvina Kleina, piżamę z metką Nautica.

- Chryste - wyszeptał John, czując w tej chwili taką nienawiść do kuzyna, że nie mógł oddychać. - Myśl - powiedział, jakby słowo miało moc sprawczą. - Myśl.

Na toaletce stały dwie butelki męskiej wody kolońskiej. Johna nie interesowały marki, ale to, co leżało przed nimi. Duży składany nóż. Dokładnie ten sam Woody nosił, kiedy byli nastolatkami. Tłumaczył, że nie ma wyboru, bo przez narkotyki miewa do czynienia z twardymi zawodnikami. John mu wierzył, wyobrażał sobie pełne napięcia konfrontacje i ryzykowne wymiany towaru, podczas których kuzyn wymachiwał ostrym, ząbkowanym sprężynowcem.

Woody chodził z nożem. Jak John mógł o tym zapomnieć?

- Kim jesteś?

Odwrócił się i z przerażeniem zobaczył w drzwiach do sypialni sąsiadkę z domu obok. Miała na sobie białą koszulkę nocną z jedwabiu i szlafrok. Ubranie wisiało na jej dziecięcym ciele

jak nylonowa torba na widłach. Mówiła głosem małej dziewczynki, wysokim, niemal piskliwym.

- Co tu robisz? - spytała stanowczo, ale widział, że się boi.
- Mógłbym spytać o to samo ciebie - odpowiedział, chowając w dłoni nóż i starając się przybrać kategorię ton, jakim dorośli zwracają się do dzieci.
- To nie jest twój dom.
- Twój też nie - podkreślił John. - Mieszkasz drzwi obok.
- Skąd wiesz?
- Woody mi powiedział.

Popatrzyła na jego dłonie, lateksowe rękawiczki, nóż.

- Co za Woody?

To pytanie zbiło go z tropu. Musiała wyczuć jego wahanie, bo rzuciła się korytarzem.

- Ej - zawołał John, biegnąc za nią przez salon, kuchnię. - Poczekaj!

Ale ona już wypadła przez otwarte drzwi na podwórko.

Biegnąc w stronę ogrodzenia, obejrzała się przez ramię. John przypomniał sobie, że ciągle trzyma w dłoni nóż, zrozumiał, jak musiała to zinterpretować, i się zatrzymał. Jeszcze raz się obejrzała, ale biegła dalej. Przed siebie.

W zwolnionym tempie zobaczył, jak zaczepia gołą stopą o wyrwę w siatce ogrodzenia, przewraca się, jak wali głową o ziemię. Czekał. Nie podnosiła się. Odczekał jeszcze chwilę. Nadal żadnego ruchu.

Wyszedł na podwórze, powoli stąpając po miękkiej trawie. Przypomniał sobie, co czuł, gdy wypuścili go z więzienia i po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuł pod stopami trawę. Jego nogi były nawykłe do twardego betonu albo czerwonej gliny ze spacerniaka, ubitej na kamień od ciężaru tysięcy mężczyzn chodzących po niej każdego dnia. Tymczasem trawa na cmentarzu była taka miękka, że idąc za trumną matki, miał wrażenie, jakby kroczył po obłokach.

Dwadzieścia lat i zapomniał, jak to jest iść po trawie. Dwadzieścia lat samotności, izolacji. Dwadzieścia lat bólu i upokorzeń Emily, kiedy przyjeżdżała odwiedzić syna. Dwadzieścia lat cierpienia Joyce zżeranej przez świadomość, że ma brata potwora.

Dwadzieścia lat, w czasie których Woody cieszył się wolnością, znalazł dobrą pracę, ożenił się, spłodził potomka, ułożył sobie życie.

John przeszedł ostrożnie nad ogrodzeniem. Uświadomił sobie, że nadal trzyma w dłoni nóż kuzyna. Położył go na ziemi, kiedy przyklęknął nad dziewczyną. W więziennym szpitalu nauczył się sprawdzać puls. U niej go nie wyczuwał. Ale nawet bez badania zgadywał po ranie na czaszce, że prawdopodobnie umarła w chwili, kiedy uderzyła głową o duży kamień po drugiej stronie ogrodzenia. Głaz uwalany był krwią, do kwarcowej powierzchni przykleiły się pasma długich blond włosów.

Kucnął i przypomniał sobie, kiedy ostatni raz widział Mary Alice. Jej oczy. Nigdy nie zapomni tych oczu, tego pustego spojrzenia. Ale jej ciało mówiło wszystko. Musiała potwornie, niewymownie cierpieć. W głowie nadal miał pokazywane podczas procesu

zdjęcia, powiększone fotografie zgwałconych, zbezczeszczonych zwłok wystawionych tam na widok publiczny. Pamiętał, jak ciotka kroczyła przed ławą przysięgłych w tę i z powrotem i jak wtedy pomyślał, że to fatalnie, ponieważ przyciągała w ten sposób tylko uwagę do zdjęć wiszących za jej plecami.

- W porządku - powiedział Lydii, kiedy przyjechała do więzienia, żeby go poinformować, że wyczerpała wszystkie możliwości apelacji, że John najprawdopodobniej umrze w więzieniu.

- Wiem, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy.

Wcześniej radziła mu, żeby nie opowiadał policji o narkotykach, nie wspominał o Woodym, bo wciągnięcie w to jej syna tylko przypomni o problemach Johna z uzależnieniem, a tego przecież chybaby nie chcieli, prawda? Gdyby Woody został wezwany na świadka, powiedziałby prawdę. A przecież chybaby nie chcieli, żeby Woody powiedział prawdę?

Tamtej nocy na przyjęciu wycedził: „Bez urazy” i rzucił mu działkę. Czy to wtedy postanowił skrzywdzić Mary Alice?

Bez urazy. John nie czuł urazy, tylko wściekłość tak palącą, jakby napił się benzyny i połknął płonąca zapałkę. Popatrzył na dziewczynę. Była dzieckiem, ale mogła być też posłańcem.

Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy wsunął jej w usta palce w rękawiczkach i chwycił język między kciuk a palec wskazujący.

Woody zrzucił na niego winę. Więc on się teraz zrewanżuje. Najważniejsze, czego się nauczył pod celą, to że nie dotyka się cudzej własności, chyba że człowiek jest gotów za to zginąć.

Wołali na niego „Woody”, ale to było chłopięce przezwisko, a kuzyn nie był już chłopcem. Podobnie jak John stał się mężczyzną. Najwyższy czas nazywać go męskim imieniem.

Michael.

Michael Ormewood.

John sięgnął po nóż.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

15 CZERWCA 1985 ROKU

- Musisz trochę się przejść, otrzeźwieć na powietrzu - powiedział John do Mary Alice. - Nie możesz wrócić do domu w tym stanie.

- Całowałaś się już z dziewczyną?

Spiekł raka i Mary Alice się roześmiała,

- Mark Reed myśli, że chodzimy ze sobą, bo pocałował mnie raz po meczu.

John milczał, w duchu życząc śmierci Markowi Reedowi, rozgrywającemu drużyny futbolowej, właścicielowi czerwonej corvetty i dumnemu posiadaczowi owłosionego torsu, z którym skubaniec lubił się obnosić w szatni, niczym jakiś cholerny chippendale.

- Nie odpowiedziałeś - powiedziała Mary Alice i John pomyślał o torebce z białym proszkiem od Woody'ego, którą czuł w kieszeni.

Czytała w jego myślach.

- Daj mi spróbować.

- Mowy nie ma.

- Ale ja chcę.

- Nie, nie chcesz.

- Proszę. - Sięgnęła mu do kieszeni i otarła się o niego dłonią. John wciągnął powietrze tak gwałtownie, że sam się zdziwił, że płuca mu nie eksplodowały.

Mary Alice uniosła torebeczkę do padającego z latarni światła.

- Co w tym takiego fajnego?

Nie odpowiedział. Chwilowo pochłaniały go bardziej naglące sprawy. Otworzyła torebeczkę.

John oprzytomniał.

- Nie rób tego.

- Dlaczego nie? Ty robisz.

- Ja jestem skończonym patałachem - rzucił. - Czy nie tak to ujęłaś?

Usłyszeli jakiś odgłos z tyłu i oboje się odwrócili.

- Kot - rzuciła się Mary Alice. - Chodź.

Wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę swojego domu. Milczał, kiedy szli przez podwórko. Wiedział, że jej sypialnia jest na parterze, ale zaskoczyła go, gdy otworzyła okno i wdrapała się do środka.

- Co ty wprawiasz?

- Ciii.

Gdzieś z tyłu trzasnęła gałązka. Znowu się odwrócił, ale niczego nie wypatrzył w ciemnościach.

- No chodź - ponagliła go Mary Alice.

Wspiął się na parapet i zatrzymał.

- Twoja mama mnie zabije, jeśli mnie tu znajdzie - wyszeptał.

- Mam to gdzieś - szepnęła w odpowiedzi i włączyła lampkę Hello Kitty, która posłała do wnętrza wąty krąg światła.

- Śpisz z lampką nocną?

Pacnęła go w żartach po ramieniu.

- Pakuj się.

John zeskoczył lekko. Pod oknem stało łóżko. Siedzieli teraz na nim oboje. Na łóżku Mary Alice. Poczuł, jak wzwód wraca ze zdwojoną siłą.

Jeśli to zauważyła, pominęła milczeniem.

- Pokaż mi, jak to się robi - prosiła, wręczając mu torebkę z koką.

- Ani mi się śni.

- Wiem, że sam masz ochotę.

Miał. Boże, miał. Zrobiłby wszystko, co choć na chwilę by sprawiło, żeby przestał być takim idiotą i ją pocałował.

- Pokaż - powtórzyła.

Rozsupłał folię i palcem wygarnął trochę proszku.

- Wciągasz nosem - wyjaśnił. - O tak.

Zakaszłał, niemal się zakrztusił, kiedy poczuł proszek w gardle. Miał gorzki, metaliczny posmak. Usiłował zgromadzić dość śliny, żeby go przełknąć, ale miał zbyt sucho w ustach. Poczuł, że coś dziwnego dzieje się z jego sercem, zatrzepotało, a zaraz potem jakby przeszył je nóż.

Mary Alice wyglądała na wystraszoną.

- Czy...

Narkotyk dotarł do mózgu. Wystarczyły dwie sekundy, góra, a był tak naćpany, że nie mógł utrzymać otwartych powiek. Zobaczył gwiazdy - prawdziwe gwiazdy - i poleciał do przodu, prosto na Mary Alice. Położyła mu dłonie na twarzy, żeby go podtrzymać. Wtedy uniósł podbródek i ich usta się spotkały.

Następne, co pamiętał, to potworny ból głowy, kiedy się obudził, najgorszy, jaki przeżył. W klatce piersiowej czuł rozdzierający ucisk i było mu zimno, choć zlany był potem. Gdy

przekręcił się na drugą stronę, lepił się do prześcieradła. Myślał właśnie, że matka go zabije za zmożenie pościeli, kiedy poczuł, że obok ktoś leży.

Mary Alice była kompletnie naga. Głowę miała skręconą w bok, usta otwarte i wypełnione krwią. Zobaczył siniaki na jej nogach i innych częściach ciała. Ze wzdórka łonowego wyrwano całe skrawki owłosienia. Małe piersi pokrywały ślady ugryzień.

John był zbyt przerażony, żeby choćby pisnąć. Dyszał. Czuł ucisk pełnego pęcherza, kiedy odsunął się od jej ciała. Za plecami miał otwarte okno. Wyciągnął ręce, ale palce ślizgały się po framudze. Krew. Wszędzie na rękach miał krew. Przez całą noc w leżał w jej kałuży, ubrania nasiąkły mu nią jak gąbka.

Usłyszał jakiś dźwięk, coś jakby „fu, fu fu”, ale pochodził z jego ust. Twarz Mary Alice. Nie potrafił oderwać oczu od jej twarzy. Tyle krwi. Pęcherz odmówił mu posłuszeństwa, po nodze popłynęła ciepła struga.

Musi się stąd wydostać. Musi uciekać.

Przyłgnął do ściany, odepchnął się nogami i przeleciał nad parapetem. Wypadł przez otwarte okno i uderzył plecami o ziemię, płuca opróżniły się z powietrza w ataku gwałtownego kaszlu.

Popatrzył na niebo. Jeszcze się całkiem nie rozwidniło, budzące się słońce wydobywało z ciemności szare zarysy drzew. Trzęsły mu się nogi, ale jakoś się podniósł, spodnie kleiły się do ud, zakrwawiona koszula przyłgnęła jak druga skóra do pleców, które przez całą noc dotykały Mary Alice.

Puścił się biegiem z sercem walącym w gardle jak oszalałe.
Musiał się stąd wydostać.
Musiał wrócić do domu.

DECATUR CITY OBSERVER

18 czerwca 1995 roku

MORD NA FINNEY: 10 LAT PÓŹNIEJ

Minęło dziesięć lat od zgwałcenia i zabójstwa Mary Alice Finney w domu jej rodziców w Decatur, ale zbrodnia, która wstrząsnęła tym niewielkim osiedlem na peryferiach Atlanty, nadal żyje w pamięci jego mieszkańców. „Nic już nie było potem tak samo”, twierdzi Elizabeth Reed, której syn przyjaźnił się z Finney przed śmiercią dziewczyny. „Kiedyś byliśmy otwartą społecznością, dziś nocą zamykamy drzwi na klucz”.

Policja nie miała początkowo żadnych tropów w sprawie śmierci nastolatki, cheerleaderki i przewodniczącej klasy w miejscowym liceum. „To była zwykła, normalna dziewczyna, prowadząca zwykłe życie”, mówi Reed. Wszystko się zmieniło 16 czerwca 1985 roku, kiedy sąsiadów obudził kobiecy krzyk. Sally Finney poszła do sypialni córki, żeby obudzić ją do kościoła, i natknęła się na ślady rzezi.

„Miejsce zbrodni wyglądało potwornie”, przyznaje emerytowany szef policji Harold Waller. „Wszędzie była krew. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widzieliśmy. Podejrzewaliśmy, że sprawcą musi być psychopata, i oczywiście tak było”.

Sądowi psychiatrzy potwierdzili słuszność oceny Wallera, twierdząc, że za wywołanym przez narkotyki napadem szału kryła się głęboka psychoza. Choć zabójca utrzymywał, że zażywa narkotyki jedynie „okazjonalnie”, jego znajomi odmalowali znacznie posępniejszy obraz. Trener Vic McCollough mówił w swoich zeznaniach o agresywnym zachowaniu Shelleya na boisku i stwierdził, że musiał w końcu zawiesić go w prawach członka drużyny. Bliski przyjaciel zabójcy, który prosił o nieujawnianie nazwiska, powiedział wówczas, że Shelley miał obsesję na punkcie Mary Alice i zdawał się „pałać nienawiścią” do wzorowej uczennicy. Dziewczyna została brutalnie zgwałcona, a ciało nosiło ślady ugryzień i głębokich ran kłasnanych na piersiach i udach. Nastoletni zabójca sprofanował dodatkowo zwłoki, oddając na nie mocz. Jednak nie to okazało się najbardziej wstrząsającym odkryciem. W trakcie procesu Waller ujawnił, że dziewczynie odcięto język nożem z ząbkowanym ostrzem. Okoliczni mieszkańcy nie byli zdziwieni, kiedy pod zarzutem popełnienia zbrodni aresztowano ucznia miejscowego liceum, Jonathana Shelleya. Już wcześniej był notowany przez policję za zażywanie narkotyków i drobne kradzieże. Dyrektor Don Binder zeznał podczas procesu, że Shelley był znanym szkolnym dilerem „z poważnym problemem”. Na miejscu zbrodni znaleziono torebeczkę zawierającą mieszankę kokainy i heroiny, zwaną w żargonie ulicznym speedballem. Nosiła ślady odcisków zakrwawionych palców Shelleya, które dodatkowo udało się pobrać z kilku kluczowych miejsc w sypialni dziewczyny. „Dowodów była cała masa”, mówi Waller. „Odciski palców sprawcy znajdowały się w całym pokoju”. Obrona podkreślała w trakcie procesu, że na miejscu zbrodni znaleziono też ślady

innych niezidentyfikowanych linii papilarnych, ale nie była w stanie zbić najbardziej obciążającego dowodu: piętnastocentymetrowego kuchennego noża z ząbkowanym ostrzem znalezionego w szafie w sypialni oskarżonego. Pochodził on z kuchennego kompletu Shelleyów i został starannie umyty, jednak na drewnianej ręczce zachowały się ślady ludzkiej krwi. Emily Shelley, matka chłopca, zeznała w trakcie procesu, że jest to pamiątka po tym, jak sama się nim zacięła. Wzięta w krzyżowy ogień pytań nie potrafiła jednak wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego narzędzie znalazło się w szafie jej syna. „Ani przez chwilę nie miałem choćby cienia wątpliwości, że John Shelley jest winien”, mówi senator stanowy Paul Finney. „Wpadł w narkotykowy szal i moja córka zapłaciła za to najwyższą cenę”. Sally Finney nigdy publicznie nie wypowiedziała się na temat śmierci ukochanej jedynaczki. Sąsiedzi mówią, że nie chciała wrócić do domu na Patrick Drive i jeszcze w trakcie trwania procesu wniosła pozew o rozwód. „Ta zbrodnia zniszczyła moją rodzinę”, powiedział wówczas Paul Finney. Dwukrotnie rozwiedziony senator jest znanym orędownikiem praw ofiar i współautorem oraz wnioskodawcą wielu ustaw stanowych zaostrzających warunki przyznawania zwolnienia warunkowego sprawcom brutalnych przestępstw.

Rzecz to o tyle znamienita, że w ubiegły piątek Shelley miał pierwsze przesłuchanie przed komisją ds. zwolnień warunkowych. Stojąc przed składem orzekającym, odczytał przygotowane uprzednio oświadczenie. „Nie popełniłem tej zbrodni”, powiedział zgromadzonym w zatłoczonej sali. „Nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem”.

„John Shelley jest dokładnie tam, gdzie być powinien”, mówi nadal pogrążony w żalu ojciec dziewczyny Paul Finney.

CZĘŚĆ 3

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

6 LUTEGO 2006 ROKU GODZINA 20.02

Will Trent szcztokował psa, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Betty zaczęła szczekać i niemal spadła ze stołu. Will uciszył ją i został nagrodzony zdziwionym spojrzeniem. Nigdy wcześniej jej niczego nie zabraniał.

Upłynęła bita minuta. Will i Betty czekali, w nadziei, że gość, kimkolwiek jest, sobie pójdzie, ale dzwonek odezwał się ponownie, a potem jeszcze trzy razy z rzędu.

Betty zaczęła ujadać nie na żarty. Will westchnął, odłożył szczotkę i opuścił podwinięte rękawy koszuli. Wziął suczkę na rękę. Kiedy szedł do drzwi, znowu rozległ się dzwonek - sześć razy z rzędu.

- Co tak długo, do cholery?

Wyjrzał na ulicę, sprawdzając, czy jest sama.

- Ostatnio nękają mnie świadkowie Jehowy.

- Dobra okazja do randek. - Angie zmarszczyła nos. - Boże, ależ szpetny ten pies.

Will wszedł za Angie do domu, przytulając Betty do piersi, urażony, nawet jeśli zwierzęcia słowa gościa nie obeszły. Angie była nadal ubrana jak do pracy.

- Wyglądasz jak prostytutka - skonstatował.

- A ty jak truposz na katafalku.

Przycisnął dłoń do krawata.

- Nie podoba ci się ten garnitur?

- Gdzie się podziały dzinsy, które ci kupiłam? - Opadła na kanapę i wydała westchnienie ulgi, nie czekając na odpowiedź. - Co za pierdolone buty - stęknęła, zsuwając z nóg piętnastocentymetrowe szpilki i rzucając je na dywan. Rozpuściła długie brązowe włosy i potrząsnęła głową, pozwalając im opaść na ramiona. - Rzygam już tą pierdoloną robotą. Will postawił Betty na podłogę. Pazurki suczki zastukotały o parkiet, kiedy podreptała w kierunku kuchni. Słyszał, jak chłepce wodę z miseczki, potem dojada resztki z kolacji. Była niezbyt mile widzianym i, miał nadzieję, tymczasowym lokatorem. Dwa tygodnie temu, wracając z porannego biegania, Will zobaczył, jak wynoszą do karetki jego leciwą sąsiadkę. Kobieta miała wadę wymowy i sądząc po głosie, również małą powściągliwość w paleniu.

- Betty przygarnij! - rozdarła się z drugiej strony trawnika, choć Will usłyszał „Betty do psiarni!”

- Co mam z nią robić? - spytał cokolwiek przerażony tą wizją. Kobieta spiorunowała go wzrokiem, więc wskazał na małą suczkę chihuahua stojącą na ganku. - Pies? Co z psem?

- Czesz ją i gładź! - wrzasnęła kobieta i drzwi karetki się zatrzasnęły.

Will nie znał nawet imienia sąsiadki. Poza tym, że uwielbiała teleturniej Dobra cena i puszczała telewizor na pełny regulator, niewiele o niej wiedział. Nie miał pojęcia, dokąd zabrała ją karetka, czy ma jakąś rodzinę ani czy w ogóle jeszcze wróci. Imię suczki znał tylko dlatego, że miała zwyczaj się na nią wydzierać.

- Betty! - rozlegało się w środku nocy głębokim męskim barytonem. - Betty, mówiłam, żebyś tego nie robiła!

Angie patrzyła na Willa z rękami założonymi na piersiach.

- Wiesz, że wyglądasz absurdalnie, chodząc z tym psem na rękach.

Will usiadł naprzeciwko i przechylił się na krześle. Wziął pilota od stereo i wyłączył audiobooka, którego właśnie słuchał. Dwa długie lata minęły od chwili, kiedy ostatni raz rozmawiał z Angie Polaski, a teraz nagle, jak gdyby nigdy nic, siedziała z powrotem w jego salonie, jakby rozstali się wczoraj. Zawsze taka była, od małego. Udawaj, że nic nie jest zaskakujące, a nic cię nigdy nie zaskoczy.

- Dzięki za pomoc z tym automatem dziś rano - powiedział, pominąwszy milczeniem fakt, że niemal nie dostał zawału serca, kiedy zobaczył ją dziś na korytarzu City Hall East.

- A tak w ogóle to co robiłeś z Michael'em Ormewoodem? - Znowu nie pozwoliła mu odpowiedzieć. - Chryste, w głowie mi się nie mieści ta historia z jego sąsiadką. Czy to nie dziwne?

Will próbował się skupić na jednym temacie.

- Prowadzi śledztwo, które mnie interesuje. Skąd go znasz?

- Pracował kiedyś w obyczajówce - wyjaśniła. - Masz coś do przegryzienia?

Wstał, żeby sprawdzić w lodówce. Betty dreptała mu po piętach. Z reguły jadał poza domem, ale suczka lubiła żółty ser i zawsze trzymał dla niej trochę na podorędziu.

Angie poszła za nim do kuchni.

- Kiedy Ormewood został przeniesiony do dochodzeniówki?

- Jakies pół roku temu.

Pół roku temu Will mieszkał w północnej Georgii, zesłany do robienia nalotów na opuszczone kurze farmy przekształcone w wytwórnie metamfetaminy, podczas gdy jego szefowa namyślała się, co z nim począć.

- Obyczajówka to był jego pierwszy duży awans po zdobyciu złotej odznaki - powiedziała. - Pracował tam jakies dziesięć lat.

Will domyślił się, że próbuje mu coś powiedzieć.

- Dlaczego odszedł?

- Przeze mnie. - Odsunęła krzesło i usiadła przy stole. - Zagroziłam, że albo odejdzie, albo na niego doniosę.

- Z powodu?

- Posuwał niektóre panienki.

Will odłożył ser na stół.

- Interesujące.

- Mnie się wydawało raczej cholernie obrzydliwe, ale co kto lubi.

Will przetrwał to przez chwilę, obraz Michaela Ormewooda, jaki sobie ukształtował, znowu się zmienił. Z pewnością niełatwo było go rozgryźć.

- Robił to przez cały okres pracy w obyczajówce?

- Pracowałam w jego zespole tylko przez kilka miesięcy. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że tak.

- To powszechna praktyka?

Wzruszyła ramionami.

- Zdarza się, zwłaszcza żonatym gościom. Darmowe cipki, dymancko za frajer, kto się nie skusi?

Will się odwrócił, udając, że sięga do szafki po talerz, żeby nie mogła zobaczyć jego miny. Angie jednak znała go od ośmiolatka. Zaśmiała się.

- Straszny cnotek z ciebie, Williamie.

- Niewiele się zmieniło przez te dwa lata.

Nie dała się sprowokować. Ściślej mówiąc, przez dwa lata i kilka miesięcy. Siedzieli wtedy w tej samej kuchni. Angie wrzeszczała na niego, a on gapił się na buty i czekał, aż przestanie. Koniec końców przestała, tyle że jednocześnie trzasnęła drzwiami i odeszła.

Pokroił ser w kostkę, starając się ignorować wyczekujące spojrzenie Betty.

- A co słyszałaś o tym, co się stało dziś po południu?

- Masz na myśli tę sąsiadkę Michaela? - uściśliła. - Niewiele. Tyle tylko, że przypuszczalnie ma jakiś związek ze sprawą Monroe.

- Odcięto jej język. Jeszcze go nie znaleziono.
- Czemu ktoś chciałby załatwić sąsiadkę Michaela?
- Nad tym się właśnie zastanawiam.
- Myślisz, że to przypadek?

Oparł się o blat i popatrzył na nią.

- Mało prawdopodobne. Czy Ormewood ma wielu wrogów?
- Nie należę do jego przyjaciół, ale z tego, co widzę, ludzie go lubią. Dużo czasu spędza z tym dupkiem Leo Donnellym, ale o gustach się nie dyskutuje.
- Czy słyszałaś o jakiejś sprawie, jakimś śledztwie, w którym mógł komuś nadebrać na odcisk?
- Wkurwić kogoś, chcesz powiedzieć? - Znowu wzruszyła ramionami, zwyczaj, którego nabrała w okresie, kiedy się nie widzieli. - Nic specjalnego. Naprawdę myślisz, że to się jakoś wiąże ze sprawą Monroe?
- Jutro dostaniemy protokół sekcji zwłok. Z tego, co sam widziałem, są pewne rozbieżności.
- Urwał, odtwarzając w myślach miejsce zabójstwa. - Miała podrapany grzbiet stopy. Najwyraźniej potknęła się o ogrodzenie. Tutaj - dotknął skroni - była rana. Kiedy upadła, uderzyła o kamień, wygląda na to, że raczej mocno. No i krew. Nie było jej tak dużo. W wypadku Monroe szybko wypełniła jamę ustną, tak że ofiara zachłysnęła się. Dziewczyna leżała wprawdzie twarzą do dołu, ale na ziemi było stosunkowo mało krwi. Przypuszczam, że jej serce przestało bić, zanim usunięto język.

- Została zgwałcona?
- Miała zasinienia na udach, ale dopiero gdy ją otworzą, będziemy wiedzieć na pewno.
- Pete Hanson się nią zajmuje?
- Tak. Do zdarzenia doszło w hrabstwie DeKalb, ale prosiłem, żeby przydzielono Hansena gwoli ciągłości - wyjaśnił. - Dzisiaj rano zrobił Aleeshę Monroe. Wydaje się, że to dobry fachowiec. - Will pomyślał o czymś, co lekarz powiedział podczas sekcji. - Czy kondomy ze środkiem plemnikobójczym i lubrykantem są dużo droższe od zwykłych?
Zmierzyła go wzrokiem.
- Czy ja wyglądam na ekspertkę?
Wiedział, że prawdopodobnie nią jest, ale nie chciał omawiać tego akurat teraz.
- Zabójca Monroe użył prezerwatywy z lubrykantem i środkiem plemnikobójczym. Po prostu byłem ciekaw, czy są droższe.
Angie wyciągnęła wniosek, który sam się nasuwał.
- Nie chciał zostawić śladów DNA.
- Zdaniem Ormewooda to oznacza, że nie zamierzał jej zabić.
- Gównem prawda - zaoponowała. - Klienci nie chodzą na dziwki z gumkami w kieszeni.
Niespecjalnie troszczą się o panienki, które posuwają. Wiesz, jak ich zdaniem nazywa się ten nadmiar skóry wokół pochwy? Kobieta. - Dodała: - Kto jak kto, ale Michael Ormewood powinien to wiedzieć.
- To sprowadza nas do pierwotnego pytania. Czy są droższe?

Angie lustrowała go wzrokiem przez kilka sekund. Wiedziała, że nie kupił ani jednego kondoma w życiu.

- Te dziewczyny są takie same jak my wszyscy: myślą, że kiedy coś kosztuje więcej, jest lepsze. Szarpną się na te trzydzieści, czterdzieści centów więcej, jeśli wierzą, że to uchroni je od zapalenia wątroby typu C.

- Nie obawiają się bardziej AIDS?

- AIDS można ukryć. Od zapalenia wątroby żółknie skóra. Aleesha nie była głupia. Starła się jak najlepiej zabezpieczyć.

Angie spuściła wzrok na dłonie, jakby sprawdzała lakier na paznokciach. Rzadko pozwalała sobie na osobisty stosunek do pracy - inaczej skończyłaby na ulicy jako alkoholiczka - ale Will wiedział, że ta sprawa nie daje jej spokoju. Choć nie cierpiała roboty w obyczajówce, czuła swego rodzaju więź z prostytutkami. Jak większość z nich wiedziała, co to jest przemoc i molestowanie, porzucenie. Równie dobrze mogła być jedną z nich.

- Lubiłam ją - odezwała się wreszcie. - Monroe. W zeszłym roku zapuszkowaliśmy ją chyba z sześć razy z rzędu. Miła dziewczyna. Wpakowała się w to ze zwykłych powodów, nie wiedziała, jak się wywikłać. Starłam się załatwić jej leczenie, ale sam wiesz, jak to jest. Nie można kogoś zmusić, jeśli sam nie chce.

Szukał w myślach czegoś miłego, co mógłby powiedzieć o zabitej dziwce, wiedząc, że to jakoś Angie pomoże.

- Była ładna - rzucił.

- Tak, była. - Wstała i podeszła do Willa. Znieruchomiał, głupio spodziewając się, że coś zrobi, ale ona tylko wzięła kilka kostek sera i wróciła na miejsce. - Dziś rano pytałam o nią Michaela. Nawet jej nie pamiętał.

- Czy Monroe była jedną z prostytutek, z którymi się zabawiał?

- Zabij mnie, nie wiem - przyznała Angie. - To w ogóle były bardziej takie słuchy chodzące wśród panienek: „Jest taki glina, który pomoże ci się wyślizgać za małe bara-bara”. Coś w tym rodzaju. Nie chciałam za bardzo w to wierzyć, ale jedna z nich powiedziała mi, jak gość się nazywa. Ormewood to raczej mało popularne nazwisko, nie? Spytałam go o to, nie zaprzeczył, więc powiedziałam: „Słuchaj, albo się przenosisz, albo idę z tym do porucznika”. Wybrał bramkę numer jeden.

Will się odwrócił, zakładając ręce na piersi.

- Jak byś go scharakteryzowała?

- Niezły glina. - Ugryzła kawałek sera. - Jeśli to ma w tym wypadku jeszcze jakieś znaczenie. - Żuła ser, zastanawiając się nad pytaniem. - Prawdę mówiąc, nigdy za nim nie przepadałam. Zawsze się koło mnie kręcił, proponował, że pokaże mi, co i jak, wprowadzi w robotę. Kazałam mu się odpierdolić.

- Na swój zwykły, wytworny sposób. - Rzucił Betty trochę sera.

- Nie powinienes jej tym karmić. Dostanie zatwardzenia i będziesz żałował - ostrzegła Angie.

- Wszystko z umiarem.

- Tylko nie wyplakuj mi się w rękaw, gdy ten szcurek zacznie ci wypierdywać Copacabanę. Will rzucił Betty kolejny kawałek sera, choć zwykle nie pozwalał jej wieczorem na więcej niż jeden.

- Opowiedz mi więcej o Ormewoodzie.

Angie wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo mnie irytował, dopóki nie odszedł. Zawsze zachowywał się jak ura bura szef podwóra. Jest weteranem wojennym...

- Mówił mi.

- Tak, lubi mieć pewność, że ludzie to wiedzą. - Popatrzyła podejrzliwie na Betty, jakby pies już zaczął fermentować. - Nawet po przeniesieniu przyłąził do nas jak do siebie. Pojawiał się przynajmniej raz w tygodniu. Węszył, myszkował i opowiadał o tym, jakie to wielkie sprawy prowadzi, jakby od samej roboty w dochodzeniówce kutas mu urósł.

- Ma całkiem niezłą wykrywalność.

- Lepszą od twojej?

- Myślisz, że węszył, bo się denerwował, czy przypadkiem nie zmieniłaś zdania w kwestii jego ponadprogramowej aktywności?

- Sądzę, że po prostu nie mógł się pogodzić z faktem, że przytarłam mu uszu. - Posłała mu ten słodki uśmiech, który oznaczał, że chce coś od niego wyłudzić. - No, kochanie. Masz wyższą wykrywalność od niego, prawda?

- Porozmawiajmy o Ormewoodzie.

Udawała, że się dąsa, ale nie wytrzymała długo.

- Już ci mówiłam, Michael lubi sobie porządzić.

- Mnie się wydał w porządku.

- Faceci tego nie widzą, ale to w nim siedzi, tuż pod skórą. Wierz mi, zresztą spytaj pierwszej z brzegu kobiety, już po dziesięciu minutach z nim spędzonych powie ci, że gość ma obsesję na punkcie kontroli.

- Zgoda. - To nie była rzadka cecha u policjantów i Will często się z czymś takim stykał. - Zauważyłem, że istotnie jest dość ambitny i lubi rywalizację.

- Oględnie mówiąc - powiedziała. - Przeniósł się, ale nie potrafił zapomnieć, że zapędziłam go w kozi róg. Przychodził zawsze na koniec mojej zmiany, tuż po tym jak skończyłam pisać raporty.

- Czytał je?

- Urwałabym mu jaja, gdyby tylko spróbował. - Wrzuciła do ust kolejną kostkę sera. - Ale jestem pewna, że jeślibym go zostawiła samego choć na dwie sekundy, przewróciłby mi biurko do góry nogami.

- Jest porywczy?

- Nie bardziej niż my wszyscy.

Will zastanawiał się, co ma na myśli, ale nie rozwijał tematu.

- Chyba chce mieć po prostu pewność, że go nie zapuszczujesz.

- Niewykluczone. - Przeżuwała dalej w milczeniu.

Przyglądał się jej przez chwilę, usiłując zgadnąć, co ukrywa. Zawsze starała się trzymać asa w rękawie. Nawet jeszcze teraz, po tylu spędzonych razem latach, Will nie wiedział, czy robi to celowo czy w ramach jakiegoś mechanizmu obronnego. Bardzo często kłamała, ale kryło się za tym coś, co interpretował jako rodzaj instynktu samozachowawczego. Był ostatnią osobą na ziemi, która mogła ją za to winić.

- Ormewood wydawał się bardzo przejęty tą dziewczyną z sąsiedztwa - powiedział.

- Naprawdę lubi dzieci - wyjaśniła. - Jego syn jest upośledzony, chociaż niewymownie słodki, kiedyś go poznałam. Od żony wieje chłodem, ale myślę, że ode mnie też by wiało, gdybym musiała walić się co wieczór z tym kutasem. Spotkałam ich kiedyś na przyjęciu z okazji przejścia jego partnera na emeryturę. Ken Wozniak, czarny, ale jeszcze jeden z polaczkowa. Pomyślałam sobie, że trzeba wspierać rodaków.

- To ładnie z twojej strony.

- Nie sądzę, żeby jeszcze długo zabawił na tym padole. Dostał udaru w pracy. Połowa ciała poszła się gwizdać.

- Ma jakąś rodzinę?

- Nie.

Przez chwilę oboje milczeli. Angie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jednak się rozmyśliła. Will wiedział, że nie należy naciskać, i rzeczywiście w końcu sama się odezwała.

- Problem z Michaelem polega na tym, że nie jest sobą.

- To znaczy?

- Zawsze próbuje się dostosować, ale w jego wypadku to się nie sprawdza.

Will pomyślał, że to samo można by powiedzieć i o nim.

- A co w tym złego?

Milczała przez chwilę, zastanawiając się, jak to wyjaśnić.

- Weźmy tego Wozniaka. Nie przyjaźniliśmy się, ale często go widywałam. Kawał chłopa, bandzioch sięga mu dotąd - wyciągnęła rękę dobre kilkanaście centymetrów od brzucha. - Przy tym bawidamek jakich mało. Zawsze skomentuje, co mam na sobie, na przykład rzuca przy bufecie „nóżki palce lizać” albo „piersiątka pierwsza klasa” i tego typu pierdoły, ale to starszy facet, taki misio, więc w jego ustach to brzmi zabawnie i nawet miło, a nie obleśnie.

- Rozumiem - powiedział Will, który tak naprawdę ni w ząb nie pojmował, gdzie przebiega granica, ale wiedział, że najwyraźniej ten człowiek jej nie przekroczył.

- Ken ma takie swoje powiedzonka - ciągnęła. - Na przykład gdy wręcza komuś spoza firmy wizytówkę, rzuca: „coś do podtarcia tyłka”, i to działa na ludzi rozbijająco, śmieją się i zatrzymują kartonik, rozumiesz? Niby jest cholernym mendą, ale oni wiedzą, że to swój człowiek.

- Tak - zgodził się Will. Policjanci uciekali się do najróżniejszych sztuczek, żeby dotrzeć do potencjalnych świadków. Każdy miał własny arsenał, lecz wszyscy musieli czynić cuda, jeśli chcieli coś zdziałać na ulicy.

- A teraz Ken jest w szpitalu, tak? Przykuty do wyrka. I, szczerze mówiąc, pewnie się z tego nie wygrzebie.

- To przykre.

- Tak. - Zbyła jego słowa machnięciem ręki. - Rzecz w tym, że kilka tygodni później stoję z panienkami na rewirze i nagle wpada Michael. Dziewczyny z miejsca orientują się, że to gliniarz, no bo... jest, kurwa, gliniarzem. Wyczuwają takie sprawy. - Usiadła na krześle i Will widział, że wkurza się na samo wspomnienie. - A Michael zaczyna się przechadzać wte i wewte, jak właściciel kurnika. Puszczą do mnie pieprzone oko, że niby to, co robi, jest zabawne, a nie głupie, i grozi moim zdemaskowaniem. Wypytuje dziewczyny, czy przypadkiem nie kręcił się tu taki to a taki facet. Mówi im, że to kawał skurwiela i żeby się od niego trzymały z daleka. Potem wręcza swoją wizytówkę i co dodaje?

- Coś do podtarcia tyłka? - domyślił się Will.

- Właśnie - potwierdziła. - Zawsze się tak zachowuje, stara się ze wszystkich sił być równym gościem, chce, żeby go lubili, ale sęk w tym, że nie bardzo wie, jak tego dokonać, więc papuguje innych.

- Jak ci ludzie, którzy rzucają kwestiami z filmów.

- Tak, maleńki - odezwała się doskonałą imitacją Austina Powersa.

Will zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Analizował krótki czas, jaki spędził z Michaelem Ormewoodem, zanim znaleźli martwą nastolatkę na jego podwórku. Angie najwyraźniej wiele myślała o osobowości detektywa, jednak Will niezupełnie zgadzał się z jej konkluzjami.

- Nie rzuciło mi się to w oczy.

- Nie. Ale sam uważasz, że jest w nim coś dziwnego. Twój radar to wyłapał. Jej słowa odnosiły się do sedna ich związku. Dwadzieścia pięć lat temu poznali się w stanowym domu dziecka. Will miał osiem lat, Angie jedenaście. Oboje od małego doskonalili intuicję, obojgu życie boleśnie pokazało, że należy zawierzyć szóstemu zmysłowi, kiedy mówi, że fakt, iż ktoś nosi biały kapelusz, nie czyni go od razu dobrym człowiekiem.

- Tak - przyznał Will. - Nie mogłem sobie zbudować spójnego obrazu. Zakładałem, że dlatego, że był poirytowany z mojego powodu. Nikt nie lubi być zmuszany do współpracy.

- To nie tylko o to chodzi - upierała się. - I wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Może. - Podniósł Betty, żeby podrapać ją za uszami.

Angie wstała.

- Chcę, żebyś sprawdził dla mnie jedno nazwisko.

- Jakie nazwisko?

Poszła do dużego pokoju po torebkę. Will udał się za nią, tuląc Betty do piersi. Małe ciało suczki było tak delikatne, że miał wrażenie, jakby trzymał ptaka.

- Proszę. - Angie podała mu różową samoprzylepną karteczkę pokrytą drukowanym, starannie wykaligrafowanym napisem biegnącym przez środek. - Powiedział, że jest w coś zamieszany. Kiepsko to brzmiało, ale miałam wrażenie... - Urwała i wzruszyła ramionami. - Myślę, że może mieć kłopoty.

Will nie wziął karteczki. Usiłował nadać swojemu głosowi żartobliwy ton.

- Odkąd to zajmujesz się zbawianiem ludzi?
- Chcesz mi w tym pomóc czy wolisz stać tu ze ściśniętym tyłkiem, pieszcząc pieska?
- A nie mogę robić obu rzeczy naraz?

Wygięła usta w uśmiechu.

- W rejestrze zwolnień warunkowych figurują tylko podstawowe informacje, a oryginalne akta są zbyt stare, żeby były dostępne w formie elektronicznej. Myślisz, że uda ci się poczarować, jak przystało na agenta, kogo trzeba i ściągnąć mi kopię z archiwum? Dotarło do niego, że to był główny cel jej wizyty, i starał się ukryć rozczarowanie. Wziął kartkę i zerknął na litery, ale zobaczył tylko niewyraźną plamę. Zawsze miał problem z czytaniem, zwłaszcza kiedy był zdenerwowany czy sfrustrowany.

- Will?

- To może chwilę potrwać, jeśli akta zostały przeniesione do archiwum - ostrzegł.

- Nie ma pośpiechu. Pewnie i tak go już nigdy nie zobaczę.

Poczuł ulgę, co oznaczało, że wcześniej czuł zazdrość.

Otwierała już drzwi.

- Ma dwa el. Odczytasz?

- Co?

Sprawiła wrażenie zirytowanej, jakby jej nie słuchał.

- Nazwisko, Will. To na karteczce. Shelley przez dwa el.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Angie mieszkała niecałe osiem kilometrów od domu Willa. Pokonując znajome ulice, oddała się własnym myślom. Wyglądał tak samo jak zawsze, no, może był ciut chudszy i Bóg jeden wie, co zrobił z włosami. Wcześniej to Angie zawsze go strzygła. Przypuszczała, że teraz kupił elektryczną golarkę, żeby nie chodzić do fryzjera, który mógłby zobaczyć bliznę z tyłu głowy i pytać, kto próbował go zabić.

Wiedziała, że przez ostatnie dwa lata mieszkał w górach na północy stanu. Pewnie nie wychodził zbyt często, gdy tam przebywał. Zawsze pozwalał, żeby dysleksja ograniczała mu życie. Nie lubił chodzić do nowych restauracji, bo nie rozumiał menu. Zakupy w sklepie spożywczym robił, posiłkując się znajomymi kolorami etykiet albo zdjęciami na opakowaniu. Prędzej umarłby z głodu, niż poprosił o pomoc. Angie świetnie pamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy poszedł sam na zakupy. Wrócił z puszką tłuszczu do pieczenia, przekonany, że wizerunek pieczonego kurczaka na naklejce symbolizuje zawartość.

Skręcając na podjazd, usiłowała sobie przypomnieć, ile to już razy rozstawała się z Willem Trentem. Liczyła nazwiska mężczyzn, z którymi odchodziła. Najpierw pojawił się George, jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych. Był wielbicielem punk rocka i kryjącym się z nałogiem heroinistą. Numer dwa i osiem to dwaj Rogerzy, różni mężczyźni, ale z takimi

samymi cholernymi wadami. Jak często podkreślał Will, Angie pociągali tylko faceci, którzy mogli ją zranić.

Mark był numerem sześć. Szpenio. Pięć miesięcy zajęło jej ustalenie, że debetuje jej karty kredytowe. Idiota był w takim szoku, kiedy zadzwoniła do kumpla z wydziału oszustw i kazała go aresztować, że jeszcze teraz śmiała się na wspomnienie jego głupiej miny. Paul, Nick, Danny, Julian, Darren... był nawet jakiś Horatio, choć tylko przez tydzień. Żaden z tych związków nie trwał jednak długo i zawsze prędzej czy później lądowała z powrotem u Willa, znowu niszcząc mu życie, dopóki nie napatoczył się kolejny mężczyzna, który mógł ją od niego zabrać.

Zaparkowała samochód na podjeździe. Silnik stukał nawet, kiedy już wyciągnęła kluczyki ze stacyjki i po raz tysięczny pomyślała, że powinna biedaka oddać do naprawy. Ciekło z niego jak ze starszej pani, tłumik wisiał na włosku, nie potrafiła się jednak przemóc i pozwolić, żeby jakiś obcy grzebał w silniku, który Will własnoręcznie remontował. Przeczytanie porannej gazety zajmowało mu średnio jakieś sześć godzin, ale rozebrać i złożyć z powrotem silnik potrafił w okamgnieniu. Kieszonkowy zegarek czy pianino - bez różnicy, umiał naprawić wszystko, co miało ruchome części. Na prowadzone sprawy patrzył podobnie: składał do kupy części, z których zbudowano dane przestępstwo, aż powstawał z tego sensowny, działający mechanizm - i był jednym z najlepszych agentów w biurze. Gdyby tylko potrafił zaprząć ten ostry jak brzytwa umysł do poukładania własnego życia.

Światło przed domem się zapaliło, kiedy podeszła do tylnych drzwi i wsunęła klucz do zamka. Rob. Jak mogła zapomnieć o Robie, z włosami jak marchewka, słodkim uśmiechem i uzależnieniem od hazardu? To dawało razem jedenastu mężczyzn: jedenaście razy porzucała Willa i jedenaście razy przyjmował ją z powrotem.

Cholera, a ten rachunek nie obejmował nawet kobiet.

Włączyła światła w kuchni i wystukała kod na klawiaturze alarmu. Will naprawdę ją kochał. Tego była pewna. Nawet kiedy się kłócili, uważali, żeby nie posunąć się za daleko, nie powiedzieć jednego słowa za dużo, które zraniłoby za bardzo i wszystko skończyło.

Wiedzieli o sobie wszystko - przynajmniej wszystko, co się liczyło. Gdyby ktoś przystawił jej pistolet do skroni i kazał wyjaśnić, dlaczego zawsze w końcu się schodzą, umarłaby, nie znając odpowiedzi. Will, niezbyt skłonny do introspekcji, najpewniej podzieliłby jej los.

Wyjęła butelkę wody z lodówki i poszła do pokoju, starając się przegonić go z głowy - bez powodzenia. Sprawdziła, czy są jakieś wiadomości na sekretarce, i zaczęła się rozbierać. Z jednej strony podświadomie liczyła, że Will zadzwoni, z drugiej wiedziała, że tego nie zrobi.

Taki telefon musiałby być spontaniczny, a Will nie był spontaniczny. Lubił rutynę.

Impulsywność była dobra na ekranie.

Puściła prysznic, obserwując swoje odbicie w lustrze, kiedy zdejmowała ubranie. Nie potrafiła patrzeć na swoje ciało i nie myśleć o Willu. Doświadczyła niemało przemocy ze strony rozlicznych rodziców zastępczych i przybranych, ale wszystkie jej blizny były wewnątrz, ukryte. W przeciwieństwie do Willa, nie miała szramy na twarzy, sznytów od

noża i śladów po dogaszanych papierosach, zrobionych, kiedy zgraja pijanych zwyrodnialców postanowiła wyładować swój gniew na bezbronnym dziecku. Nie miała poszarpanej blizny na nodze, której otwarte złamanie wymagało sześciu operacji. Nie miała także długiej różowej linii na przedramieniu, gdzie skóra została rozcięta nożem ostrym jak brzytwa, powodując masywny krwotok i niemal śmierć.

Poznali się w tak zwanym domu dziecka w Atlancie, czyli po prostu sierocińcu. Władze starały się umieszczać dzieci w rodzinach zastępczych, skąd jednak te z reguły bardzo szybko wracały z nowymi siniakami i nowymi opowieściami. Dom prowadziła pani Flannery z pomocą trzech asystentek, które zajmowały się blisko setką maluchów. Wbrew wizji jak z Dickensa, jaką ów fakt nasuwał, personel domu opiekował się podopiecznymi z prawdziwym poświęceniem, zważywszy na to, jak bardzo był nieliczny i jak nisko opłacany. Angie nigdy nie słyszała, żeby doszło tam do choćby jednego przypadku znęcania się czy przemocy, i nieliczne dobre wspomnienia z dzieciństwa, jakie miała, dotyczyły właśnie okresu, który spędziła pod skrzydłami pani Flannery. Kobieta nie była wprawdzie ani pełna matczynych uczuć, ani choćby specjalnie opiekuńcza, ale dbała, żeby dzieci miały czystą pościel na łóżkach, posiłek na stole i przyzwoite ubranie na grzbiecie. Dla większości z nich była to jedyna stabilizacja, jakiej zaznały.

Angie zawsze opowiadała ludziom, że jej rodzice umarli, kiedy była mała, ale prawda wyglądała tak, że nie miała pojęcia, jak się nazywał jej ojciec, matka zaś, Deidre Polaski, była teraz warzywem wegetującym w domu opieki. Lubiła sobie przyspidować i kolejne

przedawkowanie sprawiło, że zapadła w nieodwracalną śpiączkę. Angie miała jedenaście lat, kiedy znalazła ją w łazience, pochyloną nad sedesem z igłą jeszcze w ramieniu. Przez dwa dni warowała przy matce, nie jedząc, prawie nie śpiąc. Drugiego dnia jakoś koło północy pojawił się jeden z dostawców matki. Zgwałcił Angie, zanim wezwał pogotowie, żeby zabrało zwłoki.

Weszła teraz pod prysznic, czekając, aż lejąca się na nią woda zmyje choć część brudu tego dnia.

Rusty.

Tak miał na imię.

- Zabiję cię, jeśli piśniesz komuś słówko - zagroził z ręką zaciśniętą tak mocno na jej gardle, że z trudem oddychała. Spodnie ciągle miał spuszczone do kolan i pamiętała, że popatrzyła na jego zwiotczały penis, ciemne, kręcone włosy porastające uda. - Dorwę cię i zabiję.

Nie był pierwszy. W owym czasie Angie była już seksualnie doświadczona dzięki niekończącemu się pochodowi przyjaciół matki. Niektórzy z nich zachowywali się w porządku, inni byli okrutnymi, zwyrodniałymi bydlakami, szprycującymi matkę tylko po to, żeby dostać się do córki. Z ręką na sercu, kiedy Angie znalazła się w domu dziecka u pani Flannery, poczuła ulgę.

Historia Willa nie była taka sama, ale zbliżona. Jego ciało było atlasem bólu: czy patrzyło się na długie, cienkie blizny na plecach pozostawione przez pejcz czy pobrużdżony skrawek

skóry na udzie, gdzie zrobiono przeszczep, żeby zamknąć rany od oparzeń prądem. Prawą rękę miał roztrzaskaną dwa razy, lewą nogę złamaną w trzech miejscach. Bito go w twarz tak mocno i tyle razy, że górna warga rozeszła się jak skórka od banana. Za każdym razem kiedy Angie się z nim całowała, czuła bliznę na ustach i przypominała sobie, przez co przeszedł.

Oprócz Willa. On nigdy nie stracił nadziei. W dzień odwiedzin stawał przed lustrem, starannie przeczesywał włosy, wygładzał opadający na czoło kosmyk, starając się wyglądać jak dziecko, które chciałoby się zabrać ze sobą do domu. Miała ochotę mu dowalić, potrząsnąć nim i wyjaśnić, że nigdy nie zostanie adoptowany, że nikt go nie zechce. Kiedyś nawet zaczęła, ale coś w wyrazie jego twarzy, nadzieja pomieszana z oczekiwaniem zawodu, ją powstrzymało. Zamiast go walnąć, poprowadziła z powrotem do lustra i pomogła uczesać włosy.

Angie wyłączyła prysznic i owinęła się ręcznikiem. Uśmiechnęła się na wspomnienie dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Willa w świetlicy. Miał osiem lat, kręcone blond włosy i małe usta w kształcie serca. Zawsze trzymał nos w książce. Na początku myślała, że jest kujonem, dopiero później zauważyła, że gapi się na litery, usiłując pojąć ich sens. Jak na ironię, uwielbiał słowa, kochał książki i baśnie, i w ogóle wszystko, co pozwalało mu się oderwać od otoczenia. W rzadkiej chwili szczerości powiedział jej kiedyś, że wizyta w bibliotece to dla niego jak siedzenie za stołem suto zastawionym ulubionymi potrawami bez możliwości skosztowania którejkolwiek. I nienawidził się za to.

Nawet jeszcze teraz uważał dysleksję za swoją osobistą porażkę. Mimo zachęt, a nawet błagań Angie, nie chciał poszukać profesjonalnej pomocy. Kiedy się poznali, opanował już całą masę sztuczek i sposobów na ukrycie problemu i nauczyciele mieli go co najwyżej za mało bystrego. W obecnej pracy sytuacja wyglądała tak samo. Korzystał z kolorowych teczek, by móc rozpoznać akta danej sprawy na pierwszy rzut oka i różnych typów papieru, których tekstura pozwalała na łatwą identyfikację treści.

W szkole to ona pisała mu prace semestralne, notując pod dyktando w wypadku tematów, które jej nie interesowały. To ona musiała noc w noc słuchać magnetofonu, na którym odtwarzał książki, ucząc się na pamięć całych fragmentów, żeby uczestniczyć w zajęciach następnego dnia. Przygotowania do matury kosztowały go dziesięć razy więcej wysiłku niż resztę uczniów, a i tak zdał tylko cudem. Potem poszedł do college'u.

Angie nigdy nie potrafiła pojąć, dlaczego tak bardzo się starał. Przy swoim wzroście i urodzie mógł spokojnie stać się jednym z tych pożeraczy damskich serc, z którymi zawsze uciekała. Tymczasem on, cichy i nieśmiały, był typem chłopaka, który zakochuje się do grobowej deski w pierwszej dziewczynie, która da mu dupy. Choć akurat w Angie Will nie był zakochany - kochał ją, bez dwóch zdań, ale bycie zakochanym a kochanie kogoś to dwie różne sprawy. Pragnął Angie z powodu jej swojskości na tej samej zasadzie, na jakiej pragnął chodzić do tych samych restauracji i kupować te same wiktuały. Stanowiła coś znanego i pewnego. Ich związek bardziej przypominał więź między nadopiekuńczym bratem i siostrą, tyle że dodatkowo jeszcze ze sobą przypadkiem sypiali.

Co nie znaczy, że seks między nimi był kiedykolwiek łatwą sprawą. Bóg jeden wiedział, że dobrze go wyposażył - zanim Angie zaczęła brać tabletki antykoncepcyjne, jej krążek dopochwowy miał rozmiar talerza obiadowego - ale posiadanie dużego młotka nie oznacza jeszcze, że się wie, jak trafić nim w gwóźdź za każdym razem. Od pierwszego niezręcznego razu w kantorku woźnej na piętrze w sierocińcu cofnęli się w rozwoju i teraz, kiedy się kochali, przypominało to bardziej zabawy niewydarzonych dzieciaków ukrywających się przed rodzicami niż seks dwojga dorosłych ludzi. Zawsze mieli zgaszone światło i większość ubrań na sobie, jakby miłość fizyczna była jakimś wstydliwym sekretem, który musieli dzielić. Tak naprawdę widok trzyczęściowego garnituru, który Will miał dziś na sobie, nie powinien jej ani trochę zdziwić. Im więcej materiału go przykrywało, tym lepiej się czuł. To był jakiś kosmiczny żart, bo Angie wiedziała, że pod tym ubraniem kryje się piękne ciało. Wiele razy dotykała jego umięśnionych pleców, obejmowała dłońmi krągły tyłek, stopami przykrywała silne łydki, unosząc się, żeby poczuć go w sobie głębiej. Mimo to wstydził się swego ciała, jakby widoczne na nim blizny świadczyły źle o nim samym, a nie ludziach, którzy je pozostawili. Co najmniej od dwunastu lat nie widziała go zupełnie nagiego. O to właśnie po raz ostatni się pokłócili. Will opierał się o blat szafki, a Angie siedziała przy stole, drąc się.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nie mam bladego pojęcia, jak wyglądasz?! - wrzeszczała. Próbował udawać, że nie wie, o co chodzi.
- Widujesz mnie codziennie.

Walnęła pięścią w stół i podskoczył. Nie cierpiał nagłych hałasów, były dla niego zapowiedzią, że zaraz może zostać zraniony, mimo że teraz potrafił się już obronić. W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko głośnie tykanie zegara. Wreszcie pokiwał kilka razy głową, potem powiedział „Okay” i zaczął odpinać guziki koszuli. Miał na sobie naturalnie podkoszulek, i kiedy zaczął go ściągać, zrobiła krok do przodu i położyła dłonie na jego dłoniach.

To ona. Ona nie potrafiła na niego spojrzeć, nie mogła znieść widoku śladów tego, przez co przeszedł. Te szramy nie były tylko jego bliznami, stanowiły pamiątki po dzieciństwie ich obojga: były symbolem mężczyzn, którzy ją molestowali, matki, która wolała igłę od córki. Angie bez problemu gziła się naga na tylnym siedzeniu samochodu z zupełnie obcym mężczyzną, ale nie potrafiła się zmusić, żeby spojrzeć na ciało tego, którego kochała.

- Nie - powiedziała. - Nie dam rady już dłużej.

- Kim jest ten facet? - spytał. Zawsze był jakiś facet.

Następnego dnia zadzwoniła do przełożonej Willa Amandy Wagner i opowiedziała jej o dyktafonie, który trzymał w kieszeni, żeby nagrywać ich rozmowy.

- A ja myślałam, że się przyjaźnicie - zdziwiła się Amanda.

Angie rzuciła coś bezdusznego w odpowiedzi, ale w głębi duszy wiedziała, że tak należy postąpić, dla dobra Willa. Jediną jego szansą na prawdziwe życie, na szczęście, było rozstanie z nią. Mimo to wybuchnęła płaczem, gdy tylko odłożyła słuchawkę. Może on miał

się dobrze w swojej górskiej enklawie, ale ona tęskniła za nim jak diabli. Prawda wyglądała tak, że tęskniła jak głupia podfruwajka.

A teraz ta jędza przeniosła go z powrotem do Atlanty. Twierdziła, że jest za dobry, żeby marnować się w górach. Poza tym zbyt go lubiła i chciała mieć blisko siebie. Na dobrą sprawę Amanda trochę mu matkowała. Udawali, że się nie znoszą, jak dwa koty mierzące się wzrokiem i gotujące do walki, ale Angie wiedziała, że na swój zboczony, dysfunkcyjny sposób, stanowią zgrany zespół.

Trzeba przyznać, że zadzwoniła przez grzeczność do Angie, żeby ją poinformować o przeniesieniu Willa. „Twój chłopak wrócił”. Angie dokończyła piosenkę, jak zawsze bystra „Ej-la, hej-la”.

Choć wiedziała już od tygodni, że nowy gabinet Willa mieści się w ich budynku, i była mentalnie przygotowana na możliwość nagłego spotkania, poczuła się niemiło zaskoczona, kiedy dziś rano ujrzała go wysiadającego z windy. Zobaczenie go w obecności tego kutasa Michaela Ormewooda było jak cios w żołądek. Większość dnia upłynęła jej na wymyślaniu pretekstu, żeby go odwiedzić. Wiedziała, że po pracy pójdzie prosto do domu. Nie chodził na randki i nie licząc loda, którego zrobiła mu w bidulu jeszcze jedna mała puszczałka, najpewniej nigdy nie był z inną kobietą.

Dzień mijał, a ona tak bardzo pragnęła się z nim zobaczyć, że było jej niemal niedobrze. Po aresztowaniu kilku klientów, którzy mieli pecha wybrać sobie z rządka panienek stojących przed sklepem monopolowym akurat „Robin”, Angie rąbnęła pracującemu obok pedziowi

bloczek z różowymi karteczkami, wiedząc, że jaskrawe tło ułatwia Willowi odcyfrowanie liter. Napisała starannie drukowanym pismem nazwisko Johna Shelleya i pojechała prosto do Willa, nie dając sobie czasu na dłuższe deliberacje i zmianę decyzji. Potrafiła bezbłędnie odczytać każdy wyraz jego twarzy i wiedziała dokładnie, co myślał, kiedy wręczyła mu karteczkę: „Więc to jest ten facet, następny, dla którego mnie zostawisz”.

Starła parę z lustra w łazience, zobaczyła własne odbicie i nie spodobał jej się ten widok. John mówił, że jest ładna, ale patrzył tylko na to, co na zewnątrz. W środku pod spodem kryła się jędza, żalosna stara suka, która sprowadzała nieszczęście na każdego, z kim była. Will był zazdrosny o Johna Shelleya, ale nie mógłby się bardziej mylić. Było tylko kwestią czasu, kiedy się domyśli prawdy. Nie potrafił czytać liter, ale te sygnały i znaki odcyfrowywał bezbłędnie. Tym, czego Angie żałowała najbardziej w życiu, nie było tych jedenastu mężczyzn ani pogrążona w śpiączce matka, ani nawet piekło, które regularnie fundowała Willowi. Najbardziej żałowała tego, że spała z tym dupkiem Michaeliem Ormewoodem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

7 LUTEGO 2006 ROKU GODZINA 7.36

Will popatrzył na telefon komórkowy, by sprawdzić godzinę na wyświetlaczu. Zawsze uważał spóźnianie się za niegrzeczne. Sygnalizowało czekającej osobie, że jej czas jest mniej cenny. Amanda Wagner miała tego pełną świadomość. Jeszcze nigdy nie przysłała punktualnie na żadne spotkanie.

- Podać ci coś? - spytała Caroline.

Sekretarka Amandy była ładną młodą dziewczyną, bardzo kompetentną i najwyraźniej nieczułą na ostry język szefowej. Z tego, co Will wiedział, była też jedyną kobietą, która pracowała z Amandą Wagner dłużej niż godzinę.

- Nie, dziękuję, ale... - Czekala, aż Will wyciągnie z kieszeni różową samoprzylepną karteczkę. - Mogłabyś wyszperać dla mnie akta tego człowieka? Po cichu, jeśli to nie problem?

Pojęła w lot, że chodzi mu o zatarcie śladów przed Amandą. Oczy jej rozbłysły na taką myśl.

- Na kiedy to potrzebujesz?

- Raczej wcześniej niż później.

Zasalutowała mu i wróciła do biurka. Will popatrzył na puste wejście. Chciał zawołać Caroline i powiedzieć jej, żeby zapomniała o sprawie. Angie miała rację, jeśli idzie o szósty zmysł, i choć Will nigdy nie spotkał Johna Shelleya, już sam widok jego nazwiska budził w nim niepokój. Może po prostu jest zazdrosny. Albo zmęczony. Niestety, Angie nie myliła się też w innej kwestii: szkodliwości karmienia psa zbyt dużą ilością sera. W bolesny sposób się

przekonał, że jest niemal niemożnością zasnąć z cierpiącym na wzdęcia chihuahua śpiącym na poduszce obok.

Will siedział na jednym z dwóch krzeseł naprzeciwko biurka Amandy. Podobnie jak w życiu jego użytkownicy, wszystko na blacie było uporządkowane. Sterty dokumentów leżały starannie posegregowane w tackach odbiorczych i nadawczych. Wiadomości telefoniczne przyklejono w równym rzędku do podkładki na biurko.

Ściany gabinetu zdobiły oprawione w ramki wycinki z gazet dokumentujące dokonania Amandy: burmistrz Atlanty przypinający jej odznaczenie, Bill Clinton ściskający jej dłoń. Jakiś lokalny komendant z południowej Georgii wzięty jako zakładnik, którego uratowała z rąk porywaczy. Wisiały tam także różne dyplomy za wzorową służbę, a także półka zastawiona jej trofeami strzeleckimi.

Po dwudziestu latach zajmowania się w GBI taktycznymi negocjacjami Amanda Wagner zapragnęła zmiany. Góra dawała jej wolną rękę. W typowy dla siebie sposób wbiła sobie do głowy, że chce rewolucji, i nie minął rok, a kierowała już nową jednostką: Kryminalno-Uderzeniowym Podzespołem Antyterrorystycznym. Trudno o lepszy akronim dla oddziału, który stworzyła.

Powołała doń dziesięciu ludzi, z których większość przypominała Willa: młodzi agenci z pewnym doświadczeniem w branży i problemami w kontaktach z innymi. Przełożeni uważali ich za trudnych, ale w aktach nie było nic, co zasługiwałoby na oficjalne ostrzeżenie, nie mówiąc już o zwolnieniu. Dobrzy funkcjonariusze, próbujący jako dorośli naprawić krzywdy,

wobec których byli bezradni jako dzieci. Amanda potrafiła bezbłędnie rozpoznać ludzi pokiereszowanych przez los, takich, których przeszłość sprawiała, że padali łatwo ofiarą jej pseudomatkowania. Will wyobrażał sobie, jak przedstawiała listę starannie wyselekcjonowanych kandydatów Susan Richardson, swojej szefowej w centrali. Ta zapewne spojrzała na wykaz nazwisk tak, jak się patrzy na kota przynoszącego upolowanego ptaka. „Super, dziękuję bardzo, wybaczyć, że rzygam”.

Will poruszył się na krześle, i jeszcze raz sprawdził godzinę na komórce. Nosił zegarek na nadgarstku, ale tylko dla niepoznaki, żeby łatwiej odróżniać lewą i prawą stronę.

Dorastając, przyswoił sobie cały arsenał sztuczek służących ukryciu jego problemu. Angie swego czasu bez przerwy suszyła mu z tego powodu głowę, mówiąc, że nie ma się czego wstydzić. Will się nie wstydził. Po prostu nie chciał odstawać od innych na jeszcze jeden sposób. A już na bank nie chciał dawać Amandzie Wagner więcej amunicji. Odkąd ją znał, usiłowała go kontrolować, i ta akurat informacja byłaby równoznaczna z nadstawieniem gardła głodnemu wilkowi.

Popatrzył przez okno, obserwując ptaki szybujące z wiatrem. Amanda pracowała w biurowcu Marietta, kiedy Will został zesłany do poskramiania amfetaminowych hippisów w górach. Przeniosła się do City Hall East trochę ponad rok temu, do narożnego gabinetu zapewniającego panoramiczny widok na centrum Atlanty. Siedziała tuż przy windzie, co pozwalało jej wściubiać nos we wszystkie sprawy, którymi żył budynek. Caroline zajmowała osobny pokój obok, ale Amanda nigdy nie zamykała drzwi łączących oba pomieszczenia.

Will słyszał teraz, jak sekretarka stuka w klawiaturę komputera. Jeśli miała choć odrobinę szacunku do samej siebie, przygotowywała życiorys.

- Witaj, Will. - Amanda podkradła się do niego, kiedy gapił się przez okno. Mijając go, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Doktor Wagner.

Usiadła za biurkiem i rzuciła „Przepraszam za spóźnienie” w ten sam machinalny i nic nieznaczący sposób, w jaki ludzie bąkają „pardon”, kiedy z kimś się zderzą.

Patrzył, jak sprawdza wiadomości telefoniczne, pokazując mu wierzchołek głowy i starannie ufryzowanych włosów w kolorze soli z pieprzem. Była niską kobietą, przypuszczalnie po pięćdziesiątce. W przeciwieństwie do wzrostu - metr sześćdziesiąt od święta - na pewno siebie jej nie zbywało. Paradowała z butą toreadora. Na serdecznym palcu nosiła obrączkę z brylantem, choć Will wiedział, że nie jest obecnie zamężna. Nie miała dzieci, a może pożarła je, kiedy były małe. Trzymała swoje życie osobiste w sekrecie - luksus, na który nie pozwalała innym. Will myślał o niej w takich samych kategoriach co o swoich nauczycielach, którzy w jego wyobraźni po skończonej pracy wpełzali do jaskiń pod szkołą i zasypiali, śniąc o torturowaniu uczniów następnego dnia. Wyobrażał sobie, jak Amanda szykuje się do pracy rano: goli klatkę piersiową, chowa ogon, wsuwa kopyta w eleganckie czółenka w rozmiarze sześć.

- Chyba powinnam teraz tytułować cię doktorem Trentem? - powiedziała, nie unosząc głowy znad wiadomości.

Will postanowił zapełnić czymś czas podczas górskiego zesłania, wiedząc, że na sto procent Amanda w końcu odwoła go z Epworth i z powrotem weźmie pod swoje skrzydła. Uczelnia korespondencyjna na Florydzie pozwoliła mu pracować online we własnym tempie, a stan uznał stopień z kryminologii mimo jego wątpliwego pochodzenia.

Powiedział jej prawdę:

- Staralem się, żeby moja grupa zaszeregowania była zbyt kosztowna dla twojego budżetu.
- Co ty powiesz.

Popatrzył na szramę na dłoni w miejscu, gdzie postrzeliła go z gwoździarki.

- Ładne pióro - rzucił.

Uniosła brew, prostując się na krześle. Minęła prawie minuta, zanim spytała:

- A gdzie właściwie jest to Two Egg na Florydzie?

Uśmiechnął się z trudem. Wybrał tę szkołę głównie z powodu tej absurdalnej lokalizacji.

- Zdaje się, że gdzieś w pobliżu malowniczej rzeki Withlacoochee.

Ewidentnie nie uwierzyła w ani jedno słowo.

- Naturalnie.

Will milczał, czując się jak oceniany homar w akwarium.

Nasadziła skuwkę na złote pióro wieczne i odłożyła je prostopadle do podkładki na biurko.

- Nie nagrywasz chyba?
- Nie dzisiaj. - Will miał wystarczające trudności z odczytaniem drukowanych dokumentów, ale jego własny charakter pisma nie różnił się niczym od grymołów widocznych na

ścianach przedszkola. Amanda miała skłonność do wydawania długich list zadań. Dla Willa jedynym sposobem na ich wykonanie było nagrywanie szefowej, tak żeby mógł potem we własnym tempie przenieść jej słowa do komputera. Dwa lata temu przyłapała go na gorącym uczynku w trakcie jednego ze spotkań. Nie spodobało jej się, że jest nagrywana bez swojej zgody, i oczywiście założyła, że Will robi to z nikczemnych pobudek. Za nic nie powiedziałaby jej o swoim upośledzeniu, a nawet gdyby, Amanda przeniosłaby go wtedy na biegun północny, zanim zdążyłby założyć rakiety śnieżne.

- Dobrze - powiedziała. - Opowiedz mi o śledztwie.

Will złożył jej raport z niewielkich postępów. Streścił akta spraw trzech dziewczyn, dodał, że uważa, iż dwie są ze sobą powiązane. Powiedział, że przeczytał o zabójstwie Aleeshy Monroe w codziennym raporcie biura śledczego, uwzględniającym wszystkie przestępstwa dokonane na terenie stanu. Zgodnie z procedurą wystąpił z wnioskiem do porucznika Teda Greera o dopuszczenie do śledztwa i został przydzielony do Ormewooda, detektywa prowadzącego. Kiedy relacjonował znalezienie zwłok sąsiadki Michaela, Amanda mu przerwała.

- Język został odgryziony?

- Nie mam jeszcze pewności, w jaki sposób został usunięty - powiedział Will. - Może gdybym wiedział, że spóznisz się dzisiaj rano, mógłbym wykorzystać ten czas na omówienie tej kwestii z koronerem i złożyć ci teraz bardziej szczegółowy raport.

- Przestań biadolić, doktorze. To do ciebie nie pasuje. - Ton był łagodny, ugodowy, ale zgadywał po jej uśmiechu, że zarobił punkt w notesie. Sam fakt, że w ogóle grał w tę grę, oznaczał, że Amanda już była górą.

Wróciła do śledztwa.

- We wcześniejszych przypadkach sprawca nie zabierał języków z miejsca zdarzenia?

- Nie. Język pierwszej dziewczyny nie został całkowicie odgryziony. Druga trzymała swój w dłoni, kiedy ją znaleźliśmy, ale upłynęło zbyt dużo czasu, żeby można było go przyszyć. Język Monroe leżał na schodach. Najprawdopodobniej wypluty. Język Cynthii Barrett zginął z miejsca zdarzenia.

- Przeszukaliście dom Barrettów?

- Chłopcy z DeKalb to zrobili. Z tego, co mówili, wywnioskowałem, że nie natknęli się na nic niezwykłego.

- Wywnioskowałaś? - powtórzyła.

- Nie chciałem nadepnąć im na odcisk.

- Chyba rozsądnie - przyznała.

Hrabstwo DeKalb kontrolowała grupka ludzi, którzy nie znosili, gdy stan - ani nikt w ogóle - wtrącał się w ich sprawy. Sześć lat temu tamtejszy szeryf-elekt Derwin Brown zginął zabity przed własnym domem, kiedy wynosił z samochodu świąteczne sprawunki. Zaledwie trzy dni dzieliły go od zaprzysiężenia, ale Sidney Dorsey, ustępujący szeryf, nie mógł się pogodzić z porażką.

Amanda wyjęła z górnej szuflady biurka teczkę z aktami i otworzyła je na pierwszej stronie.

- Co sądzisz o tym Michaelu Timothy Ormewoodzie?

- Jeszcze nie wyrobiłem sobie zdania - odpowiedział, myśląc, że jeśli Amanda wyciągnęła wcześniej akta osobowe Ormewooda, to wie już więcej niż Will.

Zacząła odczytywać na głos, sunąc palcem po stronie.

- Służył w wojsku. Potem szesnaście lat w policji w Atlancie. Awansował od krawężnika w górę aż do złotej odznaki. W pięćdziesiątym ósmym oskarżony o nadużycie siły. -

Wykonała lekceważący ruch ręką. - Szybko piął się dalej. Narkotyki, nie za długo, pewnie się znudził, obyczajówka i teraz dochodzeniówka. Średnie wykształcenie, bez studiów. -

Zerknęła na Willa. - Nie próbuj machać mu przed oczyma swoim doktoratem z renomowanej Two Egg, doktorze Trent.

- Tak jest.

Odwróciła stronę.

- Odznaczenie za uratowanie życia. Nawet ty masz takie. Rozdają je jak cukierki. -

Zamknęła akta. - Nic specjalnego. Ubiera się spokojnie i nie pcha przed szereg. - Używała tego określenia w stosunku do gliniarzy, którzy robili, co do nich należy, wypatrując emerytury. Nie był to komplement.

- Masz coś jeszcze? - spytał Will świadom, że ma.

Uśmiechnęła się.

- Zadzwoiłam do przyjaciela w Armii. - Amanda wszędzie miała jakichś przyjaciół. Zważywszy na jej charakter, Will się zastanawiał nad naturą tych relacji i czy przez przyjaciela rozumiała kogoś, kogo udawało jej się trzymać pod butem. - W Iraku Ormewood służył w kwatermistrzostwie. Nigdy nie wyszedł poza stopień szeregowego. Will był trochę zaskoczony.

- Naprawdę?

- Został przeniesiony do rezerwy z honorami. Policji w Atlancie nie interesowało, czy nie obchodziło, nic więcej.

Moi ludzie mówią, że został ranny w drugim tygodniu misji, ale nigdy nie ustalono, kto go postrzelił.

- Czyli samookaleczenie?

Wzruszyła ramionami.

- A ty byś nie strzelił sobie w nogę, żeby wydostać się z tego piekła?

Will strzeliłby sobie w nogę, żeby się wydostać z gabinetu Amandy.

- A zatem. - Opadła na oparcie krzesła i złożyła dłonie. - Plan działania?

- Muszę porozmawiać z Ormewoodem. To nie może być przypadek, że coś takiego wydarzyło się na jego podwórku.

- Myślisz, że mógł za bardzo zbliżyć się do sprawcy w śledztwie Monroe?

- Zwłoki Cynthii Barrett były świeże, kiedy przyjechaliśmy, prawdopodobnie leżała tam nie dłużej niż godzinę. Cały ranek spędziłem z Ormewoodem i nie zauważyłem, żebyśmy

poczynili jakieś wielkie kroki w kierunku rozwiązania sprawy, a już na pewno nie przycisnęliśmy nikogo na tyle mocno, żeby wskoczył do samochodu, pojechał do jego domu i okaleczył najbliższą sąsiadkę.

Amanda skinęła głową, żeby kontynuował.

- Rozmawialiśmy z sutenerem Monroe. Nie wydał mi się człowiekiem, który chciałby podcinać gałąź, na której siedzi, likwidować dobre źródło dochodu, ale oczywiście wrócę do niego jeszcze raz dzisiaj.

- I?

- I, tak jak mówiłem, porozmawiam z Ormewoodem, spytam, czy widział lub zrobił coś niezwykłego w noc zabójstwa Monroe.

- Jest dziś w pracy czy wzięł urlop okolicznościowy?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Will. - Ale znajdę go, nieważne gdzie.

Podniosła jedną z karteczek.

- Jakiś Leo Donnelly próbował dostać twoje akta.

- Nie jestem zaskoczony.

- Utajniłam je. Po co ktoś ma grzebać w twoich brudach?

- Ktoś poza tobą - poprawił. Zerknął na zegarek i się podniósł. - Czy to już wszystko, doktor Wagner?

Rozłożyła szeroko dłonie.

- Jak najbardziej, doktorze Trent. Idź i walcz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

GODZINA 8.56

John musiał się pozbyć butów. Nie był pewien, czy zostawił na miejscu zabójstwa odciski podeszew, ale nie chciał ryzykować. Kiedy wrócił do noclegowni, nożem kuchennym zmienił wzór traktorowego bieżnika. Pamiętając o swoim pechu, wsiadł później do autobusu, płacąc gotówką, żeby uniemożliwić wyśledzenie jego ruchów na podstawie biletu, i pojechał do Cobb Parkway aż w Marietcie. Tam chodził przez jakąś godzinę, powłócząc nogami po asfalcie, żeby jeszcze bardziej zedrzeć zelówki.

W centrum handlowym kupił nową parę adidasów - za dwadzieścia sześć dolarów, które ledwie wysupłał - potem wrzucił stare buty do kontenera na śmieci na tyłach podejrzanie wyglądającej chińskiej restauracji. Dolatujące stamtąd zapachy przyprawiły go o burczenie w brzuchu. Dwadzieścia sześć dolarów. Za tę kwotę mógł zjeść sycący posiłek podany na tacy przez kelnerkę, która dolewałaby mu mrożonej herbaty i gawędziła z nim o pogodzie. Żadna herbata na świecie nie była warta powrotu do więzienia.

Boże, był w potwornym stanie. Trząsał się, przypominając sobie, jak trzymał język dziewczyny między kciukiem a palcem wskazującym. Nawet przez lateksową rękawiczkę

czuł jego teksturę, ciepło. Przyłożył dłoń do ust, starając się powstrzymać wymioty. Była taka niewinna, po prostu nastolatka, która okazała się zbyt ciekawska, zbyt szybkonożna. Pocieszała go jedynie myśl o minie Michaela Ormewooda, kiedy pójdzie do garażu po swoje świerszczyki, które trzymał na dnie skrzynki z narzędziami, i odkryje ukochany nóż leżący obok języka nastoletniej ofiary.

- Shelley! - rozdarł się Art.

John klęczał przy jakimś sedanie, zdrapując rozgniecione owady z przedniego zderzaka. Zerwał się i podbiegł do szefa.

- Tak?

- Masz gościa. - Art pokazał głową w kierunku zaplecza. - Tylko odbij kartę.

John zamarł. Gość. Nikt go nie odwiedzał. Nie miał przecież znajomych.

- Ej, ej - wymamrotał Ray-Ray. Od incydentu z dziwką udało im się wypracować chwiejne zawieszenie broni.

- Tak?

- To dziewczyna. - Chciał powiedzieć, że nie policja.

Dziewczyna, pomyślał John skołowany. Jedyłą znaną mu dziewczyną była Robin.

- Dzięki, stary - rzucił Ray-Rayowi.

Ruszył na zaplecze, po drodze upychając koszulę w spodniach. Kiedy odbijał kartę, w lustrze nad zegarem mignęło mu własne odbicie. Pomimo chłodu na dworze czoło oblepiały spocone kosmyki włosów. Jezu, pewnie jeszcze śmierdział.

Otwierając drzwi zaplecza, przebiegł palcami po włosach. Najpierw zarejestrował, że dziewczyna, która tam stoi, to nie Robin, potem, że to w ogóle nie jest dziewczyna. To była kobieta. Joyce.

Poczuł większe skrępowanie, niż gdyby naprawdę odwiedziła go prostytutka, i wstyd z powodu swojego taniego ubrania. Joyce miała na sobie gustowny kostium: żakiet i spodnie od kompletu, którego jak amen w pacierzu nie kupiła w supermarkecie. Słońce uwydatniało kasztanowe pasemka w jej włosach i John się zastanawiał, czy to farba czy zawsze je miała. Pamiętał, jak się krzywiła, kiedy się kłócili, uśmiech na jej ustach, kiedy wykręcała mu rękę, i wyraz szyderstwa, kiedy dawała mu po łapach za ciągnięcie za warkocze. Zupełnie jednak nie pamiętał, jaki miała kolor włosów, gdy byli mali.

Przywitała go pytaniem.

- W co się wplątałeś, John?

- Kiedy zaczęłaś znowu palić?

Zaciągnęła się i rzuciła papierosa na ziemię. Patrzył, jak przydeptuje go czubkiem buta, miażdżąc niedopałek i pewnie żałując, że nie jest to głowa Johna. Wypuściła smużkę dymu.

- Odpowiedz mi na pytanie.

Obejrzał się przez ramię, choć wiedział, że są sami.

- Nie powinnaś tu przychodzić, Joyce.

- Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć?

- Bo nie chcę cię w to mieszać.

- Nie chcesz mnie w to mieszać? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Od urodzenia jestem zamieszana. Czy mi się to podoba czy nie, jesteś moim bratem.

Czuł jej wściekłość jak ciepło promieniujące z ciała. Niemal chciał, żeby zamachnęła się i go uderzyła, żeby nie przestawała bić, dopóki nie połamałaby sobie ręk i nie pozbyła się tej furii.

- Jak to możliwe, że miałeś karty kredytowe, będąc w więzieniu?

- Nie wiem.

- Czy to jest dozwolone?

- Ja... - Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, choć pytanie było dobre. - Chyba tak. Posiadanie gotówki jest zabronione, ale... - Starał się gruntownie to przemyśleć. Za posiadanie pieniędzy można było dostać naganę albo nawet trafić do karceru. Wszystko, co się kupowało w kantynie, obciążało rachunek osadzonego, nie można też było kupować nic wysyłkowo. - Nie wiem.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli Paul Finney się o tym dowie, wniesie sprawę do sądu cywilnego o odszkodowanie i zabierze ci wszystko co do centa.

- Tylko że ja nic nie posiadam - powiedział John.

Z tego właśnie powodu matka zapisała wszystko w testamencie Joyce. Zgodnie z przepisami o odszkodowaniu dla ofiar i ich bliskich, gdyby John kiedykolwiek miał choćby

złamanego grosza przy duszy, rodzina Mary Alice mogłaby go zabrać. Pan Finney był jak rekin czekający tylko, kiedy do wody skapnie kropla krwi Johna.

- Masz dom w Tennessee - powiedziała Joyce.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

Wyjęła z kieszeni żakietu złożoną kartkę.

- Elton Road numer dwadzieścia dziewięć w Ducktown, Tennessee.

Wziął dokument, który okazał się kopią oryginału. Na górze biegł nagłówek: Urzędowe potwierdzenie prawa własności. Dalej był adres nieruchomości i jego nazwisko w rubryce właściciel.

- Nie rozumiem.

- Masz pełne, bezsporne prawo własności do tego domu - powiedziała. - Spłaciłeś go w ciągu pięciu lat.

Jedyną rzeczą, która do niego należała, był rower, a i ten zabrał mu Richard po pierwszym aresztowaniu.

- Ile kosztował?

- Trzydzieści dwa tysiące dolarów.

John niemal się zakrztusił, słysząc kwotę.

- A skąd ja niby wziąłem taką sumę?

- A skąd ja, do cholery, mam to wiedzieć! - Krzyknęła tak głośno, że zrobił krok do tyłu.

- Joyce...

Niemal wsadziła mu palec w twarz.

- Zapytam o to jeszcze tylko raz i klnę się na Boga, John, przysięgam na grób mamy, jeśli mnie okłamiesz, ani się obejrzysz, a usunę cię ze swojego życia.

- Mówisz dokładnie tak samo jak tata.

- Dość tego. - Zaczęła odchodzić.

- Zaczekaj - rzucił. Stała, ale się nie odwróciła. - Joyce... ktoś ukradł moją tożsamość.

Ramiona jej opadły. Kiedy wreszcie na niego popatrzyła, widział każdą potworność, w jaką był kiedykolwiek zamieszany, wyżłobioną w bruzdach jej twarzy. Była teraz spokojna, wściekłość się ulotniła.

- Po co ktoś miałby kraść twoją tożsamość?

- Dla przykrywki. Żeby zatrzeć po sobie ślady.

- Z jakiego powodu? I dlaczego akurat twoją?

- Bo nie sądził, że wyjdę. Myślał, że będę w więzieniu przez resztę życia, że moja tożsamość zapewni mu bezkarność.

- Kto myślał? Kto ci to robi?

Nazwisko stało mu w gardle jak kawałek szkła.

- Ten sam człowiek, który zabił Mary Alice.

Joyce wyraźnie się wzdrygnęła na dźwięk imienia dziewczyny. Oboje milczeli, ciszę przerywał tylko szmer wody z węży i buczenie pracujących odkurzaczy.

John podszedł o krok do siostry.

- Człowiek, który wrobił mnie w zabójstwo Mary Alice, próbuje zrobić to znowu.
Miała łzy w oczach.
- Ja tego nie zrobiłem, Joyce. Nie skrzywdziłem jej.
Broda jej drżała, gdy próbowała powstrzymać płacz.
- To nie byłem ja.
Z trudem przełknęła ślinę.
- Okay - powiedziała. - Okay. - Pociągnęła nosem, biorąc głęboki oddech. - Muszę wracać do pracy.
- Joyce...
- Uważaj na siebie, John.
- Joyce, proszę...
- Do widzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

GODZINA 9.30

Will patrzył na ręce Pete'a Hansona z wprawą zszywające jamę brzuszną i klatkę piersiową Cynthii Barrett. Medyk poprowadził szew ciągły przez cięcie w kształcie litery Y, za którego

pomocą otworzył zwłoki na początku sekcji, zbierając razem skórę. Podczas badania Will koncentrował uwagę raczej na poszczególnych organach i fragmentach, a nie całości ciała, ale teraz nie sposób było nie zauważyć, że Cynthia Barrett jest istotą ludzką, prawie dzieckiem jeszcze. Szczupła, o delikatnych rysach, miała w sobie coś z filuternego elfa. Nie mieściło mu się w głowie, jak ktokolwiek był w stanie skrzywdzić to dziewczątko.

- Smutna sprawa - powiedział Pete, jakby czytał w myślach Willa.

- Tak. - Will zaciskał zęby, od chwili kiedy wszedł do prosektorium. Podczas wielu lat służby napatrzył się już na różne okropności, ale zawsze był zszokowany, gdy ofiarą było dziecko. W takich razach nieodmiennie myślał o Angie, o potwornościach, przez jakie przeszła jako mała dziewczynka. Na samą myśl o tym żołądek mu się skręcał.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Michael Ormewood. Pod oczyma miał ciemne kręgi i skrawek bibułki przyklejony do podbródka w miejscu, gdzie zaciął się przy goleniu.

- Przepraszam, spóźniłem się - rzucił.

Will popatrzył na zegarek, gest był czysto odruchowy, ale kiedy uniósł głowę, zobaczył, że zirytował Michaela.

- Nieważne - powiedział Will, po fakcie uświadomiwszy sobie, że zabrzmiało to niezręcznie.

Dodał: - Doktor Hanson właśnie kończył. Niczego nie straciłeś.

Michael milczał. Pełną napięcia ciszę przerwał Pete.

- Strasznie mi przykro z powodu tej tragedii, detektywie.

Po kilku sekundach Michael skinął głową. Otarł usta, zdzierając przy tym bibułkę z brody. Popatrzył zaskoczony na zakrwawiony papier między palcami i wyrzucił go do kosza.

- W domu było ciężko.

- Wyobrażam sobie. - Pete poklepał go po ramieniu. - Wyrazy współczucia.

- Tak - rzucił Will, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

- Niby to tylko sąsiadka, ale... - Uśmiech na twarzy Michaela wyglądał na wymuszony, jakby trudno mu było utrzymać emocje na wodzy. - Człowiek nie może sobie znaleźć miejsca, gdy coś podobnego przytrafia się takiemu niewinnemu dzieciakowi.

Will zobaczył, że Ormewood wbił wzrok w zwłoki, dostrzegł błysk rozpaczy w jego oczach.

Michael wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć blond włosów, ale zaraz ją cofnął. Trent przypomniał sobie, że w dniu odkrycia zwłok detektyw zachowywał się dokładnie tak samo. Zupełnie jakby Cynthia była jego dzieckiem, a nie sąsiada.

- Biedactwo - wyszeptał Michael.

- Tak - zgodził się Pete.

- Przepraszam - zmitygował się Michael. Odchrząknął kilka razy i wyglądało na to, że próbuje wziąć się w garść. - Co ustaliłeś, Pete?

- Właśnie miałem przedstawić skrótowy protokół agentowi Trentowi. - Pete zaczął naciągać na zwłoki prześcieradło, które do tej pory przykrywało dolne partie ciała.

Michael wyraźnie się wzdrygnął.

- Naświetl mi najważniejsze fakty, okay?

Pete naciągnął prześcieradło pod szyję dziewczyny.

- Uważam, że się potknęła i uderzyła w głowę - rzekł. - Siła upadku spowodowała masywne pęknięcie czaszki nad lewym płatem skroniowym. Przy uderzeniu doszło do skręcenia karku z następczym przerwaniem rdzenia kręgowego na wysokości C2. Zgon nastąpił natychmiast. Powiedziałbym, że to nieszczęśliwy wypadek, gdyby nie ten brak języka.

- Czy już go znaleźli? - chciał wiedzieć Michael.

- Nie - odpowiedział Will i zwrócił się do Pete'a: - Mógłbyś omówić różnice między oboma przypadkami?

- Oczywiście. Inaczej niż u prostytutki, język dziewczyny nie został odgryziony, ale odcięty. Najpewniej za pomocą noża z ząbkowanym ostrzem. Ktoś inny mógłby nie zauważyć, ale ja nie mam wątpliwości.

- Po czym to poznajesz? - indagował Michael.

- Rana nie jest tak równa jak przy ugryzieniu. - Lekarz kłapnął zębami, żeby pokazać, co ma na myśli. Dźwięk rozszedł się echem po wykładanym kaflami pomieszczeniu. - Co więcej, spodziewałbym się, że będzie miała kształt półkola, ponieważ zęby w jamie ustnej nie są ułożone w linii prostej, ale po łuku. Jeśli spojrzycie... - Już miał otworzyć usta dziewczyny, ale zmienił zamiar. - Jest też kilka mniejszych nacięć w miejscach, gdzie ten, kto usunął język, miał trudności z jego utrzymaniem. Język się wyslizgiwał, ostrze kilka razy obsunęło. Sprawca był jednak zdeterminowany. Udało mu się za trzecim lub czwartym podejściem.

- Język był śliski? Od krwi? Śliny? - pytał Will.

- Krwi zapewne było niewiele, bo w chwili okaleczenia dziewczyna już nie żyła. Byłbym skłonny założyć, że sprawca miał trudności, ponieważ język jest taki mały. Nadto dorosłemu mężczyźnie niełatwo było sięgnąć ręką w głąb jej ust. Są bardzo wąskie. Michael kiwał głową, ale wydawało się, że myślami błądzi gdzie indziej. Oczy nadal miał wbite w dziewczynę, po policzku spłynęła mu pojedyncza łza. Na moment odwrócił wzrok i otarł ją wierzchem dłoni, udając, że drapie się po nosie.

- No i, rzecz jasna, interesujące jest zaginięcie języka - oświadczył Pete. - W pozostałych przypadkach zawsze zostawał na miejscu. Może wasz sprawca zaczął sobie brać pamiątki.

- To dosyć częste u seryjnych zabójców - powiedział Will, starając się wciągnąć w dyskusję Michaela. Chyba jednak detektyw za szybko wrócił do pracy. Angie powiedziała, że kocha dzieci. Być może, tak jak Willowi, ciężko było mu to znieść z uwagi na wiek dziewczyny. Poza tym Barrettówna była jego sąsiadką, pewnie patrzył, jak dorasta. Coś takiego każdego wytrąciłoby z równowagi, nawet bez wycieczki do prosektorium i oglądania porozcinanych zwłok.

Michael odchrząknął dwukrotnie i zapytał:

- Została zgwałcona?

Pete zawahał się i Will czekał, żeby zobaczyć, co odpowie i jak ta odpowiedź podziała na Michaela.

- Są zdecydowane oznaki silnej penetracji, ale trudno orzec, czy dokonanej wbrew woli. - Pete wzruszył ramionami. - Oczywiście, gdyby gwałt miał miejsce post mortem, urazy pochwy byłyby mniejsze, bo nie występowałby odruch kurczenia się.

Na twarzy Ormewooda pojawił się uśmiech, bardzo daleki od wyrazu radości.

- Mówiłeś, że była seksualnie doświadczona - przypomniał Will. - Może powinniśmy ustalić, czy miała chłopaka.

- Wczoraj wieczorem pytałem o to Ginę - rzucił Michael i dodał: - Moją żonę. - Will skinął głową, więc ciągnął: - Cynthia z nikim się nie spotykała. To było naprawdę grzeczne dziecko. Nie sprawiała Philowi najmniejszych problemów.

Will wiedział, że ojciec pracował jako przedstawiciel handlowy i przebywał na drugim końcu kraju, kiedy jego córka została zamordowana.

- Kiedy tu będzie?

- Najpóźniej dziś po południu. Chciałbym się wcześniej urwać, żeby sprawdzić, jak się trzyma. - Odwrócił się do Willa. - Dam ci znać, jeśli pojawiłoby się coś przydatnego.

Will pokiwał głową, rozumiejąc komunikat: Michael sam porozmawia z ojcem. Po części był zadowolony, że ominie go to zadanie.

- Znalazłeś jakieś ślady DNA? - spytał Pete'a Michael.

- Kilka.

- Przekażę je na górę do laboratorium.

- Dzięki - powiedział Pete, podchodząc do lady przy drzwiach. Wręczył Ormewoodowi zaklejoną papierową torbę zawierającą wymazy.

- Myślisz, że jest jakiś związek między tymi dwoma przypadkami a sprawami, które przedstawiłem ci wczoraj? - spytał Michaela Will.

Mężczyzna znowu przeniósł spojrzenie na twarz dziewczyny.

- Bez wątpienia - oświadczył. - Sprawca najwyraźniej eskaluje.

- Czy od zabójstwa Monroe natknąłeś się na kogoś, kto pasowałby do portretu sprawcy? Detektyw pokręcił głową.

- Wczoraj w nocy nie dawało mi to spokoju. Ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby coś takiego zrobić. - Urwał na chwilę, potem zasugerował: - Sądzę, że to ktoś kto obserwował miejsce zbrodni na Monroe, kiedy się tam pojawiłem. Później poszedłem prosto do domu. Prawdopodobnie mnie śledził. Chryste! - Przyłożył dłoń do czoła. - Mógł skrzywdzić Tima. Moją żonę... - Opuścił rękę. - Wywiozłem rodzinę z domu. Nie są bezpieczni, gdy na wolności grasuje ten zwyrodnialec.

- To chyba rozsądny krok - stwierdził Pete. Położył dłoń na ramieniu Michaela. - Tak mi przykro, detektywie. Strasznie mi przykro, że coś takiego cię spotkało.

Michael skinął głową i Will zobaczył, że znowu ma łzy w oczach.

- Była dobrym dzieckiem - wykrztusił. - Nikt nie zasługuje na taki los, ale Cynthia... -

Potrząsnął głową. - Musimy złapać tego gościa. Nie poczuję się bezpiecznie, dopóki strażnik nie wbije kutasowi w ramię igły.

Will oparł się o samochód Michaela Ormewooda, czekając, aż detektyw do niego dołączy. Otworzył klapkę telefonu komórkowego i gapił się na wyświetlacz, chcąc zadzwonić do Angie. Coś przed nim ukrywała. Znał ją wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy coś tai. Może powinien do niej zadzwonić i spytać, czy nie przypomina sobie czegoś jeszcze na temat Michaela. Kiedyś przecież z nim pracowała. Wiedziała o jego niedozwolonych praktykach. Było coś, czego mu nie mówiła.

- Cholera - wyszeptał, zamykając klapkę telefonu. Co za idiota. Najpewniej po prostu przespała się z detektywem. Był dokładnie w jej typie: żonaty, niedostępny dupek, który dawał sto procent gwarancji, że ją wykorzysta i porzuci.

Will wziął głęboki haust powietrza, potem wypuścił, porażony własną głupotą. On się denerwował Johnem Shelleyem, podczas gdy to Michael Ormewood był najświeższym draniem w jej życiu. Will się zastanawiał, czy nadal się spotykają. Stali dość blisko siebie, kiedy wpadł na nich wczoraj na korytarzu. Z drugiej strony, wieczorem Angie wyrażała o nim bardzo cierpko. Gdyby nadal z nim sypiała, wtedy by o tym wspomniała, był tego pewien. Albo nie. Minęły dwa lata. Jeszcze nigdy nie zerwali kontaktów na tak długo. Dużo mogło się zmienić.

Nie, nic się nigdy nie zmieniało.

- Cholera - powtórzył. Położył ręce na dachu samochodu i oparł o nie czoło. Co może zrobić? Doprowadzić do otwartej konfrontacji? Zażądać, żeby mu powiedziała, co robiła przez te dwa lata?

Opuścił ręce i odwrócił się, kiedy drzwi budynku otworzyły się z trzaskiem. Ormewood szedł przez parking z ręką w kieszeni i niewyraźnym uśmiechem na twarzy. Nie wyglądał już na zmęczonego. Sprawiał wrażenie wręcz zadowolonego. Idąc zanieść materiał do laboratorium, pewnie zahaczył o biurko Angie. Może nawet zaliczył szybki numer w składziku.

- Przepraszam, że czekałeś - powiedział Michael, otwierając drzwiczki samochodu. - Musiałem jeszcze sprawdzić, czy rowery stoją.

- Jasne - wymamrotał Will, wślizgując się na siedzenie pasażera. Wyjrzał przez okno, czekając, aż Ormewood wsiądzie i odpali silnik. Gdyby ciut mocniej zacisnął szczękę, popękałyby mu zęby.

Michael położył ramię na oparciu, kiedy cofał samochód. Wrzucił bieg i skierował się w stronę wyjazdu, salutując strażnikowi, gdy przejeżdżali przez bramę.

- Co za zaszary dzień - powiedział, wkładając okulary przeciwsłoneczne. - Wasz dzieci?

- Nie - rzekł Will. Myśląc, że Michael Ormewood już drugi raz zadaje to pytanie. Może Angie mu powiedziała, że Will nie może mieć dzieci. W myślach zobaczył, jak leży wyciągnięta na łóżku obok Ormewooda, błogość po stosunku przeradza się w zabawę w zwierzenia. Czy Angie mogłaby coś takiego zrobić? Czy zdradziłaby Willa w ten sposób?

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak Phil musi się teraz czuć - powiedział Michael. - Gdyby coś się stało Timowi, to jakby ktoś mi wyrwał serce z piersi. On jest częścią mnie, wiesz?

- Rozumiem.

- A co z tobą? - spytał Michael. - Jesteś żonaty?

Will odwrócił się w jego kierunku, usiłując dociec, jaki jest cel tej indagacji.

- Nie.

- Spotykasz się z kimś?

Najeżył się, ale starał się powściągnąć irytację.

- Nie.

- Gina - Michael nie zwrócił uwagi na odpowiedź - pracuje w izbie przyjęć w szpitalu Piedmont. Co to mówią o gliniarzach? Że żenią się albo z pielęgniarkami, albo z dziewczynkami. Zważywszy na fakt, że Michael odszedł z obyczajówki w takich nieprzyjemnych okolicznościach, Will pomyślał, że to dość nierozważne z jego strony żartować sobie z prostytutek.

- Ta Polaski... - zagaił. Starał się wymyślić coś, co jakiś dupek mógłby powiedzieć o kobiecie, ale tylko to przyszło mu do głowy: - Jest bardzo atrakcyjna.

Michael sprawiał wrażenie zaskoczonego, jakby przez myśl mu nie przeszło, że Will ma penis.

- Tak - rzucił. - Słuchaj, mówię ci jak facet facetowi, od tej akurat trzymałbym się z daleka.

- Dlaczego?

- Ma charakterek. Wiesz, co chcę powiedzieć? Wygląda słodko, ale w środku to pierwszej wody megiera.

Will oparł łokieć o drzwiczki, patrząc przez boczną szybę. A zatem przespał się z nią.

Michael zmienił temat.

- Przepraszam, że tak mi odjechało, kiedy wczoraj zobaczyłem Cynthię. Trochę już pracuję w dochodzeniówce, ale człowiek nigdy nie jest przygotowany na to, że ofiarą może być ktoś znajomy.

Will liczył słupy telefoniczne, patrzył na rozmazane litery na billboardach i drogowskazach, których przy tej szybkości nigdy nie zdołałby odczytać.

- Tak.

- Muszę ci powiedzieć, że już nigdy nie będę w stanie wykonywać tej roboty tak samo.

Zawiadamić ludzi, znaczy zaczynasz patrzeć na to zupełnie inaczej, kiedy znasz osobę, o którą chodzi, ofiarę i jej rodziców, i w ogóle.

- Spodziewam się.

- Miałeś okazję zerknąć na akta Monroe?

- Przejrzałem je - skłamał Will, polegając na tym, co usłyszał na temat prostytutki od Angie. - Kilkakrotnie ją zatrzymywałeś, kiedy byłeś w obyczajówce.

Michael wreszcie wyczuł napięcie unoszące się w powietrzu. Zerknął na niego z ukosa.

- Tak - przyznał. - Polaski coś mi wczoraj o tym wspomniała. Na śmierć zapomniałem. Te obławy. Robiłeś kiedyś w obyczajówce? - Will zdobył się na przeczący ruch głowy. - W tydzień z jakąś setką przechodzi ci przez ręce. To jakbyś usiłował capnąć własny ogon, bez podtekstów. Zamykasz je, a już godzinę później stoją z powrotem na ulicy.

- Nigdy wcześniej nie miałeś do czynienia z jej sutenerem? Z Baby G?

Michael wzruszył ramionami.

- Nie przypominam sobie. Ci goście tak szybko dorastają. Jednego dnia są jeszcze dziećmiakami zrywającymi się ze szkoły, a następnego już chodzą z giwerą i siedzą po uszy we wszystkim: od cip po speedy. - Znowu wzruszył ramionami. Może to od niego Angie przejęła ten gest. - Niewykluczone, że Baby G mnie kojarzy, ale nawet jeśli, i tak nie dałby tego po sobie poznać. Myślisz, że mógł maczać palce w tych zabójstwach? Nie sprawdziłem jego alibi na niedzielny wieczór.

- Kiedy Cynthia zginęła, był z nami - przypomniał mu Will.

- Głowę dam, że ma całe zastępy żołnierzy do odwalania brudnej roboty.

Will pokiwał głową.

- Muszę przejrzeć moje raporty z obyczajówki. Zabiorę je dziś do domu.

Will czuł się w obowiązku zaproponować:

- Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

- Nie - rzucił detektyw ostro, ale zaraz próbował to złagodzić, wyjaśniając: - Wiesz, jak to jest. W raportach umieszcza się tylko połowę informacji. Resztę zatrzymujesz w głowie,

żeby nie mogli cię przygwoździć, gdy zeznajesz, powiedzieć, że napisałeś jedno, podczas gdy chodziło ci o coś innego.

- No tak. - Will jeszcze raz zerknął ukradkiem na Michaela Ormewooda. Był niższy od Willa, ale całkiem przystojny, z ciemną cerą i dobrze zbudowany, co zawsze podobało się Angie u mężczyzn. Najwyraźniej nie ćwiczył tyle co Will, ale nie zaniedbał się. Może w liceum grał w futbol. On sam uwielbiał piłkę, jednak za bardzo wstydził się swojego ciała, żeby zaangażować się w sporty zespołowe, bo to wiązało się z koniecznością rozbierania się w szatni. Ormewood zaś zapewne był w młodości szkolną gwiazdą, kapitanem drużyny, obiektem podziwu wszystkich chłopaków.

Will wziął kolejny głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze. Doprawdy wspaniale.

Wystarczyła jedna oderwana myśl o Angie kochającej się z Ormewoodem, a on już dawał upust swoim zawiedzionym sportowym marzeniom. Wiedział, że Angie nigdy nie mówiła za wiele żadnemu mężczyźnie. Kolejne podboje, spotkania z kochankami były dla niej pewnego rodzaju grą, w której wymyślała sobie na nowo. Opowiadanie prawdy o własnej przeszłości zepsułoby całą zabawę. Gdyby chciała być z kimś na poważnie, z kimś, kto znał ją na wylot, trzymałaby się Willa.

Michael zabębnił palcami w kierownicę.

- Greer mi powiedział, że mogę wziąć sobie parę dni okolicznościowego. Sam nie wiem. Trudno mi siedzieć z założonymi rękami. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym coś

przeoczył, coś mi umknęło, a ten bydlak zabiłby kogoś jeszcze. Może właśnie teraz szuka kolejnej ofiary.

- Tak - zgodził się Will, uświadamiając sobie, że zajęty autokastracją i kopaniem się po tyłku, nie zauważył, że Michael zwraca się do niego raczej jak do równego sobie, a nie jak do wroga.

Wjechali do Grady Homes, mijając tych samych nastolatków na rowerach, których Will zauważył dzień wcześniej.

- Powinniśmy ich zapuszkować. Powinni siedzieć teraz w szkole - stwierdził Michael.

- Dlaczego Cynthia nie była w szkole?

- Nie wiem. Może źle się czuła.

- Jak wyglądała jej frekwencja?

- A co to ma do rzeczy?

- Jej ojciec był przez większość czasu w rozjazdach. Często przebywała sama bez rodzicielskiego nadzoru.

- Staraliśmy się z Giną mieć ją na oku. - Odebrał słowa Willa jako przyganę.

- Czy twoja teściowa często widywała ją w domu w ciągu dnia?

- Musiałbyś spytać o to Barbarę - odpowiedział Michael, parkując samochód przed budynkiem z numerem dziewięć.

- A masz coś przeciwko temu?

- Jesteśmy z Barbarą raczej blisko i nigdy nie wspominała, że Cynthia wagaruje. Spytam ją, okay? Ale uważam, że to ślepa uliczka. Cyn była dobrym dzieckiem. Świetnie się uczyła, trzymała z dala od kłopotów. Phil zawsze powtarzał, że to prawdziwy anioł.

- Wygląda na to, że sporo o niej wiesz.

Michael popatrzył na swoje dłonie leżące na kierownicy. Kiedy się odezwał, mówił, jakby się zwierzał.

- Staraliśmy się jej pilnować. Phila nigdy nie było w domu. Jego żona uciekła z jakimś frajerem sześć lat temu i przestała się interesować małą. Phil bardzo się starał, ale nie wiem... - Odwrócił się do Willa. - To nie wystarczy, gdy ma się dziecko, trzeba starać się bardziej. Człowiek zmienia priorytety, nie kupuje co dwa lata nowej bryki, nie nosi drogich ciuchów, nie chodzi na okrągło do restauracji czy kina. Rezygnuje z czegoś.

- Phil tego nie robił?

- Chyba powiedziałem już dosyć. - Wyjął kluczyk ze stacyjki. - I tak nie jest mu teraz łatwo, bez przyjaciół obgadujących go za plecami. - Otworzył drzwiczki samochodu. - Bmw zniknęło - stwierdził, co znaczyło, że alfonsa prawdopodobnie nie ma w domu.

Will ruszył za nim do mieszkania babki, które mieściło na parterze. Zapukali kilka razy, ale choć słyszeli ryczący w środku telewizor i rechot staruszki śmiejącej się do wtóru z widownią ze studia, nikt nie otworzył.

- Mieszkanie Monroe jest na najwyższym piętrze? - spytał Will.

- Tak. Ale na twoim miejscu nie jechałbym windą.

Will ruszył za Michaelem po schodach. Z wyjątkiem mieszkania babki, w budynku panowała cisza. Lokatorzy albo byli w pracy, albo odsypiali ostatnią noc i na klatce słychać było tylko szuranie ich stóp na schodach.

Zbliżając się do najwyższego piętra, Will zwolnił kroku i zatrzymał się w miejscu, gdzie znaleziono ciało Aleeshy Monroe. Na schodach nadal widać było krwawe plamy, mimo że ktoś najwyraźniej starał się je usunąć.

- Tutaj umarła - wyjaśnił Michael, przystanąwszy na podeście dla złapania oddechu.

Will przyklęknął, żeby spojrzeć z bliska na układ śladów krwawe odbicia czepiającej się schodów dłoni. Dokumentacja fotograficzna z miejsca zdarzenia była przerażająca, ale przebywanie w miejscu, w którym zginęła kobieta, robiło wręcz upiorne wrażenie.

- Nie sądzę, żeby zamierzał ją zabić - stwierdził Michael.

Will uniósł głowę, myśląc, że detektyw powiedział to już wcześniej co najmniej dwa razy.

- Skąd to przypuszczenie?

- Przetoczyła się na plecy. - Wskazał na obrys zwłok. - Zachłysnęła krwią i udusiła. -

Odczekał sekundę, patrząc na zakrwawione schody. - To smutne, ale się zdarza.

Will nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał do czynienia ze sprawą, w której coś takiego by się zdarzyło, ale skinął głową, jakby ludzie bez przerwy umierali niechcący w ten sposób.

- Co twoim zdaniem się tu wydarzyło?

Michael popatrzył na schody spod przymrużonych powiek, jakby odtwarzał sobie rozgrywającą się tragedię.

- Domyślam się, że byli w mieszkaniu, kiedy wywiązała się kłótnia. Klient wyszedł i może chciała go zatrzymać. Tu doszło do przepychanki - wskazał na schody - potem sprawy wymknęły się spod kontroli.

- Czy drzwi były zamknięte na klucz, kiedy zjawił się pierwszy policjant?

- Nie.

Will analizował scenariusz Michaela, myśląc, że jest tak samo prawdopodobny jak każdy inny.

- Masz klucz?

- Mhm - Michael wyjął plastikową torebkę z kieszeni. Rozwinął ją i pokazał Willowi klucz z czerwoną przywieszką. - Był w jej torebce.

- Znaleźliście coś jeszcze?

- Kosmetyki, kilka dolarów, trochę waty.

- Chodźmy - rzucił Will, kontynuując wspinaczkę. Czuł, jak włoski na karku zaczynają stawać mu dęba. Nigdy nie wierzył w duchy czy zabobony, ale trudno zaprzeczyć, że miejsce zbrodni ma zawsze specyficzną atmosferę, rodzaj energii, który mówi, że doszło tam do gwałtownej śmierci.

- Jesteśmy. - Michael przeciął żółtą taśmę policyjną krawędzią klucza i otworzył drzwi. - Ty pierwszy.

Aleesha Monroe ewidentnie nie była zamożna, ale sądząc po wyglądzie mieszkania, bardzo dbała o te nieliczne ładne rzeczy, które znajdowały się w jej posiadaniu. Oprócz małej łazienki, mieszkanie miało tylko dwa pokoje, z których jeden służył za sypialnię, a drugi za pokój dzienny z aneksem kuchennym. Willa od razu uderzyła panująca w środku czystość. W zlewie nie gniły brudne naczynia, a smród, który czuć było na klatce, zdawał się nie przenikać przez ściany.

- Tak to wyglądało, kiedy się tu pojawiliście? - spytał.

- Mhm.

Ekipa Michaela przeszukała już to miejsce dwa dni temu. Fakt, że on sam stał teraz przy drzwiach, oparty o framugę, jasno wskazywał, że uważa całą tę wizytę za stratę czasu. Will zignorował niemą sugestię i obszedł cały pokój, szukając czegoś niezwykłego. Aneks kuchenny był mały, stała tam szafka z dwiema szufladami. W jednej mieściły się sztucce, w drugiej zwykłe domowe przedmioty, które się tu zawieruszyły: kilka długopisów, garść paragonów i kółko z kluczami, które zapewne przeżyły drzwi, które niegdyś otwierały. Przystanął przy roślinie na oknie. Ziemia w doniczce była wyschnięta na kamień, sam kwiat uschnięty. Szklany stolik przy kanapie lśnił czystością, stoliczek do kawy od kompletu podobnie. Obok popielniczki, która została do czysta wytarta, leżał stosik starannie poukładanych gazet. Nie było śladu kurzu na podłodze ani w ogóle niczego, co świadczyłoby, że mieszkała tu narkomanka. Will widział wiele mieszkań ćpunów i doskonale

wiedział, jak żyją. Najgorsi byli heroiniści - przypominali chore zwierzęta, które przestały dbać o sierść, i ich domy na ogół to odzwierciedlały.

Zauważył znajome pozostałości czarnego proszku na ościeżach i parapetach, ale i tak zapytał.

- Znaleźliście dużo odcisków?

- Jakieś sześćdziesiąt tysięcy - rzucił Michael.

- Ale nie na szklanych stolikach?

Michael wyglądał na korytarz, jakby usłyszał jakiś hałas.

- Najwyraźniej sprowadzała tu klientów. Na pościeli było dość DNA, żeby sklonować całą wioskę.

Will poszedł do sypialni, notując sobie w pamięci, żeby wrócić do tego pytania. Sprawdził szuflady i zauważył, że ubrania nie zostały przerzucone. Szafa pękała od strojów, między pudełka z butami wepchnięty był stary hoover z pustym workiem. Technicy pracujący na miejscu opróżnili go w celu dokładniejszego zbadania zawartości. Prawdopodobnie zabrali także pościel z łóżka. Materac był goły, na samym środku tkwiła duża plama krwi.

Michael stanął w drzwiach sypialni. Uznał, że potrafi uprzedzić następne pytanie Willa.

- Pete twierdzi, że to krew menstruacyjna. Najwyraźniej miała ciotę.

Will milczał, nie przerywając oględzin sypialni i ciągle myśląc o czystych szklanych stolikach. Słyszał, jak Michael chodzi po drugim pokoju, zniecierpliwiony. Nie zwracając na to uwagi, obszedł wszystkie miejsca noszące ślady czarnego proszku, z których technicy

rutynowo zdejmowali odcisków palców: brzeg stolika nocnego, gałki u drzwi, małą komodę, w której znajdowały się głównie podkoszulki i dżinsy. Musieli sprawdzać stoliki w drugim pokoju. Brak proszku oznaczał, że na szkle nie znaleźli śladów linii papilarnych.

- Czytałeś notkę prasową w dzisiejszych gazetach? - spytał Michael.

- Nie - przyznał Will. Z oczywistych powodów większość informacji czerpał z telewizji.

- Monroe była drugą wiadomością dnia po jakimś skandalu w szpitalu.

Will na czworakach zajrzał pod łóżko.

- Ujawniliście jej nazwisko?

- Nie możemy, dopóki nie znajdziemy najbliższej rodziny. Nie informowaliśmy też o języku.

Will usiadł na piętach, rozglądając się po pokoju.

- Nie podała namiarów na rodziców podczas któregoś z zatrzymań?

- Tylko na Baby G.

Wysunął szufladę w stoliku przy łóżku. Pusta.

- Jakiś notes z adresami i telefonami?

- Nie miała telefonu, ani stacjonarnego, ani komórki.

- Dziwne.

- Wszystko kosztuje. Albo masz kasę, albo nie. - Michael nadal obserwował Willa. - Jeśli mogę spytać, liczysz, że co tu znajdziesz?

- Chcę po prostu poczuć miejsce - odpowiedział Will, choć jego nos poczuł dużo więcej. Albo Aleesha Monroe była pierwszą dziwką cierpiącą na manię czystości, albo ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby wyszorować do połysku jej mieszkanie.

Podniósł się i wrócił do głównego pokoju. Michael znowu stał przy drzwiach wyjściowych z rękoma na piersiach. Dlaczego sam nie zauważył, że mieszkanie zostało wypucowane? Nawet domorosły detektyw bazujący jedynie na policyjnych serialach wychwyliłby ten szczegół.

- Zlew wyszorowany do czysta - oznajmił. Zmywak był nadal wilgotny i kiedy przystawił go do nosa, poczuł silny zapach chloru.

- Wąchasz to z jakiegoś powodu czy tak sobie? - Michael przyglądał się Willowi z uwagą i nie opierał się już nonszalancko o framugę.

Will wrzucił gąbkę z powrotem do zlewu.

- Miała zachomikowane pieniądze? - spytał, celowo unikając odpowiedzi na pytanie kolegi.

- Są w wykazie.

Will nie miał czasu, żeby odcyfrować wykaz rzeczy znalezionych na miejscu zdarzenia, więc rzucił: - Możesz mi go przybliżyć?

Michael był wyraźnie zirytowany prośbą, ale ją spełnił.

- Miała trochę gotówki w skarpetce wepchniętej za kanapę. Jakieś osiem dolców. Sprzęt trzymała w metalowym pudełku na ladzie w kuchni. Strzykawki, sreberko, zapalniczka, to co zwykle.

- Żadnych narkotyków?
- Ślady na dnie puszek, ale nic ponadto.
- Więc musiała pracować.
- Tak - powiedział Michael. - Nie miała wyboru.

Will poszedł do łazienki. Granatowa zasłona prysznicowa była nieskazitelnie czysta, podobnie jak dywanik na podłodze i obicie deski klozetowej w tym samym kolorze. Uniósł chodnik i przekonał się, że podłoga z linoleum jest dokładnie zamieciona.

Trzydzieści dwie minuty do przyjazdu radiowozu. Zabójca liczył na wolny czas reakcji, i wykorzystał go, żeby po sobie posprzątać. Nie było tu oznak paniki czy pośpiechu, żeby czym prędzej zatrzeć ślady i wyjść. Facet wiedział, co robi.

- No i? - spytał Michael. Stał na zewnątrz łazienki, mierząc Willa wzrokiem.
- Bardzo dbała o czystość - powiedział i otworzył apteczkę. Oprócz paracetamolu i pasty do zębów wszystko było tak, jak się spodziewał. - Nie ma kondomów - stwierdził.
- Chyba się zgodziliśmy, że sprawca je przyniósł.
- Niewykluczone - odpowiedział Will, myśląc jednocześnie, że w tej kwestii skłonny jest bardziej polegać na opinii Angie. Zatrzymał się w drzwiach, bo detektyw blokował mu drogę. - Coś nie tak?
- Nie. - Michael zrobił krok do tyłu. - Tylko mam wrażenie, że sprawdzasz moją robotę.

- Powiedziałem ci, że nie - zapewnił Will, choć Bogiem a prawdą zaczynał powątpiewać w kwalifikacje zawodowe Ormewooda. Nawet ślepy by dostrzegł, że mieszkanie zostało wypucowane od podłóg po sufit. - Czy wezwaliście już ekipę sprzątającą?
- Że jak?
- Widziałem, że schody zostały umyte - wyjaśnił Will. - Zakładałem, że wezwaliście kogoś, żeby posprzątał.
- To musiał zrobić ktoś z lokatorów - odpowiedział Michael, podchodząc do drzwi. - Taśma nie została przecięta, a ja po nikogo nie dzwoniłem. Mogę zapytać Leo.
- Nieważne. Byłem tylko ciekawy. - Zamknął drzwi. Przekręcał klucz w zamku, kiedy na klatce schodowej rozległo się głośne trzaśnięcie, po którym nastąpił wrzask dziecka. Will wyminął Michaela na schodach i chwycił się poręczy, zakręcając na podeście. Usłyszał kolejny wrzask, jakieś inne dziecko krzychało „Pomocy!”, kiedy przesadził ostatni ciąg schodów i otworzył drzwi.
- Pomocy - darł się biegnący przez parking mały chłopiec, którego goniła jakaś dziewczyna.
- O w dupę - wysapał Michael. Stał zdyszany, z trudem łapiąc oddech po biegu. - Jezu Chryste - zrobił wydech, zginając się w pasie. Chłopiec rzucił się w kierunku małego skrawka trawy, gdzie stały skrzynki na listy. Zdołał okrążyć jedną, zanim dziewczyna go dopadła. Siedziała na nim, kiedy Will do nich dobiegł.
- Oddawaj to - zażądała, wałąc pojmanego mocno pięścią w bok.
- Jazz! - krzyknął chłopiec.

- Przestań - powiedział Will. - No, już. - Delikatnie chwycił dziewczynę za ramię.

Wyrwała mu się i warknęła:

- Nie twój interes, głupku.

- Dobrze - powiedział Will i przykląkł, żeby porozmawiać z chłopcem. - Nic ci nie jest?

Chłopiec przewrócił się na plecy. Will domyślił się, że nie może złapać oddechu. Pomógł mu usiąść, wiedząc, że to pomoże. Chłopiec miał może dziewięć lub dziesięć lat, ale nosił ubranie dorosłego mężczyzny. Nawet buty były za duże.

- Powiedz mi, co się tu stało - poprosił Will dziewczynę.

- Zabrał mi... - urwała, kiedy dołączył do nich Michael. Otworzyła usta, oczy zrobiły jej się okrągłe ze strachu.

- Wszystko w porządku - powiedział detektyw, rozkładając ręce.

Willa dziewczyna nie zaszufładowała, ale Michael mógł równie dobrze nosić na szyi przywieszkę z napisem „głina”. Najpewniej jeszcze z mlekiem matki wyssała zasadę, że nie rozmawia się z policją. Zrobiła krok do tyłu, chwyciła brata za ramię i podniosła go.

- Zostawcie nas. Nic wam nie powiemy.

Michael wskazał na chłopca.

- To twój brat? - Uśmiechnął się do małego. - Jak ci na imię, kolego? Mam synka w twoim wieku.

- Nie gadaj z nim - ostrzegła dziewczyna.

- Nie przyjechaliśmy tu, żeby was zatrzymać - zapewnił ją Will. Wyglądała na jakieś trzynaście lub czternaście lat, ale sposób, w jaki zaciskała pięści, sugerował, że lepiej nie być w pobliżu, kiedy rozzłości się na tyle, żeby zacząć nimi wymachiwać. - Badamy tragedię, do której tu doszło w niedzielę wieczór - wyjaśnił.

- Leesha - powiedział chłopiec, zanim dziewczyna przycisnęła mu dłoń do ust. Usiłował się wywinąć, zniecierpliwiony. Ewidentnie chciał coś powiedzieć, a jego siostra nie chciała, żeby to słyszeli.

- Jak ci na imię? - spytał Michael.

- My nic nie wiemy - powtórzyła dziewczyna. - Nic żeśmy nie widzieli w niedzielę wieczorem. Nic. Co nie, Cedric?

- Mówiłaś... - spróbował chłopiec, ale znowu zakryła mu usta, zanim zdążył dodać coś więcej.

Michael ściszył głos i zapytał Willa:

- Które z nich bierzesz?

- Jak wolisz.

- Jesteś pewien?

Will skinął głową.

- W porządku. - Ormewood podniósł głowę. - Dziewczyno, pytam po raz ostatni. Jak się nazywasz?

Patrzyła wyzywająco, ale odpowiedziała:

- Jasmine.

- Ładne imię - spróbował Michael, a kiedy nie zrobiło to na niej wrażenia, znowu przybrał kategoryczny ton. - Pójdiesz ze mną.

- Takiego wała.

Michael i Will wymienili spojrzenia.

- A co to za niewyparzony język, moja panno?

- Nie jestem żadną twoją panną!

- Skarbie, naprawdę chcesz, żeby zrobiło się nieprzyjemnie? - Położył dłonie na biodrach.

Gest byłby niemal kobiecy, gdyby nie fakt, że poły marynarki się rozchyliły, ukazując schowaną w kaburze broń. Typowe zagranie gliny: strasz ich szybko i często. Działało. W jej oczach pojawił się

błysk przerażenia, uleciała z niej cała wojowniczość i wbiła wzrok w ziemię.

Michael posłał Willowi oko, jakby mówił „Tak to się robi”.

- Twoja mama jest w domu? - spytał Jasmine.

- Poszła do pracy.

- Kto was pilnuje?

Wymamrotała coś pod nosem.

- Co mówisz?

Zerknęła na chłopca.

- Spytałam, czy Cedricowi nic się nie stanie.

- To twój brat?

Zawahała się, potem skinęła głową.

- Nic mu nie będzie, kiedy już ustalimy, kto was pilnuje i dlaczego nie jesteście w szkole. - Położył rękę na ramieniu dziewczynki i poprowadził ją w stronę budynku. - Nie powinniście tak biegać i wrzeszczeć.

Znowu wymruczała coś, czego Will nie dosłyszał. Michael się zaśmiał, potem powiedział:

- Zobaczymy.

Will patrzył, jak wchodzi do budynku, potem odwrócił się do chłopca.

- Cedric? - spytał. - Tak ci na imię?

Chłopiec pokiwał głową.

- Chodź ze mną. - Wyciągnął rękę, ale mały zmarszczył brwi.

- Nie jestem dzieckiem, ciulu.

Will westchnął. Oparł się o skrzynki na listy, spróbował coś zrobić, żeby poszło łatwiej.

- Muszę tylko zadać ci kilka pytań.

Cedric powtórzył za siostrą:

- Ja nic nie wiem. - Wydał dolną wargę i założył patykowate ręce na piersi, przybierając pozę gangstera. Will byłby się roześmiał, gdyby nie świadomość, że dzieciak miał pewnie łatwiejszy dostęp do broni niż większość policjantów.

- Ej - zagaił, próbując innej taktyki. - Co powiedziało zero do ósemki?

Cedric wzruszył ramionami, ale Will widział, że jest zaintrygowany.

- Ładny pasek.

Chłopiec mimowolnie rozciągnął usta w uśmiechu.

- Głupie.

- Wiem - przyznał Will. - Chcę tylko cię namówić, żebyś ze mną porozmawiał.

- Ja nic nie wiem.

- Znałeś Aleeshę?

Ponownie wzruszył kościstymi ramionkami, ale był tylko dzieckiem i nie opanował jeszcze sztuki ukrywania emocji.

- Aleesha była twoją przyjaciółką - domyślił się Will. - Może się tobą opiekowała?

Ramiona znowu powędrowały do góry.

- Zasięgałem o niej języka, wiesz. Pytałem kilku znajomych. Wydaje mi się, że to była bardzo miła pani.

Cedric uderzał czubkiem buta o beton.

- Może.

- Opiekowała się tobą?

- Babcia kazała mi się trzymać od niej z daleka przez to, co Leesha robiła.

- Tak - powiedział Will. - Chyba nie miała najlepszej pracy. Ale była dla ciebie miła, prawda?

Tym razem skinął głową.

- Ciężko jest stracić przyjaciela.

- Mój kuzyn Ali umarł w zeszłym roku. Zastrzelili go w łóżku.

Will przyklęknął przed chłopcem.

- Widziałeś coś tamtego wieczoru?

Oczy mu poczerwieniały od wstrzymywanych ostatkiem sił łez.

- Mnie możesz powiedzieć, Cedric. Nie zrobię ci krzywdy. Nie wpakuję cię w żadne kłopoty.

Chcę tylko złapać tego, kto zabił Aleeshę, bo była dobrą dziewczyną. Wiesz, że tak.

Opiekowała się tobą, pomagała ci, a teraz jest pora, żebyś ty jej pomógł.

- Nie mogę nic powiedzieć.

Will przeanalizował zdanie.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Coś mu przyszło do głowy. - Czy ktoś ci groził? Może Baby G?

Cedric potrząsnął głową.

- Staram się tylko ustalić, kto skrzywdził twoją przyjaciółkę - spróbował jeszcze raz Will. - Możesz mi zaufać.

Spojrzenie chłopca na powrót zhardziało, mina gangstera wróciła.

- Nie wiem, co to znaczy ufać.

Will wprawdzie nie dorastał w Grady Homes, ale jako dziecko zaufał wielu dorosłym, którzy później nie chcieli - albo nie mogli - mu pomóc. Niełatwo było rozpoznać, kto jest dobry, a kto zły. Błyszcząca odznaka nie stanowiła żadnej gwarancji.

- Widzisz to? - spytał Will, przykładając palec do boku swojej twarzy i dotykając blizny biegnącej w dół szyi. - To mnie kiedyś spotkało za to, że na kogoś naskarzyłem. Nie byłem wiele starszy niż ty dzisiaj.

Cedric przechylił głowę i popatrzył na szramę.

- Bolało?

- Z początku - przyznał Will. - Ale potem już nic nie czułem, a kiedy się ocknąłem, leżałem w szpitalu.

- Byłeś chory?

- Straciłem dużo krwi.

- Miałeś umrzeć?

Wtedy na to liczył, ale opowiedział tę historię, żeby zdobyć zaufanie Cedrica, a nie wyznawać swoje najbardziej ponure sekrety.

- Lekarze się mną zajęli.

Chłopiec patrzył na bliznę jeszcze chwilę, potem skinął głową z aprobatą. Na ulicy bliskie spotkanie ze śmiercią stanowiło powód do chwały, zwłaszcza jeśli było wynikiem przemocy.

Will sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę.

- Tu masz numer mojego telefonu komórkowego. Jeśli sobie coś przypominasz albo po prostu będziesz chciał pogadać, zadzwoń. Zgoda? To wcale nie musi dotyczyć Aleeshy.

Cedric zerknął jeszcze raz na bliznę Willa, potem szybko schował w dłoni wizytówkę, na wypadek gdyby ktoś patrzył.

- Mogę już iść?

- Tak - zgodził się Will. - Ale zadzwoń do mnie, dobrze? Możesz dzwonić w dzień i w nocy.

- Jasne. - Odbiegając w stronę ulicy, przesunął dłonią po rzędzie skrzynek na listy. Will się wyprostował i odwrócił. Zobaczył Ormewooda idącego przez parking, tym razem bez Jasmine. Na policzku detektywa widniało zadrapanie, z którego sączyła się krew.

Will przeniósł wzrok na budynek, potem z powrotem na Michaela.

- Wszystko w porządku?

- Uderzyła mnie. Dasz wiarę? Ile ona może mieć lat dwanaście? - Potrząsnął głową, bardziej zszokowany niż zły. - Szedłem za nią na górę po schodach i zanim się zorientowałem, rzuciła się do ucieczki. Ruszyłem za nią chwyciłem za nogę, a mała jak się nie odwróci, jak nie przysoli mi pięścią w twarz. - Zamachnął się swoją, żeby zademonstrować. - Walnęła mnie po dziewczęńsku, nie? - Will nigdy nie rozumiał tego określenia. Posmakował w życiu pięści tylko jednej kobiety, a Angie zawsze wkładała w to całe serce.

Michael gapił się na budynek. W jednym z okien poruszyła się zasłona. Powiedział:

- To jej mieszkanie. Na trzecim piętrze.

- Matka jest w domu?

- Akurat - rzucił takim tonem, jakby pytał, czy Will jest naprawdę aż tak głupi. Dotknął skaleczonego policzka, potem popatrzył na krew na opuszkach palców. - Chyba drasnęła mnie paznokciami czy jak. Bardzo źle to wygląda?

- Nie tak źle - skłamał Will. Wyjął chusteczkę z materiału i podał koledze. - Chcesz, żebyśmy ją zabrali?

- Co? Założyć jej kajdanki, a potem oglądać własną facjatę w wieczornych wiadomościach za poturbowanie dziecka? Dziękuję, nie skorzystam. Poza tym teraz wołami nic z niej nie wyciągniemy. - Usiadł z jękiem na krawężniku.

Chcąc nie chcąc, Will do niego dołączył.

Michael znowu się roześmiał.

- Chryste, to mnie dziabnęła. - Spojrzał na krople krwi na chusteczce. - Powinienem pozwolić, żebyś ty się nią zajął. Może otworzyłaby się szybciej przed kimś, kto by się z nią pieścił. - Uświadomił sobie, co powiedział. - Ej, bez urazy...

- Nie przejmuj się.

- E, tego - powiedział Michael, składając chusteczkę na pół, a potem przykładając ją ponownie do policzka. - Nie wiedziałem, że ludzie jeszcze ich używają.

- Stare przyzwyczajenie - wyjaśnił Will. Pani Flannery pilnowała, żeby wszyscy chłopcy w domu dziecka nosili w kieszeniach chusteczki. Will nigdy nie kwestionował zaradności tej praktyki, po prosu zakładał, że każdy normalny chłopiec tak robi.

- Wyciągnąłeś coś od jej brata? - spytał Michael.

- Cedric nic nie powiedział.

- Myślisz, że coś wie?

Will miał nawet pewność, ale z jakiegoś powodu uznał, że powinien skłamać.

- Nie. Nic.
 - Jesteś pewien?
 - Jak najbardziej - zapewnił. - Nie umie utrzymać języka za zębami. Powiedziałby.
 - Masz szczęście, że nie kopnął cię w jaja czy coś w tym stylu. - Michael jeszcze raz złożył chusteczkę i chciał ją oddać koledze. - Wybacz - powiedział, cofając rękę. - Poproszę Ginę, żeby uprała.
 - Nie ma potrzeby. - Will wziął chusteczkę, skrępowany na myśl, że żona Michaela Ormewooda miałyby robić mu pranie.
 - Stary. - Michael oparł łokcie na kolanach i spuścił głowę. - Ta dziewczyna przypomina mi bardzo Cynthię. Ma ten sam ogień w oczach, rozumiesz?
 - Naprawdę? - zdziwił się Will, myśląc, że Michael nagle przedstawia małą sąsiadkę w zupełnie innym świetle niż wcześniej.
 - Cyn była dobrym dzieckiem, nie zrozum mnie źle. Tyle że też miała w sobie ten bunt, tego raroga. Twoi rodzice się rozwiedli?
- Pytanie zbiło Willa z tropu. Jego twarz musiała to pokazywać.
- Nie moja sprawa, co? - Michael potarł kark, ponownie podnosząc wzrok na budynek. - Mój ojciec umarł, kiedy byłem mniej więcej w jej wieku. Może dlatego starałem się nią zająć. Trent nie był pewien, o której dziewczynce detektyw teraz mówi.
 - Tak sobie myślę, że kiedy stajesz się nastolatkiem, pojawia się bunt, a sytuacja wygląda gorzej, kiedy jednocześnie twoi rodzice się rozchodzą. Zaczynasz przeginać, co nie?

Testujesz granice, sprawdzasz, jak daleko możesz się posunąć, zanim cię przywołają do porządku. Matka trzymała mnie krótko, choć to jakby próbować utrzymać kojota Wilusia. Zawsze miała na mnie oko, a jak było trzeba, to i ciężką rękę. A te dzisiejsze dzieciaki... ich rodzice tego nie robią. Nie chcą uchodzić za surowych.

- Cynthia pozwalała sobie na więcej, niż Phil wiedział - domyślił się Will.

- Może nawet więcej, niż ja widziałem - przyznał. - Czy raczej chciałem wiedzieć.

- Błąd, ale nieumyślny.

Michael uśmiechnął się do Willa.

- W liceum znałem taką laskę. Boże, była piękna. Ale nawet na mnie nie spojrzała. Mój kuzyn ją poderwał. Miał kościstą dupę i ani jednego włosa na ciele, nie licząc głowy. -

Michael zerknął na niego. - Znasz ten typ?

Will skinął głową, bo wydawało mu się, że kolega tego oczekuje.

- Kompletny leszcz - ciągnął Michael. - I nagle zarywa tę piękną dziewczynę. Więcej, ona pozwala mu się dotykać, aż się pali, żeby ją zapiął. - Jego śmiech zabrzmiał tym razem inaczej. - To zwykle ja zapinałem laski, rozumiesz? Nie on. - Odwrócił się i popatrzył na Willa. - Chyba nie powinienem być za nią gonić.

Will był zdeorientowany.

- Za Jasmine?

Michael odwrócił się, patrząc na budynek.

- Powiniennem dać sobie spokój, zostawić ją, ale w tamtej chwili... wiesz, jak to jest, gdy przez głowę przelatuje ci tysiące myśli naraz? Ciągle myślałem, jak Cynthia biegła, jak się przewróciła o to ogrodzenie. Powiniennem był je naprawić w zeszłym roku. Powiniennem był, kurwa, naprawić to ogrodzenie. - Przyłożył pięści do oczu. - O Boże.

Will był w rozterce. Jeszcze godzinę temu chciał rozkwasić Ormewoodowi twarz za to, że spał z Angie. Teraz było mu go tylko żal.

- To miałem przed oczyma - ciągnął Michael - kiedy Jasmine uciekała: Cynthię biegnącą przez podwórko. I niewiele myśląc, chwyciłem ją za stopę, żeby ją zatrzymać. Rozumiesz, żeby nie zrobiła sobie krzywdy tak jak Cynthia. - Odwrócił się do Willa. - Chyba jednak kilka dni wolnego dobrze mi zrobi, tak jak mówił Greer. Tapnęło mną mocniej, niż sądziłem. Nie masz nic przeciwko?

Willa zaskoczyło to pytanie, ale chętnie się zgodził.

- Nie ma sprawy.

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód. Mówię jak jakaś spanikowana baba. Cholera, zachowuję się też nie lepiej. Pewnie musisz mnie mieć za psychola. - Znowu potrząsnął głową. - Myślę, że wystarczy mi kilka dni. Po prostu trochę czasu, żeby dojść do siebie, pogodzić się z tym, co się stało.

- W porządku - powiedział Will zadowolony, że Michael sam doszedł do tego wniosku.

Teraz było jasne, że cały ranek detektyw z trudem nad sobą panował. - Rób, co musisz.

- Ale chcę być w kursie dzieła. Wiedzieć, co się dzieje. Nie masz nic przeciwko? Nie zamierzam ci wchodzić w paradę, stary. Po prostu nie dam rady siedzieć z założonymi rękoma odcięty od wszystkiego. Wiem, że złapiesz tego kutasa, ale chcę wiedzieć, jak idzie śledztwo.

Will nie był wniebowzięty z tego powodu, ale zaproponował:

- Dzwon, kiedy tylko chcesz.

- Dzięki. - Will usłyszał ulgę w głosie detektywa, zobaczył wdzięczność w jego oczach. -
Dzięki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

GODZINA 19.22

John był tak zmęczony, że o mały włos przegapił swój przystanek. Zerwał się z siedzenia, wołając „Moment!”, kiedy kierowca zaczął zamykać drzwi.

Niemal upadł na chodnik, miał wrażenie, jakby ktoś przejechał mu po ciele młotem pneumatycznym. Art poszukiwał chętnego do pracy po godzinach i John się zgodził w nadziei, że to pomoże oderwać mu myśli od Joyce i tarapatów, w jakie się zaplątał. Gdy tylko przymykał oczy, zaraz widział pod powiekami blondwłosą dziewczynę na podwórku

Michaela. Ostatniej nocy obudził się, trzęsąc się jak galareta. Ciało miał zlane potem i zaczął zawodzić jak dziecko, kołysząc się w przód i w tył, dopóki znowu nie zapadł w niespokojny sen.

Praca po godzinach okazała się brudną robotą, której John nie zleciłby najgorszemu wrogowi: oczyszczenie i przetkanie głównego zbiornika centralnego odkurzacza. Zasobnik był zakopany pod ziemią i zaprojektowany tak, żeby pomieścić miliony galonów kłaczek z wykładzin, płatków Cheerios i czegoś, co pachniało jak zepsuta kwaśna landrynka - wszystkie śmieci, które usuwali odkurzaczem, zanim przystępowali do mycia. John z trudem przecisnął się przez otwór, a kiedy dostał się do środka, okazało się, że zbiornik ma niecałe trzy metry na dwa długości i trochę za bardzo przypomina trumnę, jak na gust Johna. Art zaopatrzył go w latarkę i parę gumowych rękawiczek. Bateria w świetlówce wystarczyła na około pół godziny. Rękawice skleiły się, zanim dotarł do wlotu. Wsadził gołą rękę do tłustej, brudnej rury i wyciągnął kawał czegoś co wyglądało na ludzkie włosy. Pomyślał o drobinkach naskórka i glutach, które codziennie spadały z jednego człowieka, i zwrócił kanapkę z bananem, zanim zdążył się wydostać na świeże powietrze.

- Twardziel z ciebie - powiedział Art.

Spojrzał na jego poszarzałą twarz, zobaczył wymiociny na koszuli i wsunął mu w dłoń pięćdziesiątkę. Pięćdziesiąt dolarów za niecałe dwie godziny pracy. John wskoczyłby z powrotem we własne rzygi, gdyby szef zaproponował, że podwoi stawkę.

Świeże powietrze dobrze mu zrobiło, kiedy wracał pieszo do pokoju w noclegowni. Na ulicy zawsze czymś śmierdziało, bez względu na pogodę czy porę dnia. John już dawno zaczął kojarzyć ten zapach z biedą. Jego płuca pewnie go wchłaniały, zatykając się substancjami kancerogennymi jak zasobnik odkurzacza włosami.

- Cześć, kowboju.

Uniósł głowę i zobaczył Marthę Lam siedzącą na ganku przed noclegownią. Była ubrana od stóp do głów w czarną skórę i mocniej umalowana niż zwykle. Chciał rzucić jej na powitanie coś nonszalanckiego, na przykład czy chłopak ją wystawił, ale powiedział tylko: „Witam, pani Lam”.

Podniosła się, rozłożyła ręce i nieznacznie się okręciła.

- Zobacz, jak się dla ciebie wystroiłam.

Nie wiedział, co odrzec. „Ładnie pani wygląda” wydało mu się bezczelne i mogło zostać odebrane jako próba flirtu.

- Tak, proszę pani - rzucił w końcu, otwierając drzwi i odsuwając się na bok, żeby ją przepuścić.

- Dziś rano odstawiłam pana George'a z powrotem do Bostick.

- Kogo?

- Twojego kumpla z góry.

John z początku nie załapał, o kim mówi. Potem zrozumiał.

- Nie jest moim kumplem - zaproponował. Posłała mu spojrzenie jednoznacznie sugerujące, żeby lepiej zmienić ton. -

Przepraszam - bąknął. - Miałem ciężki dzień. Nie spodziewałem się, że panią tu zastanę.

- Na tym polega nieoczekiwana kontrola.

Od jego piętra dzieliło ich trzynaście schodów. John na każdy z nich wspinał się ostatkiem sił. Prawda wyglądała tak, że od dwóch dni, odkąd pojechał za Michaeliem do Grady Homes i zobaczył kuzyna w akcji, praktycznie nie spał. Ciągłe słyszał w głowie krzyki tej czarnej kobiety. Przypominały mu jego własne wrzaski, gdy Zebra zaczął się do niego dobierać tej pierwszej nocy w Coastal. Brzmiały zupełnie tak samo.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył pchnięciem drzwi. Najpierw zauważył okno, uchylone na jakieś piętnaście centymetrów, i rozdartą na dole żaluzję z kartonu. Potem poczuł smród. Uplłynęło kilka sekund, zanim uświadomił sobie, że dochodzi z jego własnego ciała. To był strach.

- Zmieniłeś tu trochę. - Pani Lam okręciła pasek od torebki na gałce drzwi, żeby uwolnić ręce. - Podoba mi się.

Zaczęła przeszukiwać jego ubrania, ale John gapił się tylko na łóżko: zawsze stało równo i przy samej ścianie, teraz był przekrzywione.

Ktokolwiek się włamał, chciał, żeby John wiedział, że tu był.

Pani Lam uniosła wieko chłodziarki, zajrzała do środka.

- Wyniki badania moczu wyszły okay.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Zdjęcie matki zostało zniszczone. Ktoś przedarł je przez sam środek, zabierając część z Johnem.

- John?

Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Nic nie wykryto - powiedziała, potem wskazała na łóżko. - Możesz to machnąć do góry?

Pochylił się, żeby podnieść materac. Pod palcami poczuł coś twardego, coś zimnego.

Zamarł z jedną ręką pod materacem, drugą na wierzchu.

- John? - spytała pani Lam. Klasnęła w dłonie, żeby go zdopingować. - Dalej, skarbie. Nie mam całej nocy.

Z otwartych ust popłynęła mu ślina. Poczuł ucisk w klatce piersiowej i zaczął się trząść.

- John? - Pani Lam stanęła za nim, położyła mu dłoń na plecach. - No, kowboju? Co się dzieje?

- Nnie-dobrze mi - wyjąkał wśród wstrząsających ciałem dreszczy. Czuł, że rozluźniają mu się zwieracze, i bał że za chwilę puszcza.

- Spokojnie, usiądź tutaj - uspokajała, pomagając mu spocząć na łóżku. Przycisnęła wierzch dłoni do jego czoła. - Jesteś cały mokry. Chyba na mnie nie wymiotujesz, co, chłopcze?

- Ja... - Nie był w stanie zbudować zdania. - Ja... - Popatrzył na otwarte okno, na piętnastocentymetrową szczelinę.

- Chcesz wody?

Potaknął szybkim ruchem głowy.

Odwróciła się do niego plecami, żeby zdjąć torebkę z drzwi, i wtedy jednym desperackim ruchem wyciągnął spod materaca nóż i rzucił go w kierunku szczeliny.

Pani Lam odwróciła się w jego stronę jakby w zwolnionym tempie. Wstrzymał oddech, kątem oka zarejestrował błysk metalu, kiedy składany sprężynowiec poszybował w stronę okna.

Zakaszłał odruchowo, zginając się wpół, w nadziei, że uda mu się stłumić brzęk noża odbijającego się od okiennej ramy i wpadającego z powrotem do pokoju.

- Proszę - powiedziała pani Lam, odkręcając butelkę. - Weź kilka łyków.

John zrobił, jak mu kazała, potem ocierając czoło, zaryzykował spojrzenie w dół. Przebiegł wzrokiem po wykładzinie pod oknem. Pusta. Nic tam nie było.

- No, już dobrze - powiedziała pani Lam, klepiąc go po plecach. - Po prostu chwilowa niedyspozycja, prawda? - Zajrzyjmy teraz pod ten materac. - Potrząsnęła głową, kiedy chciał jej oddać butelkę. - Zatrzymaj. Mam jeszcze całą masę w samochodzie.

Podniósł się na trzęsących nogach. Znowu zerknął na okno, na podłogę niżej. Nóż musiał wylecieć na zewnątrz. Nie było innego wyjaśnienia.

Kiedy oparł materac o ścianę, pani Lam poprosiła:

- Sprężyny też.

Tym razem nie pojawił się karaluch, ale chodnik nadal Pokrywała skorupa zaschniętego brudu. John był tak zdenerwowany, że mało się nie przewrócił.

- Możesz opuścić. - Kartkowała książki na stoliku przy łóżku. Jeśli zobaczyła przedarte zdjęcie, nie dała tego po sobie poznać. - Skończyłeś książkę? *Tessę d'Urberville*?

- Mhm - mruknął, zaskoczony pytaniem. - Tak jest proszę pani.

- Powiedz mi, John, kto ochrzcił dziecko Tessy?

Gapił się na jej fachowo pomalowane oczy. Zamrugła.

- John?

To było podchwytliwe pytanie. Sprawdziała go.

- Tessa - powiedział wreszcie i choć wiedział, że ma rację, bał się, że może coś pomylić. - Książd nie chciał tego zrobić, więc ochrzciła je sama.

- Dobrze - uśmiechnęła się, potem jeszcze raz rozejrzała po pokoju. - Nie udało ci się znaleźć innego lokum?

Pytała już o to kiedyś.

- A powinienem szukać?

Pani Lam położyła ręce na wąskich biodrach.

- Nie wiem, John. Wygląda na to, że wyrosłeś z tego miejsca.

- Eee...

- Na Dugdale jest jeden pensjonat. Prowadzi go niejaki pan Applebaum. Mogę do niego zadzwonić dziś wieczorem, jeśli chcesz.

- Tak - rzucił. Nigdy wcześniej nie proponowała mu pomocy i niepokoił się, że robi to teraz. Mimo to powiedział: - Dziękuję. - I: - Byłoby miło.

- Tylko musisz się z miejsca wyprowadzić, słyszysz. Może już jutro. Nie rozumiał, skąd ten pośpiech, ale powiedział „Zgoda”.
Zarzuciła torebkę na ramię, grzebiąc w środku w poszukiwaniu kluczy.
- A, i jeszcze jedno, John...
- Tak, proszę pani?
- Co tam wyrzuciłeś przez okno, kiedy stałam do ciebie plecami? - Uniosła głowę znad torebki i posłała mu koci uśmiech. - Dopilnuj, żeby to nie trafiło do nowego miejsca. Otworzył usta, ale pokręciła głową, żeby go powstrzymać.
- Nie lubię, kiedy ktoś próbuje zrobić kóregoś z moich podopiecznych - powiedziała mu. - Jeśli wrócisz do pierdła, a wierz mi, sześćdziesiąt pięć procent twoich zwolnionych warunkowo kumpli kryminalistów mówi mi, że tak, to dlatego, że sam coś schrzanił. Nie dlatego, że jakiś głupawy glina, Barney Fife, ma coś do ciebie. Serce podjechało mu do gardła. Michael do niej zadzwonił. Znalazł to, co John zostawił w skrzynce na narzędzia, i postanowił działać. John nie siedział teraz w więzieniu tylko dlatego, że pani Lam miała zasady.
- Pilnuj się, John. - Wycelowała w niego kluczykami od samochodu. - I pamiętaj, złotko, ja też będę cię pilnowała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

GODZINA 20.48

Pazurki Betty postukiwały o asfalt, kiedy Will zabrał ją na wieczorny spacer. Pierwszego dnia próbował skłonić suczkę do wspólnego joggingu, ale skończyło się na tym, że przez większość biegu trzymał ją na rękach. W dodatku w bardzo irytujący sposób przystosowała się do wstrząsów: wywaliła jęzor, tylne łapki umościła wygodnie na dłoni Willa i przycisnęła mocno tułów do jego piersi, podczas gdy on starał się ignorować dziwne spojrzenia mijających ich ludzi.

Poncey-Highlands było zwyczajnym osiedlem z własną zbieraniną walczących o uznanie artystów, gejów i bezdomnych. Z tylnej werandy Will widział Carter Center, w którym mieściła się biblioteka im. prezydenta Cartera, Piedmont Park znajdował się o rzut beretem. W weekendy Will udawał się Ponce de Leon prosto do parku Stone Mountain, gdzie jeździł na rowerze, chodził po szlakach turystycznych albo po prostu siedział i podziwiał wschód słońca wyglądającego zza największego masywu granitowego w Ameryce Północnej. Choć góry północnej Georgii były piękne, Will tęsknił za swojskością rodzinnych okolic, bo łączyła się ze znajomością terenu, instynktowną wiedzą, które okolice są bezpieczne, które lokale, choć wyglądają podejrzanie na zewnątrz, mają najlepsze jedzenie i obsługę w mieście. Uwielbiał różnorodność Atlanty, mnogość jej obliczy, to, że kościół mennonicki znajdował się tuż naprzeciwko kolorowej jak tęcza hippisowskiej komuny na końcu jego

ulicy, to, jak bezdomni grzebali w śmieciach i wrzeszczeli na lokatorów, jeśli nie znaleźli nic ciekawego. Atlanta od zawsze była jego miastem i gdyby tylko Amanda Wagner wiedziała, jak bardzo się ucieszył z powrotu tutaj, w okamgnieniu smyrgnęłaby go z powrotem w góry, szybciej niż zdołałby powiedzieć „stek wołowy w cieście”.

- Buźka! - rzucił zalotnie jakiś przebiegający fan joggingu, połyskując umięśnioną szczupłą pierś w blasku księżyca.

Spędziwszy niemal całe życie w mieście o dużej gejowskiej społeczności, Will nauczył się odbierać te próby podrywu bardziej jako komplement niż zamach na własną męskość.

Oczywiście spacerowanie z dwupółkilogramowym pieskiem na jaskraworóżowej smyczy (jedyna wystarczająco długa, jaką udało mu się znaleźć) prowokowały do zaczepek w każdym miejscu.

Uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, jak absurdalnie musi wyglądać, ale uśmiech zaraz zniknął mu z twarzy, kiedy powrócił do tematu, który zajmował go przez większość dnia. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, a im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym bardziej narastały w nim złe przeczucia co do Michaela Ormewooda. Przy bezpośrednim kontakcie sprawiał wrażenie porządnego człowieka, jednak bliższe badanie ukazywało poważne skazy, z których najważniejszą był fakt, że wykorzystywał pozycję służbową, żeby zmuszać kobiety do seksu. To był szczegół, którego Will nie potrafił przetrwać. prostytutki nie wystawały na ulicach w nadziei na wspaniałe orgazmy i stymulujące konwersacje. Brały za to pieniądze. Will zakładał, że można uznać to za zgodę, ale kiedy Michael się z nimi

kochał, zapłaty nie było. Wykorzystywał władzę, jaką dawała mu odznaka, żeby podporządkować je sobie. W oczach Willa był to gwałt.

Mimo to z trudem mógł myśleć o człowieku, z którym spędził prawie całe dwa ostatnie dni, jak o gwałcieliu. Ojciec, mąż, pozornie dobry policjant, owszem. Ale gwałcieliu? Michael Ormewood najwyraźniej miał dwa oblicza, a im dłużej Will to roztrząsał, tym mniej pewien był każdego z nich.

Pracując w biurze śledczym, Will większość czasu spędzał, ścigając najgorszych przestępców, ale górską zsyłką nauczyła go jednego: ludzie rzadko kiedy są z gruntu dobrzy albo z gruntu źli. W Blue Ridge, gdzie lokalną społeczność przygniatała bieda, likwidacja fabryk i strajk w miejscowej kopalni, granica między tym, co złe, i tym, co dobre, bardzo się rozmyła. Will dowiedział się tam bardzo dużo nie tylko o naturze ludzkiej w ogóle, ale i o samym sobie.

Region ósmy stanowego biura śledczego stanowił największy okręg w stanie, obejmujący czternaście hrabstw i rozciągający się aż do granicy z Tennessee i Karoliną Północną.

Funkcjonariusze, których Will poznał w biurze terenowym północno-zachodniej Georgii, nie przejmowali się specjalnie miejscowymi, jakby byli ponad ludźmi, którym mieli służyć. Szefa nazywano Gomezem „Au” z przyczyn, których Willowi nigdy nie udało się dociec, i tenże Au w żartach mu poradził, zaraz po jego przyjeździe, żeby nie liczył na miejscowe panienki.

„Osobiście zaliczyłem już wszystkie damy, które mogą się jeszcze pochwalić własnymi zębami” - zaśmiał się. - „Szczupły wybór, mój chłopcze. Szczupły wybór”.

Twarz Willa musiała zdradzać jego myśli - Angie zawsze twierdziła, że ma więcej estrogenów, niż powinien - ponieważ od tej chwili Au dawał mu najbardziej gówniane zlecenia. Został całkowicie odsunięty od operacji specjalnej, której rezultatem była największa liczba zatrzymań w historii biura. We współpracy z miejscową policją Au przyczynił się do rozbicia gangu zajmującego się organizacją nielegalnych walk kogutów, który obejmował zasięgiem trzy stany i dwanaście hrabstw. W aferę zamieszany był burmistrz sąsiedniego miasteczka, który miał przy ringu własny fotel, tak by nie przegapić żadnej walki. Wprawdzie cynk pochodził od grupki rozwścieczonych żon, wkurzonych na swoich mężów za przepuszczanie wypłat, jednak to nie umniejszyło sukcesu operacji. Au i reszta chłopców świętowali potem w Blue Havana na 515-tej, podczas gdy Will siedział w samochodzie, obserwując opustoszałą farmę drobiu, która jakoby została przekształcona w laboratorium amfetaminy. Nie żeby miał ochotę pić z tymi mężczyznami, ale sęk w tym, że nie został zaproszony.

Choć odsuwano go od co bardziej spektakularnych akcji, z przyjemnością myślał, że odwalił w górach kawał dobrej roboty. Metamfetamina była potwornym narkotykiem. Zamieniała ludzi w zwierzęta, sprawiała, że porzucali własne dzieci na poboczu drogi, kobiety oddawały się za działkę każdemu. Jeszcze przed przyjazdem do Blue Ridge Will napatrzył się na cały pochód osób, którym zmarnowała życie. Nie potrzebował wykładów ani dopingu, żeby chcieć zlikwidować każde laboratorium na swoim terenie. Nie była to bezpieczna praca. Tak zwani chemicy, którzy wytwarzali metamfetaminę, ryzykowali własne życie. Pojedyncza

iskra mogła wysadzić cały budynek. Pył powstający w procesie mógł zatkać płuca niczym ciastolina. Trzeba było wzywać speców od materiałów niebezpiecznych, zanim Will w ogóle mógł wejść do środka i zebrać jakieś dowody. Koszty usuwania tych laboratoriów rujnowały lokalną policję i biuro szeryfa, a władze stanowe nie miały ochoty udzielić żadnego wsparcia.

Will myślał czasem, że dla niektórych mieszkańców gór metamfetamina stanowiła nowy odpowiednik samogonu, towar, w którego produkcję i handel się angażowali, żeby wykarmić i ubrać dzieci. Niełatwo przychodziło mu wrzucać do jednego worka ćpunów i dilerów, których widywał na ulicach Atlanty, i zwykłych na pozór ludzi, zajmujących się amfetaminą w górach. Nie żeby byli aniołami. Niektórzy, owszem, byli straszni, zwykła hołota niecofająca się przed niczym, byleby mieć na kolejną działkę. Inni nie dawali się tak jednoznacznie sklasyfikować. Will widywał ich w sklepie spożywczym albo w miejscowej pizzerii, lub jak w niedziele wychodzili z dziećmi z kościoła. Na ogół sami nie brali. Traktowali to jak pracę, szansę - dla niektórych jedyną, jaką widzieli - na zarobienie pieniędzy. Ludzie umierali, marnowali sobie życie, ale to nie była już ich sprawa. Will nie rozumiał, jak potrafili tak bezproblemowo oddzielić te kwestie, ale w Michaelu Ormewoodzie widział podobną zdolność. Detektyw robił, co do niego należało - z tego, co mówiono, robił to dobrze - ale miał w sobie też coś, co sprawiało, że krzywdził tych samych ludzi, których miał chronić.

Betty załatwiła się pod krzakiem. Will schylił się i zgarnął kupę do plastikowej torebeczki. W drodze powrotnej wrzucił ją do kosza na śmieci. Kiedy mijali dom sąsiadki, popatrzył w ciemne szyby, zastanawiając się, kiedy staruszka wróci. Jakby czytając w jego myślach, suczka pociągnęła za smycz, ciągnąc go w stronę podjazdu.

- Już dobrze - starał się ją uspokoić, otwierając frontowe drzwi. Przyklęknął i odpiął smycz. Suczka smyrgnęła przez pokój, wskoczyła na kanapę i umościła się na poduszkach. Każdego dnia co rano przed wyjściem do pracy opierał poduszki o oparcie sofy i każdego dnia co wieczór zastawał je zrzucone i ułożone przez Betty w coś na kształt pośłania. Mógłby nazwać je tronem, gdyby nie było tak żalosne żeby dorosły mężczyzna myślał w podobnych kategoriach o małym piesku.

Poszedł do swojego pokoju i zdjął marynarkę. Odpinał właśnie kamizelkę, kiedy zadzwonił telefon. Z początku nie rozpoznał piskliwego głosu w słuchawce.

- Powoli - powiedział. - Kto mówi?

- Tu Cedric - jęknął chłopiec. - Jasmine zniknęła.

Cedric musiał na niego czekać, bo gdy tylko Will zatrzymał samochód na parkingu, chłopak otworzył drzwi i wypadł z budynku numer dziewięć.

- Musi pan coś zrobić - zażądał. Twarz miał spuchniętą od płaczu. Poranna poza gangstera zniknęła bez śladu. Teraz był tylko przerażonym małym dzieckiem, które martwi się o siostrę.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił Will, wiedząc, że to puste słowa, ale czując się w obowiązku je powiedzieć.

- Chodźmy. - Cedric wziął go za rękę i pociągnął w stronę budynku.

Will szedł za chłopcem przez trzy piętra. Miał już zapytać, co się dzieje, kiedy zobaczył stojącą w drzwiach staruszkę.

Miała na sobie spłowiałą fioletową podomkę i skarpety w tym samym kolorze, które zwisały z jej chudych kostek. W jednej dłoni trzymała laskę, w drugiej telefon bezprzewodowy. Na nosie tkwiły okulary w czarnych plastikowych oprawkach, włosy sterczały w nieładzie.

Twarz wykrzywił mars.

- Cedric. - Niski głos rozszedł się echem po długim korytarzu. - Co robisz z tym człowiekiem?

- On jezd policjantem, babciu. Pomoże nam.

- On jest policjantem - poprawiła tonem nauczycielki. - A ja bardzo w to wątpię.

Will ciągle trzymał dłoń Cedrica, drugą namacał odznakę w kieszeni. Zrobił krok do przodu, żeby pokazać ją staruszce.

- Cedric powiedział mi, że pani wnuczka zaginęła.

Przyjrzała się bacznie odznace i legitymacji.

- Nie wygląda pan na policjanta.
 - Nie - zgodził się Will, chowając odznakę do kieszeni. - Staram się nauczyć brać to za komplement.
 - Cedric - warknęła. - Idź posprzątać swój pokój.
 - Ale, bab... - Posłała mu ostre spojrzenie, na skutek którego z miejsca się uciszył i odbiegł. Otworzyła szerzej drzwi i Will zobaczył, że mieszkanie jest dokładną kopią mieszkania Aleeshy Monroe. Sofa najwyraźniej służyła za łóżko, na jej brzegu leżały starannie złożone poduszka, pościel i koc. Po bokach stały dwa fotele z uszakami przykryte ukrywającymi skazy narzutami. Kuchnia była czysta, ale zagracona, na ociekaczu schły naczynia. Kilka par majtek wisało na wepchniętej w róg wolno stojącej suszarce. Drzwi do łazienki były otwarte, w przeciwieństwie do tych do sypialni, do których przyklejony był duży plakat Sponge Boba Kanciastoportego.
 - Nazywam się Eleanor Allison - poinformowała staruszka, kuśtykając w stronę krzesła przy oknie. - Zakładam, że chciałby pan spocząć.
- Will uświadomił sobie, że stoi z rozdziawionymi ustami. Pokój zawałały książki - niektóre upchane w lekkie regały wyglądające tak, jakby miały się za chwilę zawalić, jeszcze więcej leżało w starannie ułożonych stosikach na podłodze.
- Dziwi się pan, że czarna kobieta potrafi czytać?
 - Nie, ja tylko...
 - A pan lubi czytać?

- Tak - odpowiedział, myśląc, że to tylko w części nieprawda. Na każde trzy wysłuchane audiobooki zmuszał się do przeczytania przynajmniej jednej normalnej książki. To było przygnębiające zadanie i ciągnęło się całymi tygodniami, ale robił to, żeby udowodnić sobie, że potrafi.

Eleanor patrzyła na niego i Will spróbował jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

- Była pani nauczycielką? - domyślił się.

- Historii - przyznała. Oparła laskę o nogę i położyła stopę na małym stołeczku stojącym przed krzesłem. Zobaczył, że kostki ma owinięte bandażem.

- Artretyzm - wyjaśniła. - Nie daje mi spokoju od osiemnastego roku życia.

- Przykro mi.

- To nie pana wina, prawda? - Wskazała mu ręką krzesło naprzeciwko, ale stał dalej. -

Proszę mi coś powiedzieć panie Trent. Od kiedy to agent specjalny ze stanowego biura śledczego przejmuje się zaginięciem jakiejś tam czarnej dziewczynki?

Zaczynały go irytować te insynuacje.

- Nie zginęły dzisiaj żadne białe, więc ciągnęliśmy zapałki i padło na mnie.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Nie jest pan zabawny, młody człowieku.

- Nie jestem też rasistowską świnia.

Patrzyła mu w oczy przez chwilę, potem skinęła głową, jakby wyrobiła sobie o nim zdanie.

- Na miłość boską, niechże pan siada.

Wreszcie zrobił, o co prosiła. Zapadł się tak głęboko w starym fotelu, że kolana miał praktycznie na wysokości uszu. Spróbował przejść do rzeczy.

- Cedric do mnie zadzwonił.

- A skąd pan zna Cedrica?

- Poznałem go dziś rano. Byłem tutaj w towarzystwie detektywa z policji w sprawie śledztwa dotyczącego śmierci tej młodej kobiety, która mieszkała na górze.

- Młodej kobiety? - powtórzyła. - Miała czterdziestkę na karku, co najmniej.

Pete Hanson mówił to samo podczas autopsji, ale w ustach staruszki brzmiało to bardziej przekonująco. Aleesha Monroe była przynajmniej dwadzieścia pięć lat starsza od innych ofiar. Co sprawiło, że zabójca zmienił nagle swoją grupę docelową?

- Dlaczego biuro stanowe interesuje się śmiercią uzależnionej od narkotyków prostytutki?

- Pracuję w zespole, który służy pomocą lokalnej policji, gdy zachodzi taka potrzeba.

- Ładnie powiedziane, młody człowieku, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Zgadza się - przyznał. - Proszę mi powiedzieć, kiedy się pani zorientowała, że nie ma Jasmine?

Z zaciśniętymi ustami mierzyła go spojrzeniem stalowych oczu. Nie przyszło mu to łatwo, ale nie spuścił wzroku. Zastanawiał się, jaka była w szkole, czy należała do tych nauczycielek, które pozwalają tępym dzieciom siedzieć z tyłu, i czy wyciągnęłaby go za ucho do pierwszej ławki, drąc się, że nie zna odpowiedzi na pytanie zapisane na tablicy.

- No dobrze - postanowiła. - Myślałam, że Jasmine odrabia lekcje u siebie w pokoju. Kiedy zawołałam ją na kolację, nie przyszła. Zajrzałam do sypialni i okazało się, że jej nie ma.

- Która to była godzina?

- Około piątej.

Will zerknął na swój zegarek, ale rzeczywisty czas sprawdził na elektronicznym zegarze telewizora.

- Zatem, o ile się pani orientuje, zniknęła jakieś pięć godzin temu.

- Chce mi pan powiedzieć, że muszę poczekać jeszcze dzień, żeby ktoś się tym zainteresował?

- Nie jechałbym tu specjalnie tylko po to, żeby panią o tym poinformować. Po prostu bym zadzwonił, pani Allison.

- Sądzi pan, że to kolejna czarna dziewczyna, która uciekła z mężczyzną, ale powiadam panu, ja ją znam.

- Nie poszła dzisiaj do szkoły - przypomniał jej Will.

Staruszka spuściła wzrok. Will zobaczył, że jej leżące na kolanach dłonie pełne są guzów, reumatyzm poskręcał je w nienadające się do użytku szpony.

- Została zawieszona za pyskowanie nauczycielowi.

- Cedric też?

- To się zaczyna robić nieprzyjemne - zauważyła, ale ciągnęła dalej. - Mam trudności z poruszaniem się, zwłaszcza odkąd wycofano z rynku vioxx. Ich matka siedzi w więzieniu

dłużej niż połowę życia Cedrica. Podobnie jak Aleesha Monroe, była uzależniona od heroiny. Tyle że moją Glory złapano.

Will wiedział, że nie powinien teraz przerywać.

- Staralam się trzymać ją krótko. Nie spałam po nocach śledziłam, gdy tylko wychodziła z domu. Byłam niemal jej cieniem, tak blisko się trzymałam. Nienawidziła tego i nadal mnie nienawidzi, ale jestem matką i musiałam tak robić. Z nimi podobnie. - Uniosła z trudem rękę i wskazała na zamknięte drzwi do sypialni. Will zobaczył, że w szparze pod nimi poruszył się jakiś cień, i domyślił się, że Cedrik podsłuchuje.

- Glory ich rozpuściła - ciągnęła Eleanor. - Nie obchodziło jej, co robią, byleby ona nie miała kłopotów i mogła się spokojnie szprycować. - Kobieta westchnęła, pogrążona w swoich wspomnieniach. - Jasmine jest tak samo dzika jak kiedyś Glory i nie daję rady jej upilnować. Pięć minut zajęło mi dziś wieczorem dotarcie do tych drzwi, żeby zobaczyć, co z Cedrikiem.

Will chciał powiedzieć, że jest mu przykro, ale wiedział, że natychmiast by go poprawiła, przypomniawszy, że jej stan, żałosne położenie i konieczność robienia tego, co należy, podczas gdy wszystko dokoła się wali, nie jest jego winą.

- Cedric był maleńki, kiedy Glory pozbawiono praw rodzicielskich. - Z wysiłkiem pochyliła się do przodu. - To mądry chłopiec, panie Trent. Mądry chłopiec z przyszłością, jeśli tylko uda mi się utrzymać go z dala od tego bagna dość długo, by zdążył dorosnąć. - Zaciśnęła usta. - Coś przede mną ukrywa. Kocha swoją siostrę, a ona kocha jego. Kocha go jak

matka, bo nią właśnie musiała się stać, kiedy Glory szprycowała się tą trucizną. - Urwała, po chwili podjęła na nowo. - Sądzę, że na niego mam większy wpływ. Ale nie da się zaprzeczyć, że Jasmine go kocha. Nie chce, żeby wplątał się w tutejsze towarzystwo, tych zbirów, członków gangów i całe to żulerstwo. Sama się do nich garnie, ale wie, że jej młodszy brat może mieć lepsze życie.

- Czy Jasmine uciekała wcześniej? - spytał Will.

- Dwukrotnie, ale zawsze z powodu jakiejś kłótni. Wczoraj nie było żadnej. W ogóle przez cały tydzień dla odmiany ani razu się nie pokłóciłyśmy. Nie była na mnie zła, a przynajmniej nie bardziej zła niż każdy nastolatek na swojego opiekuna.

- Ma chłopaka?

- Chłopaka? Jest od niej piętnaście lat starszy.

- Jak się nazywa?

- Luther Morrison. Mieszka na Basil Avenue, niecałe pięć kilometrów stąd, w Manderley Arms. Już do niego telefonowałam. Twierdzi, że tam jej nie ma. Za każdym razem, gdy poprzednio uciekała, dzwoniłam do niego. W obu przypadkach powiedział mi, że jest u niego. Luther udaje, że Jasmine ma siedemnaście lat, ale doskonale zna jej wiek, to pewne jak to, że tu siedzę, i zrobi wszystko, co mu każę, bylebym tylko nie nasłała na niego policji.

Will musiał zapytać.

- Dlaczego nie złożyła pani skargi? Ona ma trzynaście lat, on prawie trzydzieści. To gwałt w świetle prawa.

- Bo doświadczenie z jej matką nauczyło mnie, że dziewczyny, która jest zdecydowana zrujnować sobie życie, nie da się powstrzymać. Gdyby ten został aresztowany, poszłaby do kolejnego, może jeszcze gorszego, jeśli to możliwe.

- Babciu? - spytał Cedric. Był nadal w sypialni, ale wyglądał zza drzwi. - Posprzątałem.

- Chodź tu, dziecko. - Wyciągnęła rękę w jego kierunku. - Zadzwoiłam na policję - poinformowałam Willa - gdy tylko się zorientowałam, że Jasmine nie ma. Jestem pewna, że wie pan, jaka była reakcja.

- Jeśli wiedzą o jej wcześniejszych ucieczkach, powiedzieli, że muszą upłynąć dwadzieścia cztery godziny, może czterdzieści osiem, zanim będzie można to uznać za zaginięcie.

- Zgadza się.

Will zwrócił się do Cedrica:

- Kiedy do mnie dzwoniłeś, sprawiałeś wrażenie bardzo zdenerwowanego. Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Cedric popatrzył na babkę, potem z powrotem na Willa. Wzruszył ramionami.

Staruszka sięgnęła do kieszeni podomki.

- Odprowadź pana Trenta i sprawdź, czy jest coś w skrzynce, kochanie. Panie Trent? - Will z trudem podniósł się z fotela. - Dziękuję za troskę.

- Proszę się nie trudzić - powiedział, widząc, że stara próbuje wstać. - Dam pani znać, gdy tylko czegoś się dowiem.

Wyciągnął rękę, żeby uścisnąć jej dłoń, i dopiero poniewczasie uświadomił sobie, że z powodu artretyzmu może być to dla niej bolesne. Chwyciła go, zanim zdążył ją powstrzymać. Zdziwił się siłą jej uścisku.

- Błagam - poprosiła. - Niech pan ją znajdzie, proszę.

- Tak, proszę pani - obiecał, wiedząc, ile ta prośba musiała kosztować tę dumną kobietę. Ruszył za Cedrikiem po schodach na parking. Światła latarni rzucały dziwną poświatę na otoczenie i Will uświadomił sobie, że jest tylko kilka godzin po czasie, w którym Aleesha Monroe została zamordowana w niedzielę wieczór Cedric podszedł do skrawka trawnika przy skrzynkach na listy, gdzie rano rzuciła się na niego Jasmine.

Will patrzył, jak chłopiec wsuwa klucz do zamka, i czekał, aż wyciągnie pocztę, żeby mu oznajmić:

- To poważna sprawa, Cedric.

- Wiem.

- Musisz mi powiedzieć, co wiesz o Jasmine. Dlaczego zabroniła ci rozmawiać z policjantami?

- Mówiła, że wszyscy jesteście źli.

To była opinia podzielana przez niemal wszystkich w promieniu ośmiu kilometrów.

- Powiedz mi, co się stało w niedzielę.

- Nic.

- Tym razem to się nie uda, Cedric. Jasmine przepadła jak kamień w wodę, a słyszałeś, co mówiła twoja babcia. Wiem, że podsłuchiwałeś pod drzwiami. Widziałem twój cień.

Cedric oblizał wargi, udając, że przegląda listy.

Will przyklęknął przed nim i położył mu ręce na ramionach.

- Powiedz mi.

- Zobaczyłem, że na podwórku jest jakiś mężczyzna - przyznał wreszcie Cedric. Jego gramatyka znacznie się poprawiała, kiedy się nie pilnował. - Zapłacił Jazz, żeby wykonała telefon. To wszystko.

- Jaki telefon?

- Na policję. Żeby zgłosić, że ktoś krzywdzi Leeszę.

Will zerknął przez ramię na budkę telefoniczną. Była pograżona w ciemności, żarówka w środku rozbita.

- Kazał jej zadzwonić z płatnego telefonu?

Cedric skinął głową.

- Bez sensu. Mogła użyć swojej komórki. Wszyscy wiedzą, że nie potraficie namierzyć komórki.

- Zapłacił jej?

- Dwadzieścia dolców - przyznał Cedric. - I jeszcze dziesięć centów na telefon.

Will opuścił ręce i przykucnął na piętach.

- A ile kosztuje połączenie, chyba jakieś pięćdziesiąt?

- Tak - odpowiedział chłopiec. - Jazz powiedziała mu, że dziesiątak nie wystarczy, wtedy się zdenerwował i dał jej dwie dwudziestopięciocentówki.

Will rozważał szanse znalezienia w zasobniku aparatu dwóch monet z odciskami sprawcy. Potem zaczął się zastanawiać, czy to zabójca Aleeshy zapłacił dziewczynie za wykonanie telefonu. Po co morderca miałby płacić za poinformowanie o własnej zbrodni?

- Przyjrzałeś się temu mężczyźnie? - spytał Will.

Chłopiec z powrotem zaczął przerzucać listy w dłoniach.

- Myślisz, że byś go rozpoznał, gdybyś zobaczył jego zdjęcie?

- Był biały - powiedział Cedric. - Nie widziałem go za dobrze. Stałem tutaj.

Will odwrócił się do budki. Latarnie na parkingu i przy skrzynkach były wystarczająco mocne, żeby oślepić dorosłego, ale żadna z nich nie oświetlała telefonu.

- A twoim zdaniem co się stało? - spytał Cedrica.

Chłopiec nie odpowiedział od razu. Zaczął znowu tasować listy.

- Zawsze mi wcześniej mówiła - powiedział. - Kiedy urywała się do Luthra, zawsze mnie informowała, żebym się nie martwił.

- Kiedy Jazz już zadzwoniła, którądy odszedł ten nieznajomy?

Cedric wskazał na ulicę w kierunku wyjścia.

- Nie miał samochodu?

- Nie wiem - przyznał chłopiec. - Stał tu, kiedy szliśmy do Freddy'ego, i nas zawołał. Jazz kazała mi iść dalej, ale ja zostałem, żeby jej pilnować.

Will zdziwił się, że dziewczynka bez wahania podeszła do obcego mężczyzny w ciemnościach. Może szła złą drogą znacznie szybciej, niż podejrzewała jej babka.

- Gdzie mieszka Freddy?

Cedric pokazał ręką inny budynek po drugiej stronie ulicy.

- Jasmine poszła z tobą, gdy już zadzwoniła?

- Potem tak.

- A ten mężczyzna ruszył ulicą w kierunku głównej drogi?

Cedric skinął głową, zagryzając dolną wargę, jakby miał coś więcej do powiedzenia. Will dał mu trochę czasu i w końcu chłopiec się odezwał:

- Jazz mówi, że słyszała wrzaski na schodach. Leesha krzyczała.

- Co krzyczała?

- Jazz nie wie. Po prostu krzyczała, jakby ją bolało, ale to nie był pierwszy raz, wie pan?

Leesha czasami zabiera mężczyzn na górę i są niedobrzy, ale mówi, że jej to nie przeszkadza.

- Cedric. - Will znowu położył chłopcu ręce na barkach. - Chcę, żebyś był teraz ze mną szczery. Czy Jasmine widziała, kto krzywdził Aleeshę? Czy ktoś z nią rozmawiał, powiedział jej coś?

Cedric potrząsnął głową.

- Mówiła, że nic nie widziała i nie słyszała.

- A może powiedziała to tak jak dzisiaj rano, kiedy, gdy się zastanowić, można by pomyśleć, że tak naprawdę chodziło jej o to, że może i coś słyszała, ale nikomu nie powie.

- Nie - obstawał przy swoim Cedric. - Mi by powiedziała.

Will nie był tego tak pewien. Jasmine chciała chronić brata. Nie powiedziała by mu niczego, co mogłoby go narazić na niebezpieczeństwo.

Cedric sięgnął do kieszeni i wyjął banknot dwudziestodolarowy.

- To tego chciała - powiedział Willowi. - Zabrałem dolary, które dał jej ten pan, żeby zadzwoniła. To dlatego mnie goniła. - Próbował oddać Willowi pieniądze.

- Przechowaj go dla mnie - powiedział Will, świadom, że nic nie może zrobić z banknotem. - Jasmine nie zniknęła dlatego, że zabrałeś te pieniądze, Cedric. Wiesz o tym, prawda?

Chłopiec wzruszył ramionami, listy wysypały mu się z dłoni. Will schylił się, żeby pomóc mu je pozbiierać. Po kolorach zorientował się, że to głównie rachunki i jakieś dziesięć sztuk ulotek reklamowych. Na Willa prawdopodobnie czekały w domu te same kuszące oferty o krótkim terminie aktualności.

Popatrzył na skrzynki.

- Cedric?

- Tak?

- Czy Aleesha miała tu swoją skrzynkę na listy?

- Tak. - Chłopiec pokazał na drzwiczki w górnym rzędzie.

Will wstał i zanotował numer.

- Pora odstawić cię do środka, co?

- Poradzę sobie.

- Muszę sprawdzić coś w mieszkaniu Aleeshy. Odprowadzę cię.

Cedric z ociąganiem wchodził po schodach. Otworzył kluczem drzwi mieszkania babki, ale nie wszedł do środka. Patrzył, jak agent wspina się wyżej. Will czuł na plecach jego niemy wyrzut: „Gdzie idziesz? Obiecałeś pomóc”.

Nadal, jeszcze po porannej wizycie, miał w kieszeni kamizelki klucz do mieszkania Aleeshy. Wsunął go do zamka, przekręcił i usłyszał obrót zapadki. Nacisnął klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Will przyznawał - przynajmniej przed samym sobą - że myli mu się strona prawa z lewą i Bóg jeden wie, że gdy był zmęczony, wyglądało to jeszcze gorzej, ale nawet on otworzył dość zamków w swoim życiu żeby wiedzieć, w którą stronę należy przekręcić klucz. Wsunął go z powrotem do zamka i spróbował w drugą stronę ponownie słysząc kliknięcie. Tym razem drzwi ustąpiły.

W mieszkaniu nadal panowała ta sama złowieszcza atmosfera miejsca, w którym wydarzyło się coś złego. Stał w drzwiach, wewnątrz oświetlały jedynie lampy z korytarza. Zobaczył kroplę krwi na podłodze i przyklęknął obok. Odruchowo przyłożył palce w miejsce plamy, żeby sprawdzić czy jest sucha.

Na ręku nie został żaden ślad, ale Will nie zauważył tej kropli rano, kiedy po raz pierwszy był w mieszkaniu. Po zapalał światła, myśląc o zamku. Rano, kiedy stąd wychodził

wybuchła awantura między Jasmine i Cedrikiem. Rzucili się z Michaeliem na dół na złamanie karku. Może nie zamknął drzwi. Spieszył się, to pewne.

Tylko że Will pamiętał, jak je zamykał, pamiętał odgłos przesuwającej się zapadki. Sprawdził mieszkanie, upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu. Z powodu trudności z czytaniem Will nie sądził, że ma fotograficzną pamięć, ale bez trudu zapamiętywał obrazy. Wiedział, gdzie co leży, i z miejsca poznawał, kiedy leżało źle. Coś tu było nie tak. Pokój wydawał się jakiś inny.

Szuflada na rupiecie wyglądała tak samo, w rogu pod kilkoma sklepowymi paragonami nadal leżały klucze na kółku. Will zaczął je przerzucać, aż znalazł jeden mniejszy, podobny do tego, który miał Cedric. Każdy policjant, który wchodził do tego budynku, musiał mijać skrzynki na listy, Will wprawdzie też je widział, jednak nie zapytał, czy ktoś sprawdził korespondencję Monroe. Z drugiej strony nie był w tej sprawie detektywem prowadzącym. Teraz, gdy Michael był na zwolnieniu, ster dzierżył niezrównany Leo Donnelly.

Will dwukrotnie upewnił się, że zamknął drzwi, zanim ruszył w dół po schodach do wyjścia. Jak wszystko inne tutaj, również skrzynki na listy pokrywały graffiti i Will odnalazł skrzynkę Aleeshy po obscenicznym rysunku, który figurował obok. Wsunął kluczyk i przekręcił go, choć z trudem. Kiedy otworzył drzwiczki, wiedział już dlaczego: mała przegródka była po brzegi zapełniona listami. Will zaczął je wyjmować po kilka naraz, patrząc na kolory i jaskrawe logo zdobiące koperty. Wśród nich była też jedna zupełnie biała. W dolnym rogu widniało zgrubienie, pomacał je palcami, wyczuwając coś metalowego. Po kształcie

zgadywał, że może to być klucz. Nadawca zaadresował przesyłkę odręczną pełną zawijasów kursywą, zupełnie nie do odcyfrowania dla Willa.

Popatrzył na zegarek, tym razem naprawdę: wbił wzrok w tarczę, aż udało mu się odczytać czas. Była prawie północ. Angie przypuszczalnie niedługo będzie wracać z pracy do domu. Siedział na ganku przed jej domem z tyłkiem zdrętwiałym od twardego betonu. Nie miał pojęcia, gdzie Angie się podziewa, a komórka mu się w końcu zupełnie rozładowała, więc nie był nawet pewien, która jest godzina.

Zrobił dobry użytek z telefonu, zanim ten umarł: zadzwonił do znajomego z policji i upewnił się, że raport w sprawie Jasmine Allison nie powędruje na półkę jak tysiące innych zawiadomień o zaginięciu odbieranych każdego roku. O zaginięciu dziewczynki poinformowano wszystkie jednostki, do drzwi Luthra Morrisona zaś zapukał mocno poirytowany policjant. Przeszukał dom i znalazł w środku nieletnią, ale nie tę, której szukano.

Will miał złe przeczucia co do zaginięcia Jasmine. Według relacji Cedrica, coś widziała, rozmawiała z kimś, kto miał jakiś związek z zabójstwem. To czyniło z niej świadka, cennego lub niepożądanego - w zależności od punktu widzenia, jednak w Atlancie złe przeczucia Willa nie stanowiły podstaw do wszczęcia powszechnej obławy.

Ten tok rozumowania skłonił go do przełamania się i wykonania telefonu do Ormewooda, żeby się dowiedzieć, czy dziewczynka coś mu powiedziała, zanim uciekła po schodach.

Niewykluczone, że Michael jest ostatnią osobą, która ją widziała. Niestety, detektyw albo był poza domem, albo nie podnosił słuchawki.

Na podjazd zajechał należący do Angie czarny monte carlo ss. Silnik wydawał taki odgłos, jakby pracował na żwirze, i Will odruchowo się wzdrygnął, słysząc pukanie, które nie ustało, gdy wyłączyła stacyjkę. Przez rok remontował dla niej ten samochód. Nocami, w weekendy, przez cały urlop. Pragnął dać jej coś dobrego, pokazać, że potrafi zbudować coś własnymi rękoma, nie posiłkując się głupawą instrukcją informującą, że śruba A łączy się z mutrą C. Widok świeżych plam po oleju na podjeździe był teraz jak kopniak w twarz.

Angie otworzyła drzwiczki auta i fuknęła:

- Co ty tu, kurwa, robisz?

Chcąc nie chcąc, zauważył, że jest ubrana jak do pracy. Sposób, w jaki siedziała w samochodzie, dawał mu, i wszystkim innym ludziom po tej stronie ulicy, pełen widok na to, co miała pod krótką spódniczką.

- Co zrobiłaś z samochodem? - spytał.

- Jeździłam nim. - Wysiadła i trzasnęła drzwiami tak mocno, że wóz się zatrzęsł.

- Na całym podjeździe jest olej.

- Nie mów.

- Czy przynajmniej choć raz oddałaś go do przeglądu?

- A gdzie niby miałabym to zrobić?

- W okolicy jest mnóstwo warsztatów. Nie sposób zrobić kroku, żeby się na któryś nie natknąć.

- Jak na razie to nie sposób zrobić kroku, żeby nie natknąć się na ciebie, ty głupi parchu. - Odepchnęła go od frontowych drzwi, żeby dostać się do zamka. - Jestem zmęczona, wkurzona i marzę tylko o pójściu do łóżka. - Rzuciła mu spojrzenie przez ramię, jakby tylko czekała, że napomknie coś o dołączeniu.

Powiedział:

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Will, dlaczego nie otworzyłeś sobie własnym kluczem? - Nie musiała wyciągać szyi, żeby na niego popatrzeć, i uświadomił sobie, że nadal jest w szpilkach. - Masz go przecież.

Dlaczego siedziałeś tu na zimnie?

Poczuł alkohol w jej oddechu.

- Piłaś?

Ziewnęła, jeszcze raz wionąc mu w nos oparami whisky.

- Wchodź. - Wsunęła klucz do zamka. - Moi sąsiedzi i tak mają używanie, gdy świecę im w oczy cipą za każdym razem, gdy wysiadam z tego pieprzonego samochodu.

Will wszedł za nią do środka i zamknął drzwi.

Zrzuciła szpilki przy sofie i wsunęła stopy w różowe japonki. Nie cierpiała chodzić bosą.

- Wybrałaś fatalną porę na wizytę. - Zapaliła światła na korytarzu. Idąc do łazienki, jednocześnie mówiła i rozbierała się. - Miałam najbardziej wszawy dzień w życiu. Wszystkie

dziewczyny są spanikowane z powodu Aleeshy i przez cały cholerny wieczór zawodziły, jakby mi było mało. - Zanim zatrzasnęła drzwi do sypialni, zobaczył jej gołe plecy, wypukłą linię kręgosłupa, niknącą w różowych majtkach. - O trzeciej zadzwonił do mnie porucznik Canton - ciągnęła głosem przytłumionym przez drzwi. - Kazał mi przyjść wcześniej i siedzieć całe popołudnie z tym sukinsynem Ormewoodem, żeby mu pomóc odszukać jakieś głupie akta z okresu, kiedy pracował w obyczajówce.

Will przypomniał sobie, że Michael obiecał przejrzeć raporty ale był zdziwiony, że dotrzymał słowa mimo stanu, w jakim się znajdował, kiedy ostatni raz się widzieli.

- Musiałam spędzić dwie godziny, siedząc w tej cholernej miniówie - usłyszał, jak coś uderzyło o ścianę, i domyślił się, że pewnie spódniczka - z tym dupkiem sapiącym mi w szyję i dowcipkującym, jakby, cholera, był moim najlepszym przyjacielem.

Will skorzystał ze swojego klucza godzinę wcześniej: położył pocztę Aleeshy Monroe na stoliczku do kawy, żeby nie trzymać jej w rękach przez całą noc. Usiadł teraz na sofie i zaczął ją przeglądać, układając listy w zgrabne kupki.

- Klnę się na Boga, Will - zaczęła Angie, wracając korytarzem. - Czasami patrzę na te dziewczyny i myślę, że ich alfonsi lepiej je traktują niż mnie te kutafony, z którymi muszę pracować.

Japonki plaskały o pięty, kiedy szła do kuchni. Usłyszał, że otwiera lodówkę, potem wrzuca lód do szklanki. Otworzyła butelkę, nalała czegoś, następnie zatrzasnęła drzwiczki

chłodziarki. Kilka sekund później usiadła obok niego na sofie, zrzuciła klapki i pociągnęła potężny łyk ze szklanki.

Will nie mógł nic na to poradzić. Kręgosłup naprężył mu się jak struna niczym u uczennicy katolickiej szkoły.

- Masz zamiar pić na moich oczach?

Trąciła gołą stopą jego nogę i powiedziała:

- Aż zaczniesz ładnie wyglądać.

- Nie rób tego.

- Nie rób czego? - Drażniła się, znowu go szturchając.

Odwrócił się i popatrzył na nią, na co właśnie tylko czekała. Leżała na sofie, nadal dotykając stopą jego nogi. Nie miała na sobie nic oprócz czarnego, krótkiego szlafrocza, luźno przewiązanego w talii: między połami widział kępkę włosów.

Poczuł, jak coś chwyta go za gardło, do ust napłynęło tyle śliny, że zacisnął wargi, żeby nie wyciekła.

- Chyba już wiesz, że mój facet jest pedofilem.

Podniósł się tak szybko, że krew odpłynęła mu z głowy.

- Że co?

- Shelley - rzuciła beznamiętnie. - Zakładam, że wyciągnąłeś jego akta?

Will zasłonił oczy rękoma, jakby fakt, że jej nie widzi, mógł zmienić to, co przed chwilą powiedziała.

- Jest pedofilem?

Posłała mu pełen rozbawienia uśmiech.

- Zdajesz sobie sprawę, że krzyczysz?

Will ściszył głos.

- Prosiłaś mnie, żebym sprawdził dla ciebie pedofila? - Podszedł do kominka, mając ochotę walnąć pięścią w cegłę. - Co, do cholery, sobie wyobrażasz? To z kimś takim się teraz spotykasz? Jezu, przejmowałem się Ormewoodem, a teraz ty...

- Co ci powiedział?

Głos jej się zmienił, w pokoju powiało chłodem.

- Kto? - spytał.

Podniosła się do pozycji siedzącej, założyła nogę na nogę i obciągnęła szlafrok.

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

- Nie - zaprzeczył. - Nie wiem.

Postawiła szklaneczkę na stoliku obok listów.

- Co to jest?

- Wiem, że z nim spałaś.

- Kawał dżentelmena z tego Michaela Ormewooda. Opowiedział ci wszystko ze szczegółami? - Zaśmiała się ironicznie, przeglądając jeden ze stosików listów, które przyniósł. - Musiała być kupa śmiechu, kiedy porównywaliście wrażenia. Nic dziwnego, że kutas był dzisiaj po południu taki rozradowany.

- Nic mi nie powiedział - zaproponował Will. - Sam się domyśliłem.
- Kapelusze z głów przed detektywem. - Uniosła szklaneczkę w geście toastu, potem wzięła długi łyk. Parzył, jak rusza jej się grdyka, gdy piła i piła, dopóki nie opróżniła naczynia. Odwrócił się do niej plecami i przeniósł wzrok na płótno nad kominkiem. To był tryptyk: trzy skrzydła połączone zawiasami i tworzące jeden obraz, kiedy się je rozłożyło, inny, gdy były złożone. Zawsze miał wrażenie, że Angie najbardziej podoba się właśnie zwodniczość, dwuwarstwowość malowidła. Przypominało ją samą: co innego wewnątrz, innego na zewnątrz. Przypominało też Michaela Ormewooda, gdy się nad tym zastanowił. Co za idealna para.
- Poczta Aleeshy - zauważyła w końcu Angie. - Dopiero teraz wpadła ci w ręce? Pokiwał głową.
- Dlaczego ekipa Michaela jej wcześniej nie znalazła? Will odchrząknął.
- Nie wiem.
- Reklama, reklama, rachunek, rachunek. - Słyszał, jak koperty uderzają o stół, kiedy jedna po drugiej je przeglądała. - A to co? Will nie odpowiedział, ale tak naprawdę nie jego pytała. Słyszał, jak rozdziera kopertę, wyjmując list.
- Ładny krzyżyk - powiedziała. - Pamiętam, że Aleesha go czasami nosiła.

Popatrzył na obraz, żałując, że nie jest to lustro, które by mu pokazało, co w niej siedzi. Może zresztą było. Dwa abstrakcyjne obrazy, z których żaden nie wydawał się sensowny. Will poczuł, że stanęła za nim i wsunęła rękę do kieszeni jego marynarki. Wyjęła cyfrowy dyktafon.

- O, nowy - stwierdziła. Znajdowała się tak blisko, że czuł ciepło jej ciała.

Słyszał, że manipuluje przy urządzeniu, i odwrócił się.

- Pomarańczowy - odpowiedział.

Podala mu dyktafon. Zobaczył, że trzyma palec wskazujący na odpowiednim przycisku.

Delikatnie nacisnął go kciukiem i urządzenie się włączyło.

- Dzięki.

Nie był w stanie na nią spojrzeć. Odwrócił się i ponownie oparł o kominek. Angie wróciła na sofę i usiadła. Zabręczały kostki lodu w szklaneczce. Pewnie zapomniała, że jest pusta.

- „Kochana Mamo” - zaczęła w końcu czytać. - „Pewnie myślisz, że piszę, żeby prosić o pieniądze, ale chcę cię tylko poinformować, że już niczego od ciebie nie chcę. Zawsze miałaś do mnie żal, że uciekłam, ale to nikt inny, tylko ty nas opuściłaś. To ty zrobiłaś ze mnie pariasa. Biblia mówi, że grzechy rodzica mszczą się na jego dzieciach. Jestem wyrzutkiem, niedotykalnym, który może żyć tylko z innym pariasem, z powodu twoich grzechów”. - Angie dodała: - Podpisała się A-L-I-C-I-A zamiast A-L-E-E-S-H-A.

Will chrząknął zniesmaczony. Musiała wiedzieć, że równie dobrze mogłaby mówić po chińsku.

- Podpisała się poprawnie: tak się zapisuje to imię najczęściej. Aleeshą stała się pewnie, kiedy trafiła na ulicę. - Angie mówiła dalej, a on słuchał jak urzeczony. - Data na stemplu pocztowym wskazuje, że nadała list dwa tygodnie temu. Jest drugi stempel z informacją o zwrocie przesyłki z uwagi na niewystarczającą opłatę pocztową. Myślę, że krzyżyk spowodował przekroczenie limitu wagi albo utknął w którejś z tych maszyn na sortowni. - Urwała na chwilę. - Porozmawiasz z jej matką? Sądząc po kodzie pocztowym, nie mieszka daleko, przypuszczalnie w promieniu jakichś szesnastu kilometrów. Ciekawa jestem, czy chociaż wie, że jej córka nie żyje.

Odwrócił się. Trzymała kopertę w dłoni i obróciła ją teraz na drugą stronę, by się upewnić, czy nic ważnego jej nie umknęło na odwrocie. Podniosła wzrok, zobaczyła, że na nią patrzy, i spytała:

- Will?

- Gdybym mógł od tak strzelić palcami i sprawić, żebyśmy nigdy się nie poznali, zrobiłbym to.

Odłożyła kopertę.

- Też bym chciała, żebyś mógł.

- Jak możesz się zadawać z takim facetem?

- Potrafi być czarujący, kiedy chce.

Miała na myśli Michaela.

- To było przed tym, jak się dowiedziałaś, że wykorzystuje dziewczyny, czy potem?

- Przed, ty dupku.

Posłał jej ostre spojrzenie.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała prawo teraz wściekać się na mnie.

- Tak, masz rację - ustąpiła.

- Więc ten Shelley jest pedofilem?

Uśmiechnęła się, jakby było w tym coś zabawnego.

- I mordercą.

- Widzisz w tym coś śmiesznego?

Oparła łokcie na kolanach i posłała mu kokieteryjny uśmiech, który mówił, że jest gotowa iść na całość. - Nie złość się na mnie, kochanie.

- Nie mieszaj w to seksu.

- To jedyny sposób, w jaki umiem komunikować się z ludźmi - zażartowała, cytując opinię swojej lekarki-psychiatry. Will nie miał pewności, czy Angie z nią spała, ale uwaga była celna.

- Angie, proszę.

- Mówiłam ci, że wybrałeś sobie kiepską noc na wizytę. - Podniosła się, włożyła mu w dłoń kopertę i pociągnęła go w stronę drzwi. - No chodź, Will. Pora wracać do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

8 LUTEGO 2006 ROKU GODZINA 9.24

Angie pamiętała Ginę Ormewood z przyjęcia pożegnającego Kena. Była myszowatą kobietą, najwyraźniej niepomierną fakt, że gruby makijaż nasila trądzik, a fryzjer, który bierze mniej niż dziesięć dolarów, niekoniecznie jest najlepszym wyborem. Gdyby Angie tej samej nocy nie bzyknęła się z jej mężem, przypuszczalnie w ogóle by jej nie kojarzyła. A tak wiedziała, że Gina pracuje w szpitalu Piedmont, który Angie mijała w drodze do pracy, jeśli tak można nazwać ten skrawek ulicy przed sklepem monopolowym na Cheshire Bridge Road.

Zadzwoiła wcześniej do szpitala, żeby się upewnić, że Gina Ormewood będzie na dyżurze. Jej zmiana zaczynała się dopiero za dwadzieścia minut, ale Angie nie miała nic ciekawszego do roboty niż czekanie. Kiedy dotarła do szpitala, była zadowolona, że zjawiła się przed czasem. Na ulicy był korek. Potem nie mogła znaleźć wolnego miejsca do parkowania. Po chwili się poddała. Machnęła odznaką przed nosem ochroniarzowi stojącemu przed izbą przyjęć i zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych.

Przy wejściu stał z tuzin osób, wszyscy zętami zwisającymi z ust. Wstrzymała oddech, przechodząc przez kłęby dymu. Nie cierpiała papierosów, ponieważ kojarzyły jej się zawsze z bliznami po oparzeniach na ciele Willa. Jakiś bydlak całymi godzinami przypalał mu skórę na łopatkach, wypalał obsceniczne wzory wzdłuż linii żeber.

Wstrząsnęła się na to wspomnienie.

Mężczyzna siedzący w recepcji nawet nie podniósł głowy, kiedy Angie podeszła do okienka.

- Proszę się wpisać na listę i usiąść.

Podsunęła mu odznakę pod nos, ale nadal nie raczył zaszczycić ją spojrzeniem.

- Musi się pani skontaktować z dyrektorem szpitala, jeśli chodzi o wgląd w historie chorób.

Zerknęła na plakietkę z jego imieniem.

- Żadnych historii, Tank. Chcę się widzieć z Giną Ormewood.

Wtedy na nią spojrział.

- Z Giną? Po co?

- Chodzi o jej męża.

- Mam nadzieję, że sukinsyn zdechł.

- To musi się pan ustawić w kolejce - rzuciła machinalnie, ale nie umknęło jej uwagi, że gość najwyraźniej nie przepada za Michaeliem.

Podniósł się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Miała na sobie strój do pracy, co oznaczało, że wygląda jak kurwa. Mimo to była policjantką, a Tank nie był idiotą.

- Kiedy Gina się pojawi? - spytała.

- Nie będzie pani jej denerwować. - To nie było pytanie.

- Porozmawiam z nią - poinformowała go Angie. Patrzył jej w oczy, jakby potrafił na pierwszy rzut oka poznać, czy będzie sprawiać kłopoty. Pracując w miejscu takim jak to, prawdopodobnie miał tę umiejętność.

- Za jakieś dziesięć minut - powiedział. - Zawsze przychodzi wcześniej.

- Dziękuję. - Angie wrzuciła odznakę do torebki i zajęła jedyne wolne miejsce w zatłoczonej poczekalni.

Naprzeciwko niej siedziała para staruszków, którzy przypuszczalnie byli w wieku Angie, kiedy tu przyszli. Kobieta popatrzyła na nią z obrzydzeniem. Mężczyzna z zainteresowaniem. Jezu, facet musiał być po osiemdziesiątce, a pewnie zastanawiał, ile ma pieniędzy w portfelu. Jego żona wydmuchała nos w wysłużoną chusteczkę. Wyglądała, jakby miała za chwilę paść trupem. Angie rozsunęła szeroko nogi i mężczyzna zbladł. Kobieta wydawała się bliska zawału.

Zanim zdążyli uciec, Angie wstała i podeszła do stojaka z czasopismami. Boże, to miejsce sprawiało takie przygnębiające wrażenie. Poczekalnia była siedliskiem bakterii i chorób. Każdy, kto uważa, że w Ameryce nie funkcjonuje publiczna służba zdrowia, powinien spędzić kilka godzin w izbie przyjęć miejscowego szpitala. Ktoś płacił za świadczenia medyczne dla nieubezpieczonych i ubogich, i pewnie jak diabli, że nie byli to nieubezpieczeni i ubodzy. Cholera, człowiek lepiej teraz wychodził, nie zawracając sobie głowy składką. Dostawał taką samą gównianą opiekę, ale płacił mniej.

Przerzuciła „Field & Stream”, potem bożonarodzeniowy numer „Ladies Home Journal” sprzed dwóch lat i czekała na pojawienie się Giny Ormewood. Michael posunął się wczoraj za daleko. Szcherzył się do niej jak małpa, kiedy ślęczeli razem nad tymi raportami, i teraz rozumiała już dlaczego. Z nią mógł sobie lecieć w kulki - prawdopodobnie na to zasłużyła, ale fakt, że zdenerwował Willa, był niewybaczalny. Musiał się jakoś wygadać, rzucić o jedno

słowo za dużo, tak że Will się zorientował, że się pieprzyli. Całe dni pracowała z mężczyznami, nawet wsadzała sukinsynów, i wiedziała, jak funkcjonują ich małe mózdzki. Nie było chwili, żeby nie mówili albo nie myśleli o seksie, a fakt, że Michael rznął Angie, stanowił smaczkę do obgadania. Pewnie powiedział o tym nawet temu gnojowi Leo Donnelly'emu. Pewnie już cały wydział wiedział. Nic dziwnego, że Will czuł się upokorzony. Boże, musi rzadziej rozmawiać z dziewczynami. Nikt nie nienawidzi mężczyzn bardziej niż prostytutki. Całymi godzinami nic, tylko gadały, jakimi to kanałiami są faceci, a potem musiały iść z pierwszym lepszym dupkiem, który machnął im przed nosem zielonym. Angie miała wystarczająco dużo problemów z mężczyznami, nawet nie myśląc o nich kategoriami kurwy.

Otworzyły się drzwi, uniosła głowę i zobaczyła kilku wchodzących mężczyzn. Spuściła wzrok z powrotem na czasopismo, ale nie mogła się skoncentrować na przepisie na keks. Głowa pękała jej od natłoku myśli o Ormewoodzie, od wspomnienia rozczarowania na twarzy Willa, tego, jak na nią patrzył ubiegłej nocy, kiedy wypchnęła go delikatnie za drzwi. Musiał się cały gotować, gdy Michael zaczął się przechwalać, zdradzając intymne szczegóły swojego podboju.

Przerzuciła kartkę na kolejny przepis. Jeśli Michael ma zamiar tak sobie pogrywać z jedyną osobą, na której Angie zależało, to ona nie będzie siedzieć z założonymi rękoma. Nic nie rozprasza uwagi mężczyzny skuteczniej niż kłopoty w domu.

- Robin?

Angie przerzuciła kolejną stronę. Sweter dla matki i córki. Jakie, kurwa, cudowne.

- Robin? To ty?

Cholera. Podniosła głowę. Stał przed nią John Shelley. Był w towarzystwie czarnego mężczyzny z ręką obwiązaną zakrwawionym bandażem.

- Proszę się zarejestrować - zawołał Tank.

- Wrócę - powiedział jej John. Zaprowadził czarnego do okienka. Ostry krwotok najwyraźniej miał pierwszeństwo, bo Tank z miejsca zajął się Murzynem.

John gapił się na Angie.

- Co ty tu robisz?

- Rutynowa konserwacja - rzuciła, wskazując na dolną partię ciała. - A temu co się stało?

- To Ray-Ray - wyjaśnił John, ten dupek, który chciał na kredyt. - Zranił się kawałkiem metalu wystającym z jednego z samochodów. Art poprosił, żebym go tu przyprowadził.

- Nic mu nie będzie?

- Jeśli Art go nie zabije - powiedział. Wydawało się, jakby na chwilę zapomniał języka, a potem wypalił: - Ładnie wyglądasz.

Wyglądała jak kurwa, ale komplement to komplement.

- Myślałam, że chcesz się trzymać ode mnie z daleka.

- Och. - Mina mu zrzędnęła i przez ułamek sekundy przypomniał jej Willa - obaj nie potrafili ukryć przed nią swoich uczuć, na twarzach obu tak samo wyraźnie malowały się wstyd i rozczarowanie.

- Chodź. - Wzięła go za ramię i wyprowadziła do holu. Stali tuż przy drzwiach wejściowych. Angie widziała sterczących na zewnątrz palaczy. - Wszystko u ciebie w porządku? Uśmiechał się teraz, niemal pogodnie. - Tak. A u ciebie?

- Nie - upierała się. - Kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałeś kłopoty. Skinął głową i spuścił wzrok na stopy. Dlaczego wszyscy mężczyźni, z którymi rozmawia, prędzej czy później spuszczaają wzrok na stopy?

- Miło cię widzieć - rzucił. - Wiem, że powiedziałem, że będę się trzymał z daleka, ale naprawdę cieszę się, że cię widzę.

- Prawie mnie nie znasz. Nic o mnie nie wiesz, nic o mnie nie słyszałeś. Znowu się uśmiechnął. Boże, miał taki słodki uśmiech.

- Słyszałem o Stewiem.

Słyszał kłamstwo, pomyślała. Pierwsze z wielu, jak podpowiadało jej doświadczenie.

- Naprawdę ładnie wyglądasz.

- Już to mówiłeś.

John się roześmiał.

- Staram się wymyślić coś jeszcze. - Znowu się roześmiał, nie ze skrępowania, ale jakby naprawdę dobrze się czuł w jej towarzystwie. Ponownie spojrzął na buty i zauważyła, że ma najpiękniejsze rzęsy, jakie widziała u mężczyzny. Jedwabiste, delikatnie brązowe. Był wysoki, niemal tak wysoki jak Will, ale pierś miał szerszą i zdecydowanie więcej pewności

siebie. Miał także, pomimo zimy, opaloną twarz, a we włosach złote pasemka od całodziennej pracy na dworze.

- Ty też wyglądasz niczego sobie - stwierdziła.

Uśmiechnął się zadowolony, jakby chciał jedynie stać tutaj i rozmawiać z nią przez cały dzień.

Jakich kłamstw by mu naopowiadała? Ile czasu by minęło, zanim zabrałaby go do schowka na przybory do sprzątanania albo łazienki i przeleciała, a potem zniechęciła za to, że ją pieprzył? Ile, zanim jego życie też by spaprała?

- Za co siedziałeś? - spytała.

Uśmiech opadł mu z twarzy. Ramiona też opadły.

Angie czytała już wyciąg z akt dotyczący jego zwolnienia warunkowego, ale zawierał tylko zarzuty, nie szczegóły przestępstwa.

- Powiedz, co zrobiłeś.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Wczoraj trafił mi się sprzedawca aluminiowych okładzin elewacyjnych, który prosił, żebymssała mu palce u nóg i nazywała tatusiem - powiedziała. - Myślisz, że uda ci się mnie zszokować?

- Popełniłem kilka błędów.

- Wszyscy je popełniamy.

Potrząsnął głową.

- Nie chcę o tym mówić.

- Długo siedziałeś - zauważyła. - Zabiłeś kogoś?

Oblizał wargi, zdenerwowany. Tak bardzo przypominał

Willa, że mogliby być braćmi. Cholera, biorąc pod uwagę, jaką puszczałką była matka

Willa, niewykluczone, że nimi są.

- Muszę wracać do Ray-Raya, przypilnować, żeby nie wpakował się w nic głupiego.

Angie popatrzyła przez szklane drzwi. W grupce palaczy stała Gina Ormewood, jej niebieski pielęgniarzki uniform stanowił ostry kontrast z papierosem, którego ćmiła.

- Naprawdę miło było cię spotkać - rzekł John.

- Uważaj na siebie.

Zaczął odchodzić, ale się zatrzymał.

- Kiedy to się skończy - powiedział, rozkładając ręce, jakby dzieliła ich jakaś materialna przeszkoda - kiedy już będzie po wszystkim - ciągnął nadal enigmatycznie - może moglibyśmy pójść razem na obiad? Do kina?

- John - zaczęła - myślisz, że naprawdę to się uda?

Pokręcił głową, ale rzucił:

- Będę miał nadzieję, że tak, Robin. To mi pomoże się trzymać. Będę myślał o tym, jak pójdę z tobą do kina, kupię popcorn, może będę cię trzymał za rękę podczas co straszniejszych momentów.

- Wyszłoby taniej, gdybyś po prostu mi zapłacił, a już ja bym zadbała o momenty.

Ujął jej rękę w swoją. Patrzyła osłupiała, kiedy przystawił usta do grzbietu jej dłoni i delikatnie pocałował.

- Zastanów się, jaki film chciałabyś obejrzeć - poprosił. - Jakiś naprawdę straszny. Potem odszedł.

Angie oparła się o ścianę. Wypuściła powietrze. Oto kolejny cudownie uroczy mężczyzna, którego niszczy. Zgoda, cudownie uroczy pedofil i morderca, ale przyganiał kocioł i tak dalej.

Przez rozsuwane drzwi przeszła Gina Ormewood. Popatrzyła na Angie zdziwiona, ale szła dalej w kierunku izby.

- Cześć - powiedziała Angie. - Zaczekaj.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

- Proszę, daj mi spokój.

Angie stanęła naprzeciwko, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Miała rozciętą wargę, a pod lewym okiem siniak, na który aż przykro było patrzeć. Nic dziwnego, że recepcjonista nienawidził Michaela.

- Cholera, co ci się stało?

- Upadłam - odpowiedziała Gina. Chciała odejść, ale Angie zablokowała jej drogę.

- Uderzył cię?

- A jak ci się zdaje?

- Chryste.

Gina zmrużyła oczy, wreszcie poznając Angie.

- Pieprzyłaś się z moim mężem.

- Tak, cóż. - Angie wiedziała, że kłamstwem nic nie zdziała. - Jeśli to cię pocieszy, miewałam lepszych.

Gina się roześmiała, potem skrzywiła, kiedy rana na wardze znowu się rozeszła. Przyłożyła dłoń do ust i popatrzyła na krew na palcach.

- Boże - jęknęła. - Wejźmy tutaj.

Otworzyła drzwi do damskiej toalety i Angie podążyła za nią. Gina była drobniutka, miała może metr sześćdziesiąt w tenisówkach, ważyła jakieś czterdzieści sześć kilo, Michael co najmniej o trzydzieści więcej. To było jak kopać szczeniaka.

- Poznałam go, kiedy miałam piętnaście lat - powiedziała Gina. Nachylała się nad umywalką, patrząc na rozciętą wargę w lustrze. - Interesował się moją kuzynką. O rok ode mnie młodszą. Wydawało mi się, że ją chronię.

Angie wiedziała, że należy pozwolić jej mówić.

- Był taki uroczy - ciągnęła Gina. - Dostawałam od niego listy, kiedy był w Zatoce, pisał, że mnie kocha, że chce się mną opiekować. - Popatrzyła na Angie w lustrze. - Oto jak się mną teraz opiekuje.

Angie zaczęła grzebać w torebce.

- Oni wszyscy z początku są uroczy.

- Wiesz to na pewno?

- Zęby na tym zjadłam.

Gina wyjęła chusteczkę z pojemnika i zmoczyła ją pod kranem.

- Kiedy Tim się urodził - kontynuowała opowieść - wszystko się zmieniło. Zaczął się wściekać o byle co. Niemal mnie nie dotykał. Wychodził nocą, wracał po paru godzinach. - przyłożyła chusteczkę do krwawiącej wargi. - Bywało, że znikał na cały weekend.

Sprawdzałam licznik w samochodzie, pokonywał osiemset, czasem tysiąc kilometrów.

Angie znalazła w torebce to, czego szukała.

- Gdzie jeździł?

- Po kilku ciosach pięścią w twarz przestajesz pytać.

- Odwróć się - poprosiła Angie. - Wycisnęła kilka kropel podkładu na gąbkę i zaczęła wklepywać dokoła oka Giny. - To Clinique - powiedziała. - Jeśli weźmiesz nieco jaśniejszy odcień niż swój normalny i rozprowadzisz palcem, nie będzie tak bardzo widać.

- Ciebie też uderzył?

- Nie - odpowiedziała Angie, w skupieniu tuszując siniaka. Prawda wyglądała tak, że była wtedy zbyt pijana, żeby pamiętać dokładnie, co zrobił Michael. Wiedziała tylko, że obudziła się następnego ranka na tylnym siedzeniu swojego samochodu z wyraźnym śladem po ugryzieniu na piersi i bólem w kroczu, który minął dopiero po kilku tygodniach.

Nie żeby po raz pierwszy przytrafiło jej się coś takiego, ale nigdy wcześniej z kimś z pracy.

- Mówił mi, że był z Kenem - powiedziała Gina.

- Wozniakiem? - Angie rzuciła nazwisko partnera Michaela z dochodzeniówki. - Co niby robił z Kenem?

- Ponoć jeździli razem w góry na ryby.

Angie zacisnęła usta, powstrzymując się od komentarza. Nie potrafiła wyobrazić sobie Kena z wędką, a gdyby nawet, Wozniak nie bardzo pasował jej na koleżkę Michaela.

Gina zniżyła głos prawie do szeptu.

- Był brutalny?

Angie skinęła głową. Uniosła jej głowę palcami, żeby ocenić efekt swojej pracy w świetle.

- To bydlak - powiedziała Gina, nadal szeptem. - Marzę już tylko o tym, żeby uciec.

Angie dodała trochę podkładu.

- Zostawiłaś go?

- Dwa dni temu.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- U matki - odpowiedziała. - Groził, że mnie załatwi.

Jeszcze raz przyjrzała się oku. Mucha nie siada.

- Zgłosiłaś to?

Roześmiała się.

- Jesteś gliną. Sama wiesz, że nic by to nie dało.

- Pieprzenie - powiedziała Angie. - Zgłoś się na policję w DeKalb. Gównem będzie ich obchodziło, że to glina. Wystarczy, że spojrzą na twoją twarz, i z miejsca go przyskrzynią.

- A co dalej? Co będzie, kiedy wyjdzie?

- Wystąp o zakaz zbliżania się.

- Spójrz na moją twarz - powiedziała kobieta. - Myślisz, że jakiś zakaz go powstrzyma?

Miała rację. Angie pamiętała początki służby, ciągle miała przed oczyma dzień, w którym zdierała zakrwawiony zakaz zbliżania się z ręki kobiety, którą mąż zakatował na śmierć.

Posłużył się młotkiem. Ich dzieci na to patrzyły.

Gina umyła ręce nad zlewem.

- Po co tu przyszłaś?

- Chciałam, żebyś przekazała Michaelowi wiadomość.

- Sądzisz, że by mnie posłuchał? - Zakręciła kurek i chwyciła ręcznik, żeby osuszyć dłonie.

- Nie - przyznała Angie. Wyjęła z torebki jedną ze swoich wizytówek. - To mój numer.

Zadzwoń, jeśli ci coś zrobi.

Gina nie wzięła wizytówki.

- Zrobi, co będzie chciał. Telefon mnie nie uratuje. - Przejrzała się w lusterku, przygładziła włosy. - Dzięki za makijaż. Clinique, mówisz? - Angie skinęła głową. - Kupię sobie w przerwie na lunch. Jeśli Michael się dowie, że z tobą rozmawiałam, najpewniej mi się przyda.

- Ja mu nie powiem.

Gina oparła się o drzwi, uchylając je.

- Dowie się - stwierdziła. - Zawsze się o wszystkim dowiaduje.

Angie została w łazience jeszcze przez kilka minut, starając się uspokoić. Miała ochotę porozmawiać z Willem, ale co mogłaby mu powiedzieć? Poszłam do szpitala, żeby nastraszyć żonę Michaela? Pierze ją na kwaśne jabłko i, och, tak przy okazji, tej jednej nocy, którą spędziliśmy razem, poczynął sobie tak ostro, że przez miesiąc nie mogłam się normalnie wyszczać? Podobnie jak każdą inną emocję, Will nauczył się kontrolować swoją krewkość. Angie wiedziała jednak, że nadal w nim tkwi i tylko czeka, żeby coś ją wyzwoliło. Gdyby kiedykolwiek powiedziała mu, co zaszło między nią a Michaelem Ormewoodem, zabiłby go.

Do toalety weszła jakaś młoda dziewczyna, zobaczyła Angie i szybko się zmyła. Podnoszące na duchu, nie ma co. Popatrzyła na swoje odbicie, ciężki makijaż, białą winylową eksponującą krocze spódniczkę, i jaskraworóżowy top bez pleców, który ledwo przykrywał piersi. Nic dziwnego, że ludzie się jej bali.

Wyszła do poczekalni, zerkając na drzwi do izby. Tank trzymał ręce Giny w swoich dłoniach i rozmawiał z nią. Angie nie słyszała, co mówi, ale mogła się domyślić. Nagle Gina zaczęła płakać i mężczyzna ją objął. Angie przyglądała im się przez chwilę - czuła się jak intruz, ale nie potrafiła odwrócić wzroku.

Jakiś terapeuta powiedział jej kiedyś, że szuka mężczyzn, którzy będą ją ranili, ponieważ niczego innego w życiu nie zaznała. Ten sam terapeuta sugerował także, że sama ciągle rani Willa, bo chce go rozzłościć, doprowadzić do stanu, w którym wreszcie się zamachnie i

ją uderzy. Dopiero wtedy potrafiłaby się na niego otworzyć. Wtedy mogłaby go naprawdę pokochać.

Oczywiście nie mówiła terapeutce prawdy o swoich związkach, o Willu. Nie miała zamiaru odsłaniać się całkowicie przed kimś kompletnie obcym. Cholera, skłamała w swoim życiu już tyle razy, że teraz nie poznałaby prawdy, nawet gdyby ta ugryzła ją w tyłek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

GODZINA 11.31

Will siedział przy biurku, odsłuchując nagrany przez Angie list, który Monroe napisała do matki. Odtworzył go już tyle razy, że znał na pamięć, ale chciał słuchać jej głosu, jego modulacji. Od czasu do czasu zerkał na kartkę, usiłując dopasować wypowiedziane przez Angie słowa do tych na papierze. Bardzo nie lubiła głośno czytać i słyszało się to w jej tonie. Will myślał, że gdyby radził sobie z literami tak dobrze jak ona, czytałby na głos przez cały czas.

Zsunął z uszu słuchawki i wrócił do schematu, który rysował w głowie. Odbierał świat w obrazach, niczym w filmowym scenorysie. Teraz przed oczyma zobaczył twarz Jasmine Allison. Jeszcze się nie odnalazła. Policja jej szukała, ale Will nie był pewien, czy

potraktowali rzecz tak poważnie, jak by sobie życzył. A nawet gdyby, to gdzie mieli szukać? Jest milion miejsc, w których można schować małą dziewczynkę - dwa razy tyle, jeśli nie musiała oddychać.

Matki Aleeshy Monroe nie było w domu - dzwonił tam kilka razy dziś rano, aż wreszcie odebrała pokojówka i poinformowała go, że pani Monroe wróci najwcześniej po południu. Zadzwoił więc do policji w DeKalb i ustalił, że w sprawie Cynthii Barrett nie wypłynęło nic nowego. Wysłał nawet techników kryminalistycznych do Grady Homes, żeby zbadali budkę telefoniczną. W pojemniku znajdowało się tylko siedem ćwierćdolarówek, na żadnej nie znaleziono odcisków nadających się do badania.

Żadnych wskazówek, żadnych tropów, którymi można by iść. Miał tylko ten list i nikłą nadzieję, że Miriam Monroe będzie coś wiedzieć.

Leo Donnelly otworzył drzwi gabinetu Willa i zapukał w nie.

- Czołem, stary.

Will wsunął odtwarzacz i słuchawki do szuflady biurka.

- O co chodzi?

- Masz minutkę?

- Jasne.

Leo zamknął drzwi i usiadł na krześle obok biurka. Rozejrzył się po pokoju, wyraźnie zdenerwowany.

- Ładne miejsce.

Will popatrzył dokoła, zastanawiając się, czy detektyw kpi. Gabinet był tak mały, że trzeba było przysunąć jeden bok biurka do ściany, żeby nie musiał się na nie wdrapywać, by wyjść.

Leo wytarł dłonie o swoje tanie spodnie i zerknął przez okno. Sprawiał wrażenie zszokowanego.

- Co się dzieje?

- Właśnie gadałem z Greerem. To mój porucznik, kojarzysz?

- Tak. - Will poznał Greera w poniedziałek, kiedy zwrócił się o dopuszczenie do sprawy Monroe.

Głos Donnelly'ego był pełen niedowierzania.

- Właśnie dostał telefon grzecznościowy z DeKalb. Gina wystąpiła o sądowy zakaz zbliżania się dla Mike'a.

- Gina Ormewood? - Will wyprostował się na krześle. - Co podała jako powód?

- Uszkodzoną twarz. - Leo położył łokieć na blacie i oparł głowę na dłoni. - Greer nie widział zdjęć ani nic, ale gliniarz, który przyjmował zgłoszenie, mówił, że była porządnie obita.

Był ewidentnie wstrząśnięty. Will już wcześniej się domyślił, że poza Michaeliem Leo nie ma wielu przyjaciół w wydziale. A nawet jeśli z niektórymi był blisko, nie donosi się na przyjaciół. To jednak nadal nie wyjaśniało, dlaczego przyszedł do Willa.

Leo potarł kciukiem podbródek.

- Mój stary bijął moją mamę. Patrzyłem na to jako dzieciak.
 - Przykro mi.
 - Sądziłem, że znam gościa - powiedział Leo, myśląc o Ormewoodzie. - To jak grom z jasnego nieba, rozumiesz? Z początku pomyślałem sobie, może suka to wszystko wyssała z palca, ale zadzwoniłem do Michaela i... - urwał. - Próbował zbyć to śmiechem, powiedział, że to jedno wielkie nieporozumienie, że ona już wycofuje wniosek, że wszystko zmyśliła, żeby się na nim odegrać za to, że tak dużo pracuje. - Leo skrzywił usta, jakby to wyjaśnienie do niego nie przemawiało. Był policjantem znacznie dłużej niż Will i prawdopodobnie słyszał tę samą wymówkę od całej masy mężów o ciężkiej ręce. - Wtedy - ciągnął - zacząłem bardziej naciskać, spytałem, co się dzieje. Gina to dobra dziewczyna, wiesz? Ma dobrze poukładane w głowie. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby postanowiła go udupić, ot tak, dla jaj. - Leo popatrzył na Willa, potem przeniósł wzrok z powrotem za okno. - Powiedział, żebym się, kurwa, nie wtrącał.
- Leo najwyraźniej odebrał to jako przyznanie się do winy. Will jako dowód, że Michael odbiera telefon, tylko kiedy na wyświetlaczu widzi numer kogoś, z kim chce rozmawiać.
- Dobra. - Leo odwrócił się do Willa, uderzając kolanami o biurko. Przeklął kilka razy, zanim powiedział: - Pomyślałem, że zajrzę i powiem ci, co słyhać w sprawie Monroe.
 - Coś nowego?
 - Jej alfons został zastrzelony dziś rano.
 - Baby G?

- Dostał dwie kulki w bebech, jedną w głowę. Lekarze mówią, że to tylko kwestia czasu. Mózg nie przejawia aktywności.
- Złapano sprawcę?
- Jego dwóch kuzynów, obaj po piętnaście lat. Babka Baby G widziała wszystko przez okno.
- Leo wzruszył lekko ramionami. - Oczywiście słowa nie powie. Ale obaj się przyznali, więc nie będzie nam potrzebna. Mimo to można by zakładać, że bardziej się przejmie śmiercią wnuka.
- Will pomyślał o Cedricu.
- Czy ktoś inny odniósł obrażenia?
- Nie, to zwykłe gangsterskie porachunki. Powiedzieli, że G obraził ich któregoś dnia, nie okazał szacunku. - Leo jeszcze raz potarł brodę. - Cholera, od kiedy to trzeba okazywać szacunek komuś, kto nie zrobił nic, żeby na niego zasłużyć?
- Jesteś pewien, że to się jakoś nie wiąże ze sprawą Monroe?
- Nie wydaje mi się - powiedział Leo. - Obaj chłopcy mają tego samego adwokata, jakiegoś społecznikowskiego dupka z Buckhead, który ma frajdę, pomagając biednym. Obaj wyjdą za dziesięć lat, maks.
- Możliwe - powiedział Will, myśląc, że Leo najpewniej ma rację. - Dostaliście notkę, którą rozesłałem w sprawie Jasmine Allison?
- O tej zaginionej czarnej dziewczynce? - potwierdził. - Przyklej jej blond perukę, może trafi do gazet.

Will zignorował sarkazm. Myślał o czymś innym.

- Możesz mi przygotować listę zwolnionych ostatnio przestępców seksualnych?

- Jak ostatnio?

Cztery miesiące temu piętnastoletnia Julie Cooper została brutalnie zgwałcona, jej język przegryziono na pół. Nie sposób było powiedzieć, jak długo sprawca działał niezauważony.

- Przynajmniej z ostatnich ośmiu miesięcy - odpowiedział.

- Z terenu samej Atlanty czy metropolitalnego też?

- Też - rzucił Will, wiedząc, że to oznacza trzy razy więcej pracy.

- Ona nie zawsze jest uaktualniana na bieżąco - zauważył Leo. - Będę musiał ją zweryfikować, wykreślić tych, którzy z powrotem poszli siedzieć, przeprowadzili się i tak dalej.

- Będę wdzięczny. - Will poczuł się w obowiązku go zapewnić. - Wiem, że to jak szukanie igły w stogu siana, ale nie mamy zbyt wielu innych tropów.

- Rozumiem, stary. Zebranie tych danych potrwa pewnie dzień, nie więcej. Chcesz, żebym zostawił ci je na biurku? - Leo wstał.

- Byłoby świetnie.

- Zajmę się pierwszą połową - zaproponował Leo. - Pracujemy nad tym wspólnie, zgadza się?

- Zgadza się - powtórzył Will, choć niezupełnie uważał Donnelly'ego za partnera.

Kiedy Leo zamknął drzwi, Will wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer Angie i słuchał sygnału, czekając na połączenie.

Musiała rozpoznać jego numer na wyświetlaczu.

- Co tam?

- Dlaczego żona Michaela wystąpiła przeciwko niemu o sądowy zakaz zbliżania się?

Wolno wypuściła powietrze, nie spiesząc się z odpowiedzią.

- Bo ją bije.

Will poczuł się tak, jakby sam został sprany.

- Jesteś tam? - spytała.

Nie sądził, że zdoła wypowiedzieć te słowa.

- Czy ciebie też uderzył, Angie?

- Powinieneś spytać, jak długo są małżeństwem.

- Czy kiedykolwiek cię uderzył?

- Nie, Will. Nigdy mnie nie uderzył.

- Okłamujesz mnie?

Zaśmiała się tym dziwnym, nieswoim śmiechem, jakim wybuchała, kiedy chciała się od czegoś zdystansować.

- Dlaczego miałabym cię okłamywać, skarbie?

- Dziś rano ktoś zastrzelił alfonsa Aleeshy.

- Nie ja.

- Możesz być choć przez chwilę poważna?
- A co mam powiedzieć, Will?
- Zaginęła dziewczyna - poinformował ją. - Nazywa się Jasmine Allison. Mieszka w tym samym budynku co Aleesha, trzy piętra niżej. W niedzielę wieczór ktoś jej zapłacił dwadzieścia dolarów, żeby zadzwoniła na policję i powiedziała, że napadnięto na Aleeshę. A teraz zaginęła.

Ton głosu Angie się zmienił.

- Kiedy widziano ją po raz ostatni?
- Wczoraj po południu.
- Masz jakiś trop?
- Żadnego.
- Ile ma lat?
- Czternaście.

Angie westchnęła cicho.

- Czy ktoś ze śródmieścia potraktował to poważnie?
 - Tak, dwoją się i troją, żeby pomóc GBI.
- Próbowała stanąć w obronie kolegów.
- Mają tam nawał roboty.
 - Nie przeczę.
 - Czy wcześniej zdarzały jej się giganty?

- Dwukrotnie.
 - Gdybym pracowała w zaginięciach, też nie uznałabym sprawy za pilną. Nastolatki bez przerwy uciekają. Oboje to wiemy. Przypuszczalnie mają teraz poważniejsze przypadki.
 - Jej sytuacja domowa nie przedstawia się wcale tragicznie.
 - Ludzie uciekają jeszcze z innych powodów. - Angie coś o tym wiedziała. Sama uciekała tyle razy, że nawet Will stracił rachubę.
- Popatrzył na zrobioną przez siebie kopię listu Aleeshy do matki. Pisała ołówkiem na liniowanym papierze, więc kserówka nie była najwyraźniejsza. Usiłował wypatrzeć kilka słów, ale nadaremnie. Aleesha pewnie też uciekała z domu.
- Porozmawiam ze znajomymi ze śródmieścia, zobaczę, czy uda mi się ich trochę pogonić. Może ode mnie lepiej to przyjmą niż od jakiegoś palanta z GBI.
 - Dziękuję.
- Will zamknął telefon i popatrzył na wyświetlacz.
Pora złożyć wizytę matce Aleeshy Monroe.

Will rzadko jeździł do pracy samochodem, chyba że wiedział, że danego dnia będzie zdany na siebie. Na ogół przyjeżdżał motocyklem, tak żeby ten, kto mu akurat partnerował, musiał prowadzić. Z wyjątkiem miejsc, w których często bywał - sklepu spożywczego, kubańskiej restauracji, kin - powierzenie mu kierownicy było niemal równoznaczne z

zabłądzeniem. Był w stanie odcyfrować znaki drogowe, ale tylko kosztem wlokących się za nim samochodów. Mapy i plany miast, z ich małym, skaczącym po stronie druczkiem, mogły równie dobrze być napisane w suahili, a kiedy wpadał we frustrację, co z reguły się zdarzało, gdy rozlegało się trąbienie klaksonów, tracił zdolność rozróżnienia strony prawej i lewej.

Jazda do domu Miriam Monroe była lekcją cierpliwości. ignorował gniewne spojrzenia i puszczał mimo uszu nieprzyjemne okrzyki, sunąc powoli DeKalb Avenue. Państwo Monroe mieszkali w Decatur niedaleko Agnes Scott College, na elitarnym osiedlu starych wiktoriańskich rezydencji i domów, o których większość ludzi mogła sobie tylko pomarzyć. Na szczęście nie było duże i istniała szansa, że metodą prób i błędów uda mu się znaleźć właściwy dom przed zachodem słońca.

Ze stopą na pedale hamulca pokonał tory kolejowe i wjechał na College Avenue. Starał się nie brać sobie do serca starszej, chudej kobiety w jasnoniebieskim cadillacu, która go wyprzedziła, wygrażając przez okno pięścią.

Z wielkim trudem udało mu się wyrzucić z myśli Angie. Starał się przeanalizować całe śledztwo od początku, sprawdzić, czy niczego nie przeoczył. Musiał być jakiś szczegół, jakiś trop, który mu umykał.

Pod numerem trzydzieści dwa na Paisely Avenue stał wspaniały stary dom z biegnącą dokoła werandą i ogromną wierzbą, której gałęzie zwieszały się nad dziedzińcem. Zbudowany z piaskowanej cegły miał kryty ciemnym gontem dach, zasypany sosnowym

igliwiem. Will wyobrażał sobie, że przy tyłu drzewach na podwórku musiało być mnóstwo roboty z czyszczeniem rynien.

Zaparkował samochód na ulicy i dokładnie przyjrzał się skrzynce na listy, odcyfrowując wypisane tam grubymi ciemnymi literami nazwisko: MONROE. Mimo to porównał jeszcze numer z adresem na kopercie.

Przy wejściu znajdował się dzwonek starego typu, prawdziwy gong umocowany do ciężkich frontowych drzwi. Will przekręcił kawałek metalu w kształcie kokardki i usłyszał ostry dźwięk rozbrzmiewający wewnątrz.

Rozległ się odgłos kroków na kafelkach, mogła to być równie dobrze kobieta co pies.

- Słucham?

Will się domyślił, że przez wizjer obserwuje go czyjeś baczne oko. Okolica była spokojna, ale znajdowała się na tyle blisko Atlanty, żeby jej mieszkańcy niechętnie otwierali drzwi obcym.

- Nazywam się Will Trent, jestem agentem specjalnym ze stanowego biura śledczego - powiedział, pokazując legitymację. - Szukam Miriam Monroe.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila wahania, może westchnięcie, potem zasuwa odskoczyła i otworzyły się drzwi.

Miriam Monroe wyglądała dokładnie tak jak córka. A przynajmniej tak jak córka mogłaby wyglądać, gdyby wiodła inne życie. Aleesha sprawiała wrażenie niedożywionej, niemal na granicy kacheksji, tymczasem matka była zdrową i silną kobietą o długich kręconych

włosach i pełnym otwartości sobie bycia, który ujmował ludzi. Twarz miała zaróżowioną, błyszczące oczy i choć usta miała zaciśnięte, kiedy mierzyła Willa wzrokiem z miną pełną rezerwy, widział, że jest kobietą, która stara się patrzeć na świat pozytywnie.

Popatrzył na czarnego pudła stojącego przy jej nodze, potem z powrotem na kobietę.

- Przychodzę w sprawie pani córki.

Dotknęła dłonią piersi. Złapała się drzwi, żeby nie upaść.

- Ashley?

- Nie - uspokoił ją i wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Nigdy nie zakładał, że może mieć więcej niż jedną córkę. - Aleeshy - powiedział. - Przychodzę w sprawie Aleeshy.

Zamrugła kilka razy, sprawiając wrażenie skonsternowanej.

- Co?

Will sam zaczął mieć mętlik w głowie. Czyżby pomylił adresy?

- Pani się nazywa Miriam Monroe?

Skinęła głową. Pies zaczął szczekać, przeczuwając kłopoty.

- Przepraszam. Poinformowano mnie, że ma pani córkę imieniem Aleesha.

- Miałam - przyznała. W jej głosie było coś odległego, jakby straciła to dziecko dawno temu. Jej następne słowa potwierdziły, że rzeczywiście tak było.

- Aleesha opuściła nas jako nastolatka. Nie widzieliśmy jej od prawie dwudziestu lat.

Will nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Mogę wejść?

Z uśmiechem cofnęła się od drzwi i delikatnie przesunęła stopą psa.

- Gdzie się podziały moje maniery, przepraszam.

- Nic się nie stało - zapewnił ją Will, myśląc, że nieważne, ile razy to robił, nigdy nie jest w stanie przewidzieć, jak zareaguje rodzic na wieść o śmierci dziecka.

- Może pójdziemy do salonu? - zaproponowała.

Starął się nie gapić na hol, największy, jaki oglądał w prywatnym domu. Ogromne spiralne schody prowadziły na górę, z sufitu zwiisał żyrandol, który wyglądał jak z opery.

- Kupiliśmy go w Bolonii - wyjaśniła Miriam, prowadząc Willa do pokoju obok. - Tobias, mój mąż, jest kolekcjonerem amatorem.

- Aha - powiedział Will, jakby to wyjaśniało sprawę.

Pomyślał o domach, które odwiedzał w ciągu ostatnich kilku dni. Dwa nędzne pokoiki Aleeshy, zagracone mieszkanie, w którym Eleonor Allison wychowywała wnuki. W porównaniu z nimi to był po prostu pałac. Poczynając od grubych dywanów na podłogach po afrykańską barwną sztukę ludową na ścianach - tak wyglądało miejsce, w którym się mieszka, gdy człowiek nie musi się troszczyć o pieniądze.

Miriam spoczęła na krześle, pies ułożył się u jej stóp.

- Napije się pan lemoniady?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Will, siadając na sofie.

Poduszki były twarde i domyślił się, że pokój nie jest często używany. Zastanawiał się, czy fortepian przy wykuszowym oknie stoi tam tylko na pokaz. Zachodził też w głowę, co, do

cholery, wyprawia. Dawno temu nauczył się, że rodzica trzeba informować o śmierci dziecka szybko. Przeciąganie tylko pogarszało sytuację, kiedy informacja wreszcie padała. Will nie był przyjacielem Miriam Monroe: miał po prostu ją zawiadomić i wyjść.

Dlaczego zatem tego nie robił?

Może dlatego, że w głosie kobiety, w jej obecności, było coś kojącego. Jej twarz mogłaby figurować w słownikach obrazkowych przy słowie matka. Kiedy Will był mały, myślał, że czarne dzieci są bardziej kochane niż białe, z tego prostego powodu, że z setek maluchów, które przewinęły się przez dom dziecka w Atlancie, tylko dwójka była Afroamerykanami.

Dziwne, jak stereotypy łatwo przenikają do głowy, gdy się jest małym.

- W czym mogę panu pomóc? - zagała. Miała bardzo kulturalny głos i udało jej się zerknąć na zegarek, nie sprawiając wrażenia zniecierpliwionej.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem. Zakładałem, że kobieta, z którą wcześniej rozmawiałem przez telefon, poinformowała panią, że dzwoniłem. - Wspomniała, że ktoś dzwonił, ale nie spodziewałam że zobaczę policjanta u swoich drzwi. - Przykro mi - powtórzył Will, wyciągając kołnотatnik i pióro. Robił to tylko na pokaz, głównie po to, by ludzie wiedzieli, że ich uważnie słucha. Kiedy wyjmował pióro z kieszonki na piersi, włączył dyktafon.

Powiedział:

- Nie wygląda pani na zaskoczoną, że przychodzę w sprawie Aleeshy.

- Raczej nie. Aleesha wybrała życie, którego ani ja, ani jej ojciec nie akceptujemy. Jestem pewna, że nie zdziwi się pan, słysząc, że nie jest pierwszym policjantem, który puka do naszych drzwi. - Uśmiechnęła się, ale w jej zachowaniu pojawił się cień rezerwy. - Jeśli pan myśli, że możemy udzielić o niej jakichś informacji, z przykrością muszę wyprowadzić pana z błędu.

Pomimo opanowania kobiety, a może właśnie dlatego, Will wiedział, że to nie przebiegnie łatwo.

- Gdzie jest teraz pani mąż?

- Ma wykład w Nowym Jorku. Specjalizuje się w chorobach kobiecych.

Will nabazgrał coś w notatniku.

- Rozumiem.

- Wydaje się panu ironią losu, że człowiek, który poświęcił się pomaganiu kobietom, ma córkę, która jest prostytutką i narkomanką.

- Tak - przyznał Will. - Nie da się ukryć.

Oparła się na krzesło, najwyraźniej odetchnąwszy z ulgą, że mają to już za sobą.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc córce.

- Jestem pewien, że tak.

- Czy aby? - spytała, jakby chciała zbić go z tropu. - Wydaliśmy tysiące dolarów na leczenie, terapię rodzinną, terapię indywidualną. Próbowaliśmy wszystkiego, co naszym

zdaniem mogło jej pomóc. - Złożyła dłonie na kolanach. - Ale Aleesha po prostu nie chciała pomocy. Zaczęła uciekać, zanim skończyła trzynaście lat.

Will powtórzył zdanie, które Angie powiedziała o dziewczynie.

- Nie można pomóc komuś, kto tego nie chce.

- To prawda - przyznała matka. - Ma pan dzieci?

- Nie, proszę pani. Nie mam.

- To najcudowniejsze błogosławieństwo, jakim obdarzył nas Bóg: zdolność wydawania dzieci na świat. - Wyciągnęła ręce, jakby kołysała w nich niemowlę. - Człowiek po raz pierwszy trzyma w ramionach taką kruszynę i wydaje mu się czymś cenniejszym od złota. Później nawet oddycha się już tylko z myślą o dziecku. Rozumie pan, co mam na myśli?

Will skinął głową, w piersiach miał taką samą pustkę jak ona w ramionach. Pomyślał, że choć jego matka go tak trzymała, najwyraźniej wzbraniała się przed oddaniem go komuś innemu zaraz potem.

- Aleesha - ciągnęła Miriam - uwikłała się w związek z pewnym chłopakiem. - Widział, że rzęsy ma mokre od łez. - Dorastałam w biednej rodzinie, doktor Monroe tak samo. Oboje wiedzieliśmy jednak, ile znaczy dobre wykształcenie, i pracowaliśmy bardzo ciężko, żeby wykorzystać tę szansę, o którą walczyli dla nas inni, za którą nawet umierali.

Spróbował wyrazić swoje uznanie.

- Ewidentnie odnieśliście państwo sukces.

Rzuciła mu spojrzenie mówiące jednoznacznie, że status materialny nie może uchodzić za miernik sukcesu.

- Wydawało nam się, że chronimy dzieci, wychowując je w tej okolicy. Decatur zawsze stanowiło taką małą oazę.

- Narkotyki przenikają do każdego środowiska.

- Chyba tak - zgodziła się. - Pragnęliśmy dla niej czegoś więcej. Człowiek żyje dla swoich dzieci. Rozpacza razem z nimi, cierpi razem z nimi, oddycha za nie, jeśli może. Uciekła z jakimś mężczyzną, którego poznała na odwyku. Kilka tygodni później została aresztowana pod zarzutem posiadania narkotyków. Trafiła do więzienia, a mężczyzna zniknął, prawdopodobnie znalazł sobie inną naiwną dziewczuskę.

Kiedy Will zaczynał pracę w GBI, ze zdumieniem przekonał się, jak wiele kobiet łąduje za kratkami, ponieważ ich faceci wysłali je na handel, przekonując, że policja jest bardziej pobłażliwa dla płci pięknej. Więzienia pełne były młodych dziewcząt, którym się wydawało, że są zakochane. Jego rozmyślenia przerwał głos Miriam.

- Doktor Monroe i ja zrozumieliśmy stopniowo, że narkomania to śmiertelna choroba. To rak, który żywcem zżera rodziny. - Wstała i przeszła przez pokój do fortepianu. - Człowiek dociera do takiego etapu, kiedy się rozgląda i pyta: "Co to robi z resztą mojej rodziny? Jaka krzywdę wyrządzam pozostałym dzieciom, skupiając się bez reszty na ratowaniu tego dziecka, którego uratować się nie da?"

Na fortepianie stały zdjęcia w ramkach i kobieta po kolei wskazywała każde ręką. - Aleesha była najmłodszą dziewczynką. Nazywaliśmy ją średnią pociechą, bo była takim urwisem. - Podeszła do kolejnej ramki, kolejnego dziecka. - Ashley jest najstarsza. Specjalizuje się w ginekologii, jak jej ojciec. - Wskazała następne zdjęcie. - Clinton jest ortopedą. Gerald psychiatrą. Harley pianistą. Mason... - Wzięła małą ramkę w kształcie psa i roześmiała się - psim fryzjerem, niech Bóg ma go w opiece. - Odłożyła zdjęcie na miejsce z ogromną pieczołowitością i Will się zastanawiał, czy Mason nie jest ulubieńcem matki. Szóstka dzieci. Wygodny dom. Jedzenia w bród, ubrań ile dusza zapragnie i jeszcze opieka rodziców. Jak by to było dorastać w takiej rodzinie? Z jakiego powodu Aleesha odwróciła się od tego wszystkiego?

Oczywiście Will był zbyt długo policjantem, żeby brać wszystko, co usłyszał, za dobrą monetę. Wiedział z doświadczenia, że narkomani rzadko kiedy rekrutują się z najszcześniejszych ludzi na ziemi. Sięgają po narkotyki nie bez powodu, czy jest nim chęć, żeby się dostosować czy przeciwnie, odciąć od wszystkiego. Nieobecny ojciec może być typem sadysty. Bracia mogli szukać doświadczeń seksualnych w pokoju obok. Niewykluczone, że starsza siostra była rodzinnym prymusem rzucającym na drugą cień, w którym nic nie chciało rozkwitnąć.

Ale Will nie przyjechał tutaj odgrzebywać brudnych sekretów rodziny Monroe. Przyjechał, żeby poinformować tę kobietę, że córkę, którą stracili tak dawno temu, teraz stracili na zawsze. Spytał:

- Nie widziała pani Aleeshy od dwudziestu lat?

- Co najmniej.

- Żadnych telefonów? Kartek albo listów?

- Raz zadzwoniła, kilka lat temu - przypomniała sobie Miriam. - Była w więzieniu. Chciała pieniędzy.

Michael twierdził, że Aleesha podała przy aresztowaniu tylko Baby G jako osobę, którą należy zawiadomić, ale oficer dyżurny na pewno odnotował, do kogo dzwoniła, i kto ją odwiedzał, jeśli siedziała dłużej niż dzień.

- To pani z nią rozmawiała? - spytał.

- Tak - odpowiedziała. - Cała rozmowa trwała może minutę. Powiedziałam córce, że nie dam jej żadnych pieniędzy, i trzasnęła słuchawką - wyjaśniła Miriam. - Wtedy słyszeliśmy o niej po raz ostatni. Nie wiem nawet, gdzie teraz mieszka.

- Wie pani, w jakim obracała się środowisku? Kim byli jej przyjaciele?

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Ostrzegałam pana, że raczej nie pomogę w jej odszukaniu. - Popatrzyła na swoją dłoń ciągle spoczywającą na fortepianie. - Może mi pan powiedzieć, co takiego zrobiła? Chyba nie... - Zerknęła na Willa, potem z powrotem spuściła wzrok. - Chyba nikogo nie skrzywdziła?

Will poczuł ściskanie w gardle.

- Czy pozostałe dzieci państwa mieszkają w pobliżu?

- Nie dość blisko. Mason ma mieszkanie tuż za rogiem, ale to wciąż za daleko, gdy jest się babcią i ma trójkę uroczych wnucząt do rozpieszczania.

- Może powinna pani do niego zadzwonić.

Uśmiech jej zbladł.

- Po co miałabym to robić?

- Pani Monroe. Naprawdę chciałbym, żeby zadzwoniła pani do syna albo kogoś, kto mógłby przyjść i posiedzieć z panią.

Zachwiała się przy fortepianie, tak jak wcześniej przy drzwiach.

Pies warknął cicho, kiedy Will się podniósł.

- Chyba mi pan zaraz powie, że w końcu wzięła za dużo. - Słowa przychodziły jej z trudem.

- Nie, proszę pani. - Ponownie wskazał na sofę. - Może jednak zechce pani usiąść.

- Nie zemdleję - powiedziała mu, choć jej twarz koloru czekolady wyraźnie pobladła o ton. -

Niech pan mi powie, co się stało mojej córce.

Will powinien po prostu ją poinformować i zostawić samą z bólem, ale nie potrafił. Ku swojemu zaskoczeniu, kiedy się odezwał, usłyszał w swoim głosie błagalny ton.

- Pani Monroe, proszę, niech pani usiądzie.

Pozwoliła, żeby poprowadził ją do sofy i przy niej usiadł.

Powinien wziąć ją za rękę, zrobić coś, żeby ją uspokoić, ale nie czuł się na siłach, żeby ją pocieszać. Wiedział jednak, że odwlekanie tego, co nieuniknione, było jedną z najbardziej egoistycznych rzeczy, na jaką sobie pozwolił.

- Aleesha została zamordowana w niedzielę wieczór na schodach prowadzących do jej mieszkania.

Miriam otworzyła usta i z trudem łapała powietrze.

- Zamordowana?

- Ktoś ją zabił - potwierdził. - Sądzę, że najpewniej znała napastnika. Myślę, że wyszła za nim na schody, a on zranił... - Zawahał się. - Zranił ją w taki sposób, że doprowadziło to do jej śmierci.

- W taki sposób - powtórzyła Miriam. - Co to znaczy? Cierpiała?

Powinien był skłamać - co to szkodziło powiedzieć matce, że jej dziecko umarło szybko - ale nie potrafił.

- Już nigdy się nie dowiemy, czy zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Mam nadzieję, że nie... - Urwał. - Mam nadzieję, że narkotyki zaburzyły jej świadomość.

Wydała stłumiony okrzyk.

- Czytałam w prasie. Jakąś kobietę zamordowano w Grady Homes. Nie podali jej nazwiska, ale... do głowy mi nie przyszło, tylko zakładałam...

- Przykro mi - rzucił Will, myśląc, że w ciągu ostatnich kilku dni wypowiedział ten zwrot więcej razy niż przez całe swoje życie dotychczas. Wyciągnął ksero listu Aleeshy. - Znaleźliśmy go w jej skrzynce na listy. Został zwrócony, bo nie było wystarczającej liczby znaczków.

Matka złapała list jak linę ratowniczą. Kiedy patrzyła słowa, po policzkach spływały jej łzy. Przeczytała go kilkanaście razy, zanim wyszeptała: - Parias.

- Może mi pani wyjaśnić, co miała na myśli?

Miriam trzymała list na kolanach, ręce jej się trzęsły.

- Po drugiej stronie ulicy stał dom, trzy numery i całe światy dalej. - Zapatrzyła się przez okno, jakby go tam widziała. - Byliśmy wtedy jedyną czarną rodziną w okolicy. Śmiało się z Tobiaszem, że ludzie mówią „co za sąsiedztwo”, kiedy tuż pod ich własnym nosem mieszkał diabeł wcielony.

- Czy ta rodzina nadal tu mieszka?

Potrząsnęła głową.

- Przez ten dom przewinęło się z dziesięć różnych rodzin, odkąd Carsonowie się wyprowadzili. Został rozbudowany, zamieniony w coś na kształt pałacu, ale podówczas był to zwykły mały dom, w którym działy się złe rzeczy. W każdej okolicy jest taki, prawda?

Ten jeden zły dom z jednym złym dzieckiem?

- Tak, proszę pani.

Przeniosła wzrok z powrotem za okno.

- Przyjęcia co weekend. Samochody pędzące drogą wte i wewte. Ten chłopak zatruwał każdego, z kim się stykał. Nazywaliśmy go Pariasem z Paisley Street.

Will przypomniał sobie, że w liście Aleesha pisała tak o sobie.

Miriam mówiła dalej:

- Jego matka prawie nie zaglądała do domu. Była prawnikiem, da pan wiarę? - Odwróciła się do Willa. - Podejrzewam, że mogłabym ją winić i oskarżać aż do znudzenia, ale prawda wyglądała tak, że ona po prostu tak samo jak my nie potrafiła zapanować nad własnym dzieckiem.

- Aleesha uciekła z tym chłopakiem?

- Nie - zaprzeczyła kobieta. - Uciekła z trzydziestodwuletnim mężczyzną nazwiskiem Marcus Keith. Był jednym z doradców w ośrodku terapii uzależnień. Później się dowiedzieliśmy, że był już wcześniej karany za molestowanie nieletniej. - Zaśmiała się smutno. - Równie dobrze mogliby zainstalować obrotowe drzwi w każdym więzieniu w Ameryce.

Will starał się ważyć słowa.

- W liście wydaje się panią o coś winić.

Miriam uśmiechnęła się cierpko.

- Kiedy Aleesha miała jedenaście lat, porzuciłam rodzinę. Pojawił się pewien mężczyzna. Chyba jaka matka, taka córka. - Uniosła list. - Czy też „grzechy rodzica”, jak Aleesha elokwentnie to ujęła.

- Ale przecież pani wróciła.

- W końcu się z Tobiaszem z tym jakoś uporaliśmy, ale przez długi czas sytuacja była napięta. W tym całym zamieszaniu Aleesha zeszła na drugi plan, a potem zakochała się w

chłopaku z sąsiedztwa. - Uniosła ręce i dotknęła małego krzyżyka, który wisiał na złotym łańcuszku na szyi.

Will sięgnął do kieszeni i wyjął pasyjkę z listu Aleeshy.

- Znaleźliśmy to u niej.

Miriam popatrzyła na krzyżyk, ale go nie wzięła.

- Wszystkie moje dzieci mają taki.

Nie chciał mówić, że Aleesha go odesłała. List był wystarczającym ciosem. Mimo to musiał zapytać:

- Czy ma jakieś specjalne znaczenie?

- Tobias je kupił, kiedy wróciłam do domu. Usiedliśmy przy stole i każdemu po kolei dał jeden. Symbolizowały naszą jedność, wiarę w to, że możemy na powrót stać się rodziną.

Will położył kobiecie krzyżyk na dłoni i zacisnął na nim jej palce.

- Jestem pewien, że chciałaby, żeby go pani zatrzymała.

Zostawił ją samą w pokoju i odszedł korytarzem, mijając dzieła sztuki, fotografie, wszystkie rzeczy, które Miriam i Tobias Monroe przez lata gromadzili, żeby uczynić swoją rezydencję prawdziwym domem. Przy drzwiach znajdował się wysoki stoliczek i Will właśnie kładł na nim wizytówkę, kiedy usłyszał jej głos dochodzący z drugiego pokoju, stłumiony przez odległość i ból. Rozmawiała przez telefon.

- Tu mama - powiedziała któremuś ze swoich licznych dzieci. - Potrzebuję cię.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

GODZINA 21.16

Przy końcu zmiany Angie padała z nóg. Dzięki jej ciężkiej pracy dwóch bawiących przejazdem handlarzy propanem, kierowca ciężarówki oraz bezrobotny ojciec trójki dzieci siedzieli teraz w areszcie, zachodząc w głowę, jak wyjaśnią swoim małżonkom fakt, że zostali zatrzymani za nagabywanie prostytutki. Jeśli ich wymówki będą choć w części przypominały te, którymi raczyli Angie - żona mnie nie rozumie... w drodze czuję się samotny... dzieci mnie nienawidzą - czekała ich długa noc w zimnej celi.

Angie doszła do wniosku, że tak jak się rzeczy przedstawiają, jej codzienne wysiłki nie mają sensu. Klienci ciągle wracali, dziewczynki ciągle wychodziły. Nikomu nie zależało na dotarciu do źródła problemu. Przez ostatnie sześć lat Angie miała okazję dobrze poznać te kobiety. Wszystkie były w przeszłości wykorzystywane seksualnie, wszystkie doświadczyły zaniedbania, wszystkie od czegoś uciekały. Nie trzeba było być harwardzkim ekonomistą, żeby się zorientować, że o wiele taniej byłoby zapewnić dzieciom bezpieczeństwo w dzieciństwie, niż zamykać je i utrzymywać w więzieniu, gdy już dorosły. To jednak było iście po amerykańsku: wydać milion dolarów na ratowanie dziecka, które wpadło do studni,

ale Boże broń przeznaczyć stówę na jej zabezpieczenie, tak by dziecko w ogóle nie mogło do niej wpaść.

Jasmine Allison będzie pewnie jednym z tych zaginionych dzieci, które nigdy nie zostają odnalezione. Wylądaje na ulicy z nowym nazwiskiem, nową osobowością i nałogami, za pomocą których alfons będzie ją kontrolował. Po sposobie, w jaki Will mówił o dziewczynie, Angie wiedziała, że się o nią martwi. Miał wszelkie podstawy, biorąc po uwagę, że zapłacono jej, by zadzwoniła na policję w wieczór, kiedy zginęła Aleesha. Angie miała także świadomość, że istnieje cała masa innych mniejszych i większych powodów, które mogły wygonić dziewczynkę z domu. Mimo to zadzwoniła do kilku chłopców ze śródmieścia i poprosiła, żeby przyjrzeni się sprawie.

Zerknęła na mapkę, którą nabazgrała na stronie wyrwanej z książki telefonicznej. Ken Wozniak przebywał w domu opieki na Lawrenceville Highway. Przełożona pielęgniarek, która udzielała Angie wskazówek, wydawała się bardzo przejęta, słysząc, że podopieczny będzie miał gościa. Angie spotkała Kena tylko kilka razy. Wątpiła, żeby ją pamiętał. Godziny odwiedzin zaczynały się po dziesiątej. Sądząc po pustym parkingu, Ken nie był tutaj jedyną rzadko odwiedzaną osobą. Hol był nędzawy, ale czysty, wyłożony zwykłymi białymi kafkami, pod sufitem świeciły jarzeniówki. Na stoliku w niewielkim aneksie dla czekających stały sztuczne kwiaty, a pojemnik z wodą pitną zabulgotał, kiedy szła do recepcji.

Recepcjonista przechylił się na krześle z wymownym uśmiechem na ustach. Zmierzył Angie wzrokiem od stóp do głów, notując każdy cal jej stroju. Szydercze wygięcie warg sugerowało, że dokładnie wie, kim ona jest i ile powinna kosztować. Palce rąk splótł za głową, tak że koszula podjechała mu do góry, ukazując rozdęty, owłosiony brzuch.

Oblizał wargi i spytał:

- Ile?

Angie sięgnęła do torebki i wyciągnęła odznakę.

Gość spadł z krzesła. Podniósł się szybko i wyprostował, mamrocząc:

- Ja tylko...

- Chcę się zobaczyć z Kenem Wozniakiem.

- O Boże. - Głos mu się trząsał, kiedy usiłował postawić krzesło. - Potrzebuję tej pracy.

Zastanawiała się, czy aby nie po to, żeby rznąć staruszki drzemiące w łóżkach.

- Weź coś na uspokojenie, Cletus. Nie przyszedłem cię zapuszkować.

- Ja tylko...

- Wozniak - powtórzyła. - Gdzie leży?

Ręce mu się trzęsły, kiedy wystukiwał coś na klawiaturze komputera.

- Prosto korytarzem i w lewo. Sala trzy dziesięć. Jezu, psze pani, przepraszam, co? Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

- Tak, jasne. Ja też nie.

Angie ruszyła korytarzem, stukając szpilkami. Ciągle miała przed oczyma to, jak ten kutasina z recepcji na nią łytał, kiedy weszła. Ten wymowny wyraz jego twarzy, jakby była tylko dziurą, którą przerznie. Kiedy dotarła do pokoju trzy dziesięć, czuła się tak, jakby miała nie więcej niż pół metra wzrostu.

- Halo? - zawołała, pukając do drzwi. Przez ryk telewizora usłyszała sympatyczne chrząknięcie, które wzięła za zaproszenie.

- He - powiedział Ken na jej widok, uniósł jeden kącik ust, próbując się uśmiechnąć. Stracił na wózku inwalidzkim jakieś trzydzieści kilogramów i zastanawiała się, jak udawało mu się budzić co rano ze świadomością, że nic innego go już nie czeka.

- Pamiętasz mnie? - spytała Angie.

Zaśmiał się głęboko i znacząco, jakby chciał powiedzieć „Jak mógłbym zapomnieć?”

Przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko. Ken szarpał się z pilotem, usiłując wyłączyć fonię. Angie nie cierpiała domów opieki niemal tak samo jak szpitali, a tu nagle jednego dnia odwiedza oba. Chemiczny odór środka odkażającego, biała pościel i migotliwe światła przypominały jej dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła matkę po przedawkowaniu. Leżała w łóżku, całkowicie nieruchomo, z otwartymi ustami, jakby się dziwiła, że się tam znajduje. Nieodwracalna śpiączka. Angie była tylko dzieckiem, ale zdążyła już się naoglądać *General Hospital* i *Dni naszego życia* i dokładnie wiedziała, co to znaczy: mała, jesteś udupiona.

- Ju - powiedział Ken. Wreszcie udało mu się wyciszyć telewizor.

- Jak się miewasz? - Angie starała się mówić pogodnie.

Wzruszył jednym ramieniem. Z pewnością bywało lepiej.

- Głupie pytanie, co?

Ken uśmiechnął się stroną twarzy, nad którą miał władzę.

- Nie najlepiej mówisz?

- Zle - przyznał.

- Chcę pogadać o Michaelu Ormewoodzie.

Przez kilka minut gapił się na niemy telewizor. Wreszcie wydał policzki i wydmuchnął powietrze przez usta.

Angie przeszła od razu do sedna.

- Wiem, że to dupek, więc nawet się nie trudź mówieniem mi tego.

Ken skinął głową.

- Wiedziałaś, że bije swoją żonę?

W jego oczach pojawił się błysk szoku.

- Wnoszę z tego, że nie - skonstatowała. - Widziałam ją dziś rano. Wygląda, jakby potraktował ją baseballlem.

Szczęka mu się wysunęła, sprawna ręka zacisnęła na podołku w pięść. Nadal pozostał gliną, chociaż pewnie nie potrafił sam podetrzeć sobie tyłka w toalecie.

Angie nachyliła się i oparła łokcie na kolanach.

- Wiem, że go nie lubiłaś. Dlaczego? Co ci się w nim nie podobało?

Sapnął głośno w odpowiedzi.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

Zrobił jeszcze jeden wydech.

- Aha - powiedziała, wreszcie łapiąc. - Dęty. Dęty bufon.

Ken skinął głową, podekscytowany, a Angie miała dość rozgrywania bolesnej partyjki mimicznych szarad. Nie mogła jednak na tym poprzestać.

- Kiedy Michael pracował w obyczajówce, wykorzystywał panienki - wyznała.

Ken wzruszył ramieniem.

- Czy to ma oznaczać „A czego się spodziewałaś?” czy „Wcale mnie to nie dziwi?”

Popatrzył na swoją rękę leżącą na kolanach, palce wskazujący i środkowy wolno się uniosły, pokazując, że chodzi o drugą ewentualność. „Wcale mnie to nie dziwi”.

- Powiedziałam mu, że albo odejdzie, albo złożę raport, więc odszedł.

- E ja ho Dos. - Zamknął usta. Widziała, że nie może znieść swego bełkotu. - Ja ho dostłem.

- Tak - powiedziała. Michael został wyznaczony na partnera Kena. - Ty go dostałeś.

Siedzieli tak oboje, usta Kena się ruszały, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Angie starała się zachować obojętną minę, nie okazać, jak trudno było oglądać go w takim stanie.

Wreszcie powiedział:

- Ty - na tyle wyraźnie, że każdy mógł zrozumieć.

- Ja co?

Po prostu się gapił i Angie uświadomiła sobie, że patrzy prosto na dół jej koszulki.

Wyprostowała się ze śmiechem.

- Chryste, Wozniak. Ty stary dziwkarzu.

- Ne. - Machnął ręką lekceważąco. - Ne o. - Rozejrzał się po sali, jakby potrzebował rekwizytu. Wreszcie spojrzął z powrotem na swoje ręce. Patrzyła, jak z trudem prostuje prawy palec wskazujący, potem z lewego i kciuka robi kółko. Włożył w nie palec prawej ręki i zaczął przesuwając w dół i w górę.

Angie skrzyżowała ramiona.

- Co jest z tobą, do cholery?

- Ne - upierał się. „Nie”.

- Tak - warknęła, kopiując własnymi rękoma symbol pieprzenia. - Łapię, Ken. Doskonale rozumiem, co chcesz powiedzieć. I, owszem, jestem pod wrażeniem, że nadal możesz, ale wybij to sobie z głowy.

- Ty - wrzasnął rozjuszony, dźgając ją palcem - Ma... el. - Jeszcze raz wykonał obsceniczny gest.

- Aaaa - rzuciła przeciągle, kiedy wreszcie do niej dotarło. „Ty i Michael”. - Wiedziałeś o tym? - spytała.

Uniósł brwi. „A kto nie wiedział?”

- Taaa - przyznała. - Bzyknęłam się z nim.

- Po... edział... mi.

- Spodziewam się. - Jezu, wszyscy o tym słyszeli.

- Ee! - powiedział Ken. „Ej!”

Podniosła wzrok. Wyciągnął rękę i uniósł ramię, pytając co jeszcze.

- Jedna z moich dziewczyn została zabita.

Wskazał na telewizor.

- Home. - Musiał widzieć informację w wiadomościach.

- Tak, mieszkała w Grady Homes - potwierdziła Angie. - Odgryziono jej język. Zadławiła się własną krwią.

- Ma-el?

Przez chwilę Angie sądziła, że pyta, czy to Michael ją zabił. Potem zrozumiała, co miał na myśli.

- Nie wiem, czy Aleesha była jedną z dziewczyn, które mu dawały, żeby uniknąć pierdła.

Przestałam pracować w Grady Homes mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ci go przydzielili. Zostałam zdekonspirowana.

- Kto?

Angie zaśmiała się z samej siebie. To pytanie nigdy nawet nie przeszło jej przez głowę.

Wcześniej wychodziła z założenia, że jedynie określoną liczbę razy można iść z klientem i wrócić bez niego, nie wzbudzając podejrzeń, że jest się z policji.

- Sądzę, że Michael mógł mnie zdekonspirować - zgodziła się. - Być może uznał, że wpędzi mnie w kłopoty, ale zostałam przesunięta na inny rewir. Nowe dziewczynki. Nowi klienci. -

Przypomniał jej się jeden w szczególności. - Kilka miesięcy temu Michael zjawił się na moim nowym rejonie - poinformowała Kena. - Myślałam, że po prostu pajacuje, ale kazał panią uważać na gościa, który właśnie wyszedł na warunkowe. Twierdził, że to niebezpieczny pojeb.

Ken prychnął. Najwyraźniej z przyjemnością słuchał, jak ktoś obrabia dupę Michaelowi.

- Tak, wtedy też sobie nic z tego nie robiłam - przyznała. - Ale potem spotkałam tego mężczyznę, o którym mówił Michael. Nazywa się John Shelley.

Ken wzruszył ramieniem. „Pierwsze słyszę”.

- No i - powiedziała Angie, wiedząc, że mówi chaotycznie - dzień po tym, jak zginęła Aleesha, na podwórku przed domem znaleziono martwą sąsiadkę Michaela.

- E ak?

- Tak - zgodziła się Angie. To było coś, czego nie mógł usłyszeć w wiadomościach. Ona sama nie znałaby szczegółów, gdyby nie Will. - Miała odcięty język. Monroe wprawdzie odgryziono, ale mimo wszystko...

Ken siedział bez ruchu. Angie poczuła się fatalnie. Stary koń był wystarczająco skołowany, nie musiała jeszcze dorzucać do pieca, zwałając mu na głowę własne kłopoty.

- Nie powinnam zwracać ci tym głowy.

- Dal. - Ken zakreślił ręką koło. Chciał usłyszeć więcej.

- Ta sąsiadka miała dopiero piętnaście lat. - Angie zamilkła. Czy Gina Ormewood nie powiedziała czasem, że miała tyle samo, kiedy poznała Michaela?

- Kiedy była wojna w Zatoce? W dziewięćdziesiątym? Dziewięćdziesiątym pierwszym?

Uniósł jeden palec.

- Jak myślisz, ile lat może mieć Michael? Czterdzieści zgadza się? W zeszłym roku urządzili mu jakieś przyjęcie. Pamiętam, że wszędzie były czarne balony.

Ken potaknął.

Angie była kiepska w matematyce. Will obliczyłby to w głowie, ale ona potrzebowała czegoś do pisania. Znalazła w torebce świstek papieru i kredką do oczu nabazgrała szybko cyferki, mrużąc pod nosem:

- Michael urodził się w sześćdziesiątym szóstym. Minus dwa tysiące sześć. - Sprawdziła jeszcze raz, żeby się upewnić, że się nie pomyliła. Wolno podniosła wzrok na Kena. - Gina miała piętnaście lat, kiedy się poznali. Powiedziała, że z początku interesował się jej kuzynką, która była o rok młodsza.

Pokazała Kenowi świstek z obliczeniami.

- On miał wtedy dwadzieścia pięć. Co dwudziestopięcioletek może robić z piętnastoletnią dziewczynką?

Ken wydał wymowny odgłos o jednoznacznej konotacji.

- Powiedz mi coś. Czy kiedykolwiek jeździłeś z Michaeliem w góry na ryby?

Wyraz jego twarzy był tak czytelny, że nie trzeba było słów. „Skąd”.

Angie minęła swój dom, nadal usiłując zrozumieć implikacje tego, do czego doszła, rozmawiając z Kenem. Fakt, że Michael Ormewood poderwał i poślubił nastoletnią dziewczynę prawie piętnaście lat temu, nie stanowił jeszcze dowodu, że teraz jest w coś zamieszany. Był to jednak dziwny zbieg okoliczności, a Angie za długo pracowała w policji, by wierzyć w takie przypadki.

Analizowała w głowie możliwy scenariusz wydarzeń, zawróciwszy na końcu ulicy i jeszcze raz minąwszy swój dom, jadąc Piedmont Avenue. Skręciła w lewo na światłach, potem jeszcze raz w lewo na Ponce de Leon; przez cały czas rozważała w głowie różne ewentualności. Michael nadal wykorzystywał panienki, nadużywając stanowiska. Baby G się zorientował. Może Aleesha Monroe była jedną z tych panienek, a G uznał to za kradzież swoich zarobków. Zabił Monroe, potem w ramach nauczki zlikwidował sąsiadkę Michaela. Ale po co Baby G miałby zabijać Cynthię Barrett? Nawet jeśli Michael rzeczywiście miał słabość do nastolatek, wcale nie musiał posuwać swojej sąsiadki. Poza tym tego typu lubieżne skłonności nie były niczym wyjątkowym u czterdziestolatka. Wystarczyło rzucić okiem na byłe pismo o modzie czy pójść do kina, żeby napatrzeć się na skąpo odziane dziewczynki uwieszone u ramion mężczyzn, którzy mogliby być ich ojcami. Tam do licha, nie sposób było przejść przez pasaż handlowy, nie natykając się na całą masę dwunastolatek w bluzeczkach ledwo przykrywających sutki i dzinsach niemal odsłaniających cipki. A ich matki zwykle nosiły się podobnie.

Angie minęła City Hall East i skręciła w prawo w Poncey Highlands. Zwolniła, upewniając się, że motocykl Willa stoi przed budynkiem, zanim zaparkowała na ulicy.

Wysiadła z samochodu, nie dając sobie czasu na zmianę decyzji. Zapukała pięścią, potem jeszcze kilka razy wcisnęła dzwonek.

Nie spieszył się z otwarciem drzwi. Zauważyła, że spuścił rękawy koszuli, ale nie zapiął mankietów. Nadal miał na sobie kamizelkę od garnituru, a na dodatek jeszcze trzymał na lewej ręce tego głupiego psa niczym torebkę cukierków.

- Dlaczego zawsze tak się wleciesz do tych pieprzonych drzwi?

- Co się stało?

Upuściła torebkę przy wejściu, wyminęła go i weszła do środka. Gdzieś w tle leciał audiobook, a na stoliku leżał zegarek kieszonkowy, który Willi rozmontował, żeby naprawić. Popatrzyła na małe sprężynki, zębatą przekładnię, które przymocował do kawałka korka, i leżący obok zestaw narzędzi. Angie nieodmiennie szokował fakt, że Will potrafi w dziesięć sekund zorientować się, jak działa zegarek, ale potrzebuje półgodziny na zrozumienie strony z książki.

Postawił suczkę na podłodze. Potruchtała do kuchni Angie słyszała, jak pije wodę.

- Co się stało? - powtórzył Will, wyłączając sprzęt stereo.

- Musisz pogadać z alfonsem Aleeshy.

- Z Baby G? - spytał Will. - Nie żyje.

- Że co?

- Zginął dziś po południu - poinformował Will. - Jacyś kuzyni mieli powyżej uszu jego szarogęszenia się.
- Nie tak szybko - poprosiła, choć to jej tętno szalało. - Powiedz mi, co się wydarzyło. Zmrużył oczy, ale wyjaśnił.
- Tego dnia, kiedy ja i Michael rozmawialiśmy z Baby G, na masce jego bmw siedziało dwóch chłopców. G powiedział, że to jego kuzyni.
- Angie usiadła na sofie.
- Tak.
- Przegonił ich, wygrażając kijem baseballowym. Chyba im się to nie spodobało. Zasadzili się na niego, oddali trzy strzały.
- Usiądź - poprosiła. Nie lubiła, kiedy nad nią stał. - Jesteś pewien, że właśnie tak to było, że to kuzyni go zastrzelili?
- Jeśli można być czegoś pewnym z tymi gangsterami. - Usiadł przy niej. - Rano rozmawiałem z funkcjonariuszem, który dokonał zatrzymania. Obaj najpewniej będą odpowiadać jak dorośli. Jeden już zaczął zrzucać winę na drugiego. Był już notowany. Posiadanie narkotyków. Napaść. To byłoby trzecie przestępstwo na recydywie. Usiłuje wybronić się przed dożywociem.
- Jesteś pewien, że nie są zamieszani w nasze śledztwo?
- Żaden z nich nawet nie znał Aleeshy.

Angie skinęła głową na znak, że usłyszała. Była zbyt zszokowana, żeby mówić. Cokolwiek Baby G wiedział o Michaelu Ormewoodzie, zabrał to ze sobą do grobu.

- Źle wyglądasz - powiedział Will.

- Dzięki.

- Mówię poważne. Co ci jest?

- Miałam naprawdę ciężki dzień - poinformowała go i nagle poczuła, że to wszystko ją dopada. - Musiałam pojechać do szpitala.

Wyprostował się, wziął ją za rękę.

- Nic ci nie jest?

- Nie chodziło o mnie - skłamała, bo tak było łatwiej, niż znosić jego gniew, gdyby się dowiedział, że pojechała rano do Piedmont napędzić stracha żonie Ormewooda. - Zabrałam jedną z panienek. Nic poważnego. Kobięca niedyspozycja.

Will skinął głową i wiedziała, że nie będzie naciskać.

Chryste, niezły pasztet. O tylu sprawach chciała mu powiedzieć, ale nie wiedziała, jak zacząć. I co niby miała rzec? Że Michael był brutalny w noc imprezy Kena? Że jest mężczyzną, przy którym nie można się rozmyślić? Że jego zdaniem kiedy coś się zaczęło, musi się toczyć aż do końca?

Jeszcze pamiętała ten ból, siniaki na udach, wrażenie, że tam, głęboko w środku jest cała porozrywana. Cholera, była zalana w trupa, ale ślady na jej ciele były aż nadto wymowne.

- Dobrze się czujesz? - Will wsunął jej kosmyk włosów za ucho. Ten delikatny gest był czymś nowym. Nigdy wcześniej jej tak nie dotykał, a może po prostu nigdy mu nie pozwoliła.

- Ciężko było tam być - powiedziała, nie precyzując gdzie. - Przypomniała mi się mama. Will pogłaskał ją po włosach, miała ochotę zamknąć oczy i oprzeć głowę na jego ramieniu. Zabrała go kilka razy w odwiedziny do Deidre. Angie łatwiej byłoby chodzić na grób matki, niż oglądać ją na tym szpitalnym łóżku i nigdy nie wiedzieć na pewno, czy za jej zamkniętymi oczyma nie kryje się rozpaczliwe wołanie o pomoc. Dlaczego musiała kochać akurat tę jedną osobę, której powinna najbardziej nienawidzić?

- Chodź do mnie - powiedział Will. Przyciągnął Angie bliżej, otoczył ramieniem i odchylił się na sofie, trzymając ją w objęciach. - Posiedźmy tak przez chwilę.

Chciało jej się płakać, ale nie mogła pozwolić sobie na łzy w obecności Willa. Przycisnęła twarz do jego ramienia, czując zapach proszku do prania i sos sojowy, którego kropla skapnęła mu na krawat. Gdyby potrafiła tak siedzieć, Pozwolić, żeby po prostu ją trzymał, może wszystko dałoby się jeszcze naprawić, może mogliby stworzyć całość.

Odwróciła twarz w jego stronę i pocałowała go w szyję. Widziała, że zrobiła mu się gęsia skórka, że przełyka ślinę, i pocałowała go w jabłko Adama.

- Nie musimy... - powiedział.

Objęła go za szyję i przyłożyła usta do jego ust. Will był oporny, ale roznieciła w nim namiętność, używając zębów i języka, dopóki nie zaczął całować jej naprawdę. Ramiona

mu się napięły, kiedy delikatnie ją uniósł i położył na sofie. Opierając się na lewym łokciu, całował jej szyję i muskał dłonią po twarzy.

Mankiet koszuli mu się zsunął i Angie zobaczyła jaskraworóżową bliznę na wewnętrznej stronie nadgarstka. Zawiozła go do szpitala tamtej nocy i czuwała przy łóżku, czekając, kiedy się obudzi, kiedy do niego dotrze, że się nie udało, że nadal jest żywy.

Ostrożnie dotknęła przegubu dłoni i przesunęła palcem po tej samej ścieżce, którą wtedy pokonało ostrze żyłki, rozcinając mu skórę.

Will wyszarpnął rękę, zaszokowany.

- Przepraszam.

Chciał usiąść, ale chwyciła go za kamizelkę i pociągnęła w dół.

- Powiedziałam: przepraszam.

- Angie. - Spróbował jeszcze raz się wyrwać, ale go nie puszczała.

Szamotali się, jednak Will nigdy by sobie nie pozwolił użyć przeciwko niej całej swojej siły. Zdołała ściągnąć go na siebie, wpić mu się w usta i kiedy wygięła się pod nim w łuk, przestał się opierać. Całowała go głębiej i bardziej brutalnie niż zwykle i ku jej zaskoczeniu odpowiadał z taką samą intensywnością.

Poczuła, jak oddech jej przyspiesza, jak ulatuje jasność myśli. Ciężar jego ciała na niej wystarczył, żeby do oczu napłynęły łzy, powędrowała ręką do jego rozporoka, chcąc, żeby to stało się szybko, zanim zupełnie się zatraci.

- Chryste - wymamrotała, odgarniając poły jego kamizelki, wyciągając ze spodni koszulę, potem podkoszulek, żeby zrobić miejsce na swoją dłoń.

Podciągnął do góry jej bluzkę, znalazł ustami nagą pierś. Kiedy objęła go dłonią, stracił rytm. Przejęła prowadzenie, wolną ręką zsuwając majtki. Wprowadziła go do środka, zanim zdążył zaprotestować. Wstrzymał oddech, kiedy na niego napała, zaciskając mięśnie, starając się, żeby doszedł. - Nie - wyszeptał, próbując zwolnić.

Powieki miał zaciśnięte i trzął się z wysiłku, za wszelką cenę pragnąc się pohamować.

Wsadziła mu język do ucha, ugryzła w płatek, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby doszedł. Jęknął głośno, kiedy się poddał, wstrząsany orgazmem.

- O Boże, Angie... - wyszeptał.

Pozwoliła mu się jeszcze chwilę całować, ale zaprotestowała, gdy chciał zsunąć usta na dół.

- Nie - powiedziała, przyciągając go na powrót do swojej twarzy. - Muszę iść.

Był spocony i ciężko oddychał, całując jej piersi.

- Chcę cię posmakować.

Zwierzęcy pomruk w jego głosie przyprawił ją o mrowienie na całym ciele. Muskał teraz wargami jej brzuch. Przygryzła dolną wargę, starając się nie myśleć o tym, jak wspaniale byłoby poczuć jego usta niżej.

- Nie - zdołała wykrztusić, delikatnie go odpychając. - Muszę iść.

- Zostań ze mną.

Nie wiedzieć czemu, słyszalne w jego tonie błaganie sprawiło, że łatwiej było jej odejść.

- Pracuję jutro.

- Ja też.

Odepchnęła go, tym razem bardziej stanowczo. Zsunął się z niej i opadł na oparcie sofy z kolejnym jękiem, choć ten daleki był od wyrazu zadowolenia. Wstała i naciągnęła bieliznę. Koszulkę miała nadal przekrzywioną, pochyliła się do przodu, żeby ją poprawić.

Objął dłonią jej nogę.

- Dlaczego to robisz?

Usunęła się spoza zasięgu jego rąk i wzięła torebkę ze stolika przy drzwiach.

- Dlaczego mi na to pozwalasz?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

9 LUTEGO 2006 ROKU GODZINA 9.58

Martha Lam wykonała najwyraźniej nie jeden, ale kilka telefonów. John dostał pełen zwrot pieniędzy za czynsz, który opłacił z góry w noclegowni, a pokój u pana Applebauma był tańszy o prawie trzydzieści dolarów miesięcznie. Razem z pięćdziesięcioma dolarami, które dostał za przeczołganie się przez zbiornik odkurzacza, była szansa, że nie umrze z głodu w tym miesiącu.

- Cholera - powiedział Ray-Ray. Patrzył na kobietę, która podjechała właśnie toyotą camry pełną wrzeszczących dzieciaków. - Nie jej wina, że jest szpetna, ale mogłaby przynajmniej zostać w domu.

John zerknął na niego z ukosa.

- Kiedy nauczyłeś się mówić pełnymi zdaniami?

- Nie znasz brata swego - rzucił Ray-Ray.

Zostawił Johna przy suszarce i poszedł myć inny samochód. Zawieszenie broni między nimi dwoma od chwili wizyty w szpitalu zamieniło się w swego rodzaju życzliwość ze strony Ray-Raya. John nie był pewien, co wywołało tę transformację, ale nie narzekał. Miał na pieńku z wystarczającą liczbą osób - wszystko, co tylko ściągnęło mu z karku Ray-Raya, było mu na rękę.

Ta wizyta w szpitalu jemu samemu zresztą też dobrze się kojarzyła. Nadal serce zaczynało mu mocniej bić, kiedy przypominał sobie, jak ujrzał Robin w poczekalni. Miała na sobie strój do pracy, ale John patrzył na jej delikatną skórę, pełne usta. Na to, jak stała, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę i wysuwając biodro. Jak by to było przesunąć dłonią po tym biodrze, przyciągnąć ją do siebie - takie myśli nie dawały mężczyźnie spać nocą. Robin nie była powodem, dla którego John zjawił się dzisiaj w pracy wcześniej, jeszcze przed Artem. Przeprowadzka okazała się bułką z masłem. Wrzucił ubrania do chłodziarki używając jej w charakterze walizki, i poszedł sześć przecznic dalej do domu pana Applebauma. Kiedy już się tam rozlokował, wrócił ponownie na Ashby Street i wykopał nóż

spod drzewa, pod którym go zagrzebał dla bezpieczeństwa. Przez całą drogę autobusem pocił się, przerażony, że zostanie przyłapany z bronią. W myjni rzucił nóż do zasobnika odkurzacza i siedział na murze pod drzewem magnolii, dopóki nie pojawił się Art w swoim cadillacu.

- Co z tobą, Shelley? Starasz się o awans? - zapytał, kiedy zamykał drzwiczki.

John usiłował myśleć logicznie, ustalić, co robić dalej, ale choć bardzo starał się skoncentrować, czuł tylko palący gniew. Michael włożył swój sprężynowiec pod materac w noclegowni, tak jak lata temu podrzucił do szafy Johna nóż kuchenny, rzekome narzędzie zbrodni. Co, do cholery, miał do niego? Co takiego John zrobił Michaelowi, żeby coś takiego na siebie ściągnąć? Nie tylko na siebie, ale całą swoją rodzinę?

Wrobienie Johna wiele lat temu to była jedna sprawa, ale brnięcie w to dalej, podszywanie się pod niego, w czasie gdy siedział w więzieniu... to trąciło już jakąś chorą obsesją.

Michael go nienawdził. Nie posługiwałby się jego tożsamością przez te wszystkie lata, gdyby tak nie było. I kutas jeszcze w oczywisty sposób wykorzystał swoje stanowisko w policji, żeby dotrzeć do pani Lam i próbować ją skłonić, żeby z powrotem zamknęła Johna w więzieniu razem z gwałcicielami i pedofilami. Nie wystarczyło mu, że go wrobił. Chciał jeszcze, żeby John cierpiał.

W ciągu tych wszystkich lat John jakoś pogodził się z utratą wolności, przekonał samego siebie, że jego miejsce jest wśród takich ludzi jak Ben Carver. Był złym dzieckiem, złym synem. Richard Shelley chętnie by to potwierdził. Ale nawet bez cholernego zeznania ojca,

w osądzie własnego sumienia John nie był całkowicie bez winy w sprawie zabójstwa Mary Alice. Zaprosił ją na tę imprezę. Naćpał się. Dał jej alkohol.

Wrócił z nią do jej domu i zakradł się do sypialni. Zarzucił speedballa, po którym odpadł. Pozwolił na to wszystko.

Jednak świadomość, że to Michael, jego własny kuzyn Woody, zaszlachtował Mary Alice, doprowadzała go do szewskiej pasji. Nie potrafił być zły ze swojego powodu, ale był zły z powodu Mary Alice, dostawał białej gorączki na myśl, że drań nie tylko zgwałcił dziewczynę, nie tylko ją zabił, ale jeszcze pokiereszował jak wściekłe zwierzę.

Zdjęcia z miejsca zdarzenia pokazywane na sali sądowej były wstrząsające, tyle że John tam był, widział jej ciało na własne oczy. Ślady po ugryzieniach na małych piersiach.

Ciemne zasinienia i głębokie rany kłusane na wewnętrznej stronie ud. Otwarte oczy patrzące na drzwi, jakby się spodziewała, że lada moment wejdzie matka, żeby ją obudzić na nabożeństwo. Usta wypełnione krwią, sklezione krwią włosy na poduszce.

Co za bydlak. Pieprzony chory bydlak.

Na domiar złego nie poprzestał na Mary Alice. Nadal żył na wolności, nadal robił, co mu się żywnie podobało, na Johna rachunek. A był przecież policjantem. Policjantem! W każdej chwili mógł go załatwić, pewnie już siedzi mu na karku i kombinuje, jak by tu zrobić go w kolejne chore zbrodnie. Na samo wspomnienie wczorajszego wieczoru, dotyku składanego noża, świadomości, że o mały włos nie został złapany na posiadaniu broni, John jeszcze

teraz zlewał się zimnym potem. Michael był w stanie zrobić wszystko. Mógł z miejsca aresztować Johna, a on nie mógł nic na to poradzić.

I może na to zasłużył. Może po tym, co zrobił sąsiadce Michaela, powinien z powrotem trafić pod celę z innymi chorymi bydlakami. Okaleczył dziewczynę. Własnymi rękoma zbeczczył jej ciało. To nie powinno mu ujść na sucho. I wyglądało na to, że prawdopodobnie nie ujdzie.

Suszarka się zatrzymała i John zaczął składać ścierki i układać je w stos w ponad dwustulitrowym cylindrycznym pojemniku na kółkach, który potem przesuwali dokoła samochodów, gdy pracowali. Musiał jeszcze raz porozmawiać z Benem. John dorastał w zakładzie karnym, ale myślał jak więzień, nie jak przestępca. Chciał, żeby ktoś mu powiedział, co ma robić.

- Ty jesteś John?

Stojąca przed nim kobieta była szczupła. Miała metr siedemdziesiąt cztery, może sześć, czarne, obcięte na chłopaka włosy, dopasowany krótki żakiet oraz obcisłe niebieskie dżinsy.

- W czym mogę pomóc? - spytał, spoglądając na charakterystyczną wypukłość pod marynarką. Nie wyglądała mu na policjantkę, żakiet był zbyt elegancki, ale John nigdy nie był zbyt dobry w rozpoznawaniu czarnych charakterów.

- Ty jesteś John Shelley? - powtórzyła.

Obejrzał się przez ramię. Ray-Ray ssał lizaka, ale John widział, że się im przygląda.

- Przeprowadziłeś się - stwierdziła. - Myślałam, że mieszkasz na Ashby Street.

Próbował się uśmiechnąć, choć miał ochotę rzucić ścierki i wziąć nogi za pas.

- O co chodzi?

Trzymała ręce na biodrach i z miejsca przypomniała mu się pani Lam. Nie potrafił się powstrzymać. Popatrzył prosto na metalową przykrywą na zbiorniku odkurzacza.

- Nazywam się Kathy Keenan - powiedziała. - Jestem przyjaciółką twojej siostry.

Upuścił ręczniki.

- Czy Joyce coś...

- Nic jej nie jest - zapewniła. - Musisz tylko z nią porozmawiać.

- Ja... - Popatrzył na stertę ręczników, potem z powrotem na kobietę. Nie wiedział, ani kim jest nieznajoma, ani po co tu przyszła, ale była szalona, jeśli myślała, że uda jej się skłonić Joyce do zrobienia czegoś, czego nie chciała zrobić.

John kucnął, żeby pozbierać ręczniki.

- Ona nie chce ze mną rozmawiać.

- Wiem - powiedziała Kathy. - Ale powinna.

- Kim pani jest?

- Już ci mówiłam. Jej przyjaciółką.

- Chyba nie zna jej pani zbyt dobrze, jeśli myśli, że to się uda.

- Spałam z nią w jednym łóżku przez ostatnie dwadzieścia lat, John. Sądzę, że znam ją lepiej niż ktokolwiek na ziemi.

Zatem Joyce była lesbijką. John zastanawiał, się jak przyjął to ojciec. Jedno dziecko gwałciciel i morderca, drugie zdeklarowana lesba. John nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o prawdopodobnym bezmiarze rozczarowania Richarda.

- Przeszkadza ci orientacja siostry?

- Naprawdę nie sędzę, żebym miał prawo ją krytykować - przyznał John. Przez cały czas myślał: Boże, Richard musiał wpaść w ślepią furię, kiedy się dowiedział. Jego idealna Joyce gra nie do tej bramki.

Kathy miała czarne porsche, jeden z tych samochodów, jakie John oglądał tylko na klęczkach, wygarniając z nich śmieci. Ruszyła prosto Piedmont Road, skręciła w prawo w bulwar Sidneya Marcusa i zaparkowała przed małym budynkiem na Lenox Road tuż przy autostradzie międzystanowej. Szyld na ścianie głosił wykwintnymi złotymi literami: Keenan, Rose i Shelley. Samochód obok, grafitowoszare bmw, stał zaparkowany na miejscu zarezerwowanym dla Joyce Shelley.

Joyce pracowała zatem niecałe trzy kilometry od myjni. Być może nawet mijała go codziennie w drodze do pracy.

- Teraz ma klientów, ale niedługo powinna być wolna - powiedziała Kathy.

Trzasnęło mu w kolanach, kiedy gramolił się z nisko zawieszzonego samochodu. Raz po raz musiał sobie przypominać, że ma prawie czterdzieści lat. Nie wiedzieć czemu nadal czuł się jak piętnastolatek, jakby odsiadka w Coastal przytrafiła się jakemuś innemu Johnowi, jakby

jego umysł był pod celą, podczas gdy ciało zostało na zewnątrz, nie starzejąc się i czekając cierpliwie, by wyszedł i znowu objął je w posiadanie.

- Poczekamy w jej gabinecie - zaproponowała Kathy, prowadząc go przez budynek.

Recepcjonistka śledziła Johna wzrokiem, kiedy mijał jej biurko. Dałby głowę, że z wyjątkiem dozorczy, nie nawykła do widoku ludzi jego pokroju przechadzających się tymi nieskalanie czystymi korytarzami.

- Chwilka. - Kathy porwała kilka kartek z przegródki ze swoim nazwiskiem i przeglądała je, kiedy szli holem.

Gabinet Joyce był ładny, dokładnie taki, jaki John by sobie wyobrażał, gdyby w ogóle pozwalał sobie myśleć o siostrze i jej życiu. Na podłodze leżał perski dywan w odcieniach głębokiego granatu i burgunda, zasłony uszyto z cienkiego, przepuszczającego światło lnu. Kolory były męskie ale zaaranżowane przez Joyce na sposób naprawdę kobiety. A może wystrój stanowił dzieło zawodowego projektanta jakiejś ceniącej się cizi z Buckhead, która kazała sobie słono płacić za wydawanie pieniędzy bogatych ludzi. Na ścianach wisiało kilka obrazów w stylu orientalnym, które nie przypadły Johnowi do gustu, ale zdjęcia na biblioteczce pod oknem przyprawiły go o ból serca.

Mała Joyce i John w kolejce górskiej w Six Flags. John jako niemowlę na kolanach karmiącego go butelką Richarda. Dziesięcioletnia Joyce na plaży w dwuczęściowym opalaczu i z lizakiem lodowym w każdej ręce. Były także bardziej aktualne fotografie. Kathy

i Joyce w zoo. Kathy na koniu z panoramą gór w tle. Dwa labradory retrievery tarzające się po trawie.

Zatrzymał się przy zdjęciu matki. Emily w szalu na głowie: zapadnięte oczy, wklęsnięte policzki - i uśmiech. Miała zawsze taki niewiarygodnie piękny uśmiech. John przetrwał wiele nocy dzięki jego wspomnieniu, łatwości, z jaką nim obdarzała, prawdziwej dobroci, jaka się w nim kryła. Z oczu poleciały mu teraz łzy, świadomość, że już jej nigdy nie zobaczy, wywołała fizyczny ból.

- Emily była wspaniałą osobą - powiedziała Kathy.

John z trudem odstawił ramkę na miejsce. Wierzchem dłoni otarł łzy.

- Znałaś ją?

- Tak. Bardzo się kochały z Joyce. To był dla nas wszystkich ogromny cios, kiedy zachorowała.

- Nie... - John nie wiedział, jak to powiedzieć. - Nie pamiętam, żebym cię widział na pogrzebie.

- Byłam - zapewniła, ale zobaczył napięcie w jej oczach. - Twój ojciec nie bardzo akceptuje nasz związek.

- Spodziewałem się tego - powiedział John. Richard zawsze był pewien, że wie, co jest dobre, a co złe, co słuszne, a co niewłaściwe. Każdy, kto to kwestionował, zostawał natychmiast usunięty z jego życia, niczym rakowata narośl, którą wycinał w sali

operacyjnej. - Przykro mi z tego powodu - uznał za stosowne dodać. - Zawsze kochał Joyce.

Kathy popatrzyła na niego badawczo.

- Próbujesz go bronić?

- Chyba jest mi łatwiej, gdy staram się też patrzeć z jego perspektywy, zrozumieć dlaczego myśli tak, a nie inaczej.

Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. John myślał, że prowadzą do toalety, ale okazało się, że był to rodzaj dużego schowka zastawionego trzema szafkami na dokumenty. Na każdej z nich leżały poukładane w kupki notesy w spiralnej oprawie, razem chyba z pięćdziesiąt.

- To są zapiski z procesu, poczynszczy od przesłuchania wstępnego przez odmowę zmiany miejsca rozprawy po ostatnią apelację. - Pokazywała różne szuflady, mówiąc dalej. - Tu jest twoja dokumentacja medyczna. - Położyła dłoń na górnej szufladzie szafki stojącej najbliżej Johna. - Twoje pierwsze przedawkowanie na izbie, twoje przyznanie się po aresztowaniu i... - Otworzyła usta, ale się zawahała. Nadal jednak patrzyła mu prosto w oczy. - Historia choroby z więziennego szpitala w Coastal.

John przełknął ślinę. Zebra. Wiedziały o Zebrze.

- Tutaj są głównie raporty z posiedzeń komisji do spraw zwolnienia warunkowego - powiedziała, wysuwając szufladę zawierającą sześć czy siedem grubych teczek. - Joyce dostała kopię ostatniego jakiś miesiąc temu.

- Po co? - spytał John, myśląc o tomach akt, które siostra trzymała przez dwadzieścia lat. - Dlaczego to przechowuje?

- Należały do twojej matki - wyjaśniła Kathy. - Te notesy. - Wzięła jeden ze stosu. - To są wszystko jej notatki. Znała twoją sprawę na wrywki.

John otworzył notes, popatrzył na staranne pismo matki. Kiedy Emily dorastała, przywiązywano uwagę do kaligrafii. Jej pismo było piękne, płynęło przez stronę niczym szlaczek z pięknych kwiatów.

Treść nie była już taka ładna.

„Speedball = heroina + kokaina + ??? Skąd bradykardia? Dlaczego bezdech?” John odwrócił kartkę. „Czy ślady ugryzień na piersiach odpowiadają wyciskom stomatologicznym?” I „brak śladów nasienia. Gdzie jest kondom???”

- Próbowała uzyskać dostęp do dowodów materialnych z procesu.

- Dlaczego?

- Chciała wykonać badanie DNA noża, żeby dowieść, że to jej krew jest na ostrzu, ale materiał był tak mały, że mogli wykonać tylko panel mitochondrialny. - Kiedy potrząsnął głową, wyjaśniła. - Mitochondrialne DNA pochodzi od matki, więc nawet jeśli to była krew Emily, nie można wykluczyć, że nie pochodzi od ciebie. Albo Joyce, jeśli idzie o ścisłość, ale to i tak nie pomogłoby sprawie.

- Ślady ugryzień?

- Myślała, że można pokazać, że twoje zęby nie odpowiadają śladom znalezionym na ciele, jednak w jednej ze spraw Sąd Najwyższy orzekł, że dowód ze śladów po ugryzieniach jest niedopuszczalny. - Dodała. - Ale Emily miała nadzieję, że to może pomóc w kwestii odgryzienia języka.

- Co?

- Sąd nie powołał na świadka stanowego specjalisty w zakresie odontologii. Jakies trzy lata przed śmiercią Emily wystąpiła z wnioskiem o wgląd w całość materiału dowodowego, wszystkie akta. Była zdecydowana zacząć od nowa, sprawdzić, czy coś jej nie umknęło. Znalazła opinię, w którym stanowy biegły dentysta twierdził, że jego zdaniem język został... odgryziony, nie odcięty.

- Odgryziony? - powtórzył John. Przed oczyma stanęła mu Cynthia Barrett, przypomniał sobie przyprawiającą o mdłości gładkość jej języka, kiedy trzymał go między kciukiem a palcem wskazującym. Już odciąć nie było łatwo, ale odgryźć? Co za potwór może odgryźć komuś język?

- John?

Odchrząknął i powiedział z trudem:

- Nóż był ich kluczowym dowodem. Biegły zeznał, że posłużył do odcięcia języka. To miało dowodzić działania umyślnego.

- Zgadza się. Emily zamierzała powoływać się na pogwałcenie standardów postępowania przez prokuraturę. Oskarżenie twierdziło, że wręczyli Lydii opinię tego lekarza podczas

przedprocesowego przedłożenia materiału dowodowego, ale Emily nie znalazła żadnej wzmianki na ten temat. To mogło być podstawą do apelacji.

Przerzucał strony, patrząc na daty.

- Mama pracowała nad tym, nawet kiedy była już chora.

- Nie potrafiła przestać - powiedziała Kathy. - Chciała cię uwolnić.

Nie mógł się nadziwić objętości poczynionych przez nią zapisków. Strona za stroną wypełnione najróżniejszymi potwornymi szczegółami, o których matka nie powinna była nigdy usłyszeć. Po raz drugi tego dnia rozplakał się przed kochanką siostry.

- Po co? - spytał. - Dlaczego to robiła? Wyczerpaliśmy możliwości apelacji.

- Nadal istniał cień szansy. Nie chciała jej zaprzepaścić.

- Była za bardzo chora - stwierdził, przerzucając strony na koniec notesu. Ostatni wpis pochodził z tygodnia poprzedzającego jej ostatnie przyjęcie do szpitala. - Nie powinna była tego robić. Powinna skoncentrować się na walce z chorobą, myśleć o tym, jak poczuć się lepiej.

- Emily wiedziała, że nie wyzdrowieje - powiedziała Kathy. - Ostatnie dni życia spędziła, robiąc dokładnie to, co chciała robić.

Teraz naprawdę już płakał wielkimi, rzewnymi łzami na myśl o tym, jak matka ślęczała nad tymi informacjami noc w noc, starając się znaleźć coś, cokolwiek, co doprowadziłoby do jego uniewinnienia.

- Nic mi nie mówiła - stwierdził John. - Nie wspominała, że to robi.

- Nie chciała rozbudzać w tobie nadziei.

Obrócił się szybko, zastanawiając, jak długo siostra stoi za nim. Nie wyglądała na zagniewaną. Spytała:

- Kathy, co ty robisz?

- Wtrącam się - odpowiedziała kobieta, uśmiechając się jak ktoś, kto wie, że zrobił coś złego, ale że zostanie mu wybaczone. - Zostawię was samych. - Uścisnęła rękę Joyce, przechodząc obok, i zamknęła za sobą drzwi.

John nadal trzymał notes, dzieło życia Emily.

- Masz ładny gabinet - oznajmił. - A Kathy...

- I co ty na to? Patentowana lesba w rodzinie Shelleyów - rzuciła ironicznie.

- Założę się, że tata był dumny.

Parsknęła śmiechem.

- Jasne. Tak wniebowzięty, że aż zmienił testament.

John zacisnął szczęki. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Mama kazała mi obiecać, że tego nie wyrzucę. - Joyce machnęła ręką w kierunku regałów. - Bo chciałam. Chciałam cisnąć to wszystko na podwórze i urządzić sobie ognisko.

Byłam tego bliska. - Zaśmiała się niewesołym, posępnym parsknięciem, jakby ciągle się dziwiła, że nie spaliła dokumentów. - Powinnam była. Trzeba było przynajmniej umieścić je w jakimś magazynie albo gdzieś zakopać. - Westchnęła ciężko. - Ale nie potrafiłam.

- Dlaczego?

- Bo należały do niej. Te wszystkie akta, te głupie notatniki. Wiedziałaś, że nie ruszała się nigdzie bez notesu? - Dodała cierpko: - Naturalnie, nie miałeś pojęcia. Nigdy nie zabierała ich do sali widzeń, ale pracowała nad nimi, myślała o nich przez całą drogę do ciebie i z powrotem. Czasami dzwoniła do mnie w środku nocy i prosiła, żebym zerknęła na jakieś mało znane orzeczenie, do którego się dokopała, coś, co mogłoby wywalczyć ci nowy proces. - Joyce popatrzyła na szafki na dokumenty, notesy. - One są jak kawałeczki jej serca, jej duszy, gdybym je wyrzuciła, to jakbym wyrzuciła ją samą. John pogładził dłonią okładkę notesu. Matka poświęciła życie, każdą chwilę na jawie, żeby wy dostać go z Coastal.

A wszystko przez Michaela Ormewooda.

Równie dobrze gnojek mógł zamordować Emily po tym, jak skończył z Mary Alice. Albo sięgnąć do piersi Joyce i wycisnąć życie z jej serca. Boże, John chciał go zabić. Marzył, żeby pobić go do nieprzytomności, potem zacisnąć mu ręce na szyi i patrzeć w oczy, kiedy zacznie do niego docierać, że umrze. Rozluźniłby wtedy uścisk, trzymając go w niepewności, a potem znowu zaczął dusić, tylko po to żeby napawać się jego strachem, absolutnym cholernym przerażeniem, które ogarnęłoby go w momencie, kiedy by zrozumiał, że jest kompletnie bezradny. Wtedy John by odszedł. Zostawiłby go samego gdzieś na pustkowiu i pozwolił, żeby zdechł.

- John? - spytała Joyce. Zawsze miała intuicję, wiedziała, kiedy coś go gryzie. Otworzył ponownie notes, przebiegł wzrokiem po notatkach.

- Co to jest? - spytał. - Bradykardia. Co to znaczy?

Joyce podeszła do regału i otworzyła jedną z szuflad z aktami.

- Kiedy cię aresztowali, byłeś tak słaby, że nie mogłeś samodzielnie ustać.

- Tak. - Pamiętał, jaki był wtedy przerażony.

- Zabrali cię do szpitala. Mama upierała się, że coś ci jest. - Joyce kartkowała dokumenty. -

Wymogła na lekarzach, żeby zrobili ci EKG, EEG, badanie krwi, rezonans.

John mglście to sobie przypominał.

- Po co?

- Bo wiedziała, że coś jest nie tak. - Znalazła wreszcie to, czego szukała. - Proszę.

Wziął dokumentację lekarską i uważnie czytał, podczas gdy Joyce czekała. Cyfry przy wynikach badań niewiele mu mówiły, ale w więzieniu pracował w izbie chorych. Wiedział, czego szukać. Odczytał na głos odręczny zapis lekarza z pola oznaczonego nagłówkiem „rozpoznanie”.

- „Tętno w stanie spoczynku poniżej sześćdziesięciu, niemiarowy, ataktyczny oddech i ogólny stan fizyczny wskazują na zatrucie narkotykami”. - Popatrzył na Joyce. - Brałem narkotyki, Joyce. Nigdy nie twierdziłem, że nie.

- Ee-ee. - Potrząsnęła głową. - Zobacz dalej.

Przeczytał resztę, tym razem po cichu. Lekarz pisał, że występujące u Johna objawy nie odpowiadają przedawkowaniu kokainy czy heroiny. Podejrzewał użycie innego narkotyku.

Dalsze badania krwi nie przyniosły jednoznacznego wyniku, zalecał przeprowadzenie analizy sypkiej substancji znalezionej na miejscu zdarzenia.

Sypka substancja. To Michael dał mu tę torebeczkę. John nigdy wcześniej nie próbował heroiny. Myślał, że stary dobry Woody chce mu wyświadczyć grzeczność, podczas gdy w rzeczywistości usiłował go uśpić. Nie tylko uśpić. Może w torebeczce było coś więcej poza kokainą i heroiną. John wiedział z rozmów pod cełą, że analitycy w laboratoriach byli w stanie znaleźć tylko to, czego konkretnie szukali. Michael mógł zmieszać speedball z czymś jeszcze silniejszym czymś, co dokonałoby dzieła, na wypadek gdyby zwykły narkotyk zawiódł.

- Co? - spytała Joyce.

Zaskoczenie Johna musiało się malować na jego twarzy. Aż do tej chwili skupiał się wyłącznie na Mary Alice. A może Michael i jego chciał zabić? Może uważał, że łatwiej mu będzie winę za wszystko, co chciał zrobić z Mary Alice, zwalić na trupa?

Dwa dni po znalezieniu ciała dziewczyny w domu Shelleyów pojawili się z wizytą Michael i ciotka Lydia. John nie podnosił się z łóżka. Czuł się jak ostatnie gównno i zasłaniał bajeczką o ciężkim przeziębieniu, podczas gdy ledwo mógł oddychać za każdym razem, gdy myślał o zwłokach Mary

Alice w sypialni.

Michael zachowywał się tak samo jak zwykle, przynajmniej z tego, co John pamiętał.

Siedział u niego w pokoju i gadał o... nie pamiętał już o czym dokładnie. O czymś mało

istotnym, tego John był pewien. A potem usnął. Czy to wtedy Woody podrzucił mu nóż do szafy? Wtedy wpadł na ten pomysł? A może ktoś inny opracował wcześniej cały plan i wysłał Michaela na górę, każąc schować nóż w szafie Johna, żeby było jakieś konkretne powiązanie łączące go z wydarzeniami z sypialni Mary Alice?

- Johnny? - powiedziała Joyce. Nie nazywała go tak od dzieciństwa. - O co chodzi?

Zamknął notes.

- Co pamiętasz na temat cioci Lydii?

- Była twoim obrońcą. Później rzuciła prawo karne i zajęła się prawem korporacyjnym.

Mówiła, że straciła zapał. Nigdy sobie nie wybaczyła, że nie była w stanie ci pomóc.

- Akurat.

Joyce była wyraźnie zbita z tropu nienawiścią w jego głosie.

- Mówię poważnie, John. Przyszła do mamy do szpitala.

- Kiedy to było?

- Chyba dzień przed mamy śmiercią. Właśnie ją zaintubowano, żeby mogła oddychać. -

Urwała, próbując wziąć się w garść. - Bardzo cierpiała. Miała kroplówkę z morfiny. Nie jestem nawet pewna, czy zdawała sobie z sprawę, z tego, że ja i Kathy jesteśmy przy niej, a co dopiero Lydia.

- Co ciotka jej powiedziała?

- Nie mam pojęcia. Zostawiłyśmy je same. Wyglądała naprawdę źle - dodała. - Ciocia Lydia, znaczy się. Nie widziała się z mamą od lat, ale zanosila się płaczem. Nigdy nie myślałam, że

były ze sobą blisko, jednak może w czasie procesu... Nie wiem. Byłam wtedy tak zdenerwowana, że nikogo nie zwracałam specjalnej uwagi.

- Nic nie słyszałaś?

- Nie. No, na samym końcu. Wróciłam chyba za wcześnie. Lydia trzymała mamę za rękę. Uprzedziłyśmy ją, że zdaniem lekarzy nie potrwa to już długo, najwyżej dzień. - Zamilkła, prawdopodobnie przypominając sobie tę scenę. - Mama miała zamknięte oczy. - Nie wiem nawet, czy docierało do niej, że Lydia tam siedzi. - Przechyliła głowę. - Ciotka szlochała. Naprawdę szlochała, John, jakby pękało jej serce. Trzęsła się i przez cały czas powtarzała „Tak mi przykro, Emily. Tak mi przykro”. - Joyce podsumowała: - Nigdy sobie tego nie wybaczyła. Nie przeboleła, że przegrała twoją sprawę.

Taa, pomyślał John. Teraz pewnie już przeboleła. Nic tak skutecznie nie pomaga jak wyznanie grzechów umierającej osobie, która zabierze je ze sobą do grobu.

- W jakim stanie była mama po jej wyjściu?

- Nadal zamroczona - odpowiedziała Joyce. - Spała przez cały czas. Z trudem mogła utrzymać otwarte oczy.

- Mówiła coś?

- Nie mogła. Miała rurkę w gardle.

John pokiwał głową. Teraz wszystko zaczynało się układać w sensowną całość. Pierwsze, co zrobiła ciotka, gdy została jego obrońcą, to posadziła Johna i kazała mu dokładnie zrelacjonować wydarzenia tamtej nocy. John był przerażony. Wyznał jej wszystko jak na

spowiedzi, pieprząc tak zwany honor i zasadę niekablowania na kolegów. Opowiedział, jak Michael rzucił mu torebkę rzekomo z kokainą, jak potem John odprowadził Mary Alice do domu, jak wspiał się przez okno do jej sypialni. Powiedział o pocałunku, o tym jak nagle jego mózg eksplodował, jakby w głowie wybuchła mu rakietą. Jak obudził się następnego ranka, leżąc w kałuży krwi Mary Alice.

Kiedy skończył, ciocia Lydia miała łzy w oczach. Wzięła go za rękę - czy raczej chwyciła - tak mocno, że poczuł ból.

- Nie martw się, John - oświadczyła. - Wszystkim się zajmę.

I to zrobiła. Bez dwóch zdań, dotzymała suka słowa.

Joyce nadal patrzyła na niego wyczekująco. Widział, że jest zmęczona, może wyczerpana. Makijaż nie był w stanie zatuszować ciemnych kręgów pod oczyma. Zwiesiła ramiona przybita. Do Johna dotarło jednak, że stała tu w swoim gabinecie, rozmawiała z nim przez blisko pół godziny i ani razu się na niego nie wydarła ani go o nic nie oskarżyła. - Czy przeprowadzili badanie narkotyku? - spytał. - Tego białego proszku?

- Oczywiście. Lydia posłała próbkę do prywatnego laboratorium. Przez tydzień mama czekała jak na szpilkach. Ale badanie nie wykazało niczego niezwykłego. To była kokaina z heroiną.

John poczuł przeszywający ból w szczęce. Znowu zacisnął bezwiednie zęby.

- Johnny - powiedziała Joyce zmęczonym głosem. Tak bardzo zmęczonym. - Powiedz mi.

Zamknął notes matki, ostatni, który zapisała, ostatni przedmiot łączący ją z synem, który trzymała w dłoniach.

- Zawołaj Kathy - poprosił. - Myślę, że ona też powinna to usłyszeć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

GODZINA 21.22

Will siedział w biurze, starając się nie kręcić młynka palcami. Wcześniej złożył wizytę Luthrowi Morrisonowi, który był dla Jasmine Allison... kim? Jak można nazwać trzydziestoletniego mężczyznę uprawiającego seks z czternastolatką? Cholernym perwertem, uznał Will, ostatkiem sił powstrzymując się, żeby nie walnąć bydlaka prosto w gębę.

Po tej przyjemnej wizycie wrócił do City Hall East i zdał sprawę z postępów w śledztwie Amandzie Wagner. Nie wniosła jakichś oszałamiających spostrzeżeń, ale też nie zganiła go za brak przełomu. Była wymagająca, ale potrafiła rozpoznać trudną sprawę.

Powiedziała mu tylko, żeby nie koncentrował się tak bardzo na zaginionej dziewczynce. Śledztwo dotyczy zabójstwa Aleeshy Monroe i jego ewentualnych powiązań ze sprawami okaleczonych dziewczyn, nie Jasmine Allison. A on ma jedynie opowieść dziesięcioletniego

chłopca i złe przecucia i choć Amanda szanuje jego nos, nie zamierza marnować czasu i środków na podstawie takich przesłanek. Podsumowała sprawę z typowym dla siebie, podnoszącym na duchu pragmatyzmem: dziewczyna była już notowana za giganty. Spotykała się z mężczyzną dwa razy od siebie starszym. Jej matka siedziała w więzieniu, Bóg raczy wiedzieć, gdzie był ojciec, a babka nie potrafiła samodzielnie wstać z krzesła. Sprawa byłaby zastanawiająca, gdyby dziewczyna nie uciekła. Policja z DeKalb nie ruszyła się ani o milimetr w sprawie Cynthii Barrett i nie paliła się do dzielenia informacjami z Willem. Materiał DNA z pobranego przez Pete'a wymazu z pochwy był zbyt zanieczyszczony i nie nadawał się do badania. Wyniki badań toksykologicznych jeszcze nie nadeszły, ale Will i tak nie wstrzymywał tu oddechu w oczekiwaniu na rewelację.

Co do Aleeshy Monroe, technicy nie mieli do powiedzenia o jej mieszkaniu nic bardziej odkrywczego ponad to, co Will sam widział: miejsce było wyjątkowo czyste. Polecił im dodatkowo zbadać plamkę, którą znalazł przy wejściu wieczorem, kiedy zaginęła Jasmine. Próbką była jednak zbyt mała, by stwierdzić cokolwiek ponad to, że jest to ludzka krew. Teraz Will mógł już tylko zająć się stertą dokumentów, które Leo Donnelly zostawił mu na biurku. Przeliczył kartki, żeby wiedzieć, ile pracy ma przed sobą. Jakieś sześćdziesiąt kartotek, każda po dwie lub trzy strony, wyszczególniające ponure zbrodnie ostatnio zwolnionych przestępców seksualnych z Atlanty i okolic. Jego desperacja nie osiągnęła aż takich rozmiarów.

Otworzył jaskraworóżową teczkę i znalazł zapisywalny dysk DVD w tylnej kieszonce.

Wsunął go do kieszeni komputera i nacisnął odtwarzanie.

Na monitorze pojawiły się dwie kobiety i mężczyzna siedzący przy stole z nastoletnią dziewczynką. Pierwszy odezwał się mężczyzna. Przedstawił się jako detektyw Dave Anders z policji miasta Tucker, podał nazwiska dwóch kobiet i powiedział:

„To jest zeznanie Julie Renee Cooper. Sprawa numer szesnaście-czterdzieści-trzy-siedem. Jest dziewiąty grudnia dwa tysiące piątego roku”.

Julie Cooper nachyliła się do mikrofonu. Kąt obiektywu kamery był szeroki i Will widział, jak nogi dziewczynki bujają się tam i z powrotem nad podłogą.

- Poszłam do kina - zaczęła, mówiąc bardzo niewyraźnie. Will wiedział, że rozmowa odbyła się niedługo po przybyciu odgryzionego języka. - W uliczce stał pan. - Will oglądał to zeznanie już tyle razy, że mógł niemal mówić razem z nią. Wiedział, kiedy zamilknie i zacznie płakać, z głową na stole, i kiedy zdenerwuje się tak bardzo, że nagranie trzeba będzie przerwać.

Napastnik zaciągnął ją w alejkę. Była zbyt przerażona, żeby krzyczeć. Miał na twarzy czarną kominiarkę z otworami na usta i oczy. Poczowała krew, kiedy przytknął swoje usta do jej ust, wsunął jej język między wargi. Kiedy próbowała odwrócić głowę, uderzył ją pięścią w twarz.

- Pocałuj mnie - mówił. - Pocałuj.

Will podskoczył na dźwięk telefonu. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Trent, słucham.

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Halo? - Przyciszył odtwarzacz w komputerze.

- Cześć, stary - rozległ się głos Michaela Ormewooda. - Nie sądziłem, że cię tu złapię tak późno.

Will oparł się na krześle i pomyślał: Po co w takim razie dzwonisz.

- Dlaczego nie spróbowałaś złapać mnie na komórkę?

- Nie mogłem znaleźć numeru - wyjaśnił, choć Will nie pojmował, jak to możliwe. Dołączał wszystkie swoje numery, nawet domowy, do każdej wiadomości, którą nagrywał Ormewoodowi od poniedziałkowego wieczoru. Z początku zamierzał tylko z nim porozmawiać o Jasmine, teraz chciał też wiedzieć, dlaczego unika jego telefonów.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, dzięki, że pytasz. - Will usłyszał pstryknięcie zapalniczki. Michael się zaciągnął, potem powiedział: - Starłem się tu trochę pomóc. Odwaliłem kilka prac w domu, o które Gina wierciła mi dziurę w brzuchu.

- To dobrze. - Will milczał, wiedząc, że Michael wypełni ciszę.

- Rozmawiałem z Barbarą, tak jak prosiłeś - poinformował detektyw. - No wiesz, moją teściową. Mówi, że nigdy nie widziała, żeby Cynthia opuszczała szkołę. Może mała po prostu nie czuła się dobrze tego dnia?

- Brzmi sensownie - zgodził się Will. Nie był przyzwyczajony do rozmów z ludźmi w typie Michaela, chyba że ich przesłuchiwał, a teraz bardzo się starał nie okazać tłęcej się w nim nienawiści. Bo to było właśnie to: nienawiść. Gość bił swoją żonę i gwałcił prostytutki, przynajmniej Will tak to widział. Bóg jeden wie, co zrobił Angie.

- Jak się ma twoja rodzina? - spytał.

Michael się zawahał.

- Co?

Wspominałeś, że martwisz się o bezpieczeństwo swoich bliskich. Zastanawiałem się, czy wszystko u nich w porządku?

- Tak - odpowiedział Michael. - Umieściłem ich u teściowej tak jak mówiłem. - Zachichotał.

- Ale wiesz, ona rozpieszcza Tima. Kiedy mały wróci do domu, czekać go będzie poważna adaptacja.

Will pomyślał o Miriam Monroe, o ogromnej różnicy między czułością, z jaką ona opowiadała o swoich dzieciach, a sposobem, w jaki Michael mówił o Timie. U niego to była tylko taka mowa-trawa, gadał to, co uważał, że powinien gadać dobry ojciec. Gość bił swoją żonę. Czy krzywdził także upośledzonego syna?

- Jesteś tam jeszcze, stary? - spytał Michael.

- Tak.

Policja z DeKalb nie chce mnie informować - urwał, przypuszczalnie dając Willowi okazję do odpowiedzi. Kiedy ten z niej nie skorzystał, spytał: - Miałeś od nich jakieś wieści?

Usiłował wybadać sprawę sądowego zakazu zbliżania się. Will zrobił unik.

- O ile wiem, słyną z tego, że lubią trzymać karty przy orderach.

- Racja, racja - zgodził się Michael. Słyszał było, że wypuścił dym. - Phil się kompletnie załamał. Próbowałem ustalić, czy coś wie, ale jest po prostu zdruzgotany, rozumiesz?

- Dzięki za starania. - Will postanowił zaryzykować. - Detektyw Polaski powiedziała mi, że pomagała ci przejrzeć niektóre z twoich dawnych akt z obyczajówki.

Michael milczał o pół sekundy za długo.

- Zgadza się, pomagała. Niezła szprycha. Udało ci się z nią coś zdziałać?

- Znalazłeś coś w tych aktach?

Michael milczał, znowu wydmuchnął dym. - Nic. Kilka razy ją przymknąłem, tak jak mówiła Polaski.

- Aleeshę?

- Tak. Parę razy, może trzy. Zanotowałem daty. Chcesz, żebym ci je podał? Tak jak mówiłem, trafiła do nas z obławy. Jedna z dwudziestu, trzydziestu dziewczyn. Nie dziwią się, że nie kojarzyłem jej wcześniej.

- A co z Baby G?

- Do niczego się nie dokopałem. W Grady jest raczej nowy. Niewykluczone, że spotkałem go kiedyś, ale w aktach nic o tym nie ma, a ja za chuja nie pamiętam. Może powinniśmy jeszcze raz go podejść? Odstawić na posterunek i sprawdzić, co wie.

Will zastanawiał się, czy Michael słyszał już, że alfons nie żyje.

- No - ciągnął Michael. - A co u ciebie? Coś nowego w sprawie Aleeshy?
- Niewiele. Opowiedz mi o Jasmine.
- To któraś z pańienek?
- To ta mała, która ściągnęła ci trochę skóry z twarzy.
- A, ta. - W śmiechu Michaela dało się wyczuć lekkie napięcie. - Tak... Mała diablica.
- Czy powiedziała ci coś, zanim uciekła na górę?
- Nic, co chciałbym powtarzać w obecności żony.
- Żona jest teraz z tobą?

Znowu ten śmiech.

- A gdzie niby miałyby być?

Zapadła cisza. Niecałą minutę wcześniej twierdził, że zawiózł rodzinę do teściowej.

Dlaczego kłamał?

- Tak czy siak - rzucił Michael - ta dziewczynka, jak jej tam? Nie powiedziała nic. Myślisz, że coś widziała w noc zabójstwa Aleeshy?
- Nie wiem. - Czyżby się wstydził? Dlatego kłamał?
- Na twoim miejscu przyprowadziłbym ją na posterunek, jeśli chcesz ją przesłuchać. Nie żebym cię pouczał, ale nie chciałbyś chyba, żeby jakaś czarna gówniara wniosła na ciebie skargę. Ja miałem szczęście, że skończyło się tylko na policzku.

- Wezmę to pod uwagę. - Will się zastanawiał, czy Michael już wie, że Jasmine zaginęła. Jeśli skłamał w jednej sprawie, z pewnością bez trudu może kłamać w innej. - Nie daje mi spokoju fakt, że Aleesha była o tyle starsza od pozostałych ofiar, Michael.

- To znaczy?

- Była dorosłą kobietą. Inne były nastolatkami. No i pozostaje kwestia języka. Twojej sąsiadce go odcięto, reszcie odgryziono.

- Tak - zgodził się Ormewood wyważonym głosem. - Jak o tym pomyśleć, to rzeczywiście trochę dziwne.

Will obserwował na monitorze komputera zeznającą Julie Cooper. Właśnie miała poprosić detektywów o wyłączenie kamery na chwilę, żeby mogła się uspokoić. Jak taka mała dziewczynka zdołała przetrwać coś podobnego? Chodzić do szkoły, odrabiać prace domowe jak każda inna nastolatka, mimo że wspomnienie tego, co przeżyła, pozostanie w jej głowie?

- Może sprawca chodził na dziwki, żeby sobie ulżyć między jedną nastolatką a drugą - zasugerował Michael. Zamilkł na chwilę. - Pamiętam jeszcze z obyczajówki, że panienki potrafiły napytać sobie biedy z klientami. Czasami już w trakcie akcji zaczynały windować cenę. Albo umawiały się na określony numerek, pozycję, co tam jeszcze, byleby zwabić gościa, a potem nagle w ostatniej chwili zmieniały ustalenia, mówiły, że tego nie zrobią albo że chcą więcej kasy.

Will nie rozważał tego od tej strony, ale sugestia była całkiem sensowna. Nie wyjaśniała jednak przypadku Cynthii Barrett.

- Jesteś pewien, że nie wkurzyłeś nikogo, Michael? - spytał. - Tak mocno, że postanowił załatwić Cynthię na wzór poprzednich dziewczynek i zwalić winę na ciebie?

Michael się roześmiał.

- Mówisz poważnie?

- To ty mi powiedz.

- Kupy się nie trzyma, stary.

- Dlaczego?

- Musiałby mnóstwo wiedzieć o sprawie - zauważył Michael. - Nie ujawniliśmy mediom informacji o języku Monroe. Ten szczegół znali tylko gliniarze. - Michael zasłonił ręką mikrofon, ale Will słyszał, jak mówi: „Tak, kochanie, już idę”. Potem rzucił: - Słuchaj, Gina chce, żebym jej pomógł przy Timie. Oddzwonię za dziesięć minut, co?

- Nie, nie trzeba - zaproponował Will. - To wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Dzwoń, jakby się coś urodziło.

Will odłożył słuchawkę. Odchylił się na krześle, wyglądając przez okno. Ściemniło się już jakiś czas temu i latarnie rzucały nienaturalną poświatę na opuszczone torowisko dworcowe sąsiadujące z budynkiem. Will już się oswoił z tym przygnębiającym widokiem.

Komputer gwizdał jak lokomotywa. Will wyłączył odtwarzacz DVD i otworzył skrzynkę pocztową. Oprogramowanie firmowego komputera nie było zbyt wyrafinowane - słownik

był bardzo ograniczony, a system sprawdzania pisowni nie znał połowy słów używanych na co dzień przez przeciętnego funkcjonariusza. Nawet gdyby Will złożył odpowiedni wniosek, wiedział, że nie dostanie pozwolenia na zainstalowanie żadnych zewnętrznych programów na twardym dysku, musiał zatem sobie radzić z tym, co jest. Jednak, jak w większości komputerów, była tu opcja czytania.

Przewinął spam, zanim wreszcie znalazł nowy e-mail od Pete'a Hansona. Podświetlił tekst, kliknął na pasek narzędzi i wybrał opcję „mów”. Sztucznie brzmiący głos odczytał wiadomość od lekarza. Wpłynęły wyniki badań toksykologicznych Cynthii Barrett. Na ostatni posiłek jadła jajka z tostem. Miała wysoki poziom nikotyny we krwi, a także ślady alkoholu i kokainy.

Kolejny ślepy trop.

Wyjął kopię listu Aleeshy Monroe do matki i rozłożył ją na biurku. Wygładził zagięcia, żeby kartka leżała zupełnie płasko. Pełne zawijasów pismo stanowiło istny koszmar, ale Will już nauczył się treści niemal na pamięć, więc było mu łatwiej je teraz odcyfrować, niż gdyby robił to z biegu. Linijka po linijce weryfikował każde zdanie z tym, co zapamiętał. Oprócz skłonności Monroe do nadużywania dużej litery, nie odkrył niczego nowego.

Złożył list i wsadził do kieszeni. Zerknął na przygotowane przez Leo kartoteki. Do rogu każdego zestawu przypięta była fotografia: skazany patrzący prosto w obiektyw i trzymający czarną tabliczkę z podstawowymi danymi: nazwisko, przestępstwo, data skazania, data zwolnienia warunkowego.

Niechętnie wysunął górną szufladę biurka. Znalazł rozszywacz i odłączył fotografię od dokumentacji pierwszego przestępcy. Drzwi do gabinetu były zamknięte, światła na korytarzu wygaszone. Mimo to Will niemal szeptem odczytał na głos pierwsze nazwisko. Po niespełna godzinie takiej pracy ledwo co naruszył gruby stos. Głowa mu pękała i połknął bez popijania garść aspiryny przekonany, że lepiej umrzeć na skutek zatrucia salicylanami niż od pulsującego za oczyma bólu. Leo Donnelly miał się zająć połową kartotek. Pewnie skończył je czytać w niecałą godzinę.

Will wstał i włożył marynarkę, myśląc, że ta robota i tak mija się z celem. Jeśli w bazie danych figurowałby sprawca, który miał zwyczaj odgryzania języków ofiarom, Will musiałby trafić na jego dane, kiedy zapoznawał się ze sprawą Monroe i wrzucił słowo klucz do komputera. Zebrane przez Leo dane dotyczyły kryminalistów z innych dystryktów, a czasami i stanów, więc opisy przestępstw nie były ujednolicone. Niektórzy z dokonujących zatrzymania funkcjonariuszy podawali jedynie rodzaj przestępstwa i wiek ofiary, inni wchodzili w drastyczne szczegóły, dokładnie opisując czyny aresztowanego. Jeśli któreś ze zdjęć nie przedstawiało mężczyzny z językiem w dłoni, Will równie dobrze mógłby szukać igły w stogu siana.

Mimo to zabrał z biurka stertę akt, zanim zjechał windą do garażu. Położył dokumenty na siedzeniu pasażera i jadąc do domu, popatrywał na nie co jakiś czas, jakby niezupełnie rozumiał, co tam robią. Zaparkował na podjeździe za swoim motocyklem i nie dotarł jeszcze na ganek, a już doleciało go powitalne poszczekiwanie Betty. Gdy tylko otworzył

drzwi, wypadła przez nie jak strzała. Złapał smycz, gotów na pogoń, ale suczka załatwiła najpilniejszą potrzebę na trawniku przed domem i zanim zdążył zejść po schodkach ganku, pognała z powrotem do mieszkania.

Gdy wszedł, zobaczył ją umoszczoną na poduszkach sofy.

- Też się cieszę, że cię widzę - powiedział, zamykając drzwi. Złapał je jednak, zanim się zatrzasnęły, i wyszedł do samochodu po kartoteki. Położył dokumenty na biurku, Po czym zerknął na automatyczną sekretarkę. Światelko nie migało, więc podniósł słuchawkę, żeby się upewnić, że telefon działa.

Na kolację zjadł to samo co na śniadanie: miseczkę płatków, które pochłonał, stojąc przy zlewie. Marzył tylko o jednym: położyć się na kanapie i zasnąć przy włączonym telewizorze. Jednak nie pozwalały mu na to kartoteki. Człowiek biegły w czytaniu przejrzałby je wszystkie już godzinę temu. Pierwszy lepszy gliniarz zapoznałby się z nimi przy lunchu, świadom, że przypuszczalnie marnuje tylko czas, ale wiedząc także, że dobra policyjna robota wymaga sprawdzenia każdego, nawet najdrobniejszego, tropu.

Will nie potrafił zostawić niedokończonej pracy.

Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu obrotowego krzesła. To nie powinno potrwać już długo, może ze trzy godziny w najgorszym razie. Nie zmierzał poddać się tylko dlatego, że zadanie było trudne, a już na pewno nie zamierzał pokazać się w firmie, wiedząc, że coś zaniedbał. Powinien był wrócić do domu wcześniej i zabrać się do tych raportów na serio. Pewnych rzeczy nie mógł robić w pracy, jeśli nie chciał się zdradzić.

Przyniósł ze sobą w kieszeni płaszcz rozszywacz i teraz położył go na biurku przy stosie akt. Z szuflady wyjął dwie linijki i tak ustawił klosz lampki, żeby żarówka była zwrócona do ściany, a na biurko padała jedynie srebrna poświata.

- W porządku, przystojniaku - wymruczał, patrząc na zdjęcie przypięte do wierzchu kolejnego raportu. Mężczyzna miał ze trzy zęby i tłuste, cienkie przerzedzone włosy kloszarda.

Will odpiął fotografię i odłożył ją na bok. Przyłożył linijki do góry strony i wyizolował pierwszą linijkę tekstu. Czubkami palców wskazujących oddzielał poszczególne wyrazy, żeby móc analizować je osobno. Miał tendencję do czytania wspak i wyodrębnienie małych partii tekstu sprawiało, że oczy nie uciekały mu na koniec tekstu. Co dziwne, łatwiej przychodziło mu czytać długie słowa. Gdy widział coś prostego w rodzaju „od” automatycznie zmieniał to w głowie na „do” i całe zdanie traciło sens.

Wyróżnił trzy słowa na górze strony, odczytując na głos nazwisko, tak by je lepiej przyswoić „Carter, Isaiah Henry”. Nie było to jednak takie proste. Najpierw powiedział „Cash”, potem „Ford”, prawdopodobnie przez skojarzenie imienia z „samochodowym” początkiem nazwiska. Z Isaiahem poszło łatwo. Z Henrym już nie bardzo.

Chryste, ależ jest głupi.

Popatrzył na pusty ekran monitora i zamrugnął, żeby dać odpocząć oczom. Włączył komputer, chcąc zyskać chwilę, kiedy jego umysł sączył zwykle szyderstwa, podpowiadając, że pewnie jest upośledzony, że z jego mózgiem musi być coś nie tak, tyle

że nikt nigdy nie zadał sobie trudu, żeby ustalić co. Bóg jeden wiedział, że bito go po głowie wystarczająco dużo razy, żeby któraś z klepek mu odpadła. Tak czy siak, przyczyny jego upośledzenia nie miały znaczenia i żadna nie zmieniała faktu, że dzieciaki w trzeciej klasie podstawówki czytały lepiej od Willa. A mówił o tych mało bystrych, z ostatnich ławek.

Komputer się załadował, wiatrak warczał jak śmigło modelu samolotu. Will otworzył skrzynkę pocztową i przez kilka minut gapił się na wykaz nowych maili, zanim posłał do kosza ofertę przedłużenia gwarancji na sprzęt, którego nawet nie posiadał. Nie było nic więcej, czym mógłby się zająć.

Wrócił do kartotek, starając się traktować to jak zabawę. Kolejne zdjęcie przedstawiało mężczyznę po sześćdziesiątce. Siwe włosy miał uczesane i starannie przedzielone przedziałkiem, ciemnoniebieskie oczy nadawały intrygujący rys dość poza tym nijakiej twarzy. Gdyby włożyć mężczyźnie bejsbolówkę, brano by go za komiwojażera. Gdyby dać mu do ręki Biblię, śmiało mógłby podawać się za diakona lokalnego kościoła.

Will przesuwiał powoli linijki po stronie, odczytując informacje wers po wersie. Z zawodu sprzedawca paszy, w czasie wolnym od pracy był gwałcicielem, który lubił torturować swoje ofiary. Został skazany na dwanaście lat, ale wyszedł po siedmiu za dobre sprawowanie. Co dokładnie oznaczało dobre sprawowanie w wypadku człowieka, który zdarł paznokcie z dłoni dwudziestodwuletniej studentki, Will nie wiedział.

Odczepił kolejne zdjęcie, położył linijki na kolejnym raporcie. Pracował tak kilka godzin, zapoznając się z jeżącymi włosy na głowie szczegółami zbrodni popełnionych przez wszelkiej maści dewiantów, zwolnionych warunkowo za dobre sprawowanie. Żaden nie odsiedział pełnego wyroku, po za nielicznymi wyjątkami wszyscy wyglądali jak ludzie, do których człowiek chętnie by się uśmiechnął, mijając ich na ulicy. Czas upływał, ale Will nie podniósł głowy znad kartotek, dopóki nie zostały mu tylko trzy do końca.

Przeciągnął się, czując, jak kręgosłup prostuje się na twardym oparciu krzesła. Uderzył kolanami w biurko, ekran komputera zamigotał.

Było po północy. Uznał, że może zrobić sobie przerwę i sprawdzić pocztę, zanim zajmie się deszyfrowaniem danych ostatnich trzech przestępców.

W skrzynce odbiorczej miał nowy mail od Amandy, ale nie chciał go teraz czytać. Przyszły też dwie prośby od Caroline, jej sekretarki, o informacje na temat materiału dowodowego z jakiejś sprawy. Will uruchomił program samomówiący, podyktował do mikrofonu odpowiedź, sprawdził literówki i kazał komputerowi odczytać całość. Kiedy upewnił się, że ma sens, zaznaczył tekst i wkleił go do skrzynki, a przed wysłaniem jeszcze raz skontrolował pisownię.

W międzyczasie przyszedł spam namawiający do zakupu jakichś giełdowych akcji i Will go usunął. Następnie wszedł do kosza i wyrzucił zawartość.

Pomyślał, że gdyby przyznawano medale olimpijskie za marnotrawienie czasu, miałby całkiem spore szanse załapać się na jeden. Nie był to jednak szczyt jego możliwości.

Otworzył folder ze spamem, zaznaczył wszystkie wiadomości i przesunął kursor na „usuń”. Wyskoczyła ramka z tekstem, z jej kształtu Will się domyślił, że chodzi o potwierdzenie polecenia. Kliknął niebieski przycisk oznaczający „Tak”, potem patrzył, jak folder się opróżnia.

Wrócił do nieprzeczytanych listów, uznawszy, że może jednak poświęcić chwilę i sprawdzić, co napisała Amanda. Pojawił się nowy e-mail od Caroline. Przypuszczalnie żartobliwy komentarz o tym, że oboje pracują tak późno w nocy, ale w tej chwili Will gotów był zagłębić się w reklamę viagry, byleby tylko choć o sekundę opóźnić powrót do kartotek. List Caroline miał plik JPG w załączniku i Will wcisnął „Pokaż”, zanim zaznaczył treść wiadomości, żeby skopiować ją do programu czytającego. Betty poruszyła się na sofie i wydawała przytłumiony szczeł. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Leżała na grzbiecie i przebierała w powietrzu chudymi łapami. Śniła o... tym, o czym mogą śnić małe pieski. O serze?

Will odwrócił się do komputera, uśmiech spelzł mu z twarzy gdy zobaczył, co jest na monitorze. Zdjęcie już się załadowało. Widoczny na nim chłopak miał przypuszczalnie jakieś szesnaście lat, włosy sięgające do kołnierza, a na ustach niewyraźny półuśmiech pojawiający się odruchowo po latach wsadzania mu prosto w twarz obiektywu na każdych wakacjach czy rodzinnej wycieczce. Przed wąską klatką piersiową trzymał tabliczkę, skóra na czubkach palców była poharatana, w miejscu gdzie poobgryzał do krwi paznokcie. Will nawet nie próbował odczytywać plakietki, wiedział, że figuruje na niej nazwisko, data

skazania, zarzut. To oczy zdradziły tożsamość chłopca. Wiele mogło się zmienić w człowieku między piętnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, ale oczy pozostawały takie same: ten sam migdałowy kształt, ten sam układ barw tęczy, niesamowicie długie, niemal dziewczęce rzęsy.

Tuż przy łokciu Willa nadal leżała fotografia z kartoteki, którą miał teraz odczytać. Uniósł je do góry, nie sposób było nie rozpoznać, że chłopiec na ekranie jest młodszą wersją skazanego ze zdjęcia.

Przeniósł treść maila od Caroline do programu czytającego. Zwiększył natężenie dźwięku w głośnikach, potem kliknął na pasek narzędzi. Rozległ się powolny, metaliczny głos, sens wypowiedzianych przezeń słów sprawił, że Will poczuł się tak, jakby ktoś walnął go prosto w brzuch.

Wiadomość została odczytana. Will nie potrzebował słuchać jej drugi raz.

Chwycił kluczyki samochodu.

Od szefa Angie Will się dowiedział, że powinna być przy sklepie monopolowym na Cheshire Bridge Road. Znalazł lokal dość łatwo, ale wśród opierających się o budynek prostytutek nie było jej widać.

- Szukam kogoś - powiedział.

- Ja też, przystojniaku.

- Nie - rzucił Will. Wiedział, że Angie nie pracuje pod prawdziwym nazwiskiem, ale nigdy nie powiedziała mu, jaki pseudonim sobie wybrała. - Ma około metra siedemdziesięciu. Brązowe oczy, brązowe włosy. Oliwkowa cera.

- Wypisz wymaluj ją, skarbie - rzuciła platynowa blondynka z przerwą między przednimi zębami tak dużą, że gwizdała, kiedy mówiła.

Inna spytała:

- Szukasz Robin, słodziutki?

- Nie wiem - powiedział i odwrócił się do starszej kobiety. Miała podbite oko, które prezentowało się jeszcze gorzej przez makijaż, którym usiłowała zaszpachlować siniak.

- Mam na imię Lola - oderwała się od ściany. - Jesteś jej bratem?

- Tak - powiedział Will, nie siląc się na wyjaśnienia. - Muszę z nią porozmawiać.

- Poczekaj chwilkę, skarbie - poradziła Lola. - Poszła na numerek jakieś dziesięć minut temu. Powinna zaraz kończyć.

- Dziękuję. - Wsadził ręce do kieszeni, uświadamiając sobie, że jest zimno. Opuścił dom w takim pośpiechu, że nawet nie narzucił płaszcza.

Z tyłu trzasnęły drzwiczki samochodu. Wysiadła z niego jakaś kobieta i kiedy się obejrzał, sięgnęła między nogi, przeciągnęła dłonią po kroczu i strzepnęła. Zauważyła Willa i zerknęła pytająco na inne dziewczęta.

- To brat Robin - wyjaśniła Lola.

Kobieta przeparadowała obok Willa krokiem dziwki, jeszcze raz łypiąc na niego okiem.

- Gdybym miała takiego brachola, nigdy bym się nie wyniosła z chaty.

Popatrzył na zegarek. Zaczął chodzić tam i z powrotem, żeby rozładować napięcie, które zmieniało mu mięśnie w ciasny kłębek, ale każda sekunda oczekiwania na Angie tylko pogarszała sprawę.

Zawsze to robiła. Zawsze pakowała się w sam środek kłopotów i w ogóle jej nie obchodziło, że Will cierpiał z powodu konsekwencji. Odkąd ją znał, zawsze przeciągała strunę, prowokując innych i sprawdzając ich wytrzymałość. To była zabawa, którą pewnego dnia przypłaci życiem, a wtedy to Will będzie siedział na sofie, a jakiś inny pechowy glina będzie musiał go wziąć za rękę i poinformować, że została uduszona, pobita, zgwałcona, zamordowana. Dziewczęta wcześniej plotły jakieś bzdury, ale nagle się uciszyły. Usłyszał szelest od strony lasu i zza drzew wyłoniła się Angie z latarką w dłoni. Spojrzała na Willa, potem na dziewczęta i z powrotem na Willa. Usta miała zaciśnięte oczy ciskały gromy. Obróciła się na pięcie i z powrotem weszła do lasu. Will poszedł za nią.

- Stój - powiedział, starając się ją dogonić. - Możesz się zatrzymać?

Nie słuchała. Mógł tylko iść za padającym z latarki snopem światła.

Po przejściu około sześciu metrów wsiadła na niego.

- Co, do kurwy nędzy, tu robisz? - spytała ostrym jak nóż tonem.

- Jestem twoim bratem, wpadłem z wizytą.

Angie obejrzała się przez ramię, Will poszedł w jej ślady. Wyraźnie widział dziewczęta stojące przed sklepem. Nawet nie próbowały ukryć zainteresowania.

Wyszeptała ochryple, starając się mówić cicho, żeby głos się nie niósł.

- Wybrałeś sobie, kurwa, najgorsze miejsce z możliwych, Will. Lola już zaczyna podejrzewać, że coś jest nie tak.

Podsunał jej pod nos kartotekę Johna Shelleya. Zdziwiła się na widok zdjęcia i mógłby przysiąc, że oczy jej złagodniały.

- Przeczytaj - zażądał. - Przeczytaj mi to, żebym miał pewność, że nic nie przeinaczyłem.

Angie oświetliła latarką pierwszą stronę. Widział, jak przebiega wzrokiem po tekście.

Podniosła wzrok i powiedziała:

- Will. - Jakby zachowywał się nierozsądnie.

- Przeczytaj.

Włożyła latarkę pod ramię, kierując strumień światła na pierwszą stronę, potem drugą i trzecią. Wreszcie znowu uniosła głowę.

- No i?

Miał ochotę nią potrząsnąć.

- Czytałaś, co tu jest napisane?

Nie spiesząc się, przerzuciła kartki na pierwszą stronę i zaczęła głośno czytać znudzonym tonem.

- Jonathan Winston Shelley, metr osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt osiem i pół kilograma, włosy brązowe, oczy brązowe. Notowany wcześniej za kradzież. 10 maja 1986 roku osadzony w więzieniu stanowym Coastal w warunkach najwyższego zabezpieczenia, w

bloku dla przestępców specjalnych, wiek szesnaście lat. Zwolniony warunkowo 22 lipca 2005 roku, w wieku lat trzydziestu pięciu. Zarejestrowany przestępca seksualny, pedofil. -

Spojrzała na Willa i powtórzyła: - No i?

- Przeczytaj ostatnią stronę - powiedział, myśląc o części, którą wydrukował z maila od Caroline. Wypis z kartoteki był lakoniczny, dopiero akta, do których dotarła asystentka Amandy, podawały straszliwe szczegóły. - Przeczytaj - rozkazał.

Nie chciała. Zgadywał po stalowym spojrzeniu, jakim go spiorunowała.

- Chcesz, żebym ja ci przeczytał?

- Mam tylko godzinę przerwy na kolację.

Wyrwał jej z dłoni kartki, starał się znaleźć właściwy ustęp. Był tak wściekły, że słowa skakały mu po stronie, układały się wspak, litery przechodziły jedne w drugie. Spróbował.

- Ca... - poczuł ostry jak nóż ból w skroni. Cholera jasna, znał przynajmniej dwa z tych słów. - Jonathan Shelley - Usiłował poskładać następne. - Zapity. Nie: zapił. Zabił....

Angie położyła mu rękę na dłoni. Chciała zabrać raport, ale jej nie pozwolił.

- Daj spokój - poprosiła, delikatnie wyciągając kartki z jego uścisku.

Will zacisnął pięści, wbił wzrok w ziemię. Jezu. Nic dziwnego, że nie chciała z nim być.

- Przepraszam - powiedziała łagodnie.

Pragnął zapaść się pod ziemię, zniknąć jak za dotknięciem różdżki.

- Przykro mi.

- Czytałem to już.

- Wiem, że czytałeś. - Wzięła go za rękę. - Popatrz na mnie, Will. Przepraszam.

Nie potrafił podnieść na nią wzroku.

- Chcesz, żebym przeczytała to na głos?

- Rób, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi.

- Will.

Wiedział, że zachowuje się jak dziecko, ale nie mógł przestać.

- Słowo.

Latarka upadła na ziemię, Angie schyliła się po nią, nie upuszczając jego dłoni. Skierowała światło na dokument i zaczęła czytać:

- 15 czerwca 1985 roku Shelley dokonał napaści połączonej z czynem lubieżnym na Mary Alice Finney, piętnastoletnią dziewczynę rasy białej, następnie nożem kuchennym o ząbkowanym ostrzu odciął jej język, co doprowadziło do zgonu. Dodatkowo zostawił na ciele ofiary głębokie rany kątowe i oddał mocz na zwłoki. Na miejscu zdarzenia i zwłokach znaleziono zakrwawione odciski palców Shelleya, narzędzie zbrodni w szafie jego sypialni. Uzależniony od heroiny i kokainy.

- Angie - tylko tyle był w stanie powiedzieć.

Milczała, ulicą przejechało kilka samochodów, zanim wreszcie się odezwała:

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że kiedyś pojawił się tu Michael Ormewood?

Miał po dziurki w nosie słuchania o Ormewoodzie. Gdyby nigdy więcej nie usłyszał tego nazwiska, umarłby jako szczęśliwy człowiek.

- Kazał nam uważać na niedawno zwolnionego przestępcę seksualnego, Johna Shelleya. Powiedział, że to naprawdę niebezpieczny gość i żebyśmy trzymały się od niego z daleka. - Popatrzyła na wypis z kartoteki. - Michael chodził do liceum w Decatur. Musiał dorastać w tamtej okolicy.

- Zdołałaś wypytać go o dzieciństwo, kiedy robiłaś mu laskę?

- Chcesz, żebym tobie też zrobiła, Will? O to ci chodzi?

- Przestań. - Strząsnął jej dłoń.

- Czytałam jego akta personalne.

- Naprawdę się nim interesujesz. Dlaczego wydaje ci się kimś specjalnym? Co ma w sobie takiego wyjątkowego?

- Nie słuchasz tego, co mówię. - Zwracała się do niego jak do dziecka i nie podobało mu się to. - Michael chodził do liceum w Decatur, więc musiał mieszkać w tamtej okolicy. Był o kilka lat starszy od Johna, ale na pewno słyszał o tej sprawie. Musiał wiedzieć o języku. Dlaczego ci o tym wspomniał? Dlaczego nie powiedział: „Ej, to mi przypomina o pewnej tragedii, która miała miejsce jakieś dwadzieścia lat temu ulicę czy dwie od mojego domu rodzinnego?”

Will był zbyt wytrącony z równowagi, by choćby rozważyć to pytanie.

- John mi powiedział, że ktoś go szantażuje - dodała Angie.

Roześmiał się.

- Myślisz, że Michael Ormewood wie, że na wolności grasuje gwałcieł mordujący kobiety, ale zamiast go aresztować, postanowił uciec się do szantażu? Po co? Z myślą o czym? Cóż takiego może mieć John Shelley, czego pragnąłby Michael Ormewood?

- A jak wyjaśnisz fakt, że Michael kazał mi uważać na Johna Shelleya? Jak wyjaśnisz to, że przemilczał fakt, że lata temu coś podobnego przytrafiło się dziewczynie mieszkającej w tej samej okolicy, w której dorastał?

Will próbował przywołać ją do rozsądku.

- A jak wyjaśnisz inne sprawy?

- Jakie inne?

- W zeszłym roku dwie nastolatki zostały napadnięte i zgwałcone przez mężczyznę w czarnej kominiarce. Obu odgryziono języki.

Otworzyła usta zaskoczona.

- John Shelley jest na wolności od siedmiu miesięcy. Obie ofiary mieszkają trzydzieści, czterdzieści minut drogi stąd. - Milczała, więc dodał. - Julie Copper, piętnastolatka. Druga miała zaledwie czternaście lat. Co te zbrodnie mają ze sobą wspólnego? Jakie jest powiązanie?

- Wiesz, że każdy sprawca trzyma się swojego *modus operandi*. Z jakiego powodu ten by od niego odstąpił? Czego niektóre języki odgryzał, a inne odcinał? Dlaczego o nastolatek przeszedłby do dorosłej kobiety?

Will przypomniał sobie odpowiedź Michaela na to pytanie, ale nie podzielił się nią z Angie.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej o tych innych przypadkach? - spytała. –
A niby kiedy, Angie? Przy obiedzie? Może kiedy trzymając się za ręce, spacerowaliśmy po parku?

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Dlaczego? Nie przyszło mi do głowy, że będziesz pieprzyć się ze skazanym pedofilem.
Uniosła gwałtownie głowę.

- Nie spałam z nim.

- Jeszcze.

Angie ciężko westchnęła.

- Jedno nie ulega kwestii: Shelley zgwałcił i zabił piętnastolatkę. Wyciął jej język.

- On nie jest... - Zerknęła ponownie na zdjęcie Johna. - Cokolwiek zrobił, nie jest już tym samym człowiekiem.

- Julie Cooper miała piętnaście lat - powiedział twardo Will. - Zgwałcił ją w uliczce na tyłach kina. Odgryzł język.

Potrząsnęła głową.

- Anna Linder była o rok młodsza. Znalaziono ją w parku Stone Mountain następnego dnia.
Trzymała w dłoni język niczym przytulankę. Trzeba było siłą wyjąć go jej z ręki.

Nadal milczała.

- Cynthia Barrett, Angie. Miała piętnaście lat.

- Była sąsiadką Michaela.

Will wzruszył ramionami.

- Co z tego?

- Wytłumacz mi jedno: skąd się znają? Skąd Michaelowi przyszło do głowy, żeby mnie w ogóle ostrzegać akurat przed Johnem? - Wskazała sklep monopolowy gniewnym ruchem ręki. - Nie byłeś przy tym. Między nimi coś jest. Michael go nienawidzi.

- Czegoś chyba nie rozumiem - stwierdził Will. - Wygląda na to, że jesteś tak wkurzona na Ormewooda, że przelałaś logicznie myśleć. Dlaczego, Angie? Dlaczego nie potrafisz zapomnieć o tym dupku?

Dostrzegł furię w jej oczach, wiedział, że przypomina sobie te miliony razy, kiedy pytał o to samo.

Gdy się odezwała, jej głos był nieskończenie opanowany.

- Spytałeś Michaela, ile lat miała jego żona, kiedy się zeszli? - Nie czekała na odpowiedź. - Skończyła piętnaście. On dwadzieścia pięć.

- A czy ją zgwałcił i odgryzł jej język? - spytał Will. - Bo jeśli nie, to nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Mówię ci, że John tego nie zrobił.

- Sam go o to spytam zaraz po zatrzymaniu.

- Nie. - Chwyliła go za ramię, jakby chciała fizycznie powstrzymać. - Ja to zrobię.

Will gapił się na nią z niedowierzaniem.

- Chyba stroisz sobie ze mnie żarty.

- Gdy tylko założysz mu kajdanki, nie odezwie się ani słowem.
 - Nie możesz tego wiedzieć.
 - To kryminalista. Oczywiście, że się zamknie. Nawet nie pierdnie bez obecności adwokata, a gdy ten się pojawi, powie ci, że możesz mu skoczyć.
 - Nie ma mowy, żebyś to powstrzymała.
 - Pod jakim zarzutem? Przechodzenia na czerwonym świetle? - Uniosła brwi, jakby spodziewała się odpowiedzi. - Możesz go doprowadzić na przesłuchanie, ale co masz na niego? Możesz przeszukać jego mieszkanie, ale co powiesz sędziemu, gdy będziesz występował o nakaz? „Zrobił to dwadzieścia lat temu, wysoki sędzie, zatem jest możliwe, prawdopodobne, niewykluczone, że mógł zrobić i teraz? - Angie założyła ręce na piersi. - Ostatni raz, kiedy sprawdzałam, trzeba było mieć jakiś dowód, żeby wrzucić człowieka do pudła, chyba że się jest prezydentem tego kraju.
- Will milczał świadom, że Angie ma rację.
- Znalazłeś gdzieś jego odciski palców? Masz jakiegoś świadka? Kogoś, kto coś widział? Jasmine, pomyślał Will. Może ona coś widziała. Jeśli tak, to teraz pewnie leży już na dnie jeziora.
- Angie podsumowała:
- Nie ma dowodów, nie ma świadków i nie ma sprawy masz rację, Will. Chodźmy i z miejsca go aresztujemy,

- Niewykluczone, że śledzi już następną ofiarę - powiedział Will, nie dodając, że może być nią Angie.
- Jeśli zatrzymasz go teraz, będziesz musiał wypuścić w ciągu dwudziestu czterech godzin. A jeśli to on jest sprawcą, będzie wiedział, że wpadłeś na jego trop, i zapadnie się pod ziemię tak głęboko, że szukaj wiatru w polu.
 - Co mam w takim razie twoim zdaniem robić? Czekać, aż zgwałci kolejną dziewczynkę? Może zabije? - zauważył Will. - Może już ma na koncie kolejną ofiarę. Co jeśli porwał Jasmine? Mam siedzieć z założonymi rękami, gdy ona odlicza minuty do śmierci?
 - Ze mną porozmawia. Nie wie, że jestem policjantką.
 - O co chodzi z tym gościem, Angie? Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, kim jest?
 - Może to dobrze, że nie oceniam ludzi na podstawie tego, co im się przydarzyło w przeszłości?
 - To ma mnie zboleć?
 - Pozwól mi z nim porozmawiać - poprosiła. - Możesz obserwować do rana jego mieszkanie, sprawdzić, czy nie wychodzi. Jeśli nawet przetrzymuje gdzieś tę dziewczynkę, nic jej nie zrobi bez twojej wiedzy. Jutro rano pójdę do myjni, usiądziemy i porozmawiam z nim.
 - Sądzisz, że się przed tobą otworzy?
 - Jeśli jest niewinny... - Skinęła głową. - Tak. Skłonię go do mówienia.
 - A jeśli nie?

- To przecież tam będziesz. - Niewiarygodne, jeszcze się z nim przekomarzała. - Obronisz mnie, prawda, Will?
- To nie jest temat do żartów.
- Wiem. - Obejrzała się przez ramię i popatrzyła na dziewczęta. - Muszę wracać do pracy.
- Nie podoba mi się to. W ogóle mi się to nie podoba i nie chcę tego robić.
- To nic nowego dla nas, prawda? - Położyła mu dłoń na policzku, musnęła jego usta wargami. - Idź już, Will.
- Nie chcę cię zostawiać.
- Nie masz wyboru.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

10 LUTEGO 2006 ROKU GODZINA 7.22

John siedział na stołku przy barze w Empire Diner. Kiedy stanął w drzwiach, był głodny jak wilk, ale gdy przyniesiono mu zamówione danie, zdołał uszczknąć tylko kilka kęsów. Skręcało go w żołądku ze zdenerwowania, kiedy czekał na początek swojego nowego życia. Większość nocy spędził w towarzystwie Kathy i Joyce, usiłując opracować jakiś plan działania. Kathy chciała pójść na policję, ale jeśli było coś, w czym młodzi Shelleyowie byli

zgodni, to przekonanie, że policji nie można ufać. Michael nigdy nic nie powie. Był kuty na cztery nogi, w życiu się nie odśloni. Raport kredytowy mógł zrodzić kilka pytań, ale odpowiedzi mogły się Johnowi odbić potężną czkawką. Koniec końców uradzili, że Joyce wykorzysta swoje kontakty w rejestrach hrabstwa, żeby spróbować ustalić, gdzie mieszka teraz ciotka Lydia. Wujek Barry był jej mężem tylko przez kilka lat, zanim umarł, nie udało im się nic znaleźć pod rodzinnym nazwiskiem Carsonów. Ale gdzieś musi być jakiś trop. Kiedy już na niego wpadną, Joyce i John doprowadzą do konfrontacji z ciotką, domagając się od niej prawdy o roli, jaką odegrała we wrobieniu Johna. Już raz wyznała swoje grzechy. Nie dadzą jej spokoju, dopóki nie zrobi tego ponownie - tym razem publicznie i na piśmie.

Jeśli chodzi o własne grzechy, John nie powiedział siostrze i jej kochance o wszystkim, co się wydarzyło. Był szczery, ale tylko do pewnego stopnia. Zataił przed nimi informację o sąsiadce Michaela. Na samą myśl o tym, do czego się posunął, jak nisko upadł, robiło się mu niedobrze. Przez cały ten czas miał Michaela za bydlę, tymczasem kiedy tylko pojawiła się sposobność, okazał się takim samym mściwym sadystą jak jego kuzyn. Czy o to walczyła Emily? Czy po to godzinami zapełniała notes za notesem? Żeby jej mały Johnny wyszedł z więzienia i okaleczył piętnastolatkę? Po raz pierwszy w życiu John się cieszył, że matka nie dożyła tej chwili, że nigdy nie będzie musiał spojrzeć w jej piękne oczy ze świadomością, że zmusza ją do patrzenia na kogoś zdolnego do takich potworności.

- Dolać panu? - spytała kelnerka, ale już napełniała mu kawę kubek.

- Dziękuję - wymamrotał.

Otworzyły się drzwi, popatrzył w lustro nad ladą i zobaczył w wejściu Robin. Stała z rękoma na biodrach i rozglądała się za wolnym stolikiem.

John stłumił pragnienie, żeby się odwrócić. Chciał ją zawołać, wskazać na pusty stołek obok, posłuchać jej głosu. Jednak teraz za dużo się działo. Miał krew na rękach, winę w sercu. Wbił wzrok w kubek, patrząc w mętny płyn i żałując, że nie może tam wyczytać swojej przyszłości. Czy w jego życiu kiedykolwiek pojawi się jakaś kobieta? Czy spotka kogoś, kto będzie wiedział, co mu się przydarzyło, co zrobił, i nie ucieknie z krzykiem?

- Siema. - Robin wsunęła się na stołek obok. Wyglądała inaczej niż zwykle. Włosy miała związane w koński ogon, a na sobie zamiast zwyczajowego stroju dziwki dzinsy i T-shirt.

- Hej - odpowiedział John. - Po pracy?

- Tak - powiedziała, odwracając kubek na kawę i dając znak kelnerce.

Było w niej jeszcze coś dziwnego, ale John nie potrafił wychwycić co dokładnie. Nie chodziło o zmianę w stroju czy brak ostrego makijażu. Gdyby znał ją lepiej, powiedziałby, że jest zdenerwowana.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że powinieneś cisnąć swoją robotę w cholerę? Że może najlepiej byś zrobił, zmywając i nigdy nie oglądając wstecz?

Uśmiechnął się. Rozważał możliwość zmycia się przez cały czas pobytu w Coastal.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową i posłała mu chytry uśmiech.

- Śledzisz mnie? Najpierw szpital, teraz tu.

Rozejrzał się dokoła.

- Masz ten lokal na własność?

- Zawsze jadam tu śniadania.

- Przepraszam - powiedział. - Po prostu wydał mi się fajnym miejscem, żeby usiąść na chwilę. - Od niepamiętnych czasów był przy forsie i chciał sprawić sobie przyjemność.

- Okłamałam cię - oświadczyła.

- W jakiej sprawie?

- Mojego pierwszego pocałunku - wyjaśniła. - To nie był przyjaciel mojego młodszego brata.

Zrobiło mu się przykro, ale próbował obrócić to w żart.

- Proszę, tylko mi nie mów, że to był twój młodszy brat.

Uśmiechnęła się, dołączyła śmietanki do kawy.

- Moi starzy byli ćpunami. Ostro spidowali - stwierdziła. - Przynajmniej mama i ten, któremu akurat dawała. - Wzięła łyżeczkę i zamieszała kawę. - Władze zabrały mnie od niej, kiedy byłam małą.

John nie wiedział, co powiedzieć. Zdecydował się na: „Przykro mi to słyszeć”.

- Tak - powiedziała. - Zaliczyłam potem kilka rodzin zastępczych. Poznałam całą masę przybranych tatuśków, którzy nie posiadali się ze szczęścia, że mają pod dachem małą dziewczynkę.

John w milczeniu obserwował, jak miesza kawę. Miała takie małe ręce. Dlaczego kobiece dłonie są o tyle ładniejsze od męskich?

- A ty? Też pochodzisz z rozbitej rodziny? - spytała.

W jej głosie słycać było sarkazm. Większość kryminalistów, których John znał, miała się za ofiary okoliczności. Twierdzili, że to dysfunkcyjne rodziny popchnęły ich na ścieżkę przestępstwa. Przedstawiali swoje historie tak, że odnosiło się wrażenie, że naprawdę nie mieli wyboru.

- Nie. Dorastałem w całkowicie normalnym domu. Cudowna mama, która piekła ciasta i udzielała się społecznie. Ojciec trochę chłodny, ale sypiał w domu i interesował się tym, co robię. - Pomyślał o Joyce. Pewnie teraz właśnie wisiała na telefonie i dokonywała cudów. Nie wiedział, czy ciotka Lydia zachowa się tak, jak powinna, ale mógł już teraz przeżyć resztę życia w spokoju, wiedząc, że po raz pierwszy od dwudziestu lat Joyce w niego wierzy. Robin stuknęła łyżeczką o kubek dwa razy i odłożyła ją na ladę.

- No to co się stało, John? Jak wylądowałeś w więzieniu?

Wzruszył ramionami.

- Złe towarzystwo.

Zaśmiała się, ale najwyraźniej nie uznała tego za zabawne.

- Domyślam się, że byłeś niewinny?

Dwa dni temu w szpitalu spytała o to samo, rzucił oklepaną odpowiedź.

- W więzieniu siedzą sami niewinni.

Milczała, patrząc w lustro nad barem.

- No to - zagaił, chcąc zmienić temat - kto był tym pierwszym, którego pocałowałaś?

- Pierwszym? - spytała. - Pierwszym, którego pocałowałam z własnej woli? - Wydawało się, że się zastanawia. - Poznałam go w domu dziecka - odezwała się wreszcie. - Byliśmy razem przez dwadzieścia pięć lat.

John podmuchał na kawę i upił łyczek.

- Kawał czasu.

- Tak, cóż. - Znowu podniosła łyżeczkę. - Waliłam go po rogach, gdzie popadło.

John zakrztusił się kawą.

Uśmiechnęła się, ale bardziej z siebie.

- Zerwaliśmy dwa lata temu.

- Dlaczego?

- Bo gdy znasz kogoś tak długo, gdy z nim dorastasz, za bardzo... - szukała właściwego słowa - ...się odsłaniasz - uznała. - Stajesz się zbyt podatny na ciosy. Ja wiem wszystko o nim, on wie wszystko o mnie. Nie da się wtedy tak naprawdę kochać tej drugiej osoby. To znaczy, jasne, kochasz ją, jest częścią ciebie, częścią twojego serca. Ale nie potrafisz być z nią tak, jak byś chciał. Kochać, jak kochankowie powinni. - Wzruszyła ramionami. - Gdyby naprawdę mi na nim zależało, zostawiłabym go dawno temu, żeby mógł coś zrobić ze swoim życiem.

John nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Chyba jest szalony, pozwalając ci odejść.
- Cóż, ma swoje powody - przyznała. - Naprawdę niezła ze mnie suka, jeśli jeszcze nie zauważyłeś. A jak jest z tobą?
- Ze mną? - spytał zaskoczony.
- Masz dziewczynę?

Roześmiał się.

- Żartujesz? Poszedłem siedzieć, kiedy miałem szesnaście lat. Jediną kobietą, którą widywałem, była moja matka.

- A co... - urwała. - Byłeś dzieciakiem, tak? Kiedy cię wsadzili?

John poczuł, jak szczeka mu się rusza. Skinął głową, nie patrząc na Robin, starając się nie dopuścić do głowy wspomnienia Zebry, tych czarno-białych zębów, rąk zaciśniętych na karku.

Jeśli dostrzegła jego potwierdzenie, nie skomentowała. Podmuchała tylko na kawę i wreszcie upiła łyczek. Powiedziała:

- Cholera, jest zimna.

John przywołał kelnerkę.

- Wszystko smakuje? - spytała.

- Tak, dziękujemy - powiedział John i podsunął kubek, żeby dołała mu kawy.

Nie był przyzwyczajony do takiej ilości kofeiny rano i dłonie mu się pociły. A może denerwował się z powodu obecności Robin? Rozmawiała z nim, jakby świetnie się znali. John nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej rozmawiał z kimś w ten sposób.

- Dajcie znać, jakbyście czego potrzebowali - poprosiła kelnerka.

Robin odczekała, aż zniknęła, i wtedy spytała:

- John, co porabiałeś, odkąd cię wypuścili?

- Wracalem na łono rodziny - odpowiedział. Zanim się obejrzał, dodał: - Szukałem kuzyna.

Mam z nim kilka spraw do wyjaśnienia.

Robin popatrzyła przez ramię na mężczyznę siedzącego samotnie w narożnym boksie. John przyjrzał się jego odbiciu w lustrze, zastanawiając się, czy to jeden z jej klientów. Miał na sobie trzyrzędowy garnitur. Prawdopodobnie prawnik albo lekarz - w domu pewnie czeka na niego rodzina.

- John? - Przeniósł wzrok na Robin. Jej pytanie go zaskoczyło: - Jakie masz kłopoty?

- Żadnych.

- Mówiłeś, że ktoś cię szantażuje.

Pokiwał głową.

- Prawda.

- Kto?

John objął dłońmi kubek. Chciał jej powiedzieć, wyznać wszystko, co się wydarzyło, ale Robin miała dość własnych problemów, nie musiał jej dokładać jeszcze swoich. Poza tym

nie był takim optymistą jak Joyce w odniesieniu do ciotki Lydii. Michael, nawet jako sadystyczny morderca, nie przestał przecież być jej synem. Nie sposób było przewidzieć, do czego Woody może się posunąć. John nigdy by sobie nie darował, gdyby z jego powodu coś złego przydarzyło się Robin.

- Nie mogę cię w to wszystko mieszać.

Położyła mu dłoń na udzie.

- A co jeśli ja chcę być zamieszana? - Oddech uwiązł mu w piersiach, kiedy przesunęła rękę wyżej. - Wiem, że dobry z ciebie chłopak.

Otworzył usta, żeby zaczerpnąć tchu.

- Chyba nie powinnaś...

- Wiem, że nie masz z kim pogadać - powiedziała, nie zabierając ręki. - Chcę, żebyś wiedział, że ze mną możesz.

Potrząsnął głową i wyszeptał:

- Robin...

Przesuwała rękę z góry na dół.

- Dawno już nie ten tego, co?

Nigdy, pomyślał John. Nigdy nie ten tego.

- Chcesz gdzieś pójść i porozmawiać?

- Ja nie... - Nie był w stanie jasno myśleć. - Nie mam pieniędzy, żeby...

Przysunęła się bliżej.

- Mówiłam ci. Jestem po pracy.

Gdyby przesunęła dłoń trochę wyżej, musiałby poprosić kelnerkę o ręcznik. Zacisnęła powieki, starając się znaleźć w sobie siłę. Położył rękę na jej dłoni.

- Nie mogę.

- Nie podobam ci się?

- Nie ma mężczyzny, któremu byś się nie podobała - zapewnił, przekonany, że to święta prawda. - Zależy mi na tobie, Robin. Wiem, że to głupie. Przecież nawet cię nie znam. Ale nie mogę cię mieszać w swoje problemy, tak? Już i tak zbyt wielu ludzi przez to ucierpiało. Gdyby coś ci się przytrafiło, gdybyś została skrzywdzona. - Potrząsnął głową. Nawet nie chciał o tym myśleć. - Kiedy będzie już po wszystkim, kiedy to się skończy, znajdę cię - obiecał.

Zabrała rękę. Uniosła kubek do ust i powtórzyła pytanie:

- Kto cię szantażuje, John?

Ton jej głosu się zmienił. Nie potrafił dokładnie wyjaśnić, na czym to polegało, ale pomyślał o klawiszach z więzienia, o sposobie, w jaki zadawali pytania świadomi, że jeśli nie odpowiesz, wrzucą cię do karceru.

- Wkrótce wszystko się wyjaśni - zapewnił.

- Jak to?

- Pracuję nad tym - rzucił. - Nic więcej teraz nie mogę zdradzić.

- Nic mi nie powiesz?

- Nie.

- Jesteś pewien, John?

Była taka poważna. Posłał jej pytający uśmiech i rzucił:

- Pogadajmy o czymś innym.

- Musisz mi powiedzieć - upierała się. - Muszę wiedzieć, co się dzieje.

- O co ci chodzi?

- O twoje życie, John. Nie możesz być ze mną szczerzy?

Zjeżyły mu się włosy na karku.

- Zaczyna mi się to nie podobać.

Robin odstawiła kubek. Podniosła się, na twarzy pojawiła się zacięta mina.

- Próbowałam ci pomóc. Pamiętaj o tym.

- Proszę - rzucił, nie mając pojęcia, co zrobił nie tak. - Robin...

Poczuł dłoń na ramieniu, uniósł głowę i zobaczył stojącego za nim mężczyznę w trzyrzędom garniturze.

- O co chodzi? - spytał John.

Nieznajomy popatrzył na Robin, więc John zrobił to samo.

- Przykro mi, John - powiedziała, i wyglądało na to, że naprawdę tak się czuje, choć John nie rozumiał dlaczego. Sięgnęła do torebki, wyciągnęła portfel. Naiwnie myślał, że chce uregulować rachunek. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale wtedy zauważył błysk złota, kiedy pokazała odznakę.

Jakby nie widział na własne oczy, wyjaśniła:

- Jestem z policji.

- Robin...

- Angie, tak naprawdę. - Mężczyzna z tyłu zacisnął mocnej dłoń na jego ramieniu. -

Załatwmy to na zewnątrz.

- Nie... - John poczuł, jak ciało zaczyna mu się trząść, mięśnie się rozpluwają.

- Na zewnątrz - poleciała. Wbiła mu rękę pod ramię i podniosła go na nogi.

Szedł jak inwalida, opierając się na niej, nieznajomy przytrzymał drzwi. Policjanci z

Decatur zachowali się dokładnie tak samo, kiedy wyciągnęli go z sypialni lata temu.

Sprawdzili go po schodach na frontowy dziedziniec i zakuli w kajdanki na oczach

wszystkich sąsiadów. Ktoś krzyknął, John się obejrzał i zobaczył, że to matka. Emily upadła na kolana, Richard nawet nie próbował jej podnieść, kiedy zanosila się szlochem.

Słońce na parkingu przed barem było ostre i John zamrugał. Uświadomił sobie, że dyszy.

Więzienie. Zabierają go do więzienia. Zabiorą mu ubranie, poddadzą rewizji osobistej,

pobiorą odciski palców, wrzucą do celi z mężczyznami, którzy tylko czekają na jego powrót, już się palą, żeby mu pokazać, co dokładnie myślą o gwałcicielu dzieci, pedofilu, który nie potrafił wysiedzieć na wolności.

- Will - mówiła do nieznajomego idącego za Johnem. - Nie rób tego.

John zobaczył srebrne kajdanki, które mężczyzna trzymał w dłoni.

- Proszę - zdołał wydusić.

Nie mógł oddychać. Nogi się pod nim ugięły. Ostatnie, co zobaczył, to Robin rzucającą się do przodu, żeby go podtrzymać, gdy upadał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

GODZINA 8.55

Angie czuła się brudna. Nawet po bardzo gorącym prysznicu miała wrażenie, że nigdy już nie pozbędzie się brudu ze środka.

Wyraz twarzy Johna, malujące się na nim strach i poczucie zdrady raniły jej serce jak wyszczerbiony kawałek metalu. Will zaniósł Johna do samochodu, pomógł mu usiąść na tylnym siedzeniu niczym dziecku zabieranemu do sklepu. Angie stała obok i myślała, oto dwaj mężczyźni, których życie spałałam najbardziej.

Odeszła, zanim Will zdążył ją powstrzymać.

Co takiego było w Johnie Shelleyu, że chciała go uratować? Może fakt, że nie miał nikogo na świecie? Że nosił swoją samotność jak zbroję, którą tylko Angie widziała. Był taki jak Will. Kropka w kropkę jak Will.

Choć kilka dni wcześniej wypucowała dom od piwnicy po dach, założyła rękawiczki i zabrała się do sprzątnia. Zużyła prawie dwa litry wybielacza w łazience, szorując szczoteczką do

zębów lśniąca białą fugę. Kafelki położył jej swego czasu Will, układając je w linii ukośnej, bo instynktownie wiedział, że pomieszczenie będzie przez to wyglądać na większe.

Pomalował też ściany na żółto i zrobił lamówkę z farby olejnej w kolorze złamanej bieli, podczas gdy Angie krytykowała jego remontowe talenty.

Powinna do niego zadzwonić. Will po prostu wykonywał swoją pracę. Był dobrym policjantem, a przy tym jeszcze dobrym człowiekiem, i nie miała prawa karać go za to, że John Shelley wplątał się w coś złego. Gdy tylko sprzątnie dom, zadzwoni do niego na komórkę, upewni się, że on wie, że to nie jego nienawidzi, lecz sytuacji. W następnej kolejności zabrała się do kuchni, wyciągnęła wszystkie garnki i patelnie, umyła wszystkie szafki. Bez przerwy odtwarzała w głowie wydarzenia tego ranka, zastanawiając się, czy mogła coś zrobić, żeby to wszystko przebiegło łagodniej.

- Kurwa - przeklęła.

Potrzebowała nowej wyściółki. Głupotą było pucować szafki kiedy pod wyściółką pewnie gnieździł się brud. Uniosła róg lepkiego winylu na dnie szafki pod zlewem i szarpnęła, rozdzierając materiał na dwie części. Pod spodem było czysto, ale już zniszczyła wyściółkę. Wstała, żeby przynieść kolejną, jednak jeszcze zanim dotarła do spiżarni, przypomniała sobie, że więcej nie ma.

- Kurwa - przeklęła znowu, zdzierając rękawiczki. Cisnęła je do zlewu i posłała w powietrze jeszcze kilka bluzgów, kiedy szukała kluczyków.

Dziesięć minut później siedziała w samochodzie, jadąc nie do sklepu, ale prosto Ponce de Leon w kierunku Stone Mountain. Wiedziała, gdzie mieszka Michael. Po tym jak się różni, czy mówiąc ściślej, jak Michael zerznął ją, popadła w małą obsesję. Kilka razy przejeżdżała obok jego domu, widziała dziecko i żonę na podjeździe, mignął jej też on sam, jak mył auto. To zachowanie nie trwało długo - może tydzień - zanim dotarło do niej, że zachowuje się jak obłąkana. To nie na Michaela była wściekła, ale na samą siebie za wpakowanie się w kolejną nieprzyjemną sytuację.

Ormewoodowie mieszkali w parterowym domku, nieodbiegającym stylem od okolicznych. Angie zaparkowała na pustym podjeździe. Jeśli któryś z sąsiadów zauważył, że czarne monte carlo ss jest tu nie na miejscu, nie zareagował. Czuła mrowienie w każdym skrawku skóry, kiedy wysiadła z auta.

Miała na sobie swój zwykły strój do sprzątania: obcięte džinsy, jedną ze starych koszul Willa i różowe japonki, które wsunęła na stopy, opuszczając dom. Uderzały o podeszwy stóp z głośnym plaśnięciem, kiedy szła do garażu. Wiał wiatr i objęła się ramionami, żeby przegnać ziąb. Wspięła na palce i zajrzała do środka.

Okna były zamazane farbą.

Uliczką przejechał samochód i Angie odprowadziła go wzrokiem, sprawdzając, czy nie zwalnia, zanim skierowała się do frontowych drzwi. Nacisnęła dzwonek i czekała, z góry ciesząc się na myśl o minie Ormewooda, kiedy otworzy drzwi i ją zobaczy. Miała zamiar mu

powiedzieć, że John Shelley został aresztowany, a potem spytać, skąd go zna, dlaczego ostrzegął przed nim ją i dziewczyny.

Zapukała, potem ponownie zadzwoniła.

Nic.

Nacisnęła klamkę, drzwi nie ustąpiły. Starła się nie zerkać przez ramię ani nie robić nic, co mogłoby sprawić wrażenie, że ma zamiar się włamać. Jak gdyby nigdy nic skierowała się na tyły domu i idąc wolno, patrzyła w okna jak znajoma, która właśnie wpadła z wizytą.

Żałowała, że nie ma w dłoni komórki jako rekwizytu, ale telefon ładował się w domu.

W tylnych drzwiach wycięto otwór dla psa. Wyglądały na stare i domyśliła się, że były tu już, kiedy Ormewoodowie się wprowadzili. Michael nie cierpiał psów. Pamiętała to z ich pierwszej wspólnej obławy. Jedna z dziewczyn miała kundla, który nie przestawał szczekać, i Ormewood wyciągnął pistolet, kiedy pies się na niego rzucił. prostytutka się roześmiała, Angie podobnie. Gdy teraz o tym myślała, skojarzyła, że to była ta sama, która jej powiedziała, że Michael domaga się darmówek.

Angie uklękła i skuliła ramiona, żeby zmieścić się w otworze. Oczywiście szerokie biodra klaczy zarodowej - dzięki, matko - się zaklinowały, ale w końcu jakoś zdołała się precisnąć. Wczołgała się do środka i zastygła, nasłuchując, czy nikogo nie ma w środku. Po raz pierwszy, od chwili kiedy wyszła z domu, zadała sobie pytanie, co właściwie wyprawia. Po co włamuje się do domu Michaela? Co spodziewa się tu znaleźć?

Może Will ma rację. Michael z pewnością był palantem, bił żonę i prawdopodobnie zgwałcił Angie tamtej nocy, kiedy była zbyt pijana, żeby lepiej się pilnować, ale to jeszcze nie znaczyło, że maczał palce i w tej sprawie. Zatem po co tu przyszła?

- Cholera - syknęła i zamierzała się odwrócić, żeby wyczołgać się tą samą drogą.

Znieruchomiała na klęczkach, kiedy jej uszu doleciał odgłos. Skamlenie? Czy to usłyszała?

Czyżby Michael miał jednak psa?

Wstrzymała oddech, nasłuchując. Dźwięk się nie powtórzył, i przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy przypadkiem nie dostaje kręćka. Fakt, że włamała się do czyjogoś domu, naprawdę budził wątpliwości co do stanu jej umysłu.

Mimo to podniosła się. Równie dobrze, skoro już tu jest, mogła dokończyć to, co zaczęła. Zostawiła klapki przy drzwiach. Nienawidziła chodzić na bosy, ale nie chciała, żeby odgłos plaśnięć włókł się za nią po całym domu.

Przystanęła w połowie drogi przez kuchnię, słysząc zatrzymujący się samochód. Nadstawiła uszu. Drzwi się otworzyły i zatrasnęły z powrotem, ale gdzieś po drugiej stronie ulicy. Ktoś zawołał „cześć”, wywiązała się jakaś rozmowa i Angie odetchnęła z ulgą. Chryste, jeszcze tego było jej trzeba, żeby Michael wrócił i przyłapał ją na myszkowaniu po jego domu.

Bawialnia wyglądała tak, jak się spodziewała: wyściełana kanapa i wielki telewizor.

Zerknęła na korytarz, ale nie chciała wchodzić do sypialni. Nie miała ochoty oglądać miejsca, gdzie Michael pieprzył żonę i gdzie pewnie ją bijał.

Czy Angie też pobił? Nie wiedziała. Następnego dnia miała posiniaczone ramiona, genitalia piekły ją z bólu. Straciła przytomność w samochodzie, a on zrobił z nią, co mu się żywnie podobało. Głupi kutas. Nie widział, że jest gotowa prawie na wszystko? Nie musiał czekać, aż zemdleje.

Na tyłach bawialni znajdowały się zaryglowane na skobel drzwi. Starła się odtworzyć w głowie plan budynku, dochodząc do wniosku, że po drugiej stronie musi znajdować się garaż. Po co taki mocny zamek na drzwiach garażowych, skoro każdy może bez problemu wejść przez otwór dla psa? I dlaczego okna są zamalowane?

Angie podeszła do drzwi, przyłożyła ucho do chłodnego metalu. Zawias zamka zaskrzypiał, kiedy go podważyła. Położyła dłoń na gałce i otworzyła drzwi. W pomieszczeniu było ciemno choć oko wykol, po chwili namacała kontakt na ścianie. Jarzeniowe żarówki zamigotały kilka razy i w ich stroboskopowym świetle Angie zobaczyła warsztat, kosiarkę do trawy i stół do poola.

Światła przestały migać. Do stołu bilardowego przywiązana była naga dziewczynka. W ustach miała knebel, krew na twarzy. Otworzyła szeroko oczy na widok Angie, białka niemal wyszły jej na wierzch. Poza unoszącą się i opadającą szybko klatką piersiową, nie ruszała się.

Angie straciła oddech. Poczuła ostry, przeszywający ból w tyle czaszki, zobaczyła oślepiającą eksplozję, kiedy zwała się na podłogę. Usłyszała łkanie dziewczynki, śmiech mężczyzny, a potem już nic.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

GODZINA 10.13

Will odchylił się na krześle, patrząc na ponury widok roztaczający się z okna pokoju. Podniósł słuchawkę i jeszcze raz wykręcił numer komórki Angie; rozłączył się dopiero, gdy włączyła się poczta głosowa. Usiłował się do niej dodzwonić od godziny, najpierw na numer domowy, potem na komórkę. Mówiła wcześniej, że wraca prosto do domu, a nie miała zwyczaju nie odbierać, gdy dzwonił. Nawet jeśli była wściekła na Willa, podniosłaby słuchawkę chociażby po to, żeby rzucić mięsem i powiedzieć, żeby przestał dzwonić. I przynajmniej w jednym się nie myliła: John Shelley nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy Will wsadził go do samochodu.

Leo Donnelly zapukał do drzwi i otworzył je, zanim usłyszał „proszę”.

- Jest już adwokatka.
- Dziękuję.
- Twierdzi, że jest przyjaciółką jego siostry.

Will wstał, włożył marynarkę.

- Nie wierzysz jej?

Leo podał Willowi wizytówkę, dodając:

- Specjalizuje się w nieruchomościach. - Ściszył głos. - Lesba, ale warta grzechu.

Will nie wiedział, co odrzec. Popatrzył na wizytówkę odpowiednio długo, potem wsadził ją do kieszeni kamizelki.

Leo ruszył za nim korytarzem.

- Powiem ci, stary, naprawdę duża strata dla rodzaju męskiego. Rozumiesz, co mam nam myśli?

Will nie bardzo chciał się wdawać w podobne rozważania, więc zapytał:

- Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby Michael przebąkiwał coś o Johnie Shelleyu?

- Tym sprawcy? - Leo zasznurował usta, namyślając się. - Nie.

- W obyczajówce pracuje niejaka Angie Polaski.

Donnelly wyszczerzył się znacząco.

- Tak, znam ją.

Will otworzył drzwi na klatkę schodową. Leo wyglądał na niepokieszonego, że nie zjadą windą dwa piętra do sali przesłuchań, ale powinien się cieszyć, że Will pięścią nie starł mu tego uśmiešku z ust.

- Detektyw Polaski powiedziała, że kilka miesięcy temu Michael ostrzegł ją i pracujące z nią dziewczęta, żeby uważały na kryminalistę nazwiskiem John Shelley.

Kiedy dotarli na podest, Leo już się nie uśmiechał.

- Mike wiedział wcześniej o tym gościu?

- Na to wygląda.

Leo schodził dalej, przesuając palce po poręczy. Zatrzymał się na kolejnym półpiętrze i Will się odwrócił.

- Słuchaj - powiedział Donnelly, zerkając przez poręcz. - Co do tej dupy, Polaski... Mike posunął ją jakiś czas temu. To żonaty facet, wiesz, naprawdę kocha ślubną, ale nie odmówi, jeśli laska, zwłaszcza taka, chce mu obciągnąć druta. Wiesz, co mam na myśli?

- Co się stało?

- Polaski nie rozumiała reguł. Miała nadzieję na coś bardziej stałego. Mike próbował delikatnie jej to wyperswadować, ale od tego czasu jest na niego naprawdę cięta. Will prawie się roześmiał na myśl, że ktoś może sądzić, że Angie pragnie poważnego związku. Idąc dalej w dół, zapytał:

- Uważasz, że to zmyśliła?

- Uważam, że kobieta wzgardzona nie cofnie się przed niczym, rozumiesz?

- Tak - zgodził się Will. - Ale po co miałyby zmyślać coś takiego?

Leo zastanawiał się przez kilka sekund. W końcu wzruszył ramionami.

- Kobiety, sam rozumiesz.

- A nie wspominałeś mi wczoraj, że Gina wystąpiła do sądu o zakaz zbliżania się dla Michaela za maltretowanie?

- No. - Leo znowu przystanął. - Zgadza się. I co z tego?

Will szedł dalej.

- Z tego, co widziałem, raczej nie uważałeś, żeby zmyślała.
- Nie - przyznał. Potarł kciukiem podbródek gestem, który Will rozpracował w ciągu kilku minut od poznania detektywa. Miał szczerą nadzieję, że facet nie grywa w pokera. - Sprawa wygląda tak - powiedział w końcu Donnelly - Michael zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i pytał, jak idzie śledztwo.

- Do mnie też dzwonił.

- Co mu powiedziałaś?

Will otworzył drzwi drugiego piętra.

- Prawdopodobnie to samo co ty. Że utknęliśmy w martwym punkcie.

- Tak, ale ja jeszcze dodałem, że prosiłeś, żebym przygotował ten wykaz przestępców seksualnych. Bardzo się wtedy zirytował. Powiedział, że to, kurwa, genialne. - Posłał Willowi przepaszający półuśmiech. - Chyba się nie obrazisz, jeśli powiem, że z tymi kartotekami to był prawdziwy rzut na taśmę.

Will potaknął. Shelley znalazł się w jego grupie zarejestrowanych przestępców seksualnych, ale wypis ze zwolnienia warunkowego nie zawierał szczegółów, które odszukała mu Caroline. Gdyby Angie nie poprosiła Willa, żeby przyjrzał się facetowi, Shelley prawdopodobnie nadal byłby na wolności.

Oczywiście, wcześniej to Michael Ormewood powiedział Angie o Shelleyu.

Leo miał krótszy krok od Willa. Z trudnością za nim nadążał, kiedy szli korytarzem.

- Sęk w tym - ciągnął - że Mike siedzi w tej robocie prawie tak długo jak ja. I wie, że czasami to gra w ciemno. - Will zwolnił. - Wie także, że jakaś zaćpana dziwka mieszkająca w budynku socjalnym za Chiny nie będzie miała czystusińskiego mieszkania.

Will się zatrzymał, myśląc, że może nie doceniał Leo Donnelly'ego.

- Rękę dam sobie uciąć - konkludował detektyw - że miejsce zostało wyczyszczone, zanim tam przyjechaliśmy.

- Mówiłeś o tym Michaelowi?

- Mielśmy małe spięcie - przyznał Leo. - Mike jest zwykle do rany przyłoż, wiesz? Ale kiedy powiedziałem, że miejsce wygląda jak po wiosennych porządkach, naprawdę się wkurzył. Nie chciał nawet wspomnieć o tym w raporcie.

- Może po prostu był ostrożny?

- Ostrożny to człowiek jest, gdy pomija fakt, że znalazł swoje nazwisko w notesiku z kontaktami zdziry, nie kiedy zapomina odnotować, że ktoś wyszorował mieszkanie trzema litrami chloroksu.

Will wsadził ręce do kieszeni.

- Co teraz robisz?

Leo wzruszył ramionami.

- Mam trzy inne sprawy, nad którymi pracuję. A o co chodzi?

- Nie wybrałbyś się do Michaela?

- Po co?

- Odwiedzić go - powiedział Will. - Sprawdzić, jak się trzyma.
- Powiem ci - zaczął Leo - że jak tak się nad tym zastanowię, to chyba wali mnie już, czy i jak się trzyma.
- Po prostu zajrzyj do niego - nalegał Will, kładąc mu rękę na ramieniu. - Chcę wiedzieć, gdzie jest.

Detektyw patrzył na niego przez kilka sekund, potem skinął głową.

- Jasne - powiedział wreszcie. - Nie ma sprawy.

Will położył dłoń na klamce drzwi do sali przesłuchań, ale ich nie otworzył. Zamknął oczy, usiłując się skoncentrować. W środku nie może już myśleć o Angie, Michaelu, Jasmine czy w ogóle czymkolwiek, co mogłoby się odbić na jego skuteczności. Shelley był celem i Will miał zamiar trafić bez pudła i go przygwoździć.

Zapukał raz i wszedł do pomieszczenia, nie czekając na zaproszenie. John Shelley siedział przy stole. Prawniczka pochylona nad stolikiem trzymała jego ręce w swoich dłoniach.

Kiedy wszedł, odsunęli się od siebie.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Will.

Kobieta wstała. Miała silny, pełen oburzenia głos. Może i zajmowała się nieruchomościami, ale przecież była prawnikiem.

- Czy mój klient jest aresztowany?
- Agent specjalny, Will Trent - przedstawił się. - A pani?
- Katherine Keenan. Może mi pan wyjaśnić, dlaczego mój klient został zatrzymany?

- Pani zdaje się jest specjalistką od nieruchomości - stwierdził Will. - Czy reprezentuje pani mojego klienta w jakiejś sprawie mieszkaniowej?

Zmrużyła oczy.

- Jest aresztowany czy nie?

- Pozwoli pani? - spytał, odsunawszy krzesło.

- Detektywie, nie obchodzi mnie, czy pan siedzi, stoi czy lewituje. Niech pan tylko nie pogrywa ze mną w pici-polo i odpowie na pytanie.

John spuścił wzrok na stół, ale Will zdążył zobaczyć, że się uśmiechnął.

- Dobrze. - Will usiadł naprzeciwko nich i zwrócił się do prawniczki: - Ale, jeśli to nie problem, wolałbym pozostać agentem specjalnym. Detektywi pracują w miejscowej policji. Ja w stanowej. Biuro Śledcze stanu Georgia. Może widziała nas pani w wiadomościach?

Keenan najwyraźniej nie bardzo wiedziała, jakie to ma znaczenie, ale John chyba zrozumiał. Albo miejscowi nie radzili sobie ze sprawą, albo przestępstwo obejmowało kilka okręgów.

- Nie będę odpowiadał na żadne pytania - powiedział John.

- Nie szkodzi, panie Shelley. Nie mam do pana żadnych pytań. W przeciwnym razie mógłbym chcieć wiedzieć, gdzie pan był, dajmy na to, trzeciego grudnia wieczorem zeszłego roku. Albo zapytałbym o trzynastego października. - Jeśli te daty mówiły coś Johnowi, nie dał tego po sobie pokazać. - Mógłbym też zainteresować się ubiegłą niedzielą.

- Teraz pojawiła się reakcja. Will nacisnął mocniej. - To był dzień Super Bowl, na pewno

pan pamięta. A nazajutrz było szóstego, poniedziałek. Może spytałbym, co pan robił w poniedziałek.

- Nie musi odpowiadać na żadne pytania - wtrąciła Keenan.

Will mówił bezpośrednio do Johna.

- Musi mi pan zaufać.

John patrzył na niego jak na pustą ścianę.

Will oparł się na krzesło i wyliczył.

- Mam martwą dziwkę, nieżywą nastolatkę i dwie dziewczyny, które zachodzą w głowę, jak przeżyć resztę życia po tym, jak odgryziono im języki.

Will obserwował prawniczkę, kiedy to mówił. Nie miała takiej wprawy jak John, nie potrafiła tak dobrze ukrywać emocji.

- Mam także zaginioną nastolatkę - ciągnął. - Nazywa się Jasmine. Ma czternaście lat.

Mieszka w Grady Homes razem ze swoim bratem Cedrikiem. W zeszłą niedzielę biały mężczyzna o brązowych włosach zapłacił jej dwadzieścia dolarów, żeby gdzieś zadzwoniła.

John splótł dłonie na stole.

- Co dziwne, na sam telefon dał jej dziesięciocentówkę. - Will zamilkł na chwilę. - O ile pamiętam, ostatni raz za połączenie z budki telefonicznej płaciło się tyle gdzieś w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku.

John poruszył rękoma.

- Pani Keenan. - Will zwrócił się do prawniczki: - Pojawia się jedno pytanie: skąd John Shelley zna Michaela Ormewooda?

Wydała stłumiony okrzyk na dźwięk tego nazwiska.

- Kathy - ostrzegł John.

Will wyjaśnił sytuację.

- W zeszły poniedziałek zginęła piętnastolatka. Ktoś wyciął jej język. Chcąc nie chcąc, przypominam sobie, panie Shelley, że dwadzieścia lat temu wyciął pan język innej dziewczynie.

- Nie został odcięty - nie wytrzymała Keenan.

- Kathy, poczekaj na zewnątrz - poprosił John.

- John...

- Proszę - rzucił. - Poczekaj na zewnątrz. Spróbuj znaleźć Joyce.

Ociągała się.

- Proszę - powtórzył.

- Dobrze. Ale będę tuż za drzwiami.

- Prawdę mówiąc - zaczął Will, wstając - nie wolno pani czekać na korytarzu, pani Keenan.

Budynek rządowy, terroryści, rozumie pani. - Otworzył jej drzwi. - Piętro niżej jest pokój dla adwokatów, tuż przy automacie z napojami. Może tam pani wykonać kilka telefonów, może coś przekąsić.

Opuszczając salę, rzuciła mu mordercze spojrzenie. Ale jej wyjście wcale nie zmniejszyło panującego w środku napięcia, wręcz przeciwnie.

Will niespiesznie zamknął drzwi, zanim ponownie zajął swoje miejsce. Skrzyżował ręce na piersi, czekając, aż John Shelley się odezwie. Co najmniej pięć minut spędzili w ciszy. Will poczekał jeszcze chwilę, potem ustąpił.

- Skąd pan zna Michaela?

Dłonie Johna nadal spoczywały na stole, splecione palce były zaciśnięte.

- Co powiedział?

- Nie pytam jego. Pytam pana.

John popatrzył na Willa z całą wściekłością, którą w sobie dusił.

- Joyce to pańska siostra? - spytał Will.

- Nie mieszajcie jej do tego.

- Musiało być wam ciężko przez te lata. Pan w więzieniu, ona na wolności.

- Wie, że tego nie zrobiłem.

- To pewnie musiało być jeszcze ciężiej.

- Niech mi pan nie wciska tego psychologicznego kitu.

- Po prostu byłem ciekaw, jak to jest.

- Jak to jest? - powtórzył John, dając ujście części gniewu. - Jak to jest zniszczyć rodzinę, posłać matkę przedwcześnie do grobu? Jak to jest, gdy własny ojciec traktuje cię jak jakiegoś cholernego pariasa? A jak ci się zdaje, człowieku? Jak, kurwa, myślisz?

Słowa Johna zawisły w powietrzu, jego głos rozbrzmiewał w uszach Willa. Jak się zdawało Willowi? Myślał, że wreszcie wszystko zaczyna mu się składać w całość.

- Chciałbym, żeby coś pan dla mnie zrobił - powiedział.

John wzruszył ramionami niezobowiązująco.

Will nosił w kieszeni kopię listu Aleeshy Monroe, jakby był to rodzaj talizmanu mającego przynieść szczęście w śledztwie. Rozłożył ją teraz i przesunął po stole w kierunku Johna.

- Może mi pan to przeczytać? Na głos?

Shelley popatrzył na niego zaskoczony, ale ciekawość wzięła górę. Pochylił się nad stolikiem i nie dotykając kartki przebiegł oczyma list.

Podniósł wzrok, skonsternowany.

- Mam to odczytać na głos?

- Jeśli byłby pan tak uprzejmy.

John odchrząknął. Najwyraźniej nie wiedział, o co chodzi, jednak Will wziął to za objaw zaufania, kiedy zaczął czytać.

- „Kochana mammo” - zaczął, ale agent mu przerwał.

- Przepraszam. Trzecia linijka od dołu - powiedział. - Gdyby mógł pan zacząć od tego miejsca.

John posłał mu kolejne spojrzenie, mówiące, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Biblia mówi, że grzechy rodzica mszczą się na jego dzieciach. Jestem wyrzutkiem, niedotykalnym, który może żyć tylko z innym pariasem, z powodu twoich grzechów - urwał, gapiąc się na słowa, jakby wiedział, że umyka mu coś co, ma tuż pod nosem.

- Kim jest Alicia? - spytał.

- Aleesha Monroe - wyjaśnił Will i wyraz twarzy Johna powiedział mu wszystko, co potrzeba. - Wczoraj rano rozmawiałem z jej matką. Musiałem ją poinformować, że jej córka nie żyje.

John z trudem przełknął ślinę.

- Nie żyje?

- Aleesha Monroe została zgwałcona. Pobita. Odgryziono jej język.

- To była... - wyszeptał John, bardziej do siebie. Wziął do ręki list, wbił wzrok w słowa.

- Dwukrotnie napisała słowo parias - zauważył Will, wiedząc, że teraz ma jedyną szansę przekonać Johna, żeby mu zaufał. - Za pierwszym razem małą literą. Za drugim użyła dużej. Parias. Nie pariasi. Chodziło o jedną osobę, nie grupę.

John ponownie przebiegł wzrokiem stroną i Will wiedział, które zdanie czyta:

„Niedotykalnym, który może żyć tylko z innym pariasem”.

Nachylił się nad stolikiem, upewnił, że John go słucha.

- Kto jest tym Pariasem, John?

Nadal gapił się na list.

- Nie wiem.

- To ktoś, kogo Aleesha dawno temu znała. Ktoś, z kim musiała teraz żyć, kogo musiała znosić. - Komórka Willa zadzwoniła w jego kieszeni, ale ją zignorował. - Musisz mi powiedzieć, kim jest Parias. Muszę to od ciebie usłyszeć.

John znał odpowiedź, domyślił się już. Will widział to w jego oczach.

Powiedział tylko:

- Pański telefon dzwoni.

- Nie zwracaj uwagi - rzucił Will. - Kim jest Parias?

Potrząsnął głową, ale Will widział, że jest bliski pęknięcia.

- Powiedz mi, o kim ona pisze?

Telefon dalej dzwonił. Will nawet nie drgnął, żeby go wyłączyć. Widział, że John zaczyna mu się wymykać, dźwięk komórki podziałał jak rodzaj ostrzegawczego dzwonu napominającego, żeby trzymał buzię na kłódkę.

- John - ponaglił Will.

Mężczyzna wstał, zgniótł w kulkę list, rzucił go Willowi w twarz i wrzasnął:

- Powiedziałem, że nie wiem!

Will opadł na krzesło, w duchu przeklinając Angie za to, że wybrała sobie akurat ten moment, żeby oddzwonić. Otworzył klapkę, rzucił do mikrofonu:

- Co?

- Trent - powiedział Leo Donnelly. - Jestem u Mike'a.

- Poczekaj - poprosił Will, potem przycisnął telefon do piersi i zwrócił się do Johna: - Wyjdę na minutkę i odbiorę ten telefon, zgoda?

John wzruszył ramionami.

- Co mnie to.

Will wyszedł z sali, zamknął za sobą drzwi i przyłożył telefon do ucha.

- O co chodzi, Leo?

- Pojechałem do domu Mike'a, jak prosiłeś.

Will poczuł napływający gniew. Jeszcze chwila, a John by pękł. Gdyby ten głupi telefon nie zadzwonił, teraz już by śpiewał.

- Pukam do drzwi, wiedząc, że Mike jest w domu, bo na ulicy stoi jego bryka.

Will oparł się o ścianę, czując ciężar nieprzespanej nocy.

- I?

- Nikt nie otwiera, ale wtedy podjeżdża radiowóz z chłopakami z DeKalb, a zaraz za nim Gina. Znaczy się żona, tak? Poprosiła ich o ochronę, żeby zabrać część swoich rzeczy z domu.

- Mhm.

- Wjechała na podjazd, a przecież nie będę się krył w krzakach, więc walę do niej i pytam, co słyhać. Patrzy na mnie jak na gówno w płatkach śniadaniowych, pewnie biorąc mnie za kumpla Mike'a.

Will pomyślał o Johnie siedzącym w sali przesłuchań.

- Dokądś nas to zaprowadzi?
- Masz mnie za przymuła, młody? Siedzę w tym co najmniej dziesięć lat dłużej od ciebie.
- Masz rację - zgodził się Will, opierając się o ścianę i zastanawiając, jak długo to jeszcze potrwa. - Mów dalej.
- Więc chłopcy z DeKalb też nie cieszą się na mój widok, nie? Ponoć Mike zwodził ich w sprawie tej nieżyjącej sąsiadki. Nie chciał z nimi rozmawiać, nie złożył zeznań, nie pozwolił im się rozejrzeć po swoim domu.
Teraz Will już nadstawił uszu.
- Pomyślałem sobie, że zerwali się na wezwanie Giny w nadziei, że uda im się trochę pomyszkować w środku.
- I?
- Kiedy się zorientowała, że Mike'a nie ma w domu, nie pozwoliła im wejść. - Leo dodał z uznaniem: - Może i go nie cierpi, ale nadal jest żoną gliny. Wie, że nie wpuszcza się psów bez nakazu sędziego.
- Czegoś tu nie rozumiem.
- Daj mi dokończyć - ostrzegł Leo. - Ten policjant, Barkley, stoi tam, wie, że może jej naskoczyć, i chuj go strzela. Więc wsiada na mnie i każe mi wypierdalać z podwórka. - Will usłyszał trzask zapalniczki, kiedy Leo zapalił papierosa. - No to przechodzę sobie na ulicę. To wolny kraj, nie? Droga nie jest własnością Barkleya.

Will bez problemu wyobraził sobie tę scenę. Nikt rozsądny nie każe glinie się zabierać, chyba że chce go mieć na karku do końca życia.

- Chodzę sobie koło samochodu Mike'a, zastanawiam się, dlaczego jest zaparkowany po drugiej stronie ulicy, a nie na podjeździe, kiedy sąsiadka wraca z zakupami. Wścibski babsztyl, ale pytam, gdzie jest Mike, a ona na to - Leo urwał, żeby się zaciągnąć - a ona na to, że Mike był tutaj jakąś godzinę temu. Wyjmowała listy ze skrzynki, kiedy przyjechał. Spytał ją o samochód stojący na jego podjeździe.

Will oderwał się od ściany.

- Jaki samochód?

- Jakieś auto zaparkowane przed garażem - odpowiedział Leo. - Mike chciał wiedzieć, jak długo tam stoi. Ona mówi mu, że pięć, może dziesięć minut, a on wtedy odwraca się na pięcie, nawet nie mówi dziękuję.

- I co dalej?

- Sąsiadka weszła do domu, przygotowała listę zakupów i wyszła na zewnątrz. - Leo znowu się zaciągnął. - Ale zauważyła, że teraz samochód na podjeździe był ustawiony tyłem do garażu, a Mike zamykał wrota.

- Cholera.

- Pomachał jej, zatrzasnął bagażnik, wsiadł i odjechał.

„Zatrzasnął bagażnik”, rozbrzmiewało w głowie Willa.

Musiał więc do niego coś włożyć.

- Powiedziała, jaki to był samochód? - spytał Will.

- Czarny. Nie zna się na markach.

Serce mu stanęło.

- Leo, ten gliniarz jest tam jeszcze?

- Tak.

- Samochód Giny stoi nadal na podjeździe?

- Tak.

- Musisz tam pójść i zajrzeć pod jej auto. Sprawdź, czy na betonie są świeże plamy po oleju.

- Chcesz, żeby mi odstrzelił kutasa?

- Musisz to zrobić - nalegał Will, gardło bolało go od wysiłku mówienia. - Powiedz mi, czy są tam świeże plamy oleju.

- Jezu - mruknął Leo. Will słyszał, jak wydmuchnął dym. - Dobra, nie rozłączaj się.

Zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak Donnelly przechodzi przez ulicę na podjazd Michaela.

W słuchawce rozległ się jakiś męski głos, prawdopodobnie policjanta nazwiskiem Barkley, potem kilka jęków, kiedy Leo z trudem się pochylał. Kolejny wrzask miejscowego gliny i znowu głos Leo. Wreszcie powiedział do słuchawki:

- Tak, jest świeży olej. Na pewno nie z samochodu Giny, bo wjechała...

Will zamknął klapkę telefonu, wsadził go do kieszeni, wpadając do sali przesłuchań. John cofnął się na jego widok, mówiąc:

- Co do...

Will wykręcił mu ramię na plecy i uderzył jego twarzą o ścianę. Przysunął usta do jego ucha, żeby się upewnić, że sukinsyn słyszy każde słowo.

- Powiedz mi, gdzie on jest.

John wrzasnął z bólu i wspiął się na palce.

- Powiedz mi, gdzie - powtórzył Will, wykręcając wyżej ramię, czując, że staw zaczyna się łamać.

- Ja nie...

- On ma Angie, dupku. - Will docisnął jeszcze ramię. - Powiedz mi, gdzie on jest.

- Tennessee - wyszeptał John. - Ma dom w Tennessee.

Will go puścił i John upadł na podłogę.

- Gdzie w Tennessee?

John potrząsnął głową, próbował wstać.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Podaj mi adres.

Podniósł się, krzywiąc się z bólu.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Zapytam jeszcze tylko raz. - Kiedy John nie odpowiedział, zrobił krok w jego kierunku.

Już dobrze! - krzyknął John, zasłaniając się tą ręką, którą mógł ruszać. - Elton Road dwadzieścia dziewięć. Ducktown, Tennessee.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Angie musiała w pewnym momencie zwymiotować, ale knebel zatrzymał większość wymiocin w ustach. Sądząc po ostrej woni w bagażniku, także się posikała. Głowa jej pękała, ciało bolało tak bardzo, że jęczała przy każdym poruszeniu. Ręce i stopy miała spętane z tyłu. Nawet gdyby była w stanie się ruszyć, nie miała miejsca, nie mogła nic zrobić, żeby sobie pomóc, była kompletnie bezsilna.

Starła się skupić na oddychaniu, nie stracić orientacji, żeby znowu nie dostać mdłości. To nie był jej pierwszy wstrząs mózgu, miewała już gorsze, ale panująca w bagażniku ciemność sprawiała, że trudno było nie wpaść w panikę, i za każdym razem, kiedy samochód przystawał na światłach lub przed znakiem stopu, nie potrafiła zapanować nad strachem, który palił ją w środku jak kwas.

Auto ponownie zwolniło i zesztyniała, nasłuchując, jak opony chrzęszczą na żwirze. Zjechali z jezdni. Nie miała zielonego pojęcia, jak długo leży w tym bagażniku. Wprawdzie nie widziała, kto ją uderzył w tył głowy, ale wiedziała, że to był Michael. Jego śmiech ciągle rozbrzmiewał jej w uszach. Tak samo się śmiał w noc przyjęcia na cześć Kena, kiedy wpychał ją na tylne siedzenie jej samochodu.

Dziewczynka.

Do stołu bilardowego przywiązana była jakaś dziewczynka. Małe ciało posiniaczone i zakrwawione. Jasmine. To musiała być Jasmine.

Samochód wolno się zatrzymał. Angie odliczała sekundy. Po dwunastu otworzyły się drzwiczki. Auto drgnęło, kiedy od przedniego siedzenia oderwał się jakiś ciężar. Rozległo się trzaśnięcie drzwiczek. Odgłos kroków na żwirze. Potem otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i zaraz głośno zamknęły, jakby ktoś je kopnął.

Dwadzieścia sekund. Pięćdziesiąt. Sto. Dawno przestała już liczyć, kiedy usłyszała zgrzyt kluczyka w zamku bagażnika.

Oślepiło ją słońce. Zacisnęła mocno powieki. Świeże powietrze było jak dotyk nieba.

Postarała się jak najszerzej otworzyć usta, rozdęła nozdrza, desperacko próbując wciągnąć je w płuca.

Jakiś cień zasłonił słońce. Otworzyła powoli oczy. Stał nad nią Michael i uśmiechał się, nierówna szrama, którą wydrapała mu na policzku Jasmine trzy dni wcześniej, wyglądała jak barwy wojenne.

- Miła drzemka?

Naprężyła się, z całej siły szarpnęła za więzy.

- Nie rzucaj się - ostrzegł.

Wypaliła: „Pierdol się” przez knebel.

Wyjął z futerału długi myśliwski nóż i jeszcze raz ostrzegł:

- Nie próbuj żadnych sztuczek. - Przeciął sznur na jej plecach.

Jęknęła z ulgi, kiedy trochę rozprostowała nogi. Ręce nadal miała związane na plecach, ale przynajmniej mogła już się poruszać.

- Wsiadaj.

Spróbowała usiąść. Michael wsunął z powrotem nóż do pochwy i wyciągnął służbowy pistolet. Wymierzył go w nią i zamarła.

- Powoli - rozkazał. - Nie myśl, że nie strzelę.

Sznur wrzynał jej się w nadgarstki, kiedy przycisnęła ręce płasko do podłogi bagażnika. Po kilku próbach udało jej się podnieść. Przerzuciła nogi przez krawędź otwartego bagażnika. Jęcząc z bólu, wygramoliła się na zewnątrz, zachwiała, kiedy uderzyła stopami o ziemię, ale jakoś zdołała utrzymać równowagę.

Wyprostowała się, rozejrzała dokoła, usiłując się zorientować, gdzie jest.

- Imponujące - powiedział. - Zapomniałem już, jaka jesteś giętka.

Chciała wydrapać mu oczy gołymi rękoma.

- Rozejrzyj się - nakazał. Zobaczyła pofalowane wzgórza i ośnieżone wierzchołki gór mające na horyzoncie za wiejską chatą. - Możesz wrzeszczeć, ile dusza zapagnie, i tak nikt cię tu nie usłyszy.

Usunął jej z ust knebel i łapczywie wciągnęła haust powietrza. Czuła, że ma złamany nos, a kiedy splunęła na ziemię, zobaczyła skrzep krwi zmieszany z resztkami śniadania. Zaczęła wrzeszczeć jak potępieniec.

Michael stał spokojnie, kiedy zgięła się wpół z wysiłku, płuca niemal nie wyskoczyły jej z piersi. Krzyczała do utraty tchu, do czasu, aż w głowie oprócz pogłosu własnego krzyku miała zupełną pustkę.

- Skończyłaś?

Rzuciła się na niego i walnęła ją kolanem prosto w pierś. Upadła na ziemię, żwir boleśnie ranił jej nogi.

Przycisnął jej glocka do boku głowy, przybliżył twarz o kilka centymetrów do jej twarzy.

- Zapamiętaj sobie, Angie: jesteś tutaj tylko rezerwową.

Jasmine.

- Gdzie ona jest?

Podniósł ją za włosy i zaczął ciągnąć w stronę chaty. Opierała się, ciągnęła za sznury, obijając się o schody.

- Puść mnie - wrzasnęła. - Puść mnie, pojebie!

Otworzył frontowe drzwi i wepchnął ją do środka.

- Pakuj się tutaj. - Chwytał ją za ramię i wrzucił do łazienki.

Wpadła do wanny, głową uderzyła w plastikową ściankę. W jednej ręce Michael nadal trzymał pistolet, drugą odkręcił prysznic. Próbowwała się podnieść, ale nogi jej się ślizgały, kiedy zimna woda lała jej się na twarz.

- Zdejmuj spodnie - rozkazał Michael. Wycisnął jej na głowę kapkę szamponu, kiedy wstawiała. - Ściągaj je.

Nawet gdyby chciała to zrobić, niewiele mogła zdziałać z rękoma związanymi na plecach. Do niego też to chyba dotarło. Sięgnął i oderwał górny guzik spodni, potem rozpiął zamek błyskawiczny.

- Bieliznę też - polecił. - No już.

Palce miała zdrętwiałe, zdołała jednak jakoś zaczepić kciuki o pasek i ściągnąć dżinsy w dół. Potem pomogła sobie stopami.

- Co zrobiłaś tej dziewczynce? - spytała, zsuwając majtki. - Co zrobiłaś Jasmine?

- Nie martw się. - Michael uśmiechnął się, jakby bawił go jakiś prywatny, jemu tylko znany żart. - Nic nie powie.

Angie jeszcze raz się na niego rzuciła i uderzyła głową prosto w brzuch. Odrzuciło go na korytarz, pistolet potoczył się po mokrej podłodze. Jednym szybkim ruchem Michael chwycił Angie i rzucił ją przez pokój. Upadła ciężko, sięgając ręką za siebie, żeby zamortyzować siłę upadku. Prawe przedramię jej się wygięło, kiedy całym ciężarem poleciała na nadgarstek i usłyszała trzask stawu dokładnie w tej samej chwili, kiedy poczuła przeszywający ból w całej kończynie.

- Wstawaj - rozkazał Michael.

Ręka ją rwała, ramię przeszywały piekące igiełki bólu. Przewróciła się na bok, łkając. O Boże, złamała nadgarstek. Co teraz zrobi? Jak się stąd wydostanie?

Usłyszała jakiś hałas dochodzący z pokoju obok. Michael zniknął. Gdzie była dziewczynka? Co robił Jasmine?

Przycisnęła twarz do podłogi i podniosła się na kolana, a potem stopy, udało jej się stanąć. Oparła się o ścianę, w głowie jej się kręciło, przed oczyma widziała plamy. Nabrała powietrza, zebrała siły i oderwała się od ściany. Mokre majtki oblepiały jej kostkę. Strząsnęła je z nogi, kuśtykając do drugiego pokoju.

Michael siedział na sofie i z nogą założoną na nogę machał stopą w górę i w dół. Glock leżał na poduszce obok. Wiedziała, że nie zdąży pierwsza go złapać.

- Usiądź - wskazał bujany fotel przy kominku. Przysiadła ostrożnie na krawędzi, starając się nie opaść do tyłu.

- Co robiłaś w moim domu?

Angie rozejrzała się po pokoju: niecałe dwadzieścia metrów, salon z małym aneksem kuchennym z tyłu. Przypomniała sobie góry, które widziała, gdy wysiadła z samochodu. Znajdowali się w odludnym miejscu. Mówił prawdę: nikt nie usłyszy jej krzyku.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

Na jego twarzy pojawił się ten sam uśmiešek, który na imprezie u Kena brała za flirtowanie.

- A jak ci się zdaje?

Nie mogła powstrzymać drżenia dolnej wargi. Ręka jej drętwiała, tępy rwący ból przeszywał nadgarstek. Zmoczony pod prysznicem sznur nasiąkł wodą i zrobił się grubszy i cięższy. Skóra pod nim sprawiała wrażenie poparzonej.

Zerknęła na pistolet leżący na kanapie.

- Nie bądź głupia.

Angie odchrząknęła. Czuła w ustach suchość, jakby nałykała się bawełny.

- John mi wszystko powiedział - rzuciła, zastanawiając się, ile ma czasu, zanim Michael ją załatwi. Nikt nie wie, gdzie ona jest. Will prawdopodobnie przesłuchuje teraz Shelleya, próbując dotrzeć do prawdy. Jeśli John nauczył się czegoś w więzieniu, będzie trzymał usta na kłódkę. Miną godziny, może dni, zanim Will choćby pomyśli, żeby jej poszukać, a nawet wtedy nie ma szans, żeby się dowiedział o tej maleńkiej chatce w górach.

- Co ci powiedział John? - spytał Michael.

- Opowiedział mi o Mary Alice - powiedziała Angie, mając nadzieję, że dobrze zapamiętała imię, modląc się w duchu, żeby go nie przekreślić. - Powiedział mi, co się naprawdę wydarzyło.

Michael parsknął, ale się już nie uśmiechał.

- John nie wie, co się naprawdę stało.

- Domyślił się.

- Jest na to za głupi.

- Powtórzyłam wszystkim.

- Nie kłam - ostrzegł. - Na razie jestem miły, ale oboje wiemy, do czego jestem zdolny.

- Will. Powiedziałam Willowi.

Bał się Willa. Widziała to w jego oczach.

- Trentowi? - spytał.

- To mój chłopak.

Michael gapił się na nią, najwyraźniej zastanawiając się, czy mówi prawdę. Wreszcie potrząsnął głową.

- Ee-ee. - Nie wierzył jej.

- Przysięgam - upierała się. - Znam go, odkąd pamiętam.

Przeniósł wzrok na jej ciało. Od pasa w dół była naga, siedziała w rozkroku, wsparta stopami w ziemię, żeby nie spaść z fotela.

- Nie zapominaj, że możesz umrzeć na wiele sposobów.

- Ta blizna na twarzy Willa - spróbowała. - Biegnie od szczęki w dół szyi.

Michael wzruszył ramionami.

- Każdy to może zobaczyć.

- Drugą ma na dłoni - powiedziała. - Został postrzelony z gwoździarki. Wiozłam go do szpitala.

Oczy zapłonęły mu gniewem. Podniósł się wolno z sofy i podszedł do niej. Próbowła się odchylić, kiedy wyciągnął ręce i położył je na poręczach fotela.

- Co mu powiedziałaś? - Warknął cicho.

Strach ścisnął jej krtań niczym pętla.

- Wszystko... - Słyszała przerażenie w swoim głosie, wiedziała, że on także je słyszał, ale usta dalej się poruszały, słowa płynęły. - John mi powiedział... a ja powiedziałam... powiedziałam Willowi...

Zaciskał dłonie na poręczach tak mocno, że cały fotel niemal wibrował.

- Co ci John powiedział?

- Że znałeś Aleeshę!

- Kurwa. - Michael oderwał się od fotela tak gwałtownie, że o mały włos go nie przewrócił.

Angie młóciła powietrze nogami, żeby nie spaść. - Cholera jasna! - Uniósł stopę, żeby kopnąć stolik do kawy, ale w ostatniej chwili się opanował. Powoli opuścił nogę, jednak dłonie miał nadal zaciśnięte w pięści i trząsł się z furii.

Angie patrzyła na jego plecy, wstrzymując oddech ze strachu. Bardzo ostrożnie unieruchomiła fotel i przesunęła się powoli na brzeg siedzenia. Kiedy się unosiła, zaskrzypiała podłoga.

Ormewood odwrócił się i uderzył ją na odlew tak mocno, że zwała się na ziemię. Leżała niezdolna wykonać ruchu. W głowie jej dzwoniło.

- Wstawaj.

Nie musiał jej grozić. Usiłowała się podnieść, ale nie mogła. Przycisnęła twarz do podłogi i zamknęła oczy, czekając na kolejne razy.

Nic się nie stało.

- Tata mnie zostawił, kiedy miałem dziesięć lat.

Otworzyła oczy. Musiała chyba zemdleć, coś jej umknęło. Michael stał przy kuchennym zlewie. Z jednej z szafek wyjął metalowe pudełko.

- Wiesz, jak to jest? - spytał.

Angie nie odpowiedziała. Patrzyła, jak otwiera pudełko, sprawdza zawartość.

- John uważał, że jemu jest ciężko. Nie miał pojęcia, co to znaczy ciężko. - Pomachał w powietrzu torebką z białym proszkiem. Znowu był tym zwykłym Michaeliem, normalnym gościem, którego udawał przed światem, żeby nikt się nie domyślił, jaki potwór w nim drzemie.

- Dobry towar - zapewnił. - Chcesz trochę?

Próbowała potrząsnąć głową.

- Wtedy nie chciałaś też tego strzemiennego. - Uśmiechnął się, jakby to było zabawne. -

Pamiętasz to jeszcze, Angie? Wielkie przyjęcie Kena? Przyniosłem ci drinka.

Nie pamiętała, ale pokiwała głową.

- Roofies, skarbie. - Usiadł na kanapie i położył pudełeczko na stoliku między nimi. -

Wypiłaś roofies.

Rohypnol. Pigułka gwałtu. Dosypał jej środka usypiającego.

Michael roześmiał się na widok jej miny. Wyjął z puzderka żyletkę i małe lusterko, potem wystukał palcem trochę proszku na szkło. Angie przyglądała się, jak rozdrabnia narkotyk żyletką.

- Miałaś dziecko? - spytał, nie patrząc na nią. - Głowę daję, że skrobałaś się już z sześćdziesiąt razy. - Dalej rozdrabniał kokainę, z rzeczowym wyrazem twarzy. - Mój syn ma problem. Wiesz o tym.

Angie całą siłą woli zmusiła ciało do zmiany pozycji. Kiedy zdołała wreszcie usiąść, dyszała z bólu. Jednak przynajmniej dokonała tego. Nie leżała już bezbronna na podłodze.

- Jest upośledzony - powiedział Michael, dzieląc proszek na cztery kreski. Wyjął z pudełka zrolowaną jednodolarówkę i wciągnął przez nos pierwszą linijkę. Sapnął „Ach” i oświadczył:

- Towar pierwsza klasa. Jesteś pewna, że nie chcesz?

Znowu pokręciła głową.

- Nie lubisz tracić kontroli? Tak powiedziałaś na przyjęciu Kena, kiedy podałem ci tego drinka. - Zachichotał. - Ale i tak go wypijaś, co? Mogłaś odstawić, ale wciągnęłaś wszystko jak gąbka. - Wyciągnął w jej stronę lusterko. - Na pewno?

- Złamałeś mi nos.

- Twoja strata. - Odłożył lusterko z powrotem na stolik

- Wypuść mnie. - Trzęsa się tak mocno, że z trudem mówiła. - Nikomu nie powiem.

- Chyba nie myślisz serio, że stąd wyjdiesz.

- Gdzie jest Jasmine?

- Niedługo się dowiesz. - Oparł głowę o sofę, przyglądając się jej badawczo. - Chcesz coś usłyszeć o Johnie?

- Co takiego?

- Połowa tego więzienia go cweliła. Założę się, że ma AIDS.

Angie wzięła kilka głębokich oddechów, zakaszła z wysiłku. Nadgarstek pulsował bólem przy każdym oddechu. Schnący w ciepłym pomieszczeniu sznur zaciskał się mocniej na skórze.

- A wracając do Tima... - zrobił krótki wydech - sześć lat temu usłyszeliśmy diagnozę.

Angie macała więzy na nadgarstkach, sprawdzając, czy dadzą się choć trochę rozciągnąć.

- Musiało być wam ciężko.

- Zawsze chodzi o hajs, racja? - Wskazał leżące na stoliku lusterko z kokainą. - Tak za to płaciłem. Wystarczyło opchnąć panią trochę koks, żebym miał z czego bulić za lekcje wiązania pierdolonych sznurówek dla mojego chłopaka. Ubezpieczenie nie pokrywa nawet połowy tego, czego on potrzebuje. Co niby miałem zrobić, pozwolić, żeby mi się dziecko zmarnowało w jakimś zakładzie?

Angie nie odpowiedziała. Analizowała jego słowa, starając się wychwycić sens. Michael sprzedawał narkotyki dziewczynom, brał pieniądze albo, kiedy miał ochotę, seks w rozliczeniu? W obyczajówce służył przez co najmniej dziesięć lat. Jego syn miał góra osiem. Tim nie miał z tym nic wspólnego.

- I ani się obejrzałem, a siedziałem na kasie, ale nie miałem jej gdzie zadekować. Nie mogłem włożyć na rachunek, bo wuj Sam mógłby się zainteresować. Nie mogłem trzymać ot tak, w domu, bo Gina zaczęłaby zadawać pytania. - Wycelował palcem w Angie. - I wtedy pomyślałem sobie, dlaczego by nie otworzyć kilku rachunków staremu dobremu

kuzynkowi Johnny'emu? Znałam numer jego ubezpieczenia społecznego jeszcze z tej całej dętej rozprawy sądowej, którą moja mama położyła.

Kuzyn. Angie nie wiedziała, czy są naprawdę spokrewnieni, czy Michael używa slangu.

- Raczej nie musiałem się martwić, że go wypuszczą.

Poczuła, że powieki jej opadają i za wszelką cenę starała się nie zasnąć.

- A gdzie pytania, Angie? - Ożywił się na skutek kokainy, stał się bardziej gadatliwy. - No, śmiało, maleńka, pytaj.

W głowie miała mętlik. Zdobyła się tylko na:

- Znałeś Aleeshę Monroe.

- Tak, od wieków.

Angie spodziewała się, że Michael zaraz się domyśli, że wcześniej kłamała, ale za bardzo był pochłonięty własnymi słowami, żeby się nad tym zastanawiać.

- Jako świeżo upieczony krawężnik dostałem wezwanie do Grady Homes i zaciąłem się w tej cholernej windzie. Kiedy w końcu mnie uwolnili, wszyscy tam stali i zrywali boki. Była też tam Aleesha, śmiała się z całą resztą. Przynajmniej dopóki mnie nie rozpoznała. - Groził palcem. - Nikt się bezkarnie nie śmieje z Michaela Ormewooda, Angie. Nikt się nie śmieje, a już na pewno nikt go nie odpycha.

Strużka krwi spłynęła jej po podniebieniu. Zakrztusiła się, czując jej smak.

- Była kurwą w liceum - ciągnął Michael - i kurwą piętnaście lat później. Obciągnęłaby psu za garść tego gówna. - Znowu się wykrzywił w tym uśmiešku, który dawał do zrozumienia,

że to on tu rządzi. - Do ludzi nie dociera, że trzeba mieć nad tym kontrolę. Brać, kiedy się ma ochotę, a nie kiedy się musi. - Mówił o kokainie. - Nie palić, nie wstrzykiwać, nie wciągać zbyt łąpczywie.

Był głupszy, niż myślała, jeśli wydawało mu się, że potrafi kontrolować nałóg.

- Dlaczego zabiłeś Aleeshę? - spytała.

- Wkurzyła mnie. Chciała zmienić zasady.

- Nie chciałeś jej płacić. - Angie знаła wystarczająco dużo prostytutek, żeby wiedzieć, jak to wygląda. - Jasmine też cię wkurzyła?

- Jasmine... - Uśmiechnął się. - Ciekaw jestem, jaką minę miałby twój chłopak, gdyby się dowiedział, że ukryłem ją w mieszkaniu Aleeshy, a potem spokojnie odwiozłem go na posterunek. - Przypatrywał się jej bacznie, jakby napawał się jej reakcją. - Pamiętasz, jak przeglądaliśmy moje raporty? Miałaś na sobie tę obcisłą spódniczkę, ledwo co zasłaniającą szparę, i wsadzałaś mi cycki w oczy za każdym razem, kiedy się pochylałaś. Przez cały ten czas była w moim bagażniku, Angie. Przez cały ten czas, kiedy się o mnie ocierałaś, ona leżała w bagażniku mojego auta i szczała pod siebie ze strachu przed tym, co ją czeka. Angie rozchyliła usta, pozwalając, żeby krew ściekała po brodzie. Jeden z tylnych zębów ją bolał, prawdopodobnie złamany.

Zamilkł i zastanawiała się, czy kokaina przestaje działać. Nie potrafiła powiedzieć, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy wziął pierwszą kreskę. Może należał do tych ludzi, którzy reagują

paradoksalnie na stymulanty. A może tak dobrze panował nad sobą, że nie miało to znaczenia.

Siedział cicho tak długo, że Angie poczuła, jak oczy jej się zamykają, ciało zapada w rodzaj drzemki. Nagle znowu zaczął mówić i z miejsca oprzytomniała.

- Wszyscy pozują na takich cholernie porządnych, ale wystarczy jeden haj, jeden niuch, żeby ich uzależnić. Przychodzą potem, błagają na klęczkach. Wszyscy bez wyjątku. Zwłaszcza John.

Angie musiała kilka razy odchrząknąć, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

- To dlatego go wrobiłeś?

- To był pomysł mamy, ale sam był sobie winien. Wszyscy są sobie winni. - Zerknął na nią.

- Ty też.

Angie poczuła, że powieki znowu jej opadają, mięśnie zaczynają wiotczeć. W nadziei, że ból ją ożywi, przygryzła do krwi poranioną wargę.

- Kiedy już tego posmakujesz - ciągnął Michael cichym, zamyślnym głosem - nie potrafisz inaczej. Potrzebujesz widzieć ten strach, to, jak próbują cię odepchnąć, panikę w ich oczach.

Angie jeszcze raz sprawdziła więzy. Kości złamanego nadgarstka otarły się o siebie z cichym trzaśnięciem, które eksplodowało jej w głowie.

- Założyłem Johnny'emu kilka kart kredytowych - mówił dalej. - Kupiłem ten dom. - Miał na myśli chatę. - Mylisz, że jestem głupi, ale nic z tych rzeczy. - Postukał się palcem w czoło. -

Główka pracuje, nie? Jaka jest pierwsza rzecz, którą się robi, żeby powiązać sprawcę z miejscem zdarzenia? Sprawdza się transakcje na kartach kredytowych: płatności za benzynę, za hotel, takie pierdoły. Wystarczy ustalić, że przebywał blisko miejsca zdarzenia, w odpowiednim dniu, o odpowiedniej godzinie, i bingo, już po nim. - Pokręcił głową. - Na Michaela Ormewooda nic nie znajdują, murowane. Nic w Alabamie, nic w Tennessee i w życiu nic w Atlancie. Ja jestem dobrym mężem i ojcem, opiekuję się moim biednym upośledzonym synkiem, dbam o żonę, każdy wieczór spędzam w domu przed telewizorem. - Sprzedawałaś im narkotyki - powiedziała Angie, myśląc o tych wszystkich dziewczynach, które poznała na ulicy, tych narkomankach, gotowych zrobić wszystko, byleby zaspokoić nałóg. Zaopatrywał je policjant. Żerował na ich potrzebie, zaspokajając swoją własną. Ile z nich zgwałcił? Ile zabił?

- Powinienem być na ciebie wściekły, ale nie jestem. - Potarł szczękę, lustrując Angie wzrokiem. - Głupcy pozwalają, żeby emocje brały nad nimi górę, wtedy popełniają błędy. Tutaj ja rządzę, Angie. Ja zdecyduję, jak umrzesz.

Podniósł się z sofy, więc przygotowała się na następną porcję bólu, ale podszedł tylko do kominka i oparł dłoń na gzymsie. Angie przypomniawszy sobie rozmowę z Willem sprzed trzech dni. Też stał przy kominku w jej domu, patrzyła na jego plecy, silne ramiona i marzyła tylko o tym, żeby go objąć. Taka scena już nigdy się nie powtórzy. On się nigdy nie dowie, co wtedy czuła.

- Nie wiesz, jak to jest - mówił Michael - kiedy marzysz o wspaniałym życiu, idealnej rodzinie, a potem nagle przytrafia ci się coś takiego jak Tim i czujesz się jak pierdolona ofiara losu.

Wciągnęła w płuca jak najwięcej powietrza, starając się zachować jasność myśli.

- Jak to się zaczęło?

- Wiesz o Mary Alice.

- Pytam o inne. Musiały być inne.

- Jak daleko chcesz się cofnąć? Do osiemdziesiątego piątego? Dziewięćdziesiątego piątego?

Zeszłego roku? - Na twarzy znowu pojawił mu się ten uśmieszek. - Cholera, nawet nie pamiętam, z jakich były stanów. Twój chłopak bawi się w to całe profilowanie, racja?

Sądzę, że powiedziała by, że eskalowałem, kiedy wyszedł Johnny. Ruszyłem na całego, bo wiedziałem, że gdy zrobi się gorąco, wystarczy, że wskażę go palcem.

- To były przecież jeszcze dzieci.

- Wierz mi, nie takie święte, na jakie pozowały. Były naprawdę dojrzałe jak na swój wiek. -

Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł się nadziwić tej ironii. - Wszystkie jesteście jedną zgrają podpuszczalskich.

Ni stąd, ni zowąd poczuła, jak wzbiera w niej wstyd. Ilu facetów jej matki mówiło to samo o Angie? Ile razy przyjmowała od nich maskotki, posiłki w restauracjach czy ładne ciuchy, a potem słyszała, że będzie musiała zapłacić za to wszystko buzią?

- Większość tych dziewczynek rżnęła się już tyle razy, że jest w stanie poczuć tylko naprawdę porządne grzmocenie. - Patrzył na nią znowu, taksując ją wzrokiem. - Ty zachowywałaś się dokładnie tak samo jak Mary Alice. Wiesz? Podpuszczałaś mnie, pozwalałaś się całować, dotykać przez chwilę, a potem mnie odtrąciłaś, jakbym nie był dla ciebie dość dobry. - Prychnął z obrzydzeniem. - Zgrywałaś się na taką cnotkę, ale kiedy byłem w tobie, miałem wrażenie, że mój kutas siedzi w pierdolonej próżni.

Angie gapiała się na pistolet na sofie.

- Od tego są kurwy. Człowiek może sobie z nimi poszaleć, nie? Znaczy się, za to im się płaci. - Odwrócił się do niej plecami, obie dłonie miał przyciśnięte do kominka. Angie nie odwracała wzroku od glocka, mając nadzieję, że nie jest tworem jej wyobraźni, że umysł nie płata jej żadnego figla. - U Aleeshy chciałem tylko spuścić trochę z krzyża przed meczem. A ona nagle zaczyna kręcić nosem, wywyższać się, wygania mnie z mieszkania na klatkę jak jakiegoś smarkacza. Ja nie bulę za dymanie. Popychała mnie i popychała, i w końcu dostała nauczkę. Michael Ormewood nie płaci.

Angie przycisnęła twarz do podłogi, modląc się, żeby zdołała jakoś to wytrzymać.

- Owszem, niepotrzebnie dałem się sprowokować. - Usłyszała jego kroki, czuła, że stoi kilkanaście centymetrów od jej twarzy. - Ale nikt tak naprawdę się nie przejmuje śmiercią kurwy. Nikt się nie przejmie tobą.

Zacisnęła powieki. Dała mu się zastraszyć, zdobyć nad nią kontrolę, tak jak tego chciał.

- Wystarczy, że John piśnie słówko. - Zaryzykowała i dodała: - Jesteś jego kuzynem.

- Och, skarbie - cmoknął Michael. - Naprawdę sądzisz, że John miałby szansę otworzyć usta w sądzie? - Potrząsnął głową. - Grałem z nim w kotka i myszkę przez cały ten czas, kontrolowałem każdy ruch. - Zachichotał pod nosem. - Jasne, prawie że narobiłem w gacie, kiedy otworzyłem to pudełko na narzędzia i zobaczyłem, co tam wsadził, ale to nic w porównaniu z niespodzianką, jaką sam mu szykowałem. Miałem zamiar dziko się zabawić z tą małą, a potem wrobić w to Johnny'ego, podrzucić kilka niezbitych dowodów do nory, w której mieszka.

- Nie udałoby ci się - powiedziała, mając świadomość, że raczej tak.

- „Bohaterski policjant łapie seryjnego mordercę na gorącym uczynku”. W całym pokoju moje DNA, bo tulę w ramionach bestialsko zamordowane biedactwo. Wpadają gliny, widzą nieżywego Johnny'ego, mnie zawodzącego z rozpaczy. Dostałbym jeszcze, kurwa, awans, za zabicie bydlaka. Wiesz, ile kosztuje umieszczenie człowieka w celi śmierci? Zaoszczędziłbym miastu ze dwadzieścia milionów baksów, lekko licząc.

- Wydałoby się.

- Przez kogo? Jego przyjaciół? Oddaną rodzinę? Kochającą świętej pamięci matkę?

- Ktoś by cię zapamiętał.

- O mnie nikt nie pamięta - warknął Michael i widziała, że dotknęła czułej struny. - To John zawsze rzucał się w oczy. Ja byłem zawsze w tle, zawsze na drugim planie.

Nikt mnie nigdy nie zauważał, ale wiesz co? Teraz już na zawsze zapamiętają kochanego Johna za to, że jest zabójcą.

- Ale przecież nie jest, prawda? - Kiedy nie odpowiedział, podniosła wzrok.

Stał przed zamkniętymi drzwiami, które brała za szafę. Wyciągnął rękę, pomacał nadproże i ściągnął klucz.

Zobaczyła zasuwkę. Serce jej stanęło.

- Co robisz?

- Dostyc już tego gadania - powiedział, wsuwając klucz do zamka.

Zmusiła się do wstania na drżących nogach. Cofnęła się i przesunęła w stronę sofy.

Michael zorientował się, co zamierza. Chwycił pistolet.

- Ruszaj. Dalej. - Popchnął ją lufą w stronę drzwi.

Angie małymi kroczkami zbliżała się do szafy. Tyle że

nie była to szafa. Za drzwiami znajdowały się schody, które wiodły w dół, najpewniej do jakiejś piwnicy.

- Wszystko zepsułaś - powiedział Michael. - Naprawdę setnie się bawiliśmy z tą małą.

Schody były coraz bliżej. Angie wiedziała, że zginie, jeśli pozwoli zamknąć się w tej piwnicy.

- Ruszaj.

Przystanęła i wpadł na nią od tyłu.

- Nie rób tego.

Ucho owionął jej jego gorący oddech.

- Zerznę cię, Angie. Zerznę w każdą dziurę, którą masz. - Popychał ją w stronę piwnicy. -

Siedź tam i czekaj na mnie. Myśl o tym, co ci zrobię.

- Nie. - Gołymi stopami zaparła się o podłogę, naparła na niego tyłem. Podeszwy stóp rozjechały jej się po podłodze. Próbowwała się odwrócić, ale chwycił ją w pasie, podniósł i w dwóch krokach pokonał odległość dzielącą ich od schodów. Wrzasnęła: - Nie! - Zaparła się nogami o ościeże i walczyła z całych sił.

- Przestań! - krzyknął.

Podniósł ją i z całej siły zrzucił ze schodów. Spadając, obijała się o ściany i zwała jak kłoda na dole, łkając z bólu.

Zapaliło się światło. Pojedyncza żarówka oświetliła miejsce, które kiedyś musiało być spichrzem. W rogu leżała Jasmine, zwinięta w nieruchomy kłębek. Angie chciała podejść do dziewczynki, ale coś ją trzymało w miejscu, ograniczając swobodę ruchu. Spojrzała w dół, zobaczyła kawałek szkła, wbity w ramię. Więcej kawałków wystawało jak zęby rekina z dolnego stopnia, w który w cementowano rozbite butelki.

Szkoło się przyssało, kiedy spróbowała się ruszyć. - Pomyśl o tym - zawołał Michael z otwartych drzwi na górze. - Pomyśl, co cię czeka.

Zgasło światło. Zamknęły się drzwi. Zasuwa wróciła na miejsce.

Miała umrzeć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Will prowadził, trzymając telefon komórkowy przy uchu, i modlił się, żeby Amanda była u siebie w biurze. Zabrał ze sobą Johna, bo musiał wysłuchać jego historii, chciał wiedzieć, z jakim zwierzęciem będzie miał do czynienia, kiedy dotrze do Tennessee. Shelley nader skwapliwie na to przystał, cała jego zawziętość zniknęła jak ręką odjął i Willowi kręciło się w głowie od najróżniejszych domysłów.

Caroline wreszcie odebrała telefon.

- Biuro Amandy Wagner.

- Muszę rozmawiać z Amandą. To pilne.

Powiedziała, że go przełączy. Nie odrywał oczu od drogi, jadąc autostradą międzystanową 75 po pasie szybkiego ruchu blisko pięćdziesiąt kilometrów szybciej, niż pozwalał określony znakiem limit.

- Will - odezwała się Amanda. - Co się dzieje?

- Jadę do Tennessee.

- Nie przypominam sobie, żebym podpisywała twoje podanie o urlop.

- Myślę, że zabójcą jest Michael Ormewood.

- Dobra - powiedziała przeciągle. - Naświetl mi to, Will.

Zrelacjonował jej opowieść Shelleya, powiedział, jak Michael usiłował wyrzucić presję na kuratorkę, jak siostra poinformowała Johna o domku w Tennessee. Na koniec wspomniał o plamach oleju na podjeździe Michaela i tym, co Leo Donnelly usłyszał od jego sąsiadki.

- Sprawdziłeś dom Polaski?

- Wysłałem tam radiowóz. Nie ma jej. Samochód zniknął z podjazdu. Milczała. Will kiedyś poznał ją z Angie - nie z własnej woli. Zawiozła go do szpitala, kiedy Amanda postrzeliła go z gwoździarki. Nie mieściło się to w głowie, ale nawet dobrze się dogadywały.

Wreszcie powiedziała:

- Czyli, z tego co mówisz, wynika, że na podstawie kilku nieodebranych telefonów i kilku plam na asfalcie wywozisz skazanego przestępcę za granicę stanu, żeby szukać jakiejś policjantki z Atlanty, którą inny policjant może porwał w biały dzień, a może nie.

- Musisz przeszukać jego dom.

- O ile wiem, znajduje się na terenie podlegającym jurysdykcji hrabstwa DeKalb. A jak mi pan radzi zdobyć nakaz, doktorze Trent? Nie żeby tajemnicze plamy po oleju nie brzmiały przekonująco, ale wątpię, czy znajdzie się jakiś sędzia, który na ich podstawie go podpisze.

- Amanda - powiedział Will, starając się panować nad głosem. - Jesteś złośliwą, okropną osobą, ale zawsze mnie wspierałaś, kiedy pracowałem nad jakąś sprawą. Nie rób mi tego teraz.

- Cóż, Will - odparowała. - A ty jesteś wysoko funkcjonującym dyslektykiem, którego umiejętność czytania nie wykracza poza poziom drugiej klasy podstawówki, ale przestańmy sobie przyganiać.

Poczuł, jak w jednej chwili kompletnie zaschło mu w gardle. Kiedy się dowiedziała?

- Nie mam wielu przyjaciół w Tennessee, Will - powiedziała. - Nie mogę się do nich zwrócić, nie dysponując niczym poza twoim złym przeczuciem, a oboje wiemy, że Gomez Au prędzej zje własne gówno niż kiwnie palcem, żeby ci pomóc. - Au był dawnym szefem Willa w północno-zachodnim biurze terenowym. - Właśnie dlatego ciągle ci powtarzam, żebyś nie palił za sobą mostów - dodała, jakby to był odpowiedni czas na jedną z jej lekcji.

- Nie wiem, co chcesz, żebym powiedział - przyznał. - Masz rację. Może to nic wielkiego. Może pojedę tam i przekonam się, że na próżno, ale nie mogę siedzieć i czekać z założonymi rękoma, Amando.

- Rozesłałeś informację o samochodzie Polaski?

- Tak.

Milczała przez kilka sekund, potem spytała:

- Powiedz mi, ten detektyw Donnelly był ostatnią osobą, która opuściła dom Ormewooda?

- Tak.

- Proszę, proszę, tylko popatrz - wykrzyknęła Amanda udając zaskoczenie. - Caroline właśnie wręczyła mi wiadomość. Anonimowe zgłoszenie. Jakiś zatroskany obywatel zauważył, że tylne drzwi do domu detektywa Ormewooda zostały wyważone. Chyba powinnam sama to sprawdzić, jak sądzisz?

Will poczuł, jak kamień spadł mu z serca. Amanda mu pomoże. Niemal słyszał, jak już wszystko obmyśla.

- Dziękuję - wyszeptał. - Dziękuję.

- Dam ci znać, gdy będę na miejscu.

Will się rozłączył. Nie wypuścił jednak telefonu z dłoni i zjechał na drogę 575 ostrym szarpnięciem kierownicy, na skutek którego John Shelley chwycił się drzwiczek, jakby się bał, że będą dachować. Will spieszył się tak bardzo, że nawet nie pomyślał, jak trafi na miejsce, dopóki John nie poprosił o mapę. Zjazd na stację benzynową zajął pięć minut, Will miał wrażenie, że trwało to wieczność. Jeśli sąsiadka powiedziała Donnelly'emu prawdę, Michael miał nad nimi jakąś godzinę przewagi. Jednak zapewne zachowywał dozwoloną prędkość, nie chcąc rzucać się w oczy. Will nie był tak ostrożny.

- Co powiedziała? - spytał John.

- Mogłeś temu zapobiec. Mogłeś położyć temu kres cztery dni temu - powiedział Will.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Michael był ze mną, kiedy zginęła Cynthia Barrett.

John spuścił wzrok na mapę, którą rozłożył sobie na kolanach.

- Słyszałem, że biegła przez podwórko i się potknęła. Uderzyła głową o kamień i zmarła.

- A potem odcięła sobie język?

John nie odpowiedział.

- Powinieneś wtedy coś zrobić.

- Co? - zapytał John - Przyjść do ciebie? Człowieku, ty nawet teraz jeszcze mi nie wierzysz.

Co niby miałem zrobić? Donieść na policjanta? Kto uwierzy pracującemu w myjni kryminaliście?

Will zacisnął dłonie na kierownicy. To John wpakował Angie w tę kabałę. Gdyby nie jego arogancja i głupota, byłaby teraz bezpieczna.

- Prowokowałeś go. Wiedziałaś doskonale, co robisz.

John złożył gwałtownie mapę wzdłuż zagięcia i próbował się bronić.

- Powiedz mi, jak powinienem być postąpić, a ja wsiądę do swojego magicznego wehikułu czasu i tak postąpię. Ale wiesz co, nie poprzestawajmy na czterech dniach. Cofnijmy się o dwadzieścia lat. Oddaj mi moją młodość. Oddaj mi matkę, dziadków, rodzinę. Co tam, dorzuć do tego jakąś żonę i gromadkę dzieciaków, gdy już o tym mówimy.

- Ona uciekała przed czymś na tym podwórku.

John nadal zajmował się mapą, ale Will usłyszał cierpienie w jego głosie, kiedy powiedział:

- Myślisz, że tego nie wiem?

Przeniósł wzrok na drogę, patrzył na migające z boku drogi zamazane plamy znaków, słupki milowe z grubymi liczbami wyskakujące na horyzoncie. Nie przemyślał tego gruntownie, nie wziął pod uwagę, że może zaszkodzić Johnowi.

- Przekroczenie granicy stanu stanowi pogwałcenie warunków twojego zwolnienia warunkowego.

- Wiem.

- Możesz zostać aresztowany. Nie mogę ci pomóc w Tennessee.

- Nie możesz mi też pomóc w Atlancie.

Will przygryzł wargę i patrzył na czarną jezdnię, na inne samochody na drodze. Przez ostatnie lata często jeździł na trasie między Atlantą i górami, więc doskonale wiedział, gdzie są radary. Zwolnił, przejeżdżając przez Ellijay, i przyspieszył dopiero, gdy minął Miciak Creek. Przejechał ostrożnie obok nowego i starego Wal-Martu, potem jeszcze kilku pchlich targów i sklepów monopolowych. W miasteczku Blue Ridge skręcił w lewo. Sunął Coote Mason Highway, tuż za sadem jabłoniowym, kiedy zadzwonił telefon.

Odsunął klapkę o bok uda.

- Amanda?

Jej głos brzmiał ponuro.

- Znaleźliśmy mnóstwo krwi w garażu. Dwie różne grupy.

- Angie?

- Nie ma jej tutaj, Will.

Otworzył usta, ale nie był w stanie nic powiedzieć.

- Zrobimy tak - powiedziała Amanda. - Dzwoniłam do Boba Burga w Tee Bees. - Biuro Śledcze Tennessee. - zbiera ekipę. Są jakieś czterdzieści minut od chaty.

- Ja jestem bliżej.

- Spodziewałam się. Daj mi do telefonu tego pedofila. Powiem mu, jak dojechać do Elton Road.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Angie prawie zemdląła, kiedy oderwała ramię od ostrego odłamka zacementowanego w dolnym schodku - nie tyle z bólu, ile z wrażenia szkła wysuwającego się z ciała. Nie krwawiła mocno i w porównaniu do rwącego nadgarstka rana była znośna. Miała szczęście. To przegub prawej ręki był złamany, a teraz jakimś cudem na schody upadła prawym ramieniem. Podobnie jak Will, Angie była leworęczna.

- Jasmine? - Jej szept rozszedł się echem po ciemnej jak grób piwnicy. - Jasmine. Żadnej odpowiedzi.

Przycisnęła sprawne ramię do ściany i wstała. Chwilę trwało, zanim złapała oddech, potem ostrożnie zaczęła przesuwać gołe stopy po klepisku, szukając dziewczynki.

- Jasmine? - powtórzyła, kiedy stopą natrafiła na ciało. - Nic ci nie jest? Dziewczyna była albo zbyt przerażona, by odpowiedzieć, albo nieżywa.

Angie kucnęła, przyłożyła głowę do miejsca, gdzie, jak sądziła, powinny się znajdować usta i nos dziewczynki, w nadziei, że wyczuje jakieś oznaki życia.

Nic.

Odwróciła się, na oślep macając palcami. Zaczęła je przesuwać po gołym, oblepionym krwią ciele, aż wyczuła ruch opadającej i wznoszącej się płytko klatki piersiowej. Nie dotykała często swojej matki, ale z tych kilku wizyt zapamiętała właśnie to: nieruchomy ciężar, martwa powłoka wyglądająca jak ciało.

- Jasmine - wyszeptała raz jeszcze.

Dziewczynka nie poruszyła się, kiedy dotykała jej twarzy, włosów. Nagle palce wślizgnęły się jej pod skórę głowy Angie wzdrygnęła się i odruchowo cofnęła rękę.

- O Jezu! - Zgięła się w pasie, próbując powstrzymać wymioty. To, czego przed chwilą dotknęła, to była czaszka dziewczynki. Wyczuła roztrzaskaną kość i miękki, wilgotny mózg pod spodem.

Musi się stąd wydostać. Musi sprowadzić pomoc.

Wstała. Odmierzyła krokami piwnicę. Była długa na trzy metry, szeroka może na cztery. Zanim zgasła żarówka, Angie zauważyła wbudowane w ściany regały z surowego drewna. Trudno jej było sprawdzić górne półki. Szukała czegoś, czym mogłaby się posłużyć do obrony, jednak niczego nie mogła wymacać.

Piwnica była pusta. Nawet podłogę z ubitej ziemi zamieciono do czysta.

Może nadgarstek nie był złamany. Nadal mogła ruszać palcami, choć były obrzmiałe i rozpalone, jakby już wdało się zakażenie. Zaczynała się przyzwyczajać do bólu, a nawet cieszyć z jego powodu, bo nie pozwalał myśleć o pękającej głowie, podchodzącym do gardła żołądku. Ciemność także pomagała. Nie było niczego, na czym mogłaby skupić wzrok, niczego, co wytrąciłoby ją z równowagi.

Michael był na górze. Pomyślała, że może przygotowuje posiłek, lunch albo obiad. Nie wiedziała, jaka jest pora dnia ani jak długo siedzi już w tej pierdolonej dziurze.

Każdy jego odgłos, każdy hałas, który ją z góry dolatywał - przesuwanego krzesła, skrzypienia podłogi, kiedy chodził - sprawiał, że furia w niej narastała. Angie gotowała się z nienawiści. Udało mu się ją zastraszyć, dotrzeć do jej mózgu i sprawić, że poczuła się jak nikomu niepotrzebny kawałek gówna. Miała w sobie więcej mężczyzn, niż potrafiła zliczyć, ale żaden z nich nie wtargnął w nią tak głęboko.

Zabije go, kiedy tu przyjdzie. Zabije go albo sama zginie. Tylko te dwie możliwości wchodziły w grę.

Zebrała siły i zsunęła się po ścianie, aż znalazła się na kolanach. Dwa kroki do schodów, do rozbitego szkła osadzonego w stopniu. Odwróciła się i namacała je rękoma, uważając, żeby nie przeciąć sobie już i tak pokaleczonych palców, kiedy umieściła gruby, poskręcany sznur na największym kawałku. Z sykiem wciągnęła powietrze przez zęby i starając się nie myśleć o bólu, tarła sznurem o szkło.

Kajdankami Michael skuł Jasmine. Angie skrępował sznurem.

- Ty kutasie - szeptała jak mantrę. Michael Ormewood nie popełnia błędów. Zawsze ma wszystko pod kontrolą, zawsze panuje nad sytuacją. Zawsze, ale teraz jakoś przeoczył fakt, że szkłem można przeciąć sznurek. - Ty głupi kutasie.

Krew zalewała jej ręce, moczyła więzy. Przestała trzeć, spróbowała złapać oddech, działać powoli. Niemal zemdląca przy pierwszym podejściu, ale z każdą kolejną próbą udoskonalała technikę, dowiadywała się więcej o więzach, sposobie, w jaki sznur oplatał jej ręce. Czuła,

że przesunął się już ciut niżej, ocierał do żywego nowy kawałek skóry. Jej krew działała jak lubrykant.

Wydostanie się stąd. Odetnie sobie rękę, jeśli będzie musiała.

- Och! - jęknęła, kiedy sznur podskoczył na szkło, ręce jej się ześlizgnęły, a ostra jak żyłotka krawędź przecięła palce.

Wstrzymała oddech, nasłuchując, co robi Michael. Boże, jeszcze nigdy w życiu tak jej nie bolało. Nie mogła tego wytrzymać, znieść wrażenia skóry odkrawanej od kości. Pochyliła się do przodu, dotknęła czołem ziemi, z jej oczu popłynęły łzy.

- Will - wyszeptała. Nie mogła się modlić do Boga, nie po tym wszystkim, co zrobiła, więc modliła się do Willa. - Wydostanę się stąd - obiecała mu. - Wydostanę się i... - Nie dokończyła, ale w skrytości ducha znała właściwe słowa. Odejdzie od niego na dobre.

Pozwoli mu w końcu uciec.

Usłyszała kroki nad głową. Wyprostowała się, namacała szkło. Z furią zaczęła trzeć sznurem o krawędź, strach znieczulał ją na ból.

- Angie?! - zawołał Michael. Stał po drugiej stronie zamkniętych drzwi. - Odpowiedz. Wiem, że mnie słyszysz.

Napięła sznur, wykręcając ramiona i rozpaczliwie próbując się oswobodzić.

- Pierdol się, skurwysynu!

- Odsuń się od schodów, Angie. Otworzę drzwi, pistolet mam wymierzony prosto w ciebie.

Nie odpowiedziała, nie mogła. Coraz bardziej gorączkowo tarła sznurem o wyszczerbione szkło.

Klucz zgrzytnął w zamku.

- Nie - wyszeptała Angie, jeszcze bardziej przyspieszając. - Jeszcze nie, jeszcze nie.

- Odejdź od schodów. Nie żartuję.

- Nie! - wrzasnęła i odskoczyła dokładnie w chwili, kiedy drzwi się otworzyły.

Rozbłysło światło. Angie popatrzyła na Jasmine, zobaczyła, że dziewczynka ma twarz zwróconą w jej kierunku, a oczy otwarte, ale niewidzące. Usta rozchylone. Dokoła głowy zebrała się kałuża krwi.

- Nie próbuj żadnych sztuczek - ostrzegł Michael. Stał u szczytu schodów z pistoletem w dłoni. Był bez koszuli, miał na sobie tylko džinsy i buty.

- Pierdol się! - powiedziała. Czuła wcześniej, że sznur ustąpił, ale nie do końca. Krew ściekała jej po rękach jak woda. Nadal była w pułapce, nadal bezradna.

Wsadził pistolet za pasek, po czym sięgnął do tylnej kieszeni.

- Odejdź - rzuciła Angie.

Włożył czarną narciarkę z wyciętymi otworami na usta i oczy.

- Odejdź! - wrzasnęła, cofając się pod ścianę i podnosząc się z trudem.

Wyjął pistolet i zaczął schodzić po schodach. Powoli, stopień po stopniu.

Napięła ramiona do granic wytrzymałości, starając się rozerwać sznur. Czuła już wcześniej, że zaczyna ustępować. Czuła to.

Kontynuował swój powolny pochód po schodach. Widok kominiarki był koszmar, o wiele bardziej przerażający niż wszystko, co mógłby powiedzieć. Nadal mierzył do niej z pistoletu, widziała też, że w pochwie u boku ma nóż myśliwski.

Słowa nie chciały jej przejść przez zaciśnięte gardło. Wykrztusiła tylko:

- Nie...

Zszedł na ostatni stopień i przystanął. Miał pociemniałe, prawie czarne oczy. Widziała zaschniętą krew na kominiarce dokoła otworu na usta. Na ten widok zaczęła się spazmatycznie trząść.

Popatrzył na leżącą w kącie Jasmine, potem zrobił krok w stronę Angie. Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. W absolutnej ciszy słyhać było tylko urywany oddech Angie.

- Michael zada ci ból - powiedział półgłosem, tak że ledwie go usłyszała.

- Zabiję cię - wyszeptała. - Zabiję cię, jeśli mnie dotkniesz.

- Połóż się.

Zamachnęła się nogą.

- Ty chory kutasie.

Nadal mówił spokojnie.

- Połóż się na podłodze.

- Pierdol się!

Uniósł pistolet i uderzył ją nim w głowę.

Osunęła się na klepisko. Nie była w stanie podnieść głowy, przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Uniósł dłonią jej podbródek i nadal spokojnie, tonem, którym mógłby się zwrócić do niegrzecznego dziecka, wyszeptał.

- Tylko mi nie mdlej, słyszysz?

Zobaczyła leżące za nim zwiotczałe ciało Jasmine. Co on jej zrobił? Co musiała wycierpieć ta mała, zanim jej organizm po prostu się poddał?

- Popatrz na mnie - powiedział łagodnie, jakby ją uwodził. - Patrz na mnie, Angie. Patrz na Michaela.

Głowa opadła jej na bok. Nie była w stanie skupić wzroku.

- No, kochanie, nie mdlej. - Znowu chwycił ją za podbródek, uniósł jej głowę. - Wszystko w porządku?

Skinęła głową, głównie po to, żeby udowodnić sobie, że ma jeszcze władzę nad jakąś częścią ciała.

- To dobrze - rzucił uspokajająco i położył pistolet na jednej z półek nad głową, wysoko poza zasięgiem jej wzroku. Wyciągnął nóż z pochwy i uklęknął, trzymając ostrze przy twarzy Angie, żeby widziała.

- Nie... - błagała.

Rozciął nożem koszulę - koszulę Willa - i zsunął ją na ramiona Angie. Starła się śledzić wzrokiem jego dłoń, gdy przebiegał palcami po jej piersiach, ale mogła jedynie czuć.

- Nie róbc tego - poprosiła.

- Leż. Leż, a będę miły - przekonywał.

Przekręciła głowę, starając się spojrzeć mu w twarz. Kto kryje się za tą maską? John? Czyżby wmówiła swojemu umysłowi, że to Michael, podczas gdy tak naprawdę jest to John?

- Angie?

Był taki opanowany. Jak Will. Wiedział, że to niezawodny sposób, żeby ją rozzłościć.

Rzucała się z wściekłości, podczas gdy on sobie stał, cierpliwie czekając, aż jej minie, ze wzrokiem wbitym w podłogę. O Boże, Will. Jak on będzie mógł z tym żyć? Jak zdoła sobie wybaczyć, że nie udało mu się powstrzymać tego bydlaka?

- An-gie - zanucił. - Spójrz na mnie.

Znała ten głos, znała to ciało.

- An-gie...

Zacisnęła oczy, widząc ramię Willa, zaognioną bliznę w miejscu, gdzie brzytwa przecięła mu ciało.

- Okay - powiedziała. - Okay.

Przewróciła się na bok, zdrowe ramię uderzyło w klepisko. Pomógł jej położyć się płasko na plecach, szarpiąc za koszulę, kiedy zaczepiła o ramiona. Cały ciężar ciała spoczywał teraz na jej rękach, miednica była uniesiona, jakby wystawiona dla niego.

- Dobrze - wyszeptał, siadając okrakiem na jej nogach. Wsunął język i przeciągnął czubkiem noża w dół jej brzucha, zatrzymując go tuż przed cipą.

Gdzie jest pistolet? Gdzie położył pistolet?

- Popatrz na mnie. - Pochylił się z nożem przyciśniętym do jej szyi.

Półka. Położył go na półce.

- Popatrz na mnie.

Popatrzyła.

- Pocałuj mnie.

Zbyt wysoko. Półka znajdowała się zbyt wysoko.

- Pocałuj mnie - powtórzył.

Zatrzęsa się cała, ale uniosła tułów, ciągnąc za sznurek z całych sił, kiedy przysunęła usta do jego ust. Nadal starał się być czuły, delikatnie dotykał jej warg swoimi. Czuła smak własnej krwi, jego serce walące o jej pierś, kiedy do niej przylgnął. Wsadził jej język do ust i zakrztusiła się, odruchowo próbując się wyrwać, ale przycisnął jej mocniej nóż do gardła i musiała pozwolić mu się całować.

Po chwili cmoknął z zadowolenia.

- Gdybyś wtedy całowała mnie tak w samochodzie, może to wszystko potoczyłoby się inaczej.

Angie popatrzyła na niego. Goła żarówka rzucała aureolę światła z tyłu jego głowy.

Odwróciła się. Zobaczyła Jasmine, krew w jej ustach, martwe spojrzenie otwartych oczu.

- Angie - wyszeptał Michael, muskając palcami jej twarz, ciało. Tak dotykał ją Will dawno temu. Dlaczego przestał to robić? Kiedy zaczęła go odpychać?

Michael znowu się nad nią pochylił, przygniatając ją własnym ciężarem do ziemi.

- Proszę... Proszę nie...

Pocałował ją raz jeszcze. Przeniosła ciężar ciała na prawą dłoń, lewą z całych sił pociągnęła za sznurek. Zadrżały jej mięśnie brzucha, oddech uwiązł w płucach, kiedy skóra zaczęła schodzić jej z ręki jak rękawiczka. Wepchnął język głębiej do gardła Angie, jego zęby zderzyły się z jej zębami. Poczowała, jak potrzaskane kości prawego nadgarstka z chrząsteczką się o siebie ocierają. Ból był tak niesamowity, że wreszcie poddała się mu, pozwoliła, żeby przetoczył się przez jej ciało jak czerwony przypływ.

Michael przysiadł na piętach, obserwując ją.

- Nie... - wyszeptała. - O Boże, nie... - Wiedziała, że zaraz zemdleje, nie była w stanie tego powstrzymać. Zamrugła. Wzrok jej się zamglił. Czuła, że przycisnął się do niej mocniej, podniecony jej bólem.

- Zdejmij to - wydyszała. - Zdejmij kominiarkę.

Pokręcił głową.

- Chcę cię zobaczyć.

- Nie.

- Will - wyszeptała. - Gdzie jest Will?

- Co?

Potrząsając głową, mrugała, walczyła, żeby zachować przytomność.

- Och, Will.

- To nie Will - powiedział. Wolną ręką ściągnął maskę i rzucił ją na ziemię. - To Michael. To ja ci to robię.

- Will.

Obrócił jej głowę, zmusił, żeby na niego popatrzyła.

- Kto ci to robi, Angie?

- Will...

- Spójrz na mnie - powtórzył ostrym głosem. - Spójrz na mnie, Angie.

Zmienił ułożenie ciała, przyciskając ją mocniej do ziemi. Jęknęła, kiedy odłamki kości znowu się przemieściły.

- Pomocy... - wyszeptała, ledwo zdolna wydać głos.

- Właśnie - podchwycił. - Wzywaj pomocy.

- Nie... - Angie skręcała się pod nim, kwiląc. - Proszę, nie rób mi krzywdy... proszę.

Upuścił nóż i szarpnął za guzik dzinsów. Wkładał rękę w spodnie, kiedy wyprostowała się jak struna i walnęła głową w jego głowę.

Cios go oszołomił i zanim zdążył odzyskać jasność myśli, Angie chwyciła nóż lewą ręką.

Teraz to ona siedziała na nim okrakiem. To ona przyciskała mu ostrze do gardła.

- Ty głupi cwelu - wybełkotała. Ślina i krew przyskały jej na twarz. - Szkło na schodach.

Przeciąłam sznur.

Milczał, ale widziała to w jego oczach. „Nie”. Zatrzęsła się z wściekłości, mocniej przycisnęła ostrze. Michael nawet nie drgnął, nie walczył. Brutalny gwałciciel, bezwzględny morderca, a tak łatwo się poddał.

Ilu mężczyzn? - pomyślała Angie. Ile męskich twarzy wryło jej się w mózg, ich wykrzywione, szczerzące się usta, kiedy ją rznęli, tak mocno przytrzymując wielkimi łapskami za nadgarstki, że następnego dnia czuła niemal większy ból na przegubach dłoni niż między nogami?

Nawet jeśli Jasmine wyjdzie z tego żywa, już zawsze będzie miała w głowie twarz tego bydlaka, zawsze będzie czuć jego dłonie na ciele, za każdym razem, kiedy dotknie jej inny mężczyzna. Nawet jeśli będzie go kochała. Nawet jeśli będzie go pragnęła najbardziej na świecie, to gdy zamknie oczy, pod powiekami zobaczy twarz Michaela.

Gwałt dało się przetrzymać. Dopiero życie z jego wspomnieniem wykańczało.

- Angie!

Na górze rozległ się łoskot uderzenia, trzask. Ktoś wyważył frontowe drzwi.

- Angie! - zawołał Will. - Gdzie jesteś?

Przybliżyła twarz do twarzy Michaela, zmusiła go, żeby spojrzał jej w oczy, i wyszeptała:

- Sam się cmoknij, głupi pojebie - i wepchnęła mu nóż pod żebra. Otworzył usta, ale Angie była szybsza. Wydała mrozący krew w żyłach krzyk, wyciągnęła nóż i ponownie go zatopiła aż po rękojeść, wrzeszcząc: - Pomocy! Jestem na dole! - Wysunęła ostrze i wbiła ponownie i jeszcze raz, i jeszcze, drąc się wniebogłosy: - Jesteśmy na dole!

- Angie! - Drzwi do piwnicy się wygięły, kiedy Will próbował je wyważyć.

- Will! - prosiła, przekręcając ostrze w brzuchu Michaela. - Pomóż mi!

Trzy strzały roztrzaskały zamek. Używając noża jak uchwytu, nasunęła na siebie ciało Michaela, gdy rozległ się tupot kroków na schodach.

Will chwycił Michaela od tyłu i rzucił nim o ścianę jak workiem śmieci.

- Angie! - dyszał tak ciężko, że niemal nie mógł mówić. - Zrobił ci krzywdę? Jesteś cała? - usiłował zabrać jej nóż, ale nie chciała go wypuścić z dłoni. - Zrobił ci coś? Kochanie, proszę, powiedz.

- Will - wyszeptała, pragnąc dotknąć jego twarzy, otrzeć płynące mu ciurkiem łzy.

- Już dobrze - powiedział, delikatnie podważając jej palce, żeby oddała broń. - Już wszystko dobrze. Jestem tu.

- Will...

- Twoje ręce - powiedział ze zgrozą. - Co on zrobił z twoimi rękoma?

Ktoś jeszcze wpadł do pomieszczenia. Zobaczyła zbiegającego po schodach mężczyznę.

John Shelley zatrzymał się na przedostatnim stopniu. Popatrzył na Michaela, potem na Jasmine, jakby nie mógł się zdecydować, co zrobić.

- Angie. - Will chwycił ją i tulił w ramionach. Nie protestowała, chociaż bolało ją całe ciało.

- Och, Angie.

John podszedł do dziewczynki. Sprawdził puls, popatrzył na ranę na głowie.

Angie nie odrywała wzroku od Michaela. Chciała, żeby ją widział, chciała, żeby widok jej twarzy go dręczył, pozostał w nim na zawsze.

Miał otwarte oczy. Zamrugął raz, drugi. Krew płynąca z niego jak rzeka zbierała się na podłodze w kałużę. Różowe, półprzezroczyste pęcherzyki pojawiły się na ustach, kiedy napełniła płuca. Oddech wychodził ze świstem przez dziury, które Angie zrobiła mu w piersiach. Wiedział, co się z nim dzieje. Był przerażony.

Will przycisnął usta do jej czoła.

- Wszystko dobrze - wyszeptał. - Nic ci nie będzie.

Michael zamrugął gwałtownie. Bulgoczący odgłos wypełnił piwnicę, kiedy zaczął się krztusić własną krwią. Otworzył szeroko usta, cienka strużka krwi spłynęła w dół policzka.

Angie stuliła usta i posłała mu pocałunek na do widzenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

13 LUTEGO 2006 ROKU

- Wy - powiedziała tylko Lydia Ormewood, kiedy otworzyła frontowe drzwi i zobaczyła Johna i Joyce.

Matka Michaela starzała się ładnie czy też, co bardziej prawdopodobne, wydała dość pieniędzy, by sprawiać takie wrażenie. Choć John wiedział, że dobiega siedemdziesiątki, twarz miała jędrną i dobrze zakonserwowaną. Nawet skóra na szyi i dłoniach, zwykle zdradzająca wiek, była tak gładka i młoda jak u Joyce.

Najwyraźniej wiodło jej się dobrze. Mieszkała w Vinings, jednej z droższych dzielnic podmiejskich Atlanty, w nowiutkim, trzypiętrowym domu. Białe ściany, białe dywany porozrzucane po podłogach z pobielonego dębu. W salonie stał lśniący biały fortepian oraz dwie sofy z czarnej skóry ustawione naprzeciw siebie przy marmurowym kominku. W oknach wisiały kremowe jedwabne zasłony, na ścianach abstrakcyjne obrazy w śmiałych kolorach podstawowych, najpewniej oryginały. Sama Lydia była monochromatyczna, ubrana od stóp do głów w czerń. John nie wiedział, czy to jej zwykły strój czy też żałoba po synu.

Kiedy aresztowano Johna, Joyce siedziała w budynku administracji hrabstwa DeKalb, strona po stronie wertując stare archiwa w poszukiwaniu jakiegoś tropu Lydii. Wzięła kilka dni wolnego, żeby przekopać się przez wszystkie dostępne rejestry. Od śmierci Barry'ego Lydia wyszła za mąż i rozwiodła się jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem zmieniała nazwisko, ale Joyce udało się w końcu ją namierzyć dzięki znajomemu, pracującemu w zakładzie ubezpieczeń społecznych. Wujek Barry w chwili śmierci miał już pełne uprawnienia do świadczeń emerytalnych. Lydia zaczęła pobierać jego emeryturę cztery lata temu. Trzy dni później Joyce trzymała jej adres w dłoni.

Siedzieli przed kominkiem, John i Joyce na jednej niewygodnej sofie, Lydia na drugiej: wyprostowana jak struna, ze złączonymi kolanami, nogami przechylonymi lekko na bok, wypisz wymaluj jak ze zdjęcia z podręcznika dobrych manier. Patrzyła na Johna z jawnym obrzydzeniem.

Wiedział, że wygląda koszmarnie. Pani Lam zapukała do jego drzwi o piątej nad ranem. Wręczyła mu pojemniczek na mocz, potem zaczęła przetrząsać pokój w poszukiwaniu zakazanych przedmiotów. Kiedy wrócił z toalety, trzymała w dłoniach zdjęcie jego matki. Stał tam, ściskając w dłoniach własne miśki i czując, jak powoli zaczyna się gotować ze wstydu. Jeszcze jedno upokorzenie, które ściągnął na Emily. Kiedy to się skończy? Kiedy jego matka będzie mogła odpoczywać w pokoju?

- Przyszliśmy porozmawiać o Michaelu - powiedziała Joyce.

- Był moim synem - oświadczyła Lydia, jakby to załatwiało sprawę.

Joyce zeszywniała, ale John pokręcił głową, w duchu nakazując jej cierpliwość.

Kochał siostrę, jednak ona żyła w biało-czarnym świecie. Nie radziła sobie z barwami pośrednimi.

- Ta dziewczynka, którą porwał, wyzdrowieje - poinformował Lydię.

- Cóż - skwitowała to wzruszeniem wąskich ramion.

John czekał, ale nie spytała o Angie Polaski, nie sprawiała wrażenia zainteresowanej stanem zdrowia ostatniej ofiary syna. W gruncie rzeczy w ogóle nie sprawiała wrażenia czymkolwiek zainteresowanej.

Odchrząknął:

- Gdybyś mogła...

- Nienawidził cię, wiesz.

John już na to wpadł, ale chciał znać powód.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziała, wygładzając spódnicę dłonią. Na palcu błyszczał duży pierścionek z brylantem osadzonym na złotej obrączce szerokiej na jakieś półtora centymetra. - Miał chyba obsesję na twoim punkcie. Prowadził taki zeszyt z wycinkami. - Podniosła się nagle. - Przyniosę go. - Opuściła pokój, sunąc lekko po białym dywanie. Joyce z sykiem wypuściła powietrze przez zęby.

- Uspokój się - powiedział jej John. - Ona nie musi tego zrobić.

- Twój los jest w jej ręku.

- Wiem - powiedział John. Był przyzwyczajony, że inni ludzie kontrolują jego życie, czy to był ojciec, Michael, strażnicy w więzieniu czy Martha Lam. Jako dorosły nie doświadczył ani jednej chwili, kiedy nie starałby się kogoś zadowolić, tylko po to, by przetrwać do następnego dnia.

Joyce znowu zaczęła chlupać. Zapomniał już, jaka z niej płaczka.

- Nienawidzę jej, John. Tak bardzo jej nienawidzę. Jak w ogóle ci się udaje wytrzymać z nią w tym samym pokoju?

Wierzchem palca otarł jej łzy.

- Potrzebujemy czegoś od niej. Ona od nas niczego.

Wróciła Lydia, przyciskając do piersi duży album fotograficzny. Położyła go na niskim skórzanym pufie stojącym między sofami i usiadła.

John zobaczył swoje zdjęcie przyklejone do okładki albumu. Przynajmniej wydawało mu się, że to jego fotografia. Twarz została zamazana długopisem.

- Mój Boże - wymamrotała Joyce, przysuwając album.

Otworzyła go na pierwszej stronie, potem przewróciła na następną. John zaglądał jej przez ramię. Obojgu odjęto mowę na widok fotografii Johna z gimnazjum, zdjęć klasowych, z drużyny, fotek Johna biegnącego w dresie. Michael skatalogował każdy moment z nastoletniego życia kuzyna.

- Barry jeszcze pogorszył sytuację - powiedziała Lydia. Wujek Barry, jej mąż, brat ich matki. - Bez przerwy mówił o tobie, stawiał cię za wzór.

- Wzór czego? - spytał John, nie kryjąc zgrozy, jaką wzbudził w nim album.

- Kiedy odszedł jego ojciec, Michael bardzo się opuścił. Miał problemy w szkole. Narkotyki... sama nie wiem. Jakiś chłopak ze starszej klasy go w to wciągnął. Michael nigdy by nie zrobił czegoś takiego sam z siebie.

Joyce otworzyła usta, ale John ścisnął jej dłoń, przestrzegając, żeby się nie odzywała. Z osobą taką jak Lydia Ormewood nie sposób było nic wskórać, mówiąc jej, co ma robić.

Przychodziło się z pokorą i czekało. John postępował tak przez całe swoje życie. Wiedział, że wystarczy teraz jedno złe słowo i wszystko weźmie w łeb.

- Barry sądził - ciągnęła Lydia - że można cię postawić Michaelowi za przykład. Zawsze tak dobrze szło ci w szkole. - Westchnęła. - Michael był dobrym chłopcem. Po prostu wpadł w złe towarzystwo.

John pokiwał głową, jakby rozumiał. Może, w pewnym stopniu, tak było. Sam przecież dał się wciągnąć w towarzystwo Michaela. Podobnie jak Aleesha Monroe. Wiecznie kręciła się koło jego domu, była nawet w nim podczas tej imprezy. Miała dobrych rodziców, braci i siostry prymusów. Czy John skończyłby tak jak Aleesha, gdyby Mary Alice nie zginęła? Czy zaprzepaściłby swoje życie tak samo jak ona, bez względu na to, jak potoczyłyby się wypadki?

Pierś Lydii uniosła się i opadła w kolejnym westchnieniu.

- Zmusiłam go, żeby wstąpił do wojska - powiedziała. - Nie pozwoliłam mu siedzieć beczynnienie, kiedy cię zamknęli. Walczył na wojnie. Próbował zapewnić bezpieczeństwo tym Arabom i w nagrodę został postrzelony w nogę.

Joyce była tak napięta, że John niemal słyszał, jak brzęczy niczym struna fortepianu.

Lydia skubała meszek na spódnicy.

- A potem wrócił do Atlanty, ustatkował się, założył rodzinę. - Podniosła wzrok na Joyce. - Z tą dziewczyną, którą poślubił, musiało być coś nie tak. Tim to nie jest wina Michaela - powiedziała dobitnie i John rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu zdjęć Woody'ego albo jego syna. Na gzymsie nad kominkiem stał tylko szklany wazon z kwiatami z jedwabiu. Na metalowym stoliku stojącym przy ścianie leżała równo ułożona sterta pism i aparat

telefoniczny, podobny do tego, jaki Joyce miała w sypialni, kiedy byli dziećmi. Nawet biegnący od niego gruby przewód wisiał równiutko, jakby on też bał się narazić Lydii. Całe miejsce sprawiało wrażenie grobowca.

- Dostał odznaczenie za uratowanie życia jakiejś kobiecie - ciągnęła z dumą Lydia. - Wiedziałeś o tym?

Odpowiedź niemal uwięzła mu w gardle.

- Nie, nie wiedziałem.

- To było w wypadku samochodowym. Wyciągnął ją, zanim samochód wybuchł. John nie wiedział, co odrzec. Niewykluczone, że Michael uratował jedną kobietę, ale zniszczył życie niezliczonej rzeszy innych, sprzedając narkotyki prostytutkom, gwałcąc i mordując dla chorej przyjemności.

- Michael był dobry - upierała się Lydia. - To drugie oblicze - machnęła ręką bagatelizując zło, którego się dopuścił - to nie był mój Michael. Mój Michael był dobrym chłopcem. Miał tylu przyjaciół.

Tylu przyjaciół uzależnił od twardych narkotyków, pomyślał John. Tak jak Aleeshę.

- I tyle jeszcze przed sobą - ciągnęła.

- To przechodzi ludzkie pojęcie. - Głos Joyce trząsł się z wściekłości. - Nie do pomyślenia, że siedzisz tu i opowiadasz nam, jakim to aniołem był Michael. Był zwierzęciem.

- Joyce. - John spróbował ją powściągnąć. Nie znała zasad, nie potrafiła ustąpić placu. Nikt nigdy nie rzucił jej w twarz fekaliami za krzywe spojrzenie. Nigdy nie usiłowała zasnąć,

kiedy sześćdziesięciolatek w celi obok szeptał, jakie ma piękne ciało, opowiadał w szczegółach, co chce z nim zrobić.

Lydia uniosła cienką brew.

- Powinnaś słuchać brata, młoda damo.

- Nie waż się mówić o moim bracie.

Błysk rozbawienia przemknął przez oczy Lydii. John wiedział, że już po sprawie. W tej jednej chwili wszystko wzięło w łeb.

- Grozisz mi? - spytała ciotka.

Joyce zerwała się z kanapy, krzycząc:

- Wiedziałaś, że John nie zabił Mary Alice!

- Nic podobnego.

- Jak możesz go bronić? - John starał się pociągnąć ją z powrotem na sofę, ale straciła jego rękę. - Jak możesz tu tak siedzieć...

- Nie masz dzieci, więc nie rozumiesz - warknęła Lydia. - Ty i... ta twoja przyjaciółeczka.

Joyce zacisnęła pięści.

- Nie - odpowiedziała. - Nie mam dzieci. Masz rację. Nie wychowałam dziecka. Nie wychowałam też gwałciciela ani mordercy.

Lydia wyglądała, jakby dostała w twarz.

- Nie masz prawa mówić do mnie tym tonem.

- Powiedziałaś mamie? - chciała wiedzieć Joyce. - Kiedy przyszłaś do szpitala, powiedziałaś jej, co się wtedy stało, że to twój syn zabił Mary Alice, a nie jej?

- Zostaw zmarłych w spokoju - poradziła ciotka.

John nie wiedział, czy miała na myśli Emily czy Michaela. Jeśli idzie o niego samego, nie był pewien, czy śmierć Michaela przyniosła mu spokój. Stojąc tam wtedy w piwnicy, całym sobą pragnął paść na kolana, wtłoczyć z powrotem powietrze w piersi Ormewooda, zrobić wszystko, byleby przywrócić go do życia i móc zabić raz jeszcze własnymi rękoma.

Ale tego nie zrobił. Uratował Jasmine. Przeszła oddychać i John oddychał za nią, przez czterdzieści minut robiąc jej sztuczne oddychanie, dopóki karetka nie przyjechała do chaty, którą Michael kupił na jego nazwisko. Te same ręce, które okaleczyły Cynthię Barrett, przywróciły życie innej dziewczynce. Musiała być w tym jakaś sprawiedliwość. Musiał być jakiś spokój.

John patrzył, jak siostra przeszła na drugą stronę salonu, zwiększając odstęp między sobą a kobietą, która zniszczyła jej rodzinę. Joyce próbowała tylko go bronić. Zdawał sobie z tego sprawę. Podobnie jak z tego, że zaprzepaściła ostatnią szansę na oczyszczenie jego nazwiska.

Mimo to musiał jeszcze spróbować. Nauczył się cierpliwości, której ona nigdy nie musiała się uczyć. Nauczył się także rozmawiać z ludźmi, od których jest się zależnym.

- Jest zdenerwowana - powiedział Lydii w ramach przeprosin, na które, jak wiedział, czekała. - Mocno to wszystko przeżyła.

- Odzyskałeś wolność - zauważyła Lydia. - Nie wiem, czego jeszcze ode mnie oczekujesz. Jestem starą kobietą. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju.

- To nie takie proste.

- Wyszedłeś, prawda? - powiedziała, jakby to zamykało sprawę, jakby John nie żył w permanentnym strachu, jakby się bez przerwy nie bał, że znowu poczuje na rękach kajdanki, znowu wyląduje w celi z Zebłą. Prawie się posrał, kiedy Will Trent rzucił nim o ścianę. Są takie więzienia, z których nigdy się nie wychodzi.

Wziął głęboki oddech i zmusił się do wyjaśnienia byłej specjalistce od prawa karnego, jak działa wymiar sprawiedliwości.

- Jestem zarejestrowanym przestępcą seksualnym. Pedofilem. Nie mam co liczyć na przyzwoitą pracę, nie mogę kupić domu. Nigdy nie będę żył normalnie.

- A co z Michaeliem? - pytała. - On też nie żyje.

Joyce prychnęła z obrzydzeniem. Stała przy fortepianie z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądała dokładnie jak ojciec.

John odwrócił się do Lydii, mówiąc delikatnie, starając się ją naprowadzić.

- Michael zabił kobietę nazwiskiem Aleesha Monroe.

- Była prostytutką.

Zatem oglądała serwisy informacyjne.

- Porwał funkcjonariuszkę policji - ciągnął John. - Kości nadgarstka ma tak połamane, że może już nigdy nie odzyskać sprawności w ręce.

Na to Lydia nie znalazła odpowiedzi.

- Porwał dziewczynę, zgwałcił i niemal zakatował na śmierć.
- Z tego, co słyszałam, raczej nie można było odmówić jej doświadczenia - rzuciła cierpko.
- Odgryzł jej język.

Lydia ponownie wygładziła spódnicę. Milczała.

- Michael odgryzł jej język, tak jak to zrobił Mary Alice.

Gdyby John nie patrzył na Lydię, przeoczyłby jej reakcję. Na ułamek sekundy na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Znam tę opinię biegłego stanowego z zakresu stomatologii - powiedział.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Myślę, że masz.
- Nie przypominam sobie żadnej opinii. A nawet gdyby, już nic nie mogę zrobić w tej sprawie.

- Możesz mi zwrócić moje życie - spróbował John. - Wystarczy, że zeznasz pod przysięgą...

- Nie bądź śmieszny.

- Tylko o to cię proszę, Lydio. Zeznaj pod przysięgą, że to Michael zabił Mary Alice, nie ja.

Przekonaj ich, żeby wymazali mnie z rejestru, a ja...

- Młody człowieku - przerwała mu zdawkowo. Widział po jej postawie, że to już koniec.

Wskazała ręką drzwi. - Chcę, żebyście natychmiast opuścili mój dom.

John podniósł się machinalnie, przyzwyczajony do słuchania poleceń. Joyce nadal stała przy fortepianie. Do oczu napłynęły jej łzy zawiedzionej nadziei. Tak mocno o niego walczyła i teraz wreszcie dotarło do niej, że nie może nic więcej zrobić.

Poruszyła bezgłośnie ustami. „Przepraszam”.

Rozejrzał się po domu, po tym mauzoleum, które Lydia wzniosła za pieniądze zarobione na pozywaniu korporacji, lekarzy i wszystkich innych, którym zdarzyło się popełnić błąd, na którym ona mogła skorzystać. Swego czasu godzinami przesiadywała z Johnem w więzieniu, próbując sfabrykować jego linię obrony. Dwadzieścia lat temu doradziła mu, żeby nie zeznawał w swoim imieniu. Sama zajmowała się testami laboratoryjnymi, biegłymi, świadkami. Potem to ona przyjechała do Coastal, żeby powiedzieć mu, że już po wszystkim, że nie zostały im już żadne środki prawne do wykorzystania. Zaczęła wtedy płakać, a on ją pocieszał.

John pamiętał też inny dzień w Coastal, dzień, w którym matka odwiedziła go po raz pierwszy, po tym jak Zebra rozerwał go niemal na pół.

- Nie poddasz się - poleciła Emily, ściskając mu palce przez stół tak mocno, że niemal zdrętwiały. - Rozumiesz, co mówię, Jonathan? Nie poddasz się.

Człowiek nie zalicza dwudziestu lat odsiadki, nie ucząc się czegoś. Więzienie było wielkim zegarem, który nigdy nie przestawał tykać. Mieli jedynie czas i zabijali go, rozmawiając. Pletli bzdury - o tym, jak uciec, jak sprzedać kosę gnojowi, który nie okazał szacunku w kolejce po obiad - ale plotło się tylko do czasu. Prędzej czy później wszyscy zaczęli

opowiadać o tym, jak trafili do pierdła. Wszyscy byli niewinni, wrobieni przez szemranego glinę, udupieni przez system. Każdy miał swój patent, próbował jakiegoś sposobu na uzyskanie karty zwolnienia.

W 1977 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wydał postanowienie, które doprowadziło do utworzenia sieci stosownych księgozbiorów prawnych we wszystkich stanowych i federalnych więzieniach. Nikt nie wiedział dokładnie, co należy rozumieć pod słowem „stosowne”, ale biblioteka w Coastal śmiało mogła się równać z czytelnią wydziału prawa i każdy więzień w końcu lądował z nosem w jakimś podręczniku czy zbiorze precedensów, szukając niejasnego ustępu, kruczka lub luki prawnej, którą mógłby wykorzystać. Większość skazanych była z prawem bardziej za pan brat niż adwokaci, których stan im przydzielał z urzędu - co było w porządku, bo zwykle jaka płaca, taka praca.

John wziął stojący na kominku wazon.

Lydia wstała, sztywna jakby połknęła kij.

- Odstaw to.

Trzymał wazon na dłoni, szacując jego ciężar. Kryształ ołowiany, ciężki jak cegła.

Prawdopodobnie wart tyle złota, ile waży. Tylko to jeszcze interesowało Lydię - pieniądze: ile może wyciągnąć, ile może zachomikować. Cztery małżeństwa, syn, wnuk, a wszystko, czym się mogła pochwalić, to te zimne małe przedmioty porozstawiane po jej nieskazitelnie czystej rezydencji.

- Masz ładne mieszkanie, ciociu Lydio.
 - Oboje. W tej chwili wynoście się z mojego domu.
 - Domu - powtórzył John, wyciągając kwiaty i rzucając je po jednym na kosztowny biały dywan. - Ciekawie powiedziane.
 - Wezwę policję.
 - Lepiej najpierw się uchyl.
 - Co... - Była stara, ale szurnęła szparko jak fryga, kiedy zobaczyła, że John uniósł wazon. Rzucił nim dobrze nad jej głową, jednak kawałki szkła, które odbiły się od ściany wylądowały na sofie, gdzie wcześniej siedziała.
 - Jak śmiesz? - pisnęła.
- Wazon był prawdopodobnie więcej wart, niż on zarobił od wyjścia z pierdła, ale miał w dupie jej pieniądze. Wszędzie żyli bogaci ludzie wegetujący we własnych więzieniach, uwięzieni przez chciwość, odcięci od otaczającego świata. Teraz chciał jedynie odzyskać swoją wolność i w tym celu był gotów na wszystko.
- Jak sądzisz, ile wart jest ten dom? - spytał siostry.
- Joyce stała jak słup soli z rozdziawionymi ustami. Wszystkie spory w jej życiu zwykłe przybierały formę zajadłych negocjacji lub zawołanych gróźb wygłaszanych przy wypolerowanym na wysoki połysk stole konferencyjnym albo nad szklaneczkami martini w klubie. W więzieniu stanowym Coastal zawołane groźby miały małą siłę rażenia.
- Ćwierć miliona dolarów? - zgadywał John. - Pół miliona?

Joyce pokręciła głową, zbyt zszokowana, by odpowiedzieć.

- Wy! - powiedziała Lydia głosem piskliwym od furii. - Macie dokładnie minutę na opuszczenie tego domu, zanim wezwę policję i każę was aresztować.

- Milion dolców? - zasugerował John. - No, Joyce. Przez cały czas zajmujesz się umowami sprzedaży nieruchomości. Wiesz, ile wart jest taki dom.

Joyce potrząsnęła głową, jakby nie rozumiała. Ale zaraz zrobiła coś, co go zaskoczyło.

Rozejrzała się nerwowo po pokoju, taksując wzrokiem wysoki sufit, wielkie okna wychodzące na pieczołowicie wypielegnowaną murawę na tyłach. Kiedy przeniosła z powrotem spojrzenie na Johna, widział, że nadal jest skonsternowana. Ale ufała mu. Ufała na tyle, żeby powiedzieć:

- Trzy.

- Trzy miliony? - powtórzył John z niedowierzaniem. A on miał się za bogatego, kiedy podjął trzy tysiące osiemset dolarów, które Michael zostawił na fałszywym rachunku oszczędnościowym Johna.

- Podzielmy to przez dwadzieścia lat - powiedział. - Wychodzi... ile? Jakies sto pięćdziesiąt tysięcy dolców na rok?

Joyce zaczynała powoli rozumieć.

- Tak, Johnny. Mniej więcej tyle.

- To chyba nie wystarczy, prawda?

Oczy jego siostry zabłyśły. Uśmiechnęła się.

- Nie.

- Jak myślisz, ile może mieć w banku? - Odwrócił się z powrotem do Lydii. - Chyba powinienem kierować te pytania do ciebie.

- Powinieneś się stąd wynieść, jeśli masz choć trochę oleju w głowie.

- Jakim jeździsz samochodem? Mercedesem? Bmw? - czuł się jak jakiś prawnik z telewizji. Może mógł zostać prawnikiem. Gdyby Michael Ormewood nie pojawił się w jego życiu, niewykluczone, że John Shelley zostałby lekarzem albo prawnikiem, albo nauczycielem, albo... kim? Kim mógł zostać? Nigdy się nie dowie. Nikt nigdy nie będzie tego wiedział.

- John? - Joyce sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Za długo milczał.

Jego głos nie brzmiał już tak zdecydowanie, kiedy spytał Lydię:

- A ten pierścień na twoim palcu? Ile jest wart?

- Zabieraj się z mojego domu.

- Jesteś prawnikiem - stwierdził. - Nie sposób zaprzeczyć, że zbiłaś majątek, pozywając ludzi i zabierając im dorobek całego życia. - Wskazał na dom, na te wszystkie znajdujące się w nim bezużyteczne przedmioty.

- Chcę, żebyś wyszedł - rozkazała Lydia. - Chcę, żebyś natychmiast się stąd wyniósł.

- A ja chcę tego domu - oświadczył, idąc przez pokój, zastanawiając się, co może ją złamać. Zdjął ze ściany monochromatyczne płótno. - Chcę tego - powiedział i upuścił je na podłogę. - Chcę tego fortepianu. - Podszedł do Joyce, myśląc, że bez względu na to, co się stanie, nic nie będzie dla niego cenniejsze od świadomości, że w niego wierzy. Michael

próbował go zniszczyć, ale już nie żył. Przeszłości nie da się zmienić. Mogli się skupić tylko na przyszłości. - Jak często mama ciosała nam kołki na głowie, żebyśmy ćwiczyli gamy?

- Na okrągło.

John przeciągnął ręką po klawiszach.

- Ucieszyłaby się - powiedział, grając kilka nut, które pamiętał sprzed wieków. - Ucieszyłaby się, że znowu gram.

- Tak - zgodziła się Joyce ze smutnym uśmiechem na twarzy. - Myślę, że by się ucieszyła.

- Gadaj zdrów - warknęła Lydia.

- Chyba powinnaś uważać, jak się do mnie zwracasz.

Lydia położyła dłoń na biodrze.

- Nie masz żadnych szans na uzyskanie wyroku skazującego w procesie kryminalnym.

Nawet uwzględnisz tę ostatnią... insynuację... skierowaną pod adresem mojego syna, niczego nie zdołasz udowodnić.

- W sądzie cywilnym ciężar dowodu jest mniejszy. Wiesz o tym.

- A ty wiesz, jak długo będą się wlokły moje zeznania i kolejne rozprawy? - Posłała mu uśmiech aligatora, obnażając perłowobiałe zęby. Zaraz potem podjęła cichym, słabym głosem: - Jestem starą kobietą. To był dla mnie straszliwy wstrząs... Miewam lepsze i gorsze dni...

- Mogę zamrozić twoje aktywa - powiedział John. - Głowę dam, że będziesz miała całą masę gorszych dni, gnieżdząc się w jednopokojowej klitce przy Buford Highway.

- Nie nastraszysz mnie.
- A co z mediami? - spytał. - Joyce cię odnalazła. Jestem pewien, że dziennikarzom także się to uda. Zwłaszcza jeśli im się trochę pomoże.
- Dzwonię na policję - ostrzegła go Lydia, idąc sztywno w stronę telefonu.
- Proszę tylko o zeznanie pod przysięgą. Po prostu powiedz, że Michael mnie zrobił, że zabił Mary Alice, a już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.
- Wzywam policję, żeby usunęła was z mojego domu.
- Jak by ci się spodobała zgraja reporterów czatujących pod twoimi drzwiami? Konieczność tłumaczenia się, dlaczego wiedząc, że twój syn jest zabójcą, nie zrobiłaś nic, żeby go powstrzymać?

Zsunęła jeden z masywnych złotych klipsów i przyłożyła do ucha słuchawkę.

- O niczym takim nie wiedziałam.
- Michael powiedział mi coś dziwnego w tej piwnicy, ciociu Lydio. - Trzymała palce nad klawiaturą, ale nie wystukała numeru. - Miał świadomość, że umiera. Miał nawet absolutną pewność i chciał mi coś powiedzieć.

Kabel uderzył o blat stolika, kiedy słuchawka ześlizgnęła się na ramię Lydie.

- Wyznał, że zabił Mary Alice i że ty doskonale o tym wiedziałaś. Że to był twój pomysł, żeby rzucić na mnie winę. Powiedział, że zaplanowałaś to wszystko od samego początku. - Posłał do niej oko. - Zeznania na łożu śmierci nie są traktowane jako dowód ze słyszenia, prawda? Nie, jeśli dana osoba wie na pewno, że umrze.

Ścisnęła kurczowo słuchawkę w kościstej dłoni.

- Nikt ci nie uwierzy.

- Kojarzysz tę policjantkę, którą porwał, skatował prawie na śmierć i którą o mały włos zgwałcił i zabił? - Ściszył głos, jakby wyznawał jej sekret. - Wydaje mi się, że ona też to słyszała.

Stolik uderzył o ścianę, kiedy na niego opadła. Oczy płonęły jej oburzeniem.

- Jak myślisz, kogo wysłucha prokurator, kiedy będzie decydował, czy postawić ci zarzut utrudniania postępowania sądowego, bezprawnego uwięzienia oraz zмовы i mataczenia później? - spytał John.

W słuchawce rozległ się automatyczny komunikat informujący, że jeśli chce zadzwonić, powinna się rozłączyć i ponownie wybrać numer.

- Prokurator zgłosi się do nas - ciągnął John. - Zapyta mnie i Joyce, czy chcemy wnieść oskarżenie przeciwko tobie, czy od tego odstąpić. - Z telefonu zaczął dobiegać głośny sygnał, który rozbrzmiewał echem w przestronnym pokoju. - Pozwól, że ci powiem, do jakiego wniosku doszedłem, Lydio: Michael był zwyrodnialcem, dziką bestią, ale ty byłaś jego opiekunką, jego dozorcą. Wiedziałaś, jaki jest, a mimo to wypuściłaś go w świat.

- Nie...

- No, śmiało - prowokował. - Wykręć numer. Zadzwoń.

Lydia patrzyła na niego. Nozdrza jej się rozszerzyły, do oczu napłynęły łzy gniewu. Widział, jak się zastanawia, jak jej wyszkolony prawniczy umysł analizuje wszystkie aspekty,

rozważa warianty. Gdzieś w tym nieskalanie czystym białym więzieniu, które nazywała domem, tykał zegar. John w milczeniu liczył cyknięcia, cierpliwie czekając.

- Zgoda - przystała wreszcie. - Dobrze.

Wiedział, co ma na myśli, ale chciał usłyszeć, jak to mówi, chciał być tym, który zmusi ją do powiedzenia.

- Dobrze co?

Ręka trzęsła jej się tak bardzo, że z trudem odłożyła słuchawkę na widełki. Nie mogła się zmusić, żeby na niego spojrzeć. Głos jej się rwał z upokorzenia.

- Powiedz, co mam zrobić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

18 LUTEGO 2006 ROKU

Will słuchał Devils & Dust Bruce'a Springsteena i czesał psa. Nie pojmował, dlaczego sąsiadka tak się upiera przy szczotkowaniu. Betty miała krótką sierść. Nie liniała mocno. Musiał zatem założyć, że jedynym uzasadnieniem jest czysta przyjemność, jaką zwierzę w tym znajdowało, z drugiej jednak strony Will nigdy nie odniósł wrażenia, żeby starsza pani była specjalnie zainteresowana dobrym samopoczuciem psa.

Nie żeby przypisywał suczce osobowość, ale nie dało się zaprzeczyć, że lubiła szczotkowanie.

Rozległ się dzwonek i Will zamarł ze szczotką w połowie pociągnięcia. Zadzwonił raz jeszcze, potem nastąpiło staccato pukania.

Will westchnął. Odłożył szczotkę i opuścił rękawy koszuli. Zgarnął Betty na rękę i podszedł do drzwi.

- Czemu, kurwa, tak długo?

- Podejrzewałem, że to ty.

Angie się wykrzywiła, co zapewne nie przyszło jej łatwo, biorąc pod uwagę, że jej twarz się jeszcze goiła. Na czole miała plastry, a policzek zmienił się z czarnego w żółty. Przylepce na wszystkich palcach rąk przykrywały szwy. Prawe ramię spoczywało w jaskraworóżowym plastikowym gipsie, metalowe śruby wystawały z nadgarstka, którego kości zostały chirurgicznie złożone.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył jej samochód zaparkowany na ulicy.

- Prowadziłaś?

- Aresztuj mnie.

- Dlaczego? Muszę cię zapuszkować, żebyś nie uciekła z miasta?

- Nie tym razem.

- Nie opuszczasz mnie dla Johna?

Roześmiała się.

- Jakiś dupek już spieprzył mu połowę życia. Uznałam, że dam mu przeżyć tę drugą w spokoju.

- Nie spałaś z nim?

- Oczywiście, że spałam.

Wypuścił powietrze, ale nie mógł powiedzieć, że jest zaskoczony.

- Chcesz wejść?

- Zostańmy tutaj - zaproponowała, pochylając się niezgrabnie, żeby usiąść na ganku.

Will z ociąganiem do niej dołączył. Przyciskał Betty do piersi, a ona pochyliła łepkę i wsadziła mu pysk pod kamizelkę.

- Jest sobota - poinformowała go Angie. - Dlaczego chodzisz w garniturze?

- Bo mi w nim do twarzy.

Szturchnęła go łokciem, drocząc się.

- Tak myślisz?

Usiłował obrócić to w żart.

- Wiesz, nie mam na sobie majtek.

Zaniosła się głośnym, lubieżnym śmiechem.

Uśmiechnął się, ciesząc się, że są wobec siebie tacy swobodni.

- Dlaczego brzmi to seksownie, kiedy ty mówisz, ale nie kiedy mówię ja?

- Bo mężczyźni, którzy nie noszą majtek, zwykle kręcą się koło placów zabaw z kieszeniami pełnymi cukierków.

- Mam cukierka w kieszeni - zapewnił. - Chcesz włożyć rękę i sprawdzić?

Znowu się wyszczerzyła.

- Obiecanki cacanki, panie Trent. Pan tylko dużo gada.

- Tak - przyznał. - Pewnie masz rację.

Oboje zapatrzyli się na ulicę. Hałas z Ponce de Leon niósł się z wiatrem: dźwięki klaksonów, krzyki ludzi. Will słyszał podzwaniające w oddali dzwoneczki wietrzne, obok domu przejechał rowerzysta.

- Kocham cię - powiedziała Angie bardzo cicho.

Betty się poruszyła. Poczł trzepotanie w piersi.

- Wiem.

- Jesteś całym moim życiem. Zawsze przy mnie byłeś.

- Nadal jestem.

Westchnęła ciężko.

- Kiedy siedziałam w tej piwnicy, mówiłam do ciebie. Zanim się pojawiłeś. - Urwała i wiedział, że wraca myślami do tego straszego miejsca. - Obiecałam ci, że cię zostawię, jeśli wyjdę stamtąd żywa.

- Nigdy nie oczekiwałem, że będziesz dotrzymywać obietnic.

Znowu zamilkła. Przejechał kolejny rowerzysta, metaliczny świst obracających się kół brzmiał jak cykanie świerszczy. Will chciał ją objąć za ramiona, ale przypomniał sobie ranę od szkła. Gdy miał otoczyć ramieniem jej talię, odwróciła się do niego.

- Nie jestem dla ciebie dobra.
 - Wiele rzeczy nie jest dla mnie dobrych. - Wymienił kilka przykładów: - Czekolada. Słodzik. Bierne palenie.
 - Namiętność - powiedziała z pięścią przy sercu. - Chcę, żebyś doświadczył namiętności, Will. Chcę, żebyś wiedział, jak to jest zakochać się w kimś, nie spać po nocach, myśląc, że umrzesz, jeśli nie będziesz miał tej osoby.
 - Bardzo często nie spałem po nocach, myśląc o tobie.
 - Martwiąc się o mnie - skorygowała. - Nie jestem parą starych butów, które możesz nosić do końca życia, tylko dlatego że dobrze się w nich czujesz.
- Will nie wiedział, że może być coś złego w czuciu się dobrze, ale ugryzł się w język.
- Gdzie znajdę drugą kobietę z takim niskim morale jak ty? - spytał.
 - A Amanda Wagner jest już zajęta?
 - O - jęknął. - To bolało.
 - Zasłużyłeś sobie, ty niepiśmienny dupku.
- Roześmiał się i Betty znowu się poruszyła.
- Boże, ależ brzydactwo. - Poklepała Willa po nodze. - Pomóż mi wstać.
- Wsunął rękę pod zdrowe ramię Angie i pomógł jej się podnieść.
- Gdzie idziesz?
 - Przejrzeć ogłoszenia o pracy. - Wskazała na złamany nadgarstek, pokaleczone dłonie. - Nie mam zamiaru siedzieć za biurkiem przez następne dwadzieścia lat, a nawet miasto

Atlanta nie jest na tyle zdesperowana, żeby dać mi pistolet do ręki. - Wzruszyła ramionami.

- Poza tym fajnie byłoby znaleźć robotę, do której nie musiałabym się ubierać jak kurwa, chyba że bym chciała.

- Nie musisz pracować - zasugerował.

Zaśmiała się zaskoczona.

- Ty palancie. Naprawdę sądzisz, że będę siedziała w domu, gotując i sprząając, podczas gdy ty będziesz w pracy?

- Bywają gorsze rzeczy.

- Wątpię.

- Betty przydałaby się matka.

- Przydałaby jej się plastikowa torba na łeb.

- Ja...

Angie, wspięła się szybko na palce i przycisnęła usta do jego szyi. Poczuł dotyk jej miękkich warg, ciepło oddechu, nacisk palców na plecach.

- Kocham cię - powiedziała.

Patrzył, jak odchodzi ścieżką z różowym gipsem przy boku. Odwróciła się raz, żeby mu pomachać, potem wsiadła do samochodu i odjechała.

Była niemal dumna z ran, które pokrywały jej twarz i dłonie. Jakby wreszcie znalazła sposób, żeby pokazać na zewnątrz, co od tak dawna czuła w środku. Nie pytał jej, co się wydarzyło w tej piwnicy, nie miał ochoty zbyt blisko przypatrywać się ranom na ciele

Michaela ani liczyć, ile razy został pchnięty nożem. Chciał tylko ją objąć, wziąć w ramiona, wynieść stamtąd i zapewnić jej bezpieczeństwo, jeśli tylko zdoła.

I przynajmniej przez kilka godzin mu na to pozwoliła.

Nie był pewien, jak długo stał tam, patrząc na pustą ulicę. Boss śpiewał Leah, Betty poprychiwała mu w pierś, kiedy na podjazd sąsiadki zajechał brązowy chevrolet nova.

Trzasnęły drzwi samochodu i pies się obudził.

Will podszedł do kobiety, która obcasem wbijała drewniany palik w ziemię.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał.

Wzdrygnęła się i przyłożyła rękę do gardła.

- Boże, na śmierć mnie pan wystraszył.

- Nazywam się Will Trent. - Pokazał ręką na dom. - Mieszkam tu obok.

Patrzyła na psa z odrazą, wydymając wargi.

- Matka mówiła chyba, że to zdechło.

- Betty?

- Tak, Betty. Ulokowaliśmy ją w domu opieki.

Will zmarszczył czoło.

- Przepraszam?

- Betty, moją matkę. - Kobieta wyglądała na zirytowaną, wyraźnie nie miała ochoty tu przebywać, a już na pewno nie miała zamiaru tłumaczyć się Willowi. - Mieszka teraz w przytułku. Sprzedajemy ten dom.

- Ale... - zaproponował Will. - Przecież słyszałem, jak... - Popatrzył na psa. - Czasami w nocy
- zaczął - pani matka krzyczała na kogoś o imieniu Betty.
- Krzyczała na samą siebie, panie Trent. Nie zauważył pan nigdy, że jest kompletnie świrnięta?

Przypomniawszy sobie te nocne wrzaski, to, jak czasami zaczynała wyśpiewywać kuplety, podlewając plastikowe kwiatki na ganku. Te zachowania nie uderzyły Willa jako szczególnie dziwne, wzięwszy pod uwagę ekscentryczność okolicy. Niełatwo było się wyróżniać na ulicy, która miała sześciu hippisów mieszkających w jednej kawalerce, dom w kolorach tęczy, porzucony weiner mobile stojący na ceglach tuż przed kościołem menonitów i blisko dwumetrowego czynnościowego analfabetę spacerującego z małym pieskiem na jaskraworóżowej smyczy.

Kobieta miała zszywacz, którym przymocowała do palika własnej roboty tabliczkę, zapewne z napisem „Na sprzedaż”.

- Proszę - powiedziała. - Gotowe. - Odwróciła się do Willa. - Za dzień lub dwa ktoś wpadnie opróżnić dom.
- O.

Wsunęła but na stopę, po czym wrzuciła zszywacz do auta.

- Proszę zaczekać - powiedział Will.

Mimo to wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i dopiero wtedy opuściła okno. - O co chodzi?

- O psa - powiedział Will, unosząc Betty, jeśli istotnie tak miała na imię. - Co mam z nim zrobić?

- Co pan chce - odpowiedziała i wydymając wargi, popatrzyła na psa. - Matka nie cierpiała tego szczura.

- Ale przecież kazała mi go szczotkować - zaproponował Will, jakby to mogło zrewidować jej wspomnienia. - Powiedziała: „Czesz ją i gładź”.

- Raczej: „Weź ją i zgładź”.

- Ale...

Kobieta zrobiła się napastliwa.

- Och, na miłość boską, niechże pan ją odwiezie do schroniska!

Obejrzała się przez ramię, potem wycofała samochód z podjazdu, o mały włos nie potracając przebiegającego właśnie amatora joggingu. Obaj patrzyli, jak samochód wypadł na drogę, uderzając bokiem o pojemnik na śmieci.

Biegacz uśmiechnął się do Willa:

- Kiepski dzień?

- Tak. - Will nie był tak uprzejmy, jak powinien, ale w tej chwili miał ważniejsze problemy na głowie.

Spojrzał na Betty. Oparła głowę o jego pierś, wywiesiła język i patrzyła na niego z zachwytem w półprzymkniętych, wyłupiastych oczach. Gdyby była kotem, na pewno zaczęłaby mruczeć.

- Gówno - wymamrotał, kierując się w stronę domu.

Pamiętał, co powiedziała ta kobieta, jej piskliwy głos nadal dźwięczał mu w uszach.

Postawił Betty na podłodze. Smyrgnęła do pokoju, wskoczyła na kanapę i umościła się na swojej poduszce.

Will zamknął frontowe drzwi z ciężkim westchnieniem. Człowiek, który wychowywał się w sierocińcu, nie może oddać psa do schroniska.

Nawet jeśli to chihuahua.

PODZIĘKOWANIA

Dwa lata temu uznałam, że chcę napisać powieść niezwiązaną z serią Grant County. To był ryzykowny projekt i wiedziałam, że współpracownicy uznają mnie albo za genialną, albo szaloną. Zatem podziękowania w pierwszym rzędzie kierują do Kate Elton, Kate Miciak i Victorii Anders za nieumieszczenie mnie w szpitalu psychiatrycznym - jak dotąd - i umożliwienie mi przelania tej historii na papier.

Jak zwykle doktor David Harper był łaskaw zweryfikować wszystkie szczegóły medyczne.

Trish Hawkins odpowiedziała na niezliczone pytania na temat trudności w przyswajaniu wiedzy, Debbie Teague zaś udzieliła mi informacji z pierwszej ręki o tym, jak się żyje z

dysleksją. JS naświetlił mi ciężkie życie kryminalisty i zweryfikował pewne informacje o narkotykach. Jeanene English opowiedziała o tej tajemniczej małej bestii znanej jako chihuahua.

Chciałabym podziękować następującym osobom z wydawnictwa Delacorte: Irwyn Applebaum, Nicie Taublib, Barbie Burg, Susan Corcoran, Bets Hulsebosch, Cynthii Lasky, Steve'owi Maddockowi, Paolo Pepe, Sharon Propson, Sharon Swados. Donowi Weisbergowi, Caitlin Alexander, Kelly Chian, Loyale Coles oraz całemu zespołowi ds. sprzedaży Random House, Lisie George dziękuję za narzucanie mnie niczego niepodejrzewającym przyjaciołom Z Random House UK: Mike'owi Abbottowi, Ronowi Beardowi, Faye Brewster, Mike'owi Broderickowi, Richardowi Cable'owi, Georginie Hawtrey-Woore, Clare Lawler, Simonowi Littlewoodowi, Dave'owi Parrishowi, Gail Rebuck, Emmie Rose, Claire Round, Susan Sandon, Trish Slattery i Robowi Waddingtonowi.

Billie Bennett-Ward, Rebecca Keiper, prawdziwa Martha Lam, Fidelis Morgan i Colleen Winters bardzo mnie wspierali. Mój tata opiekował się mną w górach, a DA w domu, kiedy wracałam.